

Bracia Dalcz i S-ka





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

Bracia Dalcz i S-ka

Bracia Dalcz i s-ka

TOM PIERWSZY

ROZDZIAŁ I

Od rana już czymś niedobrym pachniało w powietrzu. Szwajcar¹ Molenda, który jeszcze pamiętał rządy samego nieboszczyka Franza, który większość z tych robotników znał od małego, patrzył spode łba, jak wsypywali się do portierni coraz gęstszymi grupkami, jak mu kiwali głowami, dotykając ręką daszków czapek, jak codziennym nieomylnym ruchem przekręcali ręczki zegarów i wybijali swoje numery przy dźwięku krótkich dzwonek.

Niby wszystko tak, jak co dzień, a przecież nie to. Stary Molenda zbyt był zrośnięty z życiem fabryki, by nie wyczuć jakiegoś dziwnego nastroju, czającego się w czymś nieuchwytnym, a grożącego niespodziankami. Jako ostatnie kółko w administracji Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz i Spółki, Molenda rozumiał wagę i odpowiedzialność swej funkcji. Na pewno też poszedłby zaraz do naczelnego dyrektora, gdyby nie to, że dosłownie nie miał na czym oprzeć swych obaw.

Ale niedługo czekały na swe uzasadnienie.

W południe, jeszcze zanim strzałka stanęła na dwunastej, zaczęły się nawoływać syreny fabryczne. Pierwsza odezwała się od „Lilpopa” (tym zawsze się śpieszy!), druga „Ursusa”, później „Woli”, dalej „Rudzkiego”, „Gerlacha”, Gazowni, wreszcie rozległ się tuż chrapliwy baryton „Dalczów”. Podczas gdy Wacek, pomocnik Molendy, otwierał drzwi, on sam wyjrzał na ulicę. Jak zwykle wzdłuż muru fabrycznego, po przeciwnej stronie pod parkanem i dalej koło przejazdu kolejowego poprzykucaly gromadki kobiet i dzieci z garnuszkami i zawiniątkami: obiad dla swoich. Zaraz w korytarzu, łączącym podwórze z portiernią, rozlegnie się tupot setek nóg. Zaraz rozdzwonią się zegary obecności... Tak jak co dzień. Dziś jednak coś musiało się stać. Molenda podbiegł do okna: na placu przed biurami administracji gromadził się tłum. Spokojny, nieruchliwy, zdawało się nawet — wesoly, gdyż raz po raz zrywały się w nim śmiechy i frywolne okrzyki.

I nagle zakotłowało się z brzegu tuż przy drzwiach biura personalnego. Nad głowami zatrzepotała czarna masa wielkiego wora od węgla. Gwar przeszedł w huk, w potężny ryk, w ogłuszający hałas. Tłum wielką rozhuśtaną falą runął do bramy. Z okien portierni widać było doskonale, jak kłębił się i przewalał wokół popychanych w środku tacek, na których szamotał się śmiesznie i bezkształtnie czarny worek.

— Precz z Łabędziem! — dobiegały z ogólnego wycia poszczególne okrzyki. — Za bramę!... Nie bić go!... Łabędziu mój!... Na zbitą mordę!... Niech idzie śpiewać! Wal sukinsyna!... A kopnij go tam który!... Nie bić go!... Nie bić go lekko!...

Śmiech, wrzaski i podśpiewywanie „Łabędziu mój” mieszały się z dudnieniem setek ciężkich butów po bruku. W tym hałasie stary Molenda nie dosłyszał tupotu w korytarzu, a gdy rzucił się do szafki, by bronić kluczy, było już za późno. Kilkunastu robotników i kilkadziesiąt robotnic otoczyło go zwartą masą, a tymczasem wylamano drzwiczki od szafki i porwano klucze. Po chwili portiernia opustoszała. Natomiast przeciągły jęk otwieranej bramy świadczył, że klucze zdobyto.

Oto tłum rozstąpił się. Ci, co popychali taczki, rozpędzili się i taczki z furią wyjechały na ulicę, podskakując na kocich łbach bruku. W jednej chwili przechyliły się i wyrzuciły swą zawartość do rynsztoka, pełnego mętnej i kolorowoszklistej od smarów wody. Radosne, triumfalne wycie nappełniło powietrze. Taczki cofnęły się i brama zawarła się z głuchym hałasem, a ludzie ruszyli na podwórze. Nie upłynęła minuta i, jakby nigdy nic, zatłoczyli portiernię, wydzwanając na zegarach wyjście.

Tymczasem Molenda wybiegł przed fabrykę, by ratować uwięzionego w worku. Wiedział, kto to jest. „Łabędziem” przecie od początku nazywają nie tylko tu, lecz na całej Woli, pana Zdzisława Dalcza, dyrektora personalnego. Molenda też nie czuł do niego najmniejszego sentymentu, ale poczuwał się do obowiązku wybawienia członka dyrekcji z okropnej sytuacji. Nie było to łatwe. Worek z szamocącym się wewnątrz dyrektorem otoczyły kobiety, wśród pisków, wyzwisk i drwin, obsypując go grudkami błota i małymi kamykami. Wierzch worka był mocno zawiązany drutem i Molenda porządnie się namęczył, zanim zdołał uwolnić pana dyrektora. W mokrym i nieprawdopodobnie uty-

¹szwajcar — portier. [przypis edytorski]

tlany ubraniu jego okrągła postać, nad którą dyszała czerwona, umazana sadzami twarz i piętrzyła się rozmiarziona czupryna, sprawiała tak śmieszne wrażenie, że nawet stary szwajcar nie mógł utrzymać należytej powagi. Poszkodowany zaczął krzyczeć, tupać nogami i wygrażać pięściami robotnikom, którzy mijali go teraz, półgłosem rzucając dotkliwe żarciki.

Nigdy się go nie bali, a teraz wiedzieli, że pozbyli się go raz na zawsze. Raz wywieziony na taczkach, nikt nie ośmielił się wrócić do fabryki. Tak było zawsze i zdawało się im, że inaczej być nie może.

Podczas gdy wywożono młodego pana Dalcza, w gmachu Zarządu nikt o niczym nie wiedział. Gmach stał na uboczu, a jego okna wychodziły na ulicę Węglową. Zresztą wraz z pierwszym dźwiękiem syreny urzędnicy powstali od biur. Głośne rozmowy i rumor przesuwanego krzesła zagłuszył odgłos awantury. Jeżeli zaś w gabinecie naczelnego dyrektora, pomimo panującej tam ciszy, nie dosłyszano odległego hałasu, to dlatego, że odbywała się tu niezwykle ważna konferencja, decydująca być może o samym istnieniu fabryki. Urzędujący w sąsiednim pokoju sekretarz Holder domyślał się tego i oceniając wagę sytuacji, nie chciał niepokoić pryncypała² wiadomością, że przed biurami administracji zbierają się robotnicy. Dopiero wówczas, gdy z kierownictwa ruchu zawiadomiono go telefonicznie o napadzie na młodego Dalcza i o przygotowanych taczkach, odważył się po chwili wahania wejść do gabinetu i powiedzieć:

— Bardzo przepraszam pana dyrektora, że przerywam, ale jest sprawa bardzo pilna.

— No, cóż tam, panie Holder? — uśmiechnął się naczelnny dyrektor swobodnie, chociaż spod jego siwych krzaczastych brwi patrzył niepokój.

Sekretarz zrozumiał i uśmiechnął się również. Ci finansisci nie mogą nawet przypuścić, by w Zakładach Przemysłowych Braci Dalcz miało zdarzyć się coś niepożądanego, a tak niebezpiecznego, by tym aż trzeba było niepokoić samego szefa.

— Właściwie drobiazg, panie dyrektorze — powiedział — ale czeka na instrukcję inżynier Kamiński, a jego pociąg odjeżdża za trzydzieści pięć minut. Dlatego ośmieliłem się...

— Ach, Kamiński, która to? Już po dwunastej? — zdziwił się naczelnny dyrektor i zwracając się do dwóch panów siedzących przed biurkiem, dodał kurtuazyjnie³: — Z panami tak miło się rozmawia, że zapomina się o czasie. Panowie pozwolą, że na chwilę zostawię ich samych?

— Ale prosimy, panie dyrektorze — zerwali się obaj.

Usiedli dopiero wówczas, gdy za Dalczem zamknęły się drzwi. Doskonale wiedzieli, że to jemu na nich zależy, nie odwrotnie, jednak osoba Wilhelma Dalcza wprost nakazywała szacunek. Wspaniała ten starzec, bliski osiemdziesiątki, a taki wciąż rześki i ruchliwy, nie tylko swoją nieskazitelną opinią, nie tylko szerokimi stosunkami i wpływami czy powszechnie cenionym umysłem imponował ludziom, z którymi się stykał. Sama jego wysoka, nieznacznie przygarbiona postać, sucha rasowa twarz z wysokim jasnym czołem, pogodnym spojrzeniem i z parą siwych jak mleko, niemal szlagońskich⁴ dobrodusznym wąsów nakazywała cześć, życzliwość i zaufanie. Toteż niespodziewana przerwa w konferencji wcale nie zaniepokoiła obu finansistów, z góry zdecydowanych na prolongatę⁵ kredytów, o które tak chodziło Dalczowi.

Tymczasem on sam stał w sekretariacie ze słuchawką telefonu w ręku i słuchał sprawozdania. Było już po wszystkim. Sekretarz Holder nie mógł wyczytać na twarzy szefa niczego, co wskazywałoby, jak zamierza postąpić. Powiedział tylko krótkie „dziękuję” i położywszy tubę⁶, odezwał się ze zwykłą uprzejmością:

— Zechce pan, panie Holder, sprowadzić mego syna tutaj do sekretariatu. Zaraz.

— Dobrze, panie dyrektorze.

— Na godzinę zaś drugą zamówi pan do mnie delegatów fabrycznych.

²pryncypał (daw.) — zwierzchnik, przełożony. [przypis edytorski]

³kurtuazyjnie — z wyszukaną grzecznością, uprzejmością. [przypis edytorski]

⁴szlagoński (daw.) — właściwy szlagonowi; *szlagon*: bezpośredni w sposobie bycia niewykształcony szlachcic wiejski. [przypis edytorski]

⁵prolongata — przedłużenie terminu płatności, odroczenie. [przypis edytorski]

⁶tuba — tu: daw. rodzaj słuchawki telefonu; w daw. zestawach telefonicznych zasadniczą częścią słuchawki, służącą jednocześnie za uchwyt, była lejkowata tuba rezonansowa. [przypis edytorski]

— Słucham, panie dyrektorze.

Wilhelm Dalcz wrócił do oczekujących go panów i z właściwą sobie swobodą wznowił rozmowę. Istotnie zależało mu bardzo na szybkim sfinalizowaniu sprawy. Jemu osobiście. W razie przeciągnięcia się pertraktacji znowu byłby zmuszony zwrócić się do brata o dalszy wkład, a to równałoby się wyrzuceniu własnej rodziny z reszty udziałów. Poza tym Karol, niecierpiący bratanków, oczywiście natychmiast usunąłby z fabryki Zdzisława... Zwłaszcza po dzisiejszej kompromitacji.

Na szczęście rzecz w zasadzie była załatwiona. Chodziło tylko o przyśpieszenie terminu i uporządkowanie ksiąg przed przyjazdem z Belgii Krzysztofa, którego trzeba będzie wprowadzić do Zarządu przedsiębiorstwa. Na jakie stanowisko, jakiej pozycji Karol zażąda dla swego syna — Wilhelm Dalcz jeszcze nie wiedział. Znając zdrowy rozsądek brata, nie przypuszczał, by ten chciał od razu powierzyć Krzysztofowi jakiegokolwiek kierownictwo. Ukończenie politechniki i dwa lata praktyki w zagranicznych fabrykach to jeszcze za mało. W każdym razie Karol skorzysta na pewno z pomocy syna w kontrolowaniu gospodarki Zakładów. Oczywiście Wilhelm Dalcz nic przeciw takiej kontroli nie miał. Jeżeli zaś obawiał się czego, to jedynie ewentualnych zatargów Zdzisława i Jachimowskiego z Krzysztofem, którego prawie nie znał, a który niewątpliwie będzie do tamtych niezycliwie przez ojca uprzedzony.

Z przygodnych relacji, jakie Wilhelm Dalcz miał o swoim bratanku, wynikało, iż jest to spokojny i zimny młody człowiek, no i podobno niezły fachowiec w dziedzinie budowy maszyn. Sam nie znał go prawie wcale. Stosunki wytworzone między domami obu braci przez histerie Józefiny sprawiły to, że poza terenem interesów wszelki kontakt zanikł jeszcze przed przyjściem na świat Krzysztofa. Wilhelm Dalcz widział go zaledwie kilkakrotnie i przelotnie podczas wizyt u brata, od czasu gdy ten został sparaliżowany i unieruchomiony w domu. W pamięci stryja bratanek pozostał czarnym smukłym chłopcem o dość wątłej budowie i bardzo dużych oczach. To wszystko.

Rozmyślenia dyrektora Dalcza przerwało wejście sekretarza.

— Syn pana dyrektora oczekuje — powiedział. — Czy mam prosić?

— Niech wejdzie.

Po chwili na progu ukazał się Zdzisław. Na zniszczone ubranie nałożył czyjeś za długie i za wąskie palto i wyglądał niemal odrażająco.

— Usiądź — krótko powiedział ojciec.

— To jest straszne! To jest bolszewizm! Ja w tej chwili zawiadomię policję polityczną! — wybuchnął Zdzisław.

— Zamilknij — podniósł nań surowe spojrzenie ojciec. — Nie po to cię wezwałem, by wysłuchiwać twoich niedorzecznych pogrózek. Proszę mi krótko i ściśle opowiedzieć, co było przyczyną zajścia.

— A czort ich wie, to bydło! Już doprawdy nie mam nerwów do tego chamstwa...

— Zdzisławie, albo się natychmiast uspokoisz, albo wyjdiesz.

— No, poszło o tego brygadzystę Dominiaka. Wydałem go. Bałwan, pozwala sobie na bezczelne wyzwiska pod moim adresem i jeszcze innych podjudza. Ile razy przechodzę przez narzędziownię, zawsze jakieś...

— Czekaj — przerwał pan Wilhelm. — A po co właściwie chodzisz do warsztatów, w jakim celu?

— A co, może mi nie wolno po własnej fabryce chodzić? Przepraszam ojca, ale chyba mam prawo!

— Masz obowiązek zdobyć się na tyle rozsądku, by nie prowokować swoją osobą zatargów, które szkodzą przedsiębiorstwu. Wiesz, że nie cieszysz się wśród robotników popularnością...

— Mam w nosie całą popularność! Pluję na to bydło! Ojciec nie rozumie tego, bo nie ma w sobie krwi wielkich panów, którzy kazali nahajami⁷ uczyć moresu⁸ czerń⁹. Ale ja mam w sobie i krew Korniewickich!...

— Głupiec — powiedział dobitnie Wilhelm Dalcz. Zdzisław otworzył usta, lecz spojrzawszy w oczy ojca, zamilczał.

⁷nabaj — rodzaj skórzanego bicia. [przypis edytorski]

⁸mores (przestarz.) — posłuszeństwo, rygor. [przypis edytorski]

⁹czerń (daw., pogardl.) — tuszcza, hołota. [przypis edytorski]

— Powiniennem usunąć cię z fabryki. Spróbuję jednak zostawić cię. Inżynier Turski zajmie twoje stanowisko, a ty obejmiesz kierownictwo magazynów.

— Żartuje ojciec? Dlatego, że temu chamstwu nie raczę się podobać, mam przejść na niższe stanowisko?

— Jeżeli wolisz pozostać — spokojnie powiedział pan Dalcz — pozostać i dostać kulkę w łeb... Chyba wiesz, jak rozprawiają się z tymi, których raz już wywieziono taczakami?... Otóż powiedziałem, że spróbuję przenieść cię do magazynów. Naturalnie zależy to od zgody delegatów. Ani myślę znosić dalszych awantur. Co zaś dotyczy kierownictwa magazynów, jest ono i tak dla ciebie zbyt trudne. Niestety, nie umiesz nic i do żadnej pracy się nie nadajesz...

— Jestem współwłaścicielem fabryki i chyba mam w niej niejakie prawa?

— Tak ci się wydaje? — uśmiechnął się Wilhelm Dalcz. — Otóż wiedz, że w tych dniach przyjeżdża Krzysztof. I może się okazać, że... że własność twoja i Haliny, i... moja jest tu zbyt mała, by miała nam dać jakiegokolwiek prawa... Idź. Każ się odwieźć do domu moim samochodem i odeślij wóz z powrotem. Wieczorem bądź w domu. Zakomunikuję ci ostatecznie decyzję co do twego pozostania w fabryce.

— Czy ojciec mówił o naszej sytuacji serio?

Wilhelm Dalcz milczał.

— A to ładnie nas ojciec wygospodarował! — wybuchnął Zdzisław.

— Proszę wyjść — odpowiedział półgłosem ojciec.

Gdy drzwi za Zdzisławem trzasnęły, podniósł ręce do skroni i trwał tak przez chwilę w bezruchu... Nacisnął guzik dzwonka. Na progu ukazał się sekretarz.

— Czy są już delegaci?

— Tak jest, panie dyrektorze.

— Niech wejdą.

Weszli trzech robotnicy. Pan Dalcz znał ich dobrze. Już od trzech lat byli wybierani. Mieli bowiem nie tylko wzięcie u ogółu robotników, lecz i uznanie dyrekcji za swój takt i za umiejętność łagodzenia zatargów, których przecie nie brakło, jak w każdej fabryce.

— Dzień dobry, panowie — powitał ich dyrektor, podając po kolei rękę. — Siadajcie, proszę.

W milczeniu ściskali końcami palców dłoń zwierzchnika i usadowili się na stojących przed biurkiem fotelach. Nie zanadto swobodnie, ale i nie na brzeżkach. Ot, zwyczajnie. Najbliżej usiadł największy z nich, tokarz Madejczyk, sękaty chłopisko o zezowatym oku i twarzy zoranej ospą. Jako prezes delegacji on też pierwszy się odezwał:

— Ano niby domyślamy się, panie dyrektorze, względem czego pan nas sobie życzył. Cóż... nie nasza wina.

— Wiadomo — podchwycił siedzący za nim szczupły blondynek, ślusarz z modelarni — sami podmówili się¹⁰. My o niczym nie wiedzielim.

— Zrobiliście mi wielką krzywdę — potrząsnął głową dyrektor Dalcz. — Nie spodziewałem się, że zasłużyłem u robotników na takie postępowanie.

— Co też pan mówi, panie Dalcz? — odezwał się trzeci delegat, giser¹¹ Czepiel, wzruszając ramionami. — Pana samego to nikt by palcem nie tknął.

— Ale, panie Czepiel, tknął mego syna. A przecie to było takie proste: uznawaliście, że mój syn niesłusznie Dominiaka wydalili, należało do mnie przyjść i powiedzieć, zamiast doprowadzać do takiego skandalu. Nie spodziewałem się tego, że na starość doczekam się takich od was dowodów zyczliwości.

— Panie dyrektorze, kiedy tu nie o Dominiaka chodziło — przerwał Madejczyk uspokajającym tonem. — Dominiaka, wiadomo, niesprawiedliwie wylał, ale w ogóle wszystkim syn pański do żywego dojadł. Za pięć minut spóźnienia kazał po pół godziny strącać, do Kasy Chorych zaświadczeń nie wydawał, a do człowieka to jak do psa gadał. No i co dziwić się, że nerwy nie strzymali?... My sami nieraz chcieliśmy do pana dyrektora przyjść, ale tak jakoś na rodzzonego syna, choć to po prawdzie mówiąc, a nie uchybiając, to pan dyrektor nie bardzo tyż z niego, za przeproszeniem, zaszczytu ma. Niby z początku to nic, ale później, jak zaczął się do każdego czepiać, jak zaczął każdego traktować,

¹⁰podmówić — namówić, nakłonić kogoś do zrobienia czegoś; często: podburzyć do czegoś złego. [przypis edytorski]

¹¹giser — rzemieślnik zajmujący się odlewaniem przedmiotów z metalu. [przypis edytorski]

jak zaczął wyrażać się, to ludzie zniechcieli. A zwiedzieli się, że znaczy się pański syn, za przeproszeniem, w teatrze opery odśpiewywał, co to za łabędzia był, czy jak tam...

— Za łabędzia, a jakże — z przekonaniem potwierdził blondyn i wszyscy trzej zachichotali dyskretnie.

— A niechby — ciągnął Madejczyk — choć to nie wychodzi¹², żeby dyrektor personalny i takie rzeczy, ale nie lubili go, to i krzyknie ten i owy, jak pański syn przez hałę przechodzi: „Te, Łabędź idzie!”, „A kysz, do Łazienek!”, „Spuszczajcie łabędzia na wodę!”, „Kukuruku!” i takie insze rzeczy. Ludzie, jak ludzie, pożartować lubieją. Żeby mądry był, toby koło uszu puścił, a on czepiał się i jak kogo przyłapał, to już mu zemsta pisana. Tak i z Dominiakiem było. Jakże można, chłop żonaty, troje dzieci, a i rzemieślnik, sam pan dyrektor wie, pierwszoklasny i za byle co za bramę... Jego wina, że panu dyrektorowi personalnemu podobało się łabędzia odstawiać?...

Wilhelm Dalcz zaczął mówić. Spokojnie, jasno, dobitnie. Sądzi, że awantury tego rodzaju są niedopuszczalne, że pomimo wszystko nie może dla nich znaleźć usprawiedliwienia, że nie może ulegać takim presjom, lecz wobec tego, co zaszło, i w przekonaniu, że się to nie powtórzy, przeniesie swego syna na stanowisko głównego magazyniera.

Delegaci spojrzeli po sobie. Blondyn wrzucił ramionami. Czepiel chrząknął, a Madejczyk powiedział:

— Jeżeli pan dyrektor chce ryzykować...

— Chcę od was otrzymać gwarancję, że porządek nie zostanie naruszony. Mój syn nie będzie teraz miał żadnej styczności z robotnikami i sądzę, że... dla mnie też możecie panowie mieć niejakię względy.

Czepiel pochylił się do Madejczyka i mruknął:

— Niech tam...

— Panie dyrektorze — odezwał się ospowaty — z panem toby my poszli na zgodę, ale niby jak nam przed towarzyszami mówić?... Ot, powiemy tak: pan przyjmie z powrotem Dominiaka, to i rychtyk¹³ będzie.

Jednak pan Dalcz ze względów prestiżowych nie mógł na to przystać. Po krótkich pertraktacjach doszedł wszakże z nimi do układu: Zdzisław ma zapewnione bezpieczeństwo, Dominiak zaś na trzy miesiące otrzyma pracę u „Lilpopa”, a potem przyjęty zostanie z powrotem.

Po wyjściu delegacji, zanim zjawił się wezwany telefonicznie inżynier Turski, do gabinetu wpadł zięć dyrektora Dalcza, doktor Jachimowski, dyrektor handlowy Zakładów.

— Niech ojciec to podpisze — zaterkotał swoim trzeszczącym głosem, podsuwając różowy blankiet asygnaty¹⁴ kasowej. — Muszę zaraz jechać do ministerstwa i wsunąć te osiem tysięcy do łapy Puczkowskiemu. Inaczej przepadniemy przy przetargu. A to spisał się nasz kochany Zdzich? Co?... Swoją drogą to bolszewizm. Mówiono mi, że głównymmacherem¹⁵ był ten ojca ukochany Czepiel. Należałoby z policją pogadać tak po cichu, żeby go uprzątneśli... No, co ojciec patrzy! Jak Boga kocham, spóźnię się i Czesi nas ubiegną. Puczkowski to uczciwy człowiek, jeżeli wcześniej od nich łapówkę weźmie, to ze mną już gadać nie zechce. No niechże ojciec prędzej podpisuje!

Pan Dalcz przygryzł siwe wąsy i w zamyśleniu przyglądał się różowemu kwadracikowi papieru, nerwowo potrząsanemu przez wymanicurowane brudne palce zięcia. Z wolna podniósł oczy na jego chudą ziemistą twarz i powiedział:

— Nie podpiszę.

— O, Jezu — zatrzepotał rękami Jachimowski — co ojciec myśli, że ja do własnej kieszeni wezmę tę forszę? Niech ojciec sam sprawdzi. Puczkowski w cztery oczy nie będzie ukrywał. A ręczę, że inaczej całe zamówienie diabli wezmą. Jeżeli zaś ojciec znajduje, że w naszej sytuacji stać nas na wyrzeczenie się zamówienia na półtora miliona, to ciekaw jestem, co pan Karol na to powie. Ojciec żyje wciąż ubiegłym stuleciem, ale, do pioruna, dlaczego my wszyscy mamy na tym cierpieć? Niech ojciec zadzwoni do biura sprzedaży. Oni wydostali ceny Czechów. Są prawie o czternaście procent niższe od naszych! Rozumie ojciec?... A zresztą, co ja będę z ojcem wojował? Podpisze ojciec czy nie?...

¹²nie wychodzi — tu zniekształcenie: nie uchodzi. [przypis edytorski]

¹³rychtyk (z niem.) — akurat, dokładnie. [przypis edytorski]

¹⁴asygnata kasowa — tu: pisemne zlecenie upoważniające do podjęcia pieniędzy w kasie. [przypis edytorski]

¹⁵macher — kombinator, naciągacz, cwaniak, hochsztapler. [przypis edytorski]

Starzec zgarbił się i powiedział cicho:

— Daj.

Powoli, jakby ociągając się przy każdej literze, podpisał i bez słowa podsunął asygnatę zięciowi.

— No i w porządeczku — zaśmiał się pojednawczo Jachimowski, ukazując złoto-czarne uzębienie. — I cóż ojciec zrobi z tym idiotą Zdlichem? Aha, znowu mi przysłała Halina jakiegoś cymbała. Oczywiście wyrzuciłem go za drzwi. Do pioruna, co ona sobie wyobraża, że będę rozdawał posady w fabryce wszystkim jej absztyfikantom¹⁶ i gigolakom¹⁷? Doprawdy ojciec mógłby trochę utemperować swoją córeczkę. Zdlich napycha nam jakieś wyranżerowane¹⁸ baletnice, Halina swoich gachów¹⁹, nie dość kochanej rodzinki, jeszcze mamy stać się przytulkiem emerytalnym... Istny dom wariatów... Co to jeszcze? — poskrobał się w łysinę. — Aha! Biuro kalkulacji trzeba wziąć za pysk. Oni nas zarzną cenami robocizny! Liczą na przykład siedemnaście godzin na imadelko „F” do tych dużych frezarek²⁰. Umysłnie dowiadywałem się. Czort wie, co. A w niemieckich fabrykach, gdzie robocizna jest o sto czterdzieści procent droższa, wypada w cenie o połowę taniej. Po prostu inżynier Kamiński jest za stary i nie umie kalkulować. Na najbliższym Zarządzie postawię wniosek o wyłanie go.

— Kamiński pracuje u nas od trzydziestu pięciu lat — jakby do siebie powiedział Wilhelm Dalcz.

— To i dosyć — ironicznie zawyrokował Jachimowski. — No, do widzenia.

Rozmowa z Turskim zajęła przeszło pół godziny. Później przyszedł główny buchalter²¹ z wekslami²² gwarancyjnymi do podpisu, Holder z korespondencją, szef biura zakupów, majster z hartowni²³ z prośbą o pożyczkę na ślub syna, kierownik wojskowych warsztatów samochodowych z pretensjami z powodu ustawicznego psucia się dostarczonych obrabiarerek, Ganzier, przedstawiciel Dalczów w Gdańsku, radca prawny w sprawie procesu z hutą Nordi o niedotrzymanie umowy... Jak codziennie, setki piętrzących się, zazębiających się w najbardziej skomplikowany i niespodziewany sposób spraw, interesów, trudności.

Pomimo swoich lat siedemdziesięciu ośmiu dyrektor Wilhelm Dalcz nie czuł fizycznego zmęczenia. Trwał na stanowisku niewzruszenie i mocno w tej coraz szybciej i coraz bardziej zygzakowato obracającej się masie zdarzeń. Przynajmniej nikt z tych, kto jakkolwiek z nim miał styczność, nie wątpił o tym.

Właśnie wybiła czwarta i syrena fabryczna przeciągłym rykiem oznajmiła koniec dnia roboczego, a woźny wszedł, by dyrektorowi podać palto, gdy zadzwonił telefon, przeznaczony wyłącznie do prywatnego użytku. Jego numer znany był zaledwie kilku osobom, a ponieważ dyrektor Dalcz wiedział, iż pani Józefina o tej porze śpi, jeszcze zanim podniósł słuchawkę i usłyszał głos Blumkiewicza, domyślił się, że dzwonią od Karola.

— Dzień dobry, panie Blumkiewicz — powiedział uprzejmie. — Jakże się ma mój brat?

— Uszanowanie najniższe, panie dyrektorze, właśnie pan prezes polecił mi zatelefonować i zapytać, czy pan dyrektor nie byłby łaskaw wstąpić do niego, albo po obiedzie, albo zaraz.

— Więc przyjechał — wyrwało się dyrektorowi Dalczowi.

— Tak jest, panie dyrektorze, dziś rano razem z panią prezesową. Pan prezes niezmiernie się ucieszył powrotem syna.

— Niech pan powie memu bratu, że zaraz będę.

¹⁶absztyfikant (pot.) — zalotnik, konkurent do ręki, kandydat na narzeczonego. [przypis edytorski]

¹⁷gigolak (pot. z fr.: *gigolo*) — dziś raczej: *zigolak*: płatny partner do tańca w lokalu rozrywkowym a. młody mężczyzna czerpiący korzyści materialne z dotrzymywania towarzystwa lub ze stosunków z zamożnymi kobietami. [przypis edytorski]

¹⁸wyranżerowany (rzad.) — wycofany z obiegu. [przypis edytorski]

¹⁹gach (daw., gw.) — kochanek. [przypis edytorski]

²⁰frezarka — maszyna do obróbki skrawaniem za pomocą frezu; służy do wykonywania np. rowków, gwintów, kół zębatych. [przypis edytorski]

²¹buchalter (daw.) — księgowy. [przypis edytorski]

²²weksel — dokument stanowiący pisemne zobowiązanie wystawcy do zapłacenia określonej osobie (lub okazicielowi) określonej sumy w oznaczonym terminie; używany m.in. jako zabezpieczenie zobowiązań pieniężnych, zamiast natychmiastowej zapłaty za towar lub usługę. [przypis edytorski]

²³hartownia — warsztat, w którym wykonuje się hartowanie metalu. [przypis edytorski]

Położył słuchawkę, mruknął pod nosem coś, czego woźny nie dosłyszał, i wstał. Stary woźny podsunął mu kalosze, a pomagając nałożyć palto, zapytał:

— A to pewno panicz Krzysztof przyjechał?

— Tak, Józefie, przyjechał. Bądź zdrow i powiedz szoferowi, by zajechał po mnie od ulicy Swirskiej.

Podwórce fabryczne już opustoszało. Wilhelm Dalcz szedł swoim równym dużym krokiem po czarnej od węgla, ubitej i tu i ówdzie połyskującej kałużami ziemi wzdłuż wielkiej hali warsztatów stolarskich, aż do wysokich sztachet, oddzielających teren fabryki od starego ogrodu, w którym stał pałacyk wybudowany jeszcze przez jego ojca. Znał tu każde drzewo i każdy krzak. Przecie sam tu mieszkał przez lat wiele, zanim ożenił się z Józefiną. Wąska ścieżka gęsto była pokryta, mokrymi od niedawnego deszczu, żółtymi i czerwonymi liśćmi. Zupełnie już prawie gołe gałęzie drzew sterczały nieruchomo pod szarym zachmurzonym niebem. Zbudzony jego krokami, zaszczekał wielki łańcuchowy pies, lecz zaraz się uspokoił i zaczął machać ogonem. Wilhelm Dalcz nie bywał tu częstym gościem, ale przecież kundel znał go dość dobrze, by bez obawy dopuścić do wejścia na werandę.

Na spotkanie wybiegł mały, ruchliwy Blumkiewicz i uniżenie pochylając ogromną dominikańską łysinę, wprowadził gościa przez mały, ciemny i ciasny przedpokój do dużego biedermaierowskiego²⁴ salonu o meblach pokrytych białym płótnem. Tu dopiero pomógł panu Wilhelmowi zdjąć palto.

— Pan prezes czeka.

Sąsiedni pokój, służący jednocześnie za gabinet i sypialnię, miał opuszczone rolety. Przy wysokim mahoniowym łóżku paliła się mała lampka, rzucając krąg żółtawego światła na poduszkę i siwą brodatą głowę z żywymi czarnymi oczyma.

— Jak się miewasz, Karolu?

— Dziękuję ci, Wil. — Chory wyciągnął do brata lewą rękę. — Dziś lepiej. Siadaj, proszę. Panie Blumkiewicz, przysuń pan fotel... Dziękuję i tego... może pan odejść. Gdy będę potrzebował, zadzwonię.

Zostali sami. Karol chciał nieco podnieść się w poduszkach, lecz nie starczyło mu sił i Wilhelm musiał go ująć pod sparaliżowane ramię, by mu dopomóc.

— Dziękuję ci — stęknął chory. — Dzisiaj przyjechał Krzysztof.

— Domyśliłem się tego. Zechcesz zwołać posiedzenie Zarządu?

— Nie, tymczasem w Zarządzie po dawnemu będzie mnie zastępował Blumkiewicz. Krzys jeszcze nie chce wchodzić w sprawy ogólne. Oczywiście po pewnym czasie on obejmie prezesurę, a ja się zrzeknę...

— Czy nie uważasz, Karolu, że on jest za młody? Ma zaledwie dwadzieścia siedem lat. Mógłbyś jeszcze przez rok, dwa...

— Nie — stanowczo zaprzeczył Karol Dalcz — po prostu nie czuję się uprawniony do dalszego zarządzania jego majątkiem. Nigdy ci, Wil, nie mówiłem o tym, ale sam wiesz, że wszystkie pieniądze, jakie wkładam do fabryki, stanowią wyłączną własność Krzysztofa. Ze spadku po jego przybranym ojcu, nieboszczyku Wyzborze.

Wilhelm nie wiedział o tym. Przypuszczał, że jego brat, prowadząc tak oszczędny i odosobniony tryb życia, sam posiadał znaczne fundusze i z nich czerpał, wykupując udziały bratanków. Że stary skąpiec Wyzbor, wuj Karolowej, umierając, gdy ona spodziewała się potomka, zostawił adoptację²⁵ i wielki zapis jej dziecku, na wypadek gdyby urodziła syna — to było powszechnie znane. Przyzwyczajony jednak do skrupulatności brata, Wilhelm nie przypuszczał, by ten naruszył kapitały syna, zanim Krzysztof sam wejdzie do czynnego życia i sam zadecyduje o lokacie.

— No — rzucił lekko — skoro czuleś się uprawniony do dysponowania...

Młodszy brat zmierzył go wymownym spojrzeniem:

— Był to jedyny sposób zabezpieczenia Krzysztofowi mojej części przedsiębiorstwa.

Wilhelm nie odpowiedział, a Karol dorzucił prawie szeptem:

²⁴*biedermaierowski* — utrzymany w stylu *biedermeier*: panującym w Niemczech i krajach Europy środkowej i wschodniej w I poł. XIX w. stylu meblarstwa i wyposażenia wnętrz, cechującym się wygodą i przytulnością. [przypis edytorski]

²⁵*adoptacja* (daw.) — adopcja, przysposobienie, prawne uznanie cudzego dziecka za własne. [przypis edytorski]

— Zanim zostałyby zmarnowane przez twoje dzieci i różnych przybłędów w rodzaju Jachimowskiego... czy innych protegowanych twojej pani Józefiny... wielkopańskich darmozjadów, próżniaków, kretynów, przez całe to robactwo, które obsiadło twój dom, a które wytruliłbym, jak...

Zakaszła się, pergaminowa twarz pokryła się bladym rumieńcem, w oczach zaszkliły się łzy.

— Uspokój się, Karolu — zimno powiedział Wilhelm. — niesprawiedliwe zarzuty nie stają się słuszne przez to, że wypowiada się je z nienawiścią.

— Tak?... niesprawiedliwe?... Bój się Boga, Wil, nie wmawiaj we mnie, że sam siebie umiałeś okłamać! Nie udawaj przede mną! Nawet taki Blumkiewicz widzi, że się tylko męczysz!

— Dajmy spokój twoim przywidzeniom, Karolu. Chciałeś mówić ze mną o Krzysztofie.

Chory sapał przez chwilę i żuł wargi. Opanował się jednak i zaczął mówić:

— Tak. Krzyś skończył budowę maszyn, skończył ze złotym medalem. Z fabryk, w których praktykował, ma najlepsze opinie. Jest zdolny, nawet bardzo zdolny. Dlatego sądzę, że będzie pożyteczny. Sam się zresztą o tym przekonasz. Myślałem nad tym, jakie mu stanowisko powierzyć, i postanowiłem, na jego własne życzenie, że zostanie dyrektorem technicznym.

— A cóż zrobimy z inżynierem Wajdlem?

— Cóż? Na razie pozostanie na stanowisku głównego inżyniera. To mu żadnej ujmę nie przyniesie. Przecie dykcja techniczna obejmie oprócz jego działu szereg innych, ale o tych szczegółach rozmówisz się już z samym Krzysztofem. Nie wątpię, że zrobisz wszystko, by mu ułatwić pracę...

— Możesz tego być pewien.

— Dziękuję ci, Wil, nigdy ani przez chwilę nie stawiałem pod znakiem zapytania dwóch twoich cech charakteru: uczciwości i szlachetności. Mam tedy²⁶ dalszą do ciebie prośbę. Nie chciałbym cię dotknąć, ale byłbym ci wdzięczny za umożliwienie Krzysiovi jak najmniejszego kontaktowania z Jachimowskim, Zdzisławem i z całą twoją rodziną.

— Jak chcesz...

— Nie obrażaj się. Krzyś jest trochę odludkiem. Z ludźmi i z życiem w ogóle stykał się mało. Wiesz, że był wychowany przez matkę, a Terenia zawsze unikała ludzi.

— Jednak skoro chcesz, by został dyrektorem technicznym, będzie musiał ustawicznie mieć do czynienia z wszystkimi podwładnymi.

— Właśnie proszę cię, Wil, byś go pomału i w to wprowadził, oswoił z warunkami, z otoczeniem, no i osobiście wdrożył w pracę.

— Możesz na mnie liczyć.

— Właśnie. Wiem przecie, że i tobie leży na sercu los przedsiębiorstwa, już chociażby przez pamięć na naszego świętej pamięci ojca, który wierzył, że jeszcze jego prawnuki i prawnuczki utrzymają się na tej placówce... No, a któż po nas to obejmie? Po tobie i po mnie?... Zdzisław?... Chyba sam się nie ludzisz. Zatem tylko Krzyś. I naszym obowiązkiem jest dać mu do tego przygotowanie, jeżeli nie chcemy, by fabryka wpadła w obce ręce. Wprawdzie pozostaje jeszcze twój starszy syn, ale jest to człowiek całkiem zwichnięty... Szkoda, gdy jeszcze był małym chłopcem, miałem nadzieję, że z niego tęgi chłop wyrośnie. Że na nim oprze się z czasem cała firma... A tymczasem szczęśliwa rączka twojej żony tak go pokierowała, że nawet gimnazjum nie skończył, że zrobiła zeń wałkonia i hulakę...

— Daj spokój — smutno potrząsnął głową Wilhelm Dalcz — nie mówmy o Pawle. Wykreśliłem go z mojej pamięci i z jakichkolwiek rachub. Masz zupełną rację. Pozostaje tylko Krzysztof. Daj Boże, żeby...

Nie dokończył, gdyż zapukano do drzwi i nie czekając na pozwolenie, uchylono je, a na progu stanęła niska, szczupła staruszka w białym fartuchu.

— O, dzień dobry, panie Wilhelmie.

²⁶tedy (daw.) — zatem, więc. [przypis edytorski]

— Dzień dobry, Tereniu — zerwał się z galanterią²⁷ i pocałował ją w rękę. — Wciąż wyglądasz młodo i rześko.

— Żartujesz, panie Wilhelmie. Ale przeszkodziłam wam? Chciałam tylko przypomnieć Karolowi, by wziął proszek. On zawsze zapomina.

Staruszka nałala do kubeczka wody i podała mężowi lekarstwo.

— Bądź tak dobra — powiedział chory, oddając kubek — zawiadom Krzysia, że może przyjść powitać stryja Wilhelma.

— Dobrze, złotko.

Czekali w milczeniu.

Upłynęło dobrych pięć minut, zanim usłyszeli szybkie pewne kroki i do pokoju wszedł Krzysztof. Pan Wilhelm, nie podnosząc się z miejsca, obrzucił go uważnym spojrzeniem. Przed nim stał młody człowiek średniego wzrostu, raczej szczupły, o podniesionej głowie. Smągła twarz, gładko wygolona, nieduży prosty nos, ładnie wykrojone usta, duże czarne myślące oczy i krótko przystrzyżone, w tył zaczesane włosy koloru hebanu składały się na całość poważną i ujmującą.

— Miło mi cię powitać, Krzysztofie — odezwał się wreszcie i wyciągnął rękę.

— Właściwie: poznać — uśmiechnął się młody człowiek. — Tak się jakoś złożyło, że prawie nie widywaliśmy się ze stryjem.

Pan Wilhelm potrząsnął małą, lecz silną dłońią bratanka. Na ogół podobał mu się, tylko miękki i zanadto młodzieńczy głos nieco raził. Natomiast swobodne i naturalne zachowanie się Krzysztofa robiło dodatnie wrażenie. Przynal sobie krzesło i usiadł naprzeciw stryja. Nie wyglądał na swoje lata, lecz już po chwili rozmowy pan Wilhelm przekonał się, że ma do czynienia z dojrzałym i zrównoważonym mężczyzną.

Krzysztof opowiadał o belgijskich i niemieckich fabrykach metalurgicznych, w których odbywał praktykę, o rozmaitych stosowanych tam systemach administracji, o postępach naukowej organizacji pracy, o nowych metodach regulowania produkcji.

Mówił rzeczowo, bez sadzenia się²⁸ na znawstwo, bez popisywania się erudycją²⁹, lecz w sposób świadczący o gruntownej znajomości przedmiotu i o własnym trzeźwym zdaniu w omawianych sprawach.

Pan Karol Dalcz z nieukrywaną radością wodził oczyma z twarzy syna na twarz brata, który zresztą nie ukrywał swego uznania dla młodego inżyniera. Już sam sposób, w jaki się doń³⁰ zwracał z pytaniami, aczkolwiek miał w sobie jakby posmaczek egzaminu, świadczył, że pan Wilhelm traktuje bratanka całkiem poważnie.

Weszła znowu pani Teresa z propozycją przyrządzenia kawy, lecz pan Wilhelm podziękował.

— Jakże mój syn, panie Wilhelmie? — zapytała z maskowanym niepokojem.

— Muszę ci, Tereniu, powinszować. O ile znam się na ludziach, będzie z niego prawdziwy Dalcz.

— Jeszcze się stryj rozczaruje — zaśmiał się Krzysztof, ukazując białe i jakby drapieżne zęby. — A dlaczego to stryj z moją matką tak dziwnie się tytułują?

— Widzisz, Krzysztofie, znałem twoją matkę, gdy jeszcze była w tym wieku, kiedy nie tylko mówi się pannom po imieniu, lecz i nosi się je na rękach.

— Jakże chcesz — zaśmiała się pani Teresa — pan Wilhelm był już wówczas studentem.

Pomimo tych wspomnień nastroj do końca był zimny. Przy pożegnaniu ustalono, że Krzysztof nazajutrz z rana zjawi się u pana Wilhelma i zostanie przezeń oprowadzony po fabryce. Nominację otrzyma zaraz, zaś po kilku tygodniach i po bliższym poznaniu przedsiębiorstwa przystąpi do zorganizowania swego działu.

Dyrektor Wilhelm Dalcz pojechał do domu. Zapadł już zmierzch i gdy auto dotarło do śródmieścia, w wilgotnym asfalcie odbijały się mętne refleksy oświetlonych wystaw sklepowych.

²⁷galanteria (z fr. *galanterie*: grzeczność) — wyszukana grzeczność w obejściu, szczególnie w stosunku do kobiet. [przypis edytorski]

²⁸sadzić się — próbować się czymś popisać, starać się komuś zaimponować. [przypis edytorski]

²⁹erudycja — rozległe, wszechstronne wykształcenie, odczytanie, wiedza książkowa. [przypis edytorski]

³⁰doń — skrócone: do niego. [przypis edytorski]

W ogromnym mieszkaniu przy Alei Ujazdowskiej panował wielki ruch i hałas. Był to piątek, dzień przyjęć pani Józefiny. Wilhelm Dalcz pośpiesznie zdjął palto i przemknął się między rozbieganą służbą przez jadalnię i boczny korytarz do swojej sypialni. Z przyległego gabinetu dolatywały głośne śmiechy i okrzyki. Przekręcił na wszelki wypadek klucz w zamku, zdjął marynarkę, nałożył stary, zniszczony szlafrok i zadzwonił. Po długim oczekiwaniu wpadła pokojówka. Kazał jej przynieść obiad. Zamiast obiadu zjawiała się jednak pani Józefina i wznosząc ręce nad swą majestatyczną postacią, wybuchnęła oburzeniem: on jej cały dom dezorganizuje, on przychodzi wtedy na obiad, kiedy mu się podoba, wprowadza chaos, odrywa służbę od jej obowiązków, jeżeli Halina dotychczas za mąż nie wyszła, to wszystko przez niego, sam palcem nie ruszy, a teraz ona, zamiast bawić gości i czuwać nad porządkiem, musi tu przychodzić, dobrze, niech teraz on sam idzie, ona z miejsca się nie ruszy, dziś pierwszy raz jest ten hrabia węgierski, a ten tak zwany pan domu nawet nie raczy się pokazać, biedna ta Halina, ale ona do grobu nie zapomni wyrodnemu ojcu, zawsze udaje zmęczonego, byle tylko nie spełniać swoich świętych obowiązków...

Pan Wilhelm Dalcz przyglądał się przez chwilę żonie obojętnym wzrokiem, po czym bez słowa położył się na sofie i zamknął powieki. Pani Józefina, trzasnąwszy drzwiami, wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ II

Do pokoju maszyn wszedł sekretarz Holder z miną zwiastującą nowinę.

— No, moje panie — powiedział, zacierając ręce — z jedną z was muszę się rozstać.

W jednej chwili umilkły „Royale” i „Remingtony”³¹, a panna Klimaszewska, która nie dalej jak wczoraj w liście samego dyrektora zrobiła dwa błędy ortograficzne, śmiertelnie zbladła. Holder jednak stanął przy stoliku panny Jarszówny i chrząknął:

— Co pani o tym sądzi, panno Marychno?

— Ależ za co? — przestraszyła się Jarszówna. — Przecie ja, panie Holder, nic nie zawiniłam?

— No, niech się pani nie boi! — uśmiechnął się. — Rozstajemy się z panią my, to znaczy sekretariat, a pani dostaje awans i hm... perspektywy!...

— Perspektywy?

— I to jakie! Zostaje pani osobistą sekretarką dyrektora Krzysztofa Dalcza. Niech pani powie Józefowi, żeby przeniósł pani maszynę do gabinetu dyrekcji technicznej.

— Dlaczego Marychna? Czy to „stary” zarządził? Czy dostanie podwyżkę? — posypały się pytania.

— Ba, żebyż „stary”. Sam pan Krzysztof powiedział: „Proszę mi wyznaczyć tę blondynkę, co siedzi przy oknie, ona mi się szalenie podoba”.

— Żartuje pan — zaczerwieniła się Jarszówna — to niemożliwe!

— Serio tak powiedział?

Holder stał uśmiechnięty i rozkoszował się wrażeniem, jakie sprawił:

— No, o podobaniu się nie mówił, ale skoro panią wybrał, widocznie coś w tym jest.

— On mi się wcale nie podoba! — zawołała panna Klimaszewska. — Taki jakiś...

— Ho, ho, bo zielone winogrona!

— I od kiedy mam tam do niego iść? Od jutra?

— Po co odkładać szczęście? — z żartobliwym patosem odpowiedział Holder. — Ma pani iść zaraz.

— Ależ ja nie mogę zaraz! — zerwała się Jarszówna. — Niech pan sam patrzy! Mam zupełnie wytarte łokcie i w ogóle to stara sukienka! I włosy mi się całkiem rozfryzowały. O mój Boże, dlaczego mi pan nie powiedział wczoraj! Ja tak nie pójdę za żadne skarby!

Gorączkowo pudrowała nosek i otrzepywała kurz z sukni. Jaskrawe rumieńce i roziskrzona emocją niebieskie oczy wraz z nieco rozczochraną czupryną koloru lnu składały się na obraz najwyższego podniecenia. Pełne duże piersi wznosiły się pośpiesznym nierytmicznym oddechem. Beładnie machając grzebieniem wyrywała sobie całe pasma włosów.

³¹„Royale” i „Remingtony” — marki maszyn do pisania. [przypis edytorski]

— Co się tak przejmujesz, Marychno? — wzruszyła ramionami panna Wreczkowska i wydeła przywiedle policzki. — Myślisz, że on się z tobą zaraz ożeni? Czy może pośle cię do fotografii?

— Myśli, że Pana Boga za nogi złapała — dorzuciła inna.

— W ogóle ja słyszałam, że on jest już zaręczony i zostawił swoją narzeczoną za granicą. Podobno co drugi dzień do niej listy pisuje.

— No — zjadliwie nadmieniła panna Klimaszewska — teraz Marychna będzie mu listy wystukiwać na maszynie.

— Gadajcie, panie, gadajcie — zauważył sekretarz — a każda z was do nieba skakałaby, żeby była na miejscu panny Marychny.

— O, tylko nie ja.

— I nie ja.

— I nie ja.

— Mnie się on w ogóle nie podoba. Brunet i taki wyskrobek. Mężczyzna powinien mieć wzrost, bary...

— I taki zawsze poważny, jakby kij połknął.

— Sama wczoraj mówiłaś, że takich oczu jeszcze nie widziałaś — zaperzyła się panna Jarszówna.

— Phi... no, ma ładne oczy. Ale to jeszcze smarkacz. Co to za wiek dla mężczyzny dwadzieścia osiem lat.

— Dla ciebie pewno, że za mało — odcięła się Marychna. — Przykro mieć do czynienia z mężczyzną o sześć lat młodszym od siebie.

— Kłamiesz! Ja nie mam trzydziestu czterech lat!

— Sza, panienki — przerwał Holder — bo jeszcze „stary” wejdzie. No, panno Marychno, niech pani śpieszy, bo tam jest coś pilnego do dyktowania.

Józef zabrał maszynę, a w chwilę potem Marychna, przeżegnawszy się ukradkiem, wyszła na korytarz.

Gabinet jej nowego szefa mieścił się w końcu korytarza na pierwszym piętrze. Na wielkich czarnych drzwiach wisiała tabliczka:

„Inż. Krzysztof Wyzbor-Dalcz — Dyrektor Techniczny”.

Zapukała i usłyszawszy krótkie, ale melodyjnym głosem rzucone „proszę”, weszła.

Siedział przy biurku, lecz wstał na jej powitanie i odkładając papierosa powiedział:

— Czekalem na panią. Jestem Dalcz.

Uścisk dłoni miał miękki, lecz mocny, a wyraz twarzy raczej surowy i tylko przygodnie uprzejmy.

— Od jak dawna pracuje pani u nas? — zapytał, wskazując jej krzesło.

— Od dwóch lat, panie dyrektorze.

— Zatem jest już pani dość otrzaskana z terminologią techniczną. W każdym razie ilekroć w tym, co będę pani dyktował, będzie pani miała jakiegokolwiek wątpliwości dotyczące pisowni, proszę zapytać.

— Dobrze, panie dyrektorze.

Skinął głową, co zrozumiała jako zakończenie rozmowy. Wstała i zajęła miejsce przy maszynie. Ta była ustawiona w ten sposób, że Marychna musiała siedzieć zwrócona plecami do biurka. Jednak na ścianie przed nią wisiał wielki oszklony plan fabryki i w tym właśnie szkle widziała odbicie swojej jakże fatalnie nieuczesanej głowy, a dalej kontury biurka i siedzącego przy nim swego szefa. Właśnie przewracał jakieś papiery, rozkładał duże arkusze, segregował małe kartki, na których od czasu do czasu coś notował. To prawda, że wolała mężczyzn wyższych, ale ten był taki przystojny i tak ładnie zbudowany. Oczywiście, koleżanki z sekretariatu krytykowały go tylko przez zazdrość, że właśnie ją wybrał. Byłaby głupia, gdyby z tego miała sobie zaraz coś wyobrazić, ale jednakże... Nawet pasują do siebie, bo on jest szczupły brunet, a ona dość pełna blondynka. Przemysłowiec i stenotypistka³²... w wielu bardzo pięknych filmach zdarzały się takie sytuacje.

³²stenotypistka — maszynistka korzystająca ze stenografii, tj. kobieta zajmująca się zawodowo pisanem na maszynie stenograficznej lub przepisująca na maszynie do pisania tekst z notatek stenograficznych; dawniej także ogólnie: maszynistka. [przypis edytorski]

Ma się rozumieć, nie będzie tak naiwna, by rozmarzać się na ten temat, ale w każdym razie to awans. W przerwie obiadowej pójdzie do kreslarni³³ pochwalić się ojczymowi...

— Piszemy, proszę pani — rozległ się za nią głos miękki i dźwięczny. — Jest pani gotowa?

— Proszę, panie dyrektorze.

— Nagłówek: „Organizacja dyirekcji technicznej Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz i Spółki”... Gotowe?

— Tak jest.

— Więc od nowego wiersza: „Z dniem pierwszym stycznia bieżącego roku wprowadza się następującą strukturę administracji”...

Szybki, sprawny stukot maszyny zmieszał się z płynnym wyrazistym głosem dyktującego. Marychna nie podniosła oczu znad klawiatury. Nie rozumiała ani słowa z tego, co wystukiwały jej palce, całą uwagę skupiła na tym, by nie przepuścić ani jednej litery, by nie narobić błędów. Robota musi być wykonana bez zarzutu. Dyrektor Krzysztof Dalcz miarowym krokiem chodził wzdłuż pokoju i dyktował z głowy. W króciutkich przerwach widziała odbicie jego postaci w szybie przed sobą: jedną rękę trzymał w kieszeni, w drugiej miał notatki, do których z rzadka zaglądał. Taki elegancki... Krzysztof... To bardzo ładne imię... Ten student, którego poznała w wagonie, nazywa się Stanisław, w ogóle co drugi chłopak to Stanisław albo Jan, albo Jurek. Pospolicie. Co innego Krzysztof... Krzys, Krzych, a można i z drugiej połowy imienia: na przykład Toffi — tak jak cukierki!

— ...z uwzględnieniem wyżej wymienionych rubryk mają też być sporządzane codzienne raporty rozchodu magazynowego w trzech egzemplarzach, a to celem wzajemnej kontroli...

Czy też on naprawdę jest zaręczony? W każdym razie dotychczas na żadną z urzędniczek nie zwracał uwagi, a przecież jest już w fabryce od trzech tygodni. W buchalterii³⁴ mówiono, że wciąż siedzi w warsztatach albo konferuje z kierownikami poszczególnych biur i działów. Ciekawa rzecz, czy teraz będzie więcej przesiadywał w gabinecie? Bo po cóż by kazał przydzielić sobie sekretarkę?

Od czasu do czasu, nie przerywając dyktowania, zatrzymywał się przy niej i nachylał się nad maszyną, by sprawdzić, co jest napisane.

„Co za szczęście — myślała Marychna — że wczoraj zrobiłam *manicure!* Co jak co, ale swoich rąk nie potrzebuję się wstydić. Daj Boże każdej. Jutro nałożę granatową sukienkę z białym kołnierzykiem i te jaśniejsze pończochy”.

Zegar na korytarzu zaczął bić dwunastą i niemal jednocześnie odezwała się chrapliwie syrena.

— Pani je obiad w fabryce? — przerwał dyrektor.

— Nie, panie dyrektorze, w domu. Tu tylko śniadanie.

— A bardzo pani głodna?

— Cóż znowu, bynajmniej.

— No więc piszmy dalej. Zależy mi na skończeniu tego memoriału³⁵ dziś jeszcze. Nie czuje się pani zmęczona?

— O, nie — skłamała Marychna i zaryzykowała mały uśmiech, lecz on w ogóle tego nie spostrzegł.

„To nic — myślała w trzasku maszyny — przecie dziś tylko pierwszy dzień. Za tydzień, dwa, rozkrochmali się i nie będzie taki oficjalny”.

Pisanie skończyło się około trzeciej. Wziął maszynopis i zasiadłszy przy biurku, pograżył się w czytaniu. Zaległa cisza. Marychna nieznacznie rozcierała zmęczone palce, zerkając ku zwierzchnikowi. Jaki on ma ładny owal twarzy i jaką gładką smagłą cerę...

— Proszę pani — podniósł na nią oczy — czy pani jest pewna, że „narzędziownia” pisze się przez „rz”?

— No... tak, panie dyrektorze — odpowiedziała speszona i teraz już sama nie wiedziała, czy nie należy pisać przez „ż”.

³³kreslarnia — pracownia, w której kreśli się rysunki techniczne, rysuje plany itp. [przypis edytorski]

³⁴buchalteria — księgowość, rachunkowość. [przypis edytorski]

³⁵memoriał (z łac.) — oficjalne pismo zawierające wyjaśnienie sprawy lub uzasadnienie prośby. [przypis edytorski]

— Niech się pani nie dziwi — uśmiechnął się, najwyraźniej uśmiechnął się do niej — niech się pani nie dziwi, że jestem słaby w ortografii. Zarówno szkołę średnią, jak i politechnikę przechodziłem za granicą, a w gramatyce polskiej jestem tylko samoukiem, i to, jak pani widzi, kiepskim.

Chciała coś odpowiedzieć, ale ani rusz nie przychodziło jej na myśl nic odpowiedniego. Tymczasem on skończył czytać i wziął do ręki słuchawkę telefonu wewnętrznego. Kazał się połączyć z naczelnym dyrektorem i powiedział:

— Tu mówi Krzysztof, czy stryj będzie mógł teraz mnie przyjąć?... Dobrze, zaraz przyjdę.

Bez pośpiechu złożył papiery i pobrzękując kluczami zamykał szuflady biurka.

— O której pani przychodzi do pracy? — zapytał.

— O ósmej, panie dyrektorze.

— Hm... Wolałbym, by pani przychodziła o siódmej, za to, oczywiście, już o trzeciej będzie pani wolna. Nie sprawi to pani różnicy?

— Nie, panie dyrektorze, tylko że ja mieszkam w Zielonce i... żeby na czas zdążyć, musiałabym wstawać bardzo wcześnie... o piątej...

— Ano tak — zastanowił się — trudno panią do tego zmuszać. Jaką pani ma pensję?

— Dwieście dziesięć złotych.

— Więc dostanie pani podwyżkę, ale trzeba będzie zamieszkać w Warszawie. Czy chce pani?

Naturalnie, że chciała. Mieszka w Zielonce u ojczyma, a teraz przeprowadzi się do miasta i wynajmie pokój, jeżeli to jest potrzebne. Dyrektor Dalcz powiedział, że nawet konieczne, gdyż będzie jej od czasu do czasu potrzebował i w godzinach pozabiurowych, za które, oczywiście, wypłaca jej dodatkowo. Na razie pensja zostanie podwyższona do trzystu pięćdziesięciu złotych.

— Bardzo dziękuję, panie dyrektorze — zaczerwieniła się i niespodziewanie dla siebie samej dygnęła.

To go widocznie rozbawiło, gdyż uśmiechnął się, ukazując śliczne drobne i bardzo białe zęby.

— Ile pani ma lat? — zapytał.

— Dwadzieścia jeden, to jest właściwie dwudziesty drugi — zażenowała się.

— Jest pani jeszcze bardzo młoda. No, więc układ stoi?... Wydam odpowiednie polecenie panu Holderowi. Teraz jeszcze jedno. Proszę panią, by wszystko, co jej dyktuję, zatrzymane zostało w ścisłej tajemnicy. To jest warunek nieodzowny. Do widzenia pani.

Podał jej rękę i wyszedł z gabinetu. Była niezwykle podniecona. Tyle zmian! Boże, będzie miała taką dużą pensję, no i nareszcie zamieszka w Warszawie! Zaraz od jutra zacznie szukać sobie pokoju. Co też ojczym na to powie?

Gorączkowo pakowała swój woreczek i zamykała maszynę. Korciło ją, by pobiec zaraz do sekretariatu i pochwalić się koleżankom, lecz wytrzymała do gwizdka. Teraz zaś musiała śpieszyć się na pociąg. Prędko wybiegła na ulicę. Nie cierpiała tego kawałka drogi do przystanku tramwajowego. W lecie czy w zimie, zawsze było tu pełno błota, a w jesieni należało wręcz uprawiać ekwilibrystykę³⁶, by po rozrzuconych tu i ówdzie ceglach dotrzeć do ulicy Wolskiej, gdzie już były chodniki. Dziś jednak wprost nie zwróciła na to uwagi. Na przystanku zebrało się już kilkanaście osób, przeważnie z biura konstrukcyjnego i z kalkulacji. Wszyscy już wiedzieli, że została sekretarką Krzysztofa Dalcza, i winszowali jej awansu. Osobą młodego dyrektora bardzo się interesowano przede wszystkim ze względu na zmiany, jakie miał zaprowadzić w fabryce, a poza tym z racji, że wszystko, co dotyczyło rodziny pryncypałów, było jednym z najpopularniejszych tematów w rozmowach między pracownikami. Lubiano i bano się Wilhelma Dalcza, z przekazem mówiono o Zdzisławie, z szacunkiem o Karolu, Jachimowski miał opinię „cwaniaka”, a o Krzysztofie Dalczu nie wyrobiono sobie jeszcze zdania.

Ojczym Marychny Jarszówny, pan Ozierno, jako jeden z najstarszych pracowników firmy, doskonale był obznajmiony³⁷ z tymi kwestiami. Toteż, gdy tylko wraz z pasierbicą

³⁶ekwilibrystyka (z łac. *aequilibrium*: równowaga) — zachowywanie równowagi ciała w trudnych warunkach. [przypis edytorski]

³⁷obznajmiony (przest.) — zaznajomiony z czymś. [przypis edytorski]

ulokowali się w przedziale trzeciej klasy pociągu do Zielonki i gdy Marychna zakomunikowała mu propozycję swego szefa, oświadczył, że nic przeciw niej nie ma, gdyż Dalczowie to „rodzina solidna” i nie dadzą swemu człowiekowi zrobić krzywdy. Takie już obyczaje są od starego Franza.

Ponieważ zaś Marychna czuła się od dziś także „swoim człowiekiem” Dalczów, sama zaczęła wypytywać ojczyma o ich historię. Słyszała ją wprawdzie kilkadziesiąt razy, opowiadaną różnym przygodnym słuchaczom, lecz nigdy nie zwracała na nią szczególnej uwagi, nawet wówczas, gdy po skończeniu gimnazjum dostała posadę w fabryce. Teraz jednak było zupełnie inaczej. Każda informacja, każde słowo miały swoje głębokie aktualne znaczenie.

— Stary Franz — mówił ojczym — nie miał i trzydziestki, jak do Warszawy przyjechał, ale rzemieślnik był już pierwsza klasa i, jak się pokazało, głowę na karku miał. Na psach przyjechał, co mu wózek z całym dobytkiem przyciągnęły, a nie nazywał się Dalcz, tylko Daltz. Ale że to ludziom trudno tak wymówić, to i wszyscy mówili: „a to zanieś zamek do naprawy do Dalcza”, „a niech Dalcz zreperuje zawiasy”, bo to otworzył sobie skromny warsztat na Bonifraterskiej, co to nazywano także i „pod psami”, że to niby na psach przyjechał. Ale człowiek był zacny, pracowity, a był wówczas taki zamożny młynarz na Pradze, Bauer się nazywał. Też z Niemców. Otóż Franz robił to i owo przy młynie i coś w dwa lata z córką Bauera się ożenił. Podobno w posagu dostał pięć tysięcy rubli, czy więcej. A że człowiek był oszczędny, pracowity i niegłupi, zaraz sobie niewielką kotłarnię³⁸ założył, a pomału plac za wolską rogatką³⁹ kupił i zaczął budować. Trochę ze swoich, trochę z posażnych⁴⁰, a trochę z pożyczonych, bo był uczciwy i ludzie mu własną duszę zawierzyliby. Powodziło się nieźle. Z początku narzędzia rolnicze robił, później na Kolej Wiedeńską⁴¹ różne zamówienia przysły. A jak synowie szkoły pokończyli i ojcu pomagać przyszli, to już w fabryce ze dwustu robotników było.

— To znaczy, że w tej samej fabryce, gdzie my teraz pracujemy? — zapytała Marychna.

— W tej samej. Tylko że po śmierci starego Franza obaj synowie zaraz fabrykę rozszerzyli, zarzucili drobną robotę i przeszli na fabrykację⁴² maszyn. Starszy, Wilhelm, że to bardziej przystojny i elegancki był, z hrabianką się ożenił, z panną Korniewicką. Zbiedniała rodzina, tylko na małym folwarczku siedziała, ale zawsze, co hrabianka, to hrabianka. Tylko że mu na pomyślność nie była. Strasznie nosa darła⁴³ i zaczęło się od tego, że z młodszym bratem Wilhelma, z Karolem, pokłóciła się i podobno nawet za drzwi go wyprosiła. A poszło o małżeństwo Karola.

— Naszego prezesa?

— Właśnie. Zakochał się on w jednej Gruszkowskiej, córce kupca korzennego. To hrabiance, wiadomo, nie w smak. A panią ładna była, drobna taka, no i pan Karol, jak zaciął się, to i ożenił na złość bratowej. Stąd i zerwanie przyszło. A jak matka, tak samo i dzieci z daleka się trzymali od pani Karolowej. Wilhelmowi w rok po ślubie urodził się pierwszy syn, Paweł. Ten, widać, w matkę się wdał, bo żadnych nauk nie skończył i albo hula po świecie, albo w matczynym folwarku siedzi i, jak mówią, z rodzicami żadnych stosunków nie ma. Potem urodziła się córka Ludwika, ta, co jest za dyrektorem Jachimowskim, Wilhelmowi znaczy się, później Zdzisław, ten co go niedawno taczkami wywieźli, też nie udał się, a później córka Halina.

— To ta, co przyjeżdża czasami do fabryki takim zielonym samochodem i z psem — kiwnęła głową Marychna.

— Bóg ją tam wie, ale o niej też ludzie, jak to ludzie, za dobrze nie gadają.

— A Krzysztof?

³⁸kotłarnia — zakład produkujący kotły. [przypis edytorski]

³⁹rogatka wolska — zespół dwóch nieistniejących dziś budynków w Warszawie, znajdujących się na początku ul. Wolskiej, zbudowanych na pocz. XIX w. przy drodze wyjazdowej z Warszawy do wsi Wola; roгатka: daw. posterunek na granicy miasta, na którym pobierano opłaty za wjazd. [przypis edytorski]

⁴⁰posażne (środki) — pieniądze z posagu. [przypis edytorski]

⁴¹Kolej Wiedeńska — linia kolejowa Warszawa–Skierniewice–Koluszki–Piotrków–Częstochowa–Dąbrowa Górnicza na Kraków i Wiedeń, najdawniejsza w Królestwie Kongresowym, zbudowana w latach 1838–1848. [przypis edytorski]

⁴²fabrykacja — produkcja. [przypis edytorski]

⁴³nosa darła — zadzierała nosa, była zarozumiała. [przypis edytorski]

— Krzysztof to, jak wiesz, syn prezesa Dalcza. Opowiadali, że dlatego za granicą był kształcony, żeby tu nie spotkał się z dziećmi swego stryja, bo taka już złość między matkami była. Ale że Karol był oszczędny, a Wilhelma i żona, i dzieci rujnowały, to i Krzysztofa większa część jest w fabryce. I ty uważaj, żebyś mu nie naraziła się czymś, bo on ma tam najważniejszy głos. Nawet dziś słyszałem od inżyniera Lasockiego, że Krzysztof pewno po Wilhelmie naczelnym zostanie.

— Ja tam mu wcale nie myślę się narażać — żarliwie zapewniła Marychna.

— Mnie już nie wyrzucą, od chłopca w fabryce pracuję, ale ty uważaj. Mogą być wielkie zmiany, jakby Krzysztof wysadził stryja z dyrekcji.

— A dlaczego oni wszyscy nazywają się po prostu Dalczami, a ten jest Wyzbor-Dalcz?

— Bo adoptowany. Widzisz, matka Krzysztofa, z domu Gruszkowska, miała wuja, także był ze szlachty, a że był bezdziejny, więc wielkie miał zmartwienie, że na nim ród się kończy. On właśnie powiedział pani Karolowej: „Jak syn się wam urodzi, to go adoptuję, niech i moje nazwisko nosi, a cały mój majątek jemu zapiszę”. I testament taki zrobił. Otóż dlatego ten i nazywa się Wyzbor-Dalcz.

Po przyjeździe do Zielonki Marychna zaraz zakrzętnęła się przy pakowaniu swoich rzeczy. Wprawdzie trochę było jej żal zostawiać ojczyznę, ale ponieważ i tak były w domu dwie jego własne córki, o wygodę starego nie potrzebowała się martwić.

Nazajutrz o piątej rano już była na nogach, a o siódmej w fabryce. Bardzo się cieszyła, że zdążyła przyjść do gabinetu, zanim jeszcze zjawił się jej szef. Skorzystała z okazji, by na chwilę wpaść do sekretariatu i pochwalić się zmianami, jakie mają zajść w jej życiu. Panna Klimaszewska zaraz zaproponowała jej, by zamieszkały razem.

— Eee, kiedy ty tak daleko mieszkasz — wymijająco odpowiedziała Marychna.

— No, to mogę się przeprowadzić. Znajdziemy pokój gdzieś bliżej.

— Daj jej spokój — wtrąciła panna Proszyńska — przecie widzisz, że Marychna chce mieszkać sama.

— Aha!

— Inaczej po cóż by przeprowadzała się z Zielonki — złośliwie dorzuciła inna.

— Głupie jesteście — obrazila się Jarszówna i wybiegła na korytarz.

Właśnie zdążyła wejść do gabinetu szefa, gdy i on się zjawił. Wszedł swoim tak charakterystycznym, lekkim, elastycznym krokiem i przywitał ją wesołą uwagą:

— Jak to miło z pani strony, że już dziś przybyła pani o siódmej.

— Zastosowałam się do życzenia pana dyrektora...

— Dziękuję pani. A pokój już jest?

— Jeszcze nie.

— Ma pani może w mieście krewnych, u których mogłaby pani zamieszkać?

— Nie, panie dyrektorze. Wynajmę pokój.

— Tym lepiej — powiedział.

Nie zrozumiała, dlaczego ma to być lepiej, i zapytała:

— Jak to lepiej?

Krzysztof Dalcz roześmiał się:

— No... powiedzmy, będzie się pani czuła swobodniejsza...

— Ach tak...

— Ma pani zapewne jakiegoś miłego narzeczonego, będzie mógł panią odwiedzać — powiedział po chwili wahania.

Policzki Marychny zaróżowiły się gwałtownym rumieńcem, a serce zaczęło bić mocno i szybko.

Przecie już wcale nie było dwuznaczne!

Dalcz wyjął z kieszeni dużą srebrną papierošnicę i zapalił.

— Czy zadowolona jest pani z nowej pracy? — zapytał, stojąc wciąż przy niej i udając, że nie spostrzega jej zmieszania.

— Bardzo — powiedziała z mocnym akcentem szczerości.

Chciałaby teraz zapewnić go, że jest zachwycona, że będzie starała się, jak nikt, żeby tylko był z niej zadowolony, że zrobi wszystko, co leży w jej umiejętnościach, by pozyskać jego życzliwość...

Myśli Dalcza widocznie zbliżoną szły drogą, gdyż powiedział:

— Mam nadzieję, że będziemy z siebie zadowoleni. Prosiłbym panią, by miała do mnie zaufanie i by zbytnio nie dzieliła się z przyjaciółkami tym, co robimy i o czym ze sobą mówimy.

— Ależ, panie dyrektorze, to jasne!

— Zatem doskonale.

— Zresztą ja nie mam przyjaciółek — dorzuciła.

Zaśmiał się jakoś dziwnie:

— Jesteśmy zatem oboje w podobnym położeniu: ja też nie mam przyjaciół... Tak... No, ale zabieramy się do roboty.

Zasiadł do biurka, przez chwilę wertował notatki i zaczął dyktować.

Jeżeli wczoraj Marychna nie rozumiała tego, co pisała, to dziś była tak podniecona wyobraźnią, że sama sobie dziwiła się, jak może pisać, nie słysząc poszczególnych wyrazów, a tylko melodię tego świeżego młodzieńczego głosu.

Kilkrotnie przerywano im pracę. Wchodził woźny z jakimiś papierami, inżynier Wajdel i inni. Marychna spostrzegła, że z nimi rozmawiał inaczej niż z nią. Wprawdzie głos był ten sam, ale ton suchy, szorstki, zdania urywane. Obserwacja ta ucieszyła ją niezmiernie. Bała się puszczać zbyt daleko wodze fantastycznym marzeniom, ale cóż mogła poradzić na to, miała tylko dwadzieścia jeden lat i marzenia dość nieposłuszne.

Dyktowanie trwało do dwunastej.

— No, teraz niech pani każe sobie dać herbatę — przerwał Dalcz — i życzę pani dobrego apetytu. Ja też pójdę na śniadanie, później zaś zabawię trochę na warsztacie. Pani może zająć się przygotowaniem trzech okólników⁴⁴ według tych oto schematów, wszakże z uwzględnieniem zmian, porobionych przeze mnie ołówkiem na marginesie.

Skinął jej głowę i wyszedł.

Z jaką radością Marychna zabierała się teraz do pracy, z jaką dbałością wykonywała wszystkie jego polecenia. Fabryka przestała być miejscem codziennej szarej pańszczyzny, a stała się treścią dnia. Wolne godziny, spędzone poza biurem, stanowiły tylko jakby uzupełnienie doby, jakby czas pozostawiony na to, by mogła przygotować się do tej chwili, kiedy on wejdzie i obrzuci ją miłym, ciepłym spojrzeniem swoich przepięknych oczu. A był taki uprzejmy i taki uważny. Zawsze spostrzegał każdy nowy szczegół w jej ubraniu, czasem nawet dawał jej rady: „najlepiej pani w zielonym”, albo: „niech pani spróbuje czesać się trochę inaczej, bardziej gładko, mam wrażenie, że będzie to w pani typie”.

Marychnie aż dziwno było, że mężczyzna, i do tego jej zwierzchnik, taki poważny człowiek, jest dla niej taki uważny, życzliwy i interesujący się nią całkiem widocznie. Świadczyło to o jego naprawdę wielkopańskim wychowaniu i o dużej delikatności. Dotychczasowe doświadczenie Marychny w obcowaniu z mężczyznami, w ogóle niewielkie, nie wychodziło poza jej sferę, poza kilkunastu znajomych urzędników, studentów czy młodych oficerów. Nie kochała się nigdy. Ten i ów podobał się jej czasami, lecz bliższy kontakt z nimi zamykały podświadomie jej marzenia o wielkiej miłości do jakiegoś niezwykle człowieka, egzotycznego maharadży⁴⁵, sławnego lotnika, gwiazdora filmowego czy zwycięzcy olimpiady. Oczywiście dyrektor Krzysztof Dalcz nie był żadną z tych postaci, był czymś znacznie mniejszym, ale i czymś znacznie większym. Dlaczego, sama nie wiedziała. Nie starała się zresztą tego zgłębić. Zbyt pochłaniało ją przeżywanie rzeczywistości i wznoszenie nad tą rzeczywistością fantastycznych marzeń o jutrze.

Teraźniejszość stanowiła już jakby próg do niej. Marychna wynajęła nieduży, ale bardzo ładny pokój przy ulicy Leszno. Dojazd stąd do fabryki trwał niespełna kwadrans, wstawała zatem z rana tak jak dawniej, o szóstej, a o trzeciej była już wolna. Ten rozkład dnia wpłynął też na rozluźnienie stosunków z kolegami. Nie spotykała ich w tramwaju, a zastawiając się do prośby zwierzchnika, nie starała się też widywać ich w wolnej południowej godzinie. Z początku trochę irytowały ją uwagi dawnych przyjaciółek na temat jej rzekomego „zadzierania nosa”, z biegiem czasu przestała na nie reagować, tym bardziej że ostatecznie miała prawo uważać się za kogoś nieco wyższego w hierarchii fabrycznej

⁴⁴okólnik — pismo służbowe z poleceniami a. wskazówkami wydane w jednym egzemplarzu i przekazywane obiegiem między odbiorcami. [przypis edytorski]

⁴⁵maharadża (sanskryt: wielki król) — tytuł władców indyjskich. [przypis edytorski]

od nich. Sprawiała to nie tylko większa pensja, lecz i sposób, w jaki traktował ją dyrektor Krzysztof Dalcz.

Nie mogła tego nie zauważyć, że ilekroć do gabinetu wchodził ktokolwiek, Dalcz, zwracając się do niej, był wyjątkowo uprzejmy, do przesady grzeczny, demonstracyjnie miły, przy jednoczesnym ściśle oficjalnym ustosunkowaniu się do przybyłego. Kontrast ten sprawiał Marychnie niedającą się określić radość. Cieszyłaby się nim może mniej, gdyby wiedziała, jaki efekt wywołał w licznych biurach Zakładów. Dla niej ten efekt wyraził się tylko w tym, że teraz wszyscy, nie wyłączając inżynierów i kierowników biur, witali ją z większym szacunkiem, wstawali z krzesła, gdy z nią rozmawiali, kłaniali się z daleka i nie pozwalali sobie przy niej na żarciki.

Teraz już dość często z polecenia zwierzchnika załatwiała różne sprawy w biurach i w kantorach⁴⁶ warsztatowych. Czasami nawet wysyłana była do miasta, by kupić jakieś książki techniczne lub wypisać jakieś dane z wielkich encyklopedii w bibliotece na Koszykowej. Ilekroć była rzecz pilna, pan Krzysztof kazał jej jechać własnym samochodem. Zaczynały się już pierwsze przymrozki i jazda otwartym wozem nie sprawiałaby zbyt wielkiej rozkoszy, gdyby nie fakt, że to był jego wóz, no i że z okien buchalterii widać było doskonale, jak wsiadała i jak szofer owijał jej nogi dyrektorskim pledem. A cóż to dopiero był za jubel⁴⁷, gdy z okien tych zobaczono, jak wsiadali oboje: ona i pan Krzysztof Dalcz!

Zdarzyło się to przy takiej sposobności: o drugiej skończyła rozkładanie do segregatorów raportów warsztatowych, gdy właśnie zadzwonił telefon. Mówiła matka pana Krzysztofa i Marychna, która teraz zawsze załatwiała jego telefony, dowiedziała się, że pan Karol Dalcz gorzej się czuje i prosi syna, by pojechał po lekarza lub posłał poń⁴⁸ samochód. Marychna natychmiast zadzwoniła do narzędziowni, gdzie, jak wiedziała, musiał teraz być pan Krzysztof. Przyszedł natychmiast i powiedział:

— No, skoro pani już skończyła z raportami, odwiozę przy sposobności panią do domu. Gdzie pani mieszka?

— Na Lesznie, proszę pana, ale po co pan będzie się fatygował...

— O? A czy nie myśli pani, że mi to sprawi przyjemność? — spojrzął na nią znacząco.

Zarumieniła się i spuściła oczy. Po chwili siedziała już w samochodzie obok niego. Szofer został, gdyż pan Krzysztof sam chciał prowadzić wóz. Prowadził spokojnie i lekko z tą delikatnością, która cechowała całe jego postępowanie w stosunku do niej. A przecież wiedziała, że umie być szorstki, ba, nawet brutalny. Nie tak dawno, gdy szukała go w hartowni, słyszała na własne uszy, jak sztorcował⁴⁹ inżyniera Wońkowskiego. Nawymyślał mu wówczas od cholery i powiedział, że taka robota jest do... Tu użył takiego słowa, jakiego nigdy by się po nim nie spodziewała. Po prostu nie pasowało do niego. W ustach innych brzmiałoby także ordynarnie, ale nie raziłoby tak bardzo, jak w jego, takich ładnych i tak subtelnie zarysowanych. Zresztą Marychna nie umiała tego sobie wytłumaczyć, ale zdawało się jej, że to prawie świętokradztwo, chociaż od paru osób słyszała, że pan Krzysztof „nie patyczkuje się i ruga na całego”. Może to jego poza, żeby więcej postrachu wzbudzać w podwładnych, a może po prostu zły nawyk. Wołała o tym w ogóle nie pamiętać, a przychodziło jej to tym łatwiej, że wiedząc o jej obecności, nigdy tego nie robił.

Samochód zatrzymał się przed jej domem. Otworzył drzwiczki i pomógł jej wysiąść.

— Bardzo, bardzo dziękuję panu dyrektorowi — wyciągnęła doń rękę.

— To ja pani dziękuję — powiedział z uśmiechem, przytrzymał chwilę jej rękę, odsunął rękawiczkę i pocałował tuż koło przegubu.

Wpadła do domu jak nieprzytomna. Omal nie rzuciła się na szyję panu Wieczorkowi, ojcu jej gospodyni, gdy ten jej drzwi otworzył. Ponieważ obiad dawano o wpół do czwartej, miała dość czasu na rozpamiętywanie tego ważnego zdarzenia: pocałował ją w rękę!

Od czasu gdy została jego sekretarką, minęło zaledwie trzy tygodnie, a już wiedziała, że się to byle czym nie skończy. Jeżeli tedy tak starannie upiększała i porządkowała swój

⁴⁶kantor (z niem. *Kontor*: kantor, biuro, od łac. *computare*: liczyć, obliczać) — daw. biuro zakładu a. fabryki. [przypis edytorski]

⁴⁷jubel (pot.) — wielka radość; huczna, hałaśliwa zabawa. [przypis edytorski]

⁴⁸poń — skrócone od: po niego. [przypis edytorski]

⁴⁹sztorcować (pot.) — upominać, strofować, besztać. [przypis edytorski]

pokoik, to nie bez myśli, że przecież może się zdarzyć, że do niej kiedy wstąpi. Bez żadnych zamiarów, ale tak sobie... Właściwie to nonsens, a jednak...

I zdarzyło się, a zdarzyło się całkiem niespodziewanie.

Marychna zawsze dość ciężko przechodziła zwykłą słabość. Dawniej, gdy jeszcze pracowała w sekretariacie, brała zwykle zwolnienie na te dwa dni. Teraz jednak postanowiła nie przerywać pracy. Po pierwsze tęskno byłoby jej za... fabryką, a po wtóre, obawiała się, by pan Krzysztof na czas jej nieobecności nie wziął którejś innej, na przykład takiej Klimaszewskiej, co mizdrzy się do każdego mężczyzny.

Dlatego poszła. Wyglądała jednak tak blado i tak fatalnie, że on sam to zauważył i kazał jej wrócić do domu, a nazajutrz broń Boże nie przychodzić, bo zresztą i roboty żadnej specjalnie nie będzie. Zaległość zaś dwudniowa łatwo się da odrobić. Ma zresztą teraz całe swoje biuro i świat się nie zawali, jeżeli ona przez dwa dni odpocznie. Był przy tym tak delikatny, że nie wypytywał, co jej jest. Widocznie domyślał się. Cóż, nic dziwnego, pewno niejedną miał już kochankę (tu serce Marychny ścisnęło się), niejedną, i zna się na słabościach kobiecych.

Nazajutrz tedy Marychna nie poszła do fabryki. Leżała w łóżku i haftowała cyklameny⁵⁰ na laufrze⁵¹, którego przeznaczeniem miało być upiększenie stolika przed lustrem. Była może piąta, a może kwadrans po, gdy w przedpokoju rozległ się długi dzwonek. Pewno któraś przyjaciółka gospodyni. Marychna słyszała jej kroki, gdy szła otworzyć drzwi, brzęk łańcucha i nagle pukanie do jej pokoju. Więc do niej? Któż to może być?

Weszła gospodyni i powiedziała, że przyszedł jakiś pan i pyta, czy może go panna Jarszówna przyjąć.

— Jaki pan? Przecież leżę w łóżku.

— Taki brunet, elegancki, mówi, że wie o pani chorobie i właśnie przyszedł odwiedzić.

— Boże drogi! — Marychnie zapało oddech. — Czyżby... Moja pani! Ja sama nie wiem... No, niech pani chyba poprosi... Zaraz, czy ja nie jestem rozczochrana?

— Nie, nie, i koszulka ładna, jak się patrzy, śmiało może pani go przyjąć.

Z tymi słowami gospodyni wybiegła, a w sekundę potem do pokoju wszedł Krzysztof Dalcz. Był nie w codziennym grubym szarym ubraniu, lecz w czarnym wizytowym, w którym wyglądał jeszcze ładniej i jeszcze subtelniej. W rękę trzymał dużą paczkę.

— Dzień dobry pani, jakże się pani czuje? — powiedział tak swobodnie, jakby w jego wizycie nie było nic nadzwyczajnego.

— Och, panie dyrektorze — wyszeptała z trudem.

— Uważałem za swój miły obowiązek odwiedzić panią. No, nie przywita się pani ze mną?

Wyciągnęła rękę, która wyraźnie drżała. Pochylił się i musnął ją bardzo gorącymi ustami, przytrzymując w swojej dłoni.

— Przyniosłem na pociechę czekoladki — powiedział, umieszczając pudło na zastawionym drobiazgami stoliku przy łóżku i przysuwając sobie krzesło.

— Pan dyrektor... doprawdy... ja strasznie dziękuję...

— Pozwoli pani rozpakować? Widzi pani, że ja sam jestem łakomy, i myślałem, że zechce mnie pani poczęstować.

— O, ja sama — zerwała się, lecz nagły ruch wywołał widocznie silny ból, gdyż opadła na poduszkę i pobladła z wyrazem cierpienia na twarzy.

Dalcz, nie mówiąc ani słowa, wstał, nalał do szklanki odrobinę wody, wyjął z kieszeni kamizelki małe srebrne pudełeczko i podał jej białą pastylkę:

— Niech pani to zażyje — powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu — to uspokaja wszelkie bóle.

Marychna połknęła lekarstwo.

— Gorzkie — uśmiechnęła się.

— Za kwadrans ból minie — zapewnił, chowając pudełko do kieszeni.

Teraz przypomniała sobie, że już je widziała u niego w fabryce. Pewnego razu, po powrocie z warsztatów, zażył taką pastylkę, wyjaśniając, że ma częste migreny i że tylko to

⁵⁰cyklamen — ozdobna roślina o dużych, sercowatych liściach i białych, różowych a. czerwonych kwiatach. [przypis edytorski]

⁵¹laufer (daw.) — bieźnik, podłużna serweta na stół lub ławę. [przypis edytorski]

mu pomaga. Rzeczywiście, wyglądał wówczas bardzo blado i miał sine cienie pod swoimi pięknymi oczami.

— Pan dyrektor taki dla mnie dobry — westchnęła.

Milczał chwilę i jakby z namysłem powiedział, ciągnąc słowa:

— Przesadza pani... Zresztą chyba trzeba mieć na świecie kogoś, dla kogo można być dobrym...

I nagle, jakby dla zmienienia tematu rozmowy, zaczął innym tonem:

— Dziś musiałem wraz ze stryjem Wilhelmem reprezentować fabrykę na pogrzebie prezesa Genwajna. Pogrzeb trwał przeszło dwie godziny i nieco przemarzłem...

— Czy to ten Genwajn?... — zapytała Marychna.

— Tak. Z fabryki Scherr i Genwajn... Niegdyś kolega szkolny stryja Wilhelma. Zastrzelił się. Czytała pewno pani w dziennikach.

Marychna nie czytywała w ogóle dzienników. Dawniej, gdy jeszcze pracowała w sekretariacie i mieszkała w Zielonce, o wszystkich ważniejszych zdarzeniach dowiadywała się albo od kolegów, albo od ojczyma, który przy każdej takiej sposobności opowiadał o karierze i koligacjach⁵² omawianej osoby. To była jego pasja. Toteż dzięki niej Marychna dobrze wiedziała, kto to jest Genwajn. Jeżeli ojczym o kimś mówił z dodatkiem słowa „ten” — oznaczało to, że mówi się o znanym i bogatym człowieku.

— Zastrzelił się? Przecież to był już stary człowiek — zauważyła.

— Stary. Starzy też miewają powody do samobójstwa. Podobno firma jego stała na progu bankructwa.

— Jednak, panie dyrektorze, częściej się słyszy o samobójstwach ludzi młodych. Przeważnie z miłości...

— O, nie mówmy o tym. Oboje jesteśmy młodzi — powiedział z uśmiechem — i wcale nie myślimy o... samobójstwie. No, nie lepiej pani?

— Troszkę.

— A bardzo pani niezadowolona, że przyszedłem jej dokuczać?

— Panie dyrektorze — zawołała z taką szczerością wyrzutu w głosie, że aż sama spostrzegła się, że to nie wypada.

— Ładnie tu u pani — powiedział, rozglądając się. — Znać, że ma pani zamiłowania estetyczne. Cóż to pani haftowała?

— To laufer na stolik.

Wziął robotę do ręki i uważnie jej się przyglądał:

— Cyklameny. Robi to pani z dużą wprawą. Piękny haft i temat szczęśliwie pomysłany. Czy pani sama sobie komponuje te rzeczy?

— Sama. O, jeżeli pan dyrektor łaskaw, proszę zobaczyć tam, ta poduszka z paprocią, to też sama sobie wymyśliłam.

Wstał i uważnie przyjrzał się poduszce.

— Ciekawa kompozycja — powiedział. — Ma pani talent w rękę.

— Ale ja jestem gapa — zaśmiała się. — Nudzę pana dyrektora babskimi fatalaszkami. Bardzo przepraszam! Pan na pewno pomyśli, że jestem okropnie niemądra!

— Bynajmniej, jest pani naturalna, a to duża zaleta. No, może teraz zjemy sobie czekoladkę?

Sam rozpakował pudełko i podał jej. Rozmowa przeszła na sprawę dobroci poszczególnych wyrobów cukierniczych, przy czym Marychna zauważyła, że pan Krzysztof istotnie lubi czekoladę. Jadł dużo i ze smakiem. Nieraz słyszała, że mężczyźni lubiący słodkie odznaczają się dobrocią charakteru. Czyż on nie był bardzo dobry? Przynajmniej dla niej? Jakiż dyrektor chciałby odwiedzić swoją sekretarkę podczas choroby? Żeby był stary i brzydki, no to zrozumiałe, ale taki jak on, na niego pewno setkami kobiety lecą. A jednak ona mu się podoba. Na pewno podoba. Po cóż by przychodził?...

Marychna wprawdzie miała dość duże powodzenie u mężczyzn. Na ulicy, w tramwaju czy w pociągu oglądali się za nią i robili do niej słodkie oczy. W nielicznym kółku znajomych nadskakiwał jej ten i ów. Raz nawet jeden student medyk wycalował ją w kącik. Nie opierała się zbyt, gdyż chciała spróbować, jak to smakuje, ale nie smakowało wcale. I powiedział jej wówczas, że nie jest rozbudzona. Idiota! Innym znowuż razem narzeczony

⁵²koligacja (z łac.) — pokrewieństwo. [przypis edytorski]

Zosi, jej przyrodniej siostry, po pijanemu zaczął Marychnę ścisnąć i całować, ale potem został jej tylko niedający się wyrazić wstręt. Miał usta sine i lepkie. Brr... Jakież piękne usta ma Krzysztof Dalcz... Muszą być takie soczyste, jak się to czyta w powieściach...

Rozglądał się po pokoju i powiedział:

— Nie ma pani tu żadnych fotografii.

— Nie mam, bo i czyje mam mieć? Ojczym się nie fotografuje, a więcej nikogo nie mam.

— Jak to, i nigdy nie kochała się pani? Nigdy w pani nikt się nie kochał, kto by zostawił na pamiątkę swoją podobiznę z czułym napisem?

— Nigdy — potrząsnęła głową.

— Dlaczego?

— Nie wiem... Może jestem... nierozbudzona...

Wybuchnął długim, nawet trochę nieprzyjemnym śmiechem. Widocznie powiedziała coś bardzo głupiego. Była na siebie wściekła. Głupia gęś! Co on teraz sobie o niej myśli! Mój Boże, że też jej wyrwało się coś tak niedorzecznego!

Śmiał się wciąż, a jej pod powiekami zaszklily się łzy. Żeby mogła teraz zapaść się pod ziemię! Wstydziła się wprost spojrzeć na niego, wstydziła się, że zauważy jej łzy. Zamknęła oczy i odwróciła głowę.

Przestał się śmiać i nic nie mówił. Jakiż on bezlitosny, jak znęca się nad nią. Pewno patrzy na jej policzki, po których płyną te nieszczęsne łzy, i uśmiecha się ironicznie... Co za tortura...

Nagle poczuła na twarzy łagodny, pieszczotliwy dotyk jego dłoni, miękkiej jak ak-samit, i aż oddech zaparło jej w piersi. Dłoń sunęła po mokrych policzkach taką ciepłą, serdeczną pieszczotą, odgarnęła włosy z czoła, głaskała spokojnymi, równomiernymi ruchami głowę i znowu policzki, i oto z drugiej strony twarzy poczuła drugą jego rękę i nagle na ustach lekki, ledwo odczuwalny pocałunek, potem mocniejszy, jeszcze bardziej mocny, aż rozchylający jej nieruchome wargi... Spadały na nią powoli, gorące, przenikliwe, niewypowiedziane dziwne... Leżała bez ruchu i tylko serce tłukło się nieprzytomnie. Nie wiedziała dlaczego, ale w tych pocałunkach było coś bardzo grzesznego, coś bardzo rozpustnego, czego nie umiała sobie przedstawić. Przecież nie uważała siebie za świętoszkę, od dawna marzyła o jego ustach, ale teraz poza rozkoszą, którą sprawiły te pocałunki, poza dreszczem, który przenikł⁵³ ją od dotyku tych gorących warg, było jeszcze coś, co stało na pograniczu między pragnieniem i odrazą... Chciała, by trwało to jak najdłużej, i ogarniał ją przemożny wstyd, nie przed nim, którego tak pożądała, lecz przed czymś, co można było porównać tylko do wstrętu, jaki wywołuje widok kalectwa.

Pocałunek, Wstyd

A on całował wolno, z przerwami, jakby po każdym pocałunku rozpamiętywał i badał jego smak... Pomału jego ręka zsunęła się po szyi, po ramieniu, aż do piersi i gładkie, długie palce pokryły jej wypukłość taką męczącą, taką rozkoszną pieszczotą...

Marychna podniosła powieki i ujrzała nad sobą bladą, ściągniętą twarz, rozdęte subtelne nozdrza i ogromne czarne oczy, w których paliła się ciekawość, tak, ciekawość, niezrozumiała, przerażająca ciekawość...

Krzyknęła cicho, szarpnęła się i zakryła twarz rękami.

On wyprostował się, wstał i odszedł do okna. Po dłuższej dopiero chwili odważyła się spojrzeć ku niemu. Stał tyłem, wpatrzony w czarną szybę, z głową wysoko podniesioną i z rękami w kieszeniach. W pokoiku panowała zupełna cisza, tylko z trzeciego piętra dolatywał odległy, przytłumiony, spokojny pogwar⁵⁴ fortepianu, powtarzającego gamy.

„Co teraz będzie?” — myślała Marychna. Czy powie jej, że ją kocha, czy ją przeprosi za chwilę zapomnienia? Mężczyźni z dobrego świata miewają chwile zapomnienia, jak to wiedziała z filmów, i zawsze później przepraszają... Jak on dziwnie na nią patrzył... A może obraził się za to, że mu się wyrwała? Rzeczywiście jest głupia, bo tak wyczekiwała takiego momentu, a gdy nadszedł, zachowała się jak gęś... Gdyby nie wstyd, zawołałaby go teraz najczulszymi słowami... Mój cudny, mój śliczny, mój kochany...

— Na imię ma pani Marychna — odezwał się, nie odwracając głowy. — Takie miękkie, takie kobiece imię. Pani jest bardzo kobieca...

⁵³przenikł — dziś popr. forma: przeniknął. [przypis edytorski]

⁵⁴pogwar — niewyraźny szmer głosów słyszanych z pewnej odległości. [przypis edytorski]

— Nie gniewa się pan na mnie? — wyszeptała cichutko.

Zbliżył się do łóżka i miał bardzo smutne oczy.

— Panie dyrektorze, ja tak nie chciałabym, żeby się pan na mnie gniewał. Przepraszam, bardzo przepraszam — wyciągnęła do niego ręce.

Wziął je, pocałował każdą i złożył w swoich niewiele większych, a takich pięknych, jakich jeszcze nigdy u nikogo nie widziała.

— Lubi mnie pani chociaż trochę? — zapytał z bladym uśmiechem.

— Ooo! — zawołała i całą postacią podała się ku niemu.

Otoczył jej plecy ramieniem, a ona rzuciła mu ręce na szyję.

Przez cieniutką koszulkę czuła na skórze mocny, a łagodny jego uścisk, na ustach, na oczach, na policzkach znowu te same pocałunki, dziwne, oszołamiające, a przecież mające w sobie coś, czego nie mogła nazwać odrazą, a co jednak opanowywała z trudem. Jej usta błędziły po jego twarzy gładko wygolonej, jak atlas miękkiej... po jego wargach mocnych, jędrnych i gorących...

Nagle cofnął się i stanął wyprostowany, wbijając w nią wzrok płonący i niezdolnie ciekawy. Oboje dyszeli głęboko, przyspieszonym rytmem.

— Panno Marychno — powiedział — nie warto, nie trzeba mnie lubić. Nie zasługuję na to. Proszę pamiętać, że powiedziałem to pani. Może... może na nic, poza współczuciem, nie zasługuję... Proszę pamiętać!

W jego głosie zabrzmiało coś jakby groźba i taki bezbrzeżny smutek, że Marychnie ścisnęło się serce:

— Ja pana kocham — szepnęła, zamykając oczy. — Ja pana bardzo kocham...

— Co pani powiedziała? — zapytał jakby z przestachem.

— Czyż pan nie wie, że ja pana kocham?! Czyż pan może tego nie widzieć?!

Chwycił ją za przegub i potrząsając nerwowo jej ręką, pytał przez zaciśnięte zęby:

— Kocha mnie pani? Kocha?... Nonsens! To niemożliwe! I pragnie mnie pani?... Co? Pożąda mnie pani? Chciałaby należeć do mnie? No, proszę, niechże pani odpowiada!

Milczała, drżąc na całym ciele. Przeraził ją jego ton, jego głos wysoki i świszczący, jego uniesienie.

Otrzeźwiło go jej milczenie. Przetarł dłonią czoło i powiedział już całkiem zwyczajnie:

— Niech pani mi daruje. Jestem dziś tak wyczerpany nerwowo... Widzi pani, pani jest jeszcze bardzo młoda, a trzeba mieć trochę wyrozumiałości dla ludzi... Nie należy wszystkiego brać dosłownie... Nie należy patrzeć na wszystko zbyt prosto... Różne przeżycia zostawiają czasem bolesne bruzdy w człowieku... Proszę nie żywić do mnie urazy, panno Marychno, czy dobrze?...

— Nie mam do pana żadnej urazy — zapewniła żarliwie i pomyślała, że kocha go jeszcze więcej, niż jej się zdawało.

— Więc zostajemy nadal dobrymi przyjaciółmi?

— O tak!

— Bardzo się cieszę. I niech pani zapomni o tych przykrych rzeczach. Dobrze? Bardzo proszę. No i czas na mnie. Strasznie długo nudziłem panią. Do widzenia, panno Marychno. Jeżeli jutro będzie się pani czuła zupełnie dobrze, miło mi będzie zobaczyć ją w fabryce. Do widzenia.

Pocałował ją w obie ręce i jeszcze od drzwi rzucił półgłosem.

— Proszę zapomnieć o wszystkim przykrym...

Marychna nie zapomniała. Nie mogła zapomnieć. Najdziwaczniejsze domysły nurtowały ją przez szereg następných dni. Może on jest potajemnie żonaty, a może ma narzeczoną, dlatego by mówił, że zasługuje tylko na współczucie, a niewart jest miłości?... Może porzucił gdzieś za granicą swoją żonę z dziećmi... A może cierpi na jakąś straszną chorobę?...

W każdym razie zamykał w sobie dręczącą tajemnicę, o której nikt nie wiedział, której nikt się nawet nie domyślał, a której rąbek przed nią tylko uchylił. Przed nią, bo i on do niej przecie coś czuje. Marychna nie ludziła się, że to jest z jego strony miłość, ale nie mogła wątpić, że jest tam serdeczna przyjaźń i sympatia. Sam powiedział, że trzeba mieć na świecie kogoś, dla kogo jest się dobrym, i nie ulegało kwestii, że tym kimś stała się dlań Marychna.

Z całego jego zachowania się wyraźnie to przeglądało. Teraz już przy innych nazywał ją „panną Marychną” i całował w rękę. Bardzo często odwoził ją do domu autem, kilka razy zabrał ją do cukierni na ciastka, a raz nawet do teatru i później na kolację do szykownego lokalu.

W fabryce mówiono już o nich tak głośno, że wreszcie musiało to dotrzeć i do uszu Marychny, a że dotarło w formie tak oburzającej i obraźliwej, zawdzięczała to własnemu roztargnieniu.

Mianowicie Biuro Kalkulacji często zaniedbywało dołączenia do biuletynów dziennych odpisów raportów z poszczególnych działów. Otóż pewnego dnia, pobieżnie przeglądając nadesłane papiery, Marychna nie zauważyła ich i poszła do szefa kalkulacji inżyniera Belnikowicza z pretensją o hamowanie jej pracy. Belnikowicz sprawdził rzecz i okazało się, że odpisy zostały przesłane. A że był to człowiek porywczy i żólciowiec⁵⁵, zemścił się na Marychnie, mówiąc:

— Pani zanadto zajęta jest osobą swego szefa i dlatego przegapia robotę.

— Jak pan śmie! — wybuchnęła Marychna.

— Co mam śmieć — wzruszył ramionami. — To pani się zapomina. Tu jest pani tylko urzędniczką, a mnie nie obowiązują żadne specjalne względy wobec każdej urzędniczki, która zostanie kochanką pana Dalcza.

Marychna rozplakała się i długo nie mogła się opanować. W takim stanie zastał ją też pan Krzysztof. Z początku nie chciała się przyznać do krzywdy, jaka ją spotkała, lecz w końcu opowiedziała mu wszystko. Wysłuchał spokojnie i bez słowa wyszedł. Myślała, że poszedł do Belnikowicza, i drżała z emocji. Okazało się jednak, że poszedł do pana Wilhelma Dalcza, z którym — jak zapewniał Holder — odbył burzliwą rozmowę. W wyniku tej rozmowy jeszcze przed upływem godziny inżynier Belnikowicz został zwolniony z fabryki.

Wiadomość o tym szybko się rozeszła i następstwem jej było, że odtąd jeszcze niżej kłaniano się pannie Jarszównie i jeszcze więcej mówiono o jej romansie z dyrektorem technicznym. Zdarzyły się nawet nad wyraz przykre dla Marychny wypadki, że różni pracownicy zwracali się do niej z prośbą o protekcję. Oczywiście, nigdy nawet nie wspominała o tym panu Krzysztofowi. Zresztą podczas godzin pracy widywali się teraz mało, a mówili wyłącznie o kwestiach fabrycznych. Poza biurem zaś nigdy nie było w ich rozmowach nic, co by dotyczyło fabryki. I same te rozmowy były dziwne. Właściwie polegały na tym, że on wypytywał ją o różne rzeczy, o jej młodość szkolną, o stosunki rodzinne, o wrażenia z nielicznych przeczytanych książek i licznych widzianych filmów. O sobie nigdy nie mówił, a sposób, w jaki przerywał rozmowę, ilekroć zaczynała pytać, onieśmielał ją do tego stopnia, że już do pytań nie wracała.

A przecież z biegiem dni, im dłużej go znała, wydawał się jej coraz bardziej tajemniczy, zamknięty w sobie i nieszczęśliwy, a tym samym interesujący. Pewnej niedzieli pojechała do Zielonki. Było to w dwa dni po owym skandalu z Belnikowiczem i oczywiście musiała ojczymowi opowiedzieć szczegółoly awantury. Na jej żale pan Ozierko pokiwał głową:

— Cóż chcesz? Ja tam wierzę ci, że między wami nic nie było, ale każdy inny na pewno pomyśli, że jesteś jego kochanką. Po cóż by przy tobie skakał? Jesteś młoda, ładna, on kawaler... Wszystkie pozory przeciw tobie.

— Ludzie są wstrętni i po samych sobie sądzą.

— A cóż? Inna rzecz, gdyby to był chłopak, co by się mógł z tobą ożenić — westchnął pan Ozierko. — Wówczas gadaliby, że narzeczony...

— A dlaczego nie mógłby naprawdę być moim narzeczonym! — zbuntowała się Marychna.

— Dlaczego? Żartujesz chyba? Toż to pan całą gębą. Burżuj. Milioner.

— I milionerzy się żenią — bez przekonania powiedziała Marychna.

— Ale z kim? Cóż ty sobie myślisz, że on takich dziewcząt, jak ty, mało miał? Ot, pobawi się, pobawi się i rzuci. Dlatego dobrze robisz, że do niczego takiego nie dopuszczasz. Ożeniłby się! Wielka dla niego partia⁵⁶. Twój ojciec był tylko ślusarzem, a ja kreślارzem

⁵⁵żólciowiec (daw.) — człowiek pełen żółci, zgryźliwy, złośliwy. [przypis edytorski]

⁵⁶partia — tu: dobra kandydatka do małżeństwa. [przypis edytorski]

w jego fabryce. Za niskie progi. I głowy sobie tym nie nabijaj, bo byłabyś głupia i na śmiech ludzki wystawiona. Zaleca się, niech się zaleca, a ty bądź dalej rozsądna.

Jednego tylko nie powiedziała Marychna ojczymowi: że już jej ten rozsądek dokuczyl. A dokuczyl tym bardziej, że skoro i tak wszyscy podejrzewają, to niech przynajmniej ona wie, za co cierpi. Niech się już stanie.

Tymczasem — nie stawało się. Krzysztof Dalcz wprawdzie spędzał z Marychną wiele czasu, nawet często ją odwiedzał, ale do pocałunków przychodziło rzadko, zaś ani o krok dalej on się nie posuwał. Marychna nieraz opracowywała sobie cały plan strategiczny, by go ośmielić, gdy jednak przychodziło co do czego, samej brakło śmiałości, gdyż on stawał się nagle ponury i rozdrażniony, czasami nieprzyjemnie ironiczny.

Pewnego razu na niejaką zmianę sytuacji wpłynął alkohol. Byli w kinie, a potem na kolacji. Krzysztof, który nigdy nie pił, tym razem sam zaproponował koniak, a później wino. Po kilku kieliszkach Marychnie zaczęło się kręcić w głowie i chociaż widziała, że on omija kolejkę, nie oponowała przeciw napełnianiu swego kieliszka. Gdy odwoził ją do domu, była mocno podchmielona, on, chociaż pił mniej, również miał trochę w czubie, jak zauważyła — dość że wbrew swemu zwyczajowi nie pożegnał jej w bramie, lecz wszedł na górę. W mieszkaniu już wszyscy spali. Ciepło pokoiku Marychny ogarnęło ich atmosferą intymną i podniecającą.

— Chce mi się całować i spać, i sama nie wiem, czego bardziej — przytuliła się doń Marychna.

Bez słowa obsypał ją pocałunkami.

— Panie Krzysztocie — szeptala — Krzysiu mój jedyny, mój najdroższy, czy nie gniewasz się na mnie, że tak do pana mówię... Ja tak cię strasznie kocham... Twoje usta są takie gorące... Mój ty najśliczniejszy... Ty mnie wcale nie chcesz... Ty mnie nie lubisz. Czemu mnie nie chcesz?... Powiedz, Krzychu, mój złoty... Czemu ty jesteś taki dziwny i taki inny niż wszyscy mężczyźni? Powiedz?... Całujesz mnie, a odnoszę wrażenie, jakbyś się mną brzydził...

— Cicho, cicho, mały głuptasku — całował ją zdyszany.

— Ale nie gniewa się pan na mnie? Ja doprawdy nie wiem, co mówię, tak mi się kręci w głowie... O mój Boże... Krzysiu, Krzysieńku... Upiłam się, po coś mi pozwolił pić... Kochany... Taka jestem senna...

— Chodź, ułożę cię do snu — powiedział przez zacisnięte zęby i pociągnął ją do łóżka.

Nie opierała mu się, gdy zdejmował z niej sukienkę, pantofelki, gdy drżącymi rękoma odpinał pas od podwiązek i zsuwał pończochy, głaszcząc jej skórę swoimi gorącymi, gładkimi jak atlas rękami...

Miała oczy zamknięte, a w głowie wir, szalony kołowrót i szum. Nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje, nie była też pewna tego, że to nie sen, że leży naga w objęciach Krzysztofa, że jego usta i dłonie okrywają ją całą gorącą chciwą piśczołą. Niemal nieświadomie wyciągnęła ręce i napotkawszy szorstki materiał jego ubrania, uprzytomniła sobie, że tak pragnęłaby przytulić się doń i że na przeszkodzie stoją te guziki kamizelki. Odruchowo zaczęła je odpinać, lecz już po chwili jego ręce zacisnęły jej palce mocno, obezwładniająco.

— Nie, nie — usłyszała — już czas spać, kochanie...

Później czuła, jak ją starannie otulał koldrą, jak lekkim pocałunkiem musnął jej usta, zdawało się jej, że skrzyknęły drzwi, i usnęła...

A nazajutrz znów było tak samo, jak zawsze. Ze zwykłym serdecznym uśmiechem wszedł do swego gabinetu, pocałował ją w rękę, zapytał, czy nie boli ją głowa, i zaczął dyktować.

Wieczorem, co już od dawna było ułożone, mieli iść na premierę do jednego z teatrów. Marychna nie tyle cieszyła się z pójścia na przedstawienie, ile z nowej sukienki, wyjątkowo ładnej, a zrobionej według rysunku Krzysztofa. Miała ją właśnie pierwszy raz włożyć.

O siódmej była gotowa i czekała na niego. Przyszedł wkrótce, lecz był w fabrycznym ubraniu, w którym, oczywiście, nie mógł iść do teatru. Wytłumaczył się tym, że ma dziś migrenę i że w ogóle fatalnie się czuje. Pójdą innym razem. Potem z wielkim zainteresowaniem oglądał ją w nowej sukni i orzekł, że jest zachwycająca, tylko koniecznie trzeba trochę, tak na półtora centymetra, wypuścić plisę w pasie. Poza tym zauważył, że

naszyjnik ze sztrasów⁵⁷ nie bardzo pasuje i że widział w pewnym sklepie coś, co będzie odpowiedniejsze.

— Widzisz, Marychno, że to może i lepiej odłożyć ten teatr. Zresztą przypomniałem sobie, że widziałem już tę sztukę w Berlinie. Jest to bardzo smutna rzecz. Jeżeli chcesz, mogę ci opowiedzieć?

— Jeżeli smutna, to po co? Wcale mi nie zależy na teatrze, byle pan... byleś ty był ze mną.

— Właśnie, posiedzimy sobie i pogadamy. Hm... jednak opowiem ci tę sztukę...

— Czy jest zajmująca?

— Bardzo, chociaż powtarzam, że smutna. Otóż był sobie taki młody przystojny chłopak. Nazywał się Kurt. I była młoda ładna dziewczyna, nazywała się Emma. Kochali się, pobrali się, lecz w miesiąc po ich ślubie wybuchła wojna i Kurt poszedł na front...

— To bardzo smutne — westchnęła Marychna.

— Stało się jeszcze gorzej. Kurt został ranny i po długiej kuracji wrócił do domu jako inwalida... Wybuch szrapnela⁵⁸ okaleczył go na całe życie... w ten sposób, że Kurt... przestał być mężczyzną... Rozumiesz?... Po dawnemu był ładnym dzielnym chłopcem, po dawnemu gorąco kochał Emmę, po dawnemu pragnął jej pieszczot, ale nie był mężczyzną... Rozumiesz?...

— Rozumiem — szepnęła Marychna.

— Kurt był trzeźwym chłopcem i doszedł do przekonania, że Emma nie może go więcej kochać, że on powinien usunąć się z jej drogi, że on jest dla niej ciężarem, że Emma go znienawidzi, że ma do niego wstręt...

— Ale ona chyba nie była taka podła! — wybuchnęła Marychna.

Krzysztof zbladł i zapytał drżącym głosem:

— Myślisz, że powinna go była nadal kochać?

— Ależ naturalnie!

— I że mogła go kochać?

— Dlaczegoż by nie? Naturalnie! Czyż miłość polega tylko na tych rzeczach? Byłaby bezwstydną, nędzną, podłą... Czy... czy ona?

Krzysztof odwrócił głowę i powiedział cicho:

— Ona tak samo myślała jak ty, Marychno... Ale on nie umiał w to uwierzyć i popełnił samobójstwo.

Marychna siedziała błada i cała drżąca, jej palce kurczowo się zaciskały, wreszcie nie wytrzymała i zerwawszy się, zaczęła powtarzać raz po raz:

— Głupiec, głupiec, okrutnik, głupiec!...

On siedział milczący i gryzł wargi. Od górnej lampy światło padało na jego nieco podniesioną twarz i na półprzymknięte powieki, z których długie piękne rzęsy rzucały cienie na smagłe o nieprawdopodobnej karnacji policzki... Marychna oparła się plecami o drzwi i patrzyła weń jak urzeczona, starając się przeniknąć jego myśli.

Wiedziała, że był w wojsku, pokazywał jej nawet swoją książeczkę wojskową, ale odbywał służbę podczas pokoju, zresztą pamiętała dobrze, że wypisana tam była kategoria „A”, zatem... zatem nie był kaleką... Więc dlaczego właśnie dziś i właśnie po wczorajszym opowiedział jej to, dlaczego opowiadał w taki dziwny sposób? Dlaczego od tak dawna mówił o tej premierze, a teraz nie chciał na nią iść? Co to wszystko może znaczyć?...

Nie, dłużej jego milczenia nie znieś, to jest ponad jej siły:

— Krzychu... — zaczęła i urwała, gdyż on nagle wstał.

— Muszę już iść — powiedział.

— Krzychu!

Spojrzał na nią jakby w roztargnieniu i wzruszył ramionami:

— Wiem, chcesz mnie zapytać, czy ta historia ma jakikolwiek związek z nami... ze mną?... Zupełnie nie. Słyszysz?... Absolutnie nie...

— Więc dlaczego?...

⁵⁷sztras a. stras — rodzaj szkła imitującego brylanty a. inne kosztowne kamienie szlachetne. [przypis edytorski]

⁵⁸szrapnel — pocisk artyleryjski wypełniony metalowymi kulkami a. strzałkami, rozpryskującymi się przy wybuchu; także: odłamek takiego pocisku. [przypis edytorski]

— Nie pytaj, Marychno. Chciałem tylko poznać twoje zdanie z... innych powodów. Jeżeli lubisz mnie, jeżeli mnie chociaż odrobinę kochasz... nie wracaj do tego tematu. Przyjdzie czas, że sam powiem ci wszystko... Dobrze, kochanie?

Miękko otoczył ją ramieniem i leciuchno pocałował w oczy.

— Dobrze, Krzychu, dobrze — tuliła się do niego ufnie.

Postanowiła sobie nawet nie myśleć o tym, jednak niemal przez całą noc nie mogła zmrużyć oka.

Z rana w tramwaju spotkała, jak zwykle, kilka osób z personelu technicznego, trzymających się zawsze od niej z daleka, i młodego chemika fabrycznego, inżyniera Ottmana, który, według plotek krążących po biurach, miał się w niej podkochać. Marychna nigdy jego smętnawych zalotów nie brała poważnie, na nadszkakiwanie odpowiadała nieszkodliwą kokieterią, lubiła go jednak przede wszystkim za to, że Ottman nigdy nie omijał sposobności, by z nią porozmawiać i powiedzieć jej kilka miłych komplementów. On jeden bodaj w całej fabryce nie zmienił do niej stosunku od czasu, gdy została sekretarką Krzysztofa, i po dawnemu uśmiechał się do niej swymi bardzo niebieskimi oczami.

Stali na pomoście i opowiadał jej właśnie z przejściem o jakimś fenomenalnym aparacie do doświadczeń, nabytym świeżo do laboratorium fabrycznego, gdy do tramwaju wskoczył sekretarz Holder.

— O, pan już do pracy? — zdziwiła się Marychna. — Cóż tak wcześniej?

Holder był nienaturalnie podniecony:

— Jak to — powiedział, nie witając się — to państwo nic nie wiecie?

— Bo co się stało? — pogodnie zapytał Ottman.

— Dyrektor Wilhelm Dalcz nie żyje!

— Jezus, Maria! Umarł?...

Holder obejrzał się, twarz mu się skrzywiła i zrobił niewyraźny ruch ręką:

— Podobno... naturalną śmiercią...

ROZDZIAŁ III

Od poczty w Kazeniskach do jakutowskiego dworu nie było więcej ponad cztery kilometry, ale zamieć zrobiła się taka, że stary Marciejonek, chociaż znał tu każde drzewo przydrożne i każdy kamień, nadłożył jeszcze dobrych dwa, zanim przez tumany śniegu dostrzegł pierwsze światła.

Zresztą we dworze tylko dwa okna były oświetlone, i to słabo, bo większą część szyb pozaklejano gazetami. Drzwi frontowego podjazdu od lat były nieczynne i zabite deskami, od kuchennej zaś sionki śnieg zawałił furtkę powyżej pasa tak, że posłaniec z trudem, klnąc i sapiąc, dotarł wreszcie do klamki. Drzwi nie były zamknięte. W sionce⁵⁹, gdzie wycie wiatru nie było już tak głośnie, dosłyszał dźwięki harmonii, na której ktoś w głębi domu wygrywał trepaka⁶⁰.

Marciejonek wszedł do ciemnej kuchni, nie śpiesząc się odwiązał baszłyk⁶¹, linkę, którą miał ściągnięty kozuch, otrząsnął się i wydobywszy z zanadru telegram, zastukał do drzwi, a nie usłyszawszy odpowiedzi, wszedł do pokoju, który dawniej, jeszcze za życia starych państwa Korniewickich, był kredensem⁶². Na podłodze leżało kilka połamanych krzeseł, jakieś rozbite garnki i butelki. Potykając się, dotarł do jadalni, zawałonej słomą i również ogołoconej od dawna z mebli. Zapach kiszzonej kapusty mieszał się tu ze stęchłym piwnicznym powietrzem.

Z sąsiedniego pokoju dolatywały zmieszane piskliwe głosy.

— Tfu! — splunął Marciejonek. — Wstydu przed ludźmi nie ma.

Bezcereemonialnie zastukał pięścią do drzwi. Chrapliwe dźwięki harmonii i piski umilkły nagle, natomiast rozległ się poirytowany głos:

— Kogo tam diabli przynieśli?

— Telegram.

— Co?

⁵⁹sionka — mała sien. [przypis edytorski]

⁶⁰trepak — ros. i ukr. taniec ludowy. [przypis edytorski]

⁶¹baszłyk — kaptur z filcu lub grubej tkaniny, z długimi końcami do wiązania wokół szyi lub pasa, noszony dawniej w Rosji. [przypis edytorski]

⁶²kredens (daw.) — pomieszczenie, w którym przechowywano zastawę stołową. [przypis edytorski]

— Mówię: telegram.

— No więc włącz, cymbale jeden!

Marciejonek, ociągając się, uchylił drzwi i powiedział:

— Ja tam nie mam po co wchodzić i na takie rzeczy patrzeć, żeby grzech na stare plecy brać.

W odpowiedzi usłyszał piskliwy śmiech i kilka głośnych przekleństw. Przez szparę ujrzał nieduży pokój oświetlony kopnącą naftową lampą, stół, gęsto zastawiony butelkami, i siedzące przy nim obie Paraszówny, te „bezwstydne dziwki”, o których sam proboszcz powiedział z ambony, że są zakałą całej okolicy i sięją zgorzenie. Z pokoju bił gorący zaduch piwa, wódki i cebuli.

— Idź, Wańka, i odbierz telegram — odezwał się z kąta gruby głos.

Po podłodze zastukały leniwie ciężkie buty i przed Marciejonkiem stanął Wańka, piętnastoletni wyrostek, ze swoją harmonią, przewieszoną na rzemieniu przez ramię. Oczy miał czerwone jak królik, twarz spoconą i błyszczącą.

— Dawajcie — zatoczył się, wyciągając rękę.

— Należy się złotówka — burknął Marciejonek i podał mu depeszę.

— Przeczytaj — warknął głos z kąta.

Chłopiec bezceremonialnie zsunął ze stołu kilka pustych butelek, rozłożył depeszę, zamyslił się i widocznie doszedłszy do przekonania, że harmonia będzie mu przeszkadzała w czytaniu, odstawił ją na okno. Chodząc, człapał ogromnymi buciskami, których cholewy sięgały mu prawie do połowy chudych ud.

— No, prędzej — zirytował się głos w kącie.

— Już, panoczku, już... „Jaśnie wielmożny pan Paweł Dalcz. Przyjeżdżaj natychmiast... Ojciec zmarł tragicznie...” Napisano „tragicznie”... co to znaczy?...

— Czytaj — huknął głos mężczyzny i jednocześnie zatrzeszczały sprężyny łóżka.

— „...Grozi ruina... Wszyscy potraciliśmy głowy... W tobie ratunek... Matka”. To i wszystko, panoczku.

— To niby czyj ojciec? — zapytała jedna z Paraszównien, ściągnając na plecach rozchełstaną bluzkę.

— O, głupia! Toż jego, Pawła — wzruszyła ramionami druga.

— Złotówka się należy — gniewliwie przypomniał się Marciejonek.

Tymczasem z posłania wstał sam gospodarz. Był tylko w koszuli i w kalesonach, wielki, barczysty, siedł z pochyloną głową, chwiejąc się i zataczając. Gdy głowa jego znalazła się w kręgu lampy, Marciejonek zobaczył porośniętą, od wielu dni niegoloną twarz, zmierzwione włosy i brudne ręce, w których trząsał się arkusik depeszy. Koszula też była brudna i w wielu miejscach podarta.

Podniósł głowę i usiłował skupić myśli. Jego brwi wykonały kilka ruchów.

— Wańka! — zawołał — biegnij do Lejby i powiedz, żeby pożyczył konia. Jeżeli nie zechce dać tobie, to niech sam mnie zawiezie na stację... Czekać... i żeby wziął dla mnie pięćdziesiąt złotych.

— On nie da — z rezygnacją zauważył Wańka.

— Musi dać! Powiedz mu, że mój ojciec zmarł i zostawił mi wielki spadek. Tak. I powiedz, że zgadzam się na ten ogród. Nawet i na trzy lata, jak on sam chce, byle dał pieniądze i byle pożyczył konia. Rozumiesz?

— Nie da...

— Nie twoja rzecz, ty parszywe szczenię! Marsz, a jak nie da, to tobie wszystkie zęby wybije! No, jazda!

Wańka, nie śpiesząc się, naciągnął połatany kożuch, nasunął na oczy czapkę i wyszedł.

— Złotówka się należy — chrząknął Marciejonek.

— Jaka złotówka? — przeciągnął się Paweł Dalcz.

— Za telegram.

— Będę ci winien.

— Niech pan da, ja jestem biedny człowiek. Taka zawieja, błędziłem...

— Dałbym ci, ale nie mam — zastanowił się. — Zresztą czekaj, przyda ci się to?

Zdjął ze ściany skórzaną torbę myśliwską i podał staremu.

— Pewno, że się przyda, dziękuję panu.

— O, jaki mądry! — zerwała się młodsza z dziewcząt. — Oddaj to! To warte z dziesięć złotych. Paweł, nie dawaj tego jemu!

— Odczep się, ty szantrapo⁶³ — odepchnął ją Marciejonek.

— Nie twoja rzecz! — krzyknął Dalcz. — Idź, przynieś mi wody. Muszę się umyć i ogolić. A ty, Saszka, poszukaj w szafie, czy nie znajdzie się jaka koszula, i te buciki trzeba oczyścić.

Posłaniec wyszedł, a dziewczęta w milczeniu zabrały się do spełniania poleceń. Paweł tymczasem robił przegląd garderoby. Jedyne ubranie, jakie mógł włożyć, było poplamione i nie miało guzików. Ten łajdak Wańka pewnie poobcinał. Ostatecznie można sobie poradzić agrafkami, i tak pod futrem nie będzie widać... Nagle przypomniał sobie, że wczoraj posłał Lejbie futro do zamiany na kozuch, zostawała tylko burka⁶⁴, bo przecie do Warszawy w kozuchu jechać niepodobna. I burka zresztą, stanowczo za lekka na taki mróz, wyglądała fatalnie. Na prawym rękawie widniała wielka dziura, którą wypalił sobie papierosem, gdy się upił w miasteczku...

— Sasza! — krzyknął — zobacz no tu, czy nie dałoby się jakoś załatać?

Po dłuższych oględzinach Saszka orzekła, że nie ma czym, bo „wypustów takich dużych nie najdziesz”.

Wreszcie jako tako garderoba została skompletowana. Umył się zimną jak lód wodą i to go nieco wytrzeźwiło, przynajmniej o tyle, że mógł się ogolić bez obawy pozacinięcia się. Pociąg z Worniszek odchodził o pierwszej w nocy, teraz zaś, jak zapewniała starsza Paraskówna, nie mogło być więcej, jak jedenasta. Zegarka już od dawna w domu nie było ani na lekarstwo.

„Jeżeli Lejba się nie zgodzi, sam pójdę do niego” — myślał Paweł. „Muszę być jutro w Warszawie”.

Jednakże nadspodziewanie Lejba się zgodził. Usłyszeli brzęk dzwonka jego sanek, a po chwili on sam zjawił się wraz z Wańką.

— No, Lejba — przywitał go Paweł — przywiozłeś pięćdziesiąt złotych?

— Po co wielmożnemu panu pięćdziesiąt? Bilet do Warszawy kosztuje tylko dwadzieścia siedem.

— Cóż ty sobie myślisz, że ja trzecią klasą pojedę?

— Jak kto nie ma nawet na trzecią... — zaśmiał się Żyd pojednawczo. — A czyż to wielmożny pan nie jeździł trzecią?

— Tak, ale teraz to co innego. Nie mówił ci Wańka? Spadek wielki otrzymałem.

— Daj Boże, na zdrowie... To tatunio umarł?

— Umarł. Całą fabrykę mnie zostawił. Rozumiesz? Wiesz, co to za firma „Bracia Dalcz i Spółka”?... Miliony...

— Co nie mam wiedzieć? Pewnie, że wiem. Wielmożnemu panu na parę lat starczy.

Paweł zaśmiał się:

— Myślisz, że nie na dłużej? Głupi jesteś.

— Daj Boże do śmierci.

— No, dawaj te pięćdziesiąt złotych, już chyba czas jechać.

Żyd sięgnął do kieszeni i położył na stole sześć pięciozłotowych monet.

— Przecie to tylko trzydzieści — udał zdziwienie Paweł.

— Więcej nie mogę, nie mam — cofnął się Lejba i zapiął kozuch.

Paweł Dalcz chciał coś powiedzieć, lecz machnął ręką i zgarnął pieniądze do kieszeni. Nałożył burkę, poklepał dziewczęta po policzkach, Wańce zapowiedział, żeby wszystkiego pilnował, i wyszedł do sanek.

Stara jasnokoścista szkapa z trudem ruszyła „rozwalenki”, niskie sanie, zasłane słomą, do połowy już przysypane śniegiem. Zadymka wzmogła się jeszcze bardziej, a mróz tężał. Toteż gdy dowlekli się na stację, Paweł był na kość zmarznięty, a że w nieopalonym budynku stacyjnym trudno się było rozgrzać, ucieszył się, gdy wkrótce nadszedł pociąg. W wagonie trzeciej klasy brudno było i ciasno, ale za to panowało tu rozkoszne ciepło.

Paweł z trudem znalazł siedzące miejsce między jakimś chłopem z twarzą owiniętą czerwoną kraciastą chustką a młodą i ładną Żydóweczką. Wcisnął się, wpakował ręce do

⁶³szantrapa (obelż.) — złośliwa, kłótniwa kobieta. [przypis edytorski]

⁶⁴burka — dawne wierzchnie okrycie z grubej tkaniny, rodzaj obszernej peleryny z kapturem, zwykle używanej podczas podróży. [przypis edytorski]

rękawów i pograżył się w rozważanie sytuacji. Przypomnił sobie słowa depezy: „ojciec zmarł tragicznie”... Oczywiście, albo zabili go robotnicy, albo sam popełnił samobójstwo... Raczej to, bo łączyłoby się z następnym zdaniem o grożącej ruinie... Ale po co matka w ogóle jego wzywała?... W jakim celu? Przecie nie po to, by asystował przy pogrzebie...

Pawła nigdy nie łączyła z ojcem przyjaźń. Od lat nie utrzymywali ze sobą żadnych stosunków. Od czasu gdy ojciec wypłacił mu jego część, w ogóle nie widzieli się. Paweł wyjechał do Paryża i siedział tam póty, aż stracił wszystko. Gdyby nie matka, która oddała mu swój folwarczek, po prostu zdechłby z głodu, zresztą i tak życie, jakie prowadził, nie za daleko odbiegało od zdychania, a w każdym razie od wegetacji.

Kiedyś, było to przed piętnastu laty, Paweł wprawdzie próbował współpracy z ojcem, lecz zrezygnował szybko, nie mogąc znieść tego, co na gorąco nazywał zazdrością o władzę, a teraz arbitralnością i skrupulanctwem⁶⁵. Skończyło się wówczas wielką burzą, w której z obu stron spiętrzone tyle wyrzutów i oskarżeń, że starczyło ich, by między ojcem a synem wzniesić barykadę nie do przebycia. Jako dwudziestodwuletni młodzieniec Paweł wyjechał natychmiast do Paryża z nienawiścią w sercu i z zawziętym postanowieniem zwycięstwa.

Jego młodą pierś wręcz rozsadał nadmiar inicjatywy, pomysłowości, energii. Wierzył, że zdobędzie świat, więcej, pewien był tego. Niemal natychmiast po przybyciu do Francji zorganizował wielki dom pośrednictwa, oparty na nieuprawianej jeszcze wówczas sprzedaży ratowej⁶⁶. Włożył w to cały kapitał, którym go rodzina spłaciła z udziału w fabryce. Było to jednak zbyt mało, a w porę nie zdołał zdobyć potrzebnych kredytów. Z bankructwa zdołał uratować kilkanaście zaledwie tysięcy, no i całą żywotność swego zmysłu do interesów. Przerzucał się z jednego pomysłu na drugi, usiłował zdobyć wspólników dla swoich rozległych planów. Ci podziwiali go, kręcili głowami i woleli nie ryzykować.

W ciągu trzech lat stracił wszystko. Najpierw ogarniała go rozpacz, później popadł w zupełną apatię, przez rok prawie nie wstając z łóżka i żyjąc na koszt przygodnej kochanki, której nawet imienia teraz przypomnieć sobie nie umiał. Zerwał wszelki kontakt z domem. Na listy matki przestał odpowiadać, a z rodzeństwem nigdy go nic nie łączyło. Kilka razy wzbierało w nim znowu pragnienie czynnego, mocnego życia. Wówczas zrywał się, zabierał się do realizacji wielkich interesów, olbrzymich projektów, które nigdy nie dochodziły do skutku. Paweł tłumaczył to pechem, inni po prostu fantastycznością zamierzeń.

O tym długim okresie życia Pawła nic nie wiedzano w Warszawie. Przed czterema laty matka odnalazła go pijanego do nieprzytomności w nędznym hoteliku portowym w Marsylii. Wówczas to zgodził się wrócić do kraju pod warunkiem, że mu matka odda swój posiadany⁶⁷ folwarczek. Jakże wiele sobie obiecywał po tym niewielkim skrawku ziemi, który miał się stać odskocznią wspinających planów, gruntem pod fantastyczne gmachy nienasyconych ambicji, a pod naciskiem szarej, potwornie leniwej rzeki codzienności zmienił się w barłóg zaszczutego zwierzęcia, w ostatni — zdawało się — etap wegetacji „byłego człowieka”...

I nagle ta depeza... Tragiczna śmierć... Grożąca ruina... Wzywają go... Miarowy rytm rozpędzonych kół... Wagon drży od pośpiechu... Więc jest jeszcze do czego się śpieszyć! Więc jeszcze nieprzegrana ostatnia stawka! Więc jeszcze raz zanurzy ramiona w gąszczu życia!... Czy warto?...

— Warto, warto, warto, warto — odpowiedziały rozpędzone koła.

Poczuł w piersi palący żar i sprężył ręce, aż zatrzeszczały stawy. Nie mógł wysiedzieć na miejscu. Wstał i wyszedł na korytarz. Za oknami szalała śnieżca. Tor będzie zasypany i pociąg utknie... Nie! Nie!... Nie namyślając się, otworzył okno i wychylił głowę. W twarz rozgrzaną uderzył mroźny wicher, głowę otoczył wir drobnych płatków śniegu. Pociąg właśnie wyginał się łukiem zakrętu, z lokomotywy rwał nabrzmiały luną iskier pióropusz dymu... Nie, nic go nie zatrzyma, nic nie zwolni tego pośpiechu! Zwycięsko zaryczał gwizd parowozu i Paweł zawtórował mu dzikim, nierozumnym krzykiem... Krzyczał w noc

Krzyk

⁶⁵skrupulanctwo — tu: nadmierna skrupulatność, drobiazgowość. [przypis edytorski]

⁶⁶ratowej — dziś popr.: ratalnej. [przypis edytorski]

⁶⁷posażny (daw.) — dotyczący posagu, tu: pochodzący z posagu. [przypis edytorski]

i pustkę, krzyczał siłą całych szerokich płuc, aż mu żyły na skroniach nabrzmiały, aż palce kurczowo wpiły się we framugę okna...

Jego powrót do przedziału obudził Żydóweczkę.

— Czy to były Suwałki? — zapytała, przecierając zaspane oczy.

— Nie.

— A pan cały mokry — zauważyła. — Wychodził pan na jakąś stację?

— Nie, otwierałem okno.

Ziewnęła szeroko, poprawiła kapelusik i zapytała:

— Pan pewno do Warszawy?

— Tak, a panienka?

— Ja też do Warszawy.

Przyjrzał się jej: była ładniutka i jeszcze bardzo młoda.

— Pewno do rodziny? — zapytał.

— Nie, szukać zarobku. W Warszawie podobno łatwiej. A pan za interesami?

— Dlaczego myśli panienka, że za interesami? Może też dla zarobku — powiedział żartobliwie.

— Tacy nie potrzebują zarobku — obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

— Jeżeli mają.

— Tacy nie mają zarobku i nie potrzebują. Oni mają dochody — zawyrokowała.

Paweł roześmiał się:

— Z czego panienka wnioskuje, czy z tej starej i dziurawej burki, czy z tego, że jadę trzecią klasą?

— Czy ja wiem? — wzruszyła ramionami. — Może pan przez oszczędność... Może przez ostrożność. Nie wygląda pan na takiego, co by musiał.

— Za wysoko mnie panienka taksuje⁶⁸. Więc na kogo ja wyglądam?

— Skąd ja mogę wiedzieć? Może ziemianin, a może kupiec, a może ktoś bardzo ważny?... Ale prawdziwego pana to zawsze można poznać, choćby i nie wiem jak się ubrał.

— Myli się panienka — pokiwał głową i umilkł.

Przypomniał sobie, ile razy w życiu spotykały go niepowodzenia z tej jedynie racji, że brakowało mu odpowiedniego ekwipunku. Wiedział, że będąc w dobrej formie miał powierzchowność wzbudzającą zaufanie, lecz by to zaufanie utrzymać, konieczna jest oprawa. Wyjeżdżając, nie pomyślał o tym, jak pokaże się w domu rodziców w takim stanie. Nie chodziło mu o matkę, która widziała go w jeszcze gorszym i o której zdanie nie dbał. Ale inni, całe to tak obce i prawie nieznanne rodzeństwo? Ten jakiś Jachimowski? Matka w swoim głupim snobizmie oczywiście ani wspomniała im nigdy o jego degrengoladzie⁶⁹ i o tak zwanym upadku. Im nie może się pokazać tak obdarty.

Wprawdzie nie przygotowywał sobie z góry żadnych planów, wiedział jednak, że powinien wyrzucić dodatnie wrażenie. Po dłuższym namyśle przyszedł do wniosku, że najlepiej będzie zajechać do jakiegoś małego hoteliku i tam wytelefonować⁷⁰ matkę. Ruina, nie ruina, ale przecież kilkaset złotych na ubranie i palto dla niego znajdzie. Zresztą od czego kredyt.

Pociąg przyszedł do Warszawy o ósmej z minutami. Paweł wypił na dworcu szklankę kawy i ruszył pieszo przez Pragę. W jakimś sklepiku mleczarskim zwrócił jego uwagę wywieszony w oknie napis: „Telefon czynny”. Zmienił zamiar i wszedł. W katalogu z łatwością odszukał numer i zadzwonił. Odezwał się służący, który powiedział, że jaśnie pani chora i do aparatu nie podchodzi.

— Proszę powiedzieć pani, że dzwoni syn.

— Syn?... To pan Zdzisław? Jakoś głosu nie poznaję... — ociągał się lokaj.

— Nie Zdzisław, cymbale, a Paweł.

— Bardzo przepraszam, ale to chyba pomyłka. Tu jest mieszkanie państwa Dalczów.

— Powiedz pani, że dzwoni pan Paweł. Czy długo mam jeszcze z tobą rozmawiać? — zawołał już poirytowanym głosem.

„Służba tu nawet nie wie o moim istnieniu” — pomyślał z jakąś złośliwą satysfakcją.

⁶⁸taksować — oceniać. [przypis edytorski]

⁶⁹degrengolada — upadek moralny lub materialny, stoczenie się. [przypis edytorski]

⁷⁰wytelefonować kogoś (daw.) — osiągnąć kogoś przez telefon, zatelefonować do kogoś. [przypis edytorski]

W tejże chwili usłyszał w telefonie głos matki: wybuchła potokiem egzaltowanej⁷¹ radości. Jaki on dobry, że przyjechał, jaki kochany, że nie zostawia ich w nieszczęściu. Co ona biedna zrobiłaby bez niego!

— Mamo — przerwał sucho — po pierwsze mów po angielsku czy po francusku. Po drugie jestem bez grosza i nie mam możliwego⁷² ubrania. Przyjść do ciebie nie mogę, bo nie chcę w tym stanie prezentować się całej tej twojej rodzinie ani służbie...

— Ależ ja jestem w domu sama, a służbę mogę wyprawić. Osobiście otworzę ci drzwi, tylko zaraz, błagam cię, przyjeżdżaj.

— Jak to sama? Przecie musi tam być tłok. Ciało chyba jeszcze jest w domu?

— Nie, na szczęście nie. Umarłabym ze strachu, przecie wiesz, jak bardzo trupów się boję. Zabrali do prosekatorium. Co za kompromitacja! Co za skandal! Nigdy mu tego nie daruję. Żeby człowiek w jego wieku mógł popełnić podobny nietakt i popełnić samobójstwo, i to w taki wstrętny sposób!...

— Ach, więc to samobójstwo?

— Tak, wyobraź sobie, powiesił się. Wyglądał strasznie!

— Zaraz przyjadę — powiedział Paweł i położył słuchawkę.

Drzwi otworzyła sama pani Józefina i rzuciła mu się na szyję. Odsunął ją dość łagodnie, ale stanowczo:

— Przede wszystkim usiądźmy gdzieś i pomówmy o ubraniu dla mnie. Widzisz, jak wyglądam.

— Jezus, Maria!... Trzeba zaraz do krawca, a tymczasem może byś się ubrał w któryś garnitur ojca, naturalnie jeżeli się nie brzydzisz, bo ja mam wręcz organiczny wstręt do wszystkich przedmiotów należących do zmarłych...

— Ja nie mam wstrętu i nie mam czasu na niepotrzebną paplaninę. Gdzie jest pokój ojca?

Zaprowadziła go do narożnego pokoju, lecz sama nie chciała wejść.

— Tu się powiesił, na tym haku... Okropne... — ścisnęła syna za ramię.

— A ubrania są w tej szafie? — zapytał obojętnie.

— Tak. I może byś się wykąpał? Sama przygotowuję ci łazienkę.

Paweł skinął głową i podczas gdy pani Józefina zajęła się kąpielą, wybrał sobie czarne wizytowe ubranie. Był tęższy od ojca, lecz jednakowy wzrost sprawiał to, że garnitur leżał prawie bez zarzutu. Stare ubranie zwinął w tłumok i zamknął w jednej z szuflad na klucz. Bez ceremonii wyjął czystą bieliznę i kołnierzyk. W niespełną godzinę wszedł do buduaru⁷³, gdzie oczekiwała go matka, wyświeżony i ubrany.

Pani Józefina wybuchła serią zachwyty nad jego wyglądem. Stanął przed lustrem i stwierdził, że istotnie jego powierzchowność niewiele pozostawia do życzenia. Wprawdzie tryb życia, jaki prowadził, nie pozostał bez śladu w jego rysach, wprawdzie zmarszczki koło szarych wyrazistych oczu i koło wąskich stanowczych ust układały się w nieuchwytny grymas szyderstwa, a gęste blond włosy mocno były przysypane siwizną, całość jednak wraz z wyprostowaną i sprężystą w ruchach postacią przedstawiała się poważnie, świeżo i energicznie.

— No, w porządku — usiadł i zapalił papierosa. — Teraz słucham.

Zaczęła opowiadać. Wszystko stało się tak niespodziewanie. Ojciec wrócił z fabryki o normalnej godzinie, zjadł obiad i zamknął się w swoim pokoju. Właśnie miała gości, więc zarówno ona, jak i Halina, nie mogły znaleźć czasu, by się ojcem zająć, zresztą któż by przypuszczał! Dopiero około pierwszej, gdy już wszyscy się rozeszli, służący zameldował jej, że stukał na próżno do pokoju pana i ma obawę, czy pan nie zasnął, gdyż wcale nie odpowiada. Wówczas otworzyli drzwi od gabinetu i znaleźli go wiszącego na sznurze od szlafroka. Natychmiast wezwali pogotowie, lecz lekarz mógł już tylko stwierdzić śmierć. Skandalu nie udało się ukryć, bo i służba widziała, i lekarz zawiadomił policję.

— Nie zostawił żadnego listu?

— Owszem. Zostawił na biurku pakiet zalakowany, adresowany do Karola. Na szczęście zdążyłam schować to przed przyjściem policji.

— Oczywiście nie odesłała mama tego stryjowi?

⁷¹egzaltowany — przesadnie wyrażający uczucia. [przypis edytorski]

⁷²możliwy (pot.) — możliwy do przyjęcia, wystarczająco dobry, nadający się do czegoś. [przypis edytorski]

⁷³buduar (z fr.) — pokój kobiety, służący głównie do odpoczynku. [przypis edytorski]

— Broń Boże! Któż może wiedzieć, co ten szaleniec tam napisał? Może testament, może nas wszystkich wydziedzicza na rzecz tego Krzysztofa? Mój drogi, człowiek popełniający samobójstwo w tym wieku i w takich warunkach musi być niespełna umysłu, bo tylko wyobraź sobie...

— Gdzie jest ten pakiet?... — przerwał Paweł.

— Mam go tu, w biurku — zerwała się pani Józefina. — Nikomu o nim nie wspominałam, bo byłam pewna, że przyjedziesz ty, mój najdroższy synku, i najlepiej będziesz wiedział, jak wszystko załatwić. Zdziś, sam wiesz, jest do niczego, a Hala pocziwa dziewczyna, ale o interesach pojęcia nie ma. Ludka zaś i jej mąż... nigdy do niego nie miałam zaufania. Zresztą oni wszyscy głowy potracili...

— Czy oni wiedzą, że mama po mnie depeszowała?

— Broń Boże.

— Zaraz, mamo, tylko dobrze nad tym się zastanów: czy oni, no i stryj, mogą przypuszczać, że ja byłam gdzieś za granicą?

— No, nie wiem — zawahała się. — Sądzę, że w ogóle nic o tobie nie wiedzą. Nie interesowali się tobą wcale.

Paweł wstał i zaczął chodzić po pokoju. Wodziła za nim oczami, starając się ze ściągniętych brwi wyczytać, jeżeli nie jego myśli, to przynajmniej wróżbę dla siebie i dla nich wszystkich. Ona jedna wierzyła wciąż w niego, a przecie sam fakt samobójstwa Wilhelma dość chyba wymownie świadczył, że są zrujnowani, że czeka ich nędza, może głód, a w każdym razie utrata pozycji towarzyskiej i społecznej. I jeżeli skąd można było oczekiwać ratunku, to tylko od Pawła.

— Sluchaj, mamo. — Zatrzymał się przed nią. — Przede wszystkim mój przyjazd był dla ciebie niespodzianką. Rozumiesz?... Nic o niczym nie wiedziałaś. Przypominasz sobie tylko, że w ostatnich czasach ojciec korespondował ze mną w jakiejś ważnej sprawie. Wysyłał listy do mnie za granicę. Rozumiesz?

— Jak to? — zdziwiła się pani Józefina.

— Postaraj się być pojętniejsza — powiedział z ironicznym naciskiem.

— Ach, rozumiem — ucieszyła się — mam im tak mówić!

— Właśnie. Możesz sobie nawet przypomnieć, że ojciec ostatnio był zdenerwowany tym, że nie przysyłał jakiegoś przedstawiciela, na którego on czeka. Rozumiesz?

— Tak, tak, ale po co to wszystko?

Paweł wzruszył ramionami:

— Po to, żeś chciała, zdaje się, bym spróbował cię ratować. Otóż... daj ten pakiet.

Otworzyła biureczko i podała mu dużą olakowaną kopertę. Obejrzał pieczęcie, były nienaruszone.

— Wcale nie zaglądałaś nawet? — zdziwił się.

— Po prostu bałam się.

— Hm... To dobrze. Nie wspominaj nikomu o istnieniu tej koperty. To jest konieczne. A teraz postaraj się, by mi nikt nie przeszkadzał. Muszę to przestudiować.

Kiwnął jej głową, wszedł do pokoju zmarłego i zamknął za sobą drzwi, przez które dobiegło go jeszcze pytanie matki:

— Czy w dalszym ciągu twój przyjazd ma pozostać tajemnicą?

— Nie. Wolałbym nawet, byś zawiadomiła o nim swoje kochane dzieci.

Usiadł i rozciął brzeg koperty. Wewnątrz pełno było papierów zapisanych masą cyfr i notat, a na samym wierzchu leżał list, zaczynający się od słów „Kochany Karolu”. Paweł zaczął czytać:

„Zdaję sobie sprawę, że moje samobójstwo będzie szkodliwe dla opinii firmy. Na pewno i Ty sam pomyślisz, że zdołałem ukryć przed tobą zbliżające się bankructwo, że popełniłem jakieś nadużycia, których nie zdołałem na czas wyrównać, i że nie pozostało mi nic innego, jak rozstać się z życiem. Otóż tak nie jest. Wszystko pozostawiam w pełnym porządku, fabryce żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Dla twojej orientacji załączam tu dokładne i wyczerpujące sprawozdanie o stanie interesów. Przyda się ono Krzysztofowi przy objęciu przezeń stanowiska naczelnego dyrektora. Dla niego też podaję osobno rodzaj instrukcji i moje opinie o niektórych pracownikach.

Jak widzisz, schodzę ze sceny w zupełnie uczciwy sposób. Po kilku tygodniach nasz świat handlowy i bankowy zorientuje się, że firmie nic nie grozi i że moje samobójstwo nie stoi w żadnym związku z jej sytuacją materialną. Nie zostawiam żadnych listów do Józefiny, do swoich dzieci czy do policji, bo przed nikim nie chcę i nie mam obowiązku tłumaczyć się ze swego kroku. Tobie jednak, Karolu, winienem wyjaśnienie.

Z zamiarem tym nosiłem się od dawna. Od dawna przekonałem się, że właściwie nic mnie z życiem, jakie prowadzę, nie łączy, nic nie wiąże. Przez jakiś czas chciałem pojmować je jako obowiązek względem mojej rodziny. Zbyt długo wszakże nie mogłem mieć tego złudzenia. Jestem im niepotrzebny, obcy, idealnie obojętny, z wyjątkiem tych wypadków, kiedy staję im na drodze swoją niedorzeczną przedwojenną etyką i swoim anachronicznym charakterem. Wówczas mnie nienawidzą tak, jak i ja ich nienawidzę, rozumiejąc, że przecież to oni mają rację, oni płyną z nurtem, a ja daleko zostałem poza naszymi czasami, poza dzisiejszym życiem. Próbowałem mu nadążyć i wówczas stawałem się sobie samemu wstrętny, zabłąkany, bezsilny. Nie potrafię dotrzymać tempa i nie potrafię pogodzić się z treścią dzisiejszego świata. Uważałem zawsze życie za teren polaryzacji wysiłków i dążeń ku pewnym celom. Dla współczesnego człowieka życie stało się celem samym w sobie. Miejsce idei i zasad zajęły idee i zasady «stosowane», jak jest «sztuka stosowana». Dogmaty, na których opierały się dawne pokolenia, zostały wyrzucone na strych, a nowych nie stworzono, bo byłyby tylko zawadą.

Nie umiem w tym wytrzymać dłużej. Współczesne życie nie daje mi swoich soków, które zresztą są dla mnie trucizną. Odpadam tedy od pnia, jak stara gałąź, skazana na zagładę w klimacie nowej epoki. Nie jestem pierwszy ni ostatni. Z naszego pokolenia w tenże sposób odeszło już wielu. Holtzer, Berengowski, Sornitowicz, Wajsbłum... Janusz Genwajn był dwunasty. Czas i na mnie.

Miałem jeszcze jeden obowiązek: obowiązek wobec pamięci naszego ojca i założonej przezeń firmy. Ten spełniłem. Po mojej śmierci poleć Krzysztofowi otworzyć kasę ogniotrwałą, stojącą w moim gabinecie fabrycznym. Są tam akty dotyczące pożyczki dwustu tysięcy dolarów, zaciągniętej przeze mnie bez Twojej wiedzy w banku »Lloyd and Bower« w Manchesterze. Termin ostatni płatności wypada za dwa miesiące. Otóż załączam tu pokwitowania za całą sumę. Spłaciłem wszystko do grosza. Zużyłem na to wszystko, co posiadałem, i wszystko, co stanowiło udział moich dzieci w firmie. Nie mam z tego powodu żadnych skrupułów. Wiem, że nie odbierzesz im utrzymania, jakie mają. Pensja Zdzisława powinna wystarczyć na to. Poza tym Józefina posiada kawałek ziemi na Kresach. Jeżeli chcesz, zajmij się nimi bliżej. Ja Ciebie jednak o to nie proszę. Żegnaj, Karolu, i wiedz, że odchodzę bez żalu.

Twój brat Wilhelm”

Paweł przeciągnął się i wyprostował. Na jego twarzy zjawiał się uśmiech. Oto miał, czego szukał, oto trzymał w ręku ratowniczą linę, która wydobędzie go z dna. Pod czaszką zakłębiły się myśli. Biegły każda jakby z innej strony, chaotyczne, chwiejne, nieuchwytne, lecz z błyskawiczną szybkością splatające się w mocne węzły sieci, w logiczną strukturę planu.

Nie widział go jeszcze w całej rozciągłości, lecz orientując się w doraźnej pozycji własnej z nieomylną pewnością, czuł, wyczuwał wielką perspektywę wspaniałej gry, do której przystępuje z nie byle jaką stawką i w pełni nienasyconej woli wygranej.

Z początku drgały mu nieco ręce, gdy przerzucał papiery i notatki. Gdy jednak odnalazł plik pokwitowań banku »Lloyd and Bower», uspokoił się zupełnie. Już całkiem na zimno przestudiował resztę materiału, sporządzonego istotnie z taką przejrzystością, że bez żadnego trudu zapoznał się z materialną sytuacją Zakładów Przemysłowych Braci

Dalcz i Spółki, z faktem, że jedynym właścicielem pozostał teraz młodszy z braci Dalczów, jego stryj Karol, no i jego spadkobierca, Krzysztof.

O stryju wiedział Paweł, że jest sparaliżowany i nie opuszcza łóżka, o Krzysztofie nic, poza faktem dziedziczenia przez niego dużych kapitałów, zapisanych przez nieboszczyka Wyzbora. Młodszego od siebie o lat dziesięć czy jedenaście brata stryjecznego widział zaledwie dwa czy też trzy razy w życiu, gdy tamten był jeszcze małym chłopcem.

Poza tym wchodziła w grę rodzina. Z matką, oczywiście, wcale nie potrzebuje się liczyć. Ta kobieta zastępuje się ślepo do jego życzeń. Halina nie orientuje się w niczym. Zdzisław jest głupcem. Pozostaje Ludwika i jej mąż, doktor Jachimowski, no i kuzyn Jachimowskiego, znany przemysłowiec naftowy, Wacław Gant. O Gancie wiedział Paweł, że siedzi w Drohobyczu i pilnuje swoich większych interesów, a administrowanie udziałami w fabryce Dalczów powierzył Jachimowskiemu. Z tym Paweł również mało się stykał. Był zaledwie wyrostkiem, gdy Jachimowski starał się o rękę Ludwiki, i pamiętał, że do małżeństwa doszło wbrew woli matki, która krzywiła się na pochodzenie i manieri galicyjskiego doktora, lecz nie umiała przezwyciężyć uporu córki. Jachimowski wówczas uchodził za człowieka sprytnego, obrotowego i mającego nos do interesów. Żeniąc się wniósł do firmy swój nieduży kapitał i wprowadził Ganta. Natomiast posagowe udziały Ludwiki pozostały nadal w zarządzie teścia, no i teraz równały się okrągłemu zeru.

Paweł starannie złożył wszystkie papiery i wsunął je do kieszeni. Zabrał się teraz do przeglądu szuflad biurka, lecz nic godnego uwagi tam nie znalazł. Właśnie otwierał ostatnią, gdy zapukała pani Józefina:

— Przepraszam cię, Pawełku, ale może byś zjadł śniadanie?

— Z przyjemnością — odpowiedział wesoło. — Jestem porządnie głodny.

— To chodź. Telefonowałam do fabryki i sprowadziłam Zdzisia. Będziecie się mogli naradzić, bo ja już zupełnie straciłam głowę.

— Cóż Zdzisław? — krzywo uśmiechnął się Paweł. — Bardzo był zachwycony moim przyjazdem?

— Dziwił się — wymijająco odpowiedziała pani Józefina.

— Tak?... Zdziwi się jeszcze bardziej, ja to matce gwarantuję. Ale mama, oczywiście, powiedziała mu, że przyjeżdżam z zagranicy? — zaniepokoił się.

— Naturalnie. Przecie wyraźnie mnie o to prosiłeś.

— I że byłem w ostatnich czasach w korespondencji z ojcem?...

— Tak, i to go wprawilo w największe zdumienie.

— Wybornie. Zatem gdzież to śniadanie?

W jadalni czekał Zdzisław, chodząc nerwowymi krokami dookoła stołu. Powierzchność jego świadczyła o przygnębieniu i niepokoju. Wchodzącego brata powitał spojrzeniem, jakim się patrzy na intruza, od którego należy w dodatku oczekiwać nieuzasadnionych pretensji, na marnotrawnego brata, który w najcięższym momencie zjawia się jako nowy ciężar.

Paweł doskonale to odczuł i dlatego, nie postąpiwszy ani kroku naprzód, z wręcz protekcyjnym gestem wyciągnął rękę i powiedział tonem niemal łaskawym:

— Jak się masz, Zdzisławie.

Nieco tym zaskoczony, Zdzisław zbliżył się niepewnie i uściśnął dłoń brata, bąknąwszy:

— Przyjechałeś?...

— Niestety, o dwa dni za późno. Nie przypuszczałem, że ojciec popełni ten krok, zanim nie zostaną wyzyskane wszystkie szanse ratunku.

— Przepraszam cię, jakiego ratunku?

— Jakiego? — Paweł obrzucił go lekceważącym spojrzeniem. — Więc nawet nie zadaliście tu sobie trudu, by dowiedzieć się, że ojciec stracił cały swój i wasz majątek?

— Boże! To niemożliwe! — chwycił się za głowę Zdzisław. — Zresztą skąd ty o tym wiesz! Skąd w ogóle możesz wiedzieć! Ojciec mógł popełnić samobójstwo z każdego innego powodu!...

— Oczywiście — uciął Paweł. — Na przykład miłość bez wzajemności. Mamo, każ podawać to śniadanie, bo doprawdy nie mam czasu. Muszę być w paru bankach i u stryja.

Pani Józefina nacisnęła guzik dzwonka, a Zdzisław chwycił brata za łokieć:

— Matka mówiła, że ojciec pisał do ciebie za granicę. No, przestańże być wreszcie z łaski swojej Pytią delficką⁷⁴! O co, u ciężkiego diabła, chodzi?! Ojciec grał na giełdzie czy co, bo już nic nie rozumiem?!

— Przede wszystkim uspokój się i jeżeli ci to różnicy nie robi, przestań gniesć mój łokieć. Z tego, co mówisz, widzę, że ojciec nie zostawił żadnego wyjaśnienia, a wy sami nie interesowaliście się stanem waszych interesów.

— Ależ, Pawle! Nie znałeś ojca czy co? — załamał ręce Zdzisław. — Przecie ten despota⁷⁵ nikomu nie pozwalał na kontrolę tego, co robi. Wszystko do ostatniej chwili tak zazdrośnie trzymał w ręku, że nikt, nawet stryj, nie wie, co się stało!

— Mówiłeś ze stryjem? — obojętnie zapytał Paweł.

— Mówiłem z tym jego Blumkiewiczem. Tam jest prawie panika.

— No, tam do paniki nie ma powodów.

— Czy przez to chcesz powiedzieć, że tu jest?...

Paweł spokojnie nałożył sobie szynki na talerz i spod oka spojrzął na brata:

— To zależy. Nie będę wszystkim poszczególnie opowiadał całej sprawy. Nie mam na to ani czasu, ani ochoty. Osobiście widzę jeszcze możliwość uratowania, jeżeli nie wszystkiego, to pewnej części waszego majątku. Przedstawię to sam, gdy się zbierzecie razem. Porozum się, proszę, z Halinką i z Ludwiką, by tu przyszły. Chciałbym też, by był obecny Jachimowski. On jeden, zdaje się, ma głowę w porządku. Musimy się naradzić.

— Ludka jest cierpiąca i nie wychodzi z domu — zauważyła pani Józefina. — Chyba zbierzemy się u nich?

— To obojętne, byle nie tracić czasu.

— Tak, tak — potwierdził Zdzisław i wybiegł z pokoju, by telefonować.

— Czy i ja będę wam potrzebna? — zapytała pani Józefina.

— Naturalnie. Niech mama nawet wcześniej pojedzie do Jachimowskich i powtórzy im to, o co mamę prosiłem: o moim pobycie za granicą, ściślej w Londynie, i korespondencji z ojcem.

— Pawełku kochany, czy naprawdę da się coś uratować z tej katastrofy?

— Jeżeli oni zechcą zastosować się do moich wskazówek, to możesz być spokojna.

W godzinę później jechał taksówką na Kolonię Staszica, gdzie jego szwagier Jachimowski miał swoją willę. W hallu⁷⁶ wyszedł na jego spotkanie chłopiec w sportowym ubraniu, mogący liczyć nie więcej niż lat szesnaście, lecz pozujący na dorosłego mężczyznę.

— Pan Paweł Dalcz? — zapytał. — Wuj pozwoli, że się przedstawię, Jan Jachimowski.

— Duży z ciebie chłopak — zdawkowo powiedział Paweł i poklepał go po ramieniu.

— Mama zaraz zejdzie. Babcia też jest u mamy, a tatuś telefonował, że zaraz przyjdzie razem z wujem Zdzisiem. Proszę, może wuj zapali papierosa? — Wskazał mu fotel i podsunął mosiężne pudelko z papierosami. — Wuj mieszka stale w Londynie?

— Nie. Mieszkam tam, gdzie mnie zatrzymują interesy. Ostatnio w Londynie.

— Nita w lecie wybierała się do Anglii. Na pewno będzie wuja zanudzała wypytywaniem.

— Nita? To twoja siostra?

— No tak — ze zdziwieniem potwierdził Janek.

— Mogłem zapomnieć — z uśmiechem usprawiedliwił się Paweł. — Gdy ją widziałem, uczyła się dopiero chodzić. Ma już chyba siedemnaście lat?

— Osiemnaście i nie tylko chodzi, lecz jest najlepszą lekkoatletką w biegach długodystansowych — odpowiedział nie bez przechwałki.

Na schodach ukazała się pokojówka:

— Pani prosi pana na górę.

W niedużym saloniku zastał matkę i siostrę, która, nie wstając, podała mu rękę i wytłumaczyła się zbolalym głosem:

⁷⁴*Pytia delficka* — kapłanka świątyni Apollina w Delfach w starożytnej Grecji, słynąca z niejasnych przepowiedni, które wygłaszała wśród dymów i oparów wydobywających się ze skalnej pieczary. [przypis edytorski]

⁷⁵*despota* — bezwzględny dyktator; człowiek wymagający absolutnego posłuszeństwa. [przypis edytorski]

⁷⁶*hall* — duży, reprezentacyjny korytarz. [przypis edytorski]

— Wybacz, Pawle, ale jestem cierpiąca. Jak ty jeszcze świetnie wyglądasz! Aż tryska z ciebie zdrowie.

— Ale strasznie posiwiiał — powiedziała pani Józefina.

— Gorączkowa praca na Zachodzie, interesy, giełda, wszystko, co może człowieka przyprawić o siwiznę — pokiwał głową i usiadł naprzeciw siostry.

— Daruj, Pawle, ale myślałam, że nie zajmujesz się żadnymi poważnymi sprawami. Do nas tu dochodziły z rzadka słuchy, że w ogóle nic nie robisz i że ci się źle powodzi.

— Masz rację. Przez kilka lat powodziło mi się nieszczególnie. A widzisz, Ludko, ludzie są tacy, że z czyichś niepowodzeń zawsze są gotowi robić im zarzuty, tak samo zresztą, jak z sukcesów zasługi. Dlatego tylko — zaśmiał się — nie popadam teraz w zarozumiałość, gdy mnie darzą zaufaniem i w każdym najniewinniejszym słowie dopatrują się mojej wielkiej mądrości.

Zapalił papierosa i założywszy nogę na nogę, dodał:

— Gdy dociągnę do miliona, uznają mnie za wyrocznię, gdybym zaś stracił wszystko, nazwą mnie niezdarą.

Zaległo milczenie i pani Ludwika przyglądała się mu z ciekawością:

— Więc teraz powodzi ci się dobrze? — zapytała.

— Komu się teraz dobrze wiedzie? — wzruszył ramionami. — Jestem i tak wdzięczny losowi, że udało mi się uniknąć tych strat, jakie spotkały większych ode mnie i bardziej doświadczonych bawelnarzy. No, kiedyż oni przyjdą? — Spojrzał na zegarek, który zabrał z szuflady ojca. — Tu, widzę, ludzie jeszcze nie nauczyli się cenić czasu.

— Zaraz będą — zaniepokoiła się pani Ludwika. — Może pozwolisz herbaty?

— Prosiłbym o kawę.

Zanim przyniesiono kawę, przyszli Jachimowski i Zdzisław. Jachimowski zmieszanie i niepokój maskował uprzejmością. Zdzisław był ponury. Wraz z kawą zjawiała się Halina. Wpadła na górę w futrze i w botach. Ona najserdeczniej powitała brata, chociaż on przywitał się z nią obojętnie, a nawet demonstracyjnie obtarł policzek, na którym jej pocałunek zostawił czerwoną plamę.

— Chwileczkę — trzepała Halina, oddając zwierzchnią garderobę służącej i poprawiając suknię przed lustrem — zaraz wam służę. Pawelku! wyglądasz imponująco. Wiesz, że to obrzydliwie z twojej strony przez tyle lat nie pokazać się nam... Już służę, tylko muszę jeszcze zatelefonować do krawcowej, bo mi tej nieszczęsnej żaloby na czas nie skończy. Wiesz, mam, zdecydowałam się na koronki. Przepraszam was...

— Halino — stanowczym głosem odezwał się Paweł — krawcowa może poczekać, a ja nie. Proszę cię, usiądź. Mam dokładnie dwadzieścia trzy minuty czasu.

— Zaraz — zerwał się Jachimowski. — Pozamykam drzwi.

Paweł chrząknął i podsunął swój fotel. Widział, że intuicja go nie zawiodła. Z min wszystkich obecnych przeziarało oczekiwanie wiadomości ważnych, groźnych, decydujących, których on jedynie mógł udzielić, a które zaważą na ich losie o tyle i w tym stopniu, w jakim jemu się spodoba. Czuł, że zapanował nad ich wyobraźnią, że zatem ma gotowy grunt do opanowania sytuacji.

Zaczął mówić. Krótkie, suche zdania przedstawiały stan rzeczy. Ojciec przed dwoma laty potajemnie zaciągnął w imieniu firmy pożyczkę w „Lloyd and Bower Banku” w Manchesterze w kwocie dwustu tysięcy dolarów. Nie miał do tego prawa. Transakcja też nie została przeprowadzona przez księgi. Ojciec sam osobiście przeprowadzał korespondencję i pertraktacje. Wszystkie akty dotyczące tej sprawy, przynajmniej według tego, co ojciec pisał do Pawła, znajdują się w kasie ogniotrwałej w gabinecie fabrycznym ojca.

— Niesłychane! — wybuchnął Jachimowski.

— Kto ma klucze od tej kasy? — zapytał Paweł.

— Są u mnie — uspokoiła go pani Józefina.

— To całe wasze szczęście — blade uśmiechnął się Paweł. — Otóż, jak się domyślicie, ojciec nie miał czym spłacić pożyczki, a termin się zbliżał. Zastawił udziały swoje, mamy, Zdzisława, Ludki i Haliny, by próbować szczęścia w spekulacjach giełdowych w Paryżu i Londynie. Nie miał w tym względzie żadnego doświadczenia, trafił do rąk nieuczciwych maklerów i przegrał. Wówczas sprzedał wasze udziały pod warunkiem, że fakt sprzedaży pozostanie tajemnicą do połowy lutego, to jest do dnia posiedzenia Zarządu.

— Ależ to zwykła kradzież! — zerwał się Zdzisław — to kryminał!

Bogactwo

— Nie przerywaj mi, proszę — chłodno odezwał się Paweł. — Otóż uzyskaną z tej powtórnej transakcji sumkę ojciec ponownie rzucił na giełdę i znowu stracił co do grosza. Ponieważ znajduję się w stosunkach z bankiem „Lloyd and Bower”, jak i większość bawelniarzy, przypadkowo dowiedziałem się, że obawiają się tam niedotrzymania terminu pożyczki, zaciągniętej przez firmę warszawską o takimż nazwisku, jak moje. Oczywiście natychmiast wiedziałem, o co chodzi. Wywiadownia handlowa dała znać bankowi, że pożyczka nie figuruje w księgach firmy, że zatem Wilhelm Dalcz popełnił nadużycie, że dalej prowadzi nieszczęśliwe spekulacje giełdowe i że stoi na progu ruiny, wobec czego bank zamierzał złożyć u prokuratora warszawskiego doniesienie.

— Straszne! — złożyła ręce pani Józefina, która tak była przejęta słowami syna, że wprost wyszła jej z pamięci świadomość dzisiejszego ranka.

— Wówczas — ciągnął Paweł — podjąłem się pośrednictwa. Na szczęście, jak już powiedziałem, właśnie z tym bankiem łączyły mnie stosunki, a co za tym idzie, miano tam do mnie tyle zaufania, popartego zresztą moim rachunkiem bieżącym, że na to się zgodzono. Dalibóg! — Paweł uśmiechnął się ironicznie. — Nie poczuwałem się do żadnego długu wdzięczności ani wobec ojca, ani wobec was, moi kochani... Nie daliście mi nigdy do tego jakichkolwiek powodów... Hm...

Powiódł wzrokiem po zasepionych twarzach.

— No, ale mniejsza o to. Napisałem do ojca. W odpowiedzi otrzymałem błagalny list. — Paweł zrobił gest, jakby chciał ten list z kieszeni wydobyć. — Lecz — ciągnął dalej — rzecz szła opornie. Zdołałem wreszcie uzyskać zaniechanie drogi karnej. Ojciec przysłał mi szczegółowe dane dotyczące sytuacji firmy. Otóż ta jest zupełnie zadowolająca, co zaraz wam przedstawię.

Teraz istotnie wydobyl z kieszeni plik arkusików, zapisanych znajomym dla wszystkich obecnych pismem pana Wilhelma. Zaczął odczytywać niektóre pozycje i komentarze, po czym, chowając papiery, dodał:

— Jak widzicie, firma pożyczkę spłacić może i stoi dobrze. Niestety, nic w niej nie pozostało waszego. Wszystko należy do stryja Karola i do Krzysztofa, nie licząc, oczywiście, udziałów Ganta i Jachimowskiego, które pozostały nienaruszone.

Zaległa cisza.

— Jesteśmy nędzarami — cicho odezwał się Zdzisław i odwrócił głowę, by ukryć łzy.

— I... i nie ma żadnego ratunku? — drżącym głosem zapytała Halina.

Paweł przez chwilę gryzł wargi w głębokim namyśle.

— Ojciec wiele zepsuł przez swoje samobójstwo — powiedział. — Ratunek jeszcze był możliwy. Doniosłem mianowicie ojcu, że bank skłania się do poglądu, że będzie mógł pod pewnymi warunkami prolongować⁷⁷ pożyczkę. Ostateczną odpowiedź miałem przywieźć sam przed dwoma dniami. Niestety, moje własne interesy zatrzymały mnie po drodze w Hamburgu o dwa dni dłużej. A nerwy ojca nie wytrzymały. Stało się...

— I kiedy należy oczekiwać skandalu? — zapytał Jachimowski.

— Jakiego skandalu?

— No przecież bank, dowiedziawszy się o samobójstwie...

— Ach, to chyba da się jakoś załatwić. Depeszowałem już do Manchesteru, a tu będę musiał porozumieć się ze stryjem. Sądzę, że obojdzie się bez skandalu.

— Ale cóż nam z tego! — rozpaczliwie jęknął Zdzisław.

— To zależy — powściągliwie zaznaczył Paweł.

— Więc mówże na litość boską, bo ja tu nic nie widzę!

— Macie jedną przewagę nad stryjem i nad Krzysztofem.

— Jaką przewagę?

— Tę, że wy wiecie, a oni nie.

Zapanowała cisza.

— Nie rozumiem cię, Pawle — spokojnie odezwała się Ludwika. — Co może nam przyjść z tego, że wiemy o tym wcześniej?

⁷⁷prolongować — przedłużać, przesunąć termin czegoś (np. spłaty długu) na późniejszy. [przypis edytorski]

— Oczywiście — podchwycił jej mąż. — Przecie otworzą kasę pancerną w gabinecie, przecie ten bank się odezwie, no i pan Karol będzie równie dobrze o wszystkim poinformowany, jak i my.

— Właśnie powinniście się postarać, by nie dowiedział się, by zostawiono wam jak najwięcej czasu do szukania ratunku.

— Jeżeli szukanie to coś pomoże.

— Ha, jeżeli wolicie z góry zrezygnować...

— Ale nie widzę sposobu w ogóle utrzymania rzeczy w tajemnicy — powiedziała Ludwika.

— Jest jeden sposób, tylko jeden — zrobił pauzę Paweł — mianowicie objęcie w firmie stanowiska naczelnego dyrektora.

Ponieważ wszyscy milczeli, a w tym milczeniu było jakieś rozczarowanie, Paweł ciągnął:

— Gdy jeden z was na krótki chociażby czas obejmie to stanowisko, w jego ręku znajdą się wszelkie sprawy, którymi różnie będzie mógł pokierować. Ze swej strony mogę obiecać, że przyczynię się do wszczęcia kwestii zwrotu pożyczki w taki sposób, że nie zostaniecie na lodzie.

— Tak... Widzę tu niejaki możliwości — pokiwał głową Jachimowski — i bardzo ci jesteśmy wdzięczni za twoją dobroć, ale, niestety, koncepcja jest nierealna.

— Dlaczego?

— Żadnemu z nas pan Karol nie odda naczelnej dyrekcji.

— Czy już ktoś ją objął?

— Nie. Ma objąć Krzysztof. Na razie panuje chaos i bezkrólewie.

Paweł uśmiechnął się:

— Są zawsze dwie drogi do otrzymania władzy: droga prawa i droga... uzurpacji⁷⁸.

— Jak to uzurpacji?

Zaczął im tłumaczyć. Sami mówią, że trwa jeszcze chaos i dezorientacja. Od dziesiątków lat wszyscy przywykli do władzy Wilhelma Dalcza i okaże się rzeczą naturalną, że po jego nagłej śmierci któreś z jego dzieci władzę tę odziedziczy przynajmniej na czas uporządkowania spraw, pozostawionych w nieładzie i w zagmatwaniu przez ojca. Można tu nawet posługiwać się górnolotnymi i patetycznymi słowami, jak rehabilitacja pamięci zmarłego, moralny obowiązek dzieci w uporządkowaniu jego pewnych zaniedbań. Stryj Karol nie będzie mógł tak przy otwartej jeszcze trumnie odmówić słuszności tym argumentom, zwłaszcza gdy objęcie władzy zostanie już dokonane i bez skandalu niepodobna będzie nowego dyrektora, a bądź co bądź członka rodziny, usunąć.

— Przemyslałem to nawet w drobnych szczegółach — z jakąś surowością w głosie mówił Paweł. — Przewiduję, że wszystko może przybrać stan pożądaný. Tylko jeden warunek nieodzowny: ten z was dwóch powinien zostać naczelnym dyrektorem, który cieszy się większą powagą, większym szacunkiem, którego *vox populi*⁷⁹, opinia wszystkich pracowników uzna za uprawnionego do objęcia tego stanowiska. Darujcie, ale przez tyle lat nie widziałem was obu, że nie orientuję się, który z was mocniejszą ma rękę, większy *mir*⁸⁰ u pracowników, większy głos u stryja i lepszą znajomość spraw fabrycznych. Powtarzam: musicie się zdecydować zaraz, bo tu nawet godzina odgrywa rolę. Z tym z was, którego desygnujecie, omówię rzecz szczegółowo i zapewniam, że z bliska wyglądać ona będzie łatwiej, niż się teraz wydaje. Naturalnie, jeżeli nie zamierzacie ratować swego majątku, to szkoda zachodu. Ze swej strony widzę wręcz obowiązek wasz wzięcia biegu rzeczy w *cugle*⁸¹, a i mnie na tym zależy, gdyż wówczas nie zostaną skompromitowani wobec manchesterskiego banku, no i otrzymam swoją prowizję. Radźcie zatem, byle szybko.

Wstał i odszedł w drugi kąt pokoju. Tu na stoliku rozłożył papiery, wyjął ołówek i zdawał się całkowicie pogrążony w pracy. Po chwilowej ciszy wśród zebranej rodziny zapanował gwar.

⁷⁸uzurpacja (z łac.) — bezprawne przywłaszczenie sobie władzy. [przypis edytorski]

⁷⁹vox populi (łac.: głos ludu) — głos ogółu. [przypis edytorski]

⁸⁰mir (daw.) — poważanie, szacunek. [przypis edytorski]

⁸¹wziąć w *cugle* — zapanować nad kimś a. czymś, ograniczając swobodę i zaprowadzając rygor, dyscyplinę; *cugle*: lejce, wodze do kierowania koniem. [przypis edytorski]

Paweł uważnie nasłuchiwał i żadne słowo nie uszło jego ucha. Był zadowolony z siebie. Pierwszy wielki atak przeprowadził z zimną krwią i z niezbędną ostrożnością. Oczywiście, miał ich teraz w ręku. Nie wątpił, że rezultatem tej bezradnej narady będzie to, co przewidział z całą ścisłością.

Ani Zdzisław, ani Jachimowski nie zdobędą się na przyjęcie na siebie wyznaczonej roli. Żaden z nich nie ma dość odwagi i dostatecznej dozy ryzyka w sobie. Są słabi i tchórzliwi. Pogardzał nimi, lecz nie mógł ich lekceważyć, przynajmniej póty, póki nie przestali być szczeblem, którego niepodobna było ominąć.

— No, moi drodzy! — zawołał. — Na mnie już czas. Cóżście postanowili?

Zapanowała cisza.

— Widzisz, kochany Pawle — odezwał się Jachimowski — mamy trudne zadanie...

Zaczął wyluszczać przeszkody, jakie stoją im obu na drodze do objęcia dyrekcji. Zdzisława niedawno wywieziono w taczkach, zresztą on nie zna się na całokształcie interesów fabrycznych, Jachimowskiego zaś nienawidzi pan Karol, ma sporo wrogów w administracji, zresztą dokuczają mu katar kiszek...

— Więc rezygnujecie?!...

— Hm... właśnie mówiliśmy... czy nie najlepiej byłoby, gdybyś ty, kochany Pawle, zważywszy, że...

Przerwał, gdyż Paweł Dalcz zachnął się, a jego rysy wyrażały zdumienie i jakby obrazę.

— O co państwu chodzi? — zapytał prawie drwiącym tonem.

Jachimowski chrząkając, zacierając ręce, jękając się i raz po raz zwracając się do żony, jakby szukał jej pomocy, zaczął wyjaśniać, że właściwie byłoby to jedyne i najlepsze wyjście z sytuacji, że Paweł najbardziej nadawałby się na objęcie tego stanowiska, że przecie zna dobrze stan rzeczy, że zresztą w jego ręku znajduje się sprawa pożyczki... No, a z drugiej strony, co to mu szkodzi? Inna rzecz on, Jachimowski, którego tu wszyscy znają, który ma w Warszawie różne interesy. Gdyby doszło do skandalu, straciłby opinię, podczas gdy Paweł może gwizdać na wszystko, bo jego sprawy nie zawadzają o Polskę, koncentrują się za granicą...

— Bardzo się mylisz — przerwał Paweł. — Dużo bawełny sprzedają do Łodzi. Poza tym przeprowadzenie tego planu wymagałoby pozostania w kraju na kilka miesięcy, a ja po prostu nie mam czasu. Zresztą uważam, że i tak zrobiłem dla was więcej, niż nakazywałby mi tak zwany dług wdzięczności. Z jakiej racji miałbym ponosić tyle pracy, ryzyka i wysiłku? Chyba sami rozumiecie, że do poświęceń z powodu uczuć rodzinnych nie jestem zbyt obowiązany?...

Lecz Jachimowski nie ustępował. Z pomocą przysłała mu Ludwika, nawet Zdzisław wydobył z siebie kilka argumentów: pensję dyrektorską i tantiemę⁸². Paweł bronił się coraz słabiej, gdy zaś Halina zarzuciła mu ręce na szyję, a pani Józefina całkiem na serio rozplakała się — ustąpił.

Ileż trudu kosztowało go, by teraz nie roześmiać się im w nos i nie powiedzieć, że oto zrobił z nimi, co chciał, że tak łatwo wystrychnął ich na dudków, że oto on, „zakąła rodziny” i „zmarowany człowiek spoza nawiasu towarzyskiego” — jak kiedyś sami o nim mówili — uważany jest za ich opatrzność, niemal za zbawcę.

Zdawał sobie dokładnie sprawę z wagi odniesionego zwycięstwa, z tej generalnej próby własnych sił i z konsekwencji, jakie nastąpić muszą po tym wspaniałym sukcesie, lecz o ileż większą sprawiał mu radość samo wygranie dobrze przygotowanej partii, partii przeciw ludziom, którzy przecie do niedawna patrzyli na niego z góry.

— Zdaje się — powiedział — że popełniłem duży błąd, ale słowo się rzekło. Zatem nie będziemy już trudzić pań, a was, panowie, poproszę na godzinę szóstą do mieszkania matki. Musimy omówić szczegóły.

— Nie jestem już potrzebna? — zerwała się wesoło Halina. — To świetnie. Muszę telefonować do krawcowej.

— Do widzenia — pocałował Paweł rękę matki. — O której mama każe być na obiedzie? Mnie najwygodniej byłoby o trzeciej. Mam teraz konferencje w dwóch bankach. Do widzenia.

⁸²tantiema — tu: udział w zyskach przedsiębiorstwa, wypłacany zarządzającemu jako dodatek do pensji. [przypis edytorski]

Nie czekając odpowiedzi, pożegnał się z wszystkimi i wyszedł.

W istocie musiał sprawić sobie garderobę. Paradowanie w przyciasnych ubraniach ojca i w jego futrze byłoby ryzykiem niepotrzebnym. Wziął taksówkę i kazał się zawieźć do jednego z najlepszych krawców, później do wielkiego sklepu kuśnierskiego⁸³. Stąd polecił odesłać sobie wspaniałe futro za cztery tysiące złotych. Wybrał najdroższe i najokazalsze, umówiwszy się, że odnoszącemu wręczy czek.

Wychodząc od kuśnierza zbadał zawartość kieszeni. Z pieniędzy wziętych od matki zostało jeszcze około trzystu złotych. Wstąpił do jubilera i kupił złoty pierścień z imponującym rozmiarami fałszywym brylantem.

O trzeciej był już w domu. Matka czekała nań z obiadem. Dwa niezajęte krzesła przy stole świadczyły o nieobecności Haliny i Zdzisława.

— Czy mama ma w jakim banku pieniądze? — zapytał, rozkładając serwetkę.

— Owszem. Nie wiem dokładnie ile, ale musi tam jeszcze być ze dwa tysiące.

— To dobrze. Poproszę mamę, by wypisała mi czek na okaziciela na cztery tysiące złotych.

— Ależ tam na pewno nie ma czterech — przestraszyła się pani Józefina. — A poza tym to... to wszystko, co mi zostało...

— To już moja rzecz, mamó, nie obawiaj się. A na czeku postaw datę o dwa tygodnie późniejszą. Do tego czasu znajdzie się pokrycie. No, cóż tam mówiło moje kochane rodzeństwo?

— Ach, wyobraź sobie, byłam oburzona. Ludwika wystąpiła z podejrzeniami.

— Więc jednak — zmarszczył brwi Paweł.

— Ona jest taka oschła, taka obrzydliwie merkantylna⁸⁴. Najpierw zaczęła powątpiewać o twoich interesach bawełnianych...

— No, tu miała nieco racji — zaśmiał się Paweł.

— Jak to? — nie zorientowała się pani Józefina.

— Mniejsza o to. Niech mama mówi dalej.

— Później radziła mężowi sprawdzić, czy cała historia o pożyczce nie jest twoim wymysłem!

— A cóż na to Jachimowski?

— Wyśmiał ją. Powiedział, że nie jest naiwnym dzieckiem, że na ludziach się, dzięki Bogu, zna i że dziwi się temu, że ciebie nie doceniali. No widzisz, mój kochany synku!

Patrzyła nań z rozczuleniem.

— I więcej nic nie mówił?

— Więcej?... Aha! Mówił, że nic łatwiejszego, jak sprawdzić twoje wiadomości. Jeżeli w kasie pancерnej znajdują się akty tej pożyczki, rzecz będzie jasna. Co zaś dotyczy udziałów, dowiadywał się u rejenta Skorkiewicza.

— Jednak?...

— Rejent odmówił jakichkolwiek informacji, ale ze sposobu, w jaki z nim rozmawiał, łatwo było można wywnioskować, że rzeczywiście ten stary szaleniec stracił wszystko.

— A cóż mój braciszek?

— Zdziś jest dobrej myśli i powiada, że do całej katastrofy na pewno by nie doszło, gdybyś ty wcześniej przyjechał i wejrzał w gospodarkę ojca. Nie masz pojęcia, co ten stary szaleniec wyprawiał. Po prostu dezorganizował mi cały dom...

Ocierając od czasu do czasu oczy, pani Józefina opowiadała o ostatnich latach swego pożycia z panem Wilhelmem, odludkiem, dziwakiem, wiecznie milczącym...

Paweł nie słuchał.

Monotonny głos matki nawet mu nie przeszkadzał w jego myślach. Treningu w tym względzie, jakże pożytecznego, nabrał podczas tych długich miesięcy, kiedy w zupełnej apatii leżał nieruchomo w łóżku i wprost nie zauważał, że do niego mówiono, że zaklinano najczulszymi słowami, że obsypywano obelgami. Liczył wówczas kwadraciki na tapetach, mnożył je, dzielił i tonął w doskonałej bezmyślności.

Wtedy właśnie nauczył się sztuki całkowitego wydzielenia się z otaczającej rzeczywistości i teraz równie dobrze, jak na paryskim poddaszu kwadraciki, jak w swoim folwarku

⁸³sklep kuśnierski — sklep z futrami i odzieżą skórzaną. [przypis edytorski]

⁸⁴merkantylny — kupiecki, nastawiony na korzyści materialne. [przypis edytorski]

muchy na suficie, mógł liczyć szanse szeroko zakrojonego planu, mnożyć ewentualności, przewidywaniami zapobiegać faktom, precyzyjnie analizować atuty przeciwników.

Zasiadł oto przy stole wielkiej gry. Zasiadł z niczym. Tak zdawałoby się tamtym, gdyby umieli zajrzeć w jego karty, gdyby mogli sprawdzić pustkę jego kieszeni.

Głupcy! Przychodził przecie z nagromadzonym latami pragnieniem wygranej, z potężnym kapitałem woli zwycięstwa, z kolosalnym zapasem niewyżytej energii, z umysłem równie chłodnym, jak żądza gry była w nim płomienna. Przychodził nieobciążony już żadnymi skrupułami, wolny od wszelkich serwitutów⁸⁵ moralnych, przychodził ze skarbem stokroć większym niż ten cień dwustu tysięcy dolarów, który wpadł mu w rękę, jak pierwsza szczęśliwa karta...

Po obiedzie zamknął się znowu w pokoju ojca i aż do przyścia brata i szwagra studiował papiery zmarłego.

Nazajutrz z rana miał być pogrzeb. Umówili się też w ten sposób, że wprost z cmentarza pojedą do fabryki i tam Jachimowski oraz Zdzisław sprowadzą do gabinetu ojca wszystkich kierowników biur i inżynierów, którym przedstawią Pawła jako tymczasowego następcę nieboszczyka naczelnego dyrektora. Stryj Karol zostanie postawiony wobec faktu dokonanego. Niewątpliwie dowie się o uzurpacji natychmiast, lecz, przykuty do łóżka i zdeorientowany samobójstwem brata, nie przedsięwzięmie od razu kroków wrogich. Zresztą tegoż popołudnia Paweł odwiedzi go i resztę już on bierze na siebie.

Pozostała kwestia ustosunkowania się do tych zdarzeń Krzysztofa.

— Jaki to jest człowiek i czego po nim można się spodziewać? — zapytał Paweł.

— Smarkacz — wzruszył ramionami Zdzisław.

— Żółtodziób?

— No, tak nie można powiedzieć — zastrzegł się Jachimowski — znam go bardzo mało. Jest jednak pewne, że jako inżynier nie należy do przeciętnych. Wprowadził sporo pożytecznych innowacji. Na przykład w obliczeniach akordu⁸⁶ przy obrabiarkach...

— Nie o to mi chodzi — przerwał Paweł. — Jaki człowiek? Mól, snob, zarozumialec, spryciarz czy fujara?

— Mało się udziela — rozłożył ręce Jachimowski. — Zresztą do administracji nigdy się nie wtrącał. No i nic dziwnego. Jest w fabryce dopiero od dwóch miesięcy. Robi wrażenie skrytego, zamkniętego w sobie. Nie pije, nie hula, zdaje się, że nigdzie nie bywa.

— A robotnicy lubią go?

— Raczej nie. On w ogóle jest jakiś dziwny.

— W jakim znaczeniu?

— Czy ja wiem. Trudno określić. Na przykład robi wrażenie mamusinego synka, takiego grzeczniutkiego, rozumiesz, wylizanego, dobrze wychowanego i skromnego, a ma pasję używania najordynarniejszych słów i wymyślania od takich synów na przykład. Przy tym ma głos taki cichy... Nie lubię go.

— To niewiele — skrzywił się Paweł. — A nic nie wiecie o jego prywatnym życiu?

— Jakże! — zawołał Zdzisław. — Jarszówna!

— Co za Jarszówna?

— Ma kochankę. To nawet skandal, rzecz prawie jawna.

— Pomału. Więc nazywa się Jarszówna i co to za typ?

— Stenotypistka. Pracowała u nas od dawna w sekretariacie. Wziął ją na swoją sekretarkę, no i żyje z nią. Nawet ładna dziewczyna.

— A skąd wiecie, że jest jego kochanką?

— To powszechnie wiadomo. Zresztą on wcale się z tym nie ukrywa. Odwozi ją do domu swoim autem.

— Widzieli ich razem w kinie — dorzucił Jachimowski.

— A przez kogo, jeżeli nie przez nią, wylał ojciec szefa kalkulacji? Ten bąknął jej coś o jej najdroższym i w godzinę nie było go już w fabryce. To pewne. Nawet wywołuje oburzenie, bo wcale się nie ukrywa ze swymi amatorami. Traktuje ją demonstracyjnie jak wielką damę.

⁸⁵serwitut (z łac.) — przen. powinność, zobowiązanie. [przypis edytorski]

⁸⁶akord — tu: norma pracy, od której zależy wysokość wynagrodzenia pracownika. [przypis edytorski]

— Więc sentymentalny i „damski kawaler”?... No dobrze. Jutro oczywiście spotkam go na pogrzebie. Wówczas postaram się poznać go lepiej.

— Czy z jego strony spodziewasz się największych trudności?

— Sądzę — odpowiedział krótko Paweł.

Jednak nie stało się tak, jak przypuszczał.

Na pogrzebie wprawdzie Krzysztof był obecny, lecz przez cały czas towarzyszył swojej matce. Ponieważ zaś Paweł prowadził pod rękę swoją, a obie bratowe nie witały się ze sobą, Paweł znalazł tylko krótki moment, w którym podszedł do stryjenki i do Krzysztofa, by się przywitać. Stryjenka była zapłakana i milcząca, Krzysztof zaś zamienił z nim tylko kilka słów zdawkowej uprzejmości, z których oczywiście nic wywnioskować nie było można.

Jednak Paweł zdążył przyjrzeć się stryjecznemu bratu. I na nim ten poważny młodzieniec, niewyglądający na swoje lata, sprawił raczej przykre wrażenie. Gdy podczas mów pogrzebowych stali tak naprzeciw siebie po obu stronach otwartego grobu rodziny Dalczów, Paweł wbił wzrok w oczy swego przeciwnika i starał się z nich wyczytać, jakie w nim tkwią siły, jaki spryt, jaka inteligencja?

Krzysztof nie mógł widocznie znieść tego spojrzenia, gdyż odwrócił głowę, a nawet jakby się zaczerwienił.

„Czyżby już coś przypuszczał?...” — pomyślał Paweł.

Wprost z cmentarza Paweł, Jachimowski i Zdzisław pojechali do fabryki.

Warsztaty były w pełnym ruchu, ale w biurach pozostało zaledwie kilka osób: wszyscy urzędnicy i inżynierowie brali udział w pogrzebie i nie zdążyli jeszcze wrócić tramwajami.

Jachimowski kazał woźnemu otworzyć gabinet nieboszczyka. Weszli.

Panował tu wzorowy porządek. Wszystkie przedmioty na biurku pozostały na tym miejscu, na jakim umieściła je pedantyczna dłoń pana Wilhelma.

W kącie stała niewielka kasa ogniotrwała. Paweł wyjął z kieszeni klucze i otworzył ją.

Wewnątrz, systematycznie poukładane, leżały grube teczki. Nie było ich wiele i trzecia z kolei okazała się tą, której szukali.

Paweł położył ją na biurku i zajmwszy fotel ojca, wskazał szwagrowi i bratu miejsce takim głosem, jakby już był ich zwierzchnikiem. Oni jednak nie zwrócili na to uwagi. Zbyt przejęci byli zawartością teczki i Jachimowski nawet sięgnął po nią.

— Za pozwoleniem — bezceremonialnie odsunął jego rękę Paweł. — Nie mamy powodu wyrywać sobie papierów z rąk.

Wyjął pierwszy arkusz i rzuciwszy nań okiem przekonał się, że jest to umowa pożyczkowa. Uważnie przeglądał każdy arkusz, zanim podał Jachimowskiemu. Obawiał się, że i tu mogą być jakieś ślady dokonanych już spłat. Na szczęście poza kilku listami, mówiącymi ogólnikowo o warunkach regulowania rat, w teczce nie znajdowało się nic, co by zdradzało tajemnicę pośmiertnej koperty ojca.

— Rzecz nie ulega żadnej wątpliwości — westchnął Jachimowski, odkładając ostatni papier.

— A w czyich rękach są udziały? — zapytał Zdzisław.

Paweł uśmiechnął się z takim wyrazem twarzy, jakby to dobrze wiedział:

— Na to mamy czas — rzucił od niechcenia.

W istocie obiecywał sobie wiele po pozostałych w kasie teczkach. Jeżeli zaś tam nie znajdzie wskazówek, pozostanie jeszcze zwrócenie się do którejś z wywiadowni handlowych. W każdym razie wiedział, że odszukanie nabywców jest możliwe.

Z kolei Jachimowski i Zdzisław przystąpili do dalszego punktu ułożonego planu. W przyległej do gabinetu sali posiedzeń rozlegały się przyciszzone rozmowy, a później, w miarę przybywania ludzi, głośny gwar: szefowie działów zbierali się na audiencję.

Paweł zamknął kasę i stanął tuż przy drzwiach, starając się z ogólnego hałasu wyłowić poszczególne słowa, jakie zilustrowałyby mu nastrój zebranych, przed którymi zaraz stanie i których musi zdobyć. Widzieli go już na pogrzebie ponurego, skupionego... Teraz należy przedstawić się im, jako człowiek czynu... Tak, tak... Zresztą zobaczy, wyczuje temperaturę i do tego zastosuje swoje słowa i sposób zachowania się.

— Już są! — wpadł drzwiami od korytarza Zdzisław. — Mam tremę, do licha, przecie to zamach stanu! Co za szczęście, że Krzysztof pojechał do domu!

— Otwórz te drzwi — spokojnie powiedział Paweł.

Zdzisław przekręcił klucz w zamku i szeroko otworzył drzwi niemal lokajskim ruchem. W sali momentalnie zaległa cisza. Paweł wyczekał dobrą chwilę i wszedł energicznym krokiem z głową wysoko podniesioną. Za nim wsunął się Zdzisław i ulokował się tuż obok Jachimowskiego za plecami brata. Stali tak przed zebranymi jak wódz i jego adiutanci przed frontem. Tak właśnie było ułożone.

— Panowie — zaczął Paweł — większość z was nie zna mnie. Jestem Paweł Dalcz. Prosiłem was tu, panowie, by przede wszystkim w imieniu rodziny i firmy złożyć wam serdeczne podziękowanie za cześć oddaną pamięci zmarłego i za wyrazy współczucia, którymi pragnęliście przynieść ulgę naszemu cierpieniu. Cenimy je i oceniamy tak wysoko, jak wysoko oceniał mój zmarły ojciec przyjaźń panów i przywiązanie ich do naszego warsztatu pracy. Warsztat ten ma swoje tradycje uświęcone przez wieloletnie kierownictwo zmarłego. Polegały one zawsze na uczciwym, serdecznym i szczerym stosunku wzajemnym. Wezwany przez ojca niestety nie zdążyłem przybyć w porę z zagranicy, by z jego własnych ust usłyszeć testament jego woli. W każdym razie zapewniam panów, że wykonany zostanie ściśle. W tym względzie gwarantuję panom pełnię mego zaufania i proszę was o takież w stosunku do mnie. Nie na długo obejmuję kierownictwo Zakładów. Moje osobiste interesy odwołują mnie z powrotem do Anglii. Zgodnie jednak z życzeniem zmarłego zajmuję jego miejsce, by uporządkować niektóre sprawy, jakich świętej pamięci mój ojciec ze względu na swój wiek i na fatalny stan nerwowy nie zdążył uregulować. Do tych należy między innymi sprawa zaległych premii i gratyfikacji⁸⁷. Zaległość ta nie wypływała z winy firmy, lecz z racji całkiem prywatnych interesów mego ojca, co podkreślam na jego wyraźne żądanie. Otóż wszystkie te zaległości zostaną wypłacone w ciągu sześciu tygodni. Panowie! W związku z tragiczną śmiercią mego ojca rozeszła się po mieście pogłoska o rzekomo zachwianych finansach firmy i o rzekomej ruinie rodziny mego ojca. Pogłoska ta jest z gruntu fałszywa, a wielce krzywdząca. Zapewniam panów moim słowem, że nie posiada ona żadnych, bodaj najmniejszych podstaw. Wprost przeciwnie, przygotowane są plany dalszej rozbudowy i rozszerzenia Zakładów, o czym wkrótce już będę z panami mówił. Na razie proszę ich o stanowcze dementowanie⁸⁸ kłamliwych plotek, co leży we wspólnym interesie naszym. Wprawdzie zmarły przechodził w ostatnich czasach niejake trudności płatnicze, lecz te już przestały istnieć, a przyczyną jego tragicznej śmierci nie były. Oto, panowie, wszystko, co miałem do powiedzenia. Na zakończenie jeszcze raz serdecznie was proszę, jako w większości starych i wypróbowanych współpracowników naszego warsztatu, o ułatwienie mego zadania szczerym i ufnym stosunkiem do mnie, co mi będzie najcenniejszą nagrodą za moje wysiłki.

Skłonił głowę i wyciągnął dłoń do najbliższej stojącego inżyniera Kamińskiego, do sekretarza Holdera, do drugiego, trzeciego, czwartego... Po kolei ścisnął mocno ich ręce, a oni, z szacunkiem odwzajemniając uścisk, wymieniali swoje nazwiska. Przy niektórych, jakie zapamiętał z notatek ojca, odzywał się kilku ciepłymi słowami, świadczącymi, że wie od zmarłego, czym się wyróżniają i jakie mają zasługi dla firmy.

Ze sposobu, w jaki nań patrzyli i w jaki podawali mu rękę, łatwo mógł wywnioskować, że jego przemówienie trafiło im do przekonania, że przyjęli je zyczliwie, słowem, że wywarł dodatnie, może więcej niż dodatnie wrażenie.

Już podczas pierwszych słów swej improwizowanej mowy zauważył uchylenie się drzwi i dostrzegł nieśmiało wsuwającego się Blumkiewicza, totumfackiego⁸⁹ pana Karola.

Oczywiście przyszedł tu na przeszeptanie; nie należało mu pozwolić odejść, zanim w odpowiedni sposób nie urobi się jego relacji. Właśnie teraz uważnie obserwujący go Paweł spostrzegł za plecami innych manewry Blumkiewicza, próbującego dotrzeć niepostrzeżenie do drzwi. Paweł zrobił w bok trzy kroki i zaszedł mu drogę:

— A, pan Blumkiewicz — powiedział swobodnie. — Witam pana. Zechce pan chwilę zaczekać. Mam z panem do pomówienia.

— Najmocniej przepraszam — skurczył się Blumkiewicz — wszedłem tu naprawdę przypadkowo, no i zostałem, bo nie chciałem swoim wyjściem przerywać pańskiej mowy... pańskiej pięknej mowy... Ale teraz śpieszę się bardzo, pan prezes mnie oczekuje...

⁸⁷gratyfikacja — dodatkowe, jednorazowe wynagrodzenie okolicznościowe a. nagroda za specjalne zasługi. [przypis edytorski]

⁸⁸dementować (z fr. *démentir*) — oficjalnie zaprzeczać prawdziwości jakiejś informacji. [przypis edytorski]

⁸⁹totumfacki — osoba zaufana i wypełniająca bez sprzeciwu wszelkie polecenia. [przypis edytorski]

— Bardzo mi było przyjemnie, a co do pośpiechu, nie zatrzymam pana, panie Blumkiewicz, na długo. Proszę — bezapelacyjnym gestem wskazał mu drzwi gabinetu — pan wejdzie.

W ciągu minuty pożegnał się z resztą zebranych, a gdy został w sali sam z bratem i z Jachimowskim, zapytał:

— No i co?

— Nieporównanie! — szepnął Zdzisław.

— Aleś ich wziął — cicho zaśmiał się Jachimowski.

— Nie wyglądało to na bezprawie?

— Cóż znowu. Gadałeś tak, jakbyś był niewątpliwym właścicielem fabryki.

— Tylko, psiakrew, ten Blumkiewicz! — zaklął Zdzisław.

— Co za niedopatrzanie. Wszędzie potrafi się wcisnąć, ale Józefa zwymyślał jak psa, że go wpuścił — irytował się Jachimowski.

— Nic nie szkodzi — wzruszył ramionami Paweł — pogadam z nim. Bądźcie wieczorem u matki. Do widzenia.

Paweł wiedział, że Blumkiewicz jest twardą i sprytną sztuką. Toteż bynajmniej nie lekcewał rozmowy z nim. Miał początkowo inne plany, inaczej zamierzał zabrać się do stryja Karola, teraz jednak, skoro jego szpicel słyszał na własne uszy tę „mowę tronową”, należało zmienić taktykę.

Toteż wszedł do gabinetu z miną posepną i ze skulonymi ramionami. Blumkiewicz wstał z krzesła i dość bezczelnym wzrokiem przyglądał mu się badawczo.

— Jest pan zdziwiony, panie Blumkiewicz? — rzucił Paweł ze smutnym uśmiechem.

— Zdziwiony... nie... Nie spodziewałem się, że pan prezes mianuje pana naczelnym dyrektorem...

— Nie wiedział pan w ogóle, że przyjechałem?

— O, o tym nietrudno wiedzieć. Gdy tylko pan Zdzisław coś wie, to zaraz wiedzą i inni... Nawet tacy, przed którymi ma być zachowana tajemnica.

Paweł zaśmiał się krótko:

— Ma pan rację. Mój braciszek nie odznacza się wstrzemięźliwością języka. Ale tu nie było żadnej tajemnicy.

— Jednak pan prezes...

— Tak. Nie zawiadaniałem stryja Karola wczoraj, gdyż byłem zmęczony po długiej podróży. Dziś jednak muszę się z nim widzieć i wytłumaczyć ten rodzaj samowoli, jakiej musiałem się dopuścić.

— Rodzaj?! — ironicznie zapytał Blumkiewicz.

Paweł udał, że tego nie słyszy. Oparł głowę na rękę i przetarł czoło:

— Bóg jeden widzi, jak mnie to męczy... No, ale, panie Blumkiewicz, trudno. Kto raz zgodził się wziąć jakiś ciężar na swoje barki, ten już musi donieść go do końca... Powiedział pan, że mowa moja była piękna... Cha... Cha... Niestety, rzeczy nie tylko nie wyglądają tak pięknie...

— Co pan przez to chce powiedzieć? — ostrożnie zapytał Blumkiewicz.

— To, panie Blumkiewicz, że mój ojciec popełnił pewien... błąd.

— Jak to błąd?

— Omyłkę rachunkową...

— Jaką omyłkę?

— Taką sobie... Na dwieście tysięcy dolarów.

Blumkiewicz otworzył usta, lecz nic nie powiedział. Paweł, nie śpiesząc się, wstał, otworzył ogniotrwałą szafę i wyjął teczkę. Przejrzał ją i mruknął:

— Nie, nie ta.

— Każdemu wolno we własnych rachunkach zrobić pomyłkę — zahaczająco odezwał się Blumkiewicz.

— Cała bieda w tym, że nie we własnych, a w fabrycznych — z naciskiem podkreślił Paweł i obejrawszy jeszcze kilka teczek, dodał jakby do siebie: — Gdzież u licha jest ta sprawa?... Przecie ojciec wyraźnie mi pisał, że znajduje się w kasie ogniotrwałej w gabinecie... Aha! Jest...

— Błąd na taką sumę w cudzych rachunkach to kryminał — zasyczał Blumkiewicz.

Paweł wyprostował się i zmierzył go groźnym spojrzeniem.

— Jak pan śmiesz! Zapominasz, panie Blumkiewicz, że mówisz do Dalcza o jego ojcu!
— Ja nic... ja nie mówię!...
— Milczeć! — Uderzył trzymaną teczką w stół. — Zapominasz, że jesteś naszym sługą!

Jego potężny głos nappełnił pokój i odbił się echem w korytarzu. Blumkiewicz skurczył się i zbladł.

— Chodź pan tu! — rozkazującym tonem powiedział Paweł i położył mu przed nosem teczkę. — Znalazłem. Oto jest. Czytaj pan.

Blumkiewicz, stojąc pochylony nad biurkiem i nie mając odwagi usiąść, drżącymi palcami przewracał kartki.

Paweł przyglądał mu się z góry — z nikłym uśmiechem na ustach, gdy jednak Blumkiewicz skończył i podniósł spoconą twarz, spotkał surowe spojrzenie szarych oczu Pawła.

— Co to będzie... co to będzie... — zabełkotał. — Pan prezes tego nie przeżyje.

— Właśnie dlatego pana zatrzymałem. Obawiałem się o stan serca stryja. A przecie muszę mu o wszystkim powiedzieć. Nie umiem rozmawiać z chorymi. Mogłoby być nieszczęście. Otóż, panie Blumkiewicz, musisz pan jakoś ostrożnie uprzedzić mego stryja. Przygotować. Kiedy już będzie można, zatelefonujesz pan do mnie. Będę czekał.

— Kiedy z sercem pana prezesa nie jest tak źle — zdziwił się Blumkiewicz.

— Dzięki Bogu. Nie wiedziałem, ale to tym lepiej. Otóż powiedz pan z góry, że stryj ani fabryka żadnych strat z tego powodu nie poniosą. Ja to... biorę na siebie.

— Dwieście tysięcy dolarów?... — W głosie totumfackiego zabrzmiało wprawdzie niedowierzanie, lecz już bez poprzedniej nutki ironii.

— Tak — gryząc wargi, odpowiedział Paweł — biorę na siebie, ale jak pan widziałeś, termin jest piekielnie krótki...

— Za dwa miesiące.

— Właśnie. A ja w tym czasie nie będę rozporządzał aż taką gotówką. Muszę się ułożyć z bankiem. Na życzenie ojca występowałem u nich jako plenipotent⁹⁰ Zakładów i teraz, dla uniknięcia skandalu, muszę przez te dwa miesiące być chociażby tylko tytularnym dyrektorem... Zresztą to już osobiście stryjowi wyjaśnię. Pan sobie mogłeś myśleć chociażby, że to jest uzurpacja, ale mnie jest obojętne, co sobie myśli pan Blumkiewicz, co myśli trzy tuziny panów Blumkiewiczów! Rozumiesz pan! Tu chodzi o honor rodziny! O pamięć mego ojca! I daję panu słowo, że na tej pamięci plamki nie pozwolę zostawić, chociażby za cenę wszystkiego, co posiadam!

Uderzył pięścią w stół, aż zadzwoniły metalowe przedmioty.

— Ja nic nie mówiłem przecież — bezradnie tłumaczył się Blumkiewicz.

— Tak... tak... — przetarł skronie Paweł — jestem zdenerwowany... tyle naraz, tyle naraz... Niech pan nie ma do mnie żalu, panie Blumkiewicz, ja przecie wiem, że pan jest starym i dobrym naszym przyjacielem, że ojciec cenił pana wysoko... A i pan dla niego żywił serdeczne uczucia...

— O... rzadki był człowiek... Niech tam spoczywa w spokoju — dorzucił, spojrzawszy na teczkę.

— Przepraszam pana, że się uniosłem — wyciągnął do niego rękę Paweł i mocno potrząsnął jego dłonią.

Widział, że totumfacki stryja jest do reszty zdezorientowany, zaskoczony i zdetonowany⁹¹. Teraz biegnie z językiem do stryja, lecz język został nakręcony tak, jak nigdy jeszcze u nikogo.

Paweł chodził po pokoju i śmiał się do siebie.

„Najlepszy sposób na wygi tego typu — myślał — jest przedstawienie się im w sposób niezrozumiały dla nich, odsłonięcie przed nimi maszynerii naszej psychiki, skomplikowanej, dziwacznej maszynerii, w jakiej nie umieją się rozeznaczyć, a którą muszą w prostocie ducha uważać za specyfik⁹² kategorii ludzi wyższych”.

W oczekiwaniu na telefon Paweł zrewidował pozostałe papiery ojca. Nie mylił się: znalazł w nich dość wyraźny ślad sprzedaży udziałów. Prowadził on przez jeden z banków warszawskich do kancelarii notariusza i dalej do jakiegoś Tolewskiego. Ten albo sam był

⁹⁰plenipotent — pełnomocnik, osoba upoważniona do działania w czyimś imieniu. [przypis edytorski]

⁹¹zdetonować się (daw.) — zmieszać się, stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

⁹²specyfik (z łac. *specificus*: swoisty) — tu: specyficzna, swoista cecha. [przypis edytorski]

nabywcą, albo pośredniczył tylko w transakcji. W każdym razie można będzie go odszukać i dotrzeć do faktycznych nabywców.

W jakim celu, Paweł jeszcze nie zdawał sobie dokładnie sprawy. Właściwie celem było wykupienie udziałów, lecz jedynym majątkiem Pawła, nie licząc kilkunastu złotych, było wspaniałe futro i pierścionek z fałszywym brylantem.

Przyglądał mu się właśnie z uśmiechem, gdy zadzwonił telefon: Blumkiewicz oznajmił, że pan prezes czeka.

W dziesięć minut później Paweł stanął na progu pokoju stryja. Przypuszczał, że zastanie tu Krzysztofa, pan Karol jednak był sam, gdyż nawet Blumkiewicz, wprowadziwszy gościa, natychmiast wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

— Zbliź się — odezwał się chory.

W półmroku jego pergaminowa twarz z zamkniętymi powiekami i z siecią nieruchomych zmarszczek zdawała się martwą.

— Witam stryja — powiedział Paweł spokojnie, stając przy łóżku, i nie doczekawszy się odpowiedzi, swobodnie zajął fotel.

— Kim jesteś? — zapytał pan Karol po długim milczeniu.

Paweł nie zrozumiał pytania:

— Jestem Paweł, bratanek stryja.

— Pytam, czym się zajmujesz, z czego żyjesz?

— Z bawełny. Prowadzę handel bawełną.

— I mieszkasz w Anglii?

— Tak, w Londynie.

— Mówiono mi, że dorobiłeś się jakiegoś majątku?... Nic o tobie nie wiedziałem...

— Nie dziwię się. Tu już mnie pochowano za życia. Służba w domu mojej matki, gdy kazałem zameldować siebie jako jej syna, nie chciała mnie wpuścić. Podejrzewali mnie widocznie o mistyfikację, gdyż nigdy ani słowa nie słyszeli o istnieniu Pawła Dalcza. Wykreśliście mnie z liczby żyjących.

Pan Karol podniósł powieki i obrzucił go bacznym spojrzeniem.

— Sam się wykreśliłeś — powiedział zimno.

— Nie będę się o to ze stryjem spierał. Tak czy owak, zostałem przez was uznany za wyrzutka, za zakałą rodziny i darmozjadą... I zaszczytna ta opinia otaczała tu moją pamięć, póki nie dowiedziano się, że mam pieniądze, że mam stosunki, że mogę się na coś przydać. Niech stryja nie dziwi moja gorycz. Zbyt długo mnie nią karmiono... Zresztą już nie mam żalu do ojca. On nie mniej cierpiał ode mnie, a wiem, jak mu było ciężko pierwszemu wyciągnąć do mnie rękę... Zwłaszcza wyciągnąć ją po ratunek...

Pan Karol wpił się wzrokiem w jego oczy.

— Niech spoczywa w spokoju — powiedział poważnie Paweł, nie spuszczać zrenic.

— Czemuż nie przyszedł do mnie? — syknął chory.

— O ile wiem z jego listów, stosunki, jakie łączyły ojca ze stryjem, nie były zbyt ciepłe. Były o tyle dalekie, że w chwili utraty nadziei bliżej mu było na cmentarz niż do stryja.

Na twarzy chorego ukazały się czerwone wypieki:

— Jak śmiesz robić mi z tego zarzut! — zacharczał. — Jak śmiesz!

— Myli się stryja, wcale nie robię mu z tego zarzutu. Jedyną winę ponoszą słabe nerwy ojca i jego zupełna samotność we własnym domu... Jestem w nim teraz drugi dopiero dzień, a i to wystarczyło, by zrozumieć tragedię takiego człowieka, jak ojciec, w tym środowisku głupoty, próżności, snobizmu i sobkostwa⁹³...

— Masz rację, ta kobieta go zgubiła, ten potwór bezduszny — zakaszłał w pasji chory — ten zły duch jego domu... Ona was tak wychowała, ona zatrula mu życie, ona rozdzieliła nas, najlepszych, najbardziej kochających się braci! Ona mi zabrała brata! To jej podłość zacisnęła mu stryczek na gardle! To przez nią ten najszlachetniejszy człowiek doprowadzony został do oszustwa. Taka hańba, taka hańba! O Boże! O sprawiedliwy Boże! Ukarz ją strasznie za jego śmierć, za moją krzywdę, za mój wstyd! Ukarz ją strasznie... ukarz... ukarz...

Głos chorego przeszedł w rzęzenie, po jego białej twarzy spływały gęste łzy.

⁹³sobkostwo — egoizm, samolubstwo. [przypis edytorski]

Paweł wyjął chusteczkę, przyłożył ją do oczu i spoza niej uważnie przyglądał się stryjowi. Zawsze miał go za człowieka zimnego, wyrachowanego, nawet skąpego, a już zupełnie niezdolnego do wszelkich uczuć i namiętności. Nowy rys, odkryty obecnie w jego charakterze, nakazywał ponowną zmianę taktyki. Cóż będzie, jeżeli stryj oświadczy gotowość pokrycia długu z własnej kieszeni?... To pokrzyżowałoby wszystkie plany. Myśl Pawła pracowała jednak szybko i sprawnie. Wiedział, że rozgrywa teraz najważniejszą grę, i wiedział, że jej przegrać nie wolno.

Pan Karol z wolna uspokajał się i zapytał:

— Kiedy ojciec zwracał się do ciebie?

— Zbyt późno, niestety. Przed miesiącem. Gdyby...

— Jakże cię odnalazł? — przerwał chory.

— Sprzedaję sporo bawełny do Łodzi, a wpłaty kierowane są na mój rachunek w tym właśnie banku „Lloyd and Bower”, w którym ojciec zaciągnął tę nieszczęsną pożyczkę. Dowiedział się o mnie tedy z przypadku albo też od kogoś z przemysłowców łódzkich. Dość że napisał do mnie rozpaczliwy list z prośbą o pośrednictwo.

— A ty?...

— Oczywiście obiecałem zrobić, co mogłem. Wywiązała się korespondencja i bank wreszcie zgodził się na pewne ustępstwa. Zanim jednak zdążyłem to ojcu donieść, ten otrzymał list, wysłany z banku przed samą konferencją ze mną, a grożący oddaniem sprawy do prokuratora.

— Dlaczego do prokuratora?

— Bo te dwieście tysięcy dolarów zaciągnięte były w imieniu firmy, a w jej księgowości nie było o tym żadnej wzmianki.

— No tak — zniecierpliwił się chory — ale skąd oni o tym wiedzieli?

— Pierwszy termin minął. Zwrócili się do jakiejś wywiadowni handlowej i ta ich szczegółowo poinformowała.

— Zatem w naszej buchalterii jest jakiś szpieg!

— Na pewno.

— I cóż dalej?

— Ojciec po przeczytaniu listu powiesił się — rozłożył ręce Paweł.

Zaległo milczenie.

Pan Karol żuł wargi, nie spuszczać wzroku z bratanka:

— Czy przyniosłeś ze sobą akty tej pożyczki?

— Ma się rozumieć. Nie byłoby celu ukrywania ich dłużej przed stryjem.

Wstał i wzięwszy teczkę z sąsiedniego stołu, wydobył z niej plik papierów.

— Stryj zechce zaraz to przejrzeć?

— Zaraz. Zapal górne światło. Kontakt jest przy drzwiach.

Paweł wykonał polecenie i siadając z powrotem przed łóżkiem, ofiarował się:

— Może stryjowi przeczytać?

— Nie. Sam przeczytam. Podaj mi tylko okulary.

Duże arkusze niewygodnie się trzyma jedną ręką, pomimo to pan Karol nie przerywał czytania, chociaż go widocznie męczyło. Od czasu do czasu zdejmował okulary, przecierał oczy i bez słowa dalej czytał.

Paweł przyglądał się mu spod oka, a gdy wreszcie chory skończył, zapytał:

— Cóż stryj o tym sądzi?

— Co sądzę? Sądzę, że spadkobiercy Wilhelma, to jest wy, powinni zapłacić dług ojca.

Powiedział to takim tonem, jakby się tego wcale nie spodziewał.

— Ma stryj rację — chłodno odpowiedział Paweł.

— Co przez to rozumiesz?

— To samo, co i stryj: dług powinny zapłacić dzieci zmarłego.

— Gadasz głupstwa — wykrzywił się chory. — Po pierwsze wszystkie ich udziały nie starczą na to, a po drugie termin za dwa miesiące. W tym czasie niepodobna sprzedać udziałów inaczej, jak za psie pieniądze. Zresztą na pewno nie zechcą. Znam ich dość dobrze.

— Za pozwoleniem — zmarszczył Paweł brwi. — Stryj mnie nie zna zbyt dobrze, skoro sądzi, że będę znosił tego rodzaju odezwanie się jak „gadasz głupstwa”. Wiek stryja

nakazuje mi dla niego szacunek, ale i ja nie jestem smarkaczem i proszę stryja o unikanie podobnych słów. Na moje „głupie gadanie” wielki bank mógł zawierzyć dwieście tysięcy dolarów, na także „gadanie” przeprowadzam większe interesy, niż się stryjowi zdaje, i to mi daje prawo żądania, by miało ono pewien respekt.

— To nic nie ma do rzeczy — nie bez zmieszania powiedział chory.

— Ma o tyle, że ja w takim tonie nie będę z nikim, nawet ze stryjem pertraktował. A tu chodzi przecie o grubą sumę, którą stryj musiałby zapłacić, gdyż nie myli się stryj, że moje rodzeństwo ani myśli płacić bez procesu, a proces ze względów formalnych może być wygrany.

— Zatem w ogóle nie ma o czym mówić.

— Otóż jest! Dlatego przyjechałem, dlatego przyszedłem do stryja. Ja zmuszę ich do zapłacenia przynajmniej połowy długu, a resztę sam zapłacę. Stryja nie będzie honor mego ojca kosztował ani jednego grosza.

— Jakże ich zmusisz? — niedowierzająco bąknął pan Karol.

— Jak zmuszę, to już moja sprawa. Nie chcę bynajmniej robić z tego przed stryjem tajemnicy, tylko nie uważam tego za istotną kwestię. Przede wszystkim muszę stryjowi wytłumaczyć się z mego postępowania, które może wyglądać na nadużycie. Otóż najpierw zaznaczam, że nie zależy mi wcale na faktycznym dyrektorstwie. Potrzebna mi jest tylko strona nominalna. Poza tym nie zamierzam wcale zbyt długo zajmować tego stanowiska.

— I ja tak sędzę — zimno powiedział chory. — Twoje urzędowanie zaczęło się dzisiaj i dzisiaj się skończyło. Jednak myślę, że wypadałoby ci być tak uprzejmym i łaskawie wyjaśnić motywy twego postępowania, które byłoby nadużyciem, gdyby nie przypominało operetki.

— Wesołe usposobienie — odpowiedział Paweł — jak widzę, nie opuszcza stryja. Ja jednak mam powody, by w tragedii mego rodzzonego ojca nie doszukiwać się operetki.

— Nie przekraczaj moich intencji. Mówiłem o tej szopce intronizacyjnej⁹⁴!

— Zaraz, stryju, czy stryj uważa, że moje przemówienie do kierowników było szopką? Może zaszkodziło firmie?

— Nie słyszałem go.

— Stryj miał relację. Więc?...

— Jakim prawem to zrobiliś?... Mniejsza o sens tego przemówienia. Było to bezprzykładne wdzieranie się w moje prawa! A w dodatku skompromitowałeś się, gdyż chyba ani na chwilę nie mogłeś przypuszczać, że ja zatwierdzę ten operetkowy zamach stanu! Postąpiłeś nie tylko awanturniczo, lecz niemądrze i lekkomyślnie!

Paweł nic nie odpowiedział i tylko patrzył na drgające zmarszczki twarzy pana Karola.

— Milczysz?...

— Niech stryj spojrzy na mnie — spokojnie odezwał się Paweł. — Czy wyglądam na człowieka lekkomyślnego?... Czy wyglądam na człowieka, który pozwoliłby sobie na objęcie dyrekcji bez pewności, że to objęcie będzie zatwierdzone?... Czy u licha robię wrażenie smarkacza czy wariata?!...

— Więc jakim prawem?! Jak mogłeś, jeżeli nawet masz jakieś ważne powody, zrobić to bez uprzedniego uzyskania mojej zgody?... Nie wyobrażam sobie, bym ci jej udzielił, ale przypuśćmy, że tak, że w chwili zamroczenia umysłu przystałbym na powierzenie kierownictwa fabryki człowiekowi młodemu, niedoświadczonemu, niemającemu dobrej opinii z dawnych przynajmniej czasów, a w dodatku zupełnie nieobznajmionemu z firmą i jej skomplikowanymi sprawami! Ale dlaczego...

— Przepraszam stryja. Właśnie o tym chciałem mówić. Proszę tylko zechcieć mnie wysłuchać. Zacznę właśnie od tych skomplikowanych spraw firmy, od spraw, z którymi jestem na szczęście tej firmy znacznie lepiej obeznany niż ktokolwiek, nie wyłączając osoby stryja.

— Mów.

I Paweł zaczął mówić. Jakże teraz wdzięczny był w duchu swemu ojcu za jego despotyzm, za zazdrosne strzeżenie władzy, za chciwe koncentrowanie w ręku wszelkich danych dotyczących kierownictwa Zakładów. Za to samo kiedyś go znenawidził, a dziś dzięki

⁹⁴intronizacja — uroczyste wprowadzenie na tron. [przypis edytorski]

temu trzymał w swej dłoni potężny atut. Dobrze pamiętał każde słowo z pośmiertnego memoriału⁹⁵ ojca i każdego z nich umiał odpowiednio użyć, a opatrując wiadomości logicznymi komentarzami wywarł na słuchaczu spodziewane wrażenie.

Ponieważ zaś pan Karol nie odezwał się wcale, Paweł przeszedł do omówienia kwestii długu w manchesterskim banku. Ułożył się z tym bankiem tak, że będzie mógł dokonać spłat w ratach. Pierwszą ratę w kwocie dwudziestu tysięcy dolarów polecił ściągnąć ze swego rachunku z dniem swego przyjazdu do Warszawy. Jutro, najdalej pojutrze nadejdzie pokwitowanie, które stryjowi przedstawi. Nie zamierza jednak spłacać wszystkiego z własnej kieszeni. Wpływ zaś na rodzeństwo może mieć jedynie w wypadku utrzymania się przez pewien czas na stanowisku dyrektora, i to wówczas jedynie, jeżeli uzyska na to całkowitą zgodę stryja. Stanowisko to jednak jest mu niezbędne i z tego powodu, że bank inaczej nie zgodzi się na utrzymanie polubownego układu i zażąda przez swego adwokata natychmiastowej spłaty całości długu. Ponieważ zaś Zakłady absolutnie nie są w stanie wypłacić takiej sumy w przeciągu dwóch miesięcy, a o zaciągnięciu takiej pożyczki teraz, po samobójstwie ojca, byłoby niemożliwe nawet marzyć, trzeba zastosować się do warunków banku. Bank w przeciwnym razie zażąda zabezpieczenia długu na majątku firmy, a wówczas wyjdzie na jaw nadużycie ojca. Doprowadzi to do skandalu i nie tylko kompromitacji, lecz także do podjęcia kredytu, a zatem do zachwiania przedsiębiorstwa. Zatem nie pozostaje nic innego, jak dać bankowi jedyną gwarancję, jaką on gotów jest uznać, to jest gwarancję opartą na osobistym zaufaniu do Pawła.

Mówił spokojnie, rzeczowo, rozwijał perspektywy dalszego ułożenia się stosunków. Zapewnił, że nawet nie mógłby ze względu na swoje własne interesy siedzieć w kraju dłużej niż dwa, najwyżej trzy miesiące, że zgodnie z życzeniem zmarłego nie przedsięwzięmie żadnych kroków samodzielnych bez ścisłego porozumienia ze stryjem, że faktyczną władzę chętnie przekaze Krzysztofowi lub komukolwiek, kogo stryj wyznaczy. Prosiłby tylko, by tym kimś nie był Jachimowski, któremu niepodobna zaufać.

Swoje prawie półgodzinne referowanie sprawy uznał za tak przekonywające, że nie spodziewał się już zastrzeżeń stryja. Stary człowiek należał jednak do twardych sztuk. Zanim zgodził się z bratankiem, badał go całym szeregiem pytań, upewniał się co do już powiedzianych rzeczy i wreszcie swoją zgodę obwarował wieloma warunkami. Głównym i zasadniczym był ten, że Pawłowi nie wolno było wydać jakiegokolwiek zarządzenia, jakiegokolwiek dyspozycji, czy przedsięwzięć cokolwiek w fabryce bez zgody Krzysztofa. Nadto Paweł zobowiązał się przedstawić stryjowi do trzech tygodni pisemną zgodę swego rodzeństwa na pokrycie połowy długu.

— Przyznam ci się — powiedział pan Karol na zakończenie — że sprawiłeś mi dość dużą niespodziankę. Gorzej cię sądziłem, niż na to zasługiwałeś. Widocznie mniej uległeś wpływowi i wychowaniu twojej matki niż reszta jej dzieci. Nie umiem darować ci tylko tego, że w samowolny sposób, bez uprzedniego porozumienia ze mną postąpiłeś tak sobie.

— Nikt o tym nie wie, stryju, oprócz ciebie i Blumkiewicza. Przyznaję zresztą, że w ten sposób chciałem stryja postawić przed faktem dokonanym. Chodziło mi o osiągnięcie celu, a nie o uznanie stryja. Ludzie chętniej godzą się z czymś, co już istnieje. A ja nie przypuszczałem, że stryj jest tak trzeźwym i uczciwym człowiekiem, że jednak żywi uczucia braterskie dla mego nieboszczyka ojca. Niech mi stryj tych wątpliwości za złe nie bierze, ale prawie nie znaleźmy się.

— Nie mnie z tego możesz robić zarzut — z naciskiem powiedział pan Karol.

— Wiem to dobrze, stryju, lecz teraz mam nadzieję, że przez ten krótki czas wspólpracy, jaki nas czeka, zdołam pozyskać tyle twego szacunku i sympatii, ile już dzisiaj po tej rozmowie ja żywię dla ciebie.

Na pożegnanie pan Karol wyciągnął do bratanka zdrową rękę:

— Jutro porozumiesz się z Krzysztofem. Do widzenia.

— Nie wątpię, stryju, że będzie to naprawdę porozumienie.

Paweł wyszedł i pojechał na Ujazdowską. Wizyta u stryja zakończona została pełnym sukcesem. Nie tylko uzyskał aprobatę swej dyktury, nie tylko zdołał zdobyć zaufanie i wiarę, lecz doprowadził do wytworzenia atmosfery nad wyraz dla siebie korzystnej.

⁹⁵memoriał (przest., z późn. łac. *memoriale*: pamiętnik, od *memoria*: pamięć) — tu: tekst zapisany dla pamięci; pamiętnik. [przypis edytorski]

Pierwsza partia została rozegrana.

ROZDZIAŁ IV

— Gdzie jest gabinet dyrektora Krzysztofa Dalcza? — zapytał z rana woźnego.

— Ostatnie drzwi, panie dyrektorze.

Zapukał mocno i nie czekając na odpowiedź, wszedł. Przy maszynie siedziała ładna blondynka i z namaszczeniem jadła śniadanie. Jej różowa buzia pełna była bułki.

— Nie ma dyrektora? — zapytał.

Starła się przełknąć czym prędzej i w tym wysiłku brały udział jej brwi, robiąc kilka tak komicznych ruchów, że Paweł się roześmiał.

— Niech pani się nie śpieszy, to niebezpieczne.

Zmierzyła go karcącym wzrokiem:

— Pan dyrektor jest na warsztacie. Czego pan sobie życzy?

— Przede wszystkim chciałem się pani przedstawić, bo jeszcze się nie znamy.

Wyciągnął rękę i powiedział:

— Jestem Dalcz, a na imię mi Paweł.

Dziewczyna zerwała się z miejsca czerwona aż po białka oczu:

— O, pan wybacz, panie dyrektorze, bardzo przepraszam, ale nie wiedziałam, że to pan.

— Niechże pani sobie nie przeszkadza. — Zatrzymał jej rękę, starając się zsunąć napoczętą bułkę do szuflady. — Czy mój stryjeczny brat prędko wróci?

— Lada chwila, panie dyrektorze.

— Jeżeli pani pozwoli, zaczekam tu na niego.

— Ależ proszę — zażenowała się, zaskoczona jego uprzejmością.

— Pod tym wszakże warunkiem, że pani będzie dalej spożywała swoje śniadanie.

Zaśmiała się:

— Mam na to czas później.

Usiadł i dość bezceremonialnie przyglądał się jej. Wiedział, że jest kochanką Krzysztofa, i przyszło mu na myśl, że może mu się przydać, chociażby do wysondowania opinii stryjecznego brata o nim. Dlatego został.

— Nie dziwię się pani, że nie domyśliła się, kim jestem. Nie mam wiele podobieństwa do innych Dalczów.

— O tak — powiedziała ze specjalną intonacją.

— Czy wykrzyknik pani — zaśmiał się — mam uważać za wyraz uznania, czy też za współczucie?

— Pan dyrektor żartuje. — Spuściła oczy.

— A pani nie jest do tego przyzwyczajona przez innych Dalczów?... Mój brat stryjeczny jest, zdaje się, bardzo poważny i wszystko traktuje serio?

— Wszystko... No nie, pan Krzysztof jest czasami wesoły.

— Nie widziałem go od wielu lat...

Drzwi się otworzyły i wszedł Krzysztof. Paweł wstał:

— Czekałem na ciebie, Krzysiu. Dzień dobry.

— Dzień dobry. Służę ci. — Podał mu rękę bardzo grzecznie i bardzo oficjalnie.

— Mielibyśmy do pomówienia. Czy masz teraz czas?

— Za chwilę ci służę. Sądzę, że najwygodniej nam będzie u ciebie.

— Zatem czekam — skinął głową Paweł i wyszedł.

Doskonale odczuł w tonie Krzysztofa niechęć i niezadowolenie, że czekał nań i oczywiście rozmawiał z tą stenotypistką. Musi być o nią zazdrosny. Przecie go niemal wyprosił.

Znowu wywarł na Pawle wysoce przykre wrażenie. W jego zachowaniu się była jakaś sztuczność, jakaś nieszczerłość, jakaś poza. Paweł nie spodziewał się po nim życzliwości, nie oczekiwał demonstracji uczuć kuzynowskich. Przeciwnie, przygotowany był z góry na chłód i na pozycję wroga. Jednak w sposobie bycia Krzysztofa było jeszcze coś ponadto, coś odpychającego i niezrozumiałego zarazem. I do tego ten nieznośnie wysoki głos i te

maniery wyzywająco kanciaste, maniery przypominające sztubaka⁹⁶ udającego dorosłego człowieka.

„Smarkacz jeszcze — myślał Paweł. — Nie ja tym będę się martwił”.

Upłynęło dobrych dziesięć minut, zanim Krzysztof przyszedł.

— Siądźmy tu — powiedział Paweł, wskazując mu fotel przy okrągłym stoliku. — Czy stryj Karol poinformował cię o powodach, dla których zostanę tu przez pewien czas?

— Owszem.

— Uważam za swój obowiązek zaznaczyć, kochany Krzysztofie, że zrobię wszystko, by nasza współpraca dała jak najlepsze wyniki. Ja, niestety, nie jestem inżynierem i na technice się nie znam, zatem w tym dziale wszystko spoczywać nadal będzie w twojej kompetencji.

— Bardzo ci dziękuję za zaufanie — powiedział Krzysztof z odcieniem ironii, lecz z tak nikłym, że Paweł mógł udawać, że nie dostrzega drwiny i bierze ją za dobrą monetę.

— Ojciec twój był zdania, że powinniśmy wszystkie sprawy załatwiać wspólnie.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak zastosować się do tego.

— Powiedziałeś to w taki sposób, jakbyś nie zgadzał się ze stanowiskiem swego ojca?

Krzysztof wzruszył ramionami:

— Gdyby nawet tak było, nie ma o czym mówić. Na razie jest to bezprzedmiotowe.

— Słuchaj, Krzychu — pojednawczo odezwał się Paweł — wiesz, na czym mi zależy, wiesz, że nie zamierzam stawać ci na drodze, że wkrótce zostawię ci całe przedsiębiorstwo. Powiedz zatem, dlaczego zajmujesz wobec mnie pozycję jakby obronną?

— Z czego wyprowadzasz taki wniosek? — obojętnie odpowiedział Krzysztof. — Nie zajmuję żadnej pozycji. Powiedziałem już, że podporządkuję się życzeniu ojca.

— Zatem w porządku — z udawaną prostodusznością odrzekł Paweł i pomyślał, że kiedyś ta malowana lala pożałuje gorzko lekceważącego tonu.

Przystąpili do omawiania spraw fabrycznych. Tu Paweł miał możliwość stwierdzić, że jego brat stryjeczny doskonale orientuje się w kwestiach produkcji. Natomiast w rzeczach ogólnohandlowych nie czuje pewnego gruntu pod nogami. Zresztą Paweł postanowił z góry zrobić wszystko, by wyeliminować wtrącanie się Krzysztofa w tę dziedzinę, przede wszystkim przez nieinformowanie go, co przy pomocy Jachimowskiego da się przeprowadzić.

Naturalnie, jeżeliby Krzysztof domyślił się sprawdzać dziennik główny, odkryłby egzystencję wielu listów, które były wysyłane z podpisem Pawła, a bez cyferki⁹⁷ jego własnej. Na to jednak za mało miał praktyki.

Jedyną osobą, która mogłaby go tu uświadomić, był sekretarz Holder. Ten jednak nie wiedział o warunkach, na jakich Paweł Dalcz był naczelnym dyrektorem, a z wieloletniej pracy pod ręką zmarłego naczelnego dyrektora wyniósł przeświadczenie, że naczelnny dyrektor jest władcą absolutnym i wszelkie jego działania nie tylko nie podlegają niczyjej kontroli, lecz nie mogą dostać się do czyjejkolwiek wiadomości pod grozą niemal świętokradztwa. Zresztą osoba Pawła Dalcza bardzo mu przypadła do gustu, a stało się to ze zrozumiałego powodu.

Już pierwsze dni urzędowania nowego dyrektora dowiodły, że jest to człowiek nie-lubiący wchodzenia w długie rozmowy i popospolitowania⁹⁸ się z pierwszym lepszym pracownikiem. Pod tym względem przewyższał znacznie zmarłego ojca. Skończył się obyczaj posłuchań, natomiast każdy interesant musiał przedstawić najpierw Holderowi swoją sprawę, a dopiero gdy ten uznał jej pilność, meldował dyrektorowi. W przeciwnym razie odkładał powiadomienie szefa do wieczornego raportu. Zarządzenie to jeszcze wyżej podnosiło nieprzystępność wielkiego ołtarza, a tym samym opromieniało większą władzą stanowisko pana sekretarza.

W krótkim też czasie przekonał się Holder, że i politykę w stosunku do robotników odziedziczył syn po ojcu w podobnych formach. Wprawdzie mniej zwracał uwagę na delegatów, za to jednak często odwiedzał warsztaty i wdawał się w rozmowę z wielu robotnikami, traktując ich znacznie uprzejmiej niż urzędników i inżynierów. Dla tych

⁹⁶sztubak — uczeń. [przypis edytorski]

⁹⁷cyferka (daw.) — parafka, skrócony podpis zatwierdzającego dokument. [przypis edytorski]

⁹⁸popospitować się — przestawać z kimś o niższej pozycji od siebie, kogo uważa się za mniej godnego. [przypis edytorski]

zresztą był również uprzedzająco miły, ilekroć którego przyjmował w swoim gabinecie. Cały jednak sekret polegał na tym, że przyjmował niezmiernie rzadko, zaś poza gabinetem nigdy nie wdawał się w rozmowy.

Sekretarz tłumaczył niezadowolonym, że przecie naczelny dyrektor jest teraz, świeżo po objęciu fabryki, niezmiernie zajęty. Nie było w tym zresztą ani cienia przesady.

Paweł zabrał się do roboty z całą furią nagromadzonej energii. Poza sprawami wewnętrznymi, organizacyjnymi, bieżącymi, poza szczegółową lustracją zakładów, rozpoczął akcję na szeroką skalę. Chodziło o wyrobienie w bankach wyższego kredytu i o uzyskanie większych zamówień. Za wszelką cenę musiał dopiąć jednego: dowieść stryjowi, że jego kierownictwo zbawiennie wpływa na stan przedsiębiorstwa. Stryjowi i nie tylko stryjowi. Cały warszawski świat przemysłowy musi poczuć jego obecność.

Rozpoczął od wizyt u dyrektorów kilku banków i kilku większych fabryk, pozostających w interesach z Zakładami Dalczów. Odbywało się to w ten sposób, że Holder telefonicznie zamawiał wizytę na dzień lub nawet na dwa dni naprzód na ściśle umówioną godzinę i minutę. Robiło to bardzo dobre wrażenie.

Oczywiście, przeprowadzając rozmowy z tymi grubymi rybami, Paweł nie wspominał ani jednym słowem o rzekomym zamiarze swego „powrotu” do Anglii. Przeciwnie. Jakby mimochodem wyjaśniał, że ma bardzo rozległe plany rozszerzenia fabryki, że przewiduje ściągnięcie do kraju poważniejszych kapitałów swoich przyjaciół z City, że sam nie przypuszczał, by w Polsce tyle można było jeszcze zrobić, że finansisci zagraniczni dlatego unikają polskiego rynku, że go nie znają, jak na przykład on sam dotychczas, lecz teraz to i owo w różnych gałęziach przemysłu krajowego da się naprawić drogą zaufania.

Skutkiem tych odwiedzin i rozmów patera⁹⁹ w mieszkaniu na Ujazdowskiej szybko zapełniała się biletami wizytowymi, na których widniały nazwiska osób bardzo znanych, bardzo wpływowych i bardzo bogatych.

Zdzisław otwierał na to szeroko usta, a Jachimowski zacierał ręce i przeplatając słowa swoim charakterystycznym „chi-chi-chi”, przypominał wszystkim, że on pierwszy poznał się na Pawle i że jeszcze wszystko będzie jak najlepiej.

Zdawały się to potwierdzać i inne, te już całkiem namacalne skutki. Mianowicie zamówienia. W ciągu dwóch tygodni Zakłady otrzymały cały szereg nowych zamówień na poważne kwoty od obcej dotychczas klienteli.

Paweł pokazywał, co umiał.

Na sen tracił bardzo mało czasu. Do późnej nocy w dawnym salonie pani Józefiny, zamienionym obecnie na jego gabinet, paliło się światło. Drzwi były pozamykane na klucz, a dziurki od klucza zasłonięte. Domownikom nie wolno było znajdować się w sąsiednim pokoju, dokąd dobiegały dźwięki maszyny do pisania lub głośniejsze słowa telefonicznej rozmowy.

O godzinie dziewiątej zanoszono do gabinetu maszynkę czarnej kawy, którą przy drzwiach odbierał sam Paweł, nie pozwalając wejść lokajowi do środka. Na biurku i stoliku obok leżały porozrzucane papiery i stały jakieś fłaszeczki. Z rana jednak, gdy pan wyjeżdżał do fabryki, wszystko było pochowane, a zaspokojenie ciekawości uniemożliwiały nowe, świeżo wprawione zamki, do których stary komplet kluczy nie pasował.

Paweł Dalcz pracował.

Władał wprawdzie niezłe językiem angielskim, lecz nie był zbyt obeznany z jego narzeczem handlowym. Dlatego pisanie listów w imieniu banku „Lloyd and Bower” sprawiało mu sporo trudności. Znacznie łatwiej było naśladować podpisy, co wkrótce doprowadził do perfekcji. Natomiast sporządzanie gumowych stempli należało do rzeczy najtrudniejszych. Dla nabrania praktyki w tym względzie Paweł odwiedził kilka pracowni grawerskich¹⁰⁰ i wysiadywał tam z miną człowieka niemającego nic lepszego do roboty, godzinami czekając na wykonanie obstalunku¹⁰¹ i przyglądając się sposobom majstra. Zaopatrzył się też we wszystkie niezbędne przybory.

Najwięcej kłopotu było z blankietami banku. Najprościej byłoby zamówić je w jakiejś mniejszej drukarence. Nie chciał jednak ryzykować, licząc się z tym, że w każdej zapewne

⁹⁹patera — rodzaj płaskiego naczynia na nóżce. [przypis edytorski]

¹⁰⁰grawerska pracownia — w której graweruje się, tj. wyrzyna się rysunki na twardych, najczęściej metalowych przedmiotach, np. pieczęciach. [przypis edytorski]

¹⁰¹obstalunek — zamówienie, zlecenie wykonania czegoś. [przypis edytorski]

jest konfident policji polujący na druki komunistyczne. Taki jegomość mógłby jednak zainteresować się i tego rodzaju sprawą.

Kupił wreszcie drukarnię biurową. Wprawdzie czcionki jej różniły się znacznie od tych, jakimi wykonany był napis na blankietach, ale nie należało się obawiać aż takiej przenikliwości stryja, który nie ma najlepszego wzroku.

O tym przekonał się Paweł przy sposobności pokazywania mu pokwitowania bankowego za pierwszą ratę. Podskrobanie na nim daty i wstawienie na jej miejsce świeżej wykonane było tak dalece niżej wszelkiej krytyki, że dziecko domyśliłoby się fałszerstwa. Toteż Paweł zanosił pokwitowanie z całą świadomością ryzyka, które mogło zaważyć decydująco na całym przedsięwzięciu.

Na szczęście pan Karol czuł się tego dnia gorzej i pobieżnie tylko spojrzął na pokazywany mu arkusik. Zresztą widocznie ani przez myśl mu nie przeszło jakiegokolwiek podejrzenie.

Rodzeństwu jednak Paweł pokwitowania nie pokazał. Wyjaśnił, że musiał je oddać stryjowi. W ogóle lekcewał Halinę, która wcale nie wchodziła w rachubę, unikał Ludki, nie chcąc wystawiać się na jej podejrzliwy wzrok, a Zdzisława i Jachimowskiego nie miał powodu obawiać się. Przybrał wobec nich ton życzliwie protekcyjny, niepozbawiony nutki konspiracyjnego porozumienia, lecz obecność ich sprawiała mu rzetelną przykrość. Stanowili rodzaj balastu, z którym jeszcze należało się liczyć nie ze względu na jego wartość, lecz z racji ostrożności.

Matkę postanowił wyprawić z domu, by mu przez swoją zbytnią gadatliwość i brak poczucia ważności sytuacji nie mogła zaszkodzić.

W tym celu wytłumaczył jej, że wygląda źle, że czuje się przemęczona i że w ogóle jej zdrowie po ostatnich przejściach wymaga odpoczynku. Ponieważ zaś brak pieniędzy nie pozwala na wysłanie jej za granicę, najlepiej zrobi jadąc do swojej ciotecznej siostry na Podole.

Jeszcze przed wyjazdem pani Józefiny wiele rzeczy w mieszkaniu uległo zmianie. Po prostu wszystko zostało urządzone w ten sposób, by Paweł najwygodniej mógł pracować, by mógł bez skrupowania przyjmować swoich gości i swoich interesantów. Halinie i Zdzisławowi zostały tylko trzy pokoje.

Jednocześnie Paweł rozpoczął poszukiwanie Tolewskiego. Wkrótce wszakże dowiedział się, że Tolewski wyjechał do Krakowa, a wróci dopiero po świętach.

W fabryce wszystko szło względnie gładko. Wyjaśniwszy Jachimowskiemu, że potrzebuje pieniędzy na wysłanie matki i na uregulowanie niektórych jej drobnych długów, kazał sobie z kasy wypłacić z góry dwumiesięczne pobory. W razie gdyby wiadomość o tym dotarła do Krzysztofa, przygotowany był na wyjaśnienie, że musiał tych pieniędzy użyć na łapówkę i dlatego w pośpiechu sam wydał to zarządzenie.

Obawy były jednak zbędne, gdyż Krzysztof tak był pochłonięty pracą swego działu, że sygnował wszystkie papiery dyrekcyjne jakby z roztargnieniem.

Paweł samo to podpisywanie zorganizował w ten sposób, że teki z korespondencją podpisywali jednocześnie w gabinecie Pawła, dokąd je przynosił Holder. Dzięki temu Paweł miał zawsze możliwość obserwowania kuzyna i ewentualnego przekonania go w razie sprzeciwu na miejscu, wskutek czego nikt nie mógł się dowiedzieć, że władza naczelnego dyrektora ulega obecnie jakimkolwiek ograniczeniom.

Sam Krzysztof wydawał się Pawłowi coraz dziwniejszy. Sprawiał wrażenie czasami takie, jakie by nazwał niesamowitym, gdyby mówił o kimś starszym i mającym ciężkie osobiste przeżycia czy tajemnice.

Tu jednak nie mogło być mowy o czymkolwiek takim. Wiedział przecie, że życie Krzysztofa od dzieciństwa układało się spokojnie i przesuwało się łagodną falą między dobrze ocembrowanymi¹⁰² brzegami, wytworzonymi przez dostatek, miłość rodziców i opiekę.

Zwłaszcza o tej opiece dziwaczne już dawniej kursowały pogłoski. Opowiadano, że pani Teresa Dalczowa wychowuje syna pod kloszem. Podczas jego studiów miała mu towarzyszyć przez cały czas za granicą i pilnować, by nie wdawał się w nieodpowiednie

¹⁰²ocembrować — umocnić, obudowując ceglami lub betonem, ściany studni, zbiornika wodnego, brzegi rzeki itp. [przypis edytorski]

towarzystwo. Zapewne przesadzano, mówiąc, że odprowadzała go na wykłady i z wykładów do domu, że nie pozwalała utrzymywać koleżeńskich stosunków i w ogóle nie puszczała na krok bez siebie.

Krzysztof wprawdzie sprawiał wrażenie „mamusinego synka”, jak go w fabryce po cichu przezywano, nie wyglądał on jednak aż na tak ślamazarnego. Najlepszym tego dowodem było to, że tak prędko po wyemancypowaniu się wynalazł sobie kochankę, i to jedną z najładniejszych dziewcząt w fabryce.

Paweł wyraźnie nie lubił Krzysztofa, zdawał sobie sprawę, że ten działał mu na nerwy. Pomimo to jednak starał się do niego możliwie zbliżyć, przede wszystkim poznać go dobrze ze względu na swoje plany, a po wtóre dlatego, że nie umiał przewyciężyć zaciekawienia, jakie w nim Krzysztof wzbudzał. Chłód jego i coraz wyraźniejsze unikanie styczności z Pawłem jeszcze mocniej utwierdzały Pawła w postanowieniu. W jego naturze leżała rezygnacja tylko wówczas, gdy znalazł się poza kołem graczy, teraz jednak z dniem każdym bardziej czuł się w jego środku.

List banku „Lloyd and Bower”, zawierający zgodę na rozłożenie długu na raty, a adresowany do Zakładów Braci Dalcz i Spółki z powołaniem się na osobistą rozmowę z naczelnym dyrektorem p. Pawłem Dalczem, został wciągnięty do ksiąg firmy i wręczony przez Pawła Krzysztofowi:

— Bądź, Krzysiu, tak dobry i oddaj to twemu ojcu. Chciałem z tym być u niego sam, lecz dzisiaj, niestety, nie będę miał czasu, a sprawa jest pilna.

Krzysztof przeczytał list i powiedział:

— Żądają od nas wpłacenia w lutym sześćdziesięciu tysięcy dolarów, a resztę zgadzają się rozłożyć. Nie rozumiem. O ile wiem, zapewniałeś ojca, że sam pokryjesz dług. Ty i twoje rodzeństwo.

— Tak jest w istocie.

— Więc cóż znaczy ten list?

— Jest dowodem, że i tak zdołałem uzyskać w banku warunki, o jakich stryj nie mógłby nawet marzyć, gdybym ja się tym nie zajął. W lutym trzeba byłoby zapłacić dwieście tysięcy, a ponieważ firma nie mogłaby znikąd wydobyć tak wielkiej sumy, doszłoby do skandalu. Nie rozumiem cię, Krzychu, dlaczego moje maksimum dobrej woli, naprawdę niewymuszonej, do licha, woli, traktujesz w taki sposób?... Powiedziałem raz, że zapłacę, i nie ma wątpliwości, że tego dotrzymam.

— Więc cóż to obchodzi mnie lub też mego ojca? Wierzymy ci i czekamy.

— Wyborny jesteś! — zaśmiał się szyderczo Paweł. — Zapominasz, że pomimo wszystko nie zaliczam się do zwierząt pociągowych, na które zwala się ciężary i wzuśza się ramionami, jeżeli pod nimi zdychają. Owszem, dodźwigam do końca, ale chyba mam prawo wymagać ludzkiego do siebie stosunku. Mniejsza o motywy, dla których wziąłem je na siebie. Pozostaje faktem, że uwolniłem od nich właśnie stryja i ciebie.

— Nikt temu nie zaprzecza — obojętnie zauważył Krzysztof.

— Trudno zaprzeczać oczywistości. Zapłaciłem już dwadzieścia tysięcy dolarów i zapłacę resztę. Ale w lutym nie mogę uruchomić takiej kwoty, jakiej oni żądają. Mam wprawdzie w Liverpoolu... Zresztą nie lubię być gołosłownym. Zechciej to przejrzeć.

Wydobył z szuflady kilka listów i kwitów. Były to dokumenty, stwierdzające, iż w składach portowych złożone zostały wielkie partie bawełny, stanowiącej własność Pawła Dalcza, a ubezpieczone na wysokie sumy.

Kogoś obdarzonego szczególnym zmysłem spostrzegawczości mógłby uderzyć dziwny zbieg okoliczności, że blankiety banku w Manchester, składów w Liverpoolu i towarzystwa asekuracyjnego¹⁰³ w Londynie są drukowane czcionkami identycznego kroju. Krzysztof zauważył tylko, że każda z tych instytucji używała innego papieru i innej taśmy w maszynie.

— Widzisz więc, że w ostatecznym razie mógłbym sprzedać kilka tysięcy bel bawełny. Ale teraz jest najgorszy sezon, najniższe ceny. Straciłbym na tym bardzo wiele, a tego chyba ode mnie już nie żądacie? Przejrzyj cedułę¹⁰⁴ bawełnianą, a sam się przekonasz.

— O co ci tedy¹⁰⁵ chodzi? — zapytał Krzysztof, składając papiery i oddając je Pawłowi.

¹⁰³ *towarzystwo asekuracyjne* — instytucja ubezpieczeniowa. [przypis edytorski]

¹⁰⁴ *ceduła* (daw.) — zapis, kwit; wykaz. [przypis edytorski]

¹⁰⁵ *tedy* (daw.) — zatem, więc. [przypis edytorski]

— Jutro rano muszę wysłać odpowiedź. Zatem chcę, by stryj wypowiedział się, czy zgodzi się dodać do lutowej raty czterdzieści tysięcy dolarów, oczywiście z tym, że w ciągu sześciu miesięcy ja je zwrócę.

— A jeżeli ojciec się nie zgodzi?

— Jeżeli nie zgodzi się?... Hm... wówczas odpiszę, że nie możemy skorzystać z warunków banku i pozostawiamy mu wolną rękę.

Paweł rozłożył ręce i dodał:

— Robię tylko to, co mogę.

— Więc to jednak przymus! Dlaczego nie udasz się do swego rodzeństwa!

— Stryj, mój drogi Krzysztofie, wie równie dobrze, jak i ja, że oni nic nie mają. Zaś sprzedaż ich udziałów w obecnej sytuacji, sam to rozumiesz, byłaby marnotrawstwem.

Krzysztof nic nie odpowiedział i schował list do kieszeni.

Stał odwrócony profilem i jego długie rzęsy rzucały na policzek gęsty wygięty cień. Wydawał się teraz Pawłowi niezwykle ładnym chłopcem i pomimo swego obejścia bardzo sympatycznym. Nagle poczuł w sobie jakąś niezrozumiałą złość, że ten młody człowiek, o którego życzliwość zabiega, szczerze czy nieszczerze — to obojętne, że ten kuzyn, młodszy o dziesięć lat, traktuje go tak obco i z daleka.

Niespodziewanie dla siebie samego Paweł powiedział:

— Posądzasz mnie o specjalną względność¹⁰⁶ familijną dla mego rodzeństwa. Nawet nie możesz sobie wyobrazić, jak dalekie to jest od prawdy. Rodzeństwo... Puste słowo. Nigdy nie miałem rodzeństwa, nigdy nie miałem rodziny... Nie nauczyłem się tak zwanej wspólnoty domowego ogniska, nie miałem żeń ani odrobiny ciepła... A w życiu nieraz człowiek zziębnięty chciałby ogrzać ręce. Najsilniejsze ręce przecie ziębną. Stają się jak lód. Nie rozgrzeje się ich przy cudzym ognisku, choćby to było ognisko, przypuśćmy, twego domu, bliższego mi niż inne z powodu związków krwi. Związki krwi są takim samym umownym frazesem, jak uczucia rodzinne. Dlatego niepotrzebnie, Krzysztofie, odpędzasz mnie kijem od swego ogniska... Nie wyciągam do niego rąk, Krzysztofie... Nie oczekuję od ciebie ani odrobiny ciepła, ale niepotrzebnie przypominasz mi to każdym słowem i każdym gestem. Niepotrzebnie...

Mówił, patrząc w okno. Gdy odwrócił głowę, ujrzał wpatrzony w siebie oczy Krzysztofa, ogromne czarne oczy, w których był jakby ból, jakby przerażenie, jakby cierpienie. Smagła twarz zdawała się bledszą, a usta zdawały się drżeć, hamować jakieś słowa...

Lecz wszystko to było tylko złudzeniem. Krzysztof odwrócił się i szedł do drzwi. Dopiero na progu stanął i z ręką na klamce powiedział:

— Masz przywidzenia i jakieś mgliste pretensje. Za dużo pracujesz i to odbija się źle na stanie twoich nerwów.

Drzwi lekko trzasnęły, na korytarzu oddalały się szybkie elastyczne kroki.

Paweł zaśmiał się krótko i nieszczerze. Pierwszy raz od przyjazdu do Warszawy nie był z siebie zadowolony. Po co mówił temu głupiemu smarkaczowi te jakieś niedorzeczne sentymentalności, po co, u licha, wyskoczył z niemal zwierzeniami?... Zły stan nerwów! Bałwan! Nigdy jeszcze Paweł nie miał nerwów w tak idealnym porządku, nigdy w tak spokojnym nie były napięciu. Pewny był każdego kroku, odmierzony miał każdy uśmiech, zważone z apteczną precyzją każde słowo.

A jednak przed chwilą zachował się bez sensu. To wina tego smarkacza. Jego obrażający chłód doprowadził Pawła do najwyższej irytacji. Z jakąż przyjemnością wykręciłby mu ręce aż do bólu, zgniótłby to chuchro, zmiażdżył siłą swoich mięśni...

— Pożałuje jeszcze tego, pożałuje. Mgliste pretensje... No, oczywiście, że mgliste, idiotyczne pretensje!

We wzroku Krzysztofa widział coś innego, coś dziwnego, niezrozumiałego, ale to było przywidzenie.

— Czyżbym zaczął cierpieć na halucynacje? — zaśmiał się i nacisnął guzik dzwonka.

Na progu stanął sekretarz:

— Panie Holder, niech pan każe szoferowi, żeby zaraz zajeżdżał.

— Słucham pana dyrektora.

¹⁰⁶względność (tu daw.) — okazywanie względów, przychylności. [przypis edytorski]

W pół godziny później Paweł wchodził na odrapane i skrzypiące schody brudnej kamienicy przy ulicy Chmielnej. Na trzecim piętrze zapukał do drzwi. Po dłuższej chwili usłyszał człapanie pantofli i rozległ się ochryply głos kobiety:

— A kto tam?

— Ja do pana Tolewskiego — odpowiedział Paweł.

— Nie ma.

— Ale wrócił już?

— A jeżeli i wrócił, to co?

— Mam interes.

— To niech pan idzie do „Italii”.

— Tam go znają?

— Jeszcze by nie znali. Całymi dniami wysiaduje.

W kawiarni portier rozejrzał się po wieszakach i oświadczył:

— A jakże, proszę szanownego pana, jest. Musi siedzieć w drugiej sali.

Paweł usiadł i kazał podać sobie kawy. Widział, jak kelner podszedł do stolika zajętego przez kilku mężczyzn, prowadzących ożywioną rozmowę. Po chwili jeden z nich wstał i zbliżył się do stolika Pawła z pytającym wyrazem twarzy.

— Pan Tolewski, nieprawdaż? Jestem Dalcz. — Paweł podał rękę, którą Tolewski z manifestowanym szacunkiem uściśnił.

— Do usług szanownego pana dyrektora.

— Proszę. Niech pan siada.

Był to średniego wzrostu, dobrze odpasiony jegomość około pięćdziesiątki, ubrany dość niechlujnie, lecz starannie wygolony i z mocno przyczernionymi wąsami. Usiadł z nonszalancją światowca i swobodnie podciągnął nogawkę spodni w paski, przyglądając się nieznacznie wielkiemu brylantowi na palcu Pawła.

Było to oczywiste, że Tolewski spełnił wyłącznie rolę pośrednika w sprzedaży udziałów, i Paweł od pierwszego rzutu oka ocenił jego sytuację, która nie musiała należeć do najpomyślniejszych.

— Miałbym do pana pewien interes w związku z transakcją, jaką przeprowadził pan z moim ojcem — powiedział. — Słyszał pan prawdopodobnie, że po jego śmierci ja objąłem kierownictwo naszej fabryki?

— Naturalnie, że słyszałem, panie dyrektorze. W kawiarni słyszy się o wszystkim.

— Czy nie powie mi pan zatem, z kim należałoby mówić o udziałach sprzedanych przez mego ojca?

Tolewski zaśmiał się dyskretnie:

— Ja zawsze jestem do dyspozycji pana dyrektora.

— Zatem znajdują się one w posiadaniu...

— O, nie w moim, nie w moim, niestety. Gdzie tam.

— Ale pan wie, w czyim?

— Niewiele z tego przyjdzie panu dyrektorowi, gdyż obie strony, to jest nabywca i sprzedający, zastrzegły sobie pełną dyskrecję. Tedy... sam pan widzi...

Rozłożył ręce takim ruchem, jakby wyjaśnił, że nic zrobić nie może, lecz i takim jednocześnie, jakby zawsze był gotów przytrzymać kontrahenta¹⁰⁷, gdyby ten w naiwności swojej uwierzył.

Paweł poczęstował go papierosem i milcząc przyglądał się grze jego rysów.

— Panie Tolewski — odezwał się po dłuższej pauzie — czym się właściwie pan trudni?

— Ja?... Hm... tym i owym, co się zdarzy. Różne interesy.

— Pośrednictwem? I co ono panu daje?

— Grosze — westchnął Tolewski. — Teraz taki zastój. Ledwie się koniec z końcem wiąże.

— No, a jak się panu powiodło w Krakowie?

Tolewski niespokojnie poruszył się na krześle i obejrzał się dokoła, zapytał drżącym głosem:

— Skąd pan wie, że byłem w Krakowie?

¹⁰⁷kontrahent — jedna ze stron umowy handlowej. [przypis edytorski]

Paweł w sam czas powstrzymał się od zapewnienia, że właściwie nic nie wie, i zrobiwszy pauzę, uśmiechnął się:

— Słyszysz się to i owo. Ale proszę wierzyć mi, panie Tolewski, że mnie to nic na razie nie obchodzi.

— Jak mam rozumieć to „na razie”?

— Nie obchodzi — mówił dalej Paweł — gdyż zajęty jestem inną sprawą, w której pan może mi dużo rzeczy ułatwić i dużo na tym zarobić. Nieściśle mówię „zarobić”. Zdobycie pozycję i majątek.

Tolewski uspokoił się i przysunął się wraz z krzesłem:

— Do usług, panie dyrektorze.

— Kto kupił udziały? Jeżeli pan nie masz do mnie zaufania, możesz pan nie wymieniać nazwiska. Chodzi mi na razie o jego stanowisko, zawód, majątek?

— Majątek?... — podniósł brwi Tolewski. — To milionerka!

— Więc kobieta?

— No tak, co ja będę z panem dyrektorem bawić się w ciuciubabkę: Wenzłowa, sama stara Wenzłowa!

Wymówił to nazwisko jako powszechnie znane, lecz widząc, że Dalczowi nic ono nie wyjaśnia, dodał:

— To wdowa po tym Wenzlu, co jeszcze na modlińskich dostawach się dorobił. Za młodu była, jak teraz opowiada, aktorką. Ale tak naprawdę, to po prostu puszczała się na wielką skalę. Miała dwóch mężów, Wenzel był trzeci. W Warszawie każdy ją zna. Brylanty w uszach nosi większe niż u pana dyrektora w pierścionku.

— Dziwne. Dlaczego ona właśnie kupiła? Dlaczego mój ojciec jej sprzedał udziały?

Tolewski zrobił filuterne oko:

— Ma baba pieniądze, a ludzie opowiadają, że dla świętej pamięci pana Dalcza żywiła jeszcze z dawnych czasów... Kto to może wiedzieć... Kiedyś piekielnie ładna była... Dość że jak się tylko dowiedziała, że pan Dalcz, znaczy się ojciec pański, szuka kupca na swoją część fabryki, to zatelefonowała do mnie i kazała mi iść do niego.

— Czy utrzymuje pan z nią jakikolwiek kontakt?

— Owszem.

— Nie wie pan, jak przyjęła wiadomość o samobójstwie?

— Pańskiego ojca? Ależ! Słowo honoru daję, że baba prawie oszalała. Była pewna, że to bankruktwo fabryki i że ze swoich stu dziesięciu tysięcy dolarów nie zobaczy ani gronia.

— Tyle zapłaciła za udziały?

— Tak — z poufną miną zapewnił Tolewski i nagle odsunął się. — Ale ja panu dyrektorowi różne rzeczy takie opowiadam... Właściwie to mnie nie wolno...

Paweł roześmiał się:

— Tyle już mi pan opowiedział, że gdybym chciał zrobić coś za pańskimi plecami, to i tak mógłbym. Powtarzam jednak, panie Tolewski, że nie jestem z tych, i rękę panu za dobry interes.

To przekonało Tolewskiego. Oświadczył, że nie żywi żadnych obaw, że na ludziach się zna, że widzi, z kim ma do czynienia, i zaczął opowiadać szczegółowo o przebiegu transakcji i o obecnych niepokojach Wenzłowej.

W umyśle Pawła coraz wyraźniej krystalizował się plan działania. Rzecz była do zrobienia. Czasu wprawdzie zostawało niewiele, ale przy pewnym wysiłku można ułożyć.

Ze słów Tolewskiego wynikało, że Wenzłowa już jest nastraszona. Pozostawało zatem doprowadzić niepokój jej do takiego stanu, w jakim byłaby gotowa sprzedać udziały za najmniejszą kwotę. Dążyć do tego trzeba dwiema drogami: przedstawić jej w najgorszym świetle stan interesów fabryki i zademonstrować przed nią panikę udziałowców, usiłujących wyzbyć się udziałów.

Naturalnie na to wszystko trzeba jednak mieć pieniądze. Jeżeli stryj Karol nie da się naciągnąć na owe czterdzieści tysięcy — cała kombinacja okaże się nierealna. Nierealna to jeszcze nie znaczy przegrana. Należy wówczas znaleźć inną. Tymczasem jednak, zważywszy wszystkie szanse, wolno było mieć nadzieję. Jeżeli nawet Krzysztof źle usposobi stryja, jeszcze nie będzie to powodem do rezygnacji. Paweł wypróbował już na stryju siłę argumentacji. Właściwie zupełnie niepotrzebnie zwrócił się tym razem do Krzysztofa.

Zrobił to raczej dlatego, że korciła go ta oziębłość stryjecznego brata, że niejako chciał go wciągnąć w swoje sprawy bliżej.

Tolewski mieszał głośno cukier w kawie i od czasu do czasu spoglądał na zamyślonego Pawła.

— Nie jest tak źle, panie Tolewski — odezwał się ten wreszcie — będzie to lepszy i znacznie intratniejszy¹⁰⁸ interes dla pana niż... krakowski.

Ostatnie słowo wymówił z takim naciskiem, jakby najlepiej był poinformowany o tym interesie, a widząc zmieszanie pośrednika, łagodząco dodał:

— Nie będziemy na siebie narzekali. Obiecuję to panu.

— Jestem tego pewien, panie dyrektorze.

— Ja jeszcze bardziej. No, niech pan zajrzy do mnie jutro wieczorem około ósmej. Zna pan mój adres?

— To jest mieszkanie świętej pamięci ojca pana dyrektora?

— Tak. I niech pan służbie nie mówi swego nazwiska. Do widzenia panu.

— Moje uszanowanie panu dyrektorowi.

Paweł Dalcz wcale nie spał tej nocy. Do świtu siedział przy biurku. O świcie z jego pokoju rozległ się hałaśliwy wrzask gramofonu, bardzo hałaśliwy, gdyż swym hałasem musiał pokryć terkotanie maszyny drukarskiej.

O ósmej wszystko było gotowe.

Wziął prawie zimną kąpiel, ubrał się i pojechał do fabryki. W ciągu pół godziny przejrzał korespondencję, wydał Holderowi dyspozycje i wewnętrznym telefonem połączył się z gabinetem Krzysztofa. Odezwał się głos jego sekretarki: „Jest chory, nie będzie dziś w fabryce”.

Paweł położył słuchawkę i poszedł rozmówić się z Jarszówną.

— Dzień dobry pani. Mój brat jest chory?

— Telefonowano z domu, panie dyrektorze, że nie przyjdzie, bo czuje się niezdrow.

— Nie wie pani, co mu jest? Może się zaziębił?

— Nie wiem, panie dyrektorze.

— Proszę, niechże pani siada. Nie widziała go pani od wczoraj?

Jarszówna zarumieniła się:

— Dlaczego pan dyrektor myśli, że mogłam się widzieć. Wczoraj nie miałam żadnej popołudniówki...

— O! To pani tyle pracuje, że miewa czasem i zajęcia wieczorne? — udał zdziwienie.

— Zdarza się, panie dyrektorze.

— Mój kuzyn zamęcza panią. Gdybym nie obawiał się, że jest o panią zazdrosny, powiedziałbym mu, że trzeba nie mieć serca, by zmuszać do tylu godzin pracy tak uroczą istotkę, jak pani.

Dziewczyna zrobiła się purpurowa i spuściła oczy.

Paweł pochylił się nad nią i dodał prawie półgłosem:

— Nie dziwię się Krzysztofowi, że jest zazdrosny. Ile razy tu wchodzę, nie umie ukryć swego niezadowolenia. Czy pani moje odwiedziny też sprawiają przykrość?

— O, pan dyrektor żartuje...

— Nie, nie, proszę odpowiedzieć szczerze! Może mi na tym zależy. No? Sprawiają przykrość?

W milczeniu potrząsnęła głową przecząco.

— Eee, ukrywa pani wzrok — skrzywił się. — Proszę spojrzeć na mnie. Po oczach pani poznam, czy to prawda.

Podniosła nań roziskrzone bardzo niebieskie oczy.

Pomyślał, że jest ładna i że albo należy do gatunku urodzonych kokietek, albo już tak za bardzo nie kocha się w Krzysztofie. Dla próby dodał:

— A nie powie mu pani, żeśmy sobie gawędzili tu na tematy nie całkiem biurowe?

— Pan Krzysztof nie będzie wcale pytać...

— Gdyby jednak?... On tyle ma z panią wspólnych tajemnic, tak mi się przynajmniej zdaje, chciałbym i ja mieć z panią jedną małą tajemnicę. Przy tym przez zazdrość gotów

¹⁰⁸intratny — dochodowy, przynoszący zyski. [przypis edytorski]

mnie znienawidzić. A chyba pani nie zależy na tym, by między stryjecznymi braćmi doszło do nieprzyjaznych uczuć?

— Ja nic nie powiem! — żarliwie zapewniła z taką intonacją, jakby to było od początku oczywiste.

— To dobrze — uśmiechnął się. — Krzysztof i tak nie bardzo mnie lubi. Wie to pani lepiej ode mnie. Prawda?

— Cóż znowu, panie dyrektorze — zdetonowała się¹⁰⁹. — Ja nic o tym nie wiem...

Paweł pomyślał, że jest inaczej i że trzeba się będzie zabrać do spenetrowania tej sprawy. Nie przewidywał specjalnych trudności. Dziewczyna była dość naiwna, no i dostatecznie ładna, by wywiad tego rodzaju nie należał do zabiegów przykrych.

— Zatem do widzenia — spojrzał na nią znacząco.

— Do widzenia, panie dyrektorze.

Wyszedł i mruknął do siebie:

— Zabawna gęś.

Do telefonu podszedł, jak zwykle w tym domu, Blumkiewicz. Potwierdził, że pan Krzysztof jest chory, nic poważnego, ale leży w łóżku, natomiast pan prezes prosi pana dyrektora do siebie.

Za furtką w sztachetach zaczynał się ogród zasypany niemal do wierzchołków agrestu śniegiem. Ścieżka prowadząca do willi była rozczyszczona¹¹⁰, jak co dzień dla Krzysztofa, dziś jednak Paweł na niej pierwsze stawiał ślady.

W przedpokoju spotkała go pani Teresa.

— Jestem zaniepokojony, stryjenko, chorobą Krzysia. Blumkiewicz twierdzi, że to nic poważnego?...

— Zdaje się, że zwykle zaziębienie. Dziękuję ci, Pawle. To prawdziwe szaleństwo z jego strony jeździć przy takiej pogodzie otwartym autem.

— Na miły Bóg, czemuż nie bierze dyrekcyjnego¹¹¹? Ja go prawie nie używam. Czy mogę Krzysia odwiedzić?

— Nie, nie — jakby zaniepokoiła się pani Teresa. — Może to coś zaraźliwego...

— To drobiazg, stryjenko, nie boję się.

— Zresztą Krzys teraz śpi, a nie chciałabym go budzić.

— No, oczywiście — zrezygnował Paweł. — A do stryja można?

— Czeka na ciebie.

Pan Karol wyciągnął na powitanie rękę. Wyraz twarzy miał spokojny, prawie przyjemny. Obok na nocnym stoliku Paweł zauważył list, wręczony wczoraj Krzysztofowi.

— Stryj dziś nieźle się czuje, prawda? — zapytał troskliwie.

Chory skinął głową. W jego spojrzeniu Paweł nie dostrzegł już dawnej niechęci i podejrzliwości. Przeciwnie, zdawał się obserwować bratanka z rodzajem życzliwego zaciekawienia. I w jego głosie, gdy zaczął mówić, nie było już tej lekceważącej nuty. Mówił o fabryce, o nowych zamówieniach, o odgłosach z miasta, które dotarły do jego łóżka, przynosząc echa ruchliwej działalności Pawła.

Nie pochwalił ani jednym słowem, lecz w jego ostrzeżeniach przed zbytnią przedsiębiorczością, w jego uwagach i komentarzach brzmiała nuta uznania.

Paweł odpowiedział skromnym stwierdzeniem, że jest jeszcze wiele do zrobienia, że na razie brak mu jeszcze dostatecznej znajomości terenu, lecz że w każdym razie trzeba skonstatować uspokojenie opinii sfer gospodarczych co do trwałych podstaw egzystencji firmy.

Uśmiechnął się przy tym, gdyż forma, w jakiej to wypowiedział, przypominała mu żywo stereotypowy komunikat z każdych rokowań międzynarodowych.

„Dyplomacja jednak ma swoje zalety” — pomyślał.

Pan Karol wziął do ręki list banku i przebiegając oczyma wiersze maszynowego pisma zapytał o kilka szczegółów, po czym oświadczył, że w zasadzie nie podziela zdania Krzysztofa i że pod pewnymi gwarancjami gotów jest przyjść Pawłowi z pomocą w regulowaniu długu.

¹⁰⁹zdetonować się (daw.) — zmieszać się, stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

¹¹⁰rozcyszczony — oczyszczony. [przypis edytorski]

¹¹¹dyrekcyjny — związany z dyrekcją; tu: o samochodzie służbowym do dyspozycji dyrekcji. [przypis edytorski]

— Więc Krzysztof był przeciwny temu? — niedbale zapytał Paweł.

— Mniejsza o to. Przekonałem go. Krzysztof, widzisz, niewiele ma jeszcze doświadczenia i wszystko wyobraża sobie zbyt symplicystycznie¹¹².

— Mam wrażenie, że raczej czuje do mnie jakąś niezrozumiałą niechęć.

Chory pominął tę uwagę i powrócił do omawiania lutowej raty.

Po przeszło godzinnej rozmowie Paweł, wychodząc, natknął się na Blumkiewicza.

— Dobrze, że pana spotykam — powiedział. — Niech no pan się dowie, czy pan Krzysztof nie śpi, bo chciałbym z nim się zobaczyć.

— Jest chory, panie dyrektorze. A jak jest chory, to nikogo nie przyjmuje.

— Jednak będę musiał z nim się rozmówić. Niech pan mu powie, że chodzi o podanie terminu wiertarki dla Częstochowy i o urlop dla inżyniera Jasińskiego. Jego żona...

— Przepraszam, panie dyrektorze, ale ja też nie mam wstępu. Najlepiej będzie powiedzieć pani prezesowej. Jeżeli pan zechce zaczekać, zaraz poproszę.

Paweł kiwnął głową i usiadł na kanapie, obciągniętej białym pokrowcem. Wszystkie meble w salonie zasłonięte były pokrowcami, co sprawiało zimne niemieszkalne wrażenie. Od wielu lat nic się tu nie zmieniło. Po dawnemu stryjostwo żyli całkowicie oddzieleni od świata i od ludzi. Może właśnie w oschłej atmosferze tego domu należało szukać przyczyn dziwnego charakteru Krzysztofa?... Odradzał ojcu wpłacanie lutowej raty. Czy to przebiegłość, czy po prostu jakaś zawzięta niechęć?... Lojalnie opowiedział o bawelnie, zatem wierzył, przynajmniej pan Karol mówił o tym tak, jakby mu Krzysztof żadnych wątpliwości w ogóle nie poddawał. Zatem nie podejrzania, lecz zwykła niechęć...

— Głupi smarkacz. Udaje teraz chorobę, bo mu przez gardło nie chciało przejść zakomunikowanie zgody ojca. Czekać no, gagatku, nauczę cię jeszcze chodzić po nitce!...

Zjawiła się pani Teresa, cicha w swoich bezszelestnych pantoflach, z niezmiennym półuśmiechem na świeżej i strapionej twarzy.

— Chciałeś, Pawle, bym o coś zapytała Krzysia?

Paweł wyszczególnił jej obie sprawy, co do których bez Krzysztofa nie mógł powziąć decyzji, gdyż obie należały do wyłącznej kompetencji dyrektora technicznego. Po kilku minutach wróciła z odpowiedzią: wiertarka dla Częstochowy będzie wykonana z najdalej dziesięciodniowym opóźnieniem, Jasińskiemu zaś można udzielić urlopu najwyżej na trzy dni.

— Byłoby wskazane, stryjenko — zauważył, żegnając się, Paweł — założenie w pokoju Krzysztofa aparatu telefonicznego. Jeżeli stryjenka pozwoli, przyślę montera.

— Nie, nie, nie tym razem — stanowczo zaoponowała staruszka. — Można to będzie zrobić, gdy Krzyś wyzdrowieje.

— Wtedy już nie będzie potrzeby, zresztą, jak stryjenka chce.

Na dworze zaczął padać śnieg. Wielkie wilgotne płyty łaskotały nos i policzki, gęsto pokrywały futro kołnierza. Ścieżka znowu była gładka, bez jednego śladu.

„Pustkowie” — myślał Paweł. „Zamknęli się w zupełnym odludziu. Jednak tego nie robi się bez ważnych powodów! Musi w tym tkwić jakaś tajemnica!”

Myśl ta z biegiem dni przerodziła się w pewność i nie dawała mu spokoju. Postanowił sobie dotrzeć do tajemnicy za wszelką cenę już nie tylko ze względu na atut, jakim zawsze jest posiadanie każdej tajemnicy przeciwnika, lecz i ze sportowej pasji gracza. Gdyby nie nawał zajęć, pochłaniających dość prawie bez reszty, mógłby do tego zabrać się energiczniej. Na razie wszakże znacznie ważniejsze było uporanie się z Wenzłową...

Prywatne biuro detektywów w ciągu tygodnia dostarczyło Pawłowi wyczerpujących informacji o Tolewskim. Z zawodu geometra¹¹³, wykluczony ze związku za nadużycia, dwukrotnie zamieszany w sprawy szantażowe, pozostaje na utrzymaniu żony, wdowy po zubożonym sklepikarzu, prowadzi różne niezbyt czyste interesy. Trudni się pośrednictwem w lichwiarskich pożyczkach. Co robił niedawno w Krakowie, trudno było ustalić. W każdym razie zamieszkiwał tam u znanej paserki¹¹⁴ Kiermanowej, a w „Esplanadzie” widziano go z podejrzanym o przemytnictwo właścicielem zakładu fryzjerskiego Lipanikiem.

¹¹²symplicystyczny (z łac. *simplex, simplicis*: prosty) — prosty, nieskomplikowany; prostacki. [przypis edytorski]

¹¹³geometra — tu daw.: geodeta, specjalista od pomiarów terenu i sporządzania planów. [przypis edytorski]

¹¹⁴paser — osoba handlująca skradzionymi przedmiotami. [przypis edytorski]

— Słowem — zakończył swe sprawozdanie agent — jeżeli szanowny pan chce mu zaufać więcej niż na pięć złotych, stanowczo odradzamy.

Paweł był kontent¹¹⁵. Przy najbliższej rozmowie z Tolewskim z lekka i mimochodem dał mu do zrozumienia, że świetnie się orientuje w jego sprawach intymnych, a gdy spryciarz chciał odłożyć swoją wizytę u Wenzlowej i tłumaczył się tym, że nie jest ogolony, Paweł rzucił od niechcenia:

— No, ogolenie nie zajmie panu tyle czasu. Fryzjerzy warszawscy nie gorzej golą niż zacyjny mistrz Lipanik w Krakowie.

Tolewski zbladł i przełknął ślinę.

— My musimy być w zgodzie i iść sobie na rękę, mój drogi panie Tolewski — ciągnął Paweł. — Panu się zdaje, że zyskasz więcej na przeciąganiu sprawy. Wierż pan, że ja lepiej wiem, jak co należy zrobić. I pan na tym lepiej wyjdiesz. Nie chcę pana okpić i nie mam po temu możliwości. Ale i mnie pan nie nabierzesz. Nie należą chyba do takich, którzy pozwolą się wystrychnąć na dudka, co?

Tolewski spojrział na szerokie bary, na szare przenikliwe oczy i wąską linię ust Pawła i rozłożył ręce:

— Panie dyrektorze, jak Boga kocham, czyż ja coś takiego?...

— No, więc rób pan swoje.

I Tolewski robił. Robota zaś zaczęła się od podniecenia niepokoju Wenzlowej. Stara aktorka dobrze знаła się na ludziach, a na Tolewskim w szczególności, toteż nie dałaby się lada czym wziąć. Ponieważ jednak nieraz przez niego udzielała pożyczek na lichwiarski procent, nie zdziwiła się, gdy pośrednik zjawił się u niej w imieniu pana Karola Dalcza z propozycją zaciągnięcia pożyczki na kilkanaście tysięcy, na każdy procent, byle prędko.

Ten pośpiech i małość kwoty zdziwiły Wenzlową. Przypuszczała wprawdzie, że samobójstwo Wilhelma Dalcza nie było bez kozery¹¹⁶, ale nie myślała, by było tam aż tak źle. Zapowiedziała tedy Tolewskiemu, że chętnie pożyczycy, że prosi go jednak o wybadanie sytuacji. A że Tolewski nie miał pieniędzy, otrzymał dwieście złotych na koszty i wówczas dopiero przypomniał sobie, że jest w serdecznej przyjaźni z panem Zdzisławem Dalczem i że od niego można się wielu rzeczy dowiedzieć. Na rzeczy te nie czekała Wenzłowa długo. Już nazajutrz Tolewski przyniósł oryginał umowy pożyczkowej z bankiem manchesterskim oraz kilka listów adresowanych do Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz i Spółki, a grożących bardzo przykrymi konsekwencjami. Do przeczytania angielskiej umowy został natychmiast sprowadzony pewien jegomość, reemigrant z Ameryki, resztę zaś Wenzłowa szybko zrozumiała sama.

Oczywiście, o kilkunastu tysiącach nie było już mowy. Natomiast wręcz do furii doprowadziła Wenzlową naiwność Tolewskiego, który zaproponował jej inny interes: mianowicie jeden ze współników firmy, pan Jachimowski, chciałby sprzedać swoje udziały. Ponieważ ma inne rzeczy na widoku — sam o tym zapewniał Tolewskiego — zależy mu na pośpiechu. Dlatego gotów jest sprzedać swoje udziały za trzy czwarte wartości.

Nazajutrz Tolewski oświadczył, że pan Jachimowski rozumie, że pośpiech musi go kosztować, i gotów jest do dalszych ustępstw. Na oburzenie Wenzlowej Tolewski skromnie zauważył, że jego zdaniem Wenzłowa zrobiłaby dobry interes. Cenę Jachimowskiego można bowiem zbić bardzo nisko, bo wszyscy mówią, że tam grozi plajta.

Bezpośrednim następstwem tej uwagi był długi atak spazmów¹¹⁷. Tolewski dowiedział się, że jest ostatnim idiotą, kretynem, cymbałem, że ją zrujnował, że przez takiego głupca, jak on, przyjdzie się jej z torbami pójść, że gdyby nie Tolewski, ona nigdy by nie kupiła udziałów od starego Dalcza itd.

W jednym tylko przyznała Tolewskiemu rację: że nie należy o zbliżającej się plajcie nikomu mówić, bo jeszcze może znaleźć się ktoś, kto nabierze się i udziały odkupi, ktoś, komu będzie je można wkręcić bodaj z dużą stratą.

— Więc będzie baba milczała? — zapytał Paweł, wysłuchawszy szczegółowego sprawozdania.

— To murowane, panie dyrektorze. Jak pan widzi, robię wszystko według, che... che... zasad sztuki.

¹¹⁵kontent (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

¹¹⁶kozera (daw.) — powód, przyczyna; dziś zwykle w wyrażeniu: nie bez kozery. [przypis edytorski]

¹¹⁷spazmy — gwałtowny płacz połączony z zachłystywaniem się, łkaniem. [przypis edytorski]

— Nie pożałuje pan tego.
 — Jeżeli się uda...
 — Musi się udać i zostanie pan posiadaczem ładnego pakietu udziałów. Jeszcze jedno. Czy Wenzłowa czytuje dzienniki?
 — Naturalnie, panie dyrektorze, bo co?
 — No, ale biuletynów różnych agencji na pewno nie czyta?
 — Niby takich, jak na przykład gospodarczy biuletyn Agencji Wschodniej?
 Paweł skinął głową, otworzył biurko i wydobyl z szuflady kilkanaście kartek zadrukowanych na ręcznej maszynie.
 — „Komunikat Polskiej Agencji Ekonomicznej” — przeczytał nagłówek Tolewski.
 — Nie wiedziałem, że taka istnieje...
 — Bo też nie bardzo istnieje — zaśmiał się Paweł. — Zobacz pan ustęp zakreślony czerwonym ołówkiem.
 Była to wiadomość o zachwianiu się jednej z najstarszych firm przemysłowych, Zakładów Braci Dalcz. Kryzys i nieogłędna gospodarka doprowadziły do ruiny to niegdyś świetne przedsiębiorstwo. Prowadzone ostatnio rokowania z kapitalistami zagranicznymi znowu uległy rozbięciu. Zwrócenie się firmy o nadzór sądowy oczekiwane jest lada dzień.
 Tolewski wyszczerzył żółte zęby:
 — Mam to babie jutro pokazać?
 — Jutro. Ale przedtem zatelefonuj pan do mnie. No, a teraz zmiataj pan tędy, przez kuchnię, bo tam już czekają na mnie. Zaraz. Przeprowadziłeś się pan do „Bristolu”?
 — Od wczoraj, panie dyrektorze.
 — Do licha, sprawdź pan sobie wreszcie porządniejsze ubranie. Za kilka dni musisz pan wyglądać na burżuja.
 Zatrzasnął drzwi i przeszedł do salonu Haliny, gdzie oczekiwał już od dłuższego czasu Jachimowski.
 Paweł położył przed nim dwa arkusiki papieru, zapisane równym czytelnym pismem śp. Wilhelma Dalcza.
 — Znalazłeś? — zapytał po chwili.
 — Tak. Jakiś Tolewski. Więc co?
 — Odszukałem go. Ma się rozumieć nie osobiście. Podobno sprytna sztuka.
 — Przemysłowiec?
 — I tak, i nie. Przeważnie kapitalista. Tu sprzeda, tam kupi. Rozumiesz? Zapewniają, że ma nos do interesów, wie, co gdzie się dzieje. Mieszka w Katowicach, ale w tych dniach ma być w Warszawie.
 Jachimowski pstryknął palcami:
 — Sam, Pawle kochany, wybac mi szczerłość, skomplikowałeś i utrudniłeś naszą sprawę. Fabryka ma dzięki tobie znowu świetną opinię i ten... no, Tolewski, nie jest chyba takim idiotą, żeby pozwolić sobie zbić cenę.
 — Na wszystko są sposoby — ostrożnie powiedział Paweł.
 — Nie widzę ich.
 Paweł zmarszczył brwi i przeszedł się po pokoju:
 — Mamy jedną przewagę — mówił jakby do siebie — o tym, jak jest naprawdę w firmie, wiemy tylko my. Jeżeli temu Tolewskiemu nie brakuje sprytu, nie będzie on wierzył opinii, póki nie zajrzy do faktycznych danych. A nic łatwiejszego, jak właśnie takie dane mu zaprezentować jednym małym trickiem.
 — Nie rozumiem — niecierpliwie poruszył się Jachimowski.
 — Całkiem proste. Dać mu dowód, że z fabryką jest źle, że myszy uciekają z tonącego okrętu.
 Jachimowski przygryzł wargę i wysoko podniósł brwi. Jego rysy wyrażały natężone skupienie. Wreszcie domyślił się:
 — Mówisz o zaproponowaniu mu kupna dalszych udziałów?
 — Tak. To jest jedyna i najlepsza droga. Sama oferta wystarczy, by zbić cenę.
 — A jeżeli nie wystarczy? Jeżeli ten facet zlakomi się?
 Paweł roześmiał się. Kto w dzisiejszych czasach wierzy w dobre interesy? Kto się zlakomi na wykupywanie udziałów przedsiębiorstwa przemysłowego w ogóle, a takiego

w szczególności, takiego na przykład, którego dyrektor handlowy chce wyzbyć się swoich udziałów za wszelką cenę? Nie, takiego głupca dziś się nie znajdzie!

Przekonało to Jachimowskiego, lecz nasunęło nowe obiekcje:

— Przypuśćmy. Jednak w tymże czasie ty zwrócisz się doń z propozycją odkupienia wszystkich udziałów, nieprawdaż?

— Tak, przez adwokata i z zachowaniem wszelkich pozorów niezdecydowanego.

— Mniejsza o to. Ale wyobraźmy sobie, że ten gość zwącha pismo nosem, że spostrzeże się w sytuacji, że dla samej próby zaryzykuje kupno udziałów, tym bardziej że tu już zaryzykuje drobiaż. Co wtedy?

Paweł wzruszył ramionami. Nie wierzy w taką ewentualność. Gdyby jednak mogło do tego dojść, nic w tym strasznego. I tak wszystkie wrócą do ich rąk, z tą różnicą, że po znacznie niższej cenie.

Rozwinął przed Jachimowskim szczegółowy plan, uderzający wprawdzie pozornymi nieprawdopodobieństwami, lecz czyż największym nieprawdopodobieństwem nie była zgoda pana Karola na pozostawienie dyrekcji w rękach Pawła, bez sprawdzenia, że nikt ze spadkobierców zmarłego nie posiada najmniejszych praw do fabryki. Teraz chodziło o odzyskanie tych praw do odzyskania majątku. Rzecz warta pewnego ryzyka.

Paweł dał szwagrowi do zrozumienia, że jeżeli ten nie chce ryzykować własnymi udziałami, zawsze może podstawić udziały Ganta, na które ma przecie plenipotencję¹¹⁸. Gantowi nie może zbyt na tym zależeć. Nawet w razie fiaska¹¹⁹ łatwo mu wytłumaczyć, że był moment paniki i trzeba było sprzedać jego udziały za bezcen, bo tak wyglądało, że nazajutrz już niczego się za nie nie uzyska.

Obserwując spod oka minę Jachimowskiego, Paweł widział, że argumenty nie chybią celu. Zaczął tedy mówić o innej stronie medalu. Jeżeli uda się wykupić wszystko od Tolewskiego, a udać się musi, to cała w tym zasługa i całe ryzyko będzie wyłącznie po stronie Jachimowskiego i Pawła. Oni rzecz przeprowadzą, oni dadzą pieniądze, oni narażą się na ewentualne nieprzyjemności.

— My dwaj i tylko my. Przyznasz, że to musi nasunąć pytanie, z jakiej racji ktokolwiek poza nami, chociażby nam bliski, miał się dzielić z nami rezultatem?...

Jachimowski wyjął chusteczkę i obtarł pot z łysiny. Na jego twarzy koloru sera szwajcarskiego wystąpiły ceglaste wypieki.

— Nie będziemy zresztą łapać ryb przed niewodem¹²⁰ — ciągnął Paweł. — Znajdziemy na to dość czasu później. Sądzę, że my potrafimy się porozumieć, jak myślisz?

— Myślę, że z ciebie jest diabelny gracz! — wypalił Jachimowski.

Paweł zaśmiał się skromnie:

— Mój drogi, dużo rzeczy nauczyłem się na Zachodzie. Powiedziałeś „gracz”. Masz rację. Gracz! — zniżył głos. — A czy ty wiesz, że tylko na grze wyrastają wielkie fortuny? Czy ty rozumiesz, że w dzisiejszych czasach kto nie gra, ten przez to samo skazuje się na przegraną, bo obok niego rosną miliony, a on nie przestaje być drobną rybką! Kiedyś opowiem ci, jak się te sprawy robią w bawelnie! Słuchaj! Nie lubię na próżno truć mózgu i tracić słów. Decyduj się. Nie zmuszam cię do tej spółki. Jeżeli odmówisz, nie będę miał do ciebie nawet żalu. Zdaję sobie sprawę z tego, że są natury niezdolne do większej gry. Idziesz ze mną?...

Jachimowski wytrzeszczył oczy i Paweł niemal fizycznie czuł na swojej twarzy jego rozpaczliwie badające spojrzenie, w którym malowała się zarówno nieprzereparta ochota, jak i obawa postawienia wszystkiego na jedną kartę. Obfity pot spływał mu po skroniach.

— A... czy dużo trzeba będzie... wyłożyć gotówki? — wybełkotał.

— Nie — lekko powiedział Paweł — ja dysponuję na razie czterdziestoma tysiącami.

— Złotych?

— Dolarów, oczywiście. Przypuszczam zaś, że całość nie przekroczy sześćdziesięciu. A mówiąc między nami, udziały warte są dwieście z ładnym ogonkiem.

— Ja — przełknął ślinę Jachimowski — niestety nie będę miał dwudziestu.

— Więc ile?

¹¹⁸plenipotencja (z łac.) — pełnomocnictwo. [przypis edytorski]

¹¹⁹fiasko (z wł. *fiasco*) — nieudanie się czegoś, niepowodzenie. [przypis edytorski]

¹²⁰łapać ryby przed niewodem (przysł.) — przedwcześnie cieszyć się z osiągnięcia planowanych, ale niepewnych korzyści, traktować je jako pewne. [przypis edytorski]

— Dziesięć, niech będzie dwanaście. Widzisz, nie chciałbym niczego sprzedawać.
— Oczywiście — oburzył się Paweł. — Zresztą skoro nie możemy zebrać się sześćdziesięciu, musimy kupić za tyle, ile mamy.

Uśmiechnął się poważnie, a Jachimowski wyładował się długim urywanym chichotem, przy czym kręcił się na krześle i zacierał ręce.

Przed pożegnaniem Paweł z naciskiem podkreślił konieczność zachowania najcisłszego milczenia o całej transakcji.

— To zrozumiałe — zapewnił Jachimowski, nakładając futro — i wiesz, Pawle, mam jakieś przeczucie, że się nam wszystko uda!

— Musi się udać.

Zamknął za nim drzwi, zaśmiał się krótko i powiedział:

— Bałwan.

ROZDZIAŁ V

Marychnę bardzo niepokoiła choroba Krzysztofa. Niepokoiła tym bardziej, że po części przyszła z jej winy. Niepotrzebnie uparła się wówczas, by jechać autem. W kinie było gorąco i dlatego się zaziębił. Przez pierwsze trzy dni oczekiwała odeń kartki lub telefonu. Widocznie jednak był bardzo chory, bo nie przypuszczała, by się na nią pogniewał.

Po prostu nie miały o co. Starala się zawsze być dla niego najdelikatniejsza, znosiła jego dziwactwa bez sprzeciwu, nie dokuczała żadnymi pytaniami. Nie wybierała takiej taktyki z rozmysłem. Przyszło to bez wyboru, gdyż samo leżało w jej naturze. Dawniej myślała, że w ten sposób zdoła zbliżyć do siebie Krzysztofa, da mu zapomnieć o tym jakimś strasznym dramacie, który go gnębi, a który zawsze otaczał tajemnicą. Wreszcie zostawiła rzeczy ich własnemu biegowi, tak jak przestała zastanawiać się nad swoją własną sytuacją.

Na rozmyślenia nie miała czasu. Zbyt była zajęta bieżącym dniem. Teraz jednak po biurowych i tak prawie beczynnych godzinach całe popołudnie stało się męczącą pustką, niedającą się niczym zapelnąć. Obcowanie z Krzysztofem odsunęło ją od wszystkich dawnych znajomych i przyjaciółek. Nie próbowała do nich ponownie się zbliżyć, wyczuwając ich niechęć i może nie tyle swoją wyższość, ile ubóstwo tego, co one dać jej mogły po subtelnych, mądrym i nieprawdopodobnie inteligentnym Krzysztofie. Marychna często nie rozumiała go wcale, lecz napawała ją swego rodzaju dumą już to, że dzielił się z nią swoimi myślami, że czytał jej wiersze. Nie знаła żadnego obcego języka, lecz godzinami z niezmałym zainteresowaniem słuchała Shelleya¹²¹, Puszkina¹²², Verlaine'a¹²³, których musiał jej tłumaczyć.

Teraz małe tomiki, oprawne w brunatny zamsz, leżały milczące. Kluczem do nich były wyzłocone inicjały Krzysztofa, lecz i te były nieme. W ogóle cały jego świat bez niego dla niej był zamknięty. Jego świat, to świat piękna, wykwintu i głębokich myśli, takich głębokich, że trudno było je pojąć, takich zawyłych, że niepodobna było doszukać się ich pobudek. Gdy mu to kiedyś powiedziała, nazwał swój świat księżycowym, a nazajutrz przyniósł wiersze Tuwima i przeczytał jeden, zaczynający się od strofki, którą dobrze zapamiętała:

Na księżycu — „martwa natura”¹²⁴,
na księżycu — literatura.
Błądzą po nim blade i śliczne
primadonny somnambuliczne¹²⁵...

¹²¹Shelley, Percy Bysshe (1792–1822) — ang. poeta i dramaturg, jeden z najważniejszych twórców angielskiego romantyzmu. [przypis edytorski]

¹²²Puszkina, Aleksandr Siergiejewicz (1799–1837) — rosyjski poeta, dramaturg i prozaik, najwybitniejszy przedstawiciel romantyzmu rosyjskiego. [przypis edytorski]

¹²³Verlaine, Paul (1844–1896) — francuski poeta, zaliczany do tzw. poetów wyklętych, przedstawiciel impresjonizmu w literaturze. [przypis edytorski]

¹²⁴Na księżycu (...) — fragm. wiersza Juliana Tuwima *Satyra na księżyc*. [przypis edytorski]

¹²⁵somnambuliczny — lunatyczny, właściwy lunatykom, osobom poruszającym się i wykonującym czynności w głębokim uśpieniu, co przypisywano działaniu światła księżyca. [przypis edytorski]

Powiedział, że to jego świat, księżycowy, nierealny, martwy, że jest lunatykiem życia, tragikomiczną figurką ze sztychów Beardsleya¹²⁶, a gdy zapytała, nie bez przestrochu, czy istotnie po dachach chodzi, roześmiał się i zapewnił, że nigdy nie schodzi na ziemię i że czasem wolałby spaść, byle raz na nią się dostać.

Dziwny taki. Jest w nim coś zimnego i obcego, chociaż tyle okazuje jej ciepła i życzliwości, a nawet czasem zazdrości. Tylko bowiem zazdrością można było wytłumaczyć jego dziwaczne zachowanie się wówczas, gdy miała nieostrożność powiedzieć mu, że pan Paweł Dalcz jest przystojny. Sam zaczął wówczas wynajdywać różne zalety swego stryjecznego brata i żądać, by ona przyznawała mu słuszność, że to prawdziwy mężczyzna, że ma postawę zwycięzcy, że ma zęby jak u wilka, że jego oczy połyskują stalą, że w głosie jego jest coś, co musi brać kobiety, i takie różne rzeczy. Oczywiście przejrzała podstęp Krzysztofa i wszystkiemu przeczyła, nawet temu, że jej się mogą podobać blondyni. Pomimo to rozgniewał się bardzo i nawet obraził ją ironicznymi uwagami o naiwnych samiczkach prowincjonalnych.

Gdy się rozplakała, zmitygował¹²⁷ się, wycalaował ją i byli już w takiej komitywie¹²⁸, że zaczęła żałować tego, że nie ma na sobie swojej najładniejszej kombinezki¹²⁹ z tulipanami, ale niepotrzebnie, bo znowu do niczego nie doszło. Wszystko, jak zawsze, skończyło się na pocałunkach i pieszczotach, które rozpały ją do zawrotu głowy i wzmagaly głód prawdziwej miłości.

Pomału w świadomości Marychny zaczął wzbierać żal do Krzysztofa i teraz, gdy od szeregu dni nie widywała go, przemawiał coraz mocniej. Właściwie jej sytuacja była dzika i nienaturalna. Nie jest ani narzeczoną, ani kochanką, ani nawet przyjaciółką Krzysztofa, nie mogło bowiem być mowy o przyjaźni tam, gdzie rozciągała się tak wielka różnica poziomu umysłowego. A jednak czuła się skrzepowana, jakby zobowiązana do wierności, chociaż sama nie wiedziała czym.

Dość często teraz widywała się z inżynierem Ottmanem. Tak się jakoś składało, że chemik jechał do fabryki tym samym tramwajem, a widocznie mniej ostatnio miał do roboty, gdyż wychodził nieraz o trzeciej i odprowadzał Marychnę do domu. Lubiła go, chociaż jako mężczyzna wcale się jej nie podobał. Mówiło się z nim dobrze, ba, znacznie lepiej niż z Krzysztofem. Ottman przecie też był bardzo inteligentny i wykształcony, ale jakoś nie dawał jej odczuć swojej wyższości, był bardziej swojski. Może dlatego, że pochodził z ubogiej rodziny, a może po prostu starał się być delikatnym.

Opowiadał jej o rzeczach bardzo mądrych, jak na przykład o różnych wynalazkach chemicznych, nad którymi pracował, ale opowiadał w ten sposób, że rozumiała wszystko. W ogóle rozumiała go całego, z jego uprzejmością, z jego dobrocią, z prostotą posuwającą się aż do niezaradności i z tą nieśmiałością, z racji której mówiono o nim w fabryce: „ten pocziwy Ottman”.

Rozmawiając z nim, nigdy nie obawiała się wprost wypowiedzieć swoich myśli. Wiedziała, że choćby naplotła największych nonsensów, on nie będzie się z niej śmiał, jak to robił Krzysztof. Mówiło się z nim dobrze, po swojemu. Miało się zaufanie do jego niebieskich oczu, do tych nawet tak brzydkich u mężczyzny różowych policzków i do nieładnych rąk, zawsze poplamionych różnymi chemikaliami. Nigdy by nie zdobyła się na pocałowanie tych rąk, jak obcałowywała piękne, nieprawdopodobnie piękne ręce Krzysztofa. Ale stanowczo wolała uścisk dłoni Ottmana.

Po Trzech Królach przysłała gwałtowna odwilż i ulica Bema tonęła w brzydkim błocie. Wracali właśnie z fabryki i Ottman łagodnie gniewał się na Marychnę, że nie nałożyła botów, gdy w pędzie minął ich dyrektorski samochód, wielka ciemnozielona maszyna.

Spod kół trysnęła struga czarnej wody i błota, ochlapując Ottmana od stóp do głów, a Marychnie nowiuieńkie pończochy.

— O la la! — zawołał bezradnie Ottman.

¹²⁶Beardsley, Aubrey (1872–1898) — ang. rysownik i ilustrator tworzący w stylu secesji; jego czarno-białe grafiki, dekadentki i groteskowe, cechowały się uproszczeniem form, giętkością linii i ornamentalnością. [przypis edytorski]

¹²⁷mitygować się — powstrzymać się, panować nad sobą. [przypis edytorski]

¹²⁸komitywa (z łac.) — zażyłość, bliskie, poufale stosunki. [przypis edytorski]

¹²⁹kombinezka (daw.) — jednoczęściowa bielizna damska, halka przedłużona doszytymi szortami. [przypis edytorski]

— Boże, jak my wyglądamy.

Samochód zatrzymał się o kilkadziesiąt kroków dalej i nagle zaczął się cofać tylnym biegiem. Gdy zrównał się z nimi, otworzyły się drzwiczki i dyrektor Paweł Dalcz wychylił głowę:

— Bardzo państwa przepraszam za nieuwagę mego szofera — powiedział, uchylając futrzanej czapki. — Strasznie was ochlapaliśmy.

— O, drobiazg, panie dyrektorze — uśmiechnął się Ottman.

— W każdym razie nie możecie państwo w tym stanie iść przez miasto. Odwiozę was. Proszę.

— Ależ, panie dyrektorze... Ja doprawdy... Może panna Jarszówna... Poplamiałbym panu cały wóz.

— Siadajcie prędzej. No, już. Niech mi pani poda rękę. Hop!

Marychna w gruncie rzeczy była kontenta. Pończochy się przepiorą, a za to jest rzadka okazja przejechać się limuzyną obok naczelnego dyrektora. Jak to on grzecznie zrobił...

— Dokąd państwa mam odwieźć? — zapytał.

— Ja mieszkam na Lesznie — odpowiedziała Marychna.

— A pan, inżynierze?

— O, ja daleko, na Koszykowej.

— Na Koszykową — rzucił dyrektor szoferowi i zwracając się do Marychny, powiedział: — Musi się pani poświęcić, ale najpierw odwieziemy bardziej poszkodowanego.

— Jak pan sobie życzy, panie dyrektorze.

— Nie upiera się pani przy pierwszeństwie?

— Cóż znowu!

— No, inżynierze, niech pan podziękuję pani — zaśmiał się. — No, jakże, otrzymał już pan te próbki z hartowni?

— Są już w robocie.

— To doskonale. Otóż i Koszykowa. Pod którym numerem pan mieszka?

— Trzydzieści siedem.

Auto stanęło. Ottman pożegnał się, podziękował i wysiadł.

Samochód zawracał.

— Doprawdy, panie dyrektorze, mogłabym wrócić tramwajem. Robię tyle kłopotu...

— Dlaczego nie pomyśli pani — uśmiechnął się do niej — że sprawa mi przyjemność swym towarzystwem?

Zerknęła nań z ukosa i pomyślała, że Krzysztof nic nie przesadził. Paweł Dalcz musiał się podobać kobietom. Odpowiedziała z cieniem kokieterii:

— Cóż ja, panie dyrektorze, pan w ogóle na kobiety nie zwraca uwagi...

— Ja?... Z czego to pani wnioskuje?

— Pan jest taki poważny.

Zamyślił się. Miała wrażenie, że sprawiła mu przykrość, i nie wiedziała, co ma powiedzieć. I tak podziwiała własną odwagę. Jeszcze przed kilku miesiącami każdy dyrektor, a naczelnym tym bardziej, był dla niej czymś groźnym i niedosięgalnym. Dopiero flirt z Krzysztofem ośmielił ją nieco.

— Ma pani rację. Jestem za poważny. Dlatego nie mogę podobać się kobietom. Prawda?

— Ależ bynajmniej! — zaprotestowała.

— Nie znajduje pani?... Zresztą dla pani mogę nie być poważny. Specjalnie dla pani. Widocznie jest to u nas rodzinne...

— Powaga?

— Nie. Sympatia do pani.

Marychna poczerwieniła aż po białka oczu.

— Nie chciałem pani dotknąć — powiedział łagodnie. — Proszę się na mnie nie gniewać, ale nie jest dla mnie tajemnicą, że mój brat stryjeczny kocha się w pani.

Auto stanęło przed przecznicą, zapchaną ciężarówkami.

— Proszę mi powiedzieć, czy Krzysztof jest bardzo o panią zazdrosny? — Lekko pochylił się do niej. — Czy nie wyzwie mnie na pojedynkę za to, że panią emabluję¹³⁰?

¹³⁰emablować (fr.) — otaczać szczególnymi względami, zabawiać, nadskakiwać. [przypis edytorski]

— Pan mnie wcale nie emabluje... — wybąkała nieśmiało.

— Owszem. Emabluję z całą premedytacją. Chcę się pani podobać. Zaraz. Janie — zwrócił się głośno do szofera — na Trzeci Most... Przejedziemy się troszkę. Dobrze?

— Jak pan sobie życzy, panie dyrektorze...

— Proszę mnie nie tytułować dyrektorem. Nie jestem w tej chwili pani zwierzchnikiem, lecz towarzyszem przejażdżki. A może pani jest głodna i bardzo śpieszy na obiad?

— Nie.

— Zatem cóż pani na to, że chcę się pani podobać?

— Pan żartuje.

— Nie, nie żartuję. Krzysztof może smalić do pani cholewki¹³¹, ten chemik może wywracać do niej oczy, dlaczego pani mnie nie może brać? Pani jest bardzo ładna i bardzo młoda. Bierze mnie pani tym wszystkim. To prawda, że nie jestem kobieciarzem, ale przecież o tyle znam się na kobietach. Proszę mi wybaczyć, że wyłożyłem to tak niezdarnie, bez kwiatków, bez bławatków, bez słodkich słówek. To nie moja specjalność. Jak pani na imię?

— Marychna... to jest Maria... — powiedziała, nie podnosząc oczu.

— Lubię to imię — Kiwnął głową. — Marychna... ładnie brzmi. Więc co pani na to, panno Marychno?

Milczała zupełnie zażenowana. Jeszcze nigdy nikt w ten sposób z nią nie rozmawiał. Przecież nie mogła mu tak z miejsca powiedzieć, że od dawna, od pierwszego spojrzenia podoba się jej znacznie więcej od Krzysztofa i od wszystkich innych mężczyzn... i teraz, chociaż miał w sposobie bycia coś chropowatego, wydał się jej jeszcze bardziej interesujący.

— Niech mi pani powie: „Jesteś, przyjacielu, zanadto obcesowy¹³², a to nie leży w moim guście”... Gdy to od pani usłyszę, przestanę pani dokuczać.

— Ale ja tak nie powiem — wydobyła z siebie, zapinając i odpinając torebkę.

— A jak pani powie?... Kocha się pani w Krzysztofie? — zapytał niespodziewanie.

— Dlaczego pan dyrektor pyta... ja doprawdy... — Przygryzła wargi i odwróciła głowę. Miała uczucie jakby skrzywdzonej. Wypytuje ją jak sędzia śledczy. Ona nie ma żadnego obowiązku spowiadać się mu, że jest naczelnym dyrektorem, to jeszcze nie powód, żeby miał prawo nad nią się znęcać...

Nagle poczuła jego rękę na swoich i usłyszała głos łagodny, niemal pieszczotliwy:

— Proszę nie gniewać się, proszę nie gniewać się na mnie. Wiem, że jestem szorstki, że sprawiłem pani przykrość, ale niech panna Marychna weźmie pod uwagę, że nawet ludzie tak szorstcy mogą odczuwać... zazdrość.

Podniósł jej rękę do ust i pocałował.

— No, zgoda między nami? — zapytał z uśmiechem.

Spojrzała nań. Jego szare oczy miały odcień stali, w całym pochyleniu postaci było coś pociągającego.

— Ja się wcale nie gniewam, tylko tak...

Auto zatrzymało się przed jej domem. Wyskoczył i pomógł jej wysiąść.

— Bardzo pani dziękuję za miłe towarzystwo — powiedział, całując ją w rękę — i proszę o mnie odrobinę pamiętać. Dobrze?

— Dobrze. — Skinęła głową i wbiegła do bramy, jakby przed nim uciekała.

Zdarzenie to przejęło ją ogromnie. Przez cały wieczór nic nie robiła, tylko myślała o Pawle Dalczu i o jego zachowaniu się w samochodzie. Jakkolwiek mogła to tłumaczyć, nie ulegało wątpliwości, że wywarła na nim dodatnie wrażenie. W fabryce wszyscy mówili, że w ogóle na kobiety nie zwraca uwagi. Nie na próżno odwiedził najpierw Ottmana... Ile razy przychodził do gabinetu Krzysztofa, zawsze z nią rozmawiał i okazywał dla niej szczególne względy.

Początkowo myślała, że to przez wzgląd na Krzysztofa. Teraz jednak wiedziała, że mu się bardzo podoba. Nie wiedziała tylko, co z tego będzie, nie wiedziała, jak ma postępować w stosunku do niego, no i do Krzysztofa. W każdym razie Krzysztofowi nie wspomni ani słowem o tym wszystkim...

¹³¹smalić cholewki — zalecać się. [przypis edytorski]

¹³²obcesowy — nadmiernie bezpośredni i natarchywy. [przypis edytorski]

Zasypiając, doszła do przekonania, że los człowieka bywa dziwny i że nigdy nie wiadomo, jak się życie ułoży. Najlepiej tedy zostawić wypadki ich własnemu biegowi.

Nazajutrz po przebudzeniu się całe wczorajsze zdarzenie wydało się jej czymś fantastycznym, jakimś przygodnym kaprysem Pawła Dalcza, który na pewno już sam o nim zapomniał... Na próżno też za każdym otwarciem drzwi gabinetu odwracała głowę od maszyny. Nie przyszedł. Podczas przerwy obiadowej spotkała go na korytarzu. Rozmawiał z szefem buchalterii, lecz wcale jej nie zauważył. Był jakiś chmurny i groźny.

O trzeciej umyślnie zwlekała z wyjściem. Pod oknami stała limuzyna dyrektorska, lecz on nie wychodził.

Wróciła do domu sama, gdyż i Ottmana nie było. Czytała wiersze, nie mogąc złapać ich treści, wreszcie rozplakała się, owinęła się w ciepły szal i tak przesie¹³³ fonować albo przysłać bodaj kilka słów, świadczących o tym, że pamięta. Bardzo to nieładnie z jego strony...

— Panno Marychno, herbata na stole! — rozległ się głos gospodyni.

— Już idę.

W chwili gdy poprawiała włosy, zadzwonił telefon w przedpokoju.

— Jakiś pan do pani, panno Marychno — zawołała gospodyni.

„Krzysztof!” — pomyślała Marychna. „Jak to dobrze! Może przyjdzie...”

W słuchawce jednak zabrzmiał niski, fascynujący głos Pawła Dalcza:

— Dobry wieczór, miła koleżanko. Dzwonię, by się dowiedzieć, co pani porabia?

— Ach... to pan...

— Dziwi się pani?

— Nie spodziewałam się — powiedziała tak, jakby mówiła: jakże to pięknie, że pan dzwoni.

— To źle. Zapomniała pani o mnie...

— O...

— Czy pani już po kolacji?

— Już — skłamała, sama nie wiedząc dlaczego.

— To szkoda. Bo widzi pani, ja jestem głodny, lecz nie mniej spragniony widoku pani, i tak sobie pomyślałem, że dobrze byłoby zjeść kolację razem. Hm... Nie zlituje się pani nad samotnikiem?

— Ja doprawdy nie wiem — powiedziała i dostrzegła w lustrze swoją uśmiechniętą i zaróżowioną twarz.

— Wobec tego ja muszę wiedzieć. Proszę się przedziutko ubrać, za dziesięć minut zajadę i będę trąbił na dole. Dosłyszysz pani?... Zresztą i to jest zbędne. Punktualnie za dziesięć minut czekam.

Nim zdążyła coś odpowiedzieć, położył słuchawkę.

— Tra la la, tra la la — zanuciła Marychna i szybko zaczęła się przebierać.

— Herbata, panno Marychno!

— Dziękuję pani, ale muszę wyjść.

Nagle przyszło jej na myśl, że to bezczelne z jego strony tak rozporządzać się nią. Że jest dyrektorem, to jeszcze nie daje prawa. Właściwie nie powinna schodzić. Cóż on sobie wyobraża, że ledwie raczy kiwnąć palcem... Rzuciła okiem na zegarek i z pośpiechem zaczęła nakładać suknię, tę samą, projektowaną przez Krzysztofa. W tej jest najładniej.

Zbiegła na dół o kilka minut za wcześnie. Dął silny północny wiatr i jej lekkie palto zdawało się niczym. Wypatrywała wielkiej ciemnozielonej limuzyny, dlatego też nie spostrzegła zajeżdżającej taksówki. Dopiero gdy się otworzyły drzwiczki, zorientowała się, że to on.

Nie zdejmując swojej futrzanej czapki, pocałował ją w rękawiczkę i pomógł wsiąść.

— Co pan sobie o mnie pomyśli? — odezwała się, gdy wóz ruszył.

Uśmiechnął się:

— Przede wszystkim pomyślę, że pani jest zimno.

Odchylił połowę swego futra i otulił jej nogi.

— Ciepłej tak?

— Ale panu będzie zimno.

¹³³...i tak przesie- — następnego wiersza tekstu brak we wszystkich wydaniach. [przypis edytorski]

— To zależy od pani.

— Ode mnie?

— No, tak. Jeżeli panna Marychna będzie dla mnie dobra i miła, to o chłodzie nie ma mowy. Ale jak można w takim lekkim paletku... Trzeba będzie coś na to zarządzić... Zjemy kolację w „Bristolu”¹³⁴. Lubi pani „Bristol”?

— Nie byłam tam jeszcze nigdy.

— Mam tam mały interes do załatwienia, ale to nie zabierze wiele czasu.

Już w hallu ogarnęło ją miłe ciepło. W sali restauracyjnej było jeszcze prawie pusto. Orkiestra grała cygańskie romanse. Zajęli stolik w dalekim końcu sali.

— Przede wszystkim musimy się rozgrzać — powiedział kelnerowi. — Piekielny mróz.

— Koniaczek szanowny pan każe? Łosoś? Kawiorek?...

— Byle prędko.

— Ja nie będę jadła — odsunęła talerz Marychna — jestem już po kolacji.

— Nie nalegam, ale przecie coś pani przegryzie po koniaku!

Nigdy jeszcze nie jadła kawioru. Był świetny. Z zazdrością patrzyła na towarzysza, który bezceremonialnie polykał wielkie jego porcje. Jej nie wypadło, gdyż była już po kolacji. Wreszcie dała się namówić, gdyż wprost nie była w stanie zapanować nad apetytem, a przekąski to przecie nie jedzenie. Łosoś, śledzie w śmietanie, sałatka z drobiu, sardynki... A do tego bursztynowy, pachnący winem, a taki mocny koniak...

Krzysztof zawsze inaczej dysponował kolację. Bulion z jajkiem, jakiś indyk, melba i wino białe...

Marychnie już nieco kręciło się w głowie, gdy podano sielawy¹³⁵, była jednak już niegłodna i w sam czas przypomniała sobie, że miała tylko towarzyszyć: „Gotów pomyśleć, że jestem głodomorem...”

Przy sąsiednim stoliku usiadł jakiś pan. Był grubawy, łysy i miał bardzo wyczernione wąsy. Kilka razy z zaciekawieniem zerknął ku niej, a gdy jej towarzysz spojrział nań, wstał i ukłonił mu się z rewerencją¹³⁶ i szarmanctwem¹³⁷ starego aktora.

— Kto to taki? — szeptem zapytała Marychna.

Paweł Dalcz nieznacznie machnął ręką:

— Taki sobie jegomość. Właśnie do niego mam interes. No, kieliszek wina, panno Marychno.

Po chwili przeprosił ją na krótko i przesiadł się do sąsiedniego stolika. Nie czuła się tym dotknięta. Uważała za rzecz naturalną, że wielki przemyslowiec ma sprawy do załatwienia w lokalach publicznych i że interesy nie dają mu spokojnie zjeść kolacji. Takie rzeczy nieraz widywała w filmach amerykańskich.

Grubawy pan wstał na jego powitanie i zachowywał się tak, że było widoczne, że jest zależny od niego.

Mówili półgłosem, do Marychny przecie dolatywały poszczególne słowa i niektóre zdania wypowiedziane z większym naciskiem. Paweł Dalcz siedział do niej tyłem i jego głos zlewał się w niskie głębokie dudnienie. Szerokie bary, wysoki mocny kark nad nimi i pięknie zarysowana linia głowy o gładkich blond włosach nie pozwalały jej oderwać oczu. Natomiast ten z przyczernionymi wąsami wymawiał każde słowo w taki sposób, jakby je wypuszczał na świat. Ruch jego warg natrętnie przypominał Marychnie kurę znoszącą jajko.

Zaśmiała się do własnego porównania i wypila wino. Było zimne i miało mocny zapach.

Przy sąsiednim stoliku rozmawiano widocznie o fabryce, gdyż kilkakrotnie padło tam nazwisko dyrektora Jachimowskiego, przy czym interesant robił zadowoloną minę i pstrykał palcami z widocznym ukontentowaniem. Wspomniał też o jakiejś babie, o udziałach Ganta, o jakichś wielkich kwotach dolarów, o procentach, o rejencie...

¹³⁴*Hotel Bristol* — najstarszy i najdroższy hotel w Warszawie. [przypis edytorski]

¹³⁵*sielawa* — bardzo smaczna, wysoko ceniona ryba z rodziny łososiowatych, żyjąca w czystych, głębokich jeziorach. [przypis edytorski]

¹³⁶*rewerencja* (z łac.) — uszanowanie, okazywanie poważania. [przypis edytorski]

¹³⁷*szarmanctwo* — dziś popr.: szarmanckość, tj. wyszukana grzeczność. [przypis edytorski]

Marychnie wszystko plątało się w głowie. Wreszcie słyszała tylko głos Pawła Dalcza. Mówił takim tonem, jakby wydawał dyspozycję, potem wyjął z kieszeni grubą paczkę pieniędzy i wręczył ją pod stołem jegomościowi. Po chwili wstał i wrócił do stolika. Jego uśmiech zdawał się wyrażać zadowolenie.

— Przepraszam śliczną koleżankę za moją nieobecność — powiedział serdecznie.

— Ależ byłoby mi przykro, gdybym miała przeszkadzać...

— Gdzież te kuropatwy? — zawołał na kelnera.

Później podano deser. Dowcipkował wesoło i patrzył na nią tak, że się rumieniła, wreszcie powiedział:

— Mam dziś dobry dzień. Trzeba to uczcić szampanem.

— Udał się panu jakiś interes?

— Moje miłe stworzonko, zgadła pani, ale nie trzeba o tym mówić.

Wziął jej rękę i pogłaskał tak, jak się głaska kota.

— Lubi mnie panna Marychna chociaż troszeczkę?...

Wypity alkohol skutkował. Zrobiła się śmielsza. Przechyliła zalotnie głowę i zapytała:

— A zależy panu na tym chociaż odrobinę?

— Gdybyśmy tu byli sami — powiedział, mrużąc oczy — udowodniłbym to pani bez użycia jakiegokolwiek słowa.

— Ale nie jesteśmy sami — zaśmiała się zaczepnie.

Pochylił się do niej:

— Jeszcze nie — szepnął — a chcielibyśmy tego oboje. Prawda?

Podążyła się nieświadomie ku niemu i odpowiedziała:

— Tak.

— Kelner! Płacić! — zawołał.

— Już idziemy?... Tak ładnie gra orkiestra i właśnie zaczęli tańczyć...

— Chciałaby panna Marychna zatańczyć?

— Bardzo...

— Ja niestety nie umiem, ale rzecz jest do zrobienia.

Nadbiegł kelner. Paweł Dalcz rzucił mu krótko:

— Rachunek dla mnie i fordansera¹³⁸ dla pani.

— W tej sekundzie, proszę pana.

Marychna skrzywiła się:

— Ale ja nie chcę tańczyć z jakimś bubkiem! Ja chciałam z panem!...

— Musi mnie pani dopiero nauczyć.

— Więc chodźmy, to wcale nietrudno — zapewniała z przekonaniem. — Chodźmy!...

— Nie — potrząsnęła stanowczo głową — nie chce chyba pani, bym ja, poważny człowiek, kompromitował się publicznie swoimi niezdarstwami początkującego dansera¹³⁹?... Prawda?

— Kiedy pan wcale nie jest taki starszy... A to bardzo łatwo. Mnie nigdy nikt nie uczył, a tańczyć wcale nieźle od pierwszego razu...

— Kobiety co innego. Mają wrodzony talent... No, proszę.

Przed Marychną stał w ukłonie wylizany typek w smokingu, ze smutną i bezczelną gębą. Cóż miała robić... Wstała i poszła na ring¹⁴⁰.

Tango, jak zapewniał gigolo¹⁴¹, było upajające. Wolałaby z Pawłem, wolałaby, podnosząc wzrok, widzieć jego szare przenikliwe oczy, które wywołują dreszcz nie wiadomo dlaczego tak obezwładniający... Od tak dawna nie tańczyła. Wprawdzie z Krzysztofem nieraz bywała na dancingu, ale on nigdy nie chciał, a gdy raz nieśmiało zauważyła, że niektóre panie tańczą z fordanserami, oburzył się i powiedział, że są to rozwydrzone dziwki, które chętnie tańczyłyby nago, gdyby nie bały się policji. I mówił, że to zły ton.

A przecież jego stryjeczny brat, taki sam wielki pan i też znający wszystkie formy, nic złego w tańczeniu pań z fordanserami nie widział, skoro nie tylko jej pozwolił, ale nawet sam zaproponował.

„Krzysztof jest świętoszkiem” — pomyślała.

¹³⁸fordanser — płatny partner do tańca, pracujący w lokalach rozrywkowych. [przypis edytorski]

¹³⁹danser (daw.) — partner w tańcu, tancerz. [przypis edytorski]

¹⁴⁰ring — tu: parkiet taneczny, wydzielona przestrzeń do tańca. [przypis edytorski]

¹⁴¹gigolo — dziś raczej: *zigolo*, fordanser, płatny partner do tańca w lokalu rozrywkowym. [przypis edytorski]

— Małżonek szanownej pani nie tańczy? — zapytał gigolo.
 — Co?
 — Małżonek pani nie używa tańca? — powtórzył.
 — Nie. Nie umie.
 — Jakże wiele traci — westchnął — pani tańczy jak Sylfida¹⁴², jak Petrarca¹⁴³...
 — Czy rzeczywiście znajduje pan?
 — O, tak. Ma pani w tańcu taką finezję, licencję¹⁴⁴, powiedziałbym nawet fantasmagorię¹⁴⁵. Pani jest stworzona na Melpomenę¹⁴⁶!
 Pochlebilo jej to bardzo. Bądź co bądź opinia zawodowca coś znaczy.
 — Na kogo jestem stworzona? — zapytała życzliwie.
 — Na Melpomenę. To była taka bogini tańca, wina i miłości, ale przeważająco tańca. Pani będzie łaskawa w lewo... o tak... Dlaczego pani tu nie bywa?... Pani nie może pojąć tęsknoty takiego tancerza, jak ja, do takiej partnerki, jak pani...
 — Skończyli grać — zatrzymała się z żalem.
 — O, dla nas muszą powtórzyć. Takiego szczęścia nie wyrzeknę się łatwo.
 Publiczność poklaskała ospale dla dopełnienia formalności i orkiestra zaczęła grać znowu.
 — Taniec to moja żywioła¹⁴⁷ — mówił melodyjnym głosem. — Właściwie, proszę pani, jestem zaniedbanym artystą. Ale czego się nie robi dla egzystencji... Życie segreguje człowieka bez uwzględnienia.
 — Życie nie jest romansem — powiedziała, by znaleźć się w tymże szlachetnym i sentymentalnym tonie konwersacji, tak pasującej do rzewnych tonów tanga.
 — Pani jest bardzo subtelna i platoniczna, jak rzadko — westchnął.
 Skończyli. Odprowadził ją do stolika i skłonił się wdzięcznie. Paweł kiwnął mu głową i schował do kieszeni notatnik, w którym przez cały czas coś zapisywał. Krzysztof, gdyby nawet pozwolił jej tańczyć, nie spuszczałby z niej oka. A Paweł nie jest zazdrosny... Jest taki pewny siebie, no bo zna swoją cenę...
 — Jakże się tańczyło? — zapytał.
 — O, świetnie. Ten gigolo doskonale prowadzi.
 — Pewnie gadał pani jakieś głupstwa?
 — Przeciwnie. To bardzo inteligentny człowiek... On jest nawet artystą, tylko nie wiodło się mu... Powiedział, że tańczy jak Melpomena.
 — A ta dama dobrze tańczyła czy źle? — spojrzał na nią z uśmiechem.
 — No przecie! Pan żartuje... Żeby źle tańczyła bogini tańca!
 — Tak?... Hm... i ja tak myślę, a nie wie pani, czy ona nie udzielała czasem lekcji tańca? Miałbym wielką ochotę.
 — Ach, jak to dobrze, jak to dobrze — ucieszyła się. — Więc zatańcz pan ze mną?
 — Wypijmy. — Nalał jej kieliszek.
 — Cudowne to wino...
 — Za pomyślność naszej pierwszej lekcji!
 W chwili gdy kieliszki były już puste, orkiestra zaczęła grać.
 — Chodźmy — zerwała się Marychna.
 — Tak, ale nie tu — wstał również.
 — Więc gdzie? — zdziwiła się.
 Nie odpowiedział. W szatni podano mu futro. Przed hotelem stał długi szereg aut. Wsiedli do taksówki.

¹⁴²*Sylfida* — główna bohaterka romantycznego baletu *Sylfida* (1832), pełna wdzięku i gracji dziewczyna zamieniona po śmierci w żeńską odmianę sylfa (czyli ducha powietrza wg średniowiecznych legend). [przypis edytorski]

¹⁴³*Petrarka*, właśc. *Francesco Petrarca* (1304–1374) — włoski poeta; zasłynął cyklem wierszy miłosnych, głównie sonetów, poświęconych Laurze, której tożsamość pozostaje nieznana. [przypis edytorski]

¹⁴⁴*licencja* (łac. *licentia*: swoboda, wolność) — odstępstwo od przyjętych zasad i reguł, zwykle w sztuce. [przypis edytorski]

¹⁴⁵*fantasmagoria* — iluzja, fantastyczne obrazy, wizje, również wymieszanie jawy i snu. [przypis edytorski]

¹⁴⁶*Melpomene* a. *Melpomena* (z gr. *melpô*: świętować pieśnią i tańcem) — w mit. gr. pierwotnie muza pieśni, później stała się muzą tragedii, z czego jest obecnie powszechnie znana, przedstawiana na koturnach, ze smutną maską tragiczną. Za muzę tańca i płynącej z niego radości tradycyjnie uznaje się Terpsychorę. [przypis edytorski]

¹⁴⁷*żywioła* — dziś popr. r. m.: żywioł. [przypis edytorski]

— Ujazdowska — powiedział szoferowi.
— Czy to też restauracja? — zapytała.
— Nie. Pojedziemy do mnie. Mam doskonały gramofon, przy którym świetnie się tańczy.

Marychnie kręciło się w głowie i była nie bardzo przytomna. Pomimo to przestraszyła się:

— Nie, ja nie chcę... ja nie chcę...
— Ależ dlaczego?... Boi się mnie Marychna?...
— Nie, nie, to nie wypada. Tak nie można. Co sobie pomyślą...
— Nikt nic nie pomyśli, bo nikt nas nie zobaczy.
— Kiedy to źle, ja się wstydzę...

Wziął ją za rękę i powiedział prawie surowo:

— Krzysztofa nie wstydzi się pani. Proszę lepiej być szczerą i powiedzieć, że nie podobam się pani. No?

— Pan się na mnie gniewa — skrzywiła się jak do płaczu... — a ja... a mnie... tu tak zimno...

Bez słowa objął ją, przytulił do siebie, przechylił jej głowę i wpił się w usta.

Zrobiła krótki gest obrony, lecz już w sekundę później przywarła doń z całej siły. Nie wyobrażała sobie, by pocałunek mógł być aż tak rozkoszny. Traciła oddech... Jakże inaczej całował Krzysztof... Tamten zdawał się zawsze smakować, a ten brał ją, wchłaniał...

Drżały jej kolana, gdy wchodziła po szerokich marmurowych schodach. Na pierwszym piętrze otworzył drzwi i przepuścił ją przed sobą.

Amfilada¹⁴⁸ ogromnych pokojów rozjarzyła się światłem. Bardzo wysokie sufity, lśnią-ce posadzki pokryte dywanami, złociste portiery¹⁴⁹, wspaniałe meble... wprost nie wyobrażała sobie takiego przepychu w życiu... Tylko w kinie, w pałacach milionerów widuje się coś podobnego.

Szła na palcach jak w kościele albo w muzeum.

Od dzieciennych lat dyrektor fabryki był dla niej, tak samo jak i dla całej jej rodziny, istotą nieosiągalną, wszechwładną, nieomal nadprzyrodzoną. Nie tylko trzymał w ręku byt ich domu, nie tylko był Olimpem, na który zaledwie wolno podnosić oczy, lecz otoczony był nimbem¹⁵⁰ przypowieści, anegdot pełnych podziwu, z pietyzmem¹⁵¹ przechowywanych powiedzonek, z których każde niezwykłą miało wartość dlatego, że padło z ust kogoś z Dalców.

Nigdy jednak poczucie tego dystansu nie wyraziło się tak sugestywnie, jak teraz, gdy znalazła się w tym mieszkaniu.

Paweł zdjął z niej palto i puścił gramofon. Był ten sam, co i przed chwilą w aucie, a jednak zdawał się być zupełnie kimś innym, przy kim ona nic nie znaczyła, przy kim nikła.

— No, mój uroczy gościu, nad czym tak myślisz?

— Tak... nic...

— Przystępujemy do edukacji niedźwiedzia w tańcu. Czy może niedźwiedź służyć?...

Uśmiechnęła się nieszczerze:

— Ja już pójdę, panie dyrektorze...

— Jak mnie pani nazywa! — oburzył się.

— Przepraszam, ale tak mi się kręci w głowie... ja już...

— Nie żartujmy. Lekcji nie daruję. Służę.

Pociągnął ją, otoczył mocno ramieniem i zaczęli tańczyć.

Po kilku dopiero okrążeniach pokoju zorientowała się, że on tańczy świetnie i że tak jej dobrze.

Płyta się skończyła i gramofon sam się wyłączył. Paweł usiadł na szerokiej tachcie¹⁵² i posadził ją przy sobie.

— Ależ pan doskonale tańczy — powiedziała, przecierając skronie, w których huczało.

¹⁴⁸amfilada — szereg przechodnich pokojów z wejściami ustawionymi w jednej linii. [przypis edytorski]

¹⁴⁹portiera — zasłona z grubego, ciężkiego materiału, umieszczana przy drzwiach. [przypis edytorski]

¹⁵⁰nimb — świetlisty krąg wokół głów istot boskich i świętych; przen.: chwała, splendor. [przypis edytorski]

¹⁵¹pietyzm (z łac. *pietas*: pobożność) — głęboki szacunek, cześć dla jakiejś osoby lub rzeczy. [przypis edytorski]

¹⁵²tachta (daw.) — rodzaj dużej kanapy bez oparcia; tapczan. [przypis edytorski]

— Jestem pojętnym uczniem?

— Już pewno bardzo późno — zerwała się.

Przytrzymał ją i posadził sobie na kolanach:

— Chodź tu. Jesteś diabelnie apetyczna... Taka świeżość bije od ciebie...

Nie broniła się.

— Dlaczego chciałaś wyjść? — mówił zdyszany. — Przecie nie będziesz mi kłamała, że mnie nie pragniesz... że nie chcesz być moją...

Nagle wstał, podniósł ją na rękach wysoko i zaniósł do sypialni. Było tu prawie ciemno. Tylko przy wielkim łóżku paliła się niska różowa lampka.

Nie umiała, nie miała odwagi oponować. Nie widziała go, czuła tylko na sobie jego bezlitosny wzrok, męczące, uparte patrzenie szarych, zimnych oczu. W pokoju było bardzo ciepło, lecz pomimo to trzęsła się jak w febrze, a jej skóra ściągnęła się i stała się chropowata.

Chciała zapłakać, chciała zawołać, że się boi, lecz zęby szczękały, a z krtani nie mógł wydobyć się ani jeden dźwięk. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje.

Dreszczem przeszedł po niej chłodny dotyk pościeli i tuż potem gorący dotyk jego dłoni na ramieniu.

— Co ci jest, dziecko, czego się boisz? — usłyszała wypowiedziane prawie pieszczotliwym głosem tuż przy uchu.

To ją oprzytomniło. Odruchowo przywarła doń całym ciałem, oplótła go mocno rękami, jakby w nim szukając obrony przed nim samym... Jej nagie ramię oblewał jego gorący oddech, coraz szybszy, niemal świszczący. Pulsy waliły w skroniach, głowę ogarnął niepojęty zawrót, w piersiach wezbrała fala krwi... ciało wygięło się i wyprężyło w gniotącym uścisku...

Ostry, przesywający ból przeniknął ją całą. Krzyknęła i bezwładnie opadła na poduszki.

Teraz ukryła twarz w poduszce i zaczęła płakać.

Nie mogła jeszcze zebrać myśli, ale zdawała sobie sprawę z tego, że stało się w jej życiu coś ważnego, coś decydującego, czego przecież nie żałowała, a co napełniało ją jakimś nieuzasadnionym smutkiem... Została jego kochanką, zdradziła Krzysztofa. Tak odpłaciła mu jego dobroć, jego delikatność... Postąpiła podle, ale to tylko wina samego Krzysztofa... Dlaczego utrzymywał ją w wiecznej niepewności, dlaczego okrywał się zawsze przed nią tajemniczością... Nie będzie mogła spojrzeć mu w oczy, ale sam sobie winien....

Nie odwróciła głowy, chociaż słyszała, że Paweł wstał i zapalił papierosa. Wstydziała się.

— Wytłumacz mi — odezwał się — co to ma znaczyć?

Nie zrozumiała, o co mu chodzi, i mocniej przywarła do poduszki.

— Marychno, co to ma znaczyć? — powtórzył. — Przecie wszyscy twierdzili, że jesteś kochanką Krzysztofa?...

— To nieprawda — powiedziała cicho.

Zaśmiał się:

— No, teraz nie potrzebujesz mnie o tym przekonywać. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej... Bywał przecież u ciebie, i to często. Czasami do późnej nocy. Takie rzeczy nie dają się ukryć. Wszyscy widzieli, że gapił się w ciebie jak sroka w gnat i przewracał oczy. Więc cóż u licha?

Marychna milczała.

— Kochał się w tobie platonicznie?

— Ja nie wiem...

— Czy po prostu jest niedorajdą? Co?

— Po co pan o tym mówi...

— Nie nazywaj mnie panem. A możeś ty go nie chciała?... Nawet nie całowaliście się?

Nic nie odpowiedziała.

— No, chyba nie potrzebujesz robić przede mną tajemnic — powiedział nie bez irytacji.

— Owszem — szepnęła.

— Co? — zdziwił się. — Dlaczego robisz z tego tajemnicę?

— Ja mówię, że owszem, że całowaliśmy się...
— I więcej nic?... Nie myślałem, że z niego taki fajtłapa... Jak to, i nigdy nie zabierał się do ciebie?

— Pan tak mówi... ja się wstydzę...

Roześmiał się, zgasił papierosa, położył się obok niej i odwrócił ją bez ceremonii twarzą do siebie.

— Nie ma czego się wstydzić, moja śliczna panienko — uśmiechnął się do niej. — Chyba jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Jego szare oczy uśmiechały się również dobrotliwie, po ojcowsku. Rozchyłona pidżama odsłaniała szeroką pierś, z lekka przycienioną włosami. Wydał się Marychnie bliskim i serdecznym.

Zaczęła opowiadać o sobie i o Krzysztofie. Sama nie wiedziała, co o nim myśleć. Zawsze był dziwny, czytał wiersze, zachowywał się tak, jakby był zazdrosny, jakby kochał ją, a przecież nigdy nie wspomniał o tym ani jednym słowem. I on jej się podobał, bo jest taki ładny i taki chyba nieszczęśliwy, na pewno nieszczęśliwy, bo wciąż jest zamyślony i smutny... Nieraz chciała go pocieszyć, ale on, gdy tylko przyszło co do czego, cofał się i robił się jeszcze smutniejszy.

Początkowo podejrzewała go, że może jest, broń Boże, jakimś kaleką, że cierpi na jakąś straszną chorobę, ale sam mówił, że jest zdrow, i nawet pokazywał jej swoją książeczkę wojskową, gdzie wyraźnie było napisane, że służył w wojsku i jest zdatny do dalszej służby...

— A może chciał się z tobą ożenić? — zapytał takim tonem powątpiewania, że uczuła się tym dotknięta.

Sama nigdy nie myślała o tym poważnie, ale ostatecznie dlaczego Paweł uważał to za taką niemożliwość! Że Krzysztof jest bogaty... Alboż to mało ubogich panien wychodzi za mąż za milionerów?...

— Może i chce — skłamała. — Czy ja wiem...

— Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego — powiedział obojętnie. — Sądzę nawet, że byłaby z was dobrana para. On demoniczny brunet, a ty wiośniana blondynka o takiej ślicznej różowej buzi...

— Nie... nie... — odpychała go z całych sił.

Wspomnienie tego, co się stało przed chwilą, kazało się jej bronić. Z drugiej strony opanowywało ją poczucie konieczności, posłuszeństwa, niemal pragnienie zaspokojenia jego wymagań...

Gdy w pół godziny później wychodziła już ubrana z łazienki, ku swemu zdumieniu zastała Pawła w gabinecie przy biurku. Siedział w pidżamie przed stosem papierów tak pogrążony w pracy, że zdawał się jej nie spostrzegać. Jego profil w kręgu lampy zaznaczył się twardymi mocnymi liniami, a ściągnięte brwi wyglądały pięknie i groźnie.

Stąpając na palcach, nałożyła przed lustrem kapelusz i palto, gdy odezwał się równym spokojnym głosem:

— Niepodobna, byś chodziła w tym powiewnym paletku. Zrobię ci mały podarek. Bądź tak dobra i wstąp jutro do kuśnierza na Miodowej. Nazywa się Tieferman. Wybierz tam sobie jakieś przyzwoite futro. Rachunek ureguluję ja.

Marychna poczerwieniała:

— Czy... czy to ma być... zapłata za... to, że się... panu oddałam? — wyrzuciła ze ściśniętego gardła.

Odłożył ołówek i obejrzał się:

— Nie myślałem, Marychno, że z ciebie taka gaska.

— Pan mnie obraził... pan mnie krzywdzi... pan sądzi, że ja dlatego, że pan jest bogaty...

W oczach jej ukazały się łzy.

— Jesteś głupiutka. Bardzo głupiutka — powiedział spokojnie. — Po pierwsze, nie ty mnie się oddałaś, a ja ciebie wzięłem. Po drugie, nie jest to zapłata, bo równie dobrze i ty musiałabyś mi zapłacić. Jak w ogóle może być mowa o zapłacie wówczas, gdy obie strony sprawiają sobie wzajemną przyjemność! Postanowiłem kupić ci futro, bo nie chcę, byś się zaziębiła i rozchorowała. A chyba wolno mi zrobić prezent temu, kogo lubię, i to prezent taki, jaki mu jest potrzebny?

— Takie drogie prezenty robi się tylko kokotom¹⁵³ — przygryzła wargi.
— Serio?... Nie wiedziałem. Dużo takich prezentów rozdawałaś już kokotom?
— Pan kpi ze mnie...

Wstał i pogłaskał ją po twarzy:

— Nie, dzieciaku, ja, widzisz, nigdy żadnych prezentów nie robiłem kokotom, a tobie zrobię taki, na jaki mnie stać. Gdybym był biednym monterem, kupiłbym ci wełniany sweter. Rozumiesz?... A tak proszę cię tylko, byś wybrała sobie coś ładnego, ciepłego i nie zanadto efektownego, bo zazdrościłyby ci koleżanki i pytłowałyby¹⁵⁴ za dużo o rozrzutności... Krzysztofa.

Roześmiał się i pocałował ją w usta.

— I tak będą mówiły — szepnęła.

— Na to nie ma rady.

— Ale ja nie chcę — próbowała bronić się bez przekonania. — Zresztą, co pomyśli Krzysztof.

— Nic nie pomyśli, bo mu przecie ani słówkiem nie piśniesz o naszej bliższej znajomości. A futro znowu nie kosztuje tyle, byś nie mogła wziąć na raty. Kuśnierz nazywa się Tieferman, nie zapomnij. Masz to załatwić zaraz jutro po biurze. Adres dokładny znajdziesz w katalogu telefonicznym. I bez żadnych wykrętów! Koniecznie jutro, bo inaczej to już ja się z tobą potrafię porachować, niegrzeczna dziewczynko!

Znowu jego oczy miały wyraz ciepły i dobry.

— Ale w takim razie — podniosła buntowniczo głowę — to i pan musi ode mnie przyjąć prezent.

— Z rozkoszą — zaśmiał się.

— Mnie nie stać na taki cenny...

— Moja droga — przerwał — cenność każdej rzeczy, jej wartość nigdy nie jest ważna. Ważne jest tylko to, jaką wartość my jej przypisujemy. Spójrz na ten pierścionek. Jego wartość jest zależna tylko od tego, na którym jest palcu. Na moim jest dla ciebie wspaniałym brylantem, lecz gdybyś zobaczyła go na ręku stróża, wiedziałabyś, że to nędzna imitacja. Prawda?... Więc widzisz, na świecie nie ma wartości bezwzględnych...

Zmarszczył brwi i patrząc gdzieś w kąt pokoju dodał:

— Kto tego nie wie, ten nie może podbić świata, choćby się na głowie postawił... No, ale to ciebie nie obchodzi... O czym mówiliśmy?... Aha! Więc choćbym ci ofiarował pałac, a ty mnie, przypuścmy, krawat, mogę pozostać twoim dłużnikiem... *A propos*¹⁵⁵, jeżeli to ma być krawat, niech będzie szary i w paski. Dobrze?

Śmieli się¹⁵⁶ oboje, gdy on spojrzał na zegarek:

— No, nie wypisz się dziś — skonstatował¹⁵⁷. — Daruj, że cię nie odprowadzę, ale mam jeszcze dużo roboty. Tuż za rogiem znajdziesz taksówki. Masz drobne?

— Mam — powiedziała i przypomniała sobie, że ma w torebce zaledwie półtora złotego, ale to nic, bo pójdzie i tak pieszo.

On jednak widocznie nie należał do łatwowiernych. Pomimo oporu Marychny sprawdził zawartość torebki.

— Wstyd tak kłamać — powiedział surowo i włożył do torebki kilka monet. — To jest pożyczka, oddasz mi ją, jak będziesz bogata. A uważaj, byś pojechała taksówką. Będę wyglądał przez okno!

Czuła się przy nim jak dziecko, które na próżno mobilizuje wszystkie swoje wybiegi. Zostają poznane i unieszkodliwione z łatwą pobłażliwością.

Na ulicy było pusto, zimno i strasznie. Nawet szofer taksówki miał minę niewywołującą zaufania. Lękliwie unikała jego wzroku, podając swój adres. Szyby były tak zamaznięte, że siedziała jak w lodowni, nie mogąc sprawdzić, jakimi ulicami ją wiozą. Na szczęście auto stanęło przed jej domem. Szybko wbiegła po schodach i po chwili była już w swoim ciepłym pokoju. Rozebrała się bardzo prędko i zasypiając myślała o tym, że

¹⁵³ *kokota* (daw.) — prostytutka. [przypis edytorski]

¹⁵⁴ *pytlować* (pot.) — mleć językiem, trajkotać, paplać. [przypis edytorski]

¹⁵⁵ *a propos* (fr.) — przy okazji, w związku z; wyrażenie wprowadzające nowy temat w nawiązaniu do czegoś, o czym była mowa wcześniej. [przypis edytorski]

¹⁵⁶ *śmieli się* (daw., reg.) — dziś: śmiáli się. [przypis edytorski]

¹⁵⁷ *konstatować* — stwierdzać jakiś fakt. [przypis edytorski]

Paweł jest prawdziwym mężczyzną, że wybierze sobie czarne źrebaki i że Krzysztof niczego się nie domyśli. Byle tylko zostało jej trochę czasu, byle jutro jeszcze nie przyszedł do fabryki...

I rzeczywiście nie przyszedł.

Sekretarz Holder, który z rana zajął do gabinetu z powodu jakiegoś drobiazgu, powiedział, że podobno pan Krzysztof Dalcz ciężko zachorował, bo wezwano telegraficznie jakiegoś specjalistę z Wiednia.

Marychna przeraziła się. Uderzyła ją myśl, że postąpiła nędznie i zdradziła go w chwili, gdy ten być może walczy ze śmiercią. Po kilku zaledwie godzinach snu i po tej dręczącej nocy sama wyglądała blado i miała spieczoną wargi.

— Pani też coś jest, panno Marychno — przyjrzał się jej Holder.

— Nie, nic.

— Robi pani wrażenie, jakby panią coś gnębiło na duszy i na ciele...

Poczerwieniała i wzruszyła ramionami:

— Zdaje się panu — powiedziała nie bez irytacji i zaraz po jego wyjściu wyjęła lustro, by sprawdzić, czy to istotnie po niej znać. Oczy miała podkrążone i nienaturalnie lśniące. Wyglądała z tym ładnie, nawet interesująco. Nie przypuszczała, że to, co z nią tej nocy zaszło, będzie tak widoczne. Co za szczęście, że Krzysztof dziś nie zobaczy jej. Na pewno nabrałby podejrzania...

Przyłapała siebie na tej niedobrej egoistycznej myśli i skarciła się sama. Jak mogła cieszyć się, kiedy on jest tak niebezpiecznie chory. Ale skoro sprowadzono lekarza aż z zagranicy, ten go uleczy i wszystko skończy się dobrze.

W ciągu całego dnia Paweł nie zajął do niej ani razu. Musiało go też nie być w fabryce, gdyż szukano go nawet tu. Dwa razy wpadł, niczym oparzony, dyrektor Jachimowski i raz Blumkiewicz.

— Proszę pana, proszę pana — zatrzymała go.

— Słucham panią!

— Nie, nie, kiedy ja widzę, że pan się bardzo śpieszy...

— Istotnie, proszę pani, śpieszę bardzo, dlatego proszę łaskawie...

— Chciałam spytać, jak zdrowie pana Krzysztofa?

Spojrzał na nią przelotnym wzrokiem, w którym malowała się ironia:

— Dziękuję, zupełnie dobrze.

— A po cóż sprowadzono lekarza aż z Wiednia? — zapytała naiwnie.

Blumkiewicz, zabierający się już do odejścia, stanął jak wryty:

— Skąd to pani wie?!

— No... mówili. Tu w biurze mówili.

— Biuro jest gniazdem plotkarstwa — syknął Blumkiewicz i jego układna pomarszczona twarz przybrała jadowity, zły wyraz.

— Ale cóż w tym złego? — zdziwiła się Marychna.

— Nic złego. Ludzie najlepiej i najmądrzej robią, proszę pani, gdy zajmują się sprawami, które do nich należą.

Uklonił się i wyszedł, a Marychna obiecała sobie poskarżyć się Krzysztofowi, że ten obrzydliwy Blumkiewicz potraktował ją niegrzecznie... Właściwie to należało raczej powiedzieć o tym Pawłowi... Przecie z Pawłem ten Blumkiewicz więcej się musi liczyć...

Paweł jednak nie pokazał się w ciągu całego dnia.

Wyszła z fabryki później niż zwykle i na przystanku spotkała inżyniera Ottmana. Jego płowe, krzaczasto przyszyżone wąsy pokryte były szronem i soplekami lodu. Wyglądał jak nauczyciel wiejski w swoim wytartym palcu, z jaskrawymi rumieńcami na policzkach i z zaczerwienionym nosem. Było w nim coś prowincjonalnego. I w ubraniu, i w sposobie witania się.

Gdy znaleźli się w tramwaju, w którym o tej porze nie było tłoku, Marychna powiedziała:

— A ja dziś mam daleką podróż: jadę na Miodową.

Oczekiwała objawu zaciekawienia, lecz ponieważ tylko przyglądał się jej z jakimś głupim uśmiechem, zaniepokoiła się:

— Dlaczego pan tak na mnie patrzy?

— Nie, nic, przepraszam panią... Zamyśliłem się. Widzi pani, pracuję teraz nad pewnym wynalazkiem, nad bardzo ważnym wynalazkiem, i to mi zaprzęta głowę...

— Sądziłam, że zauważył pan coś niezwykłego w moim dzisiejszym wyglądzie.

Spojrzał uważnie i zrobił zdziwioną minę:

— Niezwykłego?... Co znowu, bynajmniej.

— Jednakże kilka osób mi to mówiło... — upierała się — chociaż sama doprawdy nie wiem dlaczego. Prawda?

Prostodusznie przytwierdził¹⁵⁸, co wręcz zirytowało Marychnę. Nachmurzyła się i siedziała milcząca. Czuła się pokrzywdzona tym, że nie ma na świecie nikogo, komu mogłaby się zwierzyć z tak ważnych przemian w jej życiu, kto by miał prawo, a chociażby możliwość dopytywania się o to, co ona robi, co zamierza, dlaczego jest smutna lub wesoła. Oczywiście, każda panienka z jej sfery zazdrościłaby jej powodzenia, jakie miała u takich ludzi, jak obaj Dalczowie. Ponieważ jednak nie miała do kogo ust otworzyć, samo powodzenie traciło połowę swojej wartości.

Słuchała obojętnie szmerzącego głosu Ottmana. Co ją obchodzić może jakaś terpentyna, kauczuk czy elektroliza! Złościło ją po równu¹⁵⁹ to, że mówił o rzeczach, których nie знаła, jak i to, że wcale nie zapytał, po co jedzie na Miodową. A przecież powtórzyła to dwa razy ze specjalnym naciskiem, jako wypadek niezwykły, niecodzienny. Jej rozdrażnienie bliskie już było wybuchu. Tę dopiero osłupiał, gdyby tak z miejsca wypaliła mu:

— Jadę wybrać sobie wspaniałe futro, które mi funduje naczelny dyrektor!... Dlaczego funduje?... Ano, bo jestem jego kochanką! Tak! Kochanką!... On jest zakochany we mnie do szaleństwa i byłem kiwnęła palcem, kupi mi dwa, trzy futra, auto, brylanty, takie duże, jak sam ma na pierścionku... Co tylko zechcę, rozumiesz pan?... A pan będzie całe życie chodził w tym wytartym paletku i żadna dziewczyna na pana nie spojrzy razem z pańską idiotyczną terpentyną i kauczukiem!...

Gryzła wargi i podniecała się efektem, jaki wywołałaby tymi słowami, ale Ottman ani przypuszczał, że się w niej aż gotuje. Zerwała się z miejsca.

— Ależ pani na Miodową, powinna pani się przesiąść — przytrzymał jej rękę.

— Namyśliłam się — podniosła głowę. — Pojadę taksówką. Nie znoszę tramwajów.

Dopiero teraz dojrzała w jego wzroku zaniepokojenie. To ją poniekąd zadowoliło. Przyszło jej do głowy, że prawdziwe powodzenie mogą mieć tylko kobiety tajemnicze i demoniczne, takie jak na przykład Greta Garbo¹⁶⁰ albo Marlena Dietrich¹⁶¹.

U kuśnierza pusto było w sklepie. Do obsługiwania Marychny zabrali się aż trzej subiekt¹⁶². Przez ladę przesliznęło się kilkadziesiąt najrozmaitszych futer. Przymierzała je żarłocznie. Trójskrzydłe lustro odbijało jej zgrabną sylwetkę we wszystkich możliwych pozach, przegięciach i profilach. Umyślnie przeciągała załatwienie kupna, gdyż okropnie wstydziła się momentu, gdy będzie musiała powiedzieć, że rachunek ureguluje pan Paweł Dalcz. Była chwila, że w ogóle zrezygnowałaby z futra, lecz Paweł kazał stanowczo, a poza tym na przykład czarne kasztanki wcale nie były drogie, a tak w nich czuła się ładną i szykowną damą.

— Chyba wezmę to — powiedziała — tylko że to proszę na rachunek...

— Ach! — podchwycił subiekt. — Na rachunek pana Dalcza?... Wiemy, wiemy, proszę szanownej pani, pan dyrektor Dalcz telefonował, ale może pani wzięłaby to futerko? Tylko o dwieście złotych droższe, a lisy...

— Nie, nie. Wezmę to.

— Pani rozkaże odesłać?...

Nie mogła oprzeć się pokusie i zostawiła do odesłania swoje stare palto. Szła ulicami okrężną drogą i nacieszyć się nie mogła swoim odbiciem w szybach wystaw. Jednak Paweł tylko pozornie jest taki surowy i oschły. To nawet bardzo po męsku nie okazywać czułości,

¹⁵⁸ przytwierdził — dziś: potwierdził. [przypis edytorski]

¹⁵⁹ po równu (daw.) — w równym stopniu, tak samo; równie; tu: zarówno. [przypis edytorski]

¹⁶⁰ Garbo, Greta, właśc. *Greta Lovisa Gustafsson* (1905–1990) — szwedz. aktorka filmowa, jedna z największych gwiazd kina lat 20. i 30. XX w. (*Dziki orzechy, Mata Hari*). [przypis edytorski]

¹⁶¹ Dietrich, Marlena, właśc. *Marie Magdalene Dietrich* (1901–1992) — amer. aktorka filmowa i piosenkarka pochodzenia niem., wielka gwiazda kina lat 30. XX w. (*Błękitny anioł*). [przypis edytorski]

¹⁶² subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

a jednocześnie tak o kogoś dbać. Gdyby go nic nie obchodziła, nie wyrzucałby na futro kilkuset złotych. Trudno chodzić z takim Kopciuszkiem do szykownych lokalów. Pewno tak nalegał, żeby zaraz kupiła, dlatego że dziś zabierze ją na dancing...

Jednak omyliła się. Nie tylko nie zabrał, lecz nawet nie zatelefonował. Nie pokazał się też wcale w fabryce ani tego, ani następnego dnia. Od Holdera dowiedziała się, że jest bardzo zajęty i że wszystkie dyspozycje wydaje telefonicznie. Dlatego właśnie oczekiwała, że i do niej zadzwoni. Każdy jednak odebrany przez nią telefon powiększał uczucie zawodu.

„Byłam dla niego tylko zabawką na jedną noc” — myślała gorzko i chociaż nie tylko nie pragnęła drugiej, lecz bała się jej, jako związanej ze wspomnieniem bólu, uważała się jednak za oszukaną, uwiedzioną i porzuconą.

Tak minął tydzień, podczas którego Marychna nie rozstawała się z najśmielszymi i najfantastyczniejszymi projektami. Raz chciała pójść do niego sama i zażądać wyjaśnień, to znów napisać rozpaczliwy list i zapowiedzieć samobójstwo lub napisać inny do Krzysztofa, przyznać się do zdrady i prosić o pomstę. Krzysztof nie darowałby mu tego, chociaż to jego stryjeczny brat! Najwięcej kłopotu w tych planach sprawiało jednak futro: leżało jak ulane i było niesłuchanie twarzowe. Odesłanie go Pawłowi byłoby dopełnieniem i tak nieznośnych nieszczęść.

Rozmyślała właśnie nad tym, rozbierając się do snu, gdy gospodyni poprosiła ją do telefonu.

„Jeżeli to on — myślała, nerwowo nakładając szlafroczek — potraktuję go takim chłodem, że no!”

Niestety, nie mogła tego rozsądnego zamiaru skutecznie, a to z tej prostej przyczyny, że zabrakło na to czasu. Mianowicie w słuchawce na jej „halo” odpowiedział głos Pawła:

— Jak się masz, Marychno. Przyjedź zaraz do mnie. Czekam.

Powiedział i położył tubę. Było to nad wyraz oburzające. Jediną odpowiedzią, godną szanującej się kobiety, będzie absolutne niereagowanie na podobne wybryki. Naturalnie nie pojedzie doń wcale!... I nie pojechałaby na pewno, gdyby nie to, że przecie musi mu powiedzieć, że tak się nie postępuje, że to jest podłe, nikczemne, że go nienawidzi, że może ją nawet wyrzucić z fabryki, że może zabrać swoje obrzydliwe futro, że ona woli umrzeć z głodu i chłodu, byle nie znosić takich upokorzeń...

Bieg tych myśli był całkiem logiczny, nie przeszkadzał jednak Marychnie w pośpiesznym ubieraniu się. Po drodze przyszła refleksja, że nie może sądzić Pawła miarą pospolicznych śmiertelników, że widocznie miał jakieś ważne powody, może nawet nieszczęście, lub był niezdrów. Gdy dzwoniła do drzwi, serce jej waliło młotem i nie myślała już o niczym.

Otworzył sam. Był w granatowej wełnianej pidżamie, a w ręku trzymał katalog telefoniczny. Powitał ją wesołym uśmiechem i bez słowa objął tą właśnie ręką, w której trzymał katalog. Podniosła głowę i ich usta się spotkały.

Zanim jednak zdążyła rozpocząć wymówki, powiedział:

— Bardzo się cieszę, żeś przyszła. Chodź i zczekaj chwilkę. Muszę załatwić jedną sprawę.

Wprowadził ją do gabinetu, odszukał potrzebny numer i rozmawiał z kimś, z kim był na ty. Mówił o jakichś udziałach, wdychał, twierdził, że to jakieś nieszczęście stało się dla niego samego niespodzianie, że jakiś Tolewski okazał się szcwanym lisem, lecz chociaż rzecz wygląda beznadziejnie, jednak on nie zaniecha wszystkiego, co się jeszcze może da zrobić.

Ten, z którym rozmawiał, krzyczał w słuchawkę tak głośno, że Marychna, siedząc o kilka kroków od aparatu, przecie słyszała jego rozpaczliwe i pełne irytacji wykrzykniki. Z tego wszystkiego zrozumiała, że Paweł prowadzi z kimś drugim bardzo ważny interes, że interes nie udał się i że obaj dużo na tym stracili, narażając na szkodę też inżyniera Ganta, który — jak wiedziała — był współnikiem fabryki. Z wymienionych kwot i ze smutnego tonu, jakim mówił Paweł, wywnioskowała, że straty muszą być ogromne.

Teraz sama sobie robiła wymówki za pretensje żywione do Pawła. Oczywiście, nie miał dla niej czasu tylko dlatego, że borykał się z wielkimi zadaniami, że pochłaniały go kolosalne interesy, o jakich ona, skromna stenotypistka, nie mogła nawet mieć pojęcia, że wszystko nie powiodło się i teraz jej obowiązkiem jest zrobienie wszystkiego, by mu dać o tym zmartwieniu zapomnieć.

Wreszcie Paweł położył słuchawkę, w milczeniu zapalił papierosa i daleko przed siebie wypuścił smugę dymu. Na jego twarzy pojawił się blady i — jak się Marychnie wydało — bardzo smutny uśmiech. Siedziała naprzeciw niego i z nieukrywanym współczuciem wpatrywała się w jego szare oczy.

Niespodziewanie zaśmiał się krótkim ostrym śmiechem:

— No, mam dziś co się zowie dobry wieczór! Napijmy się z tej racji czegoś musującego!

— Pan miał dużo przykrości? — zapytała.

— Ja?... — zdziwił się. — Nie, kochanie, przeciwnie. O... bardzo ci ładnie w tym futerku, ale przecież zdejmujemy je, prawda?

— Podoba się panu?... Ja bardzo dziękuję...

— To ja ci dziękuję, że jesteś taka miła i ładna. Pomyśl tylko: mogłabyś być skwaszona i brzydka, a tym samym zepsuć mi piękny obchód takiego sobie finału, nie, źle się wyraziłem, raczej półfinału!

Najwyraźniej był rozbawiony. Marychna pomyślała, że umyślnie robi dobrą minę po jakiejś stracie, by nie sprawić jej przykrości, i postanowiła być dla niego tym czulszą. Dlatego gdy pomagał jej zdjąć futro, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w usta.

— O, oswajamy się — przytulił ją mocno. — Tylko dlaczego nazywasz mnie wciąż panem?

— Ja nie wiem...

Wybuchnął śmiechem, takim szczerym, wesołym śmiechem:

— Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz?

— Pan się ze mnie śmieje — poczuła się urażona.

— Ależ bynajmniej, moje maleństwo. Widzisz, w mojej psychice nie może się zmieścić pojęcie robienia czegokolwiek bez uświadomienia sobie, co mną powoduje. Rozumiesz?...

Skinęła głową:

— Rozumiem. Na przykład pan powinien by teraz martwić się, że jakiś interes mu się nie udał, a udaje wesołego, by ukryć przede mną swój prawdziwy nastrój.

Powiedziała to jednym tchem, wiedziała, że zaskoczyła go swoją przenikliwością, i nie omyliła się. Zatrzymał się nieruchomo i szeroko otworzył oczy:

— O...? — przechylił głowę.

— Naturalnie — dodała z przeświadczeniem odniesionego zwycięstwa. — Przecież słyszałam pańską rozmowę telefoniczną, a teraz pan udaje.

— Jesteś przebiegła, niebezpiecznie przebiegła — powiedział przesadnie poważnym tonem. — Ale wyobraź sobie, że twoja obecność wynagradza mi wszelkie przykrości. No, chodźmy zwilżyć nasze gardła.

W sąsiednim pokoju stały na stole owoce, wysokie kryształowe kieliszki i srebrny kubek z lodem, z którego wystawały dwie grube odrutowane szyjki butelek.

Przy trzecim kieliszku Paweł powiedział:

— Marychno! Jesteś jedyną istotą, z którą dzielę moje dzisiejsze pierwsze wielkie święto.

— A może to pańskie imieniny!

— Życie nie nauczyło mnie dzielić się czymkolwiek, ani złym, ani dobrym — mówił, nie słysząc jej pytania i jakby nie do niej. — Jestem sam, całkowicie sam, wyodrębniony, wyparty z wszelkiej wspólnoty i, do stu diabłów, nie czuję się tym pokrzywdzony. Tym gorzej dla nich, dla was wszystkich... No, pijmy!

Marychna nie rozumiała, o co mu chodzi. Ogarnęło ją przecież przeświadczenie, pewność, że dostąpiła szczególniejszego przywileju, że musi być coś warta, skoro ten niezwykle człowiek właśnie nią się zainteresował, skoro dopuszcza ją do swoich tajemniczych przeżyć. A on mówił dużo, mówił rzeczy dziwne, skomplikowane, niewiążące się ze sobą. Słuchała tego tak, jak wsłuchiwała się w miękki melodyjny głos Krzysztofa, gdy czytał jej angielskie wiersze. Tylko głos Pawła brzmiał mocno, porywiście, twardo, wzbierał siłą lub cichł w jakąś kamienną bryłę, która zdawała się toczyć wolno, nieodparcie, zdawała się przytłaczać.

Marychnę znowu opanował strach. Czuła w powietrzu coś gniewnego, ponurego, bezlitosnego, czuła całą przypadkowość swojej tu obecności. Otaczały ją ogromne czarne meble, wysokie ściany, pokryte złoceniami i jedwabiem, cisza do głębi przejmująca.

Bezwiednie wzięła jego rękę, leżącą nieruchomo na poręczu, i zacisnęła ją w swoich dłoniach.

Umilkł i spojrzał na nią wzrokiem człowieka, który ocknął się z zamyślenia. Na jego ściągniętej twarzy pojawił się uśmiech.

— Nudzę cię, co?... — zapytał. — No, chodź, usiądź tu.

Przyciągnął ją lekko i posadził sobie na kolanach. Wtuliła się i musnęła wargami jego policzek o skórze szorstkiej, którą przecież wolala od zawsze atlasowo wygolonej twarzy Krzysztofa.

Wypytywał ją, co porabiała, czy nie za bardzo flirtuje z Ottmanem, czy nie miała wiadomości od Krzysztofa. Skądże znowu! Z Ottmanem w ogóle nie można flirtować. Jest nudny i nieustannie myśli o swoich wynalazkach, a Krzysztof widocznie nie czuje się dobrze, gdyż podobno przed tygodniem sprowadzono doń jakiegoś specjalistę aż z Wiednia. Właściwie nie powinna tego powtarzać, bo pan Blumkiewicz powiedział, że to plotki, i bardzo się gniewał, ale i tak w fabryce mówili o tym.

Paweł nalał kieliszki. Widocznie interesował się swoim stryjecznym brałem i mało o nim wiedział, gdyż musiała powtarzać o nim wszystko. Dziwiła się tylko, że Paweł wcale nie był o Krzysztofa zazdrosny, że na jej uwagę, że teraz chyba nie będzie mogła pozostawać z tamtym w dawnych dobrych stosunkach, odpowiedział z całą stanowczością, że przeciwnie, że powinna starać się nie dać mu odczuć jakiegokolwiek zmiany w swoim postępowaniu. Krzysztof jest nieszczęśliwy i potrzebuje pociechy, a on, Paweł, nigdy by nie chciał psuć mu tego złudzenia szczęścia, jakie ma w Marychnie, tym bardziej że jest to — ślicznie uśmiechnął się — tylko złudzenie.

Marychna pomyślała, że to bardzo rozsądnie, i jeszcze, że Paweł ma złote serce. W gruncie rzeczy nie chciała rozstawać się z Krzysztofem, którego polubiła szczerze. Tu była miłość, a tam przyjaźń, może niezupełnie przyjaźń, ale skoro Pawłowi to nie przeszkadza, chociaż wie prawie wszystko, to po prostu nie ma sensu zmieniać cokolwiek w stanie rzeczy, które tak właśnie same się ułożyły.

W sypialni panował kolorowy półmrok i ciepło. Był to piękny wieczór i zapewne dlatego przeciągnął się aż do samego rana.

Tym razem wprost z Ujazdowskiej Marychna pojechała do fabryki. Tym i kilka następnych... Paweł widocznie mniej miał ważnych spraw, bo więcej jej mógł czasu poświęcić.

Czuła się szczęśliwa. Jego spokój, równe usposobienie i to coś, czego nie umiała nazwać, a co napełniało ją poczuciem bezpieczeństwa, zaufania i pogody, co usuwało wszelkie troski, obawy i niepokoje — wszystko składało się na krótkie wesołe dni i długie rozkoszne noce, którymi można było się upić.

Naturalnie Marychna zachowywała wszelkie ostrożności, by nikt nie mógł donieść Krzysztofowi, że go zdradza. Pomimo wszystko bowiem zachowała dla Krzysztofa prawo pierwszeństwa. Tego samego zdania był zresztą Paweł. Dlatego nie chodzili wcale do publicznych lokalów, spotykając się tylko u niego.

Trwało to aż do dnia, gdy po raz pierwszy zjawił się Krzysztof.

Wszedł z rana właśnie w chwili, gdy Marychna zdejmowała futro. Nie ulegało wątpliwości, że od razu je zauważył. Był bledszy niż dawniej i znacznie zmizerniał.

Marychna od dawna ułożyła sobie plan powściągliwego, prawie chłodnego powitania, którym należało odpłacić mu za długie i obojętne milczenie.

— Dzień dobry, panie dyrektorze! — dygnęła dygiem obrażonej pensjonarki.

Chwilę przyglądał się jej swoimi czarnymi oczyma, które zdawały się teraz jeszcze większe i jeszcze bardziej wyraziste.

— Dlaczego tak mnie witasz, Marychno? — zapytał cicho.

— Ja... ja nie wiem... panie dyrektorze... — spuściła oczy.

— Marychno?...

— Nie wiem... Może pan tego sobie życzy... nie odezwałeś się do mnie ani jednym słówkiem... przez tyle czasu...

— Przecież wiesz, że byłem chory!

— No tak, ja rozumiem, ale można było napisać, czy ja wiem... zatelefonować...

Wziął jej rękę, pogłaskał i pocałował:

— Nie mogłem. Zrozum to sama. Telefonu nie miałem przy łóżku, a list musiałbym wysłać przez służbę. Nie chciałem, by ktokolwiek wiedział...

Ponieważ nie oddała mu uścisku ręki, zmarszczył brwi i odszedł do swego biurka.

— Myślę raczej — odezwał się po chwili — że to ty zmieniłaś się dla mnie...

— Ależ nie — zarumieniła się Marychna — tylko nie chciałam narzucać się... Mój Boże, skąd ja mogę wiedzieć, czy... panu dyrektorowi nie sprzykrzyła się biedna i głupia dziewczyna, która jest dla niego zabawką...

Krzysztof milczał, a Marychna, zerknąwszy na zasępioną jego minę, dodała tonem usprawiedliwienia:

— No przecie na to mogło wyglądać...

Zapukano do drzwi. Przyszedł majster z odlewni w sprawie jakichś profilów, nim zdążył otrzymać instrukcje, zjawił się inżynier Kamiński, potem Czajkowski, który przeprowadził nowego pomocnika, by go przedstawić Krzysztofowi.

Marychna z miną królowej wystukiwała od niechcienia na maszynie zestawienia biuletynów warsztatowych, wyczekując końca tych nudnych spraw, które przerywały tak ważną rozmowę. Wraz z ostatnim interesantem musiał wyjść i Krzysztof. Zepsuło się coś w wielkim młocie pneumatycznym i podobno groziła katastrofa.

Wrócił po dobrej godzinie. Oczekiwała wznowienia rozmowy, on jednak stanął za nią, pochylił się i pocałował ją w czoło. Jednocześnie jego delikatna dłoń przesunęła się po policzku Marychny tak serdecznie, tak ciepło...

— Ja się bardzo za tobą stęskniłam, Krzychu... — powiedziała rozkapryszonym, lecz udobruchanym głosem.

— Naprawdę? — odwrócił jej głowę do siebie.

— Naprawdę — zapewniła.

Bo też teraz dopiero uświadomiła sobie, że nie ma w tym kłamstwa. Brakowało jej Krzysztofa pomimo to, że najhaniebniej w świecie zdradziła go z Pawłem. Nie wiedziała, dlaczego tak jest, a przecież było to jakoś zrozumiałe: Paweł swoją drogą, a Krzysztof swoją...

Teraz znowu лихо przyniosło Holdera. Omal nie zastał ich w kompromitującej bliskości. Zawsze wchodzi natychmiast po zastukaniu, jakby nie mógł chwili zaczekać. Po Holderze wpadł Jachimowski w sprawie jakiejś oferty. Był bardzo zdenerwowany, trzęsły mu się ręce, gdy przewracał papiery, a Krzysztof musiał powtarzać mu jedno i to samo po dwa razy. Marychna nigdy jeszcze Jachimowskiego takim nie widziała. Zawsze był obrzydliwie uśmiechnięty i w stosunku do wszystkich młodszych urzędniczek obleśnie uprzejmy. Teraz nawet na nią nie zwrócił uwagi i wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi. Marychna przypomniała sobie telefoniczną rozmowę, jaką niedawno Paweł prowadził z nim, i pomyślała, jaka to jest różnica między ludźmi: obaj ponieśli jednakowe straty, a Paweł umiał zachować się tak jak prawdziwy mężczyzna, ani się zmarszczył.

— Co mu jest? — zapytał Krzysztof.

Marychna miała wielką ochotę podzielić się swymi przypuszczeniami, lecz w samą porę ugryzła się w język. Od razu wyspałaby się na całego!

Zresztą Krzysztof widocznie nie oczekiwał odpowiedzi, gdyż zaczął mówić o swojej chorobie, o wysokiej gorączce i o przestrożach lekarza przed ponownym zaziębnieniem, które mogłoby grozić poważniejszymi komplikacjami.

— Wiem, wiem — z współczuciem kiwnęła głową Marychna — to było bardzo niebezpieczne. Skoro aż z Wiednia sprowadzali lekarza...

— Skąd o tym wiesz? — zapytał przyciszonym głosem.

— Mówili tu, nie rozumiem, czy to jaka tajemnica?

— Ależ bynajmniej. Nie lubię tylko, gdy zbyttnio zajmują się moją osobą.

— Przepraszam — odwróciła się urażona.

— Ależ, Marychno, to nie dotyczy ciebie!

Czuła, że Krzysztof nie mówi tego szczerze. Zawsze robi przed nią jakieś niedorzeczne tajemnice... Doprawdy miała tego więcej, niż mogła znieść. Tak samo kiedyś wyrwał jej z rąk marynarkę, gdy przeczytała na wieszaku firmę wiedeńskiego krawca. To nawet bardzo niepatriotycznie, że nie popiera produkcji krajowej, a daje zarabiać obcym.

Falsz

— Nigdy ci już — powiedziała chłodno — nie wspomnę o Wiedniu.
— Marychno! — odezwał się upominająco.
— Nie, nie, w Wiedniu wszystko jest dobre, a tu wszystko złe. I krawcy, i lekarze, i naturalnie... kobiety... Właśnie dlatego mnie nie chcesz... Trudno, nie miałam szczęścia urodzić się wiedeńką...

— Nie mów głupstw, kochanie. Przyzwyczałem się do niektórych rzeczy zagranicznych...

— I właśnie do wiedeńskich. Nie wiem dlaczego, bo przecie uczyłeś się wcale nie w Austrii, lecz w Belgii i w Szwajcarii. Gdzie Rzym, gdzie Krym... Tylko że, oczywiście, wiedeńki...

Zerwał się i podbiegł do niej:

— Marychno! Co ci się stało?! — chwycił ją za rękę. — Co ci się stało przez ten czas! Marychno!

Poczerwieniała i spuściła oczy. Zorientowała się, że swoim niezwykłym zachowaniem się może ściągnąć na siebie jakieś podejrzenie Krzysztofa.

— Nic mi się nie stało — bąknęła. — Po prostu jestem trochę na ciebie rozżalona.

— Ależ za co?

— Ja sama nie wiem... tak ot...

Chcąc do reszty rozwiązać podejrzenia Krzysztofa, uśmiechnęła się doń i złożyła usta w dzióbek gotowy do pocałunku.

To przypieczętowało zgodę. Kwestia futra nie wywołała żadnych wątpliwości Krzysztofa. Bez zastrzeżeń zauważył, że zostało kupione na raty. Przed samą trzecią przyszedł szofer Pawła i zameldował, że z polecenia swego pana przyprowadził wóz do dyspozycji pana dyrektora Krzysztofa.

— Dziękuję — skinął mu głową Krzysztof — możecie zostawić wóz. Sam będę prowadził.

Gdy szofer wyszedł, Marychna zaryzykowała zauważyć:

— Jak to uprzejmie ze strony twego stryjecznego brata. Prawda?

Krzysztof poczerwieniał, a w jego oczach zaiskrzyła się złość:

— Nie widzę w tym żadnej uprzejmości. Samochód nie jest jego własnością.

— Ja nic nie powiedziałam — broniła się Marychna.

— Tak, ale gdyby to zrobił inny, nawet nie przyszłoby ci na myśl dopatrywać się w zostawieniu dla mnie samochodu jakiejś specjalnej uprzejmości. Ponieważ jednak zrobił to Paweł...

— Krzychu, naprawdę nie rozumiem...

— Nie przerywaj! Wiem doskonale, że on ci się podoba.

— Wcale nie.

— To niemożliwe. Widziałem nieraz, jak na niego patrzyłaś.

Marychna zrobiła minę udręczonej niewinności i podniosła oczy do sufitu na znak niezastużonej krzywdy.

— Nic nie odpowiadasz? Nic?

— Mówiłam już tak często...

Krzysztof przeszedł się po gabinecie zdenerwowanym krokiem, zatrzymał się przed nią i wyrzucił z siebie zduszonym głosem:

— A ja ci zabraniam, kategorycznie zabraniam odpowiadać na jego spojrzenia! Rozumiesz mnie? Zabraniam. On się do ciebie zaleca, a ja tego nie zniosę, absolutnie nie zniosę!

— Ależ, Krzychu, ja wcale... ani tym bardziej on...

— Nie życzę sobie! Jeżeli chcesz, bym cię znienawidził, to rób, co chcesz, ale o jedno cię proszę: nie zmuszaj mnie, bym na to miał patrzeć!

Marychna początkowo pomyślała, że może do Krzysztofa dotarły jakieś plotki. Jednak z jego zachowania się wynikało, że absolutnie nic nie wiedział o wszystkim, co między nią a Pawłem zaszło. Tym trudniej mogła sobie wytłumaczyć nagły wybuch jego zazdrości.

Pojechali na obiad do restauracji i stąd do Marychny. Krzysztof znowu był w dobrym nastroju i do rozmowy o Pawle już nie wracał. Marychna od dawna zauważyła różnicę we wzajemnych stosunkach między stryjecznymi braćmi. Podczas gdy Paweł nie omijał żadnej sposobności, by najzyczliwiej wypytywać o Krzysztofa, ten albo lekceważąco czy

zjadliwie o nim wspominał, albo urządzał niczym nieuzasadnione sceny zazdrości. Musiał go za coś nienawidzić.

Znowu trochę się całowali i czytali wiersze. Marychna nie chciała sama przed sobą przyznać się do tego, że czuje się w towarzystwie Krzysztofa znudzona. Pomału w jej głowie dojrzywała postanowienie postawienia ich stosunku na wyraźnym gruncie. Nie wiedziała tylko, jak to zrobić i od czego zacząć. Zresztą Krzysztof tak był wymizerowany po grypie, że należało mieć teraz dla niego więcej względności. Co jednak za różnica: w towarzystwie Pawła nie miewała chwili czasu na refleksje, nie nudziła się ani jednej sekundy...

A teraz... marzyła tylko o jednym: kiedy nareszcie pójdzie sobie do domu i zostawi ją samą. Może wieczorem zadzwoni Paweł...

— Krzychu — przerwała mu czytanie — wiesz, jak mi dobrze z tobą, ale boję się, czy to ci na zdrowie wyjdzie, że tak się męczysz czytaniem...

— Nie czuję się zmęczony.

— Naprawdę, czy nie lepiej byłoby, gdybyś wcześniej położył się do łóżka? To przecie pierwszy dzień po chorobie.

Umiała swemu głosowi dać taką dozę szczerości, że złożył książkę i powiedział:

— Lubisz mnie troszkę, Marychno?

— Jakże nawet możesz o to pytać!

— Wiem, wiem... Och, żebym mógł mieć gwarancję... gdybym miał prawo chcieć, byś mnie zawsze i pomimo wszystko lubiła...

— Nie rozumiem?... Pomimo co?

Krzysztof pogładził ją po włosach i smutnie pokiwał głową:

— Pomówimy o tym... wkrótce.

Zamyślił się i dodał:

— Radzono mi wyjechać na kilka tygodni w góry.

— W góry? — spojrzała na zegarek.

— Tak. Zastanawiałem się nad tym... Czy nie miałabyś ochoty pojechać ze mną?

Marychna była zaskoczona. Nigdy nie wyjeżdżała poza Warszawę, bo przecież Zielonka się nie liczy, a o górach, o Zakopanem, marzyła od dawna. Z drugiej jednak strony wyjechać teraz z Krzysztofem, teraz, kiedy jest kochanką Pawła, wydawało się jej jakąś niemożliwością, czymś w najwyższym stopniu nieprzyzwoitym.

Niewątpliwie pociągał ją ten projekt, ale nigdy nie zdobyłaby się na decyzję bez pozwolenia Pawła. Zdawała sobie dokładnie sprawę, że taka podróż we dwójkę byłaby decydująca. To znaczy, że podczas niej Krzysztof wreszcie zdecydowałby się. Nie obawiała się tego. Przeciwnie. Interesował ją i pociągał swoją tajemniczością i swoją dziwną, niezwykłą urodą.

W każdym razie miała dość doświadczenia, żeby zastanowić się nad tym, że Krzysztof w końcu zostanie przecie w Warszawie, a Paweł wkrótce wyjedzie z powrotem za granicę. Lepszy wróbel w rękę...

Przez cały następny dzień pochłonięta była rozmyślaniami na ten temat. W pewnej chwili zastanowiło ją to, dlaczego Paweł nigdy nie wspominał jej o zamierzonym powrocie za granicę, o którym Krzysztof zawsze mówił jako o czymś nieulegającym najmniejszej wątpliwości, o czymś od dawna postanowionym.

Niestety, nie miała teraz sposobności sprawdzenia tej wiadomości. Paweł przez kilka dni nie odzywał się wcale. Spróbowała kiedyś do niego zadzwonić, lecz zbył ją szablonowym przeproszeniem: nie ma teraz czasu, gdy będzie miał, sam zadzwoni.

To wpłynęło ostatecznie na jej postanowienie.

— Gdybyś mnie zabrał — powiedziała nazajutrz Krzysztofowi — pojechałabym z tobą w góry.

ROZDZIAŁ VI

Pan Karol Dalcz podniósł wysoko rzadkie, strzępiaste brwi, których srebrna siwizna na pergaminowych zmarszczkach czoła zdawała się być jakimś przyklejonym ornamentem.

— Stryj się dziwi? — uśmiechnął się Paweł.

— Poczekaj, a cóż zrobisz ze swoją bawełną, likwidujesz interesy w Anglii?

— Nie — potrząsnął głową Paweł. — Oczywiście, nie będę ich mógł stąd prowadzić z taką intensywnością, jak dawniej, ale wyrzekać się ich nie myślę. W każdym razie dają dobry dochód.

— Tak — cicho powiedział chory.

Paweł założył nogę na nogę i zapytał rzeczowo:

— Stryj zdaje się być niezadowolony ze zmiany moich projektów?

— Bynajmniej. Nie spodziewałem się...

— Nie chcę się narzucać, stryju. Proszę mnie zrozumieć. Jeżeli współpraca ze mną nie odpowiada stryjowi, w każdej chwili mogę odstąpić wszystkie udziały. Powiem więcej, mogę wpłynąć na pana Tolewskiego, który nabył część Ganta, i on też swoje sprzeda.

— Wiesz dobrze — skrzywił się pan Karol — że nie mam na to dość pieniędzy. Zresztą mylisz się, sądząc, że współpraca z tobą nie odpowiada mi...

— No, więc, może Krzysztofowi?

— Właśnie... Nie lubicie się...

— Przepraszam stryja, to on mnie nie lubi.

— Mniejsza o ścisłość. Jednakże sentymenty swoją drogą, a interesy swoją.

— Jeżeli Krzysiovi chodzi o naczelne kierownictwo, mogę mu natychmiast ustąpić zaraz po jego powrocie, chociaż jako obecny współwłaściciel firmy nie uważam go za dostatecznie dojrzałego do prowadzenia całokształtu spraw tak dużego przedsiębiorstwa.

— Może i masz rację.

— Pomimo to, by uniknąć podejrzenia jakiejś machinacji, które może się nasunąć każdemu człowiekowi zdolnemu do niezbyt uczciwych dróg działania...

— O jakich machinacjach mówisz?

— Ach, stryju, trzeba trzeźwo patrzeć na życie. Nie lubię gry w chowanego. Rzecz może wyglądać tak, że po to przyjechałem do kraju, by wyzyskując sytuację wkręcić się na kierownicze stanowisko w firmie. Nie potrzebuję bronić się przed stryjem, który jest dokładnie poinformowany o wszystkim, który od początku wie, na czym polegała moja rola i w jakim kierunku szła moja ambicja.

— Nie — odezwał się pan Karol — nie mogę ci postawić żadnych zarzutów. Postąpiłeś słusznie.

— Jest to bodaj pierwsze słowo uznania, jakie udało mi się usłyszeć od kogoś z rodziny od czasu mego dzieciństwa — zaśmiał się Paweł.

Nie przesadził. Rzeczywiście po raz pierwszy w zdawkowej pochwalie stryja zabrzmiała nuta niemal życzliwości. I to właśnie teraz!... Teraz dlatego, że na szarej zamśzowej koldrze leżało pokwitowanie z manchesterskiego banku z datą dość precyzyjnie podskrobaną jak na stare oczy, dlatego że logika planu nie miała ani jednej luki. No, po części także i dlatego, że na wczorajszym posiedzeniu Zarządu Jachimowski wstydził się swojej porażki i milczał jak zakłęty, nie mogąc zdobyć się na wyduszenie z siebie słów goryczy, które go dławily.

Jakże wspaniały był to widok: tępa, nadęta i aktorsko nieprzystępna gęba Tolewskiego, zaznaczająca swą dobrze wystudiowaną rolę poruszeniami wyszwarcowanych¹⁶³ wąsów z przejściem prowincjonalnego kabotyńca¹⁶⁴, a naprzeciw wypłowiły spocony pysk Jachimowskiego, gotującego się do skoku i przebierającego palcami z taką zawziętością, jakby tamtego trzymał za gardziel.

Sprytnie biegające oczka Blumkiewicza prawdziwie nieszczęśliwe, że nie mogą odkryć tego czegoś, co musiało się stać, a co było nie do przeniknięcia, no i Krzysztof.

W wiszącym naprzeciw lustrze Paweł widział swoją twarz, poważną, skupioną, pełną godności, twarz, do której nie śmiałyby sięgnąć żadne podejrzenia, żadne wątpliwości. Nie tylko w lustrze. W oczach Jachimowskiego, Blumkiewicza, nawet w gapieniu się Tolewskiego odbijało się także niekwestionowane zaufanie. Natomiast Krzysztof...

Spostrzegł to już wcześniej, gdy Blumkiewicz w imieniu pana Karola obejmował przewodnictwo. Paweł zwrócił się do Krzysztofa z pozornie niewinnym zapytaniem, czy on nic nie ma przeciw temu. Wówczas w jego czarnych oczach dostrzegł jakiś dziwny wyraz, a w głosie jakby wyzwanie, chociaż słowa zawierały konwencjonalną zgodę.

¹⁶³szwarcować (przestarz., z niem: *schwarz*: czarny) — czernić, nacierać czernidłem. [przypis edytorski]

¹⁶⁴kabotyń (z fr.) — człowiek, który usiłuje imponować tanimi efektami i zgrywaniem się na znawcę. [przypis edytorski]

I później, gdy pochylony nad papierami czytał sprawozdanie, czuł na sobie jego męczący przenikliwy wzrok. Odrywając niespodziewanie oczy od równych linii maszynowego pisma, na próżno starał się w przyłapanym spojrzeniu Krzysztofa odczytać treść jego myśli, przeniknąć sens, cel, intencję tych badań... Czy właśnie badań?...

Nie umiał tego określić i nie chciał skonstatować w sobie niedorzecznego, nieprzebacznego uczucia zmieszania i irytacji. Nie chciał przed sobą przyznać się do tego, że ten smarkacz stanowi dlań psychiczną zagadkę, której pojęć niepodobna, przed którą pozostaje bezsilny, on, uważający się za nieomylnego w poznawaniu ludzi, nawet najsprytniej ukrywających swoje wnętrza przed obcym wzrokiem. A w tym wypadku miał wyraźną obawę, że sam jest obiektem obserwowanym z zimną systematycznością... Ba, nie wiedział nawet, czy z zimną, czy z zawziętością, jaką rodzi tylko nienawiść.

Wprawdzie nie mogło to naruszyć jego równowagi czy też zachwiać pewności siebie. Ani przez chwilę nie wątpił, że dla każdego, dla najwnikliwszego oczu pozostanie tylko tym, czym zechce być. Jednakże zauważył w sobie nierozumne wahanie, które było zjawiskiem niespodziewanym i przykrym. Mianowicie już od wczoraj przygotował sobie plan zjedwania Krzysztofa. Wskutek nieszczęśliwej i błędnej kalkulacji technicznej fabryka poniosła poważne straty na dostawie frezarek¹⁶⁵. Całkowitą winę powinien był ponieść Krzysztof. Winę, odpowiedzialność i wszelkie konsekwencje natury moralnej.

Otóż Paweł postanowił sobie, że sprawę przedstawi w ten sposób, by Krzysztofowi oszczędzić kompromitacji, a jednocześnie dać do zrozumienia, że to on, Paweł, przez życzliwość całą rzecz pokrywa.

To było przygotowane i obliczone na zimno. Gdy jednak natarczywy wzrok Krzysztofa stawał się już nie do zniesienia, Paweł zmienił zamiar: przeciwnie, zaskoczy go ostrym atakiem, dyskwalifikacją jego wiedzy, napiętnowaniem braku doświadczenia. Niech mydłek¹⁶⁶ za wiele sobie nie pozwala, niech wie, że Paweł i jemu może dać mocno po łapach!...

I... nie mógł. Wprawdzie przedstawił rzecz zgodnie z pierwotnym rozsądnym planem, ale nie zdołałby wmówić w siebie, że z tych samych pobudek. Och, nie lubił okłamywać siebie. Na to był zbyt odważny. Po prostu... zmiękł. Co za idiotyzm!...

„Nie rozumiem, co mi się stało” — myślał z gniewem, wracając do domu.

Na schodach uprzytomnił sobie, że i dawniej, ilekroć rozmawiał z Krzysztofem, zawsze nie postępował ściśle według przyjętej taktyki. Że — do licha — smarkacz działał mu na nerwy w irytujący, niedający się logicznie wytłumaczyć sposób.

Od dnia posiedzenia umyślnie, dla skontrolowania siebie, starał się jak najczęściej widywać Krzysztofa. Wiadomości, jakie zdołał zebrać o nim od Marychny, od pracowników w fabryce, przez służbę wreszcie, nie wyjaśniały niczego.

Dlatego od dnia posiedzenia już trzy razy był u stryja. W fabryce Krzysztof wyraźnie go unikał. I tym razem jednak nie spotkał go, a zyskał tylko to, że jeszcze raz dowiedział się o antypatii tego młodzika do siebie.

Z punktu widzenia interesów teraz właściwie nie potrzebował liczyć się zbyt wiele z Krzysztofem. Nawet wykrycie faktycznego stanu rzeczy nie zmieniłoby przecie tego, że był już właścicielem nabytych prawnie udziałów fabryki. Łącznie z pakietem Ganta, pozostającym obecnie w rękach Tolewskiego, miał czterdzieści dwa procent udziałów, czyli głos prawie decydujący, jeżeli weźmie się pod uwagę to, że Jachimowski zawsze weźmie jego stronę, może nie z sympatii, ale z wyrachowania, gdyż nienawidzili się z panem Karolem.

Od czasu wyzdrowienia Krzysztofa Paweł zaczął systematycznie ograniczać jego wtrącanie się do kierownictwa fabryki. Kilkakrotnie przygotowany był nawet na scysję¹⁶⁷ z tego powodu. Do awantury jednak nie doszło, czy to dzięki nieuwadze Krzysztofa, czy też wskutek jego pojednawczego usposobienia. W żaden sposób Paweł nie mógł tego wynioskować ani z osobistych obserwacji, ani z tego, co udało się wyciągnąć z Marychny.

Przypomniał ją sobie i postanowił zatelefonować do niej zaraz po powrocie od stryja. W domu wszakże oczekiwała go niespodzianka. Mianowicie zastał Zdzisława i Halinę.

¹⁶⁵frezarka — maszyna do obróbki skrawaniem za pomocą frezu; służy do wykonywania np. rowków, gwintów, kół zębatych. [przypis edytorski]

¹⁶⁶mydłek (pot.) — człowiek niepoważny; chłystek. [przypis edytorski]

¹⁶⁷scysja — kłótnia, starcie słowne. [przypis edytorski]

Siedzieli w salonie z minami ponurymi. Nie widział ich od szeregu dni. Z Haliną nigdy nie szukał spotkania, a Zdzisław od trzech tygodni miał urlop i zbijał bąki na polowaniach u krewnych matki. Oczywiście, przyjechał do Warszawy wezwany przez Jachimowskich, a ta wizyta przypominała już z daleka *démarche*¹⁶⁸, protest zbiorowy, interwencję rodzinną.

— Dobry wieczór — powitał ich prawie ironicznie. — Czemu mam zawdzięczać waszą miłą wizytę?

— Chcieliśmy rozmówić się z tobą — zaczął Zdzisław, poprawiając krawat.

— Służę.

Usiadł naprzeciw i czekał dobrą chwilę, zanim brat wyłożył swoje pretensje. Ten jednak widocznie nie wiedział, od czego zacząć.

— Służę — powtórzył niecierpliwie, widząc, że tym jeszcze bardziej deprymuje¹⁶⁹ rodzeństwo.

— No, mówże, Zdzichu — poruszyła się w fotelu Halina.

— Chcieliśmy cię zapytać... hm... chcieliśmy dowiedzieć się, czy to jest możliwe, co mówi Jachimowski...

— Nie on, ale Ludka — poprawiła Halina.

— Wszystko jedno, więc Ludka, że ty podstawiliś Tolewskiego i wykupiłeś nasze udziały na jego nazwisko?

Paweł zapalił papierosa:

— A można zapytać, co to was obchodzi?

— Dziwny jesteś... No, przecie to nasze udziały!

— Były wasze — spokojnie podkreślił Paweł. — Były do czasu, aż je ojciec sprzedał.

— Zrobił to bezprawnie!

— Hm... nie sądzę. Miał plenipotecję¹⁷⁰ nieograniczoną. Zresztą on między was je podzielił. Naprawdę były jego wyłączną własnością.

Zdzisław zerwał się:

— Ach, mniejsza o to. W każdym razie możesz nam odpowiedzieć?

— Mogę. Otóż bez żadnego podstawiania po prostu kupiłem te udziały.

— I udziały Ganta, w najpodstępniejszy sposób!

— Uspokój się w tej chwili — zimno przerwał Paweł.

— Nie znaliśmy cię dotychczas! To łajdactwo!

Paweł wstał i zrobiwszy jeden krok ku niemu, powiedział dobitnie:

— I teraz mnie nie znasz. Jeszcze jedno obelżywe słowo, jeszcze jedno podniesienie głosu, a dostaniesz w pysk, aż ci zęby wylecą... Siadaj!

Zdzisław wytrzeszczył oczy, skulił się i opadł na najbliższe stojące krzesło.

— Kupiłem udziały, rozumiecie, wykupiłem je — mówił już spokojnie Paweł — i nie widzę w tym nic, co by stanowiło waszą krzywdę.

— Przecie to nasze!...

— Dostaliście je gratis z łaski ojca i on wam je zabrał. Ja je wykupiłem za moje własne pieniądze, które zarobiłem sam. Czego więc chcecie?

Oboje milczeli.

— Nie mam wobec was żadnego długu wdzięczności. Chyba sami to przyznacie, co?... Otóż pomimo to gotów jestem odstąpić wam w każdej chwili nabyte przeze mnie udziały. Zapłaciłem za nie sto dziesięć tysięcy dolarów gotówką i za taką kwotę je oddam bez grosza prowizji. Nie są mi potrzebne. A podaję do waszej wiadomości, że ich wartość jest znacznie wyższa.

— Wiesz, że nie mamy nic, że jesteśmy nędzarami — pochylił głowę Zdzisław.

— Nędzarami?... Cha... cha... Nie, tylko musicie pracować na utrzymanie. Chyba jałmużny po mnie się nie spodziewacie, co?... Chyba pamiętacie te słodkie czasy, kiedy siedziałem za granicą bez grosza przy duszy, a żadne z was palcem nie ruszyło? Co?...

— W każdym razie... postąpiłeś samolubnie — odezwała się Halina.

— A tak, na przykład zapłaciłem dług ojca!

Zaległo milczenie.

¹⁶⁸*démarche* (polit., fr.) — oświadczenie a. wystąpienie dyplomatyczne jednego państwa wobec drugiego w konkretnej sprawie. [przypis edytorski]

¹⁶⁹*deprymować* (z łac.) — przygnębiać, zniechęcać. [przypis edytorski]

¹⁷⁰*plenipotecja* (z łac.) — pełnomocnictwo. [przypis edytorski]

Paweł rozkoszował się swym zwycięstwem.

Kiedyś nienawidził ich wszystkich. Teraz pozostała mu tylko pogarda i niechęć do całej rodziny, do tej grupki snobów i głuptasów, która go uważała za pasożyta! Za wyko-lejeńca! Do jednej tylko matki zachował pewną dozę sentymentu, zimnego, obojętnego poczucia odrobiny wdzięczności za to, że stała się przypadkowo, dzięki swej fenomenalnej naiwności, środkiem, przy którego pomocy zdołał się wydobyć na powierzchnię. Nie była to z jego strony wdzięczność, jeżeli zaś posyłał matce po kilkaset złotych miesięcznie, to jedynie w celu trzymania jej na wsi z dala od Warszawy.

Poza tym nie żywił nigdy żadnych uczuć rodzinnych, a samą rodzinę uważał za zespół całkowicie przypadkowy i niczym niewiążący. Toteż jego postanowienie usunięcia Zdzisława z fabryki podyktowane było nie antypatią do brata, lecz przeświadczeniem, że ten cymbał jest w przedsiębiorstwie niepotrzebną zawadą.

Korzystając ze sposobności, chciał załatwić z nim i tę sprawę.

— Zdzisławie — powiedział — stryj Karol zażądał usunięcia cię z fabryki. Nie mogę oponować, bo nie przemawia za tobą nic. Nie chciałbym jednak udzielać ci wymówienia, jak pierwszemu lepszemu pracownikowi. Wobec tego proszę cię, abys złożył podanie o dymisję.

Zdzisław zbladł:

— Czy to zemsta za to, że ośmieliłem się upomnieć o swoje prawa?...

— Nie, głupcze! — zaszczał groźnie Paweł. — Nie masz żadnych praw! To jest moja łaska! I do licha, nie prowokuj mnie, bym ją cofnął. Wyrobiłem dla ciebie posadę w Banku Morskim w Gdyni. Otrzymasz tam te same warunki. Nie jesteś ich wart i radzę ci trzymać się tej posady obiema rękami, bo więcej dla ciebie nikt nic nie zrobi.

— Kiedy ja nie zamierzam wcale wyjeżdżać z Warszawy!

Paweł wzruszył ramionami i zwrócił się do siostry:

— Musisz i ty z czegoś żyć. Najlepiej zrobisz, jeżeli postarasz się o jakąś posadę.

Halina patrzyła nań z przerażeniem:

— Żartujesz, Pawelku, przecie ja nic nie umiem!

— Znasz obce języki. Zresztą mogę cię polecić do pewnej firmy. W każdym razie musisz się zdecydować do wtorku. Ode mnie grosza więcej nie dostaniesz, a twoich rachunków nie zamierzam płacić. Zresztą masz całe stada przyjaciół, możesz postarać się, by którykolwiek popełnił idiotyzm i ożenił się z tobą. Ale to już mnie nic nie obchodzi.

Wstał i nacisnął dzwonek.

— Teraz muszę was pożegnać. Oczekuję kogoś.

Nie zdążyli jeszcze wyjść, gdy wydał dyspozycję służącemu:

— Pamiętaj, Karolu, że państwo stanowczo sobie życzą, by drzwi od ich części mieszka-
kania do mojej były stale zamknięte.

— Słucham jasnie pana, ale właśnie panicz Zdzisław kazał...

— Powiedziałem — bezapelacyjnie przerwał Paweł i przeszedł do gabinetu.

Usiadł przy biurku i zatelefonował do Marychny. Po dłuższej dopiero chwili podeszła do aparatu. Mówiła głosem nienaturalnie przyciszonym i była zemocjonowana.

— Co ci się stało? — nie zorientował się Paweł.

— Teraz trudno mi mówić, może pan zadzwoni później...

— Aha! — domyślił się. — Twój wdychający Romeo jest u ciebie?

— Tak.

— Trudno. Jeżeli wcześniej pozbędziesz się go, to przyjedź do mnie.

— O, ja chciałabym, ale nie wiem...

— Więc czekam.

Zaśmiał się do siebie. Ani przez moment nie miał wątpliwości, że w Krzysztofie nie ma niebezpiecznego rywala. W ogóle mężczyźni tego typu nie cieszą się powodzeniem u kobiet, a ten ze swoim platonizmem, z wierszami, a zapewne i z westchnieniami spóźnił się o ładne sto lat. Oczywiście Paweł mógłby bez szczególniejszych wysiłków odsunąć Marychnę od Krzysztofa i niepodzielnie zająć jego miejsce, gdyby mu na tym chociaż odrobinę zależało. Dotychczas jednak ani razu w życiu nie pałał żądzą wyłączności w posiadaniu kobiet, a tutaj chodziło mu głównie o źródło wiadomości o Krzysztofie.

Teraz, kiedy pierwsza część planu została przeprowadzona, należało gruntowniej prze-studiować możliwości całkowitego podporządkowania sobie przedsiębiorstwa.

Paweł miał tu do wyboru kilka dróg działania. Najprostszą, lecz zarazem najtrudniejszą, byłoby zdobycie pełnego wpływu na Krzysztofa. Próbował już tego w najrozmaitszych okazjach, a zawsze bezskutecznie. Na przykład na próżno starał się przyspieszyć teraz jego wyjazd w góry. Krzysztof, czy to podejrzewający jakiś podstęp, czy po prostu przez upór, z dnia na dzień odkładał swój wyjazd. Nie pomagały ani najzręczniejsze podsunięte względy na sytuację marcową w fabryce, kiedy obecność dyrektora technicznego będzie konieczna, ani w dobrej wierze robione namowy ze strony Marychny. Razu pewnego, gdy Paweł powiedział mu, że bladło wygląda, Krzysztof obrzucił go ironicznym spojrzeniem i zapytał:

— Czyżby to mogło cię obchodzić?

Zabiłby tego smarkacza za to i za ten szyderczy uśmiech tak rażący na irytująco świeżych ustach, na których jeszcze mleko nie zdołało obeschnąć.

I tak zawsze. Ilekroć nań spojrział, łapał jakieś zamyślane i smutne rozmarzenie w jego czarnych oczach, które natychmiast zmieniał się w wyraz zimny i odporny. Przypominało mu to wszystko kolegę z gimnazjum, Wacka Jurkiewicza, którego znienawidził za to, że ten nie chciał odwzajemnić się mu sympatią... Co prawda byłoby grubą przesadą powiedzieć, że do Krzysztofa czuje aż sympatię, a jednak coś go do tego zarozumiałego błazna ciągnęło.

Zły był, gdy to uprzytomnił sobie. A stało się to tak: pewnego razu salon, w którym zwykle oczekiwał, aż stryj go przyjmie, był właśnie froterowany i Blumkiewicz przeprowadził go do małego bocznego pokoju, będącego czymś w rodzaju buduaru¹⁷¹ pani Teresy. Na stole leżał album z fotografiami. Machinalnie przerzucając jego kartki, natrafił na całą serię fotografii Krzysztofa. Naliczył ich kilkadziesiąt, przeważnie amatorskich, przedstawiających Krzysia jako małego chłopca, wyrostka, młodzieńca, dorosłego mężczyznę, lecz zawsze z tą nieuchwytną młodzieńczością, której wdzięk tutaj uwydatniał się jeszcze bardziej niż w życiu.

„Dlaczego on mnie nie cierpi?” — myślał, wpatrując się w karty albumu. „Nic mu przecie złego nie zrobiłem jeszcze, nie dałem najmniejszego powodu do podejrzeń, przeciwnie, zabiegam o jego życzliwość, a on nie może wiedzieć, że to jest nieszczerze...”

I właśnie w tej chwili uświadomił sobie, że nie jest to takie nieszczerze, jakim być powinno.

Zbyt często myślał o Krzysztofie, zbyt mocno brał do serca jego demonstracyjną niechęć, zanadto przejmował się jego impertynenckim tonem i — do ciężkiego diabła — nie mógł odpędzić idiotycznej myśli, że w gruncie rzeczy i Krzysztof tylko przez jakąś zawziętość, przez jakąś przekorę jest w stosunku do niego tak szorstki i wrogi.

Od czasu nabycia udziałów Paweł nie potrzebował bezwzględnie liczyć się ze stryjem i z Krzysztofem. Sto razy też obiecywał sobie zareagowanie na jego arogancję w sposób zdecydowany, brutalny i osadzający. Gdy jednak doszło do czego, nie zmieniał taktyki, a co więcej, sam przed sobą usiłował wykręcić się ze swej chwilowej słabości, przyłapywał siebie na tej śmiesznej gierce i nie umiał sobie tego przebaczyć.

A przecież zjednanie Krzysztofa nie było właściwie nieodzowne. Istniała jeszcze druga równie prosta droga... pozbyć się go.

Paweł już przed miesiącem dowiedział się, że stan zdrowia stryja budzi coraz poważniejsze obawy, że paraliż lada dzień może objąć cały organizm, czego znowuż nie wytrzyma serce. Wiadomości te zawdzięczał niewinnemu podstępowi. Mianowicie, chociaż czuł się świetnie, odwiedził domowego lekarza stryja, doktora Szulborskiego, skarżąc się na migreny i wyrażając przekonanie, że wiedza pana doktora, dzięki której stryj Karol miewa się tak dobrze, i tym razem...

Otóż w razie śmierci stryja jedynym jego spadkobiercą pozostawał Krzysztof. A gdyby i jemu... przytrafił się jakiś nieszczęśliwy wypadek... W fabryce zaś o nieszczęśliwych wypadkach niestety nie trudno!...

U drzwi frontowych rozległ się dzwonek. Służba od dawna otrzymała zakaz zjawiania się po godzinie dziewiątej. Paweł wstał, przeciągnął się i poszedł otworzyć.

Zarumieniona od mrozu, z roziskrzonymi radością oczyma wpadła Marychna. Jej futro pachniało świeżym, zimnym powietrzem, a usta miała jędrne i chłodne jak pomarańcza.

¹⁷¹*buduar* (z fr.) — pokój kobiety, służący głównie do odpoczynku. [przypis edytorski]

- Uch, nareszcie — zarzuciła mu ręce na szyję.
- Tak ci było pilno?
- To też — zaśmiała się — ale nareszcie jutro jedziemy.
- Do Zakopanego?
- Gdzież tam! Do samej Szwajcarii!!!
- Ho, ho...

Była bardzo rozbawiona. Poprawiając włosy przed lustrem, trzepała wiadomości jedną za drugą, przeplatając to wszystko wykrzyknikami, wreszcie uplasowała się na kolanach Pawła, opowiadała, jak pojedą, co zobaczą, i że w ogóle jest szczęśliwa.

— To ładnie — zrobił smutną minę Paweł. — Jesteś szczęśliwa, że mnie tu zostawiasz, że jedziesz zdradzić mnie z innym. Nie spodziewałem się tego po tobie.

Ciekaw był, jak na to zareaguje. Odezwanie się jego widocznie bardzo wzięła do serca. Siedziała nieruchomo i wpatrując się w podłogę milczała.

— Widzisz — dodał — jak mnie krzywdzisz.

— Kiedy... kiedy to ja właściwie nie ciebie zdradzam z nim, tylko jego z tobą — odezwała się nieśmiało, jednak tonem, który świadczył o przykrości, jaką jej sprawia wyjaśnienie rzeczy tak prostej, a tak dla niego przykrej, prawdopodobnie przykrej...

Paweł był szczerze tym ubawiony.

— W każdym razie cieszysz się, że jedziesz.

— Ależ nie — zmartwiła się — ja nie cieszę się, że jadę i że nie będę widziała ciebie, tylko cieszę się, że będę za granicą. Ja wcale nie chciałam, gdyby... Zresztą... jeżeli nie chcesz, to nie pojedę... Ale sam mówiłeś...

Dostrzegła wreszcie jego półuśmiech i obraziła się:

— Eee, ty w ogóle kpisz ze mnie...

Udowodnienie tego, że nie kpi, zajęło Pawłowi ponad dwie godziny czasu, ku zadowoleniu stron obu.

W przerwach między bardziej ważkimi argumentami Paweł próbował żartobliwie udzielać Marychnie wskazówek, w jaki sposób należy zabrać się do przełamania upartej cnotliwości Krzysztofa. Ona jednak nie chciała tego słuchać, twierdząc, że się wstydzi.

Natomiast na dowód, że nie chce o nim zapomnieć, poprosiła go o fotografię.

— Po co ci to? — wzruszył ramionami. — Jeszcze Krzysztof znajdzie ją u ciebie i będziesz miała scenę zazdrości.

— Przecie nie będzie szperać po moich rzeczach — oburzyła się. — Krzych jest dżentelmenem.

— Moja droga, każdy mężczyzna jest dżentelmenem, czułym, arcydelikatnym i nadskakującym wobec wszystkich ładnych kobiet do czasu, póki nie nabierze do nich praw. Prawie każdy później zmienia się do niepoznania.

— Mężczyźni są okropni — westchnęła Marychna tak, jakby swoje doświadczenia w tym względzie liczyła na kopy.

Zaśmiał się i dodał:

— Natomiast kobiety odwrotnie: w stosunku do wszystkich mężczyzn udają wszechwładne monarchinie, nieprzystępne i godne, a gdy z tym czy z innym raz zaprzyjaźnią się bliżej, w stosunku do niego zmieniają się w nadskakujące niewolnice.

— To bardzo smutne, jeżeli tak jest — po namyśle powiedziała Marychna i pochyliła abażur, gdyż zdawało się jej, że światło lampy razi Pawła.

Musiała wyjść wcześniej, by dobrze wyspać się przed podróżą. Nazajutrz nie miała być w fabryce, więc teraz pożegnała się z Pawłem, wśród wielu pocałunków zapewniając go, że ani na sekundę o nim nie zapomni. Z kilku fotografii, jakie miał pod ręką, wybrała tę, na której oczy miał do połowy przymknięte i wyglądał tak „niebezpiecznie”.

Gdy wreszcie wyszła, Paweł pogasił światła i położył się do łóżka, lecz zasnąć nie mógł. Wciąż uparcie powracała myśl o nieszczęśliwych wypadkach, jakie w fabryce są rzeczą częstą i naturalną, o wypadkach, którym z łatwością mogą ulec ci, którzy po warsztatach chodzą, jak na przykład dyrektor techniczny...

Nagle uprzytomnił sobie, że w jednej z rozmów Jachimowski, tak, właśnie Jachimowski powiedział:

— Nie widzę specjalnego powodu do zmartwień w tym, że Krzysztof łązi po fabryce i pod wszystkie maszyny nos wsadza. A już najmniej niepokoić to powinno nas, jego spadkobierców.

Paweł wówczas nie zwrócił na te słowa uwagi. Teraz jednak z całą jasnością odkrył, że jego własna myśl zrodziła się z tego podsunęcia Jachimowskiego.

— A głupie bydlę! — zaklął głośno.

W tej chwili powziął postanowienie: należy jak najprędzej wyłączyć Jachimowskiego z fabryki.

To go uspokoiło i spał twardym zdrowym snem aż do rana.

Obudził się ze świeżą i spokojną głową, a nawet w dobrym humorze. Miał w tym dniu sporo rzeczy do załatwienia. Przeważnie były to sprawy odkładane od dawna do dnia wyjazdu Krzysztofa, to jest do czasu, gdy bez jego kontroli mogła wychodzić obowiązująca korespondencja firmy. Poza tym musiał załatwić się z Jachimowskim.

Okolo jedenastej szofer zameldował się, że odwozi na dworzec pana Krzysztofa.

Paweł spojrzął na zegarek:

— Zaczekaj chwilę, pojedę z tobą.

Już w chwilę później był niezadowolony z własnego niewczesnego pomysłu. Jednak słowo się rzekło i skoro nie można było wobec siebie znaleźć wytłumaczenia bezsensownego kroku, trzeba było wykombinować coś, co nie naraziłoby go na śmieszność w oczach Krzysztofa i usprawiedliwiło odprowadzanie na dworzec.

Jak na złość w papierach leżących na biurku nie było nic takiego, co wymagałoby wyjaśnień dyrektora technicznego. Nagle przyszło mu na myśl, że może prosić Krzysztofa, by ten zwiedził w Szwajcarii niektóre fabryki metalurgiczne i porobił obserwacje, które można by tu zastosować. To wydało się mu wystarczającym pretekstem.

Samochód objechał długi prostokąt muru fabrycznego i zatrzymał się przed sztachtami willi. Szofer nacisnął trzykrotnie guzik sygnału i po niespełna minucie otworzyły się drzwi frontowe. Służąca, stara tęga kobieta, ulokowała dwie walizy przy szoferze, nesesor zaś i kilka drobiazgów podała Pawłowi.

Tuż za nią ukazał się Krzysztof w eleganckim palcie podróżnym, z pledem i z jeszcze jedną walizką.

— Bój się Boga, Krzychu — żartobliwie przywitał go Paweł — jedziesz na dwa tygodnie, a zabierasz tyle rzeczy, co stara panna, wybierająca się na pół roku.

Spostrzegł od razu niezadowolenie Krzysztofa, wywołane oczywiście tym, że nie spodziewał się, iż Paweł zechce go odprowadzać.

— Och, tylko niezbędne rzeczy — powiedział wymijająco, lecz jego twarz pokryła się rumieńcem gniewu.

Paweł udął, że tego nie spostrzeża, i znajdował w tym nawet swego rodzaju satysfakcję, że Krzysztof nie może pozbyć się jego narzuconego towarzystwa.

— Wyglądasz tak — odezwał się zaczepnie — jakbyś był niezadowolony, ale daruj, chciałem po drodze rozmówić się z tobą o kwestiach firmowych.

— Nic nie mam przeciw temu.

Wóz ruszył. Paweł w krótkich słowach przedstawił kwestię, jak zapewniał, wielkiej wagi. Chodzi o ewentualny oddział produkcji mniejszych motorów elektrycznych dla rolnictwa. Są widoki na znalezienie odpowiednich kapitałów i rozszerzenie fabryki. Dlatego byłoby pożyteczne, gdyby Krzysztof odwiedził w Szwajcarii zakłady przemysłowe, takie jak Sulliksa i Terschenwalda, dla zorientowania się w ich metodach.

— Sądzę, że ci to nie sprawi specjalnych trudności — zakończył.

Krzysztof wzruszył ramionami:

— Znam te rzeczy dość dobrze, właśnie w Szwajcarii. Zresztą jadę na odpoczynek.

— Nie nalegam, tylko myślałem...

— Mogłeś mi to powiedzieć wczoraj — zimno zauważył Krzysztof.

— Nie mogłem z dwóch względów. Po pierwsze, sam nie wiedziałem jeszcze, że ewentualność rozszerzenia fabryki w tym kierunku ma szansę finansowe, a po wtóre, sam jeszcze nie byłem zdecydowany co do daty wyjazdu.

Krzysztof zatrzymał na nim przenikliwe spojrzenie:

— To prawda. Nie wiedziałeś nawet, że jadę do Szwajcarii, i... ciekaw jestem, skąd się o tym dowiedziałeś?

Paweł zwymyślał sobie w duchu, że był tak niezręczny, lecz nie dał po sobie tego poznać. Udał zdziwienie:

— Skąd?... No, Holder mi mówił.

— Holder? On też nie mógł wiedzieć.

Nie było innego wyjścia. Dla osłonięcia Marychny należało właśnie ją narazić:

— Jednak wiedział. Mówił mi nawet, że słyszał to od jednej z maszynistek, jakiejś Jarszówny czy Jarszówny. Czulem się nawet tym dotknięty. Zwierzasz się ze swych planów byle urzędnicze, a mnie o tym nie mówisz, chociaż bądź co bądź naczelnego dyrektora może obchodzić adres, pod którym w razie jakiegoś wypadku da się odnaleźć dyrektor techniczny.

Zaśmiał się, jakby dla zbagatelizowania całej sprawy, i dodał:

— Stawiam kwestię w taki sposób, gdyż robisz wiele, bym nie pamiętał, że jesteś bardzo bliskimi krewnymi.

Samochód zajeżdżał właśnie przed stopnie dworca. Krzysztof odwrócił głowę i powiedział cicho:

— Nic o tym nie wiesz, Pawle.

Do drzwiczek rzucili się tragarze. Paweł nie odprowadzał Krzysztofa na peron, gdyż nie chciał go narazić na przykrą sytuację z racji obecności tam Marychny. Podali sobie ręce, i znowu zdawało się Pawłowi, że w czarnych oczach mignęła iskierka sympatii.

W natłoku samochodów szofer zawrócił i auto pomknęło ku fabryce.

Paweł zapalił papierosa. W limuzynie pozostał nikły zapach wody toaletowej Krzysztofa. Naprawdę dziwny z niego chłopak. Niewątpliwie jest to skutkiem nienormalnego wychowania... I co miało znaczyć to jego odezwanie się?... Brzmiało to tak: „gdybyś wiedział to, o czym nie masz nawet pojęcia, wówczas rozumiałbyś mnie, ale i tak jest to beznadziejne”.

„Nonsens” — zżymał się Paweł, w tejże jednak chwili przypomniał sobie, że Krzysztof znowu nazwał go po imieniu, co zdarzyło mu się dopiero drugi raz. I znowu wymówił je z jakąś szczególnie ciepłą intonacją, z intonacją tak bardzo różniącą się od zwykłego suchego tonu.

„Pał go sześć — zmarszczył brwi — za wiele myślę o tym smarkaczu”.

Po powrocie do fabryki wezwał Holdera:

— Czy dyrektor Jachimowski jeszcze jest?

— Owszem, panie dyrektorze, czy mam poprosić?

— Nie. Ale dopilnuje pan, kiedy wyjdzie, i wówczas wezwie do mnie pana Karliczka.

— Słucham, panie dyrektorze.

W niespełną godzinę sekretarz zameldował inżyniera Karliczka. Wbrew swemu nazwisku był to tegi, wysoki mężczyzna, o rudawym zarostie i o ciężkich niedźwiedziowatych ruchach.

Paweł wskazał mu krzesło przed biurkiem.

— Mało się znamy — zaczął — ale sądzę, że mogę mieć do pana zaufanie.

— Tak jest — bąknął Karliczek i zmarszczył czoło.

— Od jak dawna jest pan zastępcą dyrektora handlowego?

— Chyba od ośmiu lat, panie dyrektorze.

Paweł udał zdziwienie:

— Od ośmiu? I przez cały ten czas nie awansował pan?

Karliczek bezradnym gestem rozłożył ręce.

— Hm... — namyślił się Paweł. — Czy nie uważa pan, że jest pan cokolwiek pokrzywdzony? Przecież gaży¹⁷² nawet panu nie podniesiono ani razu.

— Owszem, jeden raz o sto złotych.

— Zatem, ile ma pan teraz miesięcznie?

— Dziewięćset, panie dyrektorze.

— Tak mało?... Hm... a ile ma pański zwierzchnik?

— O, pan Jachimowski ma dwa tysiące... Ale ja to rozumiem... Jako współwłaściciel...

¹⁷²gaża — wynagrodzenie za pracę, pensja; dziś głównie w odniesieniu do zawodu aktora, artysty scenicznego. [przypis edytorski]

— Myli się pan — przerwał Paweł. — Płaci się za pracę, a nie za to, że ktoś ma udziały. Tak... Mój nieboszczyk ojciec miał o panu najlepszą opinię. Te spostrzeżenia, jakie ja zdążyłem porobić podczas mego kierownictwa, w zupełności ją uzasadniają. Dlatego chciałbym dać panu dowód, że umiemy docenić zasługi położone dla naszej firmy.

— Bardzo dziękuję, panie dyrektorze, naprawdę...

— Nie ma pan za co dziękować. Myślę przede wszystkim o interesach przedsiębiorstwa. I właśnie dlatego uważałbym, że zasługuje pan na inne, lepsze i lepiej płatne stanowisko.

Twarz Karliczka pokryła się cęglastym rumieńcem.

— O, doprawdy, panie dyrektorze — powiedział, jękając się — ja już tak zżyłem się z pracą wydziału handlowego... Jeżeli pan tak łaskaw... prosiłbym o pozostawienie mnie na dotychczasowym miejscu...

Paweł udawał, że przegląda papiery. Jednak ani jedno drgnięcie twarzy podwładnego nie uszło jego uwagi. Nie mylił się. Było jasne, że Karliczek miał na swym stanowisku dobre poboczne dochody z prowizji i łapówek. Oczywiście Jachimowski nie był w porządku, gdyż w przeciwnym razie temu cymbałowi nie udałoby się zwędzić ani grosza. Paweł wiedział o tym od dawna. Teraz znalazł tylko potwierdzenie uzasadnionych podejrzeń, co zresztą było mu bardzo na rękę.

— Panie inżynierze — odezwał się — bynajmniej nie myślałem o przeniesieniu pana do innego wydziału. Przeciwnie. Jestem zdania, że w dyrekcji handlowej jest pan niezastąpiony. Czy... wie pan, jakie stosunki panują między moim szwagrem a prezesem Dalczem?

— Słyszałem, że nie najlepsze... ale ja tam się tymi rzeczami nie interesuję, to do mnie nie należy...

— Nie o to chodzi, panie Karliczek. Sprawa polega na tym, że prezes pragnąłby rozstać się z panem Jachimowskim. Zapytywał mnie też, czy jestem zdania, że pan byłby odpowiedni na stanowisko dyrektora handlowego. Oczywiście mówię to panu w przeświadczeniu, że ani jedno słowo tej rozmowy nie wyjdzie poza drzwi mego gabinetu.

— O, tego może pan być pewien, panie dyrektorze.

— Jestem pewien — z niewzruszonym przekonaniem pochylił głowę Paweł. — Dlatego mogę panu szczerze powiedzieć, że prezes życzy sobie znaleźć powód, pretekst, podstawę moralną do udzielenia dymisji dotychczasowemu dyrektorowi handlowemu. Rozumie pan?

— Naturalnie...

— Od tego zależy wszystko. I właśnie, nie chcąc sprawie nadawać niepotrzebnego rozgłosu przez wyznaczenie specjalnych rewidentów, zwróciłem się do pana. Spodziewam się, że jako wypróbowany przyjaciel firmy pan zechce ułatwić mi zadanie i wskaże kilka spraw, które mogą dać ową podstawę moralną.

Karliczek siedział nieruchomo z oczyma utkwionymi w podłogę. Na jego karku narzmiły fałdy czerwonej skóry, splecione krótkie i grube palce nie ustawały w wijącym się robaczkowym ruchu.

— No, panie inżynierze? — przynaglił Paweł.

— Ja owszem... — sapnął Karliczek — owszem, rozejrzę się... poszukam...

— Poszuka pan i znajdzie?

Karliczek lypnął ku niemu badawczym spojrzeniem:

— Zapewne... Tak sędzę... W ciągu kilku dni...

Paweł zaśmiał się pobłaźliwie:

— Żarty, panie Karliczek, żarty. Czy ja wyglądam na usposobionego do żartów, panie Karliczek?... W ciągu kilku dni wiele osób może wylecieć poza bramę fabryczną. W ciągu kilku dni mogą nabrać takiego rozpędu, że znajdą się w innej bramie, która otwiera się bardzo łatwo tylko dla wchodzących, natomiast wychodzących wypuszcza niechętnie. W ciągu kilku dni wiele rzeczy się dzieje. Nie wszyscy mamy na to czas. Toteż myślę, że pan sobie zaraz, natychmiast, nie wychodząc z tego pokoju, zdoła przypomnieć cokolwiek ciekawego.

— Doprawdy tak trudno, panie dyrektorze — Karliczek wyjął dużą chustkę z różowym szlakiem, rozłożył ją i obtarł twarz.

— O, wierzę panu, że trudno. Ale pamięć człowieka rozsądnego zaczyna działać intensywniej w chwilach, od których zależy na przykład znaczna poprawa bytu albo duże przykrości. Wysoko cenię pańską lojalność i wiem, że ta ma większe zobowiązania w stosunku do firmy niż do zwierzchnika bezpośredniego. Taki zwierzchnik, panie inżynierze, często umie wmówić w podwładnych, że pokrycie milczeniem pewnych przekroczeń jest dowodem poczucia koleżeństwa, ba, potrafi zmusić do partycypowania¹⁷³ w nielegalnych zyskach pod grozą, powiedzmy, dymisji. Najuczciwszego człowieka, za jakiego pana uważam, może to spotkać. Znam życie i nie jestem upartym pedantem. Umie odróżnić złą wolę od pewnych konieczności życiowych. Czy mówię dość jasno?

Karliczek gniótł ręce, poruszał brwiami, jego żuchwy wykonywały nieustannie skoki w górę i w dół, wskutek czego przez tłuste warstwy twarzy przebiegały gęste grube fale, połyskujące miedzią źle ogolonego zarostu. Kilka razy otwierał rybim ruchem usta i rzucał ku Pawłowi rozpaczliwe wywiadowcze¹⁷⁴ spojrzenia. Wreszcie zaczął mówić.

Już dawno przebrzmiał ostatni chrapliwy dźwięk syreny fabrycznej, gdy Paweł wraz z Karliczkiem przeszli do biura handlowego. Wśród brzęku kluczy otwierały się szafy i szuflady, terkoczący hałas rolet drewnianych, amerykańskich szafek mieszał się z szybkim szelestem papierów.

Woźny, stojący przed drzwiami, zatrzymał sekretarza Holdera:

— Pan dyrektor nie kazał¹⁷⁵ nikogo wpuszczać.

— Co, Józef zwariował? Ja mam pilną korespondencję!

— Nie kazał. Bardzo przepraszam, ale jak pan sekretarz chce, to niech wejdzie na własną odpowiedzialność.

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi. Wyszedł Paweł z plikiem papierów w ręku. Za nim ukazał się inżynier Karliczek, czerwony jak burak.

Paweł na korytarzu przejrzał i podpisał korespondencję, mruknął „do widzenia”, nałożył futro i zbiegł ze schodów.

Miał wszystko, czego się spodziewał.

— Do domu — powiedział szoferowi.

Natychmiast po przyjeździe wytelefonował¹⁷⁶ Jachimowskiego, zaznaczając, że sprawa jest bardzo pilna.

Właśnie kończył obiad, gdy zjawił się Jachimowski. Od czasu niefortunnego pozbycia się udziałów Ganta zmienił się bardzo. Był nieco przesądny i doszedł do przekonania, że ta jedna nieudana¹⁷⁷ transakcja pociągnie za sobą szereg przykrych zdarzeń. Najbardziej męczyło go to, że nie miał żadnych dowodów na udział w machinacji samego Pawła. Wprawdzie Paweł skłonił go do tego podstępu, ale bezpośrednim winowajcą był Tolewski. Mógł zatem oskarżać Pawła o lekkomyślną radę, o niedocenianie sprytu Tolewskiego, o obojętność dla cudzych interesów, ale nie mógł mu rzucić w twarz, że to on popełnił cały szwindel¹⁷⁸. Zdobyłby się na to niewątpliwie w stosunku do każdego innego człowieka, lecz tu brakowało mu pewności siebie. Sam wygląd Pawła, jego olimpijskość, wyniosłość i powaga onieśmielały. Zresztą bądź co bądź pozostawało faktem, że Paweł nabył od Tolewskiego udziały sprzedane przez Wilhelma Dalcza, że na stracie Ganta nic nie zyskał, a przynajmniej nie można mu było tego udowodnić. Nawet te piętnaście tysięcy dolarów, które Jachimowski włożył do afery, zostały mu zwrócone w całości. Jedynym świnstwem, jakie wolno było zarzucić Pawłowi, było niedopuszczenie szwagra do części wykupionych udziałów, jak ustalili przedtem. I tu jednak Paweł miał dość wystarczające tłumaczenie:

— Swoim niezgrabiaszostwem¹⁷⁹ — powiedział, oddając Jachimowskiemu jego pieniądze — popsuleś mi diabelnie cenę. Tolewski zwąchał, co piszczy w trawie, i zamiast sześćdziesięciu musiałem zapłacić sto tysięcy, a ponieważ takiego kapitału nie miałem w gotówce, musiałem pożyczyć. Chyba nie będziesz ode mnie wymagał, bym wobec tego dopuszczał cię do spółki na te głupie piętnaście tysięcy.

¹⁷³partycypować (z łac.) — mieć swój udział we wspólnych zyskach z jakiegoś przedsięwzięcia lub ponosić część wspólnych kosztów; uczestniczyć w czymś. [przypis edytorski]

¹⁷⁴wywiadowcze — tu: wynikające z chęci wywiedzenia się, pytające. [przypis edytorski]

¹⁷⁵nie kazać (tu daw.) — zabronić. [przypis edytorski]

¹⁷⁶wytelefonować kogoś (daw.) — zatelefonować do kogoś. [przypis edytorski]

¹⁷⁷nieudany (daw.) — nieudany. [przypis edytorski]

¹⁷⁸szwindel — oszustwo. [przypis edytorski]

¹⁷⁹niezgrabiaszostwo — dziś: niezdarność. [przypis edytorski]

Jachimowski wszedł do jadalni i z wyrazu jego twarzy Paweł wywnioskował, że oczekuje jakiejś korzystnej propozycji.

— Siadaj — wskazał mu krzesło.

Jachimowski usiadł bokiem przy stole i podciągnął nogawki spodni.

— Wypiję filiżankę kawy — powiedział lokajowi.

Gdy służący wyszedł, Paweł odezwał się tonem współczucia:

— Jesteś haniebnie nieostrożny.

— Co przez to chcesz powiedzieć?

Paweł podsunął mu cukiernicę:

— Pozwolisz?

Jachimowski nerwowo brzęknął łyżeczką w filiżance. Wrażenie, z którym przyszedł, rozwiało się bez śladu. Czuł w powietrzu nowe niebezpieczeństwo.

— Czy ty masz jakieś stosunki w sądownictwie, w prokuraturze? — zapytał Paweł.

— Bo o co chodzi?

— Widzisz, na rozmijanie się z kodeksem karnym w poglądach na życie może sobie pozwolić człowiek rozsądny jedynie wówczas, gdy ma gwarantowane bezpieczeństwo.

— Nie rozmijam się z kodeksem — poderwał się Jachimowski.

— Czy jesteś tego pewien?

Paweł utkwił w nim zimne, na pozór obojętne spojrzenie.

— Mów po prostu, co masz mi do zarzucenia.

— Brak rozsądku.

Zapalił papierosa i dodał:

— Zakłady Przemysłowe Bracia Dalcz i Spółka ponosiły rocznie kilkadziesiąt tysięcy strat, co zawdzięczają tobie.

Wszedł służący i zaczął sprzątać ze stołu.

— Przejdźmy do gabinetu — wstał Jachimowski.

Paweł nie ruszył się z miejsca. Dobrze wytresowany służący natychmiast zorientował się, że zawadza swą obecnością, i zniknął, obierając sobie znacznie wygodniejszą i nikomu niezawadżającą pozycję przy dziurce od klucza za drzwiami pokoju kredensowego.

— Mój stryj ma dowody w rękę — powiedział Paweł. — Nie wiem, czy uda mi się odwieść go od postanowienia przekazania sprawy urzędowi śledczemu.

Jachimowski, błydy jak płótno, pochylił się nad nim:

— Jakie dowody? Do cholery, jakie dowody?

Paweł zerwał się, w dwóch krokach dopadł drzwi, otworzył je i do uszu Jachimowskiego dobiegł dźwięk dwóch siarczystych policzków.

— Jakie, pytasz? — ciągnął Paweł, wracając na miejsce. — Wszystkie, przyjacielu. Albo należało niszczyć oferty, albo nie fałszować rachunków. Albo spalić korespondencję biura sprzedaży, albo certyfikaty przekazowe i wykazy dla kasy. Powtarzam: jesteś haniebnie nieostrożny.

Jachimowski podszedł do okna i bębnił palcami po szybie. Przez dłuższy czas panowała cisza.

— W jaki sposób mogło to dojść do wiadomości pana Karola? — odezwał się Jachimowski.

— Mniejsza o to. Jeżeliby ci nawet odpowiedział, w najmniejszym stopniu nie zmieniłoby to sytuacji.

— To ten szpieg Blumkiewicz!

— Może.

— Zabiję to bydlę — odwrócił się Jachimowski.

Paweł był zdumiony wyrazem jego twarzy: rysy ściągały się, z cienkich rozchylonych warg wystawały żółte, czerniejące zęby, oczy były prawie nieprzytomne.

— Życzę ci powodzenia, ale mnie to już nie obchodzi — wzruszył ramionami Paweł. — Mnie zależy tylko na jednym: na uniknięciu publicznego skandalu. Stryj powierzył mi przeprowadzenie dochodzeń i obliczenie kwoty nadużyć, którą trzeba będzie wymienić w skardze do prokuratora...

— Pawle!

— Słucham cię?

— Przecież jesteś moim szwagrem!

— Niestety.

— Wiesz co, ja zatelefonuję po Ludkę, przecie tego nie można robić, przecie nie chcesz, bym sobie w łeb palnę!

— Dajmy spokój frazesom. W łeb sobie nie palniesz, a co tu Ludka ma do mówienia?

— Przecie jesteście rodziną. Nie, Pawle, ja nie wierzę w to, byś ty mógł mnie, mnie i twoją rodzoną siostrę narazić na coś podobnego.

— W każdym razie nie pragnę tego — skrzywił się Paweł. — Ale proszę cię, podaj mi jakieś wyjście z sytuacji.

Jachimowski potrząsnął desperacko pięściami, po czym ścisnął skronie i zaczął biegać wzdłuż stołu, podczas gdy Paweł spokojnie palił papierosa.

— Zabiję to bydłę, zabiję — powtarzał.

Nagle zatrzymał się przed Pawłem i powiedział:

— A ty nie widzisz żadnego wyjścia?

— Nie.

— O Boże. Boże!... Nie, ja muszę zadzwonić po Ludkę. Ona może coś wymyśli...

— Cóż tu można wymyślić? Jedyne, to chyba pokrycie nadużyć...

— Zwariowałeś! Skąd ja takie pieniądze wezmę!

— Właśnie. No, pozostaje ci jeszcze prosić o łaskę stryja Karola.

— Ach! — beznadziejnie machnął ręką Jachimowski.

— Zresztą każdy z nas, współwłaściciele, ma prawo domagać się zwrotu strat.

— A ty pierwszy — wyszczerzył się ku niemu Jachimowski. — Ty, psiakrew, pierwszy, ty, który jak ta zmora, jak ten...

Paweł zatrzymał go jednym ruchem ręki:

— Czekał. Nigdy nie uważałem cię za zbyt rozumnego, ale chyba to już szczyt idiotyzmu zrażać do siebie mnie, właśnie mnie w takiej chwili.

Jachimowski zakrył twarz rękami:

— Więc cóż mam robić, co robić?...

— Na twoim miejscu — spokojnie zauważył Paweł — postarałbym się uczciwie zlikwidować całą sprawę. Nie wyobrażam sobie, by w innym wypadku mogło się obejść bez kompromitującego procesu, no i bez więzienia. Pamiętaj, że nikt nie lubi robić prezentów ze swej własności. Jeżeli by nawet stryj Karol, co jest niepodobieństwem, machnął na to ręką, jeżeli to samo zrobiłbym ja, to zawsze pozostają jeszcze Krzysztof i Tolewski. Zataić przed nimi nadużyć nie można...

— Dlaczego nie możesz?

— Zatajenie byłoby nadużyciem, a wybac, ja jestem uczciwym człowiekiem i na żadne szwindle nie pójdę. Mam swoje zasady, których dla niczych pięknych oczu nie złamię.

— Tak?... Tak?...

— Tak, mój biedny przyjacielu. Nie chcę kiedykolwiek znaleźć się w położeniu, w jakim ty się obecnie znajdujesz.

— To jest kłamstwo! — wybuchnął Jachimowski. — Nie graj przede mną komedii, bo jestem za stary wróbel na takie plewy! Rozumiesz?... A czym było objęcie przez ciebie dyirekcji w fabryce, a czym było wyzyskanie tego dla wykupienia udziałów, a kto skrzywił udziały Ganta przy pomocy tego łobuza Tolewskiego?!...

— Milczeć! — huknął Paweł.

Jachimowski odskoczył i zasłonił się krzesłem.

— Strach przed więzieniem odebrał ci resztę rozumu! — uderzył Paweł pięścią w stół. — Dostałeś chyba pomieszania zmysłów! Samiście mnie prosili, bym objął dyirekcję. Wam chodziło o wasze udziały, a mnie o pamięć ojca! Ty idioto! Czy mam ci w pysk rzucić kwity za zapłacone za ojca dwieście tysięcy dolarów? Ja gram komedię? Do diabła, drogo mnie ta komedia kosztuje. Powiadasz, głupcze, że wykupiłem udziały?... Tak, wykupiłem, i co z tego? Wykupiłem za własne pieniądze, czy mam je wam rozdarować, co?... Bałwan! Na te nonsensy w ogóle nie powinienem ci odpowiedzieć, ale żebyś się nauczył *moresu*¹⁸⁰, ty mi odpowiesz za posądzenie o udziały Ganta, a odpowiesz tak, że będzie ci się długo przypominało. A teraz precz!...

¹⁸⁰*mores* (przestarz.) — posłuszeństwo, karność. [przypis edytorski]

— Pawle!...

— Precz! Za drzwi, złodzieju!

Jachimowski oparł się o ścianę i wyciągnął obronnym ruchem rękę. Zaczął mówić przerywanym głosem, w oczach o czerwonych obwódkach zakręciły się łzy.

Prosił o przebaczenie, tłumaczył się rozpaczą, rozstrojem nerwowym, błagał, zaklinał na wszystkie świętości, przysięgał, że nie wierzy sam w to, co powiedział. Błagał o litość, o wyrozumienie, o ratunek.

Jego wąskimi pierściami wstrząsało łkanie, a czubek nosa na bladej błyszczącej twarzy odbijał jaskrawą czerwienią.

Paweł usiadł i słuchał z ponurym wyrazem twarzy. Gdy Jachimowski wreszcie nieśmiało zaproponował, że gotów byłby poświęcić jakąś większą kwotę dla zatuszowania sprawy, przerwał mu:

— Nie podsuwaj mi łapówki, bo nie jestem człowiekiem twego pokroju. Milcz i słuchaj. Mnie twoje pieniądze nie są potrzebne. Okradałeś fabrykę, a teraz obraziłeś mnie. Nie mam żadnego powodu być pobłażliwym dla ciebie. Pomimo to, z tego jedynie względu, że jesteś mężem mojej siostry, może spróbuję cię ratować od kryminału. Słuchaj uważnie, co powiem, gdyż drugi raz nie powtórzę, a nie ma takiej siły na świecie, która by zmusiła mnie powrócić jeszcze raz do rozmowy z tobą. Otóż spróbuję skłonić stryja Karola do przebaczenia ci złodziejstwa, a raczej do powstrzymania doniesienia o kradzieży. Uda mi się to tylko wtedy, jeżeli okażesz maksimum dobrej woli.

— Gotów jestem, Pawelku, na wszystko.

— Nie przerywaj. Takim świadectwem dobrej woli będzie wystawienie zobowiązania pokrycia strat i wpłacenie jakiejś kwoty dla zadokumentowania uczciwych zamiarów. Jeżeli to zrobisz, podjąłbym się ratowania ciebie. Zaznaczam jednak, że bynajmniej nie gwarantuję pomyślnych skutków swojej interwencji, gdyż stryj nienawidzi cię z całej duszy. Zobowiązanie musi zawierać przyznanie się do malwersacji¹⁸¹. Powiedziałem ostatnie słowo. Na to możesz odpowiedzieć albo zgodą, albo odmową. Żadnej dyskusji na ten temat nie zamierzam prowadzić. Więc?...

Jachimowski próbował wykręcić się, prosić o czas do namysłu, odwoływać się do swego zdenerwowania, lecz gdy Paweł wstał i spojrział na zegarek, zdecydował się:

— Dobrze. Podpiszę, ale jaką mam gwarancję, że pomimo to nie zrobicie doniesienia?

— Żadnej. Masz tylko moje słowo honoru, że zrobię wszystko, by stryja ułagodzić.

— A ile trzeba dać pieniędzy? Ja teraz naprawdę jestem nędzarzem!...

— Sądzę, że wystarczy jakiś drobiazg. Dziesięć tysięcy...

— Ale złotych?

— Złotych.

— A kiedy to trzeba załatwić?

— Natychmiast. Chodźmy.

Zaprowadził go do gabinetu, wyjął arkusz papieru i wskazał Jachimowskiemu miejsce przy biurku.

— Co mam napisać?

Paweł zaczął dyktować. Krótko, zwięźle, dobitnie. Doskonale widział, jak pióro piszącego waha się przed każdym słowem, widział krople potu, które wystąpiły na jego łysinie, i nerwowe skurcze palców opartych o biurko. Teraz już jednak nie wątpił, że Jachimowski się nie cofnie.

— Mam podpisać?

— Chwila.

Paweł nacisnął guzik dzwonka. Wszedł lokaj. Jeszcze miał czerwone policzki od silnych uderzeń, które oberwał przy drzwiach.

— Czy znasz tego pana? — zapytał Paweł, wskazując Jachimowskiego.

— Jakże, jasnie panie? — zdziwił się służący. — Oczywiście znam. To pan dyrektor Jachimowski.

— Będziesz świadkiem, że to pan Jachimowski własnoręcznie podpisał.

Jachimowski zerwał się od biurka.

¹⁸¹malwersacja — sprzeniewierzenie, nadużycie finansowe polegające na przywłaszczeniu sobie powierzonych pieniędzy a. mienia. [przypis edytorski]

— Pawle, po co te formalności!

— Nic nie zaszkodzi. Podpisz.

Jachimowski strzepnął palcami i podpisał. Wówczas Paweł złożył arkusz w ten sposób, by służący nie mógł przeczytać jego treści, i podyktował mu:

„Powyższe oświadczenie podpisał pan dyrektor Jachimowski w mojej obecności i dobrowolnie”.

— Teraz ty się podpisz.

Po chwili arkusz został złożony i schowany do szuflady biurka. Oczy Jachimowskiego odruchowo nie odrywały się od rąk Pawła i podniosły się dopiero wówczas, gdy pęk kluczy znikł w kieszeni.

— Mam wystawić czek? — zapytał ponuro Jachimowski.

— Dobrze.

W kwadrans później lokaj zamykał za nim drzwi. Postął chwilę w przedpokoju i zdecydował się, że należy przeprosić pana za podsłuchiwanie... Paweł siedział zamyślony, gdy służący odezwał się przyciszonym głosem.

— Jaśnie pan będzie łaskaw darować, ale to mnie się jakoś, sam nie wiem, przydarzyło pierwszy raz...

— Mniejsza o to, Janie — ziewnął Paweł. — Nie przeszkadzaj sobie w dalszym ciągu. Staraj się tylko być nieco ostrożniejszy. Nie lubię bić, a zmusiłbyś mnie do forsowania ręki.

— Bardzo przepraszam, jaśnie panie, zawiniłem, ale więcej się to nie powtórzy.

— Po co mnie o tym zapewniasz? Czy sądziłeś, że wyrzucę cię dlatego?... Nie, mój drogi przyjacielu. A teraz idź i nie zawracaj mi głowy.

Zrzucił marynarkę i wyciągnął się na tapczanie.

„Temu głupcowi zdaje się — myślał — że przebaczyłem mu, gdyż wierzę w jego obietnice poprawy. Nie przyjdzie mu nawet do głowy, że musiałbym wziąć innego lokaja, który, powiedzmy, mniej podsłuchiwałby, ale byłby więcej porcelany, albo kradł, czy nosił moją bieliznę. Ludzie często mówią najgorzej o bliźnich, ale w gruncie rzeczy myślą najlepiej. Wynika to stąd, że sami siebie uważają za wyjątkowo zły wyjątek. Dlatego cieszą się, gdy dowiedzą się, że ktoś popełnił zadeklarowane łajdactwo. Umacnia to ich wiarę w siebie: »Mnie nikt za rękę nie złapał, nikt nie przypuszcza, bym mógł coś nieetycznego popełnić«. Każdy w stosunku do innych jest właściwie optymistą. To daje mu urojoną przewagę nad innymi: »Oni nawet nie domyślają się, co ze mnie za numer!«. Tym jedynie można wytłumaczyć łatwowierność człowieka. Chce być oszukiwany, bo zdaje mu się, że jest oszukującym”.

Zaśmiał się i powiedział głośno:

— Oto jest olbrzymie nietknięte bogactwo psychiki ludzkiej. Kopalnia czekająca świadomej eksploatacji!

Przebiegł myślą swe dawniejsze poglądy. Niewątpliwie nie miał dawniej tej precyzji w ich formułowaniu. W latach młodości zapewne w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy. Przecież musiały w nim tkwić. W instynktach. W korze mózgowej. Mniejsza o to, że nie były nazwane. Rzeczy nieposiadające nazwy nie przestają istnieć dlatego, że jej nie mają. Zawsze się tym podświadomie kierował. To właśnie stało się ongiś momentem zatargu i zerwania z ojcem. Ojciec nie rozumiał, jaki wielki kapitał tkwi w zaufaniu, w tym zaufaniu, wyrobionym sobie przez firmę Dalczów. Nie pojmował potrzeby wykorzystania tego kapitału. Nazywał to łajdactwem. O, stary, głupi idealisto, naiwny samobójco!

Kiedyś na jednej ze scen berlińskich Paweł widział sztukę Jewreinowa, której tezą było, że najważniejszą rzeczą jest nie rzeczywistość, lecz złudzenie, dzięki któremu mamy świadomość rzeczywistości. Miał wówczas ochotę kupić bilet do teatru i posłać go ojcu do Warszawy. *Mundus vult decipi...* Czyż to nie zabawne, że słowa te wypowiedział też Paweł, papież Paweł IV¹⁸², jeden z najlepszych znawców człowieka: *mundus vult decipi, ergo*

¹⁸²Paweł IV, właśc. *Giovanni Pietro Carafa* (1476–1559) — współzałożyciel zakonu teatynów, od 1542 do 1558 na czele Rzymskiej Inkwizycji, papież od 1555; zwolennik głębokich reform w kościele, przeciwny kontynuowaniu soboru trydenckiego; zmiany chciał zaprowadzić samodzielnie, wykorzystując odnowioną Inkwizycję; w 1557 wydał pierwszy indeks ksiąg zakazanych. [przypis edytorski]

*decipiatur*¹⁸³. I to właśnie on założył indeks ksiąg zakazanych!... Imponująca konsekwencja! To się nazywa wprowadzenie swojej filozofii w życie!

I na to nie trzeba być aż papieżem z szesnastego wieku. Trzeba tylko być jednostką, osobnikiem wydzielonym ze stada. Wystarczy nie wiązać się z tym stadem żadnymi uczuciami. To pozwala na osiągnięcie dystansu i perspektywy, dzięki którym widzi się iluzoryczność rzekomych trudności.

— *Ergo decipiatur* — powiedział i sięgnął po słuchawkę telefoniczną.

Blumkiewicz wysłuchał z uwagą i z nietajoną radością zawiadomienia, że Jachimowski musi być usunięty. Nie upłynęło pięć minut, gdy powrócił od pana Karola.

Powrócił z oznajmieniem, że prezes czeka i gotów jest przyjąć pana dyrektora natychmiast.

W dwadzieścia minut później Paweł wchodził do pokoju stryja.

— Blumkiewicz zakomunikował już ci, stryju, tę bardzo nieprzyjemną wiadomość. Osobiście nie spodziewałem się po Jachimowskim przesadnej uczciwości, jak to stryj zapewne pamięta.

— Czy nadużycia sięgają wysokich sum?

— Nie sądzę. Raczej należy przypuszczać, że nie wybiegają poza kilkanaście tysięcy. Wezwałem Jachimowskiego i oświadczyłem mu, że oczywiście o jego dalszej współpracy w fabryce nie może być mowy.

— Czy nie jesteś zdania, że należy oddać sprawę władzom śledczym?

Paweł wzruszył ramionami:

— Wolałbym uniknąć rozgłosu. Samobójstwo ojca, a teraz ta historia to byłoby za dużo jak na okres kilku miesięcy.

— Masz rację — półgłosem odpowiedział pan Karol.

— Zresztą zobowiązałem Jachimowskiego do pokrycia malwersacji — wydobył z kieszeni czek i pokazał go stryjowi. — Na razie wpłacił tytułem zwrotu dziesięć tysięcy złotych.

Pan Karol przymknął powieki i powiedział:

— Umiesz sobie dawać radę z ludźmi.

— Więc stryj w zasadzie akceptuje moje zarządzenie?... Nie trudziłbym tym stryja, gdyby chodziło o zwykłego urzędnika, ponieważ Jachimowski jest współwłaścicielem fabryki, uważałem za konieczne...

— Na czym polegają nadużycia?

Paweł zaczął opowiadać. Nie przedstawił nadużyć w takich rozmiarach, jakie obejmowały w rzeczywistości, nie wspomniał też o drodze, którą do ich wykrycia doszedł. Zaznaczył tylko, że podczas przeglądania ksiąg spostrzegł pewne dysproporcje i te naprowadziły go na ślad machinacji dyrekcji handlowej.

Z kolei rozmowa przeszła na inne tematy dotyczące fabryki i Paweł zapytał, jaki jest adres Krzysztofa w Szwajcarii.

— Zwróć się z tym do Teresy. Ona ma zapisaną nazwę i adres hotelu.

Gdy wychodząc, Paweł zapytał Blumkiewicza o stryjenkę, ten odpowiedział, że pani Teresa ma migrenę i nie mogłaby go przyjąć.

„Po kiego licha — myślał Paweł, wracając do domu — jest mi potrzebny ten adres?...”

Już w przedpokoju zauważył płaszcz Tolewskiego i teraz dopiero przypomniał sobie, że kazał mu przyjść dziś wieczorem. Od kilku dni Tolewski z polecenia Pawła załatwiał różne sprawy na giełdzie, polegające przeważnie na wywiadzie. Chodziło o informacje, dotyczące stanu finansów w niektórych przedsiębiorstwach przemysłowych branży metalurgicznej. Paweł nie miał jeszcze szczegółowo nakreślonych planów dalszej akcji, wierzył jednak zasadzie, że poznając rynek, będzie miał sposobność dostrzeżenia tych jego stron, w których dałoby się drogą nowych koncepcji znaleźć ujście dla szerzej zakrojonych interesów. Przede wszystkim myślał o stworzeniu trustu¹⁸⁴, opartego na wzorach amerykańskich, a koncentrującego wszelkie pokrewne działy produkcji metalurgicznej. Były to

¹⁸³*mundus vult decipi, ergo decipiatur* (łac.) — świat chce być oszukiwany, więc niech będzie oszukiwany. [przypis edytorski]

¹⁸⁴*trust* — monopolistyczne przedsiębiorstwo powstałe w wyniku połączenia firm z jednej branży. [przypis edytorski]

wszakże perspektywy nierealne, odległe, których bynajmniej nie rozświetliły wiadomości zebrane przez Tolewskiego.

Człowiekowi temu nie można było odmówić znacznej dozy sprytu, brakowało mu wszakże niezbędnej inteligencji, wskutek tego jego stosunek do badanych spraw przypominał wyzła, robiącego stójkę przed każdym doraźnym geszefcikiem¹⁸⁵, jaki zdołał wywęszyć. Paweł wprawdzie nie pragnął bynajmniej znaleźć w Tolewskim ani w żadnym innym swoim współpracowniku indywidualnej pomysłowości, inicjatywy i samodzielności. Raczej przeciwnie, od ludzi, którymi się posługiwał, wymagał bezwzględności posłuszeństwa i wyrzeczenia się prób rozumowania. Mieli spełniać rolę sprawnych kółek w mechanizmie przez niego tworzonym. Tolewski nie był kółkiem dostatecznie doszlifowanym. Wina tego tkwiła w jego psychice kawiarnianego naciągacza i pokątnego aferzysty, polującego na małe i szybkie zyski. To było też przyczyną niepożądanego nastawienia jego zdolności obserwacyjnych i Paweł wiele czasu marnować musiał na urobienie tego człowieka dla swoich celów.

Od czasu przyjazdu do Warszawy Paweł wiele nocy nie dospał, całkowicie pochłonięty swoim zadaniem. Obecnie stan rzeczy wchodził w okres spokojnego nurtu, w którym nic lub prawie nic nie miał do zrobienia. Na razie pozostawało tylko obsadzenie dyrekcji handlowej.

Nazajutrz rano kazał wezwać do siebie inżyniera Karliczka. Nie zaniedbał ostrożnego wybadania go, czy w dziale sprzedaży i zakupów nie pozostały jeszcze do skontrolowania jakiegokolwiek „niedokładności”, a gdy otrzymał zapewnienie, że wszystko jest już „panu dyrektorowi wiadome”, oświadczył:

— No, panie Karliczek, z tego wszystkiego wynika niestety ponad wszelką wątpliwość, że pan również brał udział w nadużyciach Jachimowskiego, że mówiąc po prostu, okradał pan firmę, która przez osiem lat okazywała panu tyle zaufania, która płaciła panu wysoką pensję... Tak, było to dla mnie bardzo przykrą niespodzianką. Rozumie pan, że w warunkach istniejących obecnie nie będę mógł nadal korzystać z pańskiej współpracy.

Twarz Karliczka stała się purpurowa i wyglądała jak olbrzymi poleć surowego mięsa.

— Jak to, panie dyrektorze, przecie o ile słyszałem, wczoraj zapewnił pan mnie...

— O niczym pana nie zapewniałem — surowo przerwał Paweł, utkwivszy w nim oczy. — Tu wchodzi w grę kodeks karny i sfera jego działania. Oczywiście docenię pańskie poczucie obowiązku uczciwości, które odezwało się w panu. Zdaję sobie sprawę, że panu i wyłącznie panu zawdzięczam wykrycie malwersacji. Biorę też pod uwagę pańskie niejako przyznanie się do winy. To skłania mnie do pewnych niepraktykowanych zresztą ustępstw, do niejkiej pobłażliwości. Nie tylko nie oddam pana w ręce prokuratora, lecz nie będę także wymagał zwrotu osiągniętych przez pana nielegalnych zysków. Od dziś jest pan wolny i może pan poszukać nowej posady. Nie będę panu w tym przeszkadzał. Otrzyma pan dobre świadectwo.

— Nie będzie pan mnie przeszkadzał? — chrapliwie odezwał się Karliczek. — Kpi pan ze mnie. Gdzie ja teraz znajdę wolną posadę przy tym kryzysie?

— Daruje pan, ale to już mnie nie obchodzi.

— Głupi byłem. — Splótł palce tak, aż zatrzęszczały stawy, a na rękach wystąpiły sine i białe plamy. — Głupi byłem... Cóż?... Za swoją głupotę każdy musi płacić. Dałem się panu nabrać, a teraz wyrzuca mnie pan na bruk...

Paweł nacisnął guzik dzwonka. Na progu stanął sekretarz Holder.

— Panie Holder, zechce pan zaraz przygotować świadectwo dla pana inżyniera Karliczka: lata pracy, duże zdolności handlowe, odejście na własne żądanie. Da mi pan to zaraz do podpisu.

— Więc decyzja pana dyrektora jest nieodwołalna? — zapytał Karliczek, gdy drzwi za Holderem zamknęły się.

— Nigdy nie widzę powodu do odwoływania moich postanowień — twardo odpowiedział Paweł. — Jeżeli w tym wypadku mogłoby to mieć miejsce, nie radziłbym panu zmuszać mnie do tego.

Karliczek odczuł w głosie Pawła groźbę, lecz i sam z trudem opanowywał wściekłość. Z każdego rysu jego olbrzymiej twarzy wyczierała hamowana chęć wybuchu; zaczął pro-

¹⁸⁵geszefcik (z niem. *Geschäft*) — zdr. pogardliwie: interesik. [przypis edytorski]

sić, lecz w tonie prośby brzmiał gniew, poczucie doznanej krzywdy i zapowiedź zemsty. W kącikach szerokich ust ukazały się dwie plamki białej piany. Paweł milczał i zdawał się nie zwracać nań uwagi, pogrążony w przeglądaniu papierów.

Wreszcie wszedł Holder i położył na biurku świadectwo. Paweł podpisał, złożył arkusik i podał Karliczkowi.

— Proszę i do widzenia panu.

— To tak? — warknął Karliczek. — No, dobrze, ale my się jeszcze porachujemy, panie Dalcz, my się jeszcze porachujemy! A na to świadectwo pluję! Rozumie pan, pluję.

Rozłożył papier i trzymając go w obu rękach, splunął nań, zmiął w potężnej garści i cisnął na ziemię.

Holder stał przerażony z wysoko podniesionymi brwiami, Paweł udał, że niczego nie widzi. Dopiero gdy Karliczek wyszedł, z rozmachem trzasnąwszy drzwiami, podniósł głowę i powiedział spokojnie:

— W dyrekcji handlowej popełniono nadużycia. Jachimowski i Karliczek otrzymali dymisję. Zechce pan, panie Holder, objąć tymczasem kierownictwo tego działu. Za kilka dni wraca z urlopu inżynier Karczewski i jemu to przekażę.

Holder chciał prosić o zwolnienie go z tej funkcji, chciał zaznaczyć, że nie posiada odpowiednich kwalifikacji, jednakże ton dyspozycji był tak bezapelacyjny, iż zdołał tylko wymówić:

— Jak pan życzy, panie dyrektorze.

— Ten cymbał — zaśmiał się Paweł — wyobraża sobie, że zemści się na mnie. Chyba będzie do mnie strzelał zza węgła, bo w przeciwnym razie nie radziłbym nikomu być w jego skórze. Co pan o nim wie, panie Holder?

Sekretarz rozłożył ręce:

— Tyle, co w kartotece, panie dyrektorze, właśnie musiałem tam zajrzeć, wypisując świadectwo. Ma lat czterdzieści pięć, jest żonaty, żona mieszka w Pradze Czeskiej, a on w Warszawie na Żelaznej. Nieboszczyk pański ojciec wpisał o nim w uwagach bardzo pochlebną opinię.

— Z pochlebnych opinii mego ojca sprawdziłem ku swemu zadowoleniu jedną, którą muszę uznać za całkowicie uzasadnioną — zmarszczył brwi Paweł. — Opinię o panu.

— Bardzo dziękuję panu dyrektorowi — zaczerwienił się Holder.

Paweł zabrał się do wertowania korespondencji, lecz widząc, że Holder nie odchodzi, podniósł oczy:

— Ma pan jeszcze coś do mnie?

— Tak jest, panie dyrektorze, chociaż właściwie nie wiem, czy pan dyrektor zechce...

— Słucham pana.

— Wczoraj został wyrzucony z narzędziowni ślusarz Feliksiak, pijak i awanturnik. Już dwa razy był wyrzucany, lecz zawsze po kilku tygodniach przyjmowano go z powrotem na skutek żądania pana prezesa. Obecnie pozwolił sobie za wiele: pobił majstra...

— I cóż dalej?

— Otóż Feliksiak domagał się, by go przyjął pan Krzysztof, a gdy mu powiedziano, że pan Krzysztof wyjechał, żądał widzenia się z panem dyrektorem.

— Czy pan Krzysztof kazał go wydalić? — zapytał Paweł.

— Nie, panie dyrektorze, ale sądziłem, że skoro Feliksiak ma takie poparcie u pana prezesa, należałoby...

— No, dobrze — zdecydował się Paweł. — Niech przyjdzie do mnie jutro.

ROZDZIAŁ VII

Od Karolkowej po śliskich kocich łbach, gdyż chodnik tam się już kończył, skręcało się ze trzydzieści kroków w bok do restauracji „Pod Kozłem”. Wypłowiwały czerwony szyld i żółte firanki w zamrażniętych oknach, a wewnątrz gwar, jaki zawsze tu panował w godzinach pofajerantowych¹⁸⁶. Sam Kozioł, znany jak Wola długa i szeroka, Antoś Kozłowski, niestary jeszcze knajpiarz o byczym karku i piwnych wylupiastych oczach, wyrastał

¹⁸⁶fajerant a. fajrant (pot., z niem. *Feierabend*) — koniec dnia pracy a. przerwa w pracy; czas wolny po pracy. [przypis edytorski]

zza blaszanej lady jak prawdziwa góra mięsa, jak latarnia morska, nieustannie lustrująca ślepiami salę i gęsto obsadzone stoliki. Po kaflowej posadzce, na której soczyste, napęczniałe trociny mieszały się z topniejącym śniegiem, znaczyły się ślady nóg dwóch panienek, ubranych w boty, w grube wełniane spódnice i w jaskrawe perkalowe¹⁸⁷ bluzki, na które miały narzucone włóczkowe szale. Były tu kelnerkami, magnesem dla gości, a w miesiącach letnich wywczasów małżonki szefa, Mańki-Miednicy, zastępowały mu ją wszechstronnie i wyczerpująco.

Pierwsza, tęga i ospowata Justynka, miała pod swą pieczęć pokoik za kotarą, *locum*¹⁸⁸ dla lepszych gości, druga, Zośka, biała jak mleko, roześmiana i piersiasta, obsługiwała „salę”, nie żałując klienteli swobodnych karesów¹⁸⁹ pod postacią poklepywania ich po plecach lub ocierania się o nich, przy sposobności stawiania na stole butelek i kieliszków, swoim wielkim biustem.

„Kozioł” był sztamknajpą¹⁹⁰ robotników z kilku okolicznych fabryk, lecz lwią część stanowili tu ludzie od Dalczów. Wynikało to z tego, że Antoś sam kiedyś pracował jako giser¹⁹¹ u Dalczów i wielkie miał tam koneksje¹⁹².

Zbliżała się już ósma, gdy przy stoliku w rogu, gdzie dotychczas toczyła się spokojna rozmowa, podniósł się gwar krótki i prawie niedosłyszalny, gdyż natychmiast po nim zapanowała cisza. Kozioł wiedział, co to ma znaczyć, zanim jednak zdążył dotrzeć do stolika, na marmurowy blat z furią spadł ciężki kufel, obryzgując szkłem i piwem trzech siedzących mężczyzn. Czwartym, szczupłym brunetem, z czerwonymi od wódki białkami, stał w pozycji obronnej, trzymając w ręku ciężki niebieski syfon¹⁹³.

— Nie daj się, Feliksiak — rzucił ktoś wśród ciszy z drugiego kąta sali.

— Stul mordę, taka twoja mać! — huknął ku niemu Kozioł, po czym podszedł do Feliksiaka i napierając nań swoimi stu kilogramami tuszy, powiedział cicho: — Nastąp się¹⁹⁴, szczeniaku, kufle mi tu będąciesz bił...

Feliksiak zmierzył go niezdecydowanym wzrokiem i z wolna opuścił rękę z syfonem.

— Siadaj i siedź, póki ci dobrze — Kozioł kopnął krzesło w ten sposób, że to podjechało pod kolana stojącemu, po czym gołą ręką zgarnął szklaną kaszę ze stolika na ziemię i jakby nic nie zaszło, powrócił za ladę.

Feliksiak usiadł i zaczął mówić płacziwym głosem:

— Tacy to z was przyjaciele, jak człowieka nieszczęście spotka, to żaden palcem nie ruszy. Trzymacie stronę majstra...

— On miał słuszność, co ja ci będę zawałał? — niechętnie mruknął wysoki blondyn.

— Nikt się za mną nie ujmie — potrząsał głową Feliksiak. — Nikt...

— Co się rozklejasz, frajerze? — znowu prowokacyjnie odezwał się najstarszy z towarzystwa. — Sameś¹⁹⁵ się zawsze przechwalał, że wszystkich dyrektorów masz w jednej kieszeni, a jak teraz co do czego przyszło, to dudy w miech¹⁹⁶. Idź do naczelnego i powiedz mu, że jak cię z powrotem nie przyjmą, to dopiero zobaczą. Jeszcze cię za inżyniera wezmą. Już oni muszą mieć przed tobą pietra¹⁹⁷.

Wszyscy trzej wybuchnęli głośnym śmiechem, a że mówił, nie ścisząc głosu, a przy sąsiednich stolikach od chwili rozbicia kufła zwracano na nich uwagę, tam również rozległy się śmieszki.

Feliksiak poczerwieniał:

— Więc co, myślicie, że bujam?

¹⁸⁷*perkal* — cienkie płótno bawełniane. [przypis edytorski]

¹⁸⁸*locum* (łac.) — miejsce, izba. [przypis edytorski]

¹⁸⁹*karesy* (z fr.) — pieszczoty. [przypis edytorski]

¹⁹⁰*sztamknajpa* (daw. środ., z niem. *Stammkneipe*) — ulubiony, często odwiedzany lokal. [przypis edytorski]

¹⁹¹*giser* — rzemieślnik zajmujący się odlewaniem przedmiotów z metalu. [przypis edytorski]

¹⁹²*koneksje* — związki, powiązania. [przypis edytorski]

¹⁹³*syfon* — grubościenna butla do napojów gazowanych (np. wody sodowej), zaopatrzona w dźwignię, której naciśnięcie powoduje, że ciśnienie zawartego wewnątrz dwutlenku węgla wypycha wodę przez rurkę na zewnątrz. [przypis edytorski]

¹⁹⁴*nastąp się* (pot. pogard.) — odsuń się, przesuń się (gw.: do krowy a. konia). [przypis edytorski]

¹⁹⁵*sameś się przechwalał* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: sam się przechwalałeś. [przypis edytorski]

¹⁹⁶*dudy w miech* (daw., przysł.) — tracić rezon, pokornieć. [przypis edytorski]

¹⁹⁷*mieć pietra* (daw.) — bać się. [przypis edytorski]

— Co tam masz bujać — pojednawczo powiedział blondyn i mrugnął do sąsiada. — Bo ja wiem, może ty ich jaki krewny z lewej ręki?... Niby dowód mieliśmy. Dwa razy cię wylewali... powinni i teraz na powrót przyjąć. Mają już praktykę.

Znowu rozległ się śmiech. Feliksiak chciał się zerwać, lecz spotkał spojrzenie czujnego zza lady Kozła. Przygryzł wargi, sięgnął do kieszeni i rzucił na stolik kilka srebrnych monet:

— Panno Zosiu, płacić!

— Szkoda forsy — zakpił blondyn — Zośka ci zborguje¹⁹⁸.

Feliksiak był wściekły. Prowokacyjne zachowanie się kolegów doprowadziło go do ostatecznej pasji. O ile wcześniej sam wahał się, czy po raz trzeci udawać się do prezesa, o tyle teraz zawiązał się i postanowił za wszelką cenę dostać się z powrotem do fabryki. Mało tego, powinien otrzymać stanowisko brygadzysty, żeby tym draniom pokazać, co to on może. Wtedy będą się śmieli¹⁹⁹ cholery, jak ich weźmie za pysk. Alboż to jest złym ślusarzem?...

Wychodząc, kupił jeszcze butelkę czystej i poszedł do domu. Skręcił właśnie w Żelazną, gdy natknął się na inżyniera Karliczka. Był usposobiony tak wojowniczo, że niemal go potracił i niedbale dotykając palcami do daszka, bąknął: „Szanowanie”.

— Cóż się tak zataczacie, Feliksiak, urzęniście się? — zapytał Karliczek.

— Dlaczego nie. Bezrobotny jestem. Wolno mi.

— Jak to bezrobotny? Znowu was wyleli²⁰⁰? — Karliczek uczuł przyływ sympatii do Feliksiaka. Znał go dobrze, gdyż jego częste awantury były dość popularne w fabryce, a o szczególnej protekcji, którą ten ślusarz cieszył się u zwierzchników, różne chodziły wersje.

— Wyleli, ale przyjmą mnie, jak tu przed panem stoję. Nie taki ja jestem, żebym każdemu dał sobą przewodzić. Mogę i sam wpaść, ale i wielki pan Dalcz pójdzie do kryminału...

Karliczek spojrział nań uważnie i odciągnął pod ścianę:

— Paweł Dalcz? — zapytał.

— Nie, ten lalusz Krzysztof Wyzbor-Dalcz. Dwa nazwiska ma, to myśli, że nie wiem co, a ja mu jeszcze pokażę!...

Podniósł pięść i pogroził nią sobie przed nosem. Karliczek spojrział na zegarek:

— Wiecie co, Feliksiak, że ja z wami chętnie bym o tym pogadał. Tylko teraz czasu nie mam. Macie tu mój bilet wizytowy i wpadnijcie do mnie choćby jutro.

— Rano? Mnie do fabryki nie wpuszczą.

— Możecie przyjść rano do mnie do domu.

— To pan inżynier ma urlop?

— Nie. Jesteśmy kolegami, ja też już nie pracuję...

— Fiuuu! — gwizdnął przez zęby Feliksiak.

— Więc przyjdziecie?

— Przyjdę.

Zaczął padać śnieg i Feliksiak wstąpił po drodze jeszcze do jednego baru. Chciał spotkać kogoś znajomego, by podzielić się z nim swoimi zmartwieniami, lecz jak na złość nie było nikogo. Wypił przy ladzie kilka szklaneczek. Gdy dobrnął do domu, był już całkiem pijany i w ubraniu położył się spać. Z rana obudził się z ciężkim bólem głowy i z męczącym przeświadczeniem, że ma coś do załatwienia, czego sobie nie może przypomnieć.

Ojciec leżał na łóżku i postękiwał jak zwykle, siostra już poszła do sklepu, gdzie była ekspedientką. W izbie było zimno i nie mógł znaleźć ani jednej zapalki, żeby rozgrzać herbatę. Dopiero gdy zrezygnowany położył się z powrotem, uprzytomnił sobie, że o jedenastej rano miał zameldować się do naczelnego. Zerwał się prędko, oplukał twarz nad zlewem, przyczesał włosy i wyszedł, nie odzywając się do ojca ani jednym słowem.

Od czasu gdy ojciec po swoim nieszczęśliwym wypadku w fabryce uparł się, by nie kapitalizować renty, nie rozmawiali ze sobą. Wolał tak gnąć w łóżku i zmuszać dzieci do pracy u cudzych, kiedy renta dałaby prawie dziesięć tysięcy złotych, a to wystarczyłoby na założenie sklepiku spożywczego.

¹⁹⁸*borgować* (daw.) — dawać na *borg*, tj. na kredyt. [przypis edytorski]

¹⁹⁹*śmieli się* (daw., reg.) — dziś: śmiáli się. [przypis edytorski]

²⁰⁰*wyleli* — dziś popr. forma 3 os. lm cz.przesz.: wylali. [przypis edytorski]

Przed gmachem Zarządu Feliksiak spojrział na zegarek. Było już po dwunastej.

„I tak musi mnie przyjąć” — pomyślał z zawziętością. „Nie będę się patyczkować...”

Nie robiono mu jednak żadnych trudności. Po dwudziestu minutach oczekiwania wypuszczono go do gabinetu naczelnego dyrektora. Feliksiak wszedł i stanął przy drzwiach.

Przed Pawłem Dalczem odczuwał nie tylko estymę²⁰¹ należną naczelnemu dyrektorowi, lecz i rodzaj jakby osobistego szacunku. Imponował mu. Feliksiak wiedział, że z tym człowiekiem nie ma żartów, lecz wiedział również, że jego atuty będą tu ocenione.

Paweł Dalcz podniósł głowę i obrzucił go spokojnym spojrzeniem:

— Chcieliście widzieć się ze mną? — zapytał. — O co wam chodzi?

— Wydalono mnie z pracy, panie dyrektorze.

— Czy uważacie, że postąpiono z wami niesprawiedliwie?

— To nie, panie dyrektorze...

— Zatem?...

Feliksiak przestąpił z nogi na nogę:

— Miałem obiecać od pana prezesa, że póki tylko zechcę, będę miał pracę w fabryce, zresztą co ja będę mówił, pan dyrektor sam wie... Nie naprzykrzałbym się, bo też swój honor mam, ale z głodu zdychać nie będę...

— O ile wiem — powiedział dyrektor — jest to już trzeci wypadek, żeście zmusili administrację do wydalenia was. A dlaczego obiecano wam stałą pracę w naszej firmie?

— Niby to pan dyrektor nie wie...

Paweł spojrział nań spod oka i powiedział obojętnym tonem:

— Nie pytam was, czy ja wiem, czy nie wiem. Jeżeli chcecie ze mną mówić, musicie odpowiedzieć na moje pytania. Więc za co?

— No, przecie za wojsko, za pana Krzysztofa...

Paweł z trudem opanował swe rysy, by ukryć zdumienie.

— Mówcie wyraźniej. Za jakie wojsko?

Feliksiak zrobił ruch zniechęcenia. Pomyślał, że dyrektor ma go za półgłówka, który mógł zapomnieć o rzeczy tak ważnej. Ani przez myśl mu nie przeszło, by brat stryjeczny pana Krzysztofa mógł nie wiedzieć o całej sprawie. A może chcą mu teraz wmówić, że mu się to przyśniło?... Obciągnął klapy jesionki²⁰² i powiedział wyzywająco:

— No co, może nie służyłem za niego?...

Paweł pochylił głowę nad papierami i robił na nich ołówkiem jakieś znaki. Zdawał się być zupełnie pochłonięty tą pracą i w jego głosie Feliksiak dosłyszał roztargnienie:

— Aha, no tak, służyliście za niego w wojsku, to wiem. Ale proszę was, byście mi opowiedzieli, jak to było?

— Tu nic nie ma do opowiadania. Całkiem po prostu, głupi byłem, to stanąłem na komisji i odsłużyłem.

— A za siebie nie odbywaliście służby wojskowej?

— Nie, zwolniony byłem, bo rękę mam złamaną, a jak za pana Krzysztofa stawałem, to mnie pytają, czy zdrow? Zdrow, powiadam, to i wzięli... Mógłbym się też uwolnić, bo w innej komisji stawałem za siebie, a w innej za pana Krzysztofa, nie poznaliby się. Ale pan prezes chciał, żeby koniecznie służyć. Jego pieniądze, jego wola. Odsłużyłem, dokumenty oddałem, w porządku jestem, a co mnie obiecano, z tego nie ustąpię. Mam mieć zarobek do samej śmierci...

Ponieważ Paweł na niego nie patrzył, Feliksiak nabrał pewności siebie i dodał:

— A ja teraz jeszcze i to panu dyrektorowi powiem, że inaczej jak na brygadziście nie przystanę. Swój honor mam, wszystkie ludzie ze mnie we fabryce się śmieją, że przez takiego łachudrę, jak ten majster, niby Pieczętkowski, za bramę mnie wyleli...

Paweł wstał i podszedł do niego:

— Słuchajcie, Feliksiak — powiedział, kładąc mu rękę na ramieniu — krzywdy od nas nie doznacie, ale musimy jeszcze pomówić o tej sprawie. Na razie przyjąć was do fabryki nie mogę, ale zrobimy tak: będziecie otrzymywali dotychczasowy swój zarobek co tydzień wprost z kasy. To chyba dla was jeszcze lepsze. Nie będziecie pracowali, a zarabiać będziecie swoją tygodniówkę normalnie.

²⁰¹ *estyma* — poważanie, szacunek. [przypis edytorski]

²⁰² *jesionka* — ocieplony płaszcz noszony jesienią i wiosną. [przypis edytorski]

— Ale i z premią? — nieufnie zapytał Feliksiak.
— Oczywiście. Zaraz wydam zarządzenie i co sobotę będziecie się zgłaszali do kasy. W zamian żądam tylko jednego: ani pary z gęby. Rozumiecie?...

— Co nie mam rozumieć, panie dyrektorze...

— Więc doskonale. Do mnie zgłosicie się za tydzień, a teraz możecie iść.

Feliksiak uklonił się i wyszedł. Był zupełnie z siebie zadowolony. Z takim człowiekiem, jak dyrektor Paweł Dalcz, to nawet przyjemnie gadać: raz, dwa, trzy — i wszystko załatwione. W dodatku nie będzie potrzebował pracować. Rozejrzy się, odpocznie, a może jaką pracę w małym warsztacie po cichu znajdzie. Trzeba być ostrożnym, żeby do fabryki się nie doniosło, ale dużo przecież jest małych warsztatów, gdzie na dniówki można sobie dorobić, jeżeli ktoś jest takim dobrym rzemieślnikiem jak, nie przymierzając, on.

*

Paweł Dalcz chodził po swoim gabinecie z rękami w kieszeniach. Od najmłodszych lat przyzwyczał się patrzeć na życie prosto, wydobywać jego prawdy z bezpośrednich obserwacji, zimnych, trzeźwych, bezosobistych. Komplikacje, o których inni mówili, nie istniały jego zdaniem wcale dla każdego, kto chciał wniknąć w motywy ludzkich działań, w niezłożoną maszynę psychiki człowieka i odróżnić sprężynki żądz, ambicji, pragnień, nawyków i przesądów. Na tym tle działanie człowieka było prostym następstwem jego predyspozycji, możliwym do ścisłego obliczenia, dającym się przewidzieć, ocenić i zważyć zawczasu. Tu po raz pierwszy stawał wobec zagadki. Nie chciał tego nazwać tajemnicą. W ogóle w istnienie tajemnic nie wierzył. Był zdania, że każda z nich po dokładnym zbadaniu byłaby materiałem do studiów dla psychiatry lub też po prostu dla kryminologa.

Kondycja ludzka

I oto miał przed sobą tajemnicę Krzysztofa, zagadkę, którą na próżno od kilku miesięcy starał się przeniknąć. Jej zasięg obejmował nie tylko świat zewnętrzny, lecz i własną psychikę Pawła. Zdawał sobie sprawę, że wobec tej tajemnicy jest bezsilny, co więcej, że nie może się tu zdobyć na ten bezosobisty stosunek, który we wszystkich innych wypadkach gwarantował mu jasność i nieomyślność sądu.

Feliksiak nie kłamał. Wynikało z tego, że stryj Karol, człowiek o nadwrażliwej uczuciowości, w danym wypadku postąpił wbrew zasadom, jakie niewątpliwie organicznie tkwiły w jego naturze. Przekupił robotnika, by ten odbył służbę wojskową za Krzysztofa. Motyw miłości ojcowskiej nie mógł wystarczyć dla usprawiedliwienia takiego czynu. Nie mógł wystarczyć, zwłaszcza że pan Karol był gorącym patriotą, a zdrowie Krzysztofa nie należało do najgorszych. Zatem dlaczego? Jakie potężne sprężyny mogły działać w psychice stryja Karola? Co mogło zmusić go do tak ryzykownego zejścia z drogi legalnej, ba, do wystawienia się na szantaż, zawsze w podobnych okolicznościach dający się przewidzieć?...

Machinacja, wzięwszy pod uwagę paraliż pana Karola, nie mogła się odbyć bez współdziałania pani Teresy, no i na pewno Blumkiewicza. Sam Krzysztof musiał w niej też być świadomym swej roli aktorem...

Krzysztof... Zimny, nieprzystępny, hardy, zamknięty w sobie. Pokazywał Marychnie swoją książeczkę wojskową i teraz już było jasne, że nie robił tego przypadkowo, że był w tym cel...

Paweł zebrał wszystkie klucze, jakie miał pod ręką, wyszedł na korytarz i kazał woźnemu otworzyć gabinet Krzysztofa. Niepodobna, by nie znalazł tu wyjaśnienia zagadki, lub przynajmniej śladów, które do jej rozwiązania doprowadzą. Gorączkowo dobierał klucze do szuflad biurka. Zdołał otworzyć wszystkie z wyjątkiem środkowej. Nie było w nich nic, co miałyby dla niego jakąś wartość. Pozamykał je i zadzwonił. Kazał sprowadzić ślusarza z wytrychami.

— Mój brat stryjeczny — od niechcienia wyjaśnił ślusarzowi — wyjechał na urlop i zamknął w biurku papiery, które są mi potrzebne.

Po chwili zamek ustąpił.

— Zaczekajcie na korytarzu — powiedział ślusarzowi i gdy ten wyszedł, odsunął szufladę.

Wewnątrz leżał rewolwer, klucze od pozostałych szuflad w brązowym zamszowym woreczku i nieduża czarna skórzana teczka, a w niej plik arkusików papieru listowego,

zapisanego pięknym okrągłym pismem Krzysztofa. Były to listy, listy oczywiście pisane przez Krzysztofa, lecz niewysłane, o czym świadczyło, że arkusiki nie były zgięte.

Paweł naliczył ich kilkadziesiąt, bliźniaczo podobnych do siebie. Wszystkie nie miały ani nagłówka, ani dat. Ponieważ zaś nie były też podpisane, sprawiały raczej wrażenie jakiegoś rękopisu literackiego.

— Czyżby ten smarkacz zajmował się grafomanią? — skrzywił się Paweł.

W każdym razie należało tę pisaninę dokładnie przestudiować. Wziął teczkę i kazał szufladę zamknąć.

Przez całe popołudnie podczas załatwiania nawału spraw fabrycznych nie mógł zapomnieć ani na chwilę o teczce Krzysztofa i o nieprawdopodobnej, a przecież prawdziwej wiadomości otrzymanej od Feliksiaka.

Sam dziwił się sobie, że nie umie opanować zwykłej — trzeba, do diabła, rzeczy nazywać po imieniu — ciekawości. Faktyczny stan rzeczy przedstawiał się przecie jasno i nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Trzymał teraz w ręku nie tylko Krzysztofa, lecz i stryja Karola. Był wszechwładnym panem sytuacji. Za posiadaną tajemnicę mógł zażądać każdej zapłaty i każdą zapłatę otrzymać by musiał.

Mógł po prostu kazać im okupić się wszystkim, co posiadali. Mógł odebrać im fabrykę, mógł dokonać bez najmniejszego wysiłku tego, co właśnie leżało w jego planach!

Jeszcze przed kilku godzinami śmiały się do rozpuku, gdyby mu ktoś powiedział, że zawahałby się przed zrobieniem tego ze względów... rodzinnych... A jednak, dlaczego dopiero teraz uświadomił sobie tak niebywale korzystny dla siebie ten właśnie stan faktyczny?... Ma się rozumieć, nie rezygnuje ze swojej przewagi. Byłby głupcem. Ma się rozumieć, wyzyska sytuację do ostatniego włókna...

A jednak ogarniało go jakieś niecierpliwe niezadowolenie z siebie, niezadowolenie, w którego składnikach nie umiał się połączyć. Może wynikało stąd, że wszystko spadło mu gotowe, łatwe, idiotycznie uproszczone, wprost do rąk... Tak... prezent z jasnego nieba, przy którym nic nie ma do zrobienia...

— Do licha — zaśmiał się z ironią — jeszcze trochę, a zacznę dorabiać sobie utrudnienia, jak Mark-Twainowski Tomek Sawyer.

Gdy wychodził z fabryki, zbliżała się już siódma. Obiad jadł, jak co dzień, sam w ogromnej jadalni, czarną kawę kazał podać do gabinetu.

„Czuję się tu samotny — pomyślał — jak żółw w swojej skorupie, tylko że ta skorupa o wiele jest dla mnie za duża”.

Było to śmieszne. Uczucie samotności, chociaż zjawiało się w nim niezwykle rzadko, za każdym razem wywoływało coś w rodzaju pogardy dla siebie. W istocie był przeświadczony o tym, że doskonale może się obyć bez tej pożywki psychicznej, jaką obdzielają się wzajemnie ludzie. Nigdy nie dokuczył mu brak w pobliżu tego lub innego człowieka, nie tęsknił nigdy do nikogo, nawet do takich kobiet, które zostawiły bardziej pamiętne wrażenie. Uczucia przyjaźni nie znał. To, co jego szkolni koledzy nazywali przyjaźnią i z czym się do niego zbliżali, dość rzadko zresztą, stanowiło dlań raczej pole do obserwacji, raczej korzystania niż dzielenia się. Później nie miewał już styczności z ludźmi, którym by słowo przyjaźń mogło przyjść na myśl.

Pierwsze słowo pierwszego listu Krzysztofa było słowem: „Przyjaźń”...

„Przyjaźń nie jest czymś, co wiąże, lecz czymś, co pociąga. Wyraża się dążeniem do złączenia się dwóch osobowości w jedną. Czyż nie wolno mi myśleć, że jest wyższa w hierarchii uczuć niż miłość? Największą zbrodnią będzie pozbawienie człowieka praw do uczuć. Ile razy zdarzyło mi się widzieć Twoje bezlitosne oczy, z przerażeniem dostrzegalem w nich tę samą krzywdę. Są jak ostrza toczące na twardym kamieniu”...

Paweł przewrócił kartkę i szukał wzrokiem imienia, do którego te inwokacje były skierowane. Przejrzał kilka następnych kartek, lecz i na nich nic nie znalazł. „Ty” powtarzało się dość często i brzmiało raczej jak abstrakcja. Nonsensem byłoby przypuścić, że chodzi o niebieskie, roziskrzone i naiwne oczy Marychny. Do kogo zatem pisane są te listy? Cały sposób bycia Krzysztofa wskazywał, że jest on po uszy zakochany w Marychni, a przecież pisze:

„Tęsknię do Ciebie tęsknotą rozpaczy, tęsknotą odartą z wszelkich nadziei. Nie możesz wiedzieć, jak bardzo nienawidzę Cię za to, że Cię osiągnąć nie mogę, że jesteś tak daleko, dalej niż marzenia wybiec mają odwagę”...

Przyjaźń

Tęsknota

To brzmiało dość wyraźnie: podczas studiów za granicą Krzysztof musiał zakochać się w jakiejś cudzoziemce, prawdopodobnie ze sfer wyższych, lub też... nie jest zdolny do spełnienia zadania mężczyzny wobec kobiety. Paweł zaśmiał się i urwał. Marychna powiedziała kiedyś: „W książeczce wojskowej było napisane: «kategoria A — zdrów»”.

— Ależ do stu diabłów, książeczka wystawiona została przez komisję poborową w rzeczywistości dla Feliksiaka! Po cóż ten smarkacz pojechał za granicę z dziewczyną?!...

Znowu zaczął przewracać kartki. Nie umiał zdobyć się na systematyczne, kolejne ich przewertowanie. Jasnoszary, w seledyn wpadający ich kolor, jedwabista szorstkość papieru i ten zapach. Podniósł je do twarzy i oddychał przez długą chwilę subtelnym, nikłym zapachem perfum. Przypominały narcyzy.

„Uciezka od rzeczywistości jest beznadziejna, skoro się wie, że można się zabić, tłukąc głową o ściany swego małego więzienia. Dziś w nocy poznałem, co to jest płacz. I pomyśleć, że Ty nigdy nie dowiesz się, ile razy tej nocy zaklinałem Cię imionami tak gorącymi, że aż piekły mi usta. Czemuż nie wolno mi wyszeptać ich Tobie. Gdybyś bodaj jeden ich dźwięk usłyszał, poznałbyś, czym jestem dla Ciebie”...

Paweł ściągnął powieki i przeczytał jeszcze raz:

„...Gdybyś bodaj jeden ich dźwięk usłyszał, poznałbyś, czym jestem dla Ciebie”...

— Najwyraźniej pisane do mężczyzny! Homoseksualista, czy co u licha?...

Odkrycie to napełniło Pawła jakimś dziwnym nastrojem: śmiech, zdziwienie i pewnego rodzaju niedorzeczna, a pikantna wstydlivość. Lecz cóż w takim razie znaczy Marychna i jej rola, i te poezje, i te kwiaty, i ten wyjazd, i to opowiadanie Krzysztofa o Hinkemannie²⁰³, pozbawionym na froncie walorów męskości?...

Stek absurdów. Czy ten chłopak nie jest po prostu chory na pomieszanie zmysłów? Paraliż jego ojca może tu mieć swoje następstwa. Paweł czytał:

„Nie rozumiem tego nigdy, jak wielka jest ich zbrodnia wobec mnie. Przebaczyć, to nie znaczy nic więcej ponad zrozumieć, a ja zrozumieć nie mogę. Czyż można przebaczyć to, że się komuś zabrało jego istotę, jego osobowość, że się wtrąciło go w potworne kłamstwo, którego czeluść jest tak bezdena i tak pusta”.

— Stek absurdów — Paweł z niezadowoleniem złożył kartki i wcisnął je do teczki. — Oczywiście Krzysztof uprawia beletrystykę, i to beletrystykę filozoficzną!

Cisnął teczkę i zaśmiał się głośno. Krzysztof właśnie wygląda na poronionego poetę czy powieściopisarza, i to w mazgajskim stylu. Dyrektor techniczny przedsiębiorstwa przemysłowego piszący podobne bzdury to więcej niż śmieszność.

Paweł w ogóle nie cierpiał literatury pięknej i nigdy jej nie brał do rąk. Wydawało mu się szczytem idiotyzmu już samo to, że jakiś dojrzały i skądinąd rozsądny człowiek może z poważną miną oddawać się przez całe życie płodzeniu fantastycznych historyjek o fantastycznych ludziach, że zajmuje się obmyślaniami nieistniejących papierowych konfliktów, stwarzaniem fikcyjnych zagadnień, babraniem się w czymś, co w ogóle nie istnieje.

Obrażała go bezpłodność tej pracy, jej bezprzedmiotowość i napuszona wiara w potrzebę własnej egzystencji. Usprawiedliwiał pisanie wierszy tak, jak umiał wytłumaczyć sobie naturalność u niektórych ludzi śmiechu i łez. Ale powieści, z ich perypetiami, z ich rozciągłością, nie mogły przecież uchodzić za eksplozję emocjonalną, za wytrysk natchnienia. Jeżeli zaś autor chciał w nich wyrazić swoje myśli i poglądy, czyż nie prościej było napisać broszurę rozważań filozoficznych lub po prostu kilka kartek aforyzmów. Kiedyś, gdy w jednej z kawiarni paryskich, gdzie przez pewien czas ocierał się o cyganerię, wypowiedział te swoje poglądy, jakiś Włoch czy Rumun wyjaśnił mu z piedestału augura²⁰⁴:

— Literatura piękna nie jest niczym innym, jak filozofią stosowaną. Oczywiście, mówię o literaturze stojącej na wyższym poziomie.

²⁰³Hinkemann — bohater tragedii *Der deutsche Hinkemann* (1923), autorstwa niem. dramaturga Ernsta Tollera (1893–1939). [przypis edytorski]

²⁰⁴augur — kapłan w starożytnym Rzymie, wieszcz, który wyczytywał wróżby z lotu ptaków; tu w znaczeniu: człowiek narzucający swoje zdanie innym z pozycji autorytetu, podający się lub uważany za autorytet. [przypis edytorski]

*Notabene*²⁰⁵ ów Włoch był ideologiem pewnej grupy malarskiej, propagującej krucjatę przeciw sztuce stosowanej. I to tym ostrzejszą, im wyższy poziom to zastosowanie osiągało.

Dla Pawła samo życie zbyt wiele zawierało w sobie elementów powieściowych, zbyt wiele węzłów dramatycznych, konfliktów żywych, krzyczących prawdziwym głosem bólu, brzęczących prawdziwym złotem, ociekających prawdziwą krwią, by miał ich szukać w powieści. Ileż fabuł, ile anegdot żywych ludzi splatało się w jego oczach, ile mogło i musiało się splatać pod jego własną ręką!

Ze szkoły rosyjskiej zapamiętał strofkę z *Eugeniusza Oniegina*²⁰⁶, gdzie poeta z litością patrzy na człowieka uczącego się życia i miłości z powieści. Oczywiście, pomniejsza tym samym radość, jaką może wydobyć z rzeczywistego świata, dreszcz, jaki daje prawdziwe życie.

A już tego typu literatura, jaką uprawia Krzysztof, świadczy wręcz o swego rodzaju zboczeniu psychicznym, o wyżywaniu się w jałowej abstrakcji.

Pomimo całego poirytowania, wywołanego przez dziwny utwór Krzysztofa, Paweł w ciągu kilku dni nieraz zaglądał do teczki, wydobywał z niej szare arkusiki jedwabistego papieru i odczytywał niektóre ustępy. W każdym razie zdawały się upewniać o jakiejś bliżej nie określonej tragedii, rozgrywającej się w duszy tego chłopca. W każdym razie był tu wyraz jakiegoś nienazwanego cierpienia, do którego nie dawały się dopasować ani ironiczne komentarze, ani złośliwe uśmiechy. Najwyżej wzruszenie ramion, niezadowolone, denerwujące, omal gniewne.

Tymczasem wraz z przyjazdem prezesa hut śląskich, Manfreda Knoffa, zaczął się dla Pawła okres wielkich prac wstępnych, których celem było stworzenie trustu metalowego.

Wprawdzie od lat dziecinnych Paweł znał krajowe sfery przemysłowe, wprawdzie w domu ojca spotykał wszystkie grube ryby z tego świata, a i teraz poznał ich wiele, nigdy jednak nie przypuszczał, by ich konserwatyzm i brak zmysłu ryzyka mogły stać się tak poważną przeszkodą do przeprowadzenia jego planów.

Ludzie ci, zastraszeni fiskalną polityką rządu, widmami najgorszych koniunktur²⁰⁷, wyrastającymi nad Zachodem, sowiecką „piatiletką”²⁰⁸ i upadkiem konsumpcji w kraju, przemieniali się w strusia, chowające głowę w piasek i liczące godziny, jakie ich dzielą od katastrofy.

— Z tego, co tu słyszę — mówił Paweł na dużej konferencji w Banku Przemysłowców — odnoszę wrażenie, że szczytem marzeń panów jest powolna śmierć od anemii. A ja twierdzę, że stokroć lepsza jest walka z groźbą katastrofy, jeżeli idąc przeciw niej mamy bodaj trzydzieści szans na sto, że potrafimy ją wyminąć.

Jego optymizm nie był optymizmem bezruchu, a miał w sobie tyle dynamiki, że chociaż nie zdołał pociągnąć innych, sprawił jedno: Paweł w krótkim stosunkowo czasie stał się tym, ku któremu zwracały się oczy pozostałych.

Zajął pozycję centralną, reprezentował aktywność, siłę, a przede wszystkim świadomość celów.

O tych celach nigdy nie mówił wyraźnie. W całym swoim działaniu niezwykle jasny, precyzyjny, ścisły, niepozostawiający żadnego pytania bez wyczerpującej odpowiedzi, tu zasłaniał się niedomówieniami.

Wiedział z góry, jakie to wywoła skutki. W psychice ludzkiej gdzieś na samym jej dnie leży najsilniejsza bodaj potrzeba wiary, potrzeba religii, potrzeba przeświadczenia, iż poza rzeczami dającymi się ogarnąć własnym umysłem istnieją koncepcje wyższe, prawdy nie dla każdego dostępne, których losy pozostają w ręku Opatrzności względnie ludzi

²⁰⁵*notabene* (łac. *nota bene*: zapamiętaj dobrze, zauważ) — zwrot wprowadzający ważną wtrąconą informację, używany w znaczeniu: „warto zaznaczyć”. [przypis edytorski]

²⁰⁶*Eugeniusz Oniegin* — poemat dygresyjny Aleksandra Puszkina. [przypis edytorski]

²⁰⁷*koniunktura* — splot okoliczności, szczególnie tych istotnych, mających wpływ na jakość życia, ekonomię itp. [przypis edytorski]

²⁰⁸*piatiletka* (ros. *пятiletка*: pięciolatka) — pięcioletni plan rozwoju gospodarki narodowej ZSRR. Od 1928 przyjmowano kolejne takie plany: pierwszy z nich, na lata 1928–1932, zakładał zlikwidowanie prywatnej własności środków produkcji, rozwój rolnictwa i przemysłu ciężkiego; drugi, na lata 1933–1937, przewidywał likwidację resztek kapitalizmu i podziałów klasowych, zaprowadzenie socjalistycznego sposobu produkcji jako jedyne w państwie oraz dalszą szybką przebudowę przemysłu. Ostatnia, trzynasta pięciolatka (1991–1996) została przerwana z powodu rozpadu Związku Radzieckiego. [przypis edytorski]

opatrznościowych. I właśnie człowiek opatrnościowy, on tylko, może sobie pozwolić na zamknięcie przed innymi tajemnic swoich wyższych planów i głębszych przemyśleń.

Ta religia ludzi słabych była największym sojusznikiem Pawła w przewyciężaniu oporu nielicznych tych, którzy aż do znudzenia domagali się ostatecznych konkluzji, trzymając się fanatycznie przekonania o nieomyślności sprawdzianu swego rozumu i o urojonym obowiązku przykładania tego sprawdzianu do wszystkiego, cokolwiek na drodze spotykali. W każdym razie i w ich oczach Paweł zyskał pozycję wybitnej indywidualności, wyrazem czego było powołanie go na stanowisko prezesa komisji organizacyjnej przemysłu metalowego.

Wszystkie obrady odbywały się w ścisłej konspiracji. Ich temat i dyskusje pozostały dla opinii publicznej nieznane. Już sam fakt jednak zjazdu w Warszawie potentatów²⁰⁹ przemysłowych nie mógł ująć uwagi prasy. Jej chciwość informacji zaspokojona została krótkim komunikatem, opiewającym, iż do walki z kryzysem przemysł metalurgiczny powołał specjalną komisję, na czele której stanął pan Paweł Dalcz, naczelny dyrektor Zakładów Przemysłowych Bracia Dalcz i S-ka. Informacja byłaby niczym, gdyby nie grubość druku, jakim ją podano, gdyby nie to, że pociągnęła za sobą lawinę artykułów ekonomicznych, omawiających zdarzenie, o którym nic lub prawie nic nie wiadano, a do którego wielką należało przywiązywać wagę.

Prezes Paweł Dalcz zajął na widowni publicznej jedno z eksponowanych miejsc.

Przysporzyło mu to wiele pracy. Stosunkowo najmniej czasu zajmowały posiedzenia. Tu przychodził zwykle z gotowym materiałem, z gotowymi wnioskami, które niemal bez dyskusji były przyjmowane. Natomiast wiele godzin poświęcić musiał konferencjom z redaktorami pism gospodarczych, z posłami zajmującymi się kwestiami ekonomicznymi, z osobistościami z rządu. Równie długie godziny spędzał nad tasiecmami tablic i wykresów statystycznych. Z biegiem prac projekt trustu dla niego samego stawał się coraz mniej realny, natomiast w umyśle jego zaczynały się konkretyzować plany inne, bliższe i korzystniejsze: koncentracja eksportu.

W miarę zapoznawania się z sytuacją doszedł do przekonania, iż przyczyną głównego niedomagania przemysłu jest brak kredytu, że konieczność ustawicznego ograniczania produkcji jest zmorą gnębiącą wszystkie fabryki i wszystkie kopalnie. Z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że państwo, coraz bardziej potrzebujące przyływu obcych walut, całkowicie poszłoby na rękę przemysłowi metalowemu, dając premie wywozowe znacznie wyższe niż dotychczas, o ile by tylko eksport wzrósł o tyle, że dopływ walut obcych zwiększyłby się znacznie.

Istniały też i inne dane pozwalające przypuszczać, że można byłoby dojść do cen dumpingowych²¹⁰ całkowicie skutecznych. Wszystko to byłoby możliwe jedynie w wypadku utworzenia central sprzedaży, central posiadających monopol handlu z zagranicą.

Z prowizorycznych obliczeń wynikało, że instytucja taka musiałaby dawać przemysłowcom poważne dochody. W tych dochodach partycypowałyby, oczywiście, i fabryka Dalczów, *eo ipso*²¹¹ partycypowałyby i Paweł w jakiejś drobnej części, a to właśnie, że tylko w drobnej, bynajmniej go nie pociągało.

Nigdy filantropem²¹² nie był i nigdy altruizm go nie rozpierał. Wprawdzie mógł liczyć na pewno, że objąłby kierownictwo centrali, a co za tym idzie korzystałby z wysokich tantiem²¹³, jednakże byłby tylko mandatariuszem²¹⁴ innych, a przecie nie o to mu chodziło.

Gra warta była świeczki jedynie w tym wypadku, w którym stałby się niezależnym panem owej centrali. To zaś wymagało posiadania kolosalnych sum, idących w dziesiątki milionów. Rzecz musiała być oparta na długoterminowym kredycie, musiała mieć czas na

²⁰⁹potentat — człowiek bogaty i wpływowy. [przypis edytorski]

²¹⁰dumping (ekonom.) — taktyka polegająca na sprzedaży swoich produktów po cenach niższych niż obowiązujące na rynku (w skrajnym przypadku niższych od kosztów produkcji); celem może być wyeliminowanie konkurencji, podbicie nowego rynku itp. [przypis edytorski]

²¹¹*eo ipso* (łac.) — tym samym. [przypis edytorski]

²¹²filantrop (z gr. *philántropos*: kochający ludzkość) — dobrodziej, wspomagający ubogich. [przypis edytorski]

²¹³tantiema — tu: udział w zyskach przedsiębiorstwa, wypłacany zarządzającemu jako dodatek do pensji. [przypis edytorski]

²¹⁴mandatariusz — człowiek mający mandat, upoważnienie do pełnienia jakiegoś urzędu. [przypis edytorski]

wielkie obroty koła. Zapewniałaby nie tylko ogromne zyski, lecz i decydujący wpływ na lwią część przemysłu krajowego.

Do jej zrealizowania brakowało tylko owych kilkudziesięciu milionów, a zatem należało pomyśleć o drogach, którymi można je zdobyć.

Z konieczności prace komisji organizacyjnej przemysłu metalowego musiały ulec niejakiemu zahamowaniu, dały jednak już wkrótce pozytywne korzyści pod postacią regulacji niektórych cen i podziału rynku na sfery działania. W związku z tym pozycja Pawła w kołach przemysłowych zyskiwała coraz bardziej.

Wiedział, co o nim mówiono i kto mówił, wiedział, że zbliża się do osiągnięcia tak niezbędnego dlań pełnego zaufania.

Przyczyniły się do tego i te skutki, jakie jego kierownictwu zawdzięczała fabryka Dalczów. W ogólnym kryzysie pomyślny stan interesów tej fabryki zwracał powszechną wagę, a zasługę przypisywano wyłącznie talentom Pawła. Nie odbiegało to zresztą od rzeczywistego stanu rzeczy. Szybkie orientowanie się w rynku i umiejętność poznawania ludzi, z którymi miał styczność, robiły z Pawła nie tylko dobrego administratora, lecz i handlowca, który zawsze w porę potrafił wyzyskać pomyślny układ okoliczności.

Oczywiście, pan Karol Dalcz, mając dzięki wyczerpującym informacjom Blumkiewicza dokładny obraz przemian w przedsiębiorstwie, nie mógł przed sobą ani przed Pawłem ukrywać swego dlań uznania. Nie było to zresztą na rękę Pawłowi, gdyż chory chciał go widywać coraz częściej, odrywając go od nawału zajęć. Przyczyniał się zapewne do tego i przedłużający się pobyt za granicą Krzysztofa, którego panu Karolowi brakowało. Świadectwem tego było coraz częściej powtarzające się w rozmowach imię nieobecnego.

Któregoś dnia Paweł zapytał żartobliwie:

— Czy stryj nie przypuszcza, że to opóźnianie powrotu ma posmak romantyczny?

— Masz jakieś powody do tego rodzaju podejrzeń? — pan Karol utkwiał badawczy wzrok w twarzy Pawła.

— Nie, bynajmniej. Ty, stryju, chyba lepiej wiesz, czy Krzysztof ma w Szwajcarii jakąś *flamę*²¹⁵.

— Jest młody — sucho urwał chory.

— Młody — pobłażliwie skinął głową Paweł — i romantyczny. Przejdzie mu to z wiekiem. Wygląda nawet na poetę. Czy stryj nie obawia się, że on na przykład pisuje wiersze?...

Zdumione spojrzenie pana Karola było więcej niż zaprzeczeniem.

— No, więc nowe, powieści, pamiętniki?...

— Myślę, że to jest wykluczone. Skąd, u licha, przyszły ci na myśl takie podejrzania? Krzys jest jeszcze młody, ale zawsze był rozsądny.

— Nie podejrzania. Po prostu każdy z nas ma w wieku młodzieńczym pewną dozę romantyzmu, którą musi w sobie przepalić, jeżeli nie chce do siwego włosa zostać wariatem. Jedni wyładowują to w grafomanii, drudzy w awanturach miłosnych, inni włócząc się po egzotycznych krajach lub służąc w wojsku i polując na laury bohaterów... Tak... No, Krzys ma chyba za słabe zdrowie na żołnierza. Czy on służył w wojsku?

Pytanie było zadane najobojętniejszym tonem, a pomimo to pergaminowa twarz choroego pokryła się rumieńcem.

— Owszem, służył. Odbył całą służbę szeregowca w 67 pułku piechoty.

— Szeregowca? Przecież musiał mieć prawa jednorocznego i skończyć podchorążówkę?

— Tak. Ponieważ jednak nie nostryfikował²¹⁶ matury zagranicznej...

— Ano tak — powiedział Paweł i zaczął mówić o czymś innym.

Umyślnie chciał sprawdzić twierdzenie Feliksiaka przed rozmową z nim. Teraz nie ulegało wątpliwości, że Feliksiak mówił prawdę, że zatem nie za darmo otrzymał z kasy fabrycznej swoje uposażenie. Zważywszy rzecz dokładnie, Paweł postanowił wstrzymać się

²¹⁵*flama* (przestarz., z łac. *flamma*: płomień) — kobieta będąca w danej chwili obiektem czyjejś przelotnej miłości, romansu. [przypis edytorski]

²¹⁶*nostryfikować* (z łac. *noster*: nasz, *facere*: czynić) — przeprowadzać *nostryfikację*: urzędowe uznanie zagranicznego dyplomu poświadczającego zdobyte wykształcenie, uzyskany tytuł lub stopień naukowy a. zawodowy za równoprawny z odpowiadającym mu dyplomem krajowym. [przypis edytorski]

od jakichkolwiek kroków do czasu powrotu Krzysztofa. Dlatego też nie wzywał Feliksiaka. Nie upłynął jednak miesiąc, gdy ten zgłosił się sam.

Stał przed biurkiem i ponuro patrzył w ziemię.

— Nie rozumiem, o co wam chodzi — spokojnie perswadował Paweł. — Otrzymujecie przecie wasze pieniądze regularnie?

— Otrzymuję...

— Więc czegoż jeszcze chcecie?

— To, że nie ja na nie zarabiam.

— I cóż to was obchodzi, grunt, że je macie.

Feliksiak przestąpił z nogi na nogę:

— Ja nie chcę darmo. Pracować chcę, panie dyrektorze. Kaleką nie jestem.

Paweł podniósł brwi:

— Zapracowaliście je dawniej, służąc za mego stryjecznego brata w wojsku. Nie rozumiem waszych skrupułów.

— Za tamto otrzymałem gotówką, a praca mi się należy. Niech pan dyrektor uwzględni i da mi zajęcie w fabryce. Ludzie zwiedzieli się, że nic nie robię, a pieniądze biorę.

— Jak to zwiedzieli się? Któż im mógł powiedzieć?

— A bo ja wiem — zdetonował się²¹⁷ Feliksiak. — Może i sam przez głupotę pochwalilem się, a teraz nijak nie mogę bez pracy, bo choćby i nie gadali, to bez roboty ciężko...

W zasadzie Paweł nic nie miał przeciw przyjęciu go do fabryki. Nie potrzebował liczyć się z tym, co o tym będą mówili w warsztatach. Wolał jednak przeciągnąć stan prowizorium²¹⁸, by móc mieć dobitny pretekst do postawienia sprawy na ostrzu zaraz w pierwszej rozmowie z Krzysztofem. Dlatego powiedział Feliksiakowi, że może załatwić jego życzenie dopiero w przyszłym tygodniu. Był przekonany, że do tego czasu Krzysztof zdąży się nacieszyć miodową podróżą i wdziękami Marychny.

Okazało się jednak, że się mylił.

ROZDZIAŁ VIII

Z Dworca Głównego Marychna wprost pojechała do domu. Od czasu gdy rozstała się z Krzysztofem w Wiedniu, była półprzytomna. Do samej granicy dręczyły ją obawy, że nie zdoła się porozumieć z konduktorami, z urzędnikami komory celnej i z wszystkimi tymi ludźmi, mówiącymi z nią po niemiecku, lecz tak szybko i niewyraźnie, że jej wiadomości zdobyte w gimnazjum pozwalały zaledwie na odgadywanie brzmienia poszczególnych słów.

W przedziale była sama. Usnęła dopiero nad ranem, a obudziła się w chwili, gdy pociąg ruszał ze stacji w Częstochowie. Była zziębnięta, a przemęczenie, jakie dołączyło się do jej strasznego stanu nerwowego, sprawiło to, że posądzała siebie o obłąd.

Szczękając zębami, wchodziła za stróżem, wnoszącym na schody jej walizki. Prędko i bez uśmiechu przywitała się z gospodynią, a gdy znalazła się w swoim pokoju, czym prędzej zamknęła drzwi na klucz, odgradzając się nimi od reszty strasznego świata. Długo leżała na łóżku w futrze i kapeluszu, zalewając się łzami. Nie słyszała lub prawie nie słyszała troskliwego pukania do drzwi. Oddałaby pół życia za to, by móc przytulić się do kogoś, by komuś wysłuchać cały koszmar swoich przeżyć.

— Nikogo nie mam, nikogo...

Pawłowi nawet na oczy wstydziłaby się pokazać. Do Zielonki nie pojedzie za żadne skarby. Bo i po co?... Milczeć, zmuszać się do milczenia wówczas, gdy aż boli w piersiach od potrzeby mówienia, gdy wstyd zamyka usta, a przysięga stoi nad nią jak czarna groźba. Nie, nie wyjdzie stąd w ogóle, nie będzie z nikim mówiła, choćby chciała nie zastosować się do narzuconej samotności, ta samotność była jedynym obecnie jej ratunkiem, jedyną osłoną...

— Boże, Boże — płakała Marychna.

²¹⁷zdetonować się (daw.) — zmieszać się, stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

²¹⁸provizorium (z łac.) — stan tymczasowy, przejściowy. [przypis edytorski]

Dopiero wieczorem, gdy w pokoju było już prawie ciemno, a pukanie gospodyni powtórzyło się, ciężko podniosła się, zdjęła kapelusz, futro i rękawiczki. Przekręciła klucz w zamku i natychmiast cofnęła się w najmroczniejszy kąt.

— Co pani jest, panno Marychno? — przerażonym głosem pytała gospodyni.

— Nic, nic...

— Ależ pani musiało coś się stać!

— Bynajmniej, nic...

— Pani jest pewno głodna? — sięgnęła ręką do kontaktu.

— Proszę nie zapalać! — histerycznie krzyknęła Marychna. — Ja nie chcę, proszę nie zapalać.

— Uspokój się, drogie dziecko, nie zapalę, jeżeli nie chcesz...

Gospodyni zbliżyła się do niej i zaczęła ją głaskać po włosach; z oczu Marychny popłynęły znowu łzy.

— Spokoju — ciepłym szeptem mówiła gospodyni — spokoju. Nie ma tak złych rzeczy na świecie, które nie dałyby się odrobić...

Ręka łagodnie zsunęła się na wilgotną twarz, zsunęła się serdeczną pieścizną i przyciągnęła głowę Marychny do piersi.

Sekunda wystarczyła Marychnie do odnalezienia w sobie przerażającego wspomnienia. Dotyk piersi gospodyni napełniał ją panicznym strachem. Wyrwała się z jej objęć i odskoczyła do okna.

— Proszę mnie nie dotykać! — zaczęła wołać błagalnym głosem. — Proszę mnie nie dotykać...

— Co ci jest, biedactwo?! — przeraziła się również gospodyni.

— Proszę mnie nie dotykać — powtarzała Marychna.

W półmroku widziała tylko szczupłą wysoką sylwetkę gospodyni i jej ręce, wyciągnięte, jak się zdawało Marychnie, chciwym, zachłannym ruchem.

— Dam pani kropli walerianowych — zdecydowała się wreszcie gospodyni i szybko wybiegła z pokoju.

To nieco opamiętało Marychnę.

— Zachowuję się naprawdę jak wariatka — usiłowała opanować nerwy, lecz w tejże chwili przyszło jej na myśl, że może w rzeczywistości dostała pomieszania zmysłów... Przecież ludzie, którzy mieli różne straszne wypadki w życiu, nieraz dostawali obłądu...

— Niech pani to wypije, moje dziecko — wróciła gospodyni i wyciągnęła do niej rękę z kieliszkiem.

Smak lekarstwa był mdły i przykry, Marychna ostrożnie, tak by nie dotknąć palców gospodyni, oddała kieliszek.

— Powinna pani, panno Marychno, położyć się zaraz do łóżka. Pościelę pani.

Zabrała się do slania, później przyniosła gorącą herbatę, od której w pokoju rozszedł się zapach koniaku. Była tak dobra, że nie męczyła już Marychny pytaniami, że odeszła cicho, zamykając za sobą drzwi. Marychna krótkimi spragnionymi łykami wypijała herbatę, mocną, gorącą, aromatyczną. Siedziała chwilę skulona na brzegu łóżka. Pomału zaczęły ją ogarniać ciepło, spokój i senność. Rozebrała się i wślizgnęła się pod kołdrę.

Z początku myśli kłębiły się w głowie, a gdy usnęła, przekształciły się w straszne potwory, które pochylały się nad nią, śmiały się, usiłowały zedrzeć z niej kołdrę... Wreszcie zapadła w ciemną niemoc głębokiego snu.

Gdy się obudziła, musiało być bardzo późno. Słońce iskrzyło się na zamrzniętych szybach, w pokoju było jasno i pogodnie.

Nareszcie jest w Warszawie, nareszcie bezpieczna. Tu będzie miała możliwość obrobienia się, możliwość ucieczki. Przypomniał się jej olbrzymi mroczny labirynt korytarzy hotelowych, pokrytych tak grubym sukniem, że nie słyszała nawet tupotu swoich bosych nóg, kiedy w panicznym, bezrozumnym lęku uciekała na oślep owej pierwszej nocy.

Postąpiła wówczas niemądrze, nawet bardzo głupio, bezmyślnie. Gdyby się zastanowiła, gdyby mogła się zastanowić, że jest wśród obcych, że nie potrafi przed nikim wytłumaczyć się ze swego strachu, ze wstrętu, który jej zaciskał gardło... Tu jest wśród swoich, tu może się bronić. Myśl skoncentrowała się na drzwiach: czy klucz w zamku jest przekręcony?...

I tam zamknęła się w łazience, lecz w końcu musiała otworzyć... Jakie to straszne i jakie obrzydliwe...

Czuła się dziś znacznie spokojniejsza, a przecież na każde wspomnienie kurczyły się jej wszystkie mięśnie, a ręce zwiły się w piąstki i same podnosiły się do ust, jak u chorej małpki w ogrodzie zoologicznym... Tak to nazywała tamta.

Kiedy wyjeżdżała z Warszawy, była w tak dobrym humorze, nawet starała się rozruszać wciąż zamyślnego Krzysztofa. Krajobraz przesuwany się za szybą wagonu pochłaniał jej uwagę do tego stopnia, że coraz rzadziej wspominała nawet Pawła. Później Wiedeń, wielkie słoneczne miasto, gdzie ludzie mówią głośno i wesoło, gdzie wszyscy, choćby się nie uśmiechali, wyglądają jak uśmiechnięci. Tu jeszcze była szczęśliwa. W hotelu miała osobny pokój, a Krzysztof pocałował ją tylko na dobranoc i prędko wyszedł. Była tym nawet trochę rozczarowana i odrobinę nań rozgniewana. Gdybyż mogła wiedzieć...

Wczesnym rankiem wyjechali. Krzysztof był ponury i milczał przez całą drogę, a ona pochłonięta obawami, jak się będzie przed nim tłumaczyć z tego, że nie jest niewinna. Drżała na samą myśl, że mu nie potrafi odpowiedzieć, gdy zapyta, czy to nie Paweł? On tak nienawidzi Pawła. Wiedziała, że wówczas nie zdoła opanować rumieńca i że tym się zdradzi.

Potem były góry, olbrzymie, zaśnieżone góry, po których zboczach pociąg piał się wciąż wyżej, zdawało się, i wyżej, a potem hotel zawieszony jak gniazdo jaskółcze, przyklepiony gdzieś pod chmurami do małego występu góry. Z daleka wyglądał jak dziecinna zabawka, a przecie był to olbrzym. Z okien ich pokoi rozciągał się bezkresny widok na wielkie kolisko zaśnieżonych olbrzymów.

Nad wieczorem zerwała się straszliwa śnieżycą. Wicher dał, aż się zdawało, że pod jego naporem przechylił się gmach hotelu i stoczył się w dół jak tekturowe pudełko.

— Kładź się spać — powiedział Krzysztof jakimś zimnym, nieprzyjemnym tonem. — Przyjdę ci powiedzieć dobranoc.

Leżąc w łóżku, długo słyszała jego nerwowe nieustające kroki w sąsiednim pokoju. Minęła może godzina, może więcej, zanim zdecydował się wejść. Przez półprzymknięte powieki widziała w smudze światła jego smukłą sylwetkę w czarnej jedwabnej pidżamie. Zbliżył się i zimną jak lód ręką dotknął jej ramienia:

— Czy śpisz, Marychno?

Uśmiechnęła się i pomyślała, że na pewno nie miał nigdy żadnej kobiety i że to bardzo dobrze. Pochylił się nad nią i długo patrzył w jej oczy z jakimś rozpaczliwym grymasem na ustach. Później lekko uniósł kódrę i znalazł się obok niej.

— Kochany — szepnęła, tuląc twarz do jego ramienia.

Leżał nieruchomo, potem kilku szybkimi ruchami zdjął pidżamę i oto poczuła na całym ciele dotyk jego gładkiej jak aksamit skóry. Ręce oplotły jego talię. Nigdy nie wyobrażała sobie, że jest tak piękny. Zaczął całować jej usta, oczy, szyję, piersi, tymi samymi co zawsze dziwnymi pocałunkami, jakby po każdym smakował jego rozkosz.

O, pamięta każdą sekundę, każdy ułamek sekundy z tej okropnej nocy.

Ogarniał ją przenikliwy, dziwny nastrój, zupełnie inny niż ten, jaki wywoływały pieszczoty Pawła... Przecie nie brzydziła się Krzysztofa. Przeciwnie. A jednak odczuła nagłą odrazę. Cofnęła się i obu rękami zasłoniła się przed nim.

Jakże strasznie krzyknęła wówczas!... Pod palcami czuła najwyraźniej dwoje drobnych, jędrnych kobiecych piersi...

Nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi, opanował ją tak nagły, tak przeraźliwy wstręt, jakiś spontaniczny napływ wstydu, jakiś wprost fizyczny wstrząs obrzydzenia...

Nie wiedząc, co robi, zerwała się z łóżka i rzuciła się do drzwi. Były zamknięte. Przebłysk świadomości: drzwi od drugiego pokoju są otwarte. Wbiegła tam, lecz zanim dopadła drzwi, Krzysztof jej zabiegł drogę... Krzysztofi!... Och, jeden moment wystarczył, tu w pełnym świetle lampy, jedno spojrzenie przerażonych oczu, by się przekonać, że się nie omyliła, że on jest kobietą...

— Marychno, Marychno — rozgniewany szepc napelniał ją jeszcze większym strachem.

Skoczyła, by uniknąć dotyku wyciągniętych rąk, i wówczas to właśnie znalazła się w olbrzymim labiryncie mrocznych korytarzy...

To prawdziwe szczęście, że boso i w koszuli nocnej nie spotkała wówczas nikogo. Musiało upłynąć więcej niż pół godziny, zanim ją Krzysztof odnalazł. Otulił ją swoim szlafrokiem i szcękającą zębami odprowadził do łóżka.

Zaziębiła się. W korytarzach było zimno. Do rana nie usnęła, trzęsąc się jak w febrze. Z rana trzeba było wezwać lekarza. Miała trzydzieści dziewięć stopni gorączki i męczący kaszel.

Krzysztof przez osiem dni pielęgnował ją w milczeniu. Nocami w malignie²¹⁹ śniły się jej czarne tragiczne oczy, patrzące z bezbrzeżnym smutkiem. Ile razy badał jej puls, dotyk jego ręki napępiał ją wstrętem. Nic nie mówił. Dopiero gdy gorączka już całkiem spadła, a Marychna czuła się już znacznie lepiej, zaczął opowiadać. Marychna wciskała twarz w poduszkę i płakała. Mój Boże! było to takie smutne, takie straszne.

Z jakichś bardzo ważnych względów rodzinnych czy majątkowych od małego dziecka wychowywano Krzysztofa jako chłopca. Zamknięto przed nim prawdziwe życie, nie pozwolono być sobą. Już do śmierci musi udawać mężczyznę i raz na zawsze wyrzec się tego, co jest szczęściem dla każdej kobiety: miłości, prawdziwej miłości. I tłumaczył: czyż Marychna może mu to wziąć za złe, że szuka u niej odrobiny uczuć, namiastki szczęścia, którego na zawsze jest pozbawiony?...

I Marychnie w dzień, kiedy siedział przy jej łóżku w ubraniu i z papierosem w ustach, kiedy słyszała jego pełen smutku głos, niski, altowy, prawie męski, kiedy widziała jego bolesny wyraz oczu, zdawało się, że jednak potrafi, że musi poświęcić się, że nie ma nawet w tym aż tak wielkiej ofiary.

Ale przyszła noc... I jakże wówczas wszystko inaczej wyglądało!... Skądś, z wnętrza wypełzła odraza tak silna, że do bólu trzeba było zaciskać zęby, by nie krzyknąć, trzeba było niesłychanego wysiłku wyobraźni, by przypomnieć pieśczoć Pawła i z uporem wmawiać w siebie, że to tamten, by uwierzyć, że te soczyste, wyrafinowane usta, że te wąskie atlasowe ręce są ustami i rękami Pawła!...

Na pomoc przychodził alkohol. Teraz przy kolacji piła zawsze dużo wina i to tylko pomagało jej znieść koszmar tych nocy, podczas których czuła się jak królik podczas dokonywanej na nim wiwisekcji²²⁰. Zdawało się jej, że i Krzysztof także cierpi podczas tych nocy. Nie mówili jednak o tym nigdy. Noce stanowiły jakby odrębny rozdział, jakby całkiem inną stronę ich życia. W dzień Krzysztof był naturalny, jeszcze bardziej naturalny niż w Warszawie. Jeździli do miast, bywali w teatrze, w kinie, a najczęściej w sklepach. Tu Krzysztof kupował Marychnie moc sukien, kapeluszy, pończoch i innych drobiazgów toaletowych.

— Ubieram cię za ciebie i za siebie — mówił z bladym uśmiechem.

Najmilsze godziny, długie godziny poobiednie, spędzali na omawianiu i projektowaniu sukien, koszulek i pidżam Marychny. Teraz chciała uważać go za serdeczną, dobrą przyjaciółkę. Wmawiała to w siebie. Niestety, ani przez chwilę nie mogła wyzbyć się owego nieznośnego uczucia wstrętu, który budził się przy każdym cieplejszym słowie Krzysztofa, przy każdym spojrzeniu czulszym. Na próżno wmawiała sobie, iż zdoła się przyzwyczaić. Z dniem każdym, a raczej z każdą nocą coraz jej było trudniej. Zaczęła prosić Krzysztofa o powrót do kraju. Obiecował, lecz wciąż zwlekał. Któregoś dnia powiedział przy śniadaniu:

— Źle się czujesz w górach. Wyglądasz blade i oczy masz podsinione²²¹.

— Ty też — odpowiedziała cicho.

Rzeczywiście oboje wyglądali tak fatalnie, że kiedy żona właściciela hotelu zatrzymała Krzysztofa i żartobliwie zapytała, czy od dawna są małżeństwem, Krzysztof, powtarzając to Marychnie, powiedział:

— Jesteśmy tu zameldowani jako małżeństwo... Jako mąż i żona...

A w chwilę potem dodał:

— Może to kiedyś sprawdzi się, może będziemy małżeństwem...

— Jak to? — zapytała przerażona Marychna.

²¹⁹*maligna* — wysoka gorączka połączona z majaczeniami. [przypis edytorski]

²²⁰*wiwisekcja* (z łac: *vivus*: żywy, *sectio*: rozcięcie) — zabieg operacyjny przeprowadzany na żywym zwierzęciu w celach naukowych a. dydaktycznych. [przypis edytorski]

²²¹*podsinione (oczy)* — dziś: podsiniałe, takie, pod którymi skóra zrobiła się sina. [przypis edytorski]

Krzysztof zaczął mówić. Powinni właściwie pobrać się, zamieszkać razem i naśladować normalny tryb życia innych ludzi. To będzie najlepsze. Namiastka przyjaźni i namiastka miłości, bo cóż innego mu pozostaje?... Ale niech nie myśli, że jest tak samolubny. Bynajmniej. Nie zamierza jej krępować. Jeżeli Marychnie spodoba się ten czy inny mężczyzna... Byle została, byle zechciała zrozumieć, jak wielką jest tragedią nie mieć prawa do prawdziwego życia...

Wówczas Marychna rozplakała się. To nielitościwie wymagać od niej tego. Zawsze zostanie przyjaciółką Krzysztofa, ale na to nie zgodzi się nigdy, za żadne skarby.

Gdy znowu przyszła noc i znowu te straszne, wstrętne, rozkoszne męczarnie — była bliska myśli o samobójstwie.

— Odejdź — błagała. — Bądź dla mnie dobra...

W ciągu dnia nazywała ją zawsze jej męskim imieniem. Wydawało się to jej całkiem naturalne, ale w nocy kobiecość Krzysztofa wprost przytłaczała swoją oczywistością. Gdy pierwszy raz w takiej chwili nazwała ją „Krzysieńką”, wywołała awanturę:

— Nigdy tak nie mów — surowo odezwał się Krzysztof. — Nigdy! Chcesz mnie zgubić?!

I wtedy był znowu mężczyzną.

— Musisz zapomnieć o tym! — gniewnie ścisnął przegub jej ręki aż do bólu. — Jeżeli nie jesteś pewna, czy potrafisz dochować tajemnicy, powiedz mi to zaraz, natychmiast! Palnę sobie w łeb i będzie koniec.

— Ależ ja wcale... — broniła się Marychna, drżąc całym ciałem.

— Owszem, zrób to — nalegał z goryczą — zrób. Zwracam ci uwagę, że w ten sposób najłatwiej się mnie pozbędziesz!

W głosie Krzysztofa brzmiał taki ból, takie cierpienie, że zarzuciła mu ręce na szyję i zacisnęła zęby, by opanować odrzę.

Nazajutrz z jakiegoś błahego powodu, którego już teraz w ogóle nie mogła sobie przypomnieć, dostała okropnych spazmów²²². Zbiegli się lokatorzy z sąsiednich numerów i wezwano lekarza. Ten orzekł fatalny stan nerwowy i konieczność odosobnienia. Spojrzał przy tym znacząco na Krzysztofa, chcąc widocznie dać mu do zrozumienia, na czym ta separacja ma polegać. Ponieważ zaś twierdził, że stan jest poważny, Krzysztof tegoż dnia uregulował rachunek w hotelu i wyjechali.

W Wiedniu zatrzymały go jakieś pilne sprawy. Umieścił Marychnę w wagonie i jeszcze przed samym ruszeniem pociągu przypomniał:

— Nie więżę cię, Marychno, swoją tajemnicą. Wierzę jednak, że jeżeli zechcesz z kimkolwiek nią się podzielić, zdobędziesz się na tyle uczciwości i szlachetności, że mnie zawczasu uprzedzisz. Sądzę, że przynajmniej na taką życzliwość z twojej strony mogę liczyć za uczucia, które ci daję.

„Mój Boże — myślała Marychna — mój Boże, a komuż mogłabym się zwierzyć, on myśli, że ja mam kogokolwiek na świecie... Jestem taka samotna i taka nieszczęśliwa...”

Teraz, kiedy była od niego daleko, kiedy miała możliwość ucieczki, gdyby tylko powrócił i żądał od niej znowu tych ohydnych nocy, teraz ogarniała Marychnę jakaś czułość, jakaś prawie tęsknota za Krzysztofem. Nie, raczej nie za Krzysztofem, lecz za tą biedną, skrzywdzoną przez życie dziewczyną... Żebyż mogła coś dla niej zrobić, gdyby mogła jej w czymś pomóc, gotowa byłaby na największe ofiary, byle nie musiała znosić tych dręczących pieśczoł... A właśnie niczego więcej od niej nie oczekiwano.

Marychna zastanowiła się:

— Chyba nie to... W postępowaniu Krzysztofa był jednak jakiś przymus... Naturalnie, przecie i dla niego to musi być wstrętne!...

Lecz natychmiast przyszła refleksja: gdyby było wstrętne, nie potrzebował zmuszać się do tego. Przypomniała sobie wiersze prozą, które czytał jej po francusku. Były to pieśni o miłości jednej kobiety do drugiej, a Krzysztof zachwycał się pięknnością tej poezji.

Jakie to szczęście, że Krzysztof zostanie jeszcze w Wiedniu przez tydzień, a może i dłużej. Obiecała mu wprawdzie, że do czasu jego powrotu nie będzie widywała się z nikim, że nie pójdzie do fabryki. Oczywiście, nie pójdzie, bo i co robiłaby, zresztą długość jej urlopu zależna jest od okresu nieobecności szefa.

²²²spazmy — gwałtowny płacz, któremu towarzyszy łkanie. [przypis edytorski]

Ale chyba do kina wolno jej chodzić albo na spacer? W tym nie ma nic złego...

Pod wpływem ciszy panującej w mieszkaniu i nieustannego a równomiernego hałasu dobiegającego z ulicy, hałasu swojskiego, dobrze znajomego, uspokajała się coraz bardziej. W przedpokoju służąca otwierała piec i wkładała węgiel.

Marychna zaczęła ubierać się. Przez szparę w drzwiach dolatywał smakowity zapach gotującego się rosolu. Poczula lekkie ćmienienie w dołku. Jakże piekielnie była głodna. Od Wiednia nic nie jadła, a i przedtem nie miała wcale apetytu. Ostrożnie nacisnęła klamkę. W przedpokoju i w jadalni nie było nikogo. Widocznie gospodyni wyszła. W kuchni powitała ją służąca okrzykiem:

— Jezusie Nazareński! A co to pannie Marychnie jest? Tak zmizerniała!

— Jestem zmęczona podróżą i strasznie głodna...

— Pewno, pewno... zaraz zrobię kawkę...

Marychna wróciła do siebie i spojrzała w lustro. Rzeczywiście wyglądała fatalnie. Musiała stracić kilka kilogramów wagi, jej kwitnąca cera stała się przezroczysta i ledwie różowa, pod oczyma znaczyły się dwie niebieskawe plamy.

— Boże, jak ja zbrzydłam — powiedziała głośno i jednocześnie pomyślała, że to wcale nieprawda, gdyż wygląda teraz bardziej interesująco, prawie tak, jak Brygida Helm²²³ w filmie *Alraune*²²⁴.

Śniadanie zjadła z apetytem, po czym zabrała się do rozpakowywania walizek. Ile teraz miała różnych pięknych rzeczy. Wszystko od Krzysztofa. On naprawdę był dla niej bardzo dobry. Rozmieszczanie i porządkowanie rzeczy w szafie zajęło jej czas do obiadu. Na szczęście przy stole był jakiś ksiądz, daleki kuzyn gospodyni, i to uwolniło Marychnę od spodziewanych indagacji²²⁵. Na dworze był straszny mróz, wobec czego postanowiła nie wychodzić. Jednak bezczynność tak jej ciążyła, że około szóstej nałożyła futro i zbiegła ze schodów.

Trafiła do jakiegoś podrzędnego kina, gdzie wyświetlano nudny, stary film. Bohaterka, porzucona przez ukochanego, truje się weronalem²²⁶ i zostawia kartkę: „Nikomiu nie jestem potrzebna, odchodzę w zaświaty”. Wprawdzie ofiara niewiernego amanta w końcu została uratowana, lecz Marychna, wracając do domu, aż do rogu Leszna i Żelaznej była najgruntowniej przeświadczona, że ona też jest nikomu niepotrzebna i też powinna odejść w zaświaty. Szkoda tylko, że w pożegnalnym liście nie będzie już mogła użyć tak pięknego słowa, jak owe zaświaty. Każdy, kto był na tym filmie, wiedziałby od razu, skąd ona to wzięła...

— Dzień dobry pani — usłyszała tuż przy sobie wesoły głos.

Obok niej szedł chemik fabryczny, inżynier Ottman. Jego różowa twarz stała się od mrozu prawie buraczana, a płowe wąsiki pokryte były tak gęstym szronem, że wyglądały jak siwe. W swoim wyszarzałym paletku wyglądał kuso i ubogo, lecz pomimo to Marychna była uszczęśliwiona:

— O, pan tutaj! Co pan w moich stronach porabia?

— To ja powinienem pytać, co pani robi w Warszawie? Słyszałem, że ma pani urlop i szaleje w Zakopanem. Już wraca pani? I tak nie będzie pani miała nic do roboty, bo Wyzbor-Dalcz przyjeżdża dopiero za tydzień.

— Tak? — zapytała Marychna. — Skąd pan o tym wie?

— Nie mogę się doczekać jego powrotu, mam niektóre rzeczy, których bez decyzji pani szefa nie mogę rozpocząć. Wie pani co? Pani pewno nic pilnego nie ma. Może byśmy wstąpili na muzyczkę do jakiej cukierni?

Marychna zgodziła się bez wahania. Ostatecznie nikogo znajomego prawdopodobnie nie spotkają. Kompromitujące palto Ottmana zostanie w szatni, a chyba ma na sobie jakiś możliwy garnitur.

²²³Helm, Brigitte, właśc. Schittenhelm, Brigitte Eva Gisela (1906–1996) — niem. aktorka lat 20. i 30. XX w. (*Metropolis*, *Alraune*, *L'Atlantide*). [przypis edytorski]

²²⁴*Alraune* — niemiecki niemy film grozy z r. 1928 w reż. Henrika Galeena na motywach powieści Hannsa Heinza Ewersa; Brygitte Helm grała w nim tytułową rolę powstałej w wyniku eksperymentu pięknej, lecz bezdusznej kobiety. [przypis edytorski]

²²⁵indagacja (z łac.) — dopytywanie się, wypytywanie. [przypis edytorski]

²²⁶weronal — środek nasenny z grupy barbituranów; produkowany od 1903, obecnie wycofany ze względu na własności uzależniające, rozwój tolerancji i łatwość przedawkowania w ilości prowadzącej do śmierci. [przypis edytorski]

— Mamy tu bliźniętka do przystanku tramwajowego — mówił Ottman. — O, zdaje się, idzie „dziewiątka”.

— No, dobrze — zgodziła się Marychna i pomyślała, że to jest okropne, kiedy mężczyzna proponuje jechać tramwajem, a nie taksówką.

W kwadrans później wchodzili już do dużej kawiarni na Nowym Świecie. Garnitur nie był zanadto przyzwoity, ale orkiestra ślicznie grała cygańskie romanse, kawa była gorąca, a ciastka o całe niebo lepsze niż za granicą. Omal nie wyrwała się z tą uwagą. Na szczęście w porę ugryzła się w język.

Gęsto obsadzone stoliki, muzyka, gwar, chmury dymu papierosowego i ciepło jeszcze bardziej poprawiły jej nastrój. Od trzeciego stolika jakiś wypomadowany brunet robił do niej namiętne oko. Ponieważ ubrany był z wyszukaną elegancją, Marychna czuła się pokrzywdzona i tym życzliwiej zaczęła wypytywać Ottmana o różne sprawy fabryczne, które ją w gruncie rzeczy nic nie obchodziły. Uśmiechała się doń i krygowała²²⁷ jak najwdzięczniej, niech tamten nie myśli, że na jego urodę i elegancję zaraz każda poleci. Po pięciu minutach zerknęła w stronę bruneta. Okazało się, że wszystkie wysiłki były zbędne: trzeci stolik był pusty.

Ottman opowiadał bardzo sympatycznie o swoim laboratorium, o projektach, o kłopotach, które ma z terpentyną²²⁸. Mówił o rzeczach bardzo nudnych i naprawdę był nudziarzem, ale jakimś swojskim, bliskim, życzliwym.

— Czy wie pan — powiedziała, gdy orkiestra zagrała jakieś sentymentalne tango — że ja miałam bardzo ciężkie, bardzo smutne przeżycia?...

— Pani? — zdziwił się Ottman.

Uczuła się dotknięta jego powątpiewaniem:

— No, nie widzi pan, jak ja okropnie wyglądam? Nie raczył pan nawet zauważyć!

— Pani zawsze ślicznie wygląda — uśmiechnął się jakby z rozczuleniem.

— Cóż, ja nie mam prawa wymagać od pana, żeby pan zwracał na mnie uwagę, ale to przecież rzuca się w oczy! Straciłam co najmniej pięć kilo, a może i dziesięć, miałam straszne przejścia, a to każdy poznałby po mnie!

Była na niego oburzona i przez dobry kwadrans starała się utrzymać minę najbardziej bolesną. Ottman, bardzo speszony, próbował się tłumaczyć, że się na tym nie zna, gdyby była jakimś ciałem chemicznym, wówczas przypuszcza, że umiałby spostrzec każdą najdrobniejszą zmianę, bo to jego fach.

— Dla pańskiej przyjemności — odcięła²²⁹ ostro — nie będę ciałem chemicznym.

Ottman jednak nie zraził się, przeciwnie, zaczął łagodnie przeproszać ją i wypytywać o owe tragiczne przejścia. Marychna, gdyby nie jego niewiara, z jaką o nich mówił, byłaby omal gotowa opowiedzieć mu przynajmniej część swoich przeżyć z Krzysztofem. Dopiero by usta otworzył od ucha do ucha!

Jednakże już sama świadomość noszenia w sobie tajemnicy, o której nikt nie wie, cierpienia, o jakim nie może mieć wyobrażenia żadna z siedzących tu kobiet, dawała Marychnie poczucie wewnętrznej przewagi, pewność, że to nadaje jej urodzie swego rodzaju uduchowanie, nakłada na jej rysy stygmat²³⁰ — zaświatów.

Tymczasem Ottman mówił znów o fabryce, o tym, że firma wykupiła sąsiednie tereny, na których powstanie oddział traktorów, że przedsiębiorstwo się rozszerza i rośnie, a wszystko dzięki obecnemu naczelnemu dyrektorowi:

— Rzadko się spotyka takich ludzi jak Paweł Dalcz. Niezwykły człowiek. Wielu w życiu widziałem kierowników różnych instytucji, ale żaden nie miał tak tegiej głowy i tak pewnej ręki. Oczywiście, czytała pani w gazetach o tym, że został prezesem całego przemysłu metalurgicznego?

Marychna czytała. Pamiętała dobrze tę chwilę. Krzysztof przeglądał pocztę przyslaną z kraju i czytał jej głośno wszystkie artykuły z gazet, gdzie było tyle o Pawle. Bojąc się narazić na nowe podejrzenia, Marychna powstrzymała się wówczas od okazania radości, tym bardziej że Krzysztof czytał z wyraźnym oburzeniem. Musiał bardzo nie lubić Pawła

²²⁷krygować się — przesadnie demonstrować skromność a. dobre wychowanie. [przypis edytorski]

²²⁸terpentyna — bezbarwna lub żółtawa ciecz uzyskiwana z żywicy drzew iglastych, stosowana m.in. do produkcji farb, lakierów i rozpuszczalników. [przypis edytorski]

²²⁹odciąć (tu daw.) — dziś: odciąć się, szybko i ostro odpowiedzieć na coś. [przypis edytorski]

²³⁰stygmat (z gr.) — znamie, piętno. [przypis edytorski]

i zazdrościć mu sukcesów, skoro był aż błady. Nic dziwnego. Sam nawet marzyć nie może o tym, żeby się z Pawłem porównać. Udawać mężczyznę, to jeszcze nie znaczy być mężczyzną, zwłaszcza takim mężczyzną jak Paweł.

— W Stowarzyszeniu Techników — mówił Ottman — wszyscy jednogłośnie twierdzą, że Paweł Dalcz jeszcze nie pokazał ani połowy tego, co potrafi. Niezwykły człowiek. Ma rozum, charakter i co najważniejsze, uczciwość...

Marychna myślała:

„Ma oczy koloru stali i uśmiech, którego zapomnieć nie można, i szerokie ramiona, prawdziwe bary, i głos niski, głęboki, jak dźwięk organów...”

— Gdy się z nim rozmawia — zapewniał Ottman — jest się pewnym, że każde jego słowo to szczerze złoto, że nie ma takiej rzeczy, której by mu nie można zaufać czy powierzyć...

A Marychna myślała:

„Jakim szczęściem byłoby powierzyć mu całą siebie, zaufać mu całe życie...”

Dumna była, że jest jego kochanką, dumna była, że właśnie ją sobie wybrał, chociaż — nie wątpiła — mógłby mieć każdą.

A jednak duma nie oznaczała jeszcze radości. Przeciwnie. Paweł w nawale pracy na pewno całkowicie o niej zapomniał. Nie wiadomo, czy znajdzie, czy zechce znaleźć dla niej odrobinę czasu, czy może ma już inną...

— Chodźmy do domu — westchnęła. — Późno i jestem zmęczona.

Ottman odprowadził ją do domu i zapewnił, że skoro ona sobie tego nie życzy, na pewno nikomu w fabryce nie powie, że wróciła z urlopu:

— Zresztą ja tam z nikim nie rozmawiam o prywatnych rzeczach. Tylko z panią — uśmiechnął się z tkliwością. — Do widzenia pani, panno Marychno, życzę przyjemnych marzeń.

— Dobranoc, dziękuję.

Ottman przytrzymał jej rękę:

— A jak pani nie będzie miała nic lepszego do roboty i żadnego miłszego towarzystwa, proszę do mnie zadzwonić, albo do laboratorium, albo do domu. O, tu jest mój telefon. — Podał jej kartę wizytową i czekał w bramie, póki nie wbiegła na schody.

Tak, jak przewidywała, gospodyni natychmiast zapukała do jej pokoju. Próbowwała wyciągnąć ją na zwierzenia, lecz Marychna powtarzała wciąż, że już jej nic nie jest, że była wczoraj przemęczona podróżą.

Nazajutrz i następnego dnia gospodyni znowu usiłowała ją wybadać, zabierała się do tego różnymi sposobami, lecz Marychna zamknęła się w sobie.

Właśnie trzeciego dnia otrzymała od Krzysztofa list. Był zalakowany wielką pieczęcią, ale wewnątrz znalazła zaledwie kilka zdań: przypominał jej obietnicę, pisał, że jest bardzo zajęty i że zawiadomi ją telegraficznie o dniu swego powrotu.

„Daj Boże — myślała Marychna — daj Boże, żeby wcale nie przyjechał”.

Właściwie nie pragnęła tego. Czuła się ogromnie osamotniona. Bądź co bądź teraz, kiedy nie mogła zobaczyć Pawła, brakowało jej Krzysztofa. Usiłowała nawet łudzić się przypuszczeniem, że Krzysztof po przyjeździe znowu będzie taki w stosunku do niej, jakim był dawniej w Warszawie, że nie będzie od niej wymagał tego, co ją napępiało zgrozą i wstrętem. Mogą przecież być najwierniejszymi, najbardziej kochającymi się przyjaciółkami.

Mróz spadł zupełnie. Stało się to niespodziewanie w nocy. Całe miasto zmieniło swój kolor. Dachy połyskiwały w słońcu lakierowaną czernią, ulice ociekały wodą. Przed obiadem lunął najprawdziwszy wiosenny deszcz. Późno w tym roku zaczynała się wiosna, lecz przyszła nagle i wszechwładnie ogarnęła wszystko. I Marychna czuła się tego dnia dziwnie ożywiona i wesoła. Zadzwoniła do Ottmana i razem wybrali się na spacer.

— Nieładnie tu — powiedziała Marychna. — Chodźmy lepiej zobaczyć Aleje.

Już drugi raz od swego powrotu chodziła w Aleje Ujazdowskie. Bynajmniej nie po to, by spotkać Pawła, jedynie w celu zerknięcia w stronę jego okien. Tyle już razy miała ochotę doń zadzwonić, jednakże myśl, że on będzie badawczo wpatrywał się jej w oczy, że będzie pytał, napępiała ją strachem. Teraz wprawdzie zbliżała się siódma, czyli godzina, o której Paweł najczęściej wracał do domu, ale to przecie nie znaczyło, że koniecznie muszą się spotkać lub chociażby z daleka zobaczyć...

— ...bo terpentyna jest, proszę pani, jakby najbliższym kuzynem kauczuku — wytrwale i z uśmiechem tłumaczył Ottman — a w rodzinie chemicznej nieraz można cioci przyprawić wąsy wujaszka i będzie to najautentyczniejszy w świecie wujaszek.

Marychna pomyślała, że dotychczas przeceniała chemię. Niby taka poważna nauka, a zajmuje się podobnymi głupstwami. Zapytała nie bez lekceważenia:

— I pan zajmuje się przyprawianiem takich wąsów?

— Próbuję — z westchnieniem odpowiedział Ottman.

— I co panu z tego przyjdzie?

— Terpentyny na świecie jest mnóstwo i kosztuje psie pieniądze, a kauczuk jest bardzo drogi. Gdybym zrobił ten wynalazek!... Ho, ho!...

Ciągle miał w głowie tę terpentynę. Widocznie wynalazek szedł mu opornie, gdyż często wzdychał, a Marychna w końcu nie umiała już odróżnić, które z westchnień przeznaczone były dla niej, które zaś dla terpentyny.

Chodniki w alei Trzeciego Maja, na Nowym Świecie, na placu Aleksandra²³¹ i w Alejach Ujazdowskich były zatłoczone wesołym tłumem.

— Jak to dobrze, że już jest ciepło — przerwała Marychna wywody Ottmana. — Prawie mi za gorąco w tym futrze.

Ottman powiedział w zamyśleniu „tak, tak” i znowu powrócił do swego nudnego kauczuku.

W oknach na pierwszym piętrze paliło się światło. Paweł był w domu. Zrobiłaby najprościej, pozbywając się w jakiś łatwy sposób towarzystwa Ottmana. Mogłaby wejść na schody i zadzwonić. Jak by też ją przyjął? A może ma u siebie jakichś ważnych interesantów, może gości — tyle światel się pali... a może inną?...

— Niech pan tu chwilkę zaczeka — powiedziała niespodziewanie dla samej siebie. — Muszę do kogoś zatelefonować.

Przechodzili właśnie koło małej owocarni, w której drzwiach wisiała tabliczka: „telefon czynny”.

— Ależ doskonale, możemy wejść razem — zgodził się Ottman.

— Nie, nie — zaśmiała się nerwowo. — To tajemniczy telefon, nie chcę, żeby pan słyszał.

Pobłaźliwie skinął głową i stanął przed sklepem. Marychna weszła, stanęła przy aparacie i zdjęła słuchawkę. Nagle uświadomiła sobie, że robi bardzo źle, że nie powinna dzwonić, że może tym doprowadzić do wielu niepotrzebnych komplikacji. W słuchawce powtórzył się zniecierpliwiony głos telefonistki:

— No, proszę, słucham, który numer?

Gdyby Marychnie przyszedł teraz na myśl jakiś inny numer! Niestety, pamiętała tylko ten jeden. Tłusty właściciel sklepu przyglądał się jej nieżyczliwym okiem, za oknem nad piramidą pomarańcz, jasno oświetlona, widniała twarz uśmiechniętego Ottmana. Cóż miała robić. Wymieniła numer, prosząc Boga, by nikt się nie odezwał. Nie przyszło jej wprost do głowy położyć słuchawkę, zresztą prawie natychmiast usłyszała głos Pawła:

— Słucham.

— Dzień dobry... — starała się mówić jak najciszej. — To jest właściwie: dobry wieczór...

— Z kim pani chciała mówić? — odpowiedział zdziwiony głos.

— Tu... Marychna...

— Aaa... Wróciliście! Nic o tym nie wiedziałem. Dzień dobry. Czy możesz do mnie przyjść?

Czy mogła! Musiała! Tak dawno go nie widziała!

— Tylko ja wróciłam — odpowiedziała. — On został jeszcze w Wiedniu.

— Po co? — jakby zagniewanym głosem zapytał Paweł.

— Nie wiem, miał jakiś interes — Marychna poczuła się urażona.

Zamiast witać ją, gniewa się, że Krzysztof został za granicą.

— No, dobrze — powiedział Paweł. — Przyjdź zaraz.

— Teraz nie mogę, trudno by mi było.

²³¹plac Aleksandra — w Warszawie, ze znajdującym się przy nim kościołem św. Aleksandra; od 1919 oficjalnie: plac Trzech Krzyży. [przypis edytorski]

— Dlaczego? — zapytał ostro, ponieważ zaś nic nie odpowiedziała, dodał: — Przyjdź zaraz, czekam, a nie zwlekaj, bo wieczorem mam posiedzenie.

Powiedział i położył słuchawkę.

„Jaki on jest szorstki” — myślała Marychna bliska płaczu, i myślała jeszcze: „Co ja narobiłam, co ja narobiłam...”

Zapłacała za telefon, odbierając resztę, rozsypała drobne na ladzie. Gdy wyszła, była tak wzburzona, że Ottman zapytał współczująco:

— Miała pani jakąś nieprzyjemną wiadomość?

— Tak, to jest nie, muszę pana pożegnać... Pan w którą stronę?

— Może odprowadzę panią?

— Dziękuję, pójdę sama...

— Niech się pani nie przejmuje — powiedział bezradnie.

Podawała mu rękę i obejrzała się kilka razy, zanim przekonała się, że jej nie śledzi. Od domu, w którym mieszkał Paweł, dzieliło ją zaledwie kilka minut drogi. Teraz nie mogła się cofnąć. Musiała go prosić o dyskrecję, o to, by nie wygadał się przed Krzysztofem... W głowie jej się mąciło. Co mu powie? Na pewno będzie wypytywał ją o zachowanie się Krzysztofa, o to, czy doszło między nimi do romansu, a przecie nie może złamać obietnicy danej Krzysztofowi...

Zadzwoiła. Drzwi otworzył lokaj i Marychna aż cofnęła się.

— Przepraszam, czy zastałam...

— Jasnie pan czeka — z nieuchwytnym uśmiechem pochylił głowę służący.

Gdy weszła, wskazał jej krzesło:

— Pani pozwoli, że zdejmę boty.

Właśnie kończył zdejmowanie, gdy na progu ukazał się Paweł. Sucho i prawie oficjalnie podał jej rękę. Dopiero gdy służący wyszedł, uśmiechnął się i pocałował ją w usta:

— Błado wyglądasz, drogie dziecko. Chorowałaś?

— Tak, bardzo chorowałam...

Pomógł jej zdjąć futro, przeszli do gabinetu. Było tu jak dawniej, jak przed wyjazdem. Paweł palił papierosa i przyglądał się jej poważnie:

— No i cóż?... Uszczęśliwiłaś zakochanego młodzieńca?

Marychna poczerwieniała i spuściła oczy.

— O!... Może i sama w nim zakochałaś się?... Zmierzniałaś. Od miłości podobno się chudnie. Tak zapewniają fachowcy... Nic nie mówisz?

— Wcale się nie zakochałam...

— A pamiętałaś o moim istnieniu?

Podniosła oczy i powiedziała cicho:

— Bardzo.

Potrząsnął głową i wypuściwszy w górę strugę dymu, zawyrokował:

— To źle świadczy o talentach mego stryjecznego brata. Powiedz mi tak szczerze: niedorajda z niego, co?

Marychna zaśmiała się nieszczerze:

— Czy musimy koniecznie mówić o nim? Ja tak nie lubię mówić o innych.

— Chodź tutaj — powiedział krótko i wyciągnął do niej rękę.

Wziął ją na kolana, objął i rozwartą dłonią głaskał jej nogi. Tulila się do niego i teraz już nie żałowała swego telefonu.

— Tak mi dobrze z tobą, ja za tobą tęskniłam — szeptała mu do ucha. — Tak bałam się, czyś ty o mnie nie zapomniał, czy nie znalazłeś innej, ładniejszej i rozumniejszej ode mnie.

— Zapewniam cię — zaśmiał się wesoło — że nie szukałem. W ostatnich czasach byłem zavalony pracą.

— Ja wiem — powiedziała Marychna.

— Co wiesz?

— Czytałam w gazetach.

Paweł podniósł brwi:

— Krzysztof otrzymywał pisma z kraju?... I on też czytał? I cóż mówił?...

— Nic — krótko odpowiedziała Marychna i chcąc przerwać pytania, pocałowała go w usta.

Nadspodziewanie Paweł nie wypytywał jej o szczegóły pobytu za granicą. Zresztą zbyt wiele uwagi pochłaniały pieszczoty, do których stęsknił się bardzo, jak o tym Marychna miała sposobność przekonać się ku pełnemu swemu zadowoleniu. Nastrój pierwszego spotkania psuły jedynie telefony powtarzające się nieustannie w odstępach kilkuminutowych. Paweł rozmawiał z każdym interesantem krótko i dobitnie.

— To straszne — mówiła Marychna, tuląc się do niego. — Ty przecież nie masz nigdy czasu dla siebie!

— Dla siebie? — zdziwił się Paweł. — Ależ to wszystko jest dla mnie.

— No tak, interesy, ale dla swojej przyjemności...

Zaśmiał się:

— Nie rozumiesz, że interesy można robić dla przyjemności?

— Żeby mieć pieniądze...

Paweł potrząsnął głową i zamyślił się:

— Tak się ludziom zdaje. Niektórzy są nawet o tym głęboko przekonani. W gruncie rzeczy jednak pasjonują się pieniędzem, gdyż przyzwyczaili się uważać go za sprawdzian swego wysiłku, swojej sprawności, a bodaj tylko szczęścia. Dlatego identyfikują pieniądz z tym, co nazywają szczęściem. A przecież warunkiem zadowolenia jest osiągnięcie, nie zaś osiągnięcie. Sam proces zdobywania. Przypuszczam, że rozkoszowanie się posiadaniem jest swego rodzaju inercyjnym²³² zboczeniem psychicznym. Gromadzenie to zupełnie coś innego. Sroka namiętnie zbiera błyskotki, lecz jest to jej zupełnie obojętne, jeżeli ktoś błyskotki z gniazda zabierze. Zdaje mi się, że sroki mają rację. W instynktach człowieka mamy potwierdzenie tego. Próżniactwo jest równie nieznośne dla bogacza, jak i dla żebraka. Odczuwanie zaś w funkcji zdobywania przyjemności pozostaje tylko kwestią świadomego lub nieświadomego stosunku do życia...

Marychna natężyła całą uwagę, by zrozumieć, o co mu chodzi. Musiało to jednak być bardzo mądre, gdyż nie umiała się w tym połapać. Terpentyna Ottmana była też niezbyt zrozumiała, ale, oczywiście, znacznie nudniejsza.

— O czym myślisz? — zapytał Paweł.

— Nigdy nie zgadniesz — roześmiała się Marychna. — To nie ma żadnego związku z tym, o czymśmy mówili.

— No?

— Spróbuj zgadnąć — rozbawiła się. — Jest to w fabryce i zaczyna się na literę „t”.

Paweł ziewnął.

— Traktory?

— Nie, terpentyna!

— Terpentyna? Dlaczego terpentyna?

— Tak, przypomniało mi się — odczuła, że będzie wyglądała w jego oczach bardzo głupio, i dodała: — Spotkałam tego inżyniera Ottmana i opowiadał mi, że zrobił jakiś wynalazek. Z terpentyny robi kauczuk, czy też z kauczuku terpentynę. Nudziarz taki, ale tak mnie ubawił swoim przejmowaniem się terpentyną, że nie mogę jej zapomnieć...

— Kauczuk? — zmarszczył brwi Paweł.

— No tak, kauczuk, a może guma, już nie pamiętam.

— I to Ottman zrobił ten wynalazek? — w głosie Pawła zabrzmiało wielkie zainteresowanie.

— Tak mi mówił, że zrobił i że będzie bogaty, jeżeli mu się uda — wybuchnęła śmiechem. — Taki pocziwiec, przecie każdemu jak się uda, to przyjdzie bogactwo...

— Poczekaj — przerwał Paweł. — Nie możesz sobie bardzo szczegółowo przypomnieć, co o tym mówił?

Marychna nie mogła. Gdyby wiedziała, że Pawła to zainteresuje, starałaby się uważać. Zresztą może go specjalnie wypytać.

Z urywkowych informacji, jakie zachowały się jej w głowie, Paweł próbował odtworzyć całość, wreszcie zrezygnował i zapowiedział Marychnie, by, broń Boże, nie wspominała Ottmanowi, że o tym rozmawiali.

Przed dziewiątą Paweł musiał jechać na posiedzenie. Wyszli razem, lecz tak się śpieszył, że Marychnę pożegnał na schodach. Nie miała o to do niego żalu. Zadowolona była z siebie

²³²inercyjny — bierny, bezwładny. [przypis edytorski]

i ze świata. Sentyment, jaki czuła do Pawła, wzmógł się jeszcze dzięki jego delikatności. Nie dręczył jej pytaniami o Krzysztofa, zdawał się rozumieć to, że są kwestie, o których z nim mówić nie może. Prosił ją, by przyszła nazajutrz, gdyż będzie miał cały wieczór wolny.

Cieszyła się na to. Jakże inaczej oddychała w jego atmosferze. Była tu tak spokojna i pewna. Nie czekało jej nic niespodziewanego, przerażającego, zapomniała o owym nieustająco naelektryzowanym nastroju, jaki wytwarzała obecność Krzysztofa.

Kiedyś, szukając w filmie i powieści objaśnienia prawd oczekiwanej miłości, wyobrażała sobie, że składa się ona nie tylko z czułych pocałunków, lecz i ze słów pieszczotliwych, wypowiedzianych drżącym głosem, rzewnej tkliwości, z tysięcznych komplementów i wzajemnych zachwyty. Dlatego gdy znalazła to wszystko u Krzysztofa, wiedziała, że to miłość, i nawet przebaczyć sobie nie umiała swego niewytłumaczonego pociągu do prozy, jaką jej dawał Paweł, do jego prawie zimnego stosunku do niej, który się rozżarzał tylko w chwili fizycznej podniety.

I dziwne: zanim przekonała się, że Krzysztof jest kobietą, już umiałaby raczej obsypywać Pawła niekończącą się litaniją czułych słów, niż rewanżować się nimi Krzysztofowi. I tego jednak nie robiła nigdy, gdyż jakoś nie pasowało to do Pawła, byłoby śmieszne, nieprawdopodobne.

Tamto wstrętne i przeciwne naturze nie było miłością, zatem prawdziwą miłością musiało być to, co łączyło ją z Pawłem, a że brakowało w tym kwiatów, tęcz i słowików, oczywiście, było to naturalne, wyobrażenie zaś, jakie dawniej o miłości miała — błędne i egzaltowane²³³.

Teraz stokroć bardziej niż dawniej nie mogłaby, nie miałyby sił wrócić do Krzysztofa, wrócić do tych objęć, pocałunków i pieszczot, które napełniały ją odrazą nie do zwyciężenia. Dla obrony przed nimi gotowa była chwycić się wszelkich środków, aż do ucieczki pod opiekę Pawła włącznie. Co prawda nigdy, za żadne skarby, nie zdobyłaby się na przyznanie się mu do tego, że Krzysztof jest kobietą, że zmuszał ją do ohydnej rozpusty, której przecie, chcąc czy nie chcąc, jednak ulegała.

Na samą myśl takiego zwierzenia krew uciekała z jej twarzy. Byłby to wstyd, jakiego nie potrafiłaby przeżyć, już nie mówiąc o tym, że na pewno stałaby się wstrętą dla Pawła, że wypędziłby ją od siebie i nie chciał więcej widzieć.

Na razie zresztą nie było wcale potrzeby do uciekania się pod jego obronę. Krzysztof wracał dopiero za kilka dni, a gdy wróci, Marychna musi zdobyć się na tyle odwagi i siły woli, by mu się kategorycznie przeciwstawić.

Paweł na szczęście nie interesował się zbytnio Krzysztofem. Bardziej zajmowała go sprawa terpentyny Ottmana.

Stwierdziła to Marychna nazajutrz ku dużemu swemu zdziwieniu. Teraz już najwyraźniej polecił jej wy badać Ottmana. Ponieważ nie był pewien, że zapamięta wszystkie pytania, na jakie ma zdobyć od niego odpowiedź, zanotował je na kartce, przy czym ostrzegł Marychnę przed zdradzeniem się z powodu nagłego zainteresowania się wynalazkiem. Nocowała tego dnia u Pawła i odwiózł ją do domu wczesnym rankiem, jadąc do fabryki.

Po południu wy telefonowała²³⁴ Ottmana i wieczorem wybrali się do kina. Na jej pytania chemik odpowiadał z nieukrywaną radością. Widocznie nie przyszły mu na myśl podejrzenia, że Marychna działa z czyjegoś polecenia, a cieszył się tym, że zaciekawia ją jego praca.

Marychna starała się zapamiętać dokładnie jego słowa, a po powrocie do domu zanotowała je nawet na jedynej kartce, jaką znalazła w swojej torebce. Poppełniła tylko pewną nieostrożność: nie zwróciła uwagi, że była to odwrotna strona listu Krzysztofa.

Kiedy następnego dnia opowiadała Pawłowi o rezultatach swego wywiadu, ten machinalnie wziął z jej ręki kartkę, kartkę szarego jedwabistego papieru. Potarł ją palcami i podniósł do twarzy.

— To jest papier Krzysztofa — powiedział z uśmiechem i rozwinął arkusz.

Na odwrocie był ten smutny list z Wiednia.

²³³egzaltowany — wyrażający uczucia w sposób przesadny. [przypis edytorski]

²³⁴wy telefonować kogoś (daw.) — zatelefonować do kogoś. [przypis edytorski]

Pierwszym odruchem Marychny była chęć wyrwania mu z rąk listu, lecz w tejże chwili przypomniała sobie, że nie ma w nim nic, co by mogło zdradzić prawdę. W każdym razie popełniła nieostrożność.

Myśl Pawła po przeczytaniu listu powróciła do Krzysztofa.

— Nic mi o nim nie opowiadasz — odezwał się niezadowolonym tonem.

— Cóż mam opowiadać — z przymusem uśmiechnęła się Marychna.

— Czy i jemu nic o mnie nie mówisz? — ironicznie skrzywił usta.

Chciała go zapewnić, że oczywiście, że tym bardziej, że za nic na świecie nie przyznałaby się Krzysztofowi do tego, co ją z Pawłem łączy. On jednak widocznie nie oczekiwał odpowiedzi, gdyż sam zaczął mówić:

— Jesteś, moja kochana, imponująco podzielna. Nie mówię tego, by ci dokuczyć. Inne kobiety pod tym względem zdystansują cię na pewno. Chciałbym tylko, byś mnie poinformowała, czy Krzysztof nie domyśla się, że między nami coś jest?

— Skądże...

— No, mogłaś nieostrożnie coś powiedzieć, pisać jakieś pamiętniki czy inne głupstwa. Jeżeli jest zazdrosny i niedyskretny, na pewno miał możliwość zajrzeć do twoich walizek i znaleźć tam dowody niewierności.

— Nie, nie — zapewniła Marychna i nagle krew uciekła jej z twarzy.

Nie pisała wprawdzie żadnego dzienniczka ani listów, ale miała w walizce fotografię Pawła. Paweł zna się na ludziach i może ma rację, że Krzysztof byłby zdolny do rewidowania jej rzeczy. Fotografię miała schowaną w neseserze, w górnej kieszonce...

— Chybaś nie ubawiła się z nadto — mówił Paweł. — Mój stryjeczny brat robi wrażenie sensata²³⁵ i cierpiętника... zdaje się nawet, że produkuje jakieś utwory literackie. Nie zauważyłaś tego?

— Co? — ocknęła się z zamyślenia Marychna. Nie mogła pozbyć się myśli, że Krzysztof widział fotografię.

— Mówiłaś, że czytuje ci często poezję, ciekaw jestem, czy też ich nie płodzi?

— Ależ nie! On czytuje cudze poezje.

— Diabelnie romantyczny. Czasami działa tym na nerwy. I co? Wciąż patrzy na ciebie, jak kot na kielbasę?... Pewno na krok cię nie puszczal od siebie?

— Ja tak nie lubię o tym mówić — spróbowała bronić się rozkapryszoną minką Marychna.

Paweł jednak nie ustępował:

— Powiedz mi, czy on jest zupełnie normalny?

— Jak to, czy normalny?... — Marychna zbladła jak płótno.

Na szczęście Paweł zapalał papierosa i tego nie dostrzegł.

— No, czy mu niczego nie brakuje, czy zachowuje się, powiedzmy, w łóżku tak jak ja?

Marychna odwróciła się i szepnęła prosząco:

— Pewnie, że tak... Ty jesteś taki niedobry... Ja się wstydzę o tym mówić...

— Hm... to dziwne. Można było przypuszczać, że mu tego i owego brak... — zaśmiał się cicho. — Zatem jest w porządku i zdrow... Dlaczego tedy to zastępstwo... Słuchaj, Marychno, czy on ci nic nie opowiadał o swojej służbie wojskowej?

— Nie. Pokazywał tylko książeczkę wojskową...

— Tak... Gdy wróci, będę miał do ciebie pewną prośbę.

Marychna nic nie odpowiedziała. Nieprzyjemność całej rozmowy była niczym w porównaniu z obawą, która nie dawała jej spokoju: „Czy Krzysztof widział u mnie fotografię?...”

Po powrocie do domu, jeszcze w futrze i w kapeluszu, wydobyla neseser, otworzyła i zajrzała do górnej kieszonki.

Fotografii nie było.

Gorączkowo zaczęła przerzucać zawartość neseseru, przejrzała obie walizki już puste i wszystko to, co wypakowała do szafy i do komódki. Nie, nie mogła uwierzyć w to, by jej nie było:

²³⁵sensat (daw.) — człowiek przesadnie poważny. [przypis edytorski]

— Na pewno się znajdzie, na pewno się znajdzie — powtarzała, nie przerywając poszukiwań.

Przecie nie mogła jej zgubić!... A zatem pozostawała tylko jedna ewentualność: Krzysztof znalazł fotografię i zabrał...

Nie, to niemożliwe, dlaczego nic nie powiedział o tym?... Jest taki zazdrosny, a w dodatku fotografia Pawła, którego nienawidzi...

Marychna nie mogła zasnąć tej nocy.

ROZDZIAŁ IX

W zachodnim kącie wielkiego czworoboku, zajmowanego przez fabrykę Dalców, stał parterowy budynek z czerwonej cegły. Na drzwiach przybita była tabliczka: „Pracownia Chemiczna”. Laboratorium zajmowało trzy obszerne pokoje, w pierwszym, przeznaczonym do grubszych robót przygotowawczych, pracował chudy jak tyka laborant w granatowym kitlu, który w wielu miejscach pokryty był różnymi plamami od żrących kwasów i farb. W drugim pracował Ottman, trzeci stanowił rodzaj składu.

W tym budyneczku, do którego prawie nie dobiegał hałas z wielkich hal fabrycznych, dokonywały się badania stopów na panewki do maszyn szybkobieżnych, próby lakieru i smarów. Wąskie, długie stoły, zastawione szeregami flaszek z odczynnikami, słoje różnego kształtu, palniki gazowe, cylindry, lejki, probówki różnej wielkości, kolby, zlewki szklane i porcelanowe, tygły²³⁶ grafitowe i platynowe, aparaty Kippa²³⁷, viskozymetry²³⁸, deflegmatory²³⁹, suszarki i piecyk szamotowy²⁴⁰ obok dmuchawki, napędzanej małym elektromotorem²⁴¹...

Było to królestwo inżyniera Ottmana, jego wyłączne, dla wszystkich obojętne, niezrozumiałe, prawie niepotrzebne.

Majstrowie i magazynierzy, wysyłając próbki do analizy, mówili pogardliwie:

— Zanieś to do kuchni.

Czyż mogli pojąć, że w tym oto niewielkim, podobnym do stróżówki, budyneczku z czerwonej cegły mieści się szyfr do odczytywania największych, najwspanialszych tajemnic świata! Że tu pod soczewką mikroskopu czy w nieuchwytnym dla oka drgnięciu wagi analitycznej może zrodzić się coś, co wstrząśnie egzystencją całej ludzkości, że tu w tym prawie niepotrzebnym, zaledwie tolerowanym dodatku do potwornego cielska fabryki metalurgicznej mieści się gruczoł, którego sekrecja²⁴² może stać się eliksirem życia lub jadem śmierci dla całych pokoleń, ba, dla całej cywilizacji.

Głupcy. Nie rozumieją, że przechodzą obojętnie obok nowego szybu wświdrowującego się w głąb tajemnic przyrody, obok źródła, z którego wypłynie może decydująca o ich przyszłości siła. Potęga! Któż domyślić się jej może w białych opalowych²⁴³ kroplach, osiadających z wolna na pękatych wzdęciach kolb, w białych kryształkach, układających się w dziwną figurę na dnie porcelanowej wanienki, w stłumionych detonacjach, dochodzących z hermetycznego tygła, czy w szmerze burego płynu, w szmerze, którym przyroda zwierza mu swoje tajemnice, jemu, skromnemu chemikowi fabrycznemu, inżynierowi Ottmanowi, jednemu z dziesięciu tysięcy szukających klucza.

Jakże kochał swe laboratorium. Z trudem wywalczył dlań wyposażenie, może nawet za bogate jak na potrzeby fabryczne. Sam wszystkie swoje oszczędności pakował w zakup aparatów, w uzupełnienie i ulepszenie pracowni.

²³⁶tygiel — naczynie o kształcie zbliżonym do kubka wykonane z materiału ogniotrwałego. Służy do przeprowadzania operacji na substancjach stałych wymagających stosowania wysokiej temperatury. [przypis edytorski]

²³⁷aparat Kippa (chem.) — szklany przyrząd do otrzymywania niewielkich ilości gazów, złożony z trzech połączonych naczyń, ustawionych jedno nad drugim; wynaleziony przez holenderskiego aptekarza Petrusa Kippa, powszechnie używany w laboratoriach chemicznych do 2 poł. XX w. [przypis edytorski]

²³⁸viskozometr — lepkościomierz, przyrząd do pomiaru lepkości cieczy. [przypis edytorski]

²³⁹deflegmator (chem.) — rodzaj chłodnicy, w której następuje skroplenie części pary destylowanej mieszaniny, co pozwala na zwiększenie efektywności procesu destylacji. [przypis edytorski]

²⁴⁰piecyk szamotowy — piecyk wykonany z szamoty; *szamot* a. *szamota*: ogniotrwała glina, wypalona w wysokiej temperaturze i zmielona, używana jako dodatek przy wytwarzaniu materiałów ogniotrwałych. [przypis edytorski]

²⁴¹elektromotor (przestarz.) — silnik elektryczny. [przypis edytorski]

²⁴²sekrecja (daw.) — wydzielina. [przypis edytorski]

²⁴³opalowy — lśniący, mieniący się kolorami tęczy jak opal. [przypis edytorski]

Dyrekcja wcale nie interesowała się jego królestwem. Z rzadka zaglądał tu naczelny inżynier, gdy chodziło o prowizoryczne dane, dotyczące jakiejś próby, na której ostateczny rezultat nie miano czasu czekać. Kiedyś wstąpił do pracowni nieboszczyk Wilhelm Dalcz i raz czy dwa Krzysztof.

Toteż przyście Pawła wprawiło Ottmana w stan niemal gorączkowy. Czerwony i spocny niezdarne uwijał się po laboratorium i raz po raz przewracał sprzęty i butelki.

Paweł przyglądał się mu ze spokojem. Usiadł po obejrzeniu instalacji przy stole i wypytywał inżyniera o sposoby wykonywania badań. Zainteresowanie to nie tylko pochlebiali Ottmanowi, lecz sprawiło mu prawdziwą przyjemność. Zawsze był dobrego zdania o naczelnym dyrektorze, teraz wszakże doszedł do przeświadczenia, że jest to człowiek wyjątkowy.

Ani przez sekundę nie obawiał się, by inspekcja naczelnego dyrektora mogła mu w czymkolwiek zaszkodzić. Przeciwnie. Stan laboratorium i jego sprawność zasługiwały na tytuł wzorowości.

— Wszystko tu pan świetnie zorganizował — z uznaniem podniósł Paweł. — Pańska pomysłowość jest godna największych pochwał.

— Pan dyrektor jest zbyt łaskaw dla mnie — szczerze zawstydził się Ottman.

— Bynajmniej. A do czego służą tamte aparaty? — wskazał na dwa stoły gęsto zastawione.

Ottman trochę się zmieszał. Zrobił kilka nieokreślonych ruchów rękami i głową:

— To?... To, panie dyrektorze, pozwoliłem sobie przygotować do różnych ewentualnych prac... Na razie nie mają zastosowania, ale w pobocznych zajęciach...

— Panie inżynierze — przerwał mu Paweł — pan mnie źle zrozumiał. Ja bynajmniej nie żądam usprawiedliwienia tego, że laboratorium jest większe, niż wymagają doraźne konieczności. Sam jestem zdania, że nie należy wyrzekać się możliwości szerszych prac. Właśnie chciałem nawet prosić pana o niekrepowanie się w drobnych wydatkach. Zawsze je zaakceptuję, jeżeli tylko będzie chodziło o umożliwienie panu badań nad jakimś ulepszeniem czy wynalazkiem.

Ottman był zupełnie rozbrojony:

— Och, panie dyrektorze, naprawdę bardzo dziękuję...

— Nie ma za co — wzruszył ramionami Paweł. — Nieraz późno wieczorem przechodzę koło pańskiego laboratorium i widzę, że pan pracuje. Ma pan na warsztacie coś ciekawego?

— Kilka drobiazgów... w stadium jeszcze początkowym...

— Coś z metalurgii? — zainteresował się Paweł.

— Przeważnie nie to... — Ottman był zażenowany.

Paweł nie wątpił, że w końcu wydobędzie z niego potrzebne wiadomości. Przekonał się, że Ottman nie chce mu się przyznać do swojej pracy nad kauczukiem. Wobec tego powiedział:

— Bardzo interesuję się wynalazkami. Rozporządzałbym nawet teraz dość znacznymi kapitałami, jeżeli chodziłoby o realizację czegoś konkretnego. W każdym razie — dodał tonem żartobliwym — zastrzegam sobie pierwszeństwo kupna.

Wstał i podał rękę Ottmanowi. Widział, że ten waha się, że chce mu coś powiedzieć, lecz wolał teraz przerwać rozmowę, by umocnić w Ottmanie zaufanie.

— Do widzenia — powiedział, wychodząc. — A za parę dni wstąpię przyjrzeć się próbie z badaniem stopu na panewki...

Tak się jednak stało, że zaraz nazajutrz zjawił się w laboratorium. Nie omylił się. Ottman najwyraźniej nie mógł wytrzymać, by nie zwierzyć mu swojej tajemnicy.

— Pytał wczoraj pan dyrektor — zaczął po wymianie kilku zdań — nad czym specjalnie pracuję...

— Szuka pan kamienia filozoficznego? — wesołym koleżeńskim tonem zapytał Paweł.

Ottman uśmiechnął się niewyraźnie i powiedział:

— Szukam syntezy kauczuku...

— O!... To jest nad wyraz ciekawe. Gdyby zdołał pan dopiąć swego, a kauczuk wyprodukowany przez pana byłby znacznie tańszy od naturalnego, zrobiłby pan majątek, co to majątek, miliony! Jakże postępują pańskie prace?

— Dość pomyślnie, panie dyrektorze... Jeżeli pana istotnie to zajmuje...

Otworzył szafkę i pokazał Pawłowi trzy substancje. Jedna, przezroczysta, lepka i miękka przypominała coś w rodzaju żywicy lub zgęstniałej gumy arabskiej, druga, szarawa, już nie była lepka i ugniatała się w palcach jak ciasto. Trzecia wreszcie była brązowa, sucha w dotyku i sprężysta. Nie różniła się niczym od kauczuku.

Ottman naciskał i głaskał niewielką bryłkę z takim rozczuleniem, że Paweł mimo woli się uśmiechnął. Obawiając się, by Ottman nie czuł się tym dotknięty, powiedział:

— Jestem zupełnym laikiem w tej dziedzinie, może pan mnie objaśni, jak się to robi, w jaki sposób wpadł pan na ten genialny pomysł?

— O, nie ja pierwszy. Przede mną robiono w tym kierunku wiele prób...

— Prób, które się nie udały?

— Niestety — powiedział Ottman takim tonem, jakby mówił „na szczęście” — wytwarzano tylko laboratoryjną namiastkę kauczuku, który nie nadawał się do użytku, gdyż nie dał się wulkanizować, czyli połączyć z siarką. Poza tym różnił się od naturalnego i tym jeszcze, że był wyłącznie związkami terpenowymi, nie zaś molekularnym połączeniem terpenów²⁴⁴ i związków białkowych, a temu właśnie połączeniu zawdzięcza swoje cechy tak cenne dla techniki.

— Więc panu udało się takie połączenie wytworzyć?

— Tak. Produkt, który otrzymałem, jak pan widzi, znakomicie się wulkanizuje — podał Dalczowi substancję brunatną — i mam nadzieję, że będzie można otrzymać ją względnie małym kosztem.

— Więc nie ma pan jeszcze dokładnego obliczenia?

— Na razie było to obojętne. Wyniki osiągnąłem pełne, lecz osiągnąłem je drogą kosztowną. Mianowicie ostatni zabieg wymaga bardzo drogich przyrządów, pochłania moc energii i musi trwać bardzo długo. Nie odgrywa to roli w eksperymencie, lecz dla produkcji przemysłowej nie nadawałoby się zupełnie. Mam jednak wszelkie dane teoretyczne na to, że zabieg ten będę mógł zastąpić innym, tańszym.

— Jak to teoretyczne? — w głosie Pawła zabrzmiało rozczarowanie. — Więc praktycznie jeszcze pan tego nie sprawdził?

— Nie miałem możliwości. Trzeba byłoby zrobić to na większą skalę, skonstruować odpowiedni aparat, a to jest kwestia kilkunastu tysięcy złotych. Jednak tak jestem pewien rezultatów, że gdybym mógł się na taką kwotę zdobyć, nie wahałbym się ani chwili.

Paweł w zamyśleniu uderzył końcem ołówka o blat stołu.

— Może bym zdecydował się — zaczął po pauzie — na dostarczenie panu potrzebnej kwoty. Nie znam się na tym. Nie chciałbym też na próżno ryzykować. Znałem paru śmiesznych ludzi, pakujących na oślep pieniądze w wiele nierealnych wynalazków. Nie zależy mi na tym, by się w czymkolwiek do nich upodobnić. Dlatego musiałbym przede wszystkim wiedzieć dokładnie, na czym polega pański pomysł, jakie są szanse za i jakie przeciw. Oczywiście tylko w tym wypadku, jeżeli pan z kimś innym nie nawiązał odpowiednich stosunków i jeżeli wzbudzam w panu dostateczne zaufanie.

Słowa Pawła wywarły na Ottmanie silne wrażenie. Patrząc na tego człowieka, ani przez chwilę nie wątpił, że na jego słowie może całkowicie polegać. Zresztą i tak nie potrzebował ujawniać wszystkich szczegółów. Zaczął mówić:

— Kauczuk, jak to panu powiedziałem, jest połączeniem terpenów ze związkami białkowymi. W połączeniu tym terpeny znacznie przeważają. Są to wszystko terpeny cykliczne typu C₅H₈, ale to jest ich wzór surowy, wyrażający jedynie stosunek atomów węgla do atomów wodoru w drobinie²⁴⁵. Rzeczywista budowa przedstawia wielokrotnik tego stosunku i powstaje drogą polimeryzacji²⁴⁶ terpenu zasadniczego. Ten zaś stanowi główną część składową zwykłej terpentyny.

— Czyli chodzi jakby o uwielokrotnienie terpentyny?

Ottman zaśmiał się z pobłażliwą i nieco zażenowaną wyrozumiałością:

— Niezupełnie, panie dyrektorze.

²⁴⁴terpeny (chem.) — izoprenoidy, węglowodory o wzorze ogólnym (C₅H₈)_n, występujące w żywicy drzew iglastych i balsamicznych, nadające im charakterystyczny zapach. [przypis edytorski]

²⁴⁵drobina — tu: cząsteczka związku chemicznego. [przypis edytorski]

²⁴⁶polimeryzacja (chem.) — reakcja, w wyniku której wiele małych cząsteczek tego samego związku, zwanych monomerami, łączy się w dużą cząsteczkę, polimer. [przypis edytorski]

— W każdym razie terpentyna ma być surowcem, z którego zamierza pan kauczuk robić?

— Tak. Z terpenu zawartego w terpentynie otrzymuje się dwa jego izomery²⁴⁷: izopren i erytren, a z nich drogą polimeryzacji kauczuk lub mówiąc dokładniej, terpen kauczukowy. Tajemnica mego pomysłu polega na tym, że do reakcji włączam od razu potrzebną substancję białkową — zniżył głos i zakończył — kazeinę.

— O ile się nie mylę — zapytał Paweł — kazeina jest produktem otrzymywanym z mleka?

— Tak. Otóż w odpowiednim stosunku mieszam ją z terpentyną i pod niewielkim ciśnieniem poddaję hydrolizie.

— Cóż to znowu za zwierzę?

— Jest to reakcja, polegająca na tym, że dany związek chemiczny w obecności wody oraz pod działaniem kwasów, temperatury i ciśnienia rozpada się na dwie części, wywołując jednoczesny rozkład wody. Powstają wtedy dwa nowe związki drogą wymiany składników. Jedna część łączy się z wodorem, a druga z grupą OH. Nie należy jednak doprowadzać hydrolizy do końca, lecz przerwać w odpowiednim miejscu. W ten sposób powstaje lepki gąszcz, który pan tu widzi, warstwa lżejsza wypływająca na wierzch. Następnie gotuje się ją z dodatkiem amoniaku i otrzymuje się to ciasto.

Paweł potrząsnął głową:

— Jednak wiele z tym roboty: hydroliza, kazeina, gotowanie, amoniak...

— O, w produkcji fabrycznej to drobiazg, wszystko idzie automatycznie. Mam nawet naszkicowany plan aparatury...

— No i cóż dalej?

— Dalej, proszę pana, jest właśnie sprawa owego kosztownego aparatu.

Ottman urwał palcami kawałek ciastowej substancji, wrzucił do probówki, ogrzał nad palnikiem Bunsena²⁴⁸, a gdy się rozplynęła, zaczerpnął kościaną łyżeczką odrobinę pyłu siarkowego, dosypał i ciągnął dalej:

— Z tego ciasta powstaje po dodaniu siarki od razu kauczuk wulkanizowany drogą polimeryzacji. Osiągam ją, poddając mieszaninę działaniu promieni alfa, jakie wytwarza lampa Roentgena w dostatecznej intensywności dopiero przy napięciu dwustu tysięcy volt, a i to jeszcze jest mało, bo naświetlanie trwa bardzo długo. Może więc pan dyrektor sobie wystawić, co to za koszt. Wszystko byłoby niewykonalne, gdyby promieni alfa nie dało się zastąpić z tym samym skutkiem bardzo wysokim ciśnieniem przy użyciu odpowiednich katalizatorów. Musiałoby ono jednak wynosić od siedmiuset do dziewięciuset atmosfer.

— Czy przeprowadził pan kalkulację swego kauczuku w masowej produkcji? — zapytał Paweł.

— Tak, panie dyrektorze, byłby o dwadzieścia do dwudziestu pięciu procent tańszy od prawdziwego, no i miałby ten wielki plus, że byłby wyrabiany w kraju, z surowców krajowych...

— Tylko dwadzieścia pięć procent? — zmarszczył czoło Paweł. — To bardzo mało... to bardzo mało. Przecież terpentyna i kazeina są niezwykle tanie?...

— Rzeczywiście — rozłożył ręce Ottman. — Jednak koszt wytwarzania tak wysokiego ciśnienia, koszt hydrolizy... to musi wpływać na podrożenie produktu...

Paweł wstał i zaczął chodzić po laboratorium. Czuł na sobie zdesperowane oczy chemika. Wreszcie zatrzymał się przed nim i powiedział:

— Czy, u licha, nie ma jakiegoś tańszego sposobu?... Czy nie może pan wymyślić czegoś znacznie tańszego?

— Panie dyrektorze — głos Ottmana drżał — obniżenie ceny choćby tylko o piątą część, to już dużo, a w dodatku uniezależnienie się od producentów zagranicznych...

— Tak, tak, przyznaję panu słuszność, jednak nie jest to artykuł bojowy. Taki musiałby konkurować ceną przynajmniej o połowę niższą, ba! o trzy czwarte niższą. Sądząc z taniości surowców, spodziewałem się, że pański kauczuk mógłby zdobyć zastosowanie w szeregu dziedzin całkiem nowych... Do licha, trzeba tu czegoś, co by produkowało się

²⁴⁷izomery (chem.) — związki chemiczne o takim samym sumarycznym wzorze cząsteczkowym, ale mające różny układ atomów w cząsteczce. [przypis edytorski]

²⁴⁸palnik Bunsena — rodzaj palnika laboratoryjnego. [przypis edytorski]

w bardzo szybki, tani i nieskomplikowany sposób. Czy nie mógłby pan nad tym połamać głowy?

Na twarzy Ottmana odbiło się rozgoryczenie:

— Od dziesięciu lat pracuję nad syntetycznym kauczukiem... Owszem, już przed pięciu laty doszedłem do wytworzenia substancji, mającej wszystkie walory kauczuku naturalnego. Wówczas byłem przekonany, że już jestem u celu. I to u jakiego celu! Tamten produkt byłby tańszy nie o pięćdziesiąt procent, lecz o osiemdziesiąt! Kosztowałby dosłownie grosze... Dość powiedzieć, że byłoby taniej wylewać nim ulice, niż asfaltować je czy brukować...

— I cóż się okazało?

— Co się okazało? — niemal gniewnie powtórzył Ottman. — Okazało się, że jest to bezwartościowy szmelc, śmiecie, próchno!... Oto, co się okazało...

Odsunął szufladę i wydobył z niej garść pokruszonych, szerniałych strzępków.

— Okazało się to, że mój tani kauczuk wytrzymuje zaledwie trzy do czterech miesięcy, po czym traci zupełnie swą elastyczność, spoiłość i w ogóle wszelką wartość...

Paweł zanurzył palce w kupce czarniawych odpadków. Były szorstkie i łamliwe.

— Tak — powiedział po chwili myślenia — ten kauczuk wytrzymuje elastyczność, jak pan zapewnia, w przeciągu czterech miesięcy...

Włożył ręce w kieszenie spodni i zaczął znowu chodzić.

— Cztery miesiące, to długi okres czasu — rzucił przed siebie. — Panie Ottman!

— Słucham pana dyrektora.

— Ile dni trzeba panu na zrobienie tego kruszejącego kauczuku?

— Nie ma po co go robić.

— Jednak pan będzie łaskaw odpowiedzieć na moje pytanie.

— Jeden dzień wystarczy — wzruszył ramionami Ottman.

— Bardzo dobrze. To w laboratorium, a fabrycznie?

— Fabrycznie?... Godzina, trzy kwadranse.

— Jest pan tego absolutnie pewien?

— Absolutnie, panie dyrektorze, ale to do niczego nie jest potrzebne...

Paweł położył mu rękę na ramieniu:

— Bardzo jest możliwe, panie Ottman, że sfinansuję pański wynalazek. Na razie będzie pan łaskaw przygotować kilka kilogramów kruszejącego kauczuku. Może znajdzie się jakiś sposób zakonserwowania jego początkowej elastyczności. Może znajdę dla takiej substancji zastosowanie. Przedstawi mi pan to jutro. Jednocześnie prosiłbym pana o zrobienie planu i kosztorysu owego drogiego aparatu do wysokich ciśnień. Zależy mi na pośpiechu, a sądzę, że i panu też. Do widzenia.

Podał Ottmanowi rękę i wyszedł z laboratorium.

Wciągnął pełnymi płucami świeże powietrze. Po kwaśnym zaduchu laboratorium, gdzie nawet ubranie nasiąkało dokuczliwym zapachem różnych chemikaliów, zapach wilgotnej ziemi i rozgrzewających się w słońcu drzew był ożywczy. Paweł jednak na to nie zwrócił uwagi, a jeżeli idąc obok sztachet oddzielających teren fabryczny od ogrodu Willi Stryja Karola, patrzył w tamtą stronę, to tylko dlatego, iż rozważał w myśli ewentualność wykarczowania drzew i postawienia na ich miejscu nowych budynków fabrycznych. Różniłyby się one od tych z prawej strony nie tylko tym, że nie byłyby fabryką metalurgiczną, lecz i tym, że nie stanowiłyby własności braci Dalczów, lecz tylko jednego Dalcza, Pawła.

W gmachu Zarządu czekało nań kilku interesantów: właściciel wielkiego domu importowego z Helsingforsu²⁴⁹, sowiecki agent „Wniesztorgu”²⁵⁰, przedstawiciel jednej z duńskich linii okrętowych i urzędnik z ministerstwa przemysłu i handlu. Każdy z nich zajął Pawłowi przeciętnie po piętnaście minut czasu. Gdy wyszedł ostatni, na progu zjawił się sekretarz.

²⁴⁹ *Helsingfors* — oryginalna szwedzka nazwa miasta Helsinki. [przypis edytorski]

²⁵⁰ *Wniesztorg* — ros. skrótowiec utworzony z początków słów wyrażenia *внешняя торговля* (handel zagraniczny), używany zamiast pełnej nazwy: *Народный комиссариат внешней торговли СССР* (Ludowy Komisariat Handlu Zagranicznego ZSRR); był to organ zarządzający państwowym monopolem handlu zagranicznego, odpowiednik ministerstwa; posiadał swoje przedstawicielstwa w różnych państwach. [przypis edytorski]

— Panie Holder — powiedział Paweł — zechce pan notować. Przygotuje mi pan na jutro rano dane statystyczne, dotyczące produkcji i konsumpcji kauczuku, jego ceny rynkowej w hurcie i detalu, wykaz notowań giełdowych akcji kauczukowych i listę firm oraz banków pracujących w kauczuku na wielką skalę. To wszystko. Wyjeżdżam teraz na miasto. Wrócę mniej więcej za godzinę. Pan jeszcze czegoś chciał?

— Tak jest, panie dyrektorze. Właściwie... Nie wiem, jak mam postąpić...

— O co chodzi?

— Mówiłem już mu kilkakrotnie, że pan dyrektor go nie przyjmie, on jednak wprost nie daje mi spokoju. I teraz siedzi w sekretariacie. Zachowuje się przy tym w prowokacyjny sposób. Nawet pozwala sobie na głupie uwagi o dyrekcji...

— Kto? — zdziwił się Paweł.

— Inżynier Karliczek.

Paweł wstał, zamknął biurko, schował klucze do kieszeni i powiedział:

— Zaraz pana od niego uwolnię.

Zanim sekretarz zdążył zaoponować, Paweł wyminął go i wszedł do jego pokoju. Pod oknem stukwały na maszynach dwie stenotypistki. Przed biurkiem siedział w palcie i z laską w ręku Karliczek. Obrzucił wchodzącego ponurym spojrzeniem i ciężko podniósł się z krzesła.

— Czego pan tu chce? — spokojnie zapytał Paweł.

— Chciałem rozmówić się z panem dyrektorem — odezwał się chrapliwym głosem Karliczek i wyciągnął rękę, lecz widząc, że Paweł mu swojej nie poda, zwinął ją w pięść i powtórzył:

— Chciałem rozmówić się...

— Ale ja nie chcę z panem rozmawiać. Proszę natychmiast wyjść i nie pokazywać się więcej, bo...

— Bo co?! — wyzywająco zapytał Karliczek.

— Bo zabierze pana stąd policja wprost do więzienia — zimno wycedził Paweł.

Karliczek sapał przez chwilę, wreszcie utkwivszy nienawistne spojrzenie w oczach Pawła, spróbował nadać swemu głosowi brzmienie prośby:

— Mnie i tak już nic innego nie zostało. Mam umierać z głodu... Pan dyrektor musi mnie przyjąć z powrotem. Ja stąd inaczej nie wyjdę...

— Owszem, wyjdzie pan, i to dobrowolnie, bo każę pana wyrzucić — zimno odpowiedział Paweł.

Ogromna czerwona twarz Karliczka zafalowała i stała się niemal sina. Grube serdelkowe palce zwinęły się w pięści:

— Mnie wyrzucić! Mnie! Ach ty przybłę...

Nie dokończył. Ramię Pawła wykonało w powietrzu błyskawiczny ruch i potężny cios w szczękę zachwiał równowagę Karliczka. Machnął rękami i zwałił się na ziemię. W tej chwili Holder wybiegł na korytarz. Przeżalone maszynistki zerwały się ze swoich miejsc i ukryły się za szafą. Karliczek, charcząc, podniósł się i sięgnął ręką do tylnej kieszeni. Jednakże w tej chwili otrzymał silne kopnięcie w napięstek²⁵¹ i wyjąc z bólu chwycił się za rękę. Tymczasem drzwi od korytarza otworzyły się. Do pokoju wpadło pięciu czy sześciu urzędników z sąsiednich biur, zwabionych widocznym hałasem. Wszyscy jednocześnie rzucili się na Karliczka, chcąc go obezwładnić. Ten jednak porwał krzesło i zawołał:

— Rozwałę łeb każdemu! Wara ode mnie!

— Proszę rozejść się, panowie — stanowczym tonem rozkazał Paweł.

Właśnie rozstępowali się, gdy od drzwi rozległ się głos Holdera:

— Brać go.

Dwaj barczyści robotnicy bez słowa skoczyli ku Karliczkowi. Chwila szamotania się i napadnięty leżał na ziemi. Kilka kopnięć, przekleństw i stęknięć.

— Wyrzucie to ścierwo za drzwi! — podniesionym głosem powiedział Paweł.

— Puść mnie — charczał Karliczek — sam wyjdę.

— Po co pan inżynier ma się fatygować — uprzejmie zaśmiał się jeden z robotników. — My pana i tak grzecznie wyniesiemy na zbitą mordę.

²⁵¹napięstek — nadgarstek. [przypis edytorski]

Próbował znowu bronić się i rozkrwawił sobie nos o podłogę, a następnie rękę o drzwi. Olbrzymim cielskiem wstrząsało szlochaniem, co rozpaczliwym odruchom obrony dodało pozor konwulsji.

— Jeszcze porachujemy się, panie Dalcz, jeszcze porachujemy się — dolatywał jego ochryply głos z korytarza.

Wkrótce wszystko ucichło. Paweł uśmiechnął się do zemocjonowanych maszynistek i kazał woźnemu przynieść futro.

— Wiosna już w pełni — powiedział, wyglądając za okno — będzie mi za gorąco.

Gróźb Karliczka nie mógł brać na serio. O tyle znał ludzi, że przyzwyczał się lekceważyć tych, którzy chwytają się takiej broni, jak próba zastraszenia. Zresztą w danym wypadku w grę mógł wchodzić tylko napad, a tego Paweł się nie bał. Był dość silny i zręczny, by sobie z takim Karliczkim dać radę, poza tym nie rozstawał się teraz z małym, lecz dobrze wypróbowanym rewolwerem. Zapewne zaniechałby i tej ostrożności, gdyby nie list matki. Pisała mu, że nudzi się na wsi i że obawia się o swoje zdrowie. W dopisku była wiadomość o Jachimowskich. Ludwika bawiła na wsi i tam wylewała przed matką skargi na Pawła. Z jej słów matka wywnioskowała, że Jachimowski postanowił mścić się na Pawle i że za wszelką cenę chce odzyskać dokument, który Pawłowi przez nieostrożność wystawił.

Ponieważ należało liczyć się z możliwością, że taki głupiec jak Jachimowski w momencie desperacji chwycić się potrafi najbardziej niedorzecznych środków, że wreszcie służba może go wpuścić pod nieobecność Pawła, Paweł zamykał swój gabinet, gdzie przechowywał wszystkie papiery, na mocne zamki, no i kupił sobie rewolwer.

Tymczasem zamiast najścia Jachimowskiego miał inne, znacznie miłsze. Widok wystrojonej i rozkosznie krygującej się Nity, która czekała nań w salonie, zdziwił go bardzo.

Dotychczas zaledwie kilka razy widział tę dziewczynę. Przez większą część zimy siedziała w Krynicy. U Jachimowskich bywał rzadko, a ich córka nie należała do typu domatorek. Spotykał ją tylko w tych rzadkich wypadkach, gdy zaglądał do Haliny. Nita, chociaż znacznie młodsza, przyjaźniła się z nią ku wielkiemu niezadowoleniu Ludki, która kiedyś nawet domagała się od Pawła, by wpłynął na Halinę celem zabezpieczenia Nity od złego przykładu, jaki daje jej rozwydrzone towarzystwo Haliny.

Powiedział wówczas:

— Nie zamierzam wtrącać się w cudze sprawy. Zresztą Nita jest tak ładna, że żadna opieka jej nie przeszkodzi w zdobyciu kochanka.

I naprawdę była wyjątkowo ładna. Miała ten zadzierzysty, agresywny typ urody śmiałej, wysportowanej dziewczyny o jędrnych mięśniach i żywych, mocnych ruchach. Jej nieumalowane usta były pomimo całej swojej świeżości prawie wyzywające, a kasztanowe o rudawym połysku włosy zamasyżycie wysuwały się spod zielonego beretu. Zawsze robiła wrażenie przed chwilą wykąpanej w chłodnej wodzie, a jej zielony kostium zdawał się obnażać wyraźnie giętkie kształty pleców, ud, biustu i bioder. Na tle starego poważnego salonu jej sylwetka wyglądała niespodziewanie, jak reklamowy afisz luksusowej wycieczki, przyklejony do gotyckiej katedry.

Siedziała z nogą założoną na nogę i przeglądała jakiś tygodnik.

— Servus, wuju! — wstała swobodnie i wyciągnęła do niego rękę.

— Jak się miewasz, Nito — powiedział, nie ukrywając zdziwienia. — Czemu mam zawdzięczać twoją miłą wizytę?

— Chyba można cię pocałować? — zapytała figlarnie i nie czekając na pozwolenie wspięła się na palcach i pocałowała go w usta.

— Jestem twoim wujem — zażartował i położył jej rękę na ramieniu.

— Sam nie zrobiłbyś tego, prawda? Jak to dobrze być tak wysoką, jak ja.

— Czy przyszedłeś właśnie dla sprawdzenia zalet twego wzrostu? — uśmiechnął się ubawiony jej sposobem bycia.

— Wyobraź sobie, że właśnie w tym celu.

Przyglądała się mu niemal ironicznie. Paweł pomyślał, że jest wyjątkowo apetyczna i że ją zaraz wyprosi za drzwi.

— Mam cię uwieść, wuju — odezwała się swobodnie. — Jak ci się te perspektywy podobają?

— Zdaje się, że za dużo wypiałś przy obiedzie — zauważył lekko.

— Wcale nie piję — potrząsnęła głową. — Mam cię uwieść na trzeźwo. Przynajmniej oczarować. Powiedz, czy nie czujesz już pierwszych objawów?

— Jakich objawów, u licha?

— Oczarowania. Widzisz, wuju, sam sobie jesteś winien. Sprowokowałeś moje najsćcie.

— Zechciej dać spokój rebusom, moja Nito — powiedział poważnie i strofująco.

Uderzyła rękawiczkami po kolanach:

— Wiesz, że to „moja Nito” brzmiało zbyt sucho. Spróbuj cieplej. Na przykład takim głosem drżącym z niecierpliwości pożądania: „moojaa Niitoo”.

Wybuchnęła śmiechem i z rozmachem siadła na kanapce:

— Nie obawiaj się, wuju, nie oszalałam. A naprawdę, to ty jesteś wszystkiemu winien. Przyznaj się: mówiłeś kiedyś moim rodzicom, że jestem diabelnie ładna, czy coś w tym guście?

Paweł wzruszył ramionami:

— Możliwe. Nie zamierzam zaprzeczać ci twojej urody.

— Otóż wysłali mnie, bym wypróbowała jej działanie na tobie.

— Na mnie?...

— Tak.

— Kto cię wysłał?

— Oni. Moi czcigodni rodzice.

— Gadasz głupstwa — skrzywił się Paweł.

— Wydaje ci się to niemożliwością?

— Ale w jakim celu?

— Mam wydebić od ciebie jakiś dokumencik, zobowiązanie mego zacnego ojca czy coś podobnego. Okazałeś się nieczuły na jego prośby, na wzdychanie mamy, więc należy mieć nadzieję, że wzruszy cię moja boska piękność, że złakomisz się na moje uściski, no i że zapłacisz mi tym dokumentem.

Mówiła to zupełnie obojętnym głosem, ale jej oczy wyrażały tak bezbrzeżną pogardę, że ani przez chwilę nie mógł wziąć na serio tej potwornej oferty.

— Nito — powiedział — jesteś rozumną i porządną dziewczyną.

W jej oczach zakreśliły się łzy:

— Ale jeszcze przed chwilą inaczej o mnie myślałeś. Niepodobna, byś widząc mnie tu, nie domyślił się, że chodzi o zobowiązanie ojca. No cóż?... Ja wolałam sprawę postawić jasno. Masz opinię człowieka interesów załatwianych od ręki.

— Tak — pokiwał głową Paweł — twego ojca zawsze uważałem za zdolnego nawet do rajfurzenia własnymi dziećmi, ale po Ludwice nie spodziewałem się tego...

— O, bardzo słusznie. Ona nie chciałaby za nic na świecie takiej hańby. Zawsze dbała o moją moralność. Miałam cię tylko oszukać. Rozumiesz, wuju?... Mniejsza zresztą o nich. Tak długo mnie nudzili, aż zdecydowałam się przyjść do ciebie i raz odczepić się od ciągłych nagabywań.

Paweł zaśmiał się z przymusem:

— Nie obarczasz mnie chyba odpowiedzialnością za wstręt, z którym to zrobiłaś.

— Cóż znowu. Lubię cię, wuju, a nawet muszę przyznać, że mi się podobasz...

— O!...

— Francuzi powiadają — zrobiła doń oko — że kuzyni są kochankami danymi przez naturę.

— Jestem twoim wujem — powiedział z nieco frywolną patriarchalnością.

Nita uśmiechnęła się, poprawiła włosy i westchnęła gwałtownie:

— Wy wszyscy, starsi, robicie na mnie wrażenie swego rodzaju balastu, jaki my, młodzi, wciąż jeszcze przez grzeczność dźwigamy na karku. O ileż życie byłoby prostsze i łatwiejsze, gdybyśmy sami nim kierowali bez kurtuazyjnych ustępstw na rzecz waszych nieszczyrych zasad i naiwnych przesądów, już nie mówiąc o waszej osobliwej moralności. Obrzydacie nam świat. Gdybym uwierzyła, że na starość człowiek musi koniecznie stać się fałszywą świnią i naiwnym kieszonkowcem, co w waszym języku znaczy nabrać doświadczenia, wolałabym już dziś palnąć sobie w łeb.

Falsz, Forma

— Moja droga — obojętnie zauważył Paweł — wiara, że tak nie będzie, jest jednym z głównych sposobów Opatrzności w zapewnieniu ciągłości gatunku. Z chwilą gdy się ją traci, już się jest starą świnia, która czuje się w tej skórze najlepiej.

— Ale ty, wuju, chyba nie mówisz o sobie? — zapytała z odcieniem niepokoju.

— Dlaczego?

— Przede wszystkim jesteś jeszcze młody...

— Tylko to? — zrobił rozczarowaną minę.

— A poza tym mam o tobie wyrobione zdanie. Jesteś *par excellence*²⁵² nowoczesny i w swojej sile charakteru, i w swojej uczciwości.

— Chyba nie twoi rodzice przekonywali cię o tym?

— Właśnie oni. W każdym człowieku, na którym nie mogą znaleźć źdźbła brudu, domyślają się wewnętrznego śmietnika. Wprost w głowie im się to nie mieści, że ktoś może zdobywać powodzenie, nie nurzając rąk w błocie.

— Teraz już wiem. Jestem aniołem — zaśmiał się.

— Nie. Bynajmniej. Widzisz, wuju — strzepnęła z irytacją rękawiczkami — i na tobie mści się te kilka lat, o które jesteś ode mnie starszy...

— Kilkanaście — poprawił.

— Tym gorzej. Nie wierzę w aniołów. Znacie tylko dwa sądy: anioł albo łotr. Anioła się nienawidzi i unika, a łotrowi się zazdrości. Ale na przykład ty. Rzeczowy, pełny człowiek, oto wszystko. A najlepszy masz dowód w tym, że twoje powodzenie wszystkich cieszy, wszystkich za wyjątkiem, oczywiście, kochanej rodzinki. Wczoraj grałam z młodym Kolbachem w tenisa. Jego ojciec twierdzi, że jesteś wielkim człowiekiem. U Koseckich bywa cały świat ministerialny. Nie lubię tego towarzystwa, ale tym razem czułam się tam świetnie. Cały czas mówiono o tobie. Paweł Dalcz to, Paweł Dalcz tamto. Genialny ekonomista, rozum, uczciwość, mur, beton, żelazo i takie rzeczy.

— I tobie to sprawiało przyjemność? — zdziwił się szczerze.

— Tak.

— Ale dlaczego?

Zamyśliła się i milczała przez dłuższą chwilę:

— Lubię cię — powiedziała wreszcie tonem rozwagi. — Mam dla ciebie szacunek. Widzisz, niewielu spotyka się ludzi, dla których można mieć szacunek i lubić ich jednocześnie. Gdy rozmawiam z tobą, albo po prostu, gdy na ciebie patrzę, mam poczucie pewności, zaufania, coś tak jak w reklamie PKO.

— Ostrożnie, Nito, to brzmi prawie jak oświadczyni!

Potrząsnęła głową:

— Nie. Ty nigdy nie wybrałbyś takiej jak ja.

— Nie doceniasz siebie. Jesteś czarująca. I bardzo rozsądna.

— Ostrożnie, wuju, to brzmi prawie jak zachęta!

Roześmieli się oboje i Paweł powiedział:

— Chciałbym ci zrobić przyjemność. Czy będziesz zadowolona, jeżeli zniszczę ten dokument podpisany przez twego ojca?

Nita zarumieniła się:

— Nie. Byłaby to zapłata za moją... sympatię. Nie chcę.

— Jednakże, gdybym na przykład bez powodu spalił ten papier?...

— To co innego.

— Więc bądź pewna, że nie chodzi mi o rewanż. Rewanżuję ci się tym samym, czyli sympatią, a zobowiązanie twego ojca nie jest dla mnie tyle warte, co możliwość sprawienia ci małej przyjemności.

Wstał, przeszedł do gabinetu, otworzył kasę ogniotrwałą i wydobył z niej dwa arkusiki papieru. Na jednym było spisane zobowiązanie Jachimowskiego, na drugim jakieś już niepotrzebne notatki. Powrócił do salonu i stając przy fotelu Nity pokazał jej pierwszy, mówiąc:

— Tak wygląda to, co twemu ojcu nie daje spokojnie spać. Czy chcesz przeczytać?

— Nie — potrząsnęła głową — nic mnie to nie obchodzi. Prawdopodobnie chodzi o jakieś świństwo, a ja nie mam zamiaru...

²⁵²*par excellence* (fr.) — w całym tego słowa znaczeniu, w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]

— Zrażać się jeszcze bardziej do moralności papy?... Masz rację.

Zbliżył się do kominka, lekko odsunął gobelinowy ekran i zapalił zapałkę. Po chwili tylko czarny niekształtny popiół został z arkusika zawierającego notatki. Drugi, z oświadczeniem Jachimowskiego, nieznacznie, lecz nieomylnie wsunął do bocznej kieszeni marynarki.

— Nie prosiłam cię o to — powiedziała Nita, a w jej oczach Paweł wyczytał wdzięczność — ale to było takie w twoim stylu.

— O, zupełnie w moim — z przekonaniem potwierdził Paweł.

— I to mi naprawdę sprawiło przyjemność. Nie chciałabym użyć tego słowa, bo brzmi ono zbyt patetycznie, ale w tym całopaleniu było też coś patetycznego. Jesteś... wielkoduszny.

— Aż wielkoduszny! — reflektował ją żartobliwym tonem.

— W ogóle, wuju, szalenie mi się podobasz.

— Może zakochasz się we mnie?

— Nie — odpowiedziała po sekundzie zastanowienia. — Jesteś dla mnie za duży, za obcy. Nie potrafiłabym osiągnąć do twoich zainteresowań. Ja, widzisz, bliższa jestem temu prostemu życiu. A ty operujesz w jego najbardziej złożonych formach. Czuję się przy tobie tak jak, powiedzmy, samotny marynarz na olbrzymim okręcie. Sam nie jest w stanie kierować nim ani nawet go poznać.

Paweł pomyślał, że ta mała ma bardzo ciekawy umysł, że nie spodziewał się po niej tak oryginalnych bądź co bądź poglądów i że warto zająć się nią bliżej.

— Jestem stworzona do jakiejś skromnej, małej łódeczki — mówiła. — I z tą może bym sobie dała radę nawet wśród burzy. Tak przynajmniej zdaje mi się teraz.

— W każdym razie — podchwycił — gdybyś na swojej łódeczce czuła się zagrożona, pamiętaj, że stary okręt chętnie zawsze pośpieszy na pierwszy sygnał SOS!

Wstała i wyciągnęła doń rękę:

— Jak to dobrze, że my się lubimy. Prawda, wuju?

— Prawda, Nito.

Nie używała żadnych perfum, a przecież pozostał po niej w salonie jakby zapach świeżości. Paweł siedział beczynn timer i długo nie zapalał papierosa. Gdy w przedpokoju prosił ją, by od czasu do czasu wstąpiła doń na pogawędkę, w jej odpowiedzi wyraźnie zabrzmiało zadowolenie, nie, to nie było zadowolenie, lecz — szukał definicji — może było to ciepło?... I nagle prawie fizycznie uczuł chłód.

— Jestem diabelnie samotny.

W pokoju było już prawie ciemno. Wstał i nacisnął kontakt. Kilkanaście lamp wielkiego żyrandolu nappełniło salon zimnym jaskrawym światłem.

— Dlatego jestem silny. — Przeciągnął ramiona, aż mu zatrzeszczały stawy. — Właśnie samotność daje siłę. Samotność daje siłę. Siła jest poczuciem odpowiedzialności tylko przed sobą samym i więcej przed nikim.

Nastawił radio. Z palisandrowej²⁵³ szkrzynki rozległy się głębokie dźwięki uwertury²⁵⁴ *Lohengrina*²⁵⁵. Przeszedł do gabinetu i zasiadł do pracy. Po godzinie czy po dwóch odłożył ołówek i przetarł oczy. Taka dziewczyna jak Nita, to zupełnie coś innego niż na przykład Marychna. Ta jest nieznośnie głupia, nie do wytrzymania żadna, nijaka. Po prostu aparat do zaspokajania w higieniczny sposób potrzeb fizjologicznych. Nita jest bezsprzecznie brzydsza, ale czy tu w ogóle może grać rolę uroda?... Chodzi o coś innego.

Nigdy nie interesowały go kobiety. Uważał je za istoty, a raczej za przedmioty egzystujące dla celów użytecznych. Gdyby umiał czemuś, co spotkał w życiu, naprawdę się dziwić, dziwiłby się przede wszystkim tym mężczyznom, którzy poddawali się różnym cierpieniom przez kobiety.

Mizoginia

²⁵³palisandrowy — wykonany z palisandru, bardzo ciężkiego i twardego drewna, używanego głównie do wykonywania mebli i przedmiotów artystycznych, instrumentów muzycznych. [przypis edytorski]

²⁵⁴uwertura (muz.) — utwór orkiestrowy będący wstępem do opery, kantaty, oratorium itp. [przypis edytorski]

²⁵⁵Lohengrin — opera romantyczna w trzech aktach napisana w 1850 przez niem. kompozytora Richarda Wagnera (1813–1883). [przypis edytorski]

— Pan jest wrogiem kobiet — powiedziała mu kiedyś kochanka jednego z przygodnych paryskich znajomych, gdy siedząc w kawiarni, usiłował pogodzić poważną parę i wypowiedział swoje zapatrywania.

— Wrogiem? Bynajmniej. Cenię je bardzo. Dają nam pieśczoty wtedy, gdy tego pragniemy. W ten sam sposób mamy miód od pszczół, a mleko od krów. Cała rzecz w tym, by żadne z tych pożytecznych stworzeń nie narzucało nam swoich produktów, gdy nie mamy na nie ochoty.

I takie było jego stanowisko w życiu: mało konsumował mleka, pieśczot i miodu. W skali jego pojęć z trudem mieściło się cierpienie z powodu braku tych rzeczy. Ludziom zakochanym czy głodnym przyglądał się zawsze z pewną dozą pogardy. I w swoim odczuciu samotności nie dopatrywał się jakichkolwiek związków z sentymentami. Te miały przecie swe źródło w niezaspokojeniu potrzeb fizjologicznych, a potrzeby fizjologiczne zaspokajały w dostatecznej mierze wizyty Marychny.

Taki na przykład Krzysztof, robiący sobie tragedię, a przynajmniej problem z roman-su. Kiedy wyjeżdżał z Marychną do Szwajcarii. Paweł chciał mu powiedzieć, że przypomina psa, który, porwawszy kość, biegnie kilometr, by ją zjeść. Jakaś mania nadawania najprymitywniejszym funkcjom znaczenia zdarzeń wielkiej wagi. Zwłaszcza u Krzysztofa drażniło to niepomierne. Tyle chłodnego rozsądku i nagle jakaś celebrowanie. Paweł przy-mknął oczy: jak też mógł wyglądać akt „złania się dwóch dusz” Krzysztofa i Marychny?... Ten smarkacz wchodzi do łóżka jak na stos ofiarny, jej uda to dla niego omal nie kolumny wrót raj. Zdrowe szerokie uda — Scylla i Charybda²⁵⁶ i misterium rytmiki postępującej. Wielka obiata²⁵⁷! A Edward VII²⁵⁸, gdy jako młody książę Walii po raz pierwszy próbował swych sił, wypowiedział taką opinię: „Uczucie prawdziwie wspaniałe, ale ruchy nad wyraz śmieszne”... Pocziwa Marychna. Czy umiała dostosować się do wzniosłości nastroju?

Było coś złośliwie przyjemnego w rozpamiętywaniu tej dysproporcji między patosem Krzysztofa i zwykłością tej dziewczyny, którą on, Paweł, miał, ile razy tego zechciał, miał z racji przelotnego kaprysu, ba, kaprysu wynikającego właśnie z chęci posiadania tej samej kobiety co Krzysztof.

— Chociaż jeden teren prawdziwego zbliżenia — zaśmiał się do siebie i nagle urwał, bo uprzytomnił sobie, że to właśnie pociągało go do Marychny. Jakiś perwersyjny paradoks zmysłów. Był przecie dość obdarzony zdolnością samoanalizy, by przygwoździć tę niedorzeczność, konstatując ją w sobie. Znajdował bezsensowne zadowolenie w świadomości zajmowania miejsca tego patetycznego młokosa w objęciach tej głupiej dziewczyny. W samym wyobrażeniu ich aktu był jakby dreszczyk niesamowitej satysfakcji.

Krzysztof wysmukły i giętki... Jaki wyraz mają wówczas jego oczy?... Usta ma na pewno zacięte i staje się błądy...

Paweł wstał i ruchem kolana odepchnął fotel z furią:

— Do diabła, mam jakieś homoseksualne zapędy czy co u licha!

Nie przstraszało go to przypuszczenie, lecz sam fakt odnalezienia w sobie jakiejś komplikacji. Wszystko, czym był, stanowiło nieugiętą prostotę. Nawet pytania nie miały czasu powstać, gdyż na każde z nich w następnym momencie zjawiała się odpowiedź tak konsekwentna i jedynie prawdziwa, jak wszystko, co stanowiło konstrukcję jego mózgu. Zagadnienia psychologiczne, tragedie samopoznania itp., jakże tym gardził! Domena mistyków, tatersal²⁵⁹ dla idiotów i poszukiwaczy piekielnych maszyn w pudełku od zapalek. Harce żrebiąt udających przed sobą chimery²⁶⁰.

W jadalni otworzył kredens i nalał sobie duży kieliszek koniaku. Za pierwszym poszedł drugi, trzeci, dziesiąty. Czuł się wytrąconym, a w każdym razie zachwianym w swej

²⁵⁶ *Scylla i Charybda* (mit. gr.) — potwory morskie, opisane przez Homera w *Odysei*, zagrażające żeglarzom w Cieśninie Mesyńskiej: jeden po jednej, drugi po drugiej stronie cieśniny. [przypis edytorski]

²⁵⁷ *obiata* (daw.) — ofiara składana bogom, siłom nadprzyrodzonym. [przypis edytorski]

²⁵⁸ *Edward VII* (1841–1910) — syn królowej Wiktorii i księcia Alberta, od 1901 król Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii i dominiów brytyjskich oraz cesarz Indii. [przypis edytorski]

²⁵⁹ *tatersal* (przestarz.) — ujeżdżalnia koni; od nazwiska Richarda Tattersalla (1724–1795), który jako pierwszy założył wypożyczalnię i przechowalnię koni połączoną ze szkołą jazdy oraz organizował aukcje koni rasowych. [przypis edytorski]

²⁶⁰ *chimera* (mit. gr.) — ziejący ogniem potwór z głową lwa, ciałem kozy i ogonem węża; przen.: coś o nie-zwykłej naturze, dziwnego, nierealnego a. wyдуманego. [przypis edytorski]

idealnej równowadze. Oczywiście, znowu przez tego niemądrego smarkacza, z którym właściwie biorąc, należałoby załatwić się bez pardonu. — Trzeba — powtarzał sobie przy kilku kolejnych kieliszkach — trzeba!... Właściwie dlaczego nie zająć się Nitą? Dziewczyna stanowczo bardziej pociągająca od tamtej gęsi. I pomimo tego, co mówiła, z całą pewnością nic nie będzie miała przeciw niemu. Nazwała go wielkodusznym. I rzeczywiście według niej musi być wielkoduszny. Wciąż to samo. Jakaż różnica może tkwić w tym, czy spalili ten dokument, czy coś, co w jej przeświadczeniu jest tym dokumentem? Absolutnie to samo. Absolutnie. Przeświadczenie jest najprawdziwszą rzeczywistością.

Przechylił butelkę. Zostało w niej zaledwie kilka kropel. W głowie czuł lekki zamęt.

„Co to znaczy wyjście z wprawy!” — pomyślał.

Rzeczywiście od czasu przyjazdu do Warszawy nie pił wcale. Na przestrzeni kilku miesięcy kilku kieliszków nie można było brać w rachubę w porównaniu z dawnym nieustającym pijaństwem. Od pijaństwa tego nie potrzebował się odzwyczajając. Stokroć większą rozkosz znajdował w tym, co teraz robił. Tamto było tylko namiastką, nędzną namiastką tej namiętności, w której wyżywał się obecnie. W gruncie rzeczy nienawidził alkoholu. Zaczął szukać zapomnienia dopiero wtedy, gdy uwierzył, że nie zdobędzie miejsca przy wielkim stole gry. Było to w Paryżu. Dobrze pamiętał pijaną, zamgloną dymem luksusową knajpę przy placu Pigalle²⁶¹...

Wtedy zaczął pić, a z rana rozrzucił po sali różowe arkusze akcji, które przed dwudziestu czterema godzinami przedstawiały wartość banknotów, a dziś były bezużytecznym zadrukowanym papierem. „Compagnie Internationale de Navigation” była już od dawna bankrutem, lecz Paweł zdołał przez szereg miesięcy nie tylko to ukryć, ale nawet podnieść cenę akcji o sześćdziesiąt cztery franki na sztuce. Jeszcze trzy, cztery tygodnie powodzenia i wyszedłby z grubym zyskiem. Małe niedopatrzanie, drobiazg, jedno nieostrożne słowo wypowiedziane w rozmowie i wszystko runęło. Od placu Pigalle do ostatniego szynku na Montmartre²⁶² aż za Sacré-Coeur²⁶³ staczał się coraz niżej, zalewał się alkoholem, pił świadomie, z zawziętością, z przekonaniem, że nic mu więcej nie pozostaje.

Drugi taki okres przyszedł po upadku „Domu Handlowego Nox”, a trwał znacznie dłużej może i dlatego, że atmosfera Marsylii, atmosfera pulsujących wielkich interesów do reszty odebrała mu ochotę zaczynania od czegoś małego. Brzydził się sklepikarstwem. Często wprawdzie trafiały mu się okazje, często miał pomysły, ale nie umiał przezwyciężyć w sobie wstrętu do przedsięwzięć takich, które zapewniłyby mu byt.

— Nie znam nic głupszego — mówił — niż to powszechne zabieganie o zapewnienie sobie bytu. Byt jest czymś całkowicie obojętnym sam w sobie. Chodzi o jego jakość.

Jakość bytu Pawła po ostatecznym zrezygnowaniu z prowadzenia wzorowego gospodarstwa wiejskiego była już tylko wegetacją.

Przypomniawszy sobie długie miesiące spędzone w stanie kompletnej apatii na barłogu²⁶⁴ w rozpadającym się kresowym dworku. Jakże stępsiał podówczas, jak dalece stał się niewrażliwy na wszystko. Jedynie brak wódki wyprowadzał go z równowagi, co często kończyło się atakami furii. Jakże daleko był teraz od owej, zdawałoby się, nieprawdopodobnie dawnej epoki... Sam wówczas wierzył w ostateczność swojej klęski, był przekonany, że nie uwolni się ani od apatii, ani od alkoholu. Dziś obie te rzeczy były dlań wprost niezrozumiałe. Jeżeli pił tego wieczoru, to tylko przez kaprys, no i z powodu Krzysztofa.

Zresztą koniak dobrze mu zrobił. Zasnął zdrowym, twardym snem i obudził się nazajutrz z głową świeżą, wolną od dokuczliwych myśli.

Systematyczny i punktualny Holder przedstawił Pawłowi przejrzyście i szczegółowo zebrane dane, dotyczące światowego rynku kauczukowego. O godzinie jedenastej zjawił się Ottman. Położył przed Pawłem dużą paczkę, owiniętą w szary papier:

— Oto rezultat niepotrzebnej roboty — powiedział z niezadowolonym wyrazem twarzy.

— Tak pan sądzi? — z półśmiechem powiedział Paweł.

²⁶¹plac Pigalle — znany plac, wokół którego skupia się nocne życie Paryża. [przypis edytorski]

²⁶²Montmartre — historyczne wzgórze Paryża zabudowane starymi kamienicami, ulubione miejsce artystycznej cyganerii. [przypis edytorski]

²⁶³Sacré-Coeur, właśc. *Basilique du Sacré-Coeur* (fr.: Bazylika Świętego Serca) — kościół na szczycie wzgórza Montmartre w Paryżu. [przypis edytorski]

²⁶⁴barłóg — nędzne, niechlujne legowisko. [przypis edytorski]

— Nie sędzę. Jestem przekonany.

— Zaraz zobaczymy.

Odsunął opakowanie. Przed nim leżał duży brunatny kubik²⁶⁵.

— Wygląda świetnie. — Nacisnął kauczuk palcem. — No i jest bajecznie elastyczny.

— Na trzy miesiące, panie dyrektorze — skrzywił się Ottman.

— Do licha, nie różni się na oko niczym od tego drogiego ani od prawdziwego.

— Niczym poza wartością.

Paweł zaśmiał się:

— Ma pan rację. Ten dla nas przedstawia znacznie większą wartość.

— Nie rozumiem, panie dyrektorze.

— Na razie jest to zbędne. Niech pan mi powie, czy ten kauczuk w razie poddania go analizie może ujawnić swoją tajemnicę?

— To nie, ale po co poddawać go analizie?

— Zatem na przykład chemik fachowo obeznany z kauczukiem nie odkryje sposobu pańskiej fabrykacji?

— Bardzo wątpię.

— Więc w porządku. Wybornie — zatarł ręce Paweł. — A teraz, jak się przedstawia plan aparatury do wyrobu tego lepszego kauczuku?

Ottman rozwiązał przyniesioną ze sobą teczkę i wydobyl z niej kilkanaście schematycznych szkiców. Paweł z trudem ukrywał rozbawienie, w jakie wprowadziła go nagła zmiana usposobienia chemika. Dopóki była mowa o trzymiesięcznym kauczuku, był niechętny i zniecierpliwiony. Teraz zaś aż dostał wypieków.

Z pobieżnego kosztorysu wynikało, że cena instalacji do produkowania dość znacznych ilości nie przekraczałaby w żadnym razie zdumiewająco niskiej kwoty stu tysięcy złotych, a prawdopodobnie dałaby się wydatnie zredukować.

Drobiazgowo wypytał Ottmana o szczegóły konstrukcji i objaśnił konieczność skomplikowania aparatury w ten sposób, by specjaliści przy jej oglądaniu nie mogli zorientować się w systemie produkcji i w istocie wynalazku.

— Ależ takie komplikacje podrożą produkcję — spróbował protestować Ottman.

— Panie inżynierze — przerwał mu Paweł — to już jest moja sprawa. Zechce pan teraz uważnie wysłuchać, o co mi chodzi. Postawimy niewielką fabryczkę. W jednej części budynku zainstalujemy aparaturę do wyrobu kauczuku tego lepszego...

— Nazwałem go „Optima”.

— Bardzo pięknie. Otóż ten oddział będzie ściśle izolowany i absolutnie niedostępny nikomu z wyjątkiem kilku zaufanych majstrów. Musi być obliczony na produkcję niewielką. Powiedzmy tysiąca kilogramów...

— Dziennie? — zdziwił się Ottman.

— Nie, drogi wynalazco, tysiąca kilogramów w ogóle. Dlatego aparatura nie powinna być kosztowna, bo nie chodzi o jej wytrzymałość. Hm... niech ją pan zresztą obliczy na wszelki wypadek na trzy tysiące kilo. Trzeba wziąć pod uwagę ewentualne nieprzewidziane okoliczności. W drugiej części budynku będziemy fabrykowali kauczuk mniej trwały...

— Wcale nietrwały — nie mogąc pohamować irytacji, poprawił Ottman.

Paweł wstał i pochylił się ku niemu:

— Panie Ottman. Nie mam już panu nic do zakomunikowania, poza jednym oświadczeniem: rezygnuję z finansowania pańskiego wynalazku.

— Ależ, panie dyrektorze!...

— Z człowiekiem niemającym pojęcia o interesach można pracować tylko w tym wypadku, jeżeli ten zdaje sobie sprawę z własnej ignorancji w tym kierunku i umie zdobyć się na kompletne zaufanie do wspólnika.

— Ależ ja mam kompletne zaufanie...

— Nie — marszcząc brwi, odpowiedział Paweł. — Ja setny raz powtarzam panu, że kauczuk mniej trwały jest znacznie ważniejszy i bez porównania wartościowszy. Zechce pan raz na zawsze zapomnieć o swojej antypatii do niego. To nie pańska sprawa. Rozumie pan? Albo zgodzi się pan z tym, albo szukaj pan kogoś innego. Chciałem panu pomóc do realizacji pańskiego wynalazku i mogę pana zrobić człowiekiem bogatym. Jednak nie

²⁶⁵kubik — sześcian, kostka sześcienna. [przypis edytorski]

zależy mi na tym do tego stopnia, bym miał znosić pańskie ustawiczne grymasy. Mówię szczerze, że wątpię, czy znajdzie się ktoś, przynajmniej w Polsce, kto by miał dość czasu, ochoty i pieniędzy dla zajęcia się pańskim kauczukiem. Sam pan to na pewno rozumie. Ma pan jednak otwartą drogę za granicą. Nie chcę pana niczym krępować i dlatego, jeżeli ma pan zamiar szukać tam szczęścia, gotów jestem natychmiast zwolnić pana z obowiązków fabrycznych. Oto wszystko.

Ottman poczerwieniał i gdy zaczął mówić, w jego głosie brzmiało poczucie własnej winy i skruchy. Oczywiście, ma pełne zaufanie do pana dyrektora i oczywiście, przyznaje, że się na interesach nie zna. Obiecuje też ściśle stosować się do wszelkich poleceń.

W pół godziny potem w gabinecie Pawła zjawił się kierownik jednej z firm konstruktorskich, w godzinę po nim agent przedsiębiorstwa handlującego placami w dzielnicy fabrycznej. Obaj wyszli z instrukcjami jak najbardziej szczegółowymi.

Paweł spojrzął na zegarek. Każdy z następujących po sobie dni zdawał się liczyć mniej godzin. O czwartej miał posiedzenie przemysłu metalurgicznego, o piątej konferencję z delegatem holenderskiego towarzystwa transportowego, o szóstej zebranie związku fabryk, o siódmej musiał być w poselstwie rumuńskim na fajfie²⁶⁶ i spotkać się z dyrektorem kolei rumuńskich, później przed zakończeniem obrad plenum Sejmu musiał zdążyć na Wiejską, by widzieć się z posłem Kreutzem, referentem cel. Wieczorem miał wygłosić mowę o perspektywach polskiej produkcji metalowej na bankiecie w Stowarzyszeniu Techników.

W tym wszystkim należało znaleźć czas na przestudiowanie materiałów dotyczących rynku kauczukowego i należało ten czas znaleźć dzisiaj, bo każde jutro niczym się w swej „pakowności” od bieżącego dnia nie różniło, a przyśpieszenie tej sprawy było obecnie najważniejszym punktem jego starań.

Na badanie jej urywał wszystkie wolne minuty: w aucie, w windzie, podczas nieinteresujących go przemówień, podczas raportów składanych przez podwładnych. W całej pełni korzystał teraz ze swej zdolności jednoczesnego czytania, słuchania i myślenia o trzeciej znowu kwestii. Sypiał nie więcej niż sześć godzin na dobę, a przecież zmęczenia nie czuł wcale. Przeciwnie. Praca wciągała go coraz bardziej. Sam porównywał siebie do człowieka, który zaczął iść, idzie coraz prędzej, coraz lepiej, upaja się swą drogą, wciąga ją w siebie i nie tylko nie odczuwa znużenia, lecz coraz więcej sił.

Coraz rzadziej widywał się teraz z Marychną.

Kilka jej dosłownie półgodzinnych wizyt odbyło się kosztem snu Pawła. Dziewczyna była smutna i zdenerwowana. Paweł podejrzewał, że tęskniła za Krzysztofem, i nie wierzył w szczerść jej zaprzeczeń. W tymże czasie dwa razy odwiedziła go Nita, lecz był tak zajęty, że rozmawiał z nią, załatwiając jednocześnie telefony lub też robiąc notatki i obliczenia. Pewnego razu powiedziała, że jeżeli już ma przewyciężyć swoje antyrodzinne uprzedzenia, to raczej interesowałby ją wuj Krzysztof. To zastanowiło Pawła:

— Znasz go dobrze? — zapytał.

— Skądże. Widziałam go zaledwie trzykrotnie i nie zamieniliśmy ponad dziesięć słów.

— I cóż o nim sądzisz?

Nita wzruszyła ramionami:

— Na podstawie tych danych, jakie mogę mieć, myślę, że jest interesujący. Ma dziwny sposób bycia i tragiczne oczy. Mam wrażenie, że kocha się bez wzajemności.

— Zapewniam cię, że z całkowitą wzajemnością. Znam pewną blondynkę, która może na to przysiąc.

— Ach, wiem — kiwnęła głową Nita. — Jest to jego sekretarka i nazywa się Jarszówna, czy coś w tym rodzaju. Nie doceniasz, wuju, plotkarskich zamiłowań mego ojca. Wyjeżdżali we dwójkę za granicę i w drodze powrotnej wuj Krzysztof ugrzązł podobno w Wiedniu. A co ty o nim powiesz?

Paweł odłożył ołówek i wyjął wargi:

— To jeszcze smarkacz, ale przyznaję ci, chociaż ze względów konkurencyjnych nie powinienem tego robić — zaśmiał się żartobliwie — że jest interesujący. Dziwię się, że na ogół u płci pięknej nie cieszy się powodzeniem. W fabryce nie lubią go...

— A ty, wuju?

²⁶⁶fajff (z ang.) — przyjęcie towarzyskie rozpoczynane o godzinie piątej po południu. [przypis edytorski]

Paweł przyglądał się stiukom²⁶⁷ na suficie i zrobił kilka zniecierpliwionych ruchów palcami:

— Diabli wiedzą. Wydaje mi się sensatem i egzaltowanym romantykiem. Zresztą, on mnie nienawidzi.

— Tradycje rodzinne?

— Nie, raczej antypatia indywidualna.

— Chciałabym poznać go bliżej — powiedziała przy pożegnaniu Nita. — Czasami bierze mnie ochota rozruszać tego młodego człowieka.

— Zdaje się, że zamiar ten jest spóźniony — uśmiechnął się Paweł. — Przypuszczam, że Krzysztof wróci z zagranicy całkowicie rozruszany.

— Cóż miałyby wpłynąć na jego rozruszanie?

— Utrata niewinności, moja Nito, bywa przełomowym momentem w życiu — pochylił się nad nią i szepnął jej prawie do samego ucha. — Czy twoje osobiste obserwacje nie potwierdzają tego?

Zaśmiała się, lekko musnęła ustami jego policzek, nic nie odpowiedziała i zbiegła ze schodów.

Paweł mylił się. Krzysztof wrócił nie tylko nierozruszany, lecz bodaj bardziej jeszcze smutny i milczący.

O jego przyjeździe dowiedział się już z wieczornego telefonu Marychny. Zawiadomiła o tym Pawła głosem jakby przestraszonym, mówiła, że zeszczupłał i że jest bardzo zdenerwowany. Otrzymała depezę tak późno, że ledwie zdążyła na przyście pociągu.

Nazajutrz Paweł był mile zdziwiony tym, że Krzysztof uważał za stosowne zjawić się w jego gabinecie i osobiście zawiadomić o swym powrocie. Pierwsze odezwanie się Pawła było zupełnie uzasadnione jego wyglądem:

— Odpoczynek, mam wrażenie, gorzej wpłynął na ciebie niż praca?

— Trochę mnie zmęczyła podróż — chłodno odpowiedział Krzysztof.

— Stan roboty w fabryce nie wymaga twego natychmiastowego powrotu do zajęć, drogi Krzychu — powiedział może zbyt miękko i dodał: — Mógłbyś jeszcze kilka dni popróżnować.

Krzysztof zbladł i odpowiedział przerywanym głosem:

— To ma znaczyć, że nie jestem zbytnio potrzebny, czy też, że wręcz zawadzam w fabryce?

— Ależ, Krzysztofie! — prawie z oburzeniem zawołał Paweł. — Wcale tego nie mówiłem. W ten sposób najżyyczliwsze uwagi można komentować jako objaw złośliwości. Widocznie albo ja nie umiem dość przekonująco wyrazić mojej sympatii dla ciebie, albo ty tak mnie nienawidzisz, że wszystkie objawy sympatii z mej strony napęlniają cię oburzeniem.

Paweł sam był do najwyższego stopnia wzburzony, nie mógł jednak nie zauważyć, że widocznie i Krzysztof resztkami siły woli panował nad sobą, gdyż jego wargi drżały i blade były jak płótno.

Niespodziewanie zerwał się z miejsca i szybko wyszedł. Paweł chodził dużymi krokami po pokoju. Był wściekły na siebie. Tyle razy obiecywał sobie całkowicie i raz na zawsze zmienić swój stosunek do tego smarkacza i jeszcze raz stwierdził, że ma doń jakąś idiotyczną słabość. Było to teraz śmieszniejsze niż dawniej, śmieszniejsze o tyle, że dzięki Feliksiakowi trzymał Krzysztofa w rękę i w każdej chwili mógł go po prostu zamknąć w więzieniu, a w każdym razie pozbyć się go z fabryki i raz na zawsze uwolnić siebie od jego obraźliwych impertynencji. Zaraz jutro załatwi tę sprawę. Wtedy dopiero okaże się, na jaką nutkę ten hardy gołowus zacznie śpiewać!... Już teraz za późno na jakiegokolwiek względy!

Pomimo powziętego postanowienia Paweł nie mógł się uspokoić. O ileż wolałby zbić Krzysztofa na kwaśne jabłko. Wprost pragnął usłyszeć jego krzyk bólu i skomlenie o liłość... Zastanowił się: to może byłoby nawet lepsze niż broń, bądź co bądź, szantażu. Jednakże uczył wręcz niemożność użycia fizycznej siły dla wywarcia zemsty na tym smukłym i irytującym delikatnym smarkaczu. Jednym niezbyt silnym uderzeniem pięści zabiłby

²⁶⁷stiuk — materiał zdobniczy z masy gipsowo-wapiennej zmieszanej z drobnym piaskiem lub ze sproszkowanym marmurem, używany do tworzenia dekoracji architektonicznych (sztukaterii); także: ozdoby ścian wykonane z tego materiału. [przypis edytorski]

go na miejscu. Nie, nie to, ale na przykład wykręcić mu ręce i przycisnąć do siebie tak, by stracił oddech... Obezwładnić go tak całkowicie, by nie mógł drgnąć nawet, to byłaby prawdziwa rozkosz...

Tego dnia Paweł nie wyjeżdżał z fabryki. Nawet obiad jadł w swoim gabinecie. Wśród nawału pracy ustawicznie korciła go myśl, by pójść do Krzysztofa i jeszcze dziś rozprawić się z nim w ten lub inny sposób. Znajdował się wciąż w tym nieznośnym podnieceniu, którego nie umiał sobie wybaczyć. Nie tylko dewizą jego życia, nie tylko głębokim przeświadczeniem, lecz samą naturą Pawła było zimne opanowanie swoich działań, myśli, ba, nawet nastrojów... A tymczasem dowiedział się, że Krzysztof pracuje w swoim gabinecie, odległym zaledwie o kilkadziesiąt kroków. Podobno coś dyktuje, a może po prostu obcałowuje Marychnę.

Było już dawno po gwizdku fabrycznym i wszyscy urzędnicy, a nawet sekretarz Holder wyszli. W korytarzu pozostał tylko stary Józef, rozmawiający z szoferem. W ogólnej ciszy Paweł wyraźnie słyszał ich głosy. Spierali się na temat zalet życia miejskiego. Około godziny ósmej w korytarzu rozległy się lekkie kroki Krzysztofa. Poznał je, zanim usłyszał jego głos, i odczuł jakby niepokój.

— Czy pan naczelny dyrektor jest sam?

— Tak jest, proszę pana dyrektora — odpowiedzieli szofer i Józef jednocześnie.

Krzysztof zapukał i usłyszawszy „proszę”, wszedł. Zbliżył się do biurka. W zielonym odblasku lampy wydał się Pawłowi jeszcze bardziej mizerny i zdenerwowany. Jego oczy miały jakiś niesamowity wyraz. Paweł z pozornym spokojem odłożył pióro. Pomyślał, że oto Krzysztof poczuł wyrzuty sumienia i przyszedł go przeprosić. Nie wiedział jeszcze, jak na to zareaguje, ale samo przyjście tego chłopca nappełniło go czymś, czego za żadną cenę nie chciałby nazwać wzruszeniem.

— Czym mogę ci służyć? — zapytał bezbarwnym głosem.

— Pawle... chciałbym... — Krzysztof oparł się o biurko i bolesnym skurczem ściągnął brwi.

— Usiądź, Krzychu. Jestem do twojej dyspozycji.

Krzysztof otworzył usta, lecz natychmiast zacisnął je i przygryzł. Widocznie chciał coś powiedzieć, do czego trudno było mu zmusić się.

— Nie... ja nic... chciałbym tylko zapytać, czy mogę na pół godziny wziąć twój samochód?...

Paweł odpowiedział cicho:

— Ależ proszę cię, Krzychu... zdaje mi się jednak, że miałeś mi coś jeszcze do powiedzenia?

— Nie, nie, Pawle, nie, Pawle... Dziękuję ci.

Wyciągnął do niego rękę, która tak drżała, że Paweł usiłował ją przytrzymać w swej dłoni. Krzysztof jednak wyrwał ją i bardzo szybko wyszedł z pokoju.

W pięć minut później pod oknami rozległ się warkot motoru, Krzysztof odjechał. Pojechał odwiedzić Marychnę... Paweł oparł głowę na rękę i zamyślił się. Na próżno próbował wrócić do pracy. Czytał, lecz były to tylko szeregi liter, niewiążące się ani w słowa, ani w zdania. Nie. Był zupełnie wytrącony z równowagi. Zaczął chodzić po pokoju, a raczej błąkać się po nim w wielu nieprawidłowych kierunkach. Zatrzymał się przed czarną szybą okna i znowu wrócił do biurka. Z niechęcią, niemal z obrzydzeniem składał papiery i wbrew zwyczajowi zsuwał je do szuflad biurka, nie przestrzegając żadnego porządku. Kilkakrotnie sprawdził, czy pozamykał wszystko na klucz. Wreszcie nacisnął dzwonek i kazał sobie podać palto.

— Pan dyrektor nie będzie czekał na powrót auta? — zapytał zdziwiony woźny.

— Nie. Duszno tu. Jestem zmęczony.

— Może pan dyrektor każe sprowadzić taksówkę?

— Nie, Józefie. Pójdę pieszo. Spacer dobrze mi zrobi.

Owiał go ciepły wiosenny wiatr. Niebo było wygwieżdżone. Nad miastem różowiła się luna. Rozpiął palto i wciągnął powietrze pełnymi płucami. Ulica była pusta. Minał przejazd kolejowy, przeszedł obok szeregu niskich domków. Dalej był mały, prawie wiejski kościółek wśród gęstych drzew, których gałęzie ledwie się pokrywały zielonymi pączkami. Dwoje młodych ludzi stało przy parkanie, rozmawiając półgłosem. Z daleka dolatywał monotony odgłos miasta, bliżej słychać było pracę maszyn: u „Lilpopa” czy

też u „Gerlacha” pracowała nocna zmiana. Dźwięk ten splótl się w myśli Pawła nareszcie z czymś pozytywnym: w dyrekcjach tych fabryk panuje chaos. Po kilka miesięcy w roku muszą próżnować, a później płacą za nocną pracę. I u „Dalców” kiedyś tak było. Dziś idzie jak zegarek. Wszystko idealnie rozplanowane... W tym zapewne jest też i duża zasługa Krzysztofa...

Nie mógł oderwać od niego myśli. Na próżno usiłował skoncentrować uwagę na jakiegokolwiek kwestii. Zawsze okazywało się, że to wiąże się z tamtym, tamto z owym, a owo już całkiem bezpośrednio dotyczy Krzysztofa, który zachował się dziś tak dziwnie, którego należy bezlitośnie usunąć, unicestwić, lecz którego niepodobna wyrzucić ze swojej świadomości...

Tu zaczynała się ulica Dworska. Właściwie nie była to ulica, lecz nieskończenie długi korytarz między dwoma wysokimi parkanami ze szerniałych desek. Na przestrzeni od Skierniewickiej do Bema w parkanach było zaledwie kilka furtek i rzadko otwieranych bram. Z prawej strony mieściły się zakłady gazowni, z lewej rozciągały się tereny niezabudowane oraz nieczynna od szeregu miesięcy garbarnia. Środkiem szła ziemna, niebrukowana jezdnia, miejscami chrzęszcząca żużlem, miejscami lepka od błota, które tu nigdy nie wysychało. I nie dziw. Parkany były tak wysokie, iż tylko w wypadku długotrwałych upałów słońce miało dość czasu, by dno tego korytarza wysuszyć. Wówczas błoto zmieniało się pod kołami ciężarowych aut w mialki, czarny puder. Teraz jednak należało iść uważnie i nieraz lawirować między kałużami, na odcinkach zaś bardziej błotnistych korzystać z rozrzuconych tu i ówdzie kamieni, skacząc z jednego na drugi.

Parkan były jednolite, wyciągnięte w równą linię. W tych jednak miejscach, gdzie znajdowały się furtki, na przestrzeni kilku metrów zagłębiały się w dość głębokie wnęki. Ilekroć z jakichkolwiek powodów ulica Bema była zamknięta, szofer woził Pawła tędy. Paweł pamiętał, że nieliczni przechodnie biegli wówczas pędem, by dopaść jednej z takich wnęk, chroniąc się przed bryzgami błota spod kół samochodu.

Być może, gdyby myśl miał mniej zajęta innymi sprawami, nie ufałby zbyt pustce ciemnej ulicy, a zwłaszcza owym wnękom. Przełożyłby wówczas rewolwer z tylnej kieszeni do bocznej, a może trzymałby go w ręku.

Zdarzenie miało przebieg tak krótki, że na wszystkie refleksje było już za późno, tak samo jak i na obronę. Środkiem rozlewała się wielka kałuża, bokiem zaś rozłożone były kamienie tuż koło wnęki.

Wielki czarny cień oddzielił się nagle od parkanu.

W powietrzu gwizdnął rozmach jakiegoś dużego przedmiotu. Jedną ręką Pawła błyskawicznym ruchem osłoniła głowę, drugą sięgnęła do rewolweru.

Jednocześnie straszny cios spadł na dłoń i niemal rozmiądzzył ją na czaszce.

Paweł zachwiał się na nogach, lecz dopiero drugi cios powalił go na ziemię.

Zupełnie nie czuł bólu. Nie stracił też świadomości. Miał wrażenie, że znajduje się na jakiejś olbrzymiej huśtawce, poruszającej się z potworną szybkością.

Niepodobna było złapać oddechu, niepodobna było zatrzymać się ani na sekundę, ani na ułamek sekundy. Wszystkie wnętrzości zwinęły się w kłęb, napierający na gardło nieprawdopodobnym skurczem. Po twarzy i po karku obficie spływała gęsta ciepła ciecz...

To był koniec.

Ze spokojem myśl jego stwierdzała umieranie, ze spokojem tym większym, że nie władał ani jednym mięśniem, by móc bodaj drgnąć, by drgnięciem tym dać sobie bodaj złudzenie nadziei.

Umierał i jeżeli czego pragnął teraz, to możliwości wyrzucenia z siebie ohydnych balastu własnych jelit... Jakże potworny, jak straszliwy był ten ruch wahadłowy i ta lepka substancja, opływająca oczy... Szara masa mózgowa...

Czas przestał istnieć. Teraz już nawet biciem serca nie mógł go mierzyć, gdyż serce milczało. Wszystko milczało. Śmierć jest widocznie milczeniem...

Wiedział, gdzie się znajduje, wiedział, że leży na mokrej błotnistej ziemi, wiedział, że jest noc i że nad nim jest gwiazdziste niebo. Była to jednak tylko klisza pamięci, gdyż ani wzrokiem, ani dotykiem, ani słuchem nie mógł tego sprawdzić. Był niejako wydzielony z całości świata.

Nie wiedział, jak długo to trwało, lecz oto zdało mu się, iż jego słuch uchwytuje jakieś odległe dźwięki. Możliwe, że był to jazgot dalekich szyn tramwajowych, a może tylko złudzenie... Lecz nie. To było najwyraźniej szczekanie psa... Tak... A to warkot samochodu. Coraz bliższy warkot samochodu... i nagle sygnał, ostry, przejmujący sygnał. Samochód musiał gdzieś w pobliżu stanąć... Chłupot nóg po błocie... Ludzie... i wtem przerażony szept:

— Jezul! To pan dyrektor!...

Chwila ciszy i dziki, straszliwy, nieartykułowany krzyk kobiecy...

Znał ten głos, na pewno znał i gdyby nie ta potworna huśtawka, nie ten morderczy ruch wahadłowy, na pewno poznałby... Któż to woła nad nim tak rozpaczliwie:

— Pawle!... Pawle!... Ty żyjesz... Pawle... kochany.

I męski głos:

— Żyje, bo krew nie krzepnie, póki idzie, póty znak, że żyje.

Tak, to szofer, jego własny szofer, ale kto jest ta kobieta... Wahadło zatoczyło nowy oszalałający krąg i wpadło w jakiś nieprawdopodobny wir. Głosy się zmieszały, a później znowu rozległ się warkot samochodu. Odjeżdżają. Przekonali się, że jest trupem, i zostawiają go tu. Nie może im dać niczym znaku, że słyszy ich, że myśli, że żyje... A może to właśnie jest śmierć... Motor samochodu warczy, lecz nie oddala się... Wciąż warczy bardzo blisko. Teraz zrozumiał: wiozą go, lecz dlaczego nie czuje ani bólu, ani ruchu samochodu, ani dotyku poduszek?... Zawieszony jest jakby w próżni.

Warkot ustał i znowu odezwały się głosy:

— Ostrożnie, za rogi płaszcz...

— Podtrzymać głowę!

— Nie oddycha...

I znów ten głos kobiecy, głos drżący przerażeniem:

— Wolniej, doktorze, wolniej! On musi strasznie cierpieć.

I niski baryton:

— O to może pan dyrektor nie niepokoić się. Na pewno nie czuje bólu, bo jest zupełnie nieprzytomny. Jeżeli w ogóle żyje...

— Żyje, na pewno żyje — odezwał się głos kobiecy.

Tupot wielu nóg, szczęk otwieranych drzwi i dyspozycje, wydawane przez niski barytonowy głos:

— Tu położyć. Uważnie. Zabrać te poduszki. Ciepła woda i ręczniki. Zatelefonować do doktora Łukowskiego. Znajdzie pan w książce telefonicznej. Powiedzieć: „pęknięcie czaszki, natychmiastowa operacja”. Panie Kaczkowski, kamforę, dwa zastrzyki...

Znowu tupot nóg i jakiś inny głos:

— Pulsu ani śladu.

— Lusterko do ust.

— Jest.

— Co jest?

— Leciotki ślad na szkle. Oddycha...

Niežnośna huśtawka zaczynała zwalniać swe szalone tempo, lecz jednocześnie nieopisany ból przeszył plecy wzdłuż stosu pacierzowego²⁶⁸.

Trwał sekundę, lecz po pewnym czasie znów się odezwał z większą jeszcze siłą. Spłynął ku gorze i utkwił w czasce.

Paweł uprzytomnił sobie, że to prawdopodobnie robią operację... Pęknięta czaszka... Ból wracał szalonymi porywami, w miarę jednak, jak te się powtarzały, zdawały się coraz bardziej tępieć, aż przeszły w huk, dudniący huk, wśród którego ledwie dobiegały jego uszu głosy z zewnątrz.

Teraz już wiedział, że go przenoszą, że poruszają jego rękami, że obmywają mu rany. Zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie czuł dotyku. Później było dokoła znowu dużo ruchu, aż wszystko ucichło.

Pozostało tylko szybkie, gorączkowe cykanie zegarka, lecz i to rozplynęło się w ciszy.

²⁶⁸stos pacierzowy (daw.) — kręgosłup. [przypis edytorski]

Musiał zapadać w sen czy w maignę, gdyż cisza zaczęła dzwonić, a w niej jakiś bardzo znajomy głos powtarzał szeptem: — Będziesz żył, Pawle, będziesz żył... — i znowu powtarzał: — Będziesz żył...

Bracia Dalcz i s-ka

TOM DRUGI

ROZDZIAŁ I

Pierwszy przebłysk świadomości przyszedł po dwóch tygodniach. Zaczął się od uczucia spadania w jakąś bezdenną przepaść i ciało Pawła Dalcza sprężyło się odruchowo. Lekki ból ręki i dotyk czegoś miękkiego, co go więziło, stanowiły pierwszą chwilę przytomności. Następnym momentem był głos, znajomy głos kobiecy:

— Już druga, niech pani zadzwoni do doktora.

Dobrze znajomy, niski głos. W żaden jednak sposób nie mógł sobie przypomnieć, do kogo należy. Nagle błysk pamięci: Potworna huśtawka i przeraźliwy krzyk! Tak, ten sam głos.

Otworzył oczy. Wokół panowała zupełna prawie ciemność, tylko gdzieś w oddali zaryzło się ciemne purpurowe światło. Ulica Dworska, noc. Czarny cień, odrywający się od czarnej ściany parkanu, cios, lepka ciecz zalewająca oczy i mordercza huśtawka... A potem ten głos.

— Kto tu jest? — szept jego nappełnił ciszę. — Kto tu jest? — powtórzył.

Na dywanie zaszeleściły kroki. Jakaś sylwetka przesłoniła czerwony odbłask i przed chwilą słyszany głos powiedział:

— To ja, Pawle...

— Kto?

— Ja, Krzysztof...

Paweł zamknął oczy. Myśli przychodziły jedna za drugą leniwie, z trudem, ale przecież konsekwentnie: jak to może być głos Krzysztofa? Wyraźnie słyszał kobiecy ^{alt²⁶⁹}... A jednak niewątpliwie głos mówił prawdę... Tylko przypomnieć, porównać... I skąd Krzysztof?...

Palce przesunęły się po koldrze, gdzieś blisko odezwało się bicie zegara.

— Gdzie jestem? — zapytał.

— Jesteś u siebie w domu — odpowiedział głos.

— Dlaczego jest tak ciemno? Już musi być późna noc?... Napadli mnie...

— Nie myśl o tym, Pawle... Już teraz wszystko dobrze.

— Nie widzę ciebie, dlaczego jest tak ciemno, zapal światło...

— Nie mogę zapalić. To by ci zaszkodziło...

— Dlaczego? — zdziwił się Paweł.

— Lekarz zabronił, póki twój wzrok dostatecznie się nie przyzwyczai. Tyle czasu nie otwierałeś oczu.

Paweł posłyszał lekkie trzaśnięcie klamki i wyraźnie dostrzegł drugą osobę, która właśnie weszła. Była to pielęgniarka w białym kitlu. Zrozumiał, że jest ciężko chory, i spróbował poruszyć się. Przyszło mu to z dużym wysiłkiem i właśnie zamierzał ponowić próbę, gdy głos powtórzył:

— Lekarz zabronił ci poruszać się, Pawle.

— Więc jest ze mną tak źle?

— Nie — odpowiedział Krzysztof — teraz już ci żadne niebezpieczeństwo nie grozi.

— Jak długo byłem nieprzytomny?

— Dwa tygodnie i dwa dni.

Paweł podniósł powieki i zapytał głośno, z niepokojem, którego nie umiał ukryć:

— Gdzie są moje klucze?!

— Bądź spokojny, od początku mam je w kieszeni.

Paweł chciał powiedzieć, że to go bynajmniej nie uspokaja, że żąda, by Krzysztof mu natychmiast klucze oddał, lecz w tej chwili odezwała się pielęgniarka. Zapytywała Krzysztofa, czy nie zawiadomić zaraz lekarza o tym, że chory odzyskał przytomność.

— Sam to zrobię — powiedział Krzysztof i wyszedł z pokoju.

Paweł chciał krzyknąć, by go zatrzymać, lecz zabrakło mu głosu. Z krtani wydobyło się tylko jakieś nieartykułowane charczenie. Czoło, skronie i policzki pokryły się potem. Czuł, że ponownie traci przytomność, i całą siłą woli usiłował utrzymać powieki otwarte.

²⁶⁹ alt (muz.) — niski głos kobiecy lub chłopięcy. [przypis edytorski]

— Proszę to wypić — powiedziała pielęgniarka.

Na wargach uczuł lepki, gorzkawy płyn. Przelknął i w przeciągu bardzo krótkiego czasu poddał się przemożnej sennie. Gdy po pewnym czasie obudził się, czuł się znacznie silniejszy. Widocznie w pokoju rozjaśniono nieco światło, gdyż było znacznie wyraźniej widać kontury mebli, łóżko, kołdrę i na fotelu obok wysokiego mężczyznę z brodą, która w tym świetle wydawała się różowa.

Sen wzmocnił Pawła o tyle, że zupełnie przytomnie rozmawiał z lekarzem. Dowiedział się odeń, że na szczęście obrażenia, jakie odniósł podczas napadu, nie pozostawią w organizmie żadnych ujemnych skutków. Pęknięcie czaszki nie miało zbyt groźnych powikłań i goi się zupełnie zadowalająco. Porażenie wzroku było tylko czasowe, a następstwa wstrząsu małego mózdzku²⁷⁰ minęły po upływie jednej doby. Już wtedy odzyskał możliwość ruchów. Nieco gorzej jest z lewą ręką, która, osłaniając głowę, uratowała mu życie, lecz sama uległa tak poważnemu zmiążdżeniu, iż pomimo trzykrotnych zabiegów operacyjnych nie dało się doprowadzić jej do pierwotnego stanu. Jednakże jest pewność, że Paweł będzie nią władał normalnie z wyjątkiem, niestety, trzech palców.

— A kiedy mnie pan wypuści z łóżka? — zapytał Paweł.

Lekarz zaśmiał się:

— No, teraz za wcześnie mówić o tym. Pan jest zbyt wycieńczony.

— Jednakże mniej więcej?...

— Mniej więcej kwestia trzech tygodni.

Paweł skrzywił się i pomyślał, że doktor przesadza. Wprawdzie czuł się tak osłabiony, że aż dziwił się temu. Dotychczas nigdy nie chorował. To poczucie własnej słabości byłoby też dlań nieznośne, gdyby nie przeświadczenie, że prędko wyzdrowieje.

Pielęgniarka przyniosła obiad i lekarz wyszedł. Krzysztof, który przez cały czas milczał, poszedł go odprowadzić. Rosół był mocny i pachnący, a kotleciki z kury soczyste. Ręka jednak szybko zmęczyła się i Paweł odłożył widelec. Właśnie pielęgniarka zabierała się do karmienia Pawła, gdy Krzysztof wrócił i powiedział:

— Niech pani idzie na obiad. Ja to zrobię.

Usiadł na łóżku i wziął do ręki talerz. Ostrożnie podawał mu jedzenie bardzo drobnymi kęskami. Każdy kawałek mięsa maczał w sosie i uzupełniał odrobiną sałaty. Robił to z taką starannością i z takim przejęciem, że Paweł mimo woli uśmiechnął się doń²⁷¹. Pomimo czerwonego zmroku Paweł dostrzegł wrażenie, jakie wywarło to na Krzysztofie. Trochę zmieszał się, lecz odstawił pusty talerz i z taką systematycznością karmił Pawła winogronami. Każdą jagodę rozcinał, wyrzucał z niej pestki i ze skupieniem wkładał w usta chorego. Gdy skończył, Paweł powiedział:

— A ja myślałem, że ty mnie nienawidzisz...

— Jeżeli chcesz — szybko odpowiedział Krzysztof — możesz zapalić papierosa. Lekarz pozwolił.

— Dobrze, i zrób więcej światła. Mnie ta ciemność bardziej męczy, niż światło może mi zaszkodzić.

Krzysztof odsłonił okna w sąsiednim pokoju. Przez uchylone drzwi wpadła teraz szeroka smuga światła prawie niebieskiego. Teraz dopiero można było zauważyć, że Krzysztof bardzo zmizerniał i był niezwykle błydy.

— Jak to było? — zapytał Paweł.

— Napadnięto cię na ulicy Dworskiej. Postąpiłeś bardzo lekkomyślnie...

Ponieważ odkąd było jaśniej w pokoju, Krzysztof trzymał się z daleka od łóżka, Paweł odezwał się prawie rozkapryszonym tonem:

— Usiądź tu przy mnie. Rozmowa na odległość mnie męczy.

— W ogóle nie powinieneś za dużo mówić...

— Toteż usiądź tu i opowiedz mi, jak się to stało...

Krzysztof zawahał się, lecz w końcu zajął miejsce na brzegu łóżka i zaczął mówić, unikając wzroku Pawła.

— To właściwie moja wina... Zabrałem ci samochód. Właśnie wracałem Dworską, gdy zobaczyłem ciebie, leżącego pod parkanem... Szofer myślał, że to jakiś pijak. Pomimo to

²⁷⁰móźdzek (anat.) — część mózgu odpowiedzialna za koordynację ruchów. [przypis edytorski]

²⁷¹doń — skrócone: do niego. [przypis edytorski]

zatrzymałem wóz... to było... — głos Krzysztofa załamał się. — Nie dawałeś... żadnych oznak życia... Odwieźliśmy cię do domu. Na szczęście w porę przybył lekarz, a później chirurg... Po operacji jeszcze nie było wiadomo, czy jesteś uratowany... No, ale teraz już wszystko dobrze... Wszystko dobrze... Ja od razu wiedziałem, że ci nic złego stać się nie może. Nie masz pojęcia, co się działo. Więc przede wszystkim aresztowano wielu podejrzanych, ale istotnych sprawców nie znaleziono.

— Był tylko jeden.

— Jeden? — ze zdumieniem powtórzył Krzysztof.

— Dziwi cię, że jeden dał sobie ze mną radę?... Wyskoczył z zasadzki i miał w ręku łom żelazny czy młot. Coś bardzo ciężkiego. Nie zdążyłem przygotować się do obrony. Nie spodziewałem się napadu i zajęty byłem myślami. Zresztą sam sobie jestem winien. Mogłem to przewidzieć.

— Czy nie poznałeś go?

— Nie, ale wiem, kto to był.

— Kto? — zapytał Krzysztof, pochylając się nad nim. Jego oczy rozżarzyły się.

— Głupstwo — poruszył ręką Paweł. — Niedorzeczna zemsta za wydalenie z fabryki. Może pamiętasz, był taki zastępca Jachimowskiego, Karliczek? Wulgarnie²⁷² zwierzę. Mniejsza o niego.

— Jak to, więc nie każesz go aresztować?

— Nie. Po co? Żeby poniósł karę?... Po prostu szkoda zachodu. Nie wierzę w pedagogiczne znaczenie kary. Ani w jej moralną wartość.

Krzysztof poruszył się niecierpliwie.

— Nie rozumiem cię. Możesz nie uznawać kary jako czynnika społecznie wychowawczego, ale pozostaje zawsze czyste ludzkie żądanie zadośćuczynienia, wynagrodzenia, zemsty!

Paweł zaśmiał się cicho i zrobił ruch, jakby chciał kiwnąć głową, lecz ostry ból wykrzywił jego usta:

— Zemsta jest idiotyzmem. Nazywano ją rozkoszą bogów. Niechże pozostanie ich rozkoszą. Bogowie, widzisz, są wieczni i nie mają nic lepszego do roboty. Człowiek natomiast nie powinien tracić czasu i nerwów na rzecz tak nieproduktywną jak zemsta. Czy pamiętasz historię tego wspaniałego kretyna starożytności, który kazał łańcuchami biczować nieposłuszne morze²⁷³? Imponowało mi to, póki nie skończyłem lat piętnastu. Powinien być mianowany patronem policji. Chyba nikt przed nim nie dał tak heroicznego dowodu wiary w skuteczność metod policyjnych. Kara jest to zemsta wywierana przez silniejszego na słabszym. Zbiorowość, mszcząc się na jednostce, nazywa to karą, żeby było wznioślej. Zawsze dziwiłem się ludziom, którzy wierzą w mądrość Boga, gdy jednocześnie przypisują Mu ustanowienie piekielnych kar dla ludzi. Po to służyć istocie nadprzyrodzonej, by ją mierzyć paragrafami kodeksu karnego! Już bardziej rozumiem Greków, których bogowie domagali się namacalnych ofiar z wina, mięsa i kobiet, a boginie zsyłały nieszczęścia na tych śmiertelników, którzy nie chcieli spać z nimi w jednym łóżku. Tam rzecz odbywała się w rodzinie i szczerze, po ludzku. Ale to jeszcze nie znaczy, że mądrze! Na odwrót, myśliciele hinduscy zalecają poniechanie wszelkiej zemsty. Siadaj na progu twego domu, a doczekasz się chwili, gdy przejdzie pogrzeb twego wroga. Jeżeli w tym jest coś nierozsądnego, to tylko owo siedzenie na progu. Mnie osobiście nic nie obchodzi pogrzeby moich wrogów. Mogę ich nie widzieć. Mam tyle innego do roboty.

Dłgie mówienie zmęczyło go. Przymknął powieki i umilkł. Musiał jednak wytłumaczyć Krzysztofowi, że naprawdę nie zależy mu na zemście, że Krzysztof sprawiłby mu tylko niepotrzebny kłopot, wyzyskując wiadomość o Karliczku. Śledztwo, sądy i tak dalej... A przecie i tak kilkotygodniowe pozostawanie w łóżku diabelnie pokrzyżowało pilne i ważne sprawy. Po wyzdrowieniu trzeba będzie zabrać się do nich ze zdwojoną energią...

Zemsta

²⁷²wulgarny (z łac. *vulgus*: pospólstwo, tłum) — pospolity; prostacki; ordynarny. [przypis edytorski]

²⁷³historię tego wspaniałego kretyna starożytności, który kazał łańcuchami biczować nieposłuszne morze — król Persji Kserkses (ok. 517–ok. 465 p.n.e) podczas wyprawy na Grecję nakazał zbudować most w celu przeprowadzenia armii przez cieśninę Hellespont, oddzielającą Azję Mniejszą od Europy. Kiedy świeżo zbudowany most został zniszczony przez potężną burzę, władca rozkazał ukarać morze biczowaniem i wrzucić w głębinę kajdany (Herodot, *Dzieje*, II 33–34). [przypis edytorski]

— Rozumiem cię — odezwał się Krzysztof — jednak policja jest przekonana, że ty po dojeździe do przytomności wskażesz winowajców. Telefonują tu dość często z zapytaniem, czy możesz już zeznawać.

— Powiedz, że nie mam nic do zeznania. Możesz — Paweł uśmiechnął się — wytłumaczyć im to moją zasadą chrześcijańską: miłuję swe nieprzyjaciół²⁷⁴ i nie chcę ich krzywdy.

— Jednakże ja nie przebaczyłbym temu zbrodniarzowi — zaciął usta Krzysztof.

Paweł udał zdziwienie.

— Ależ on tylko mnie wyrządził szkodę! Chyba że odczułeś to jako własną, osobistą krzywdę...

Krzysztof potrząsnął głową i smutny, niemal tragiczny uśmiech zjawiał się na jego wargach:

— Nie, Pawle, przeciwnie... Powiniennem żywić dlań wdzięczność, tak, wdzięczność, i żal, że cię nie zabił.

— Kłamiesz — cicho odpowiedział Paweł.

— Nie kłamię. Gdybyś zginął, zginęłoby moje nieszczęście.

— Nieprawda. Krzysztofie, mówisz nieprawdę. Zaraz ci to udowodnię. Kiedyś mnie znaleźli tam na ulicy Dworskiej, myślałeś, że już nie żyję. Nie byłem nieprzytomny. Słyszałem wszystko, co się wokół mnie działo, słyszałem też krzyk... Każdy dźwięk tego krzyku do dziś dnia mam w uszach. Był to krzyk rozpacz. Był to twój krzyk.

— Leżałeś w kałuży krwi... Człowiek, każdy człowiek leżący w kałuży krwi...

— Nie — przerwał Paweł. — Pamiętam także i słowa, których wówczas nie mogłem opanować, które prawdopodobnie zapomniałeś. Ale ja je pamiętam. To nawet bardzo niedyskretnie udawać trupa i podsłuchiwać. Ale, kto wie, może cena, jaką za to zapłaciłem, wcale nie była za wysoka?...

— Jakież to były słowa? — drżącym głosem zapytał Krzysztof.

— To były słowa, jakich nigdy od nikogo nie słyszałem, jakich nawet nie chciałbym słyszeć od... nikogo... Zaklinałeś mnie, bym żył, zapewniałeś, że mnie kochasz...

Krzysztof opuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

— Tak — ciągnął Paweł — to był twój głos, głos, który odkrył mi twoją tajemnicę... Jakże mogłem nie poznać cię wcześniej!... Teraz wprost wytłumaczyć tego sobie nie umiem. Trzeba było aż takiego wstrząsu, bym potrafił oddzielić twój kobiecy głos od twego wyglądu mężczyzny... A przecież powiniennem był przeczuć, przeczuć...

W sąsiednim pokoju rozległy się czyjeś kroki. Krzysztof podniósł głowę, a Paweł urwał w pół słowa. Weszła pielęgniarka, duża tłusta kobieta, o której zaspokojonym apetycie świadczył ruch języka wewnątrz ust, powodujący mlaskanie, cmokanie i inne tego rodzaju dźwięki.

— Już samochód czeka, proszę pana — zwróciła się do Krzysztofa.

— Dziękuję pani — odpowiedział zmęczonym głosem i wstał.

— Wróci pan na opatrunek?

— Tak. Tymczasem, Pawle, mógłbyś się zdrzemnąć. Lekarz zalecił jak najwięcej snu. Zbyt długo rozmawialiśmy, to cię musiało zmęczyć.

Paweł obrzucił badawczym spojrzeniem mizerne rysy i zeszczuploną sylwetkę:

— Ty sam potrzebujesz wypoczynku — wyciągnął rękę.

Dłoń Krzysztofa była gładka i tak niewątpliwie kobieca, że jeszcze raz się zdumiał, jak mógł tak długo nie orientować się w tej tajemnicy.

— Do widzenia, Krzysztofie.

Przytrzymał rękę i puścił ją dopiero wówczas, gdy na jego twarzy spostrzegł niepokój.

— Do widzenia — cicho odpowiedział Krzysztof i wyszedł swoim szybkim elastycznym krokiem, krokiem, w którym każdy uważniejszy obserwator od dawna poznałby krok kobiecy.

Paweł przymknął powieki i postarał się wyobrazić sobie Krzysztofa w długiej sukni. Ponieważ jednak fantazja mu nie dopisała, odezwał się do pielęgniarki:

— Mój stryjeczny brat często mnie odwiedza?

— Odwiedza? — zdziwiła się.

²⁷⁴nieprzyjaciół (arch.) — dziś popr. forma B. Im: nieprzyjaciół. [przypis edytorski]

— No tak, pytam, czy podczas mojej choroby często tu bywał?

— Ależ, proszę pana, pan Dalcz był tu przez cały czas, od samego początku.

— Jak to przez cały czas?

— No tak. Trzeba go było wprost siłą wyprawiać na te kilka godzin snu. Przez pierwsze cztery doby nie odstępiał od pańskiego łóżka na jeden krok. Sama mówiłam, że po co ja w takim razie jestem potrzebna? Ledwie wyskoczył do jadalni przekąsić, już był z powrotem. Nawet doktorowi skarżyłam się, a doktor powiada: „Powinna pani się cieszyć, bo będziemy po wyleczeniu jednego pacjenta mieli drugiego”. A pański kuzyn nawet nie uśmiechnął się. I tak nikomu nie dowierzał. Wszystko sam koło pana robił.

— Jak to wszystko?

— Ano pomagał przy opatrunkach, bieliznę panu zmieniał, nawet przy potrzebach pomagał. Aż dziwiłam się, że młody człowiek i chce mu się, bo to zwykle panowie takimi rzeczami się brzydzą. Niczym rodzona matka! Już to mówiliśmy, że rzadko się zdarza, żeby krewniaki²⁷⁵ i w takiej przyjaźni byli.

— Tak... A więcej nikogo z mojej rodziny nie było?

— Jakże, proszę pana. Byli. Siostry pańskie przychodziły i brat specjalnie przyjechał, jeszcze wtedy, kiedy nie wiadomo było, czy pan z tego wyjdzie. Bo z początku to niby żadnej nadziei nie było. Mogę teraz mówić, bo już pan na pewno wyzdrowieje, ale z początku to tylko pański kuzyn w to wierzył. Toteż gdy zeszli się, szanownego pana znaczy się rodzina, to nikogo ani krokiem do sypialni nie wpuścił. To tam nie moja sprawa, ale słyszałam, bo bardzo głośno rozmawiali. To taki wysoki, łysy pan, pewno szwagier pana, a i brat domagali się, żeby im klucze wydać, bo pan pewno nie wyżyje, a jak nie daj Boże umrze, to oni tu mają prawo. A pański kuzyn to nawet gabinet im przed nosem zamknął i powiedział, że on doskonale wie, o co im chodzi, i że póki pan żyje, to za wcześniej nie kruków²⁷⁶... Ja bardzo przepraszam, proszę pana, ale ja tylko powtarzam.

— I cóż dalej?

— To się bardzo gniewali, a pański znaczy się kuzyn powiedział, że mogą skargę do policji wnieść, a teraz żeby wynosili się, bo wie dobrze, że oni, niby znaczy szanowna rodzina pana, tylko czyhają na śmierć i że pan zakazał im tu wchodzić..

— A gdzie są te klucze? — zaniepokoił się Paweł.

— O, niech pan będzie spokojny. Pan Dalcz ich z ręki nie wypuszcza. Nawet jak szedł do łazienki, to zawsze ze sobą zabierał. Raz, kiedy pojechał do domu przebrać się, a zauważył, że w tamtym ubraniu je zostawił, to natychmiast wrócił po nie. Pamiętam dobrze, bo akurat nikogo ze służby nie było i sama schodziłam sprowadzić taksówkę.

— A teraz nie wie pani, czy mój kuzyn prędko wróci?

Pielęgniarka rzuciła okiem na zegarek i oświadczyła:

— A za jakieś dwie godziny. Zawsze tak. Do fabryki jedzie na dwie, najdłużej trzy godziny i czasami w tym czasie to dzwoni pięć, sześć razy z zapytaniem, jak się pan miewa. Na pewno niedługo wróci.

I Paweł spodziewał się tego. Stało się jednak inaczej.

Tego dnia Krzysztof nie pokazał się w ogóle. Nazajutrz telefonował wprawdzie kilkakrotnie, wypytyując pielęgniarkę o zdrowie chorego, lecz też nie przyszedł. O ile początkowo irytowało to Pawła, zmuszało go do wypytywania pielęgniarki, która godzina itp., o tyle później był nawet zadowolony z nieobecności Krzysztofa. Czuł się wprawdzie o tyle jeszcze osłabiony, że kilka ruchów wyczerpywało zupełnie jego siły fizyczne, jednakże mózg powrócił do sprawnej, świadomej pracy. Na uplastycznienie sobie sytuacji nie potrzebował tracić zbyt wiele domysłów. Odkąd wiedział, że Krzysztof jest kobietą, cały szereg rzeczy dawniej dziwnych i tajemniczych konstruowało się w logiczny związek. Teraz stawało się jasnym, czym należało tłumaczyć odosobniony, niemal wrogi stosunek Krzysztofa do całego otoczenia, demonstracyjny flirt z Marychną, zastępstwo w służbie wojskowej i wszystkie anomalie w sposobie bycia.

Sam fakt ukrycia płci Krzysztofa i wychowania go od dziecka jako chłopca nie pozostawiał też żadnych znaków zapytania. Majątek nieboszczyka Wyzbora, zapisany pierworodnemu synowi państwa Karolostwa, był aż nadto wyraźnym powodem. Nie uległo

²⁷⁵krewniaki — popr.: krewniacy. [przypis edytorski]

²⁷⁶za wcześniej na kruków — tj. zbyt wcześniej na rozszarpywanie tego, co pozostało po kimś; zamiast B. rzecz. nieosob.: „na kruki”, użyty B. rzecz. osobowego. [przypis edytorski]

wątpliwości, że nie tylko pan Karol, lecz i niektóre osoby z bliskiego otoczenia, jak na przykład Blumkiewicz, musiały wiedzieć o tym, i jeżeli wypadło dziwić się czemu, to jedynie ich wstrzemięźliwości w zachowaniu tajemnicy.

Co więcej, Paweł zrozumiał teraz także i powody własnej swej życzliwości dla Krzysztofa, czegoś, co go doń pociągało, czegoś, co go niemal rozbierało, a w każdym razie uniemożliwiało trzeźwy i bezkompromisowy doń stosunek, taki jak do wszystkich innych. Uśmiechał się teraz do siebie na samą myśl, że dzięki tej maskaradzie posądzał siebie aż o popędy homoseksualne.

Niewątpliwie ta dziewczyna, przebrana za mężczyznę, miała w sobie coś fascynującego. Jakby miękkość przemocą umodelowaną w kanciaste formy, jakby skarykaturowany wdzięk, jakby subtelność, której nadano ostry, niemiły ton. A jednak pozostała ta specyficznie kobieca harmonia ruchów, nad której zamaskowaniem wiele musiano zużyć pracy, pozostały oczy ze swoim wyrazem i wspaniałe rzęsy, i linie twarzy, i świeże usta, do których nie dał się przykleić wyraz męskiej stanowczości... Jedno było pewne: spośród kobiet, z którymi się stykał, ta największe na nim robiła wrażenie.

Przez pewien czas leżąc z zamkniętymi oczyma, Paweł usiłował przekonać samego siebie, że nie zwróciłby wcale na nią uwagi, gdyby nie intrygujący szczegół męskiego przebrania. Ponieważ jednak w naturze Pawła nie było ani żdźbła talentu autosugestii, szybko pozbył się tej pożądaney myśli. Oczywiście w zwróceniu uwagi pewną rolę grać musiała niezwykłość sytuacji. Jednak w żadnej nie przeszedłby obok takiej dziewczyny obojętnie.

Najciekawsze było to, że interesowała go nie tylko fizycznie.

Dotychczas jego poglądy na psychologię kobiety dałyby się wyrazić w kilku zdaniach: psychologia aparatu rozrodczego, krąg zainteresowań nieprzekraczający sfery płciowej. Wszystko, co pozostaje poza funkcją rozmnażania się i macierzyństwa, co nie jest w oczywisty, namacalny sposób z tym związane, jest dla każdej kobiety najdoskonalej obojętne. Tu, lub około tego, powstają i rozwijają się jej namiętności, poglądy, wierzenia.

Paweł uważał sferę płci za niższą warstwę życia i jeżeli nie pogardzał nią, to w każdym razie lekceważył tych, dla których stanowiła ona rzecz ważną. Znał kiedyś pewnego Serba, który tak był przywiązany do swego psa, że gdy go przejechał samochód, omal nie rzucił się pod następny, a w rezultacie popadł w rozstrój nerwowy. W przywiązaniu, a tym bardziej w miłości do kobiety, w miłości, która zdolna byłaby w jakiś dostrzegalny sposób wpłynąć na tryb życia mężczyzny, widział ten sam nonsens.

Dawniej, gdy po raz pierwszy zauważył coś, co trzeba było nazwać rodzajem słabości do Krzysztofa, irytował się trochę na siebie. Później, gdy tę słabość skonstatował²⁷⁷ w sobie ponad wszelką wątpliwość, irytował się jeszcze bardziej. Teraz jednak, gdy odkrył źródło tej słabości, niezadowolenie z siebie minęło natychmiast. Na jego miejsce przyszła pewność, że rzecz została wyjaśniona, a tym samym unieszkodliwiona.

Nie żałował już tego, że pominął okazję, jaką wsuwała mu w ręce informacja Feliksia, a nie żałował dlatego, że pozbycie się Krzysztofa nie przedstawiało obecnie żadnego korzystnego interesu. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności przekonał się, że w tym, kogo uważał dotychczas za swego zawziętego wroga, znalazł istotę zdolną wręcz do ofiar na jego dobro, istotę, którą będzie mógł kierować w sposób, jaki dlań stanowić będzie największą wygodę.

Po tym, co usłyszał od pielęgniarki, mógł mieć pewność, że uczucia Krzysztofa dadzą się nazwać miłością. W inny sposób nie można było sobie wytłumaczyć postępowania tej dziewczyny. Niewątpliwie wiele jej zawdzięczał. Możliwe, że nawet życie. To jednak nie zobowiązywało go do niczego. Postępowała tak, jak nakazywał jej własny instynkt, własne upodobania, własna wola. Paweł nigdy dla nikogo nie miał uczucia wdzięczności. Może dlatego, że wszystko zawdzięczał sobie. I w tym wypadku fakt, że od zakochanej w nim dziewczyny doznał czegoś, za co według konwencjonalnych ludzkich pojęć musiałby zrewanżować się w taki czy w inny sposób, nie przemawiał doń wcale.

Jednakże przedłużająca się nieobecność Krzysztofa zaczynała go niecierpliwic ze względów zupełnie zrozumiałych. Pielęgniarka wprawdzie była bardzo gadatliwa i nawet czytywała mu głośno dzienniki, nie mogła jednak dostarczyć obchodzących go wiadomości.

²⁷⁷konstatować — stwierdzać jakiś fakt. [przypis edytorski]

Krzysztof pozostawał jako jedyny mniej więcej wystarczający łącznik ze światem. Dlatego wreszcie Paweł kazał pielęgniarce zatelefonować doń i zażądać, by przyjechał.

Dosłownie w kwadrans po telefonie Krzysztof zjawił się.

— Niech pani nas zostawi samych — zwrócił się Paweł do pielęgniarki.

Oczy Pawła przyzwyczaiły się już do światła, toteż okna sypialni były szeroko otwarte i w pokoju było jasno od słońca. Dwa dni wypoczynku musiały wyrzucić swój wpływ na wygląd Krzysztofa. Cerę miał bardzo świeżą. Spod oczu znikły niebieskie cienie. Stał przed łóżkiem i przyglądał się Pawłowi wzrokiem, którego treści ślepy tylko nie mógłby odczytać.

— Dzień dobry. — Paweł wyciągnął rękę, a gdy Krzysztof podał swoją, pociągnął ją ku sobie. — Tak długo cię nie było... Zostawiasz mnie samego i pozwalasz tęsknić...

Krew uderzyła do twarzy Krzysztofa. Rzęsy załopotaly gwałtownie i odwrócił głowę. Zrobił ruch, jakby chciał odejść, lecz Paweł nie puszczał ręki.

— Usiądź, Krzysztofie... Właściwie mam z tym duży kłopot. Nie wiem, jak mam cię nazywać. Muszę chyba skobiecic twoje imię... Krystyna, prawda?

— Nie. Nazywaj mnie tak, jak dawniej...

— To byłoby prawie perwersyjne²⁷⁸.

Zaśmiał się, lecz nie zdołał wywołać uśmiechu na twarzy Krzysztofa. W ogóle odkąd go poznał na pogrzebie ojca, nie widział nigdy, by się uśmiechał, jeżeli nie brać pod uwagę uśmiechu ironicznego. Przypomniał sobie, że i Marychna to zauważyła, bo kiedyś, jeszcze przed wyjazdem do Szwajcarii, dziwiła się temu.

— Usiądź. Muszę teraz innymi oczyma przyjrzeć się tobie. Jesteś moją nowo narodzoną kuzynką. Wyobrażam sobie, jak ślicznie wyglądałabyś we właściwszym dla ciebie stroju. Czy nigdy nie nosiłaś sukni?

— Nigdy.

Powiedziała to tak smutnie, że aż się zdziwił:

— Dlaczego więc tego nie zrobisz? Przecie przynajmniej za granicą mogłabyś być sobą.

— Nie wiem, nie potrafiłbym już chyba. Nawet mówić o sobie jako o kobiecie nie umiem...

— I źle ci z tym?

— Dajmy temu spokój. Chciałeś, bym przyjechał. Czy masz jakieś dyspozycje?

Paweł przecząco poruszył głową i skonstatował:

— Widzisz, już mogę nawet potrząsać swoją mózgownicą, i nie odczuwam bólu.

— Tak, i wyglądasz znacznie lepiej. Lekarz mówił, że organizm tego typu, co twój, bardzo szybko powraca do równowagi.

— Mam żelazne zdrowie i fizycznie szybko wyzdrowieję, ale trzeba mi też coś dla ducha.

Zaśmiał się i dodał:

— A ty mi dla ducha pozostawiłaś tylko pielęgniarkę. Jesteś miłosierna tylko dla mego ciała.

— Paweł... Przecie wiem, że mnie nie potrzebujesz...

— Mylisz się. Nie posiadasz widocznie zmysłu obserwacyjnego, jeżeli mogłaś nie zauważyć tego, że od pierwszej chwili naszego spotkania robiłem wszystko, by się do ciebie zbliżyć. To ty na każdym kroku dawałaś mi odczuć, że jestem ci niepotrzebny, ba, nawet niemiły.

Krzysztof odwrócił głowę i wyszeptał:

— Chyba to rozumiesz...

— Nie — stanowczo zaprzeczył Paweł — nie rozumiem i zrozumieć nie potrafię. Jeżeli czegoś pragnę, idę ku temu, nie zaś w przeciwnym kierunku.

— Ale są rzeczy nieosiągalne!

— A dają się osiągnąć tylko wówczas, gdy ktoś dostanie parę uderzeń żelaznym łomem po czaszce. Nie, moja droga, nie rozumiem tej filozofii. Dla wielu ludzi utrudnianie sobie życia stanowi jakiś ulubiony sport.

²⁷⁸perwersja (z łac. *perversio*: przekręcenie) — wynaturzenie. [przypis edytorski]

— Nie ciekaw jesteś tego, co się dzieje w fabryce? — spróbował Krzysztof zmienić temat rozmowy.

Widocznie i Paweł nie przywiązywał wagi do natychmiastowego postawienia kropki nad i, łączącym ich dwoje, gdyż sam zaczął wypytywać o remont hartowni, o dział traktorów, o zamówienia na frezarki²⁷⁹, o ceny stali, o koniunkturę²⁸⁰ rynkową, o cały szereg spraw drobniejszych. Dowiedział się, że od czasu jego choroby zastępstwo objął Krzysztof, że szło mu dość ciężko, gdyż z wieloma kwestiami nie był obeznany, lecz odkładając je, a zasięgając rady osób kompetentnych w innych, jakoś dawał sobie radę. W fabryce wszystko szło normalnym biegiem, z wyjątkiem wstrzymania dostawy szlifierek, za które nie wpłacono kolejnej raty w związku z zachwianiem się Banku Bałtyckiego.

Nie zmieniając tonu, Krzysztof zakomunikował, że w stanie zdrowia jego ojca nastąpiło znaczne pogorszenie i że katastrofy należy się spodziewać lada dzień. Przez pewien czas ukrywano przed panem Karolem wypadek Pawła, w końcu jednak wiadomość o tym dotarła doń i była powodem niebezpiecznego wstrząsu nerwowego, który odbił się na osłabionym sercu.

— Ojciec bardzo cię lubi i ceni — zakończył Krzysztof.

— Miejmy nadzieję, że zdrowie jego poprawi się — ze współczuciem powiedział Paweł i przyszło mu na myśl, że w razie śmierci stryja Karola objąłby prezesurę, no i oczywiście rządziłby firmą bez niczyjej kontroli.

Przed wszystkim wypędziłby Blumkiewicza na cztery wiatry. Oczywiście po uprzednim zbadaniu, czy nie dorobił się na swoim totumfactwie²⁸¹ zbyt wysokich pieniędzy. Dowiedzieć się o tym mógł łatwo, choćby w ten sposób, że zaproponuje mu nabycie pakietu udziałów. Blumkiewicz zbyt przywiązany był do domu Dalczów, zbyt obeznany z interesami firmy, by nie dał się złapać na tę wędkę. Zresztą jako posłuszne narzędzie w rękach człowieka doświadczonego mógł być nawet pożyteczny.

Korzystając z informacji pielęgniarki, skierował rozmowę na swoją rodzinę. Spodziewał się, że Krzysztof zechce mu w najczarniejszych kolorach przedstawić ów zlot kruków i sępów. Tymczasem ten powiedział lakonicznie:

— Owszem. Byli tu. Chcieli mi nawet dopomóc w załatwianiu twoich spraw. Ja jednak mało ich znam i nie mam do nich dlatego zbyt wiele zaufania. Zresztą mogłem się obejść bez nich. Skorzystałem tylko z ofiarowanej pomocy przy pielęgnowaniu ciebie Nity Jachimowskiej.

— Tak? — zdziwił się Paweł.

— Zrobiła na mnie miłe wrażenie. No i miałem powody przypuszczać, że ta panna cieszy się twymi specjalnymi względami...

Mówiąc to, patrzyła na Pawła swymi szeroko rozwartymi czarnymi oczyma, w których był wyraz niepokoju, obawy i niemal prośby o zaprzeczenie. Paweł zaśmiał się:

— Zbyt wiele przypisujesz mi, moja droga, powodzenia w rodzinie.

— Nita jest bardzo ładną dziewczyną.

— Owszem. Mówiła mi kiedyś, że nie jestem jej typem, że natomiast podobają się jej tacy smukli, czarni chłopcy, jak ty. Jak widzisz, z nas dwojga raczej ja mógłbym mieć jakieś niepokoje.

Sięgnął po jej rękę i ukrył ją w swojej:

— Byłaś bardzo dobra dla mnie. Wiem wszystko. Czasami gadatliwość bywa zaletą. Mówię o pielęgniarce. Opowiedziała mi, jak wiele swego trudu i czasu marnowałaś dla mnie...

— O, nie...

— Tak. Nie zaprzeczaj. Wiem, dlaczego to robiłaś. I teraz wcale nie żałuję napadu i dziury w głowie. Warto było tę cenę zapłacić za możliwość przekonania się o tym, że mam na świecie kogoś tak mi bliskiego jak ty.

²⁷⁹frezarka — maszyna do obróbki skrawaniem za pomocą frezu; służy do wykonywania np. rowków, gwintów, kół zębatych. [przypis edytorski]

²⁸⁰koniunktura — spłot okoliczności, szczególnie tych istotnych, mających wpływ na jakość życia, ekonomię itp. [przypis edytorski]

²⁸¹totumfactwo — postawa i działania charakteryzujące *totumfactego* (daw.): osobę zaufaną i wszystko komuś załatwiającą, wypełniającą bez sprzeciwu wszelkie polecenia (z łac. *totum facere*: wszystko czynić). [przypis edytorski]

Krzysztof zbladł i usta mu drżały, gdy powiedział:

— Nie mów tak, Pawle... Nie trzeba tego dotykać słowami. Nie chcę o tym myśleć, pozwól, by ten obłoczek naiwnego złudzenia jak najdłużej zasłaniał przed mymi oczyma nieszczęście, które przecie jest moim przeznaczeniem...

Paweł zmarszczył brwi:

— Dlaczego złudzenia? Dlaczego nieszczęście!

— Och, Pawle, a czymże jest moje życie?... Powiedz, czy był w nim jeden jasny promień, czy było jedno słowo tak bodaj ciepłe, jak te, którymi mi teraz dajesz jałmużnę?... Nie pytaj, Pawle. Nie pytaj, bo gdybym powiedział ci, co to jest miłość, taka jak moja, beznadziejna, rozpaczliwa miłość, tobyś się przeraził! Rozumiesz? Przeraziłbyś się jej chciwości, jej szalenstwa, jej bezgraniczności. Ona jest jak przepaść bez dna, w której cały świat i wszystkie jego sprawy są zaledwie drobną okruszyną, są niczym!... Och, Pawle, po co mi pozwalaś o tym mówić, po co mi pozwalaś!... Miejże tyle nade mną litości i każ mi milczeć! Zaśmiej się swoim zimnym śmiechem, odpędź mnie od siebie, póki jeszcze czas, bo będę się wlec za tobą jak kula u nogi, będę się czołgać jak wiecznie głodne zwierzę, którego ty, choćbyś chciał nakarmić, nie potrafisz, bo ja chcę ciebie całego, bo bez ciebie żyć nie umiem, bo żadnej najdrobniejszej cząstki twojej myśli, twego spojrzenia, twego ciała wyrzec się nie umiem, gdyż wówczas skończy się istnienie, a moje istnienie to największy skarb, bo to myśl o tobie, bo to rozpamiętywanie ciebie, bo to rozpacz, którą można upijać się aż do utraty przytomności...

Niski głęboki głos stawał się coraz cichszy, a przecie zdawało się, że brzmi coraz głośniejszy. Z twarzy uciekła ostatnia kropla krwi, wargi blade, jakby zmartwiały, ledwo się poruszały i tylko oczy rozżarzały się niepojętą, wywołującą dreszcz ekstazą.

Paweł nie mógł znieść tego spojrzenia. Opuścił powieki, lecz i przez nie czuł wzrok, który go przenikał, napędzał wzburzeniem, jakimś niezrozumiałym niepokojem, jakimś obcym i wrogim jego mózgowi uczuciem, wywołującym bunt, potrzebę natychmiastowej reakcji.

Lecz nie mógł wymówić ani słowa. Pokój pełny był jeszcze szalonych słów tej dziewczyny, obezwładniających, narkotycznych, zawierających w sobie potęgę, w którą nie wierzył, która po prostu istnieć nie mogła, a której przecie ulegał.

Leżał z zamkniętymi oczyma i walczył z myślą, że oto przestaje być sobą, że postawiono przed nim zagadnienie, którego rozwiązać nie potrafi, że dogmat jego życia zachwiał się w podstawie i że znaleźć nie umie żadnego argumentu, żadnego odruchu wyobraźni, który by mógł równowagę przywrócić. Wprost drżał z obawy, że znowu zabrmi głos tej dziewczyny, głos, którego dźwięku pragnął teraz bardziej niż kiedykolwiek...

Ona jednak umilkła.

Słyszał, że wstała i odeszła w drugi kąt pokoju. Szła krokiem wolnym, jakby śmiertelnie zmęczona. Przez otwarte okna, stuszowane²⁸² matowo, dobiegały odgłosy ruchu ulicznego. Milczeli oboje, lecz po długim czasie milczenie zaczynało być dla Pawła nieznośne. Nie umiał znaleźć wyrazów, którymi mógłby zacząć, wyrazów, które by miały ciężar gatunkowy chociaż w przybliżeniu odpowiedni.

— Przyjdź tu do mnie — odezwał się wreszcie.

— Pawle! — odpowiedział cichy głos.

Paweł kaszlnął i poruszył się w łóżku.

— Widzisz, moja mała, kochana Krysieńko, ja nie umiem... Zbyt twardy jestem, zaskorupiał, opancerzony, ale rozumiem cię, odczuwam, wiem, że...

— Nie, nie mów, Pawle — przerwała. — Tak cicho jest i dobrze.

— Chodź do mnie.

Zbliżyła się lekkim, prawie niedosłyszalnym krokiem, nie widział jej, gdyż miał zamknięte oczy, lecz wiedział, że pochyliła się nad nim, owionął go ciepły subtelny zapach i nagle na spieczonych wargach odczuł jej usta, drżące, łagodne i chłodne.

Wyciągnął rękę i przesunął palcami po jej twarzy. Wzięła jego dłoń w obie ręce i przywarła do niej ustami.

²⁸²stuszowane (okna) — takie, w których zmniejszono ostrość widocznego przez nie obrazu. [przypis edytorski]

— Jakże ja głupio postępuję — odezwała się z rozczuleniem. — Ty jesteś jeszcze tak bardzo osłabiony, a ja nie panuję nad sobą i zaprzętam ci myśli moimi sprawami... Daruj mi, Pawle...

Otworzył oczy i zobaczył tuż nad sobą jej twarz uśmiechniętą, nie uśmiechniętą, lecz jakby rozjaśnioną, i nagle bez żadnego przecie powodu, bez żadnej rozsądnej przyczyny poczuł w sobie radość.

W sąsiednim pokoju rozległy się człapiące kroki pielęgniarki. Przyszła i oznajmiła, że przyjechał lekarz.

Opatrunek zajął około godziny czasu. Rana nad skronią była już na zupełnym wygojeniu. Ręka natomiast wymagała jeszcze dłuższej kuracji. Doktor był zupełnie zadowolony ze stanu pacjenta. Wypytał i opukał go szczegółowo, orzekł, że przy uintensywnieniu odżywiania, w krótkim czasie Paweł będzie mógł wstawać z łóżka na kilka godzin dziennie. Zburczał też pielęgniarkę, że niepotrzebnie próżnuje:

— Pani już tu sama niewiele ma do roboty, a jeszcze akaparujecie²⁸³ sobie pana Krzysztofa, który biedak schudł na szczapę. Powinien pan się wyspać dobrze i jeść za trzech.

Od tego dnia zaczęła się rekonwalescencja Pawła.

Początkowo, ulegając prośbom Krzysztofa (ilekroć byli razem, nazywał ją już kobiecym imieniem), nie zajmował się niczym, ograniczając się tylko do czytania czasopism. Jednakże już po czterech dniach kazał wezwać do siebie Holdera, a nazajutrz inżyniera Kamińskiego.

Od rana siadał w fotelu przy oknie, dokąd kazał przenieść aparat telefoniczny, i tak pomалу powracał do dawnych zajęć. Najwięcej sprawiało mu kłopotu to, że nikomu nie mógł powierzyć opracowania sprawy kauczuku, a większość materiałów znajdowała się w biurku fabrycznym; nie chciał prosić Krzysztofa, by mu je przyniósł, gdyż nikogo nie mógł wtajemniczać w przygotowywaną akcję.

Tymczasem odbył konferencję z inżynierem Ottmanem. Z zadowoleniem dowiedział się, że budowa fabryki postępuje szybko i że nic nie wpłynęło na wstrzymanie robót. Polecił Ottmanowi zrobić wszystko, by jeszcze bardziej przyspieszyć tę sprawę. Liczył na to, że przy końcu miesiąca da się rozpocząć pierwszą próbę kauczuku, a że w przeciągu dwóch fabryka będzie w pełnym biegu.

Powrócił też do prac związanych z projektowaną centralą eksportową, w związku z czym odwiedziło go kilka osobistości ze świata gospodarczego. Rzecz była na najlepszej drodze. Gdyby zdecydował się uruchomić centralę kapitałami obcymi oraz kredytem rządowym, udzielonym Związkowi Przemysłu Metalowego, właściwie mógł już przystępować do organizacji. Wolał jednak zaryzykować pogorszenie koniunktury i przeczekać, aż sam zdobędzie wystarczające kapitały. Kiedyś dlatego właśnie zainteresował się kauczukiem, przypuszczając, że ten da mu dużą płynną gotówkę, teraz jednak podczas długich samotnych godzin, spędzonych w fotelu, pomалу zaczynała rysować się w jego wyobraźni całkiem nowa koncepcja sfinansowania centrali wywozu.

Myśl zrodziła się po przeczytaniu jednego z dzienników niemieckich, gdzie znalazł nie pozbawione złośliwości uwagi o kurczeniu się zapasu złota i walut w Banku Polskim, w związku z czym należało spodziewać się spadku złotego. Horoskopy te nie były pozbawione słuszności, miały logiczne oparcie w kurczeniu się polskiego bilansu płatniczego.

Dopływ walut obcych, a w szczególności dolarów i funtów, małał stale. Z drugiej strony Paweł wiedział, że i w rządzie z tego powodu panuje zrozumiałe zdenerwowanie i gorączkowe próby znalezienia dróg ratunku. Dróg takich w obecnej sytuacji nie było wiele. Najprostszą byłoby uzyskanie większej pożyczki zagranicznej, lecz nikt nie mógł się łudzić, by Polska miała na nią bodaj minimalne szanse ze względu na konfigurację międzynarodowych stosunków politycznych. Pozostawał jedyny realny sposób wyjścia: osiągnięcie z wywozu takiego dopływu walut, jaki zapewniłby utrzymanie kursu złotego i uniknięcie inflacji.

²⁸³ *akaparować* (daw., z fr. *accaparer*) — zagarniać dla siebie. [przypis edytorski]

Tu trzeba było dwóch rzeczy: zdobycia rynków przez dumpingowe²⁸⁴ obniżenie cen swoich towarów i koncentracji wpływających walut w rękach państwa.

Jeżeli chodziło o dotychczasowe metody Skarbu w utrudnianiu cyrkulacji²⁸⁵ walut obcych na terenie kraju, Paweł uważał je za bezsensowne i bez trudu mógł dowieść ich zupełnej nieskuteczności. Zakazy, kary i cały ten system policyjny mógł ograniczyć jedynie drobne, nic nieznaczące transakcje, lecz nawet nie stać go było na przeciwdziałanie pędowi lokowania oszczędności w dolarach czy frankach szwajcarskich.

Tu zatem mógł liczyć na zrozumienie swojej koncepcji wśród czynników decydujących w rządzie. Jeżeli chodziło o drugą stronę kwestii, to należało liczyć się z tym, że przemysł polski nie był w stanie obniżyć cen swojej produkcji w żadnym znacznym stopniu. W grę mogło wchodzić najwyżej pięć do siedmiu procent obniżki. Przynajmniej tak się miała rzecz z trzema głównymi artykułami: z węglem, żelazem i cynkiem. Nafta i produkty rolne mogłyby zejść do dziesięciu procent. Ta jednak obniżka nie stwarzała by cen dostatecznie niskich, by towary polskie na rynkach obcych mogły zwycięsko konkurować z eksportem innych krajów.

Zatem należało uzyskać od rządu premię wywozową²⁸⁶, a premia taka w żadnym razie nie mogła być jawna. Wywołałoby to szereg zatargów międzynarodowych i represji, w których wyniku polski Skarb musiałby premię cofnąć. Należało zatem w taki sposób ją ukryć, by istnienia jej trudno było się domyśleć, a tym bardziej udowodnić. I tu właśnie Centrala Eksportowa miała do odegrania swoją wielką rolę.

Paweł, znając stosunki rządowe, konserwatywizm osób decydujących i obawę przed eksperymentami, przewidywał także opór przemysłowców, którzy niewątpliwie dopatrzą się w projekcie nowej formy gospodarki etatystycznej²⁸⁷. Pomimo to powzięta myśl parlała go do działania i nie dawała spokoju. Gdyby nie to, że poruszanie się w obrębie jednego pokoju sprawiało mu wiele zmęczenia, sam uwierzyłby, że ma już dość sił do porzucenia fotelu i zabrania się do dawnej wyętej pracy.

Po upływie tygodnia był już w biegu spraw fabrycznych i posługując się telefonem, przejął faktycznie kierownictwo przedsiębiorstwa. Jedynym ustępstwem, jakie zrobił, ulęgając prośbom Krzysztofa, było bezczynne spędzanie wieczoru.

Nad spełnieniem tej obietnicy czuwał sam Krzysztof, który codziennie wprost z fabryki przyjeżdżał do niego. Jedli razem obiad i rozmawiali przeważnie o sprawach fabrycznych. Krzysztof kilkakrotnie zauważył różne notatki i papiery, które nie miały nic wspólnego z Zakładami Dalców, lecz po pierwszej wymijającej odpowiedzi Pawła nie pytał już więcej o nie. Paweł zaś nie mówił o swoich projektach nie dlatego, by nie miał do Krzysztofa zaufania, lecz po prostu z tej racji, że nigdy z nikim swymi planami się nie dzielił.

Ułożyło się między nimi tak, że oboje starali się też unikać spraw czysto osobistych. Paweł czuł nieszczerą atmosferę tego stanu rzeczy i nie było mu z tym zbyt wygodnie, gdyż nie lubił sytuacji, w których pozostawał dłużnikiem. Bądź co bądź winien był tej dziewczynie wiele i nie dokuczałoby mu to wcale, gdyby nie fakt, że i ona uświadamiając sobie musiała ów dług zawieszony w powietrzu.

Po wyznaniu, które sprowokował, czuł się obowiązany do swego rodzaju zadośćuczynienia, do pewnego, takiego czy innego, rewanżu, a w każdym razie do wyjaśnień. Wprawdzie dziewczyna bynajmniej nie nagliła go do nich. Przeciwnie, w jej sposobie bycia zdawała się panować równomierna pogoda, a w dźwięku jej głosu brzmiało coś, co miało ton bezinteresownego koleżeństwa.

Gdyby Paweł mniej szybko powracał do zdrowia, prawdopodobnie znalazłby czas na przemyślenie sposobów pozbycia się tego moralnego serwitutu²⁸⁸. Ponieważ jednak bez

²⁸⁴*dumping* (ekonom.) — taktyka polegająca na sprzedaży swoich produktów po cenach niższych niż obowiązujące na rynku (w skrajnym przypadku niższych od kosztów produkcji); celem może być wyeliminowanie konkurencji, podbicie nowego rynku itp. [przypis edytorski]

²⁸⁵*cyrkulacja* (z łac.) — obieg. [przypis edytorski]

²⁸⁶*premia wywozowa* — tu: państwowa dopłata do eksportu towarów. [przypis edytorski]

²⁸⁷*etatystyczna gospodarka* (fr. *l'état*: państwo) — gospodarka, w której państwo dąży do objęcia przedsiębiorstw swoją władzą i kontrolą, tworząc nowe przedsiębiorstwa państwowe lub przedsiębiorstwa o kapitale państwowo-prywatnym, albo też przejmując istniejące spółki prywatne; w szerszym znaczeniu często utożsamiana z *interwencjonizmem*: polityką bezpośrednich ingerencji państwa w gospodarkę. [przypis edytorski]

²⁸⁸*serwitut* (z łac.) — przen. powinność, zobowiązanie. [przypis edytorski]

reszty pochłaniały go plany Centrali Eksportowej i wielkiego przedsięwzięcia kauczukowego, uwalniał siebie od obowiązku zaprzętania mózgu kwestiami, nieposiadającymi przecie żadnych terminów ani żadnych konkretnych kształtów.

Pomimo to uczuwał pewnego typu skrępowanie, które występowało zwłaszcza wówczas, gdy oczekiwał jej przyjazdu. Z początku myślał, że uczucie to z biegiem czasu wytworzy w nim niechęć do Krzysztofa, dokuczliwe zniecierpliwienie i drażniącą nudę, jaką rodzi w beznadziejnie niewypłacalnym dłużniku ustawiczne zjawianie się wierzyciela.

Jednakże wystarczyło kilkominutowe spóźnienie Krzysztofa, by całą rzecz w innym ukazał świetle. Była to niewątpliwa niecierpliwłość, nie pozbawiona odrobiny niepokoju. I przeciwnie: obecność Krzysztofa, jego ciepły, na pozór obojętny głos, pełne harmonii ruchy, subtelne rysy i zapach jego wody kolońskiej napełniały pokój łagodnym powietrzem, w którym się znacznie lepiej oddychało, w którym uśmiech zjawiał się nie pod przymusem mózgu dla jakiejś dyplomatycznej racji, lecz całkiem bez sensu, bez powodu i bez celu.

Po prostu dobrze mu było z tą dziewczyną. Znikło wprawdzie dawniejsze zaciekanie, dawniejsza nieuzasadniona zawziętość, z jaką starał się zbliżyć do Krzysztofa, lecz pozostała sympatia, która może nabrała jeszcze wyraźniejszego dźwięku w owe wieczory, kiedy w pokoju panował zupełny mrok, a przez otwarte okno światło latarni ulicznych rzucało na sufit ruchomą koronkę liści kasztanów.

W jeden z takich wieczorów przyszła Nita. Najpierw telefonowała, a w pół godziny potem zjawiała się roześmiana, głośna, żywiołowa:

— Oto obrazek! — zawołała. — Moi dwaj czcigodni i poważni wujowie siedzą tu po ciemku niczym romantyczna zakochana parka! Nigdy nie wyobrażałam sobie, by stateczni ludzie interesu nadawali się do marzeń o zmroku. Jakże się miewasz, wujaszku?

Paweł uściśnął jej rękę i pociągnął ku sobie:

— Zazdrościsz nam tych marzeń o zmroku? Zapal wobec tego światło.

— A może wuj Krzysztof nie chce? — zapytała z wyraźną kokieterią w głosie.

— Ależ proszę cię, Nito — uśmiechnął się Krzysztof i znacząco spojrzął na Pawła.

Pokój załało światło i Paweł, mrużąc oczy, powiedział:

— Widzisz, gdybyśmy wyglądali tak ładnie, jak ty, nie ukrywalibyśmy się w cieniu.

Nita roześmiała się swobodnie, zdjęła берет, żakiet i szal, przysunęła sobie do okna krzesło i rzuciła swobodnie:

— No, ty nie wyglądasz jeszcze zachęcająco, ale wuj Krzysztof zyskuje w pełnym świetle.

Paweł pokiwał głową:

— Powiadam ci, Krzysiu, że ta mała gotowa jest w tobie zakochać się.

— A może! — wyzywająco podniosła noskę Nita.

— Pozostaje mi żałować — z udawaną powagą powiedział Paweł — że nie mogę dyskretnie ulotnić się i zostawić was samych. Darujcie moje niedołęstwo. Ma to jednak i dobre strony. Mogę odegrać rolę starego dziadunia w charakterze przyzwoitki. No, nie róbże takiego oka, moje dziecko. Powiadam ci, że wuj Krzysztof jest bardzo niedoświadczony w tych rzeczach i zbyt agresywny atak gotów go przerazić.

— Wątpię, czy jest taki strachliwy. Straciłby wszystko w moich oczach.

Na progu zjawił się służący z zapytaniem, czy może podawać kolację panom i czy jaśnie panienka też na niej zostanie. Nita oświadczyła, że nie ma zamiaru wracać teraz do domu i jeżeli wujowie pozwolą, będzie zastępowała panią domu. Podczas kolacji dość bezceremonialnie kokietowała Krzysztofa, co bardzo bawiło Pawła.

Przyszło mu na myśl, że Nita nie wyczuwa kobiecości Krzysztofa tylko dlatego, że sama jest jeszcze bardzo młoda, a co za tym idzie, nie może mieć dostatecznie wykształconego instynktu płciowego. Miał przecie sprawdzian na sobie.

Dochodziło do tego, że sam kiedyś posądzał siebie o podświadomy homoseksualizm, gdyż niewątpliwie czuł fizyczny pociąg do Krzysztofa, chociaż ani przez moment wówczas nie podejrzewał, że może to być kobieta. Widocznie muszą istnieć jakieś emanacje psychofizyczne, które dają znać instyngtom samca o obecności samicy i odwrotnie, bez udziału ich świadomości.

Czytał kiedyś, że sępy odnajdują żer przy pomocy wzroku. Węch tak dalece nie odgrywa tu roli, że ptaki te mogły chodzić po padlinie przykrytej płótnem i nie zdradzały

Zmysły

nawet przecucia bliskości jadła. Natomiast obecność samicy rozpoznawały nawet wówczas, gdy nakładano im kaptur na głowę. Coś podobnego istnieje na pewno i u ludzi. Stwierdził to na sobie.

Kwestia ta tak go zaciekawiła, że po kilku dniach, kiedy utartym zwyczajem siedzieli z Krzysztofem przy oknie, postanowił go wypytać. Niewątpliwie Krzysztof miał możliwość porobienia wielu obserwacji. Stykając się z kolegami na politechnice, podczas praktyki za granicą, a i tu w fabryce, musiał spoznać jakieś specyficzne cechy w ustosunkowaniu się mężczyzn. Krzysztof jednak zaprzeczył.

— Trzymałem się zawsze jak najdalej od wszystkich. Od dziecka wychowywano mnie w warunkach nienormalnych. Byłem zawsze sam. Do szkoły nie chodziłem. Egzaminy zdawałem jako ekstern²⁸⁹. Później na politechnice wprawdzie nieraz zbliżali się do mnie koledzy, lecz były to zbliżenia natury wyłącznie koleżeńskiej. Przynajmniej tak je wówczas przyjmowałem, a ze zrozumiałych względów uciekałem nawet od rozmów. Tłumaczono to sobie prawdopodobnie moją dzikością czy też obyczajami mego kraju. Zresztą starałem się dostosować jak najbardziej do tonu tych środowisk męskich. Używałem ordynarnych przekleństw i nieprzyzwoitych słów z zupełną swobodą. Nie potrzebuję ci dodawać, że tak samo nie cierpiałem kobiet...

— Ale u nich miałeś powodzenie?

— Nie. Możesz to łatwo zrozumieć. Przecie byłem skazany na spędzenie życia w sposób zupełnie bezpieczny. Zostawiono mnie poza nawiasem życia...

Paweł przypomniał sobie szare arkusiki jedwabistego papieru. Miał wielką ochotę zapytać Krzysztofa, do kogo były pisane te rozpaczliwe listy. Oczywiście teraz wiedział już ponad wszelką wątpliwość, że Krzysztof pisał je do niego, lecz tak kociła go chęć usłyszenia potwierdzenia z jego własnych ust, że dużo trudu kosztowało Pawła powstrzymanie się od wyznania, że listy czytał. Tam też była mowa o owym nawiasie życia, zamkniętym na zawsze.

— To musiało zrodzić we mnie nienawiść do życia — ciągnął Krzysztof. — Stara bajka o lisie i winogronach...

— I mogłaś się z tym pogodzić? — zdziwił się Paweł. — Nie próbowałaś walczyć? Przecie, do licha, musiałaś odczuwać po prostu najzwyczajniejszy prozaiczny popęd, zwykłą „wolę bożą”!...

Krzysztof potrząsnął głową:

— Przeciwnie. Pogodziłem się ze swoim losem. Pocieszałem się tym, że nie jestem ani pierwszy, ani ostatni, a raczej ani pierwsza, ani ostatnia z kobiet, skazanych czy zmuszonych do przejścia przez życie w męskim przebraniu. Było ich wiele. Nie zdziwisz się, gdy ci powiem, że namiętnie zbierałem o nich wszystko, co się po różnych bibliotekach i archiwach dało znaleźć. Historia wielu rodów, tronów, a nawet Watykanu, zawiera dużo materiału w tej dziedzinie. Wyprawy krzyżowe, wojny średniowiecza, bunty, powstania, a także i kroniki kryminalne najdawniejszych czasów miały mi przynieść pociechę. Wiele było kobiet, które studiowały na uniwersytetach w męskim przebraniu, wiele udawało mężczyzn podczas Wielkiej Wojny²⁹⁰. Nie wierzyłem tylko w jedno: nie wierzyłem, by która z nich mogła być szczęśliwa.

— No, ale w końcu sobie jakoś radziły — uśmiechnął się Paweł.

— Zapewne. Niektóre z nich prowadziły podwójne życie...

Paweł zamyślił się i wreszcie zdecydował się zapytać:

— No, a ty?

Krzysztof wzruszył ramionami:

— Nie potrafię...

— Jednakże, daruj, ale co ma znaczyć wobec tego ta twoja sekretarka, ta, no, jakże jej, Marychna?

Krzysztof uśmiechnął się blado i wstał:

— Próba — powiedział ironicznym tonem — szaleńcza próba przystosowania się do warunków. Próba... ponad moje siły... Nie mówmy o tym...

²⁸⁹ *ekstern* (z łac. *externus*: zewnętrzny) — osoba ucząca się samodzielnie, która w szkole zdaje tylko egzaminy. [przypis edytorski]

²⁹⁰ *Wielka Wojna* — określenie I wojny światowej (1914–1918) używane powszechnie w okresie międzywojennym, przed wybuchem II wojny światowej. [przypis edytorski]

— Jak to próba? — nie ustąpił Paweł.

Krzysztof stanął przy oknie i odezwał się dopiero po dłuższej chwili milczenia:

— Ochotnik angielski podczas Wielkiej Wojny John Barcker²⁹¹, który doszedł do rangi pułkownika i zdobył wszystkie możliwe ordery za waleczność, był kobietą. Po wojnie ożenił się z siedemnastoletnią panią i żył z nią przez lat pięć...

— Chyba nie powiesz, że mieli dzieci — zaśmiał się Paweł.

— Nie, ale jego żona dowiedziała się o tym, że pułkownik Barcker nie jest mężczyzną, dopiero wówczas, gdy aresztowano go za jakąś aferę i w więzieniu poddano przymusowej kąpieli. Rzec skończyła się procesem. Myślałem, że znasz ten wypadek, gdyż rozpisywała się o tym bardzo obszernie cała prasa angielska i rzecz doszła nawet do Izby Gmin²⁹². Działo się to mniej więcej przed czterema laty. Niepodobna, byś mieszkając w Anglii, nie zapamiętał tej głośnej historii.

— Możliwe, że obilo mi się to o uszy — odpowiedział Paweł. — Możliwe jednak, że w owym okresie nie byłem w Anglii. Interesy bawelniane zmuszały mnie nieraz do dłuższych wyjazdów.

Umilkł, a ponieważ Krzysztof milczał, Paweł zaniepokoił się, czy jednak Krzysztof, mając w ręku klucze, nie zajrzał do jego papierów. Gdyby tak było, znajdowałby się całkowicie w rękach tej wprawdzie zakochanej w nim, lecz niedoświadczonej i niewyrobionej życiowo dziewczyny.

Toteż zaraz nazajutrz pomimo zmęczenia, jakie mu to sprawiało, sprawdził bardzo starannie zawartość kasy ogniotrwałej i biurka. Na szczęście znalazł wszystko w takim samym porządku, w jakim utrzymywał swoje papiery. Było prawie pewne, że nikt do nich nie zaglądał i nikt ich nie ruszał. Że i w fabrycznym gabinecie rzecz miała się tak samo, mógł to sprawdzić dopiero po czterech dniach, kiedy po raz pierwszy wyszedł z domu.

Minister, niski krępy mężczyzna o siwiejących włosach i ociężałych ruchach, lypał grubymi powiekami z miną wysoce niezadowoloną. Projekt był tak szczelny w swojej logice, że nie mógł znaleźć miejsca, w którym jakiegokolwiek pytanie nadwyrężyć mogłoby jego nieodpartą argumentację. A przecież czuł, że coś tu musi opierać się na fikcji.

Paweł dostrzegł to w wyrazie jego oczu i zaśmiał się swobodnie:

— Chyba pan minister nie uważa mnie za dziecko, które zwracałoby głowę panu i sobie czymś zupełnie nierealnym?

— Ależ bynajmniej, panie prezesie — nieco zdetonował się²⁹³ minister. — Zbyt pana szanuję, jednakże wydaje mi się...

— Przepraszam — przerwał Paweł. — Może istnieje jeszcze i druga ewentualność, mianowicie ta, że na dnie mego projektu ukryte jest jakieś oszustwo?... O, niech pan mi pozwoli dokończyć, panie ministrze. Wiem dobrze, że wyklucza tę ewentualność pańskie przeświadczenie o mojej uczciwości, lecz tu wchodzi z jednej strony interes polskiego świata gospodarczego, a z drugiej interes państwa. W danej chwili my tylko reprezentujemy te obie strony. Pan z urzędu, a ja z osobistego zainteresowania. Dlatego kwestia osąd i zaufania do nich nie jest tu wystarczająca, ale przecie nie kto inny, jak właśnie rząd będzie miał nieustanną kontrolę nad całym przedsięwzięciem.

Minister skinął głową:

— Jednak wolałbym, by pan osobiście przedstawił tę rzecz w komitecie ekonomicznym Rady Ministrów. Ze swej strony zapewniam panu poparcie. Nie widzę wszakże możliwości wzięcia na siebie referatu²⁹⁴.

²⁹¹John Barcker (...) który doszedł do rangi pułkownika i zdobył wszystkie możliwe ordery (...) był kobietą... — chodzi o Valerie Arkell-Smith z d. Baker (1895–1960), żyjącą przez pewien czas jako „pułkownik Victor Barcker”. Valerie Barker w 1914 zgłosiła się do brytyjskich służb pomocniczych, prowadzących opiekę pielęgnarską w szpitalach wojskowych. W 1918 zawarła nieudane małżeństwo, po rozwodzie kolejne. W 1923 nawiązała romans z Elfridą Hayward, udając przed nią mężczyznę. Porzuciła męża i dzieci i jako sir Victor Barker, rzekomo były pułkownik lotnictwa, odznaczony Orderem za Wybitną Służbę, zamieszkała z Elfridą i zawarła z nią ślub. W 1926 porzuciła ją, w 1929 została aresztowana w związku z bankructwem, co przyczyniło się do ujawnienia prawdy. [przypis edytorski]

²⁹²Izba Gmin — niższa izba brytyjskiego parlamentu. [przypis edytorski]

²⁹³zdetonować się (daw.) — zmieszać się, stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

²⁹⁴referat — tu: przedstawienie komuś zagadnienia, zreferowanie. [przypis edytorski]

To właśnie Paweł chciał przeprowadzić. Wiedział dobrze, że w Komitecie Ekonomicznym pójdzie mu trudniej. W razie zaś odrzucenia projektu ze strachu przed eksperymentem, projektodawca zostanie zdyskredytowany. Po prostu będą chcieli usprawiedliwić sami siebie, ogłaszając projekt za efemeryczny²⁹⁵, opinia autora efemerycznych projektów była tym, czego najbardziej należało się strzec.

Dlatego, nie tracąc cierpliwości, Paweł postanowił przekonać ministra:

— Wprost nie widzę tu miejsca na obiekcje. Rzecz sama przez się jest jasna. Państwo potrzebuje na gwałt dużego zapasu walut obcych. Dają te waluty. Według ustawy Banku Polskiego musi on mieć trzydziestoprocentowe pokrycie w złocie lub w walutach mocnych. Zatem, gdy wpłynie do Banku Polskiego, powiedzmy, sto milionów franków szwajcarskich, Bank będzie mógł wypuścić banknotów złotych za trzysta milionów franków szwajcarskich. Z tego eksporterom wypłaca tylko sto milionów, zatem dwieście milionów franków pozostaje mu w ręku.

— No, tak — zaproponował minister. — Jednakże mówił pan, że konieczne jest płacenie naszym eksporterom z góry, a skąd Skarb ma wziąć takie olbrzymie sumy, skoro i tak z trudem łatamy dziury budżetowe?

— Sumy nie byłyby od razu tak wielkie. W pierwszej transzy²⁹⁶ chodziłoby o kwotę piętnastu do dwudziestu milionów dolarów. Zważywszy ogrom przedsięwzięcia i naturalną szybkość obrotów, jest to drobiazg. Podjąłbym się znaczną część tej kwoty znaleźć.

— Przypuśćmy — powiedział minister. — Jednakże twierdzi pan, że rząd na sprzedawanych przez pańską Centralę Eksportową produktach musiałby tracić, musiałby dokładać premie, sięgające niekiedy czternastu procent. To już nie wytrzymuje żadnej kalkulacji.

— Przeciwnie, będzie to strata o dwie trzecie mniejsza niż ta, jaką trzeba byłoby płacić w charakterze procentu od pożyczki. Niech pan minister weźmie pod uwagę, że za każdego dolara czy franka, który wpłynie do kas Banku Polskiego, wypuszcza się złotych za trzy dolary czy trzy franki! Nadto przychodzi przecie i ten drobiazg, że pożyczkę trzeba zwrócić, tu zaś pieniądze, które wpłynęły, raz na zawsze pozostają własnością państwa. Jedynym ważnym momentem w tym przedsięwzięciu, absolutnie pozbawionym ryzyka, jest utrzymanie ścisłej tajemnicy kapitałów Centrali Eksportowej. Oczywiście bowiem, z chwilą gdy dowiedziano by się, że jest to ukryta premia wywozowa, pociągnęłoby to za sobą nieobliczalne skutki w polityce cel innych państw w stosunku do nas. Dlatego Centrala jest niezbędna. Uważam też, że cztery procent od obrotu, oczywiście pod ścisłą kontrolą rządu, należy się jej w zupełności. Zresztą w memoriale²⁹⁷, który pozwolę sobie panu ministrowi zostawić, podałem szczegółową kalkulację wykazującą rentowność przedsięwzięcia o wiele przekraczającą korzyści, jakie by można osiągnąć z uzyskania pożyczki zagranicznej na najlepszych bodaj warunkach. Poza tym, panie ministrze, nikt z nas się nie łudzi, o pożyczce teraz nie może być mowy. Nikt nam nie da złamanego szeląga, sposób zaś ratowania państwa przed inflacją, jaki ja podaję, jest sposobem jedynym i tylko cieszyć się wypada, że nie kryje w sobie absolutnie żadnych niebezpieczeństw. Proszę także wziąć pod uwagę, że udzielanie wielkich zamówień przemysłowi i rolnictwu wzbogaci je, wzmoże wpływy podatkowe, w znacznej mierze zlikwiduje bezrobocie i przyniesie cały szereg korzyści ubocznych. To chyba nie jest do pogardzenia. Powiem więcej, że niechwycenie się tego środka ratunku byłoby niewybaczalnym zaniedbaniem.

Paweł skończył, otworzył tekę, wydobyl dwa arkusze, zapisane maszynowym pismem, i położył je na biurku. Minister wahał się przez chwilę, później przysunął je do siebie i zaczął szybko czytać. Paweł, ukrywając zniecierpliwienie, przyglądał się spod oka grze jego rysów.

— Słowem — podniósł znad biurka wzrok minister — pański projekt w streszczeniu jest taki: rząd zamawia przez Centralę Eksportową różne produkty, przy czym płaci gotówką, sprzedaje zaś na rynkach obcych za złoto lub mocne waluty również przez Cen-

²⁹⁵ *efemeryczny* — ulotny, krótkotrwały. [przypis edytorski]

²⁹⁶ *transza* — przekazana odbiorcy ustalona część całości towaru, pożyczki a. dofinansowania. [przypis edytorski]

²⁹⁷ *memoriał* — oficjalne pismo do organów władzy, zawierające uzasadnienie prośby lub wyjaśnienie sprawy. [przypis edytorski]

trałę, po czym waluty wpływają do Banku Polskiego i ten zwiększa odpowiednio obieg banknotów.

— Przyzna pan minister, że rzecz jest prosta i że nie ma tu żadnego ryzyka. Jedyne ryzyko obciąża Centralę, ale o to rząd martwić się nie ma potrzeby. Jeżeli Centrala nie znajdzie odbiorców na swoje towary, będzie musiała i tak w terminie pieniądze wpłacić. Toteż jestem przekonany, że najdalej za tydzień będę mógł przystąpić do organizacji przedsiębiorstwa.

— No, jeżeli Rada Ministrów projekt zatwierdzi!

— Nie wątpię o tym — z całą swobodą zapewnił Paweł. — Zdecyduje tu autorytet pana ministra i jego woła ratowania za jednym zamachem waluty i gospodarstwa²⁹⁸ krajowego. Prosiłbym też o pośpiech, gdyż obecnie mam wiele nawiązanych stosunków z importerami całego szeregu państw, a przy labilności²⁹⁹ koniunktury w krótkim czasie mogą zajść zmiany na niekorzyść.

— Jeszcze jedna kwestia — powstrzymał go minister. — W jaki sposób ukryje pan przed wywiadem obcym fakt finansowania Centrali przez Skarb Polski?

— To drobiazg, puści się do prasy wiadomość, że uzyskałem od grupy finansistów zagranicznych znaczną pożyczkę. Dla nadania wiadomości znamienia prawdy nadmieni się przy tym, że rząd pożyczkę tę zagwarantował.

Wychodząc od ministra, Paweł nie wątpił, że projekt pójdzie szybko i dobrą drogą. Dla zapewnienia wszakże gwarancji jego powodzenia tegoż dnia odwiedził pana Kolbuszewskiego, radcę Ministerstwa Przemysłu i Handlu, który w łonie komitetu ekonomicznego z tytułu swojej wiedzy odgrywał jedną z najpoważniejszych ról. Z Kolbuszewskim stykał się już nieraz i wyrobił sobie zdanie, że jest to człowiek wszelkich pozorów urzędowego nieprzejednania: ten młody jeszcze biurokrata robił wiele wysiłków, by otrzymać intratniejsze stanowisko w przemyśle śląskim. Paweł nie dziwił się temu. Pensja sześciuset czy siedmiuset złotych nie mogła wystarczyć człowiekowi o tak dużych ambicjach jak Kolbuszewski.

Rozmowa z nim była krótka, lecz całkiem wyraźna. Projekt nie tylko nie wzbudził żadnych wątpliwości, lecz zjednał go od razu. Stanowisko zastępcy dyrektora Centrali Eksportowej odpowiadało mu całkowicie. Dokładnie w miesiąc po przyjęciu projektu przez komitet ekonomiczny Rady Ministrów Kolbuszewski miał złożyć swoją dymisję i przejść do Centrali z pensją czterech tysięcy miesięcznie i z trzyletnim kontraktem.

Nie była to ze strony Pawła łapówka.

Znał się na ludziach i wiedział, że w Kolbuszewskim znajdzie współpracownika godnego siebie. Oczywiście nie był to człowiek, do którego można było mieć zaufanie, lecz Paweł miał od dawna wyrobiony pogląd, według którego ludzie godni zaufania absolutnie nie nadawali się do interesów i więcej swoją poczciwością sprawiali strat, niż swoją uczciwością przynosili zysków. Był dość sceptycznie usposobionym szefem, dość miał zmysłu obserwacyjnego, by obawiać się zbyt dotkliwych nadużyć. Z góry na każdego pracownika przeznaczał pewne manko³⁰⁰, które w ogólnej kalkulacji pokrywane było przez rzutkość, spryt i przedsiębiorczość tychże współpracowników.

Że teoria ta była trafna, miał przykład chociażby na Tolewskim. Ten drapichrust³⁰¹ był goły jak mysz kościelna, obecnie zaś można go było liczyć na blisko sto tysięcy złotych, jednak dzięki niemu Paweł zarobił kilkaset.

Z tego właśnie względu postanowił usunąć Ottmana od kierownictwa fabryki kauczukowej natychmiast po jej uruchomieniu. Podwyższy się mu pensję na dawnym stanowisku, rozszerzy się laboratorium i można będzie dać mu jeden lub dwa procent w zyskach, lecz z jego naiwnością nie można go pozostawić nie tylko na czele przedsiębiorstwa, lecz nawet na jakimkolwiek stanowisku, na którym miałby możliwość własnej decyzji.

²⁹⁸gospodarstwo krajowe — tu: gospodarka krajowa. [przypis edytorski]

²⁹⁹labilność (z łac.) — zmienność, chwiejność. [przypis edytorski]

³⁰⁰manko (hand., z wł. *mancamento*: brak, błąd) — niedobór pieniędzy w kasie a. towaru w sklepie lub magazynie wykryty przy porównaniu stanu rzeczywistego ze stanem rachunkowym. [przypis edytorski]

³⁰¹drapichrust (pot.) — włóczęga, łobuz. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ II

Przy samym końcu ulicy Wolskiej, nie dojeżdżając do cmentarza prawosławnego, skręcało się w bok piaszczystą niebrukowaną drogą długości około pół kilometra. Przy końcu wznosiły się czerwone budynki dawnej cegielni Weigerta, przerabianej obecnie w tempie gwałtownym. Robotnicy pracowali na trzy zmiany i czerwony pył od rozbijanej cegły pokrywał teren fabryki grubą warstwą.

Jednocześnie niwelowano plac, a od strony zachodniej nakładano już blaszany dach i tynkowano mury. Fabryka miała wyglądać jak cacko. Na każdym, kto by ją zobaczył, musiała wywierać wrażenie przedsiębiorstwa dostatniego, uporządkowanego jak kółka w zegarku, schludnego, słowem, budzącego zaufanie.

Wewnątrz kończono już betonowe fundamenty pod maszyny i zakładano armatury³⁰² wodociągowe. W budynku, gdzie miał mieścić się kantor³⁰³, założona już była instalacja elektryczna, wiórkowano podłogi i rozpakowywano żółte, amerykańskiego typu meble biurowe.

Na spotkanie Pawła wybiegł Ottman, spocony i zaaferowany. Z kieszeni jego marynarki sterczała nieprawdopodobna liczba ołówków różnego koloru, składana całówka i ogromny suwak, który mu sięgał prawie do policzka. Pomimo zmęczenia i zakurzenia aż po dziurki od nosa, promieniowała z niego radość. Zaprowadził Pawła do podręcznego laboratorium fabrycznego. Tu już wszystko było gotowe, lśniło świeżością.

Wyszli z laboratorium i stanęli przed bramą wjazdową. Paweł w zamyśleniu przyglądał się wyboistej drodze, wiodącej do ulicy Wolskiej.

— To będzie pierwszy nasz eksponat, panie Ottman.

— Jak to eksponat? — nie zorientował się chemik.

— Pokryjemy tę jezdnię kauczukiem, po obu stronach ułożą się chodniki z płyt ebonitowych³⁰⁴. W ogóle wszystko, co się da zastąpić kauczukiem lub ebonitem, musi być zrobione z tych materiałów.

— Ależ to piekielny koszt, panie dyrektorze, bo chyba nie zamierza pan po trzech miesiącach wszystkiego zmieniać?

— Bynajmniej, wszystko to się zrobi z trwałego kauczuku. Wydatek będzie duży, ale wierzę mi pan, że się na tym nic nie straci. No, do widzenia panu, liczę na to, że zrobi pan wszystko, by przyspieszyć uruchomienie tej garkuchni³⁰⁵. Zechce pan już teraz pomyśleć o siarce, której będziemy potrzebowali do wulkanizacji, a także o terpentynie i kazeinie. Trzeba zażądać ofert od firm krajowych i postarać się o wypilowanie ceny. Da im pan do zrozumienia, że oferent z najniższą ceną może liczyć w przyszłości na kolosalny zbył.

— No, panie dyrektorze, kolosalny to może przesada. Ta fabryczka nie będzie zdolna do przerobienia ponad jakieś...

— Dziękuję panu — przerwał Paweł. — Obecnie nie chodzi mi o informacje, lecz o to, by pan uważnie wysłuchał moich zleceń i ściśle je wykonał.

Podał mu rękę i wsiadł do samochodu.

„Ludzi teraz będę potrzebował — myślał, podczas gdy auto podskakiwało na nierównym bruku ulicy Wolskiej — ludzi takich jak Kolbuszewski, jak Tolewski...”

Przypomniawszy sobie wszystkich po kolei ludzi poznanych od czasu powrotu do Warszawy. Przez chwilę myśl jego zatrzymała się na Zdzisławie i Jachimowskim, lecz tylko przez chwilę.

Stanowczo nikogo ze swej rodziny nie wciągnie do współpracy. Po pierwsze, nie cierpiał ich, po drugie zaś, był zdania, że krewni utrudniają tylko sprawne prowadzenie interesów przez wtrącanie się i przez chęć odegrania roli ważniejszej z tytułu własnie pokrewienstwa.

³⁰²armatura — ogół pomocniczych elementów instalacji technicznej; wyposażenie, osprzęt. [przypis edytorski]

³⁰³kantor (z niem. *Kontor*: kantor, biuro, od łac. *computare*: liczyć, obliczać) — daw. biuro zakładu a. fabryki. [przypis edytorski]

³⁰⁴ebonit (z gr. *ébenos*: heban) — twarde, ciemnobrązowe lub czarne tworzywo sztuczne otrzymywane w wyniku wulkanizacji kauczuku dużą ilością siarki. [przypis edytorski]

³⁰⁵garkuchnia — podrzędna, tania jadalnia; tu lekceważąco o zakładzie chemii przemysłowej. [przypis edytorski]

Pozostawał Krzysztof, ale to było zupełnie coś innego... Oceniał w zupełności³⁰⁶ zalety tej dziewczyny, wiedział, że nie znalazłby lepszego pomocnika, że mógłby tu liczyć na całkowite, bezgraniczne oddanie, a jednakże wołał nie wtajemniczać jej w swoje sprawy, nie dlatego, by te sprawy były znowuż aż tak nieczyste, nie dlatego, że należało tę dziewczynę w jakiś naiwny sposób idealizować, ale po prostu ona nie pasowała do jego przedsięwzięć, a te przedsięwzięcia do niej... Może zresztą nie było to tak całkiem po prostu, ale Paweł zbyt był zajęty ważnymi pilnymi interesami, by pozwalać sobie na dobieranie ścisłych definicji w kwestiach abstrakcyjnych.

Od czasu powrotu do zdrowia Paweł nie mógł jeszcze urwać ani pół godziny na wizytę u stryja Karola. Pomijając wszelkie względy kurtuazji³⁰⁷ rodzinnej, musiał to wreszcie zrobić dla uregulowania spraw firmy.

Prezes Karol Dalcz dogorywał.

Leżał na wznak, a jego twarz bardziej niż kiedykolwiek przypominała twarz trupa. Usta prawie się nie poruszały, gdy mówił, a oczy już od szeregu dni były przeraźliwie otwarte i patrzyły wzrokiem ślepych, nic niewidzącym.

Trzeba je było zwilżać co kilka minut watą umaczaną w jakimś lekarstwie. Pani Teresa, wychudzona, z zapadłymi policzkami, postarzała się bardzo.

Nie ustawała w swoim bezszelestnym dreptaniu dookoła łóżka i na tle wielkiego ciemnego pokoju wyglądała jak mała, szara mrówka, na pozór bezcelowo krzątająca się koło zbyt ciężkiej dla siebie zdobyczy.

Chory mówił szeptem, szeptem ledwie dosłyszalnym, tak że trzeba było zbliżyć ucho do samych prawie jego warg, by odróżnić brzmienie słów. Na szczęście tego popołudnia był zupełnie przytomny i gdy mu pani Teresa oznajmiła, że Paweł przyszedł, wyraził chęć pozostania z nim sam na sam.

— Dzień dobry, stryju — powiedział Paweł.

— To dobrze, że się doczekałem twego wyzdrowienia — przerywanym szeptem odezwał się pan Karol. — Złe czasy przyszły na naszą rodzinę... Musieliśmy bardzo zawinić Bogu... Ja umieram...

— Jeszcze się stryjowi poprawi — szablonowo rzucił Paweł.

— Nie. Umrę bardzo prędko... Czuję już to w sobie... Odchodzę, zostawiając za sobą mój wielki grzech i krzywdę swego dziecka... Pawle, jesteś surowym sędzią, nie wymagam od ciebie wyrozumiałości, ale miej miłosierdzie dla konającego... Zostawiam Terenię i Krzysztofa... Są słabi i samotni... Chcę z ust twoich usłyszeć obietnicę, że nie odmówisz im swojej opieki i pomocy. Nigdy nie byłeś czułościowy, ale tym bardziej wierzę, że żywisz w sobie uczucie wspólnoty rodzinnej... Wszystko, co było grzechem, było moim grzechem. Nie wiń ich za to. Cokolwiek by się stało, cokolwiek by się odkryło, to moja wina i za nią odpowiem przed Bogiem...

Usta chorego, pergaminowe i zwiotczałe, przestały drgać, dźwięki szeptu złyły się w jeden długi cichy jęk, w którym nie można było rozróżnić sylab. Paweł odezwał się głosem spokojnym i dobitnym:

— Bądź pewien, stryju, że cokolwiek by się stało, nie zostawię twoich bez opieki. Możesz liczyć na mnie. Powiedz mi tylko, czy uregulowałeś sprawę majątkową?

— Tak. Wszystko, co zostawiam, jest własnością Krzysztofa. On nie skrzywdzi Tereni... I ty ich nie skrzywdzisz... Dziękuję ci. Gdy dowiedziałem się o napadzie, ogarnęło mnie przerażenie. Błagałem Boga o twoje zdrowie, bo ty jeden potrafisz utrzymać losy naszej nieszczęsnej rodziny... Pawle, obiecaj mi jeszcze jedno, obiecaj, że za żadną cenę nie pozwolisz zginąć naszej firmie przez pamięć mego ojca a twego dziada, że nie pozwolisz, by przeszła w obce ręce...

Paweł odwrócił głowę i uśmiechnął się. Oczywiście zapewnił stryja, że spełni jego życzenie, i pomyślał jednocześnie, że byłby szaleńcem, gdyby upierał się przy posiadaniu fabryki, gdyby ta zaczęła dawać straty...

W pokoju było duszno i Paweł odetchnął pełną piersią, gdy znalazł się w hallu³⁰⁸. Tu czekała pani Teresa, Blumkiewicz i lekarz. Na zegarze biła właśnie godzina piąta, a o wpół

³⁰⁶oceniał w zupełności — doceniał w zupełności. [przypis edytorski]

³⁰⁷kurtuazja — wyszukana uprzejmość. [przypis edytorski]

³⁰⁸hall — duży, reprezentacyjny korytarz. [przypis edytorski]

do szóstej miał konferencję w jednym z banków. Śpiesznie pożegnał się z wszystkimi i szybkim krokiem szedł do biura Zarządu. Przed wyjazdem na miasto chciał jeszcze zobaczyć się z Krzysztofem. Właściwie nie miał mu nic do powiedzenia, lecz czuł potrzebę oznajmienia mu, że odbył rozmowę z jego ojcem.

W poczekalni zastał kilku interesantów, lecz oświadczył im, że dzisiaj absolutnie nie będzie miał dla nich czasu. Byli to petenci w jakichś drobnych sprawach.

W gabinecie Krzysztofa zastał tylko Marychnę. Od czasu wyzdrowienia ani razu nie zdarzyła mu się sposobność spotkania jej sam na sam, nie szukał zresztą tej sposobności po prostu dlatego, że zapomniał o jej istnieniu. Widocznie Marychna nie zapomniała jednak o nim. Zrobiła się różowa jak piwonia i machinalnie poprawiła sobie włosy.

— Pan Krzysztof jest jeszcze w fabryce? — zapytał Paweł.

— Tak jest, wyszedł do modelarni... Ale zaraz ma wrócić, w tej chwili ma wrócić...

Paweł roześmiał się:

— Na pewno w tej chwili?

— Tak mówił — spuściła oczy.

Paweł zbliżył się do niej i pogłaskał ją po twarzy takim ruchem, jak się to robi z dziećmi:

— Więc mam na niego poczekać?... No, cóż u ciebie słyhać, Marychno? Jak ci się powodzi? Myślałaś pewno, że przejadę się na tamten świat? Ale widzisz, diabli nie śpieszyli się po moją duszę. I tak wierzą, że im nie uciekniesz.

— To było straszne... Tak się bałam o...

Zawahała się, widocznie mając wątpliwości, czy wypada zwrócić się doń na ty, czy tytułować go panem dyrektorem. Paweł nie przyszedł jej z pomocą. Bawiło go zmieszanie dziewczyny. Przyglądał się jej z milczącym uśmiechem. Zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, a w jej oczach zakręciły się łzy.

— Ja nawet bardzo chciałam odwiedzić... Ale nie wiedziałam, czy można...

W tej chwili na korytarzu rozległy się szybkie kroki Krzysztofa. Marychna szybko otarła oczy i pochyliła się nad maszyną.

— Jak się masz — przywitał Paweł Krzysztofa, a widząc jego podejrzliwe spojrzenie w stronę Marychny, prędko dodał: — Byłem u twego ojca. Biedak nieszczególnie wygląda.

— Tak. Tam już kwestia jest przesądzona — odpowiedział Krzysztof. — A jak ty się dziś czujesz? Czy minęło klucie w łokciu?

— Dziękuję ci. Zapomniałem o łokciu — uśmiechnął się i zauważył przy tym, że w wyrazie twarzy Krzysztofa odbił się rodzaj zmieszania. Widocznie wziął uśmiech za podkreślenie swego zainteresowania wszystkim, co dotyczyło Pawła.

— Niepokoję się o matkę — szybko zaczął Krzysztof. — Zupełnie straciła apetyt, całe doby spędza albo w pokoju ojca, albo u siebie na klęczkach. Zdaje się, że dostała manii religijnej.

— Zauważyłem — potwierdził Paweł. — Dawniej była zawsze tak pogodna i miała coś jasnego w oczach. Bardzo zmizerniała. Trzeba liczyć na to, że po katastrofie stopniowo przyjdzie do siebie.

Krzysztof z powątpiewaniem pokręcił głową, chciał coś powiedzieć, lecz widząc, że Paweł spogląda na zegarek, zapytał:

— Śpieszysz?

— Tak. Mam ważną rozmowę w banku i właśnie chciałem cię prosić, byś podpisał dzisiejszą korespondencję. Przyniosą ci. Wieczorem nie będzie mnie w domu, ale zadzwonię dowiedzieć się o zdrowie stryja.

Podał rękę Krzysztofowi, skinął głową Marychnie i wyszedł.

Właściwie od dawna nosił się z zamiarem ostatecznego rozmówienia się z Krzysztofem w sprawie Feliksiaka. Wprawdzie ten nie pokazywał się ostatnimi czasy, jednakże należało się liczyć z tym, że prędzej czy później trzeba będzie uregulować jego sprawy. Byłoby nonsensem wypłacanie temu drabowi nieustającej premii za milczenie.

Teraz oczywiście Paweł ani przez chwilę nie myślał o wygranu Feliksiaka przeciw Krzysztofowi. Ten atut stracił swoją wartość, zdewaluował się, wyszedł z gry.

Najprostszym rozwiązaniem sytuacji byłoby usunięcie samego momentu, na którym mógłby się opierać ewentualny szantaż ze strony Feliksiaka. Przy sposobności załatwiania innych spraw prawnych Paweł zapytał jednego z adwokatów, jak się przeprowadza urzędową zmianę w księgach ludności, gdy się okaże, iż na przykład kobieta jest mężczyzną lub odwrotnie. Z informacji udzielonych przez prawnika wynikało, że procedura przedstawiała się bardzo skomplikowanie, że bez śledztwa, badań lekarskich i tysiącznych formalności nie dałoby się rzeczy załatwić, a już w żadnym razie utrzymać jej w tajemnicy, zwłaszcza że i władze wojskowe miałyby tu ważne słowo.

Wobec tego pomysł stawał się nierealny i o prawnym uregulowaniu pozycji Krzysztofa mowy być nie mogło, poza tym bowiem byłoby to postawieniem znaku zapytania na testamentie nieboszczyka Wyzbora, który wyraźnie zapisywał swój majątek pierworodnemu synowi Karolostwa Dalczów.

Kiedy stryj Karol ogólnikowo mówił o grzechu i o winie, jakie całkowicie nań spadają, Paweł udawał, że nie domyśla się, o co chodzi. Ułożyli z Krzysztofem, że jego rodzice nie powinni dowiedzieć się o tym, że Paweł wie o wszystkim. I tak po powrocie z Wiednia Krzysztof przyznał się matce, że jego tajemnicę zna Marychna. Wywołało to wówczas wielkie przerażenie pani Teresy i atak serca pana Karola.

Ile razy nad tym się zastanawiał, Paweł nie mógł wprost pojąć, jakie pobudki kierowały ludźmi tak uczciwymi jak stryjostwo, kiedy postanowili dopuścić się tak niebezpiecznego i grożącego wielkimi konsekwencjami oszustwa. Prawdopodobnie chciwość na spadek Wyzbora uzasadniona była miłością do dziecka, któremu chcieli zapewnić bogactwo, a sprawili paszтет nie do przelknięcia.

Zresztą samemu Pawłowi nie zależało zbytnio na przebraniu Krzysztofa w strój bardziej odpowiadający jego płci, na zmianie jego pozycji. Znajdował swego rodzaju przyjemność w tym, że miał do czynienia z Krzysztofem całkowicie zależnym od jego woli. Poza tym wciąż zwiększające się tempo pracy nie zostawiało wielu luk na zastanawianie się nad sprawami bezpośrednio niezwiązanymi z kauczukiem czy z Centralą Eksportową.

Pomimo wycieńczenia, sprawionego chorobą, znowu nie dosypiał nocami. Dnie całe pochłaniały konferencje, posiedzenia, olbrzymia korespondencja i narady. W gabinecie fabrycznym zainstalowano stałą stenotypistkę, w mieszkaniu na Ujazdowskiej drugą. Z biegiem czasu okazało się jednak, że i tego było za mało. Paweł nie mógł pozwolić sobie na marnotrawstwo tych minut, które spędzał w samochodzie. Toteż towarzyszył mu stale stenograf.

Nareszcie Rada Ministrów przyjęła i zaaprobowała projekt Pawła. Nie poszło to łatwo i on sam musiał stawać w jego obronie. Rzecz została załatwiona w najściślejszej tajemnicy. Do opinii sfer finansowych przedostała się jedynie wiadomość, że Paweł Dalcz uzyskał od rządu gwarancję na grubszą pożyczkę zagraniczną, na pożyczkę, której wysokość nie znajdowała się w żadnym stosunku do potrzeb Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz.

Ponieważ zaś jednocześnie prasa podała informację o założeniu przez Pawła fabryki syntetycznego kauczuku, pożyczkę wiązano z tym interesem.

Początkowo pogłoski o wynalazku inżyniera Ottmana kursowały skąpo i przyjmowane były z wielkimi zastrzeżeniami. Nieco większe wrażenie wywołała wiadomość o opatentowaniu we wszystkich państwach syntetycznego kauczuku „Optima”.

Nastąpiło to dlatego, że patenty zostały wykupione przez Pawła Dalcza i nikomu z kół przemysłowych nie przyszłoby na myśl powątpiewać nadal o wartości wynalazku. Znano już o tyle Pawła Dalcza, by wiedzieć, że nie przystąpiłby on do interesu nieopartego na realnych podstawach.

Wzmianki o kauczuku „Optima” ukazały się też we wszystkich fachowych pismach zagranicznych, przy czym zaznaczano, iż kauczuk ten będzie kalkulował się znacznie taniej niż naturalny, a jak zapewnia wynalazca, nie tylko naturalnemu nie ustępuje, lecz pod wieloma względami go przewyższa.

Nad dozorowaniem wszystkich tych wiadomości bacznie czuwał sam Paweł. Plan akcji kauczukowej obmyślony był precyzyjnie i jedno nieostrożne posunięcie mogło zachwiać całym przedsięwzięciem. Na liczne nagabywania ze strony banków i przemysłowców Paweł odpowiadał wiele mówiącym milczeniem lub bagatelizowaniem całej sprawy, ułożonym w ten sposób, że wypytujący odchodził z przeświadczeniem, iż rzecz jest już całkowicie pewna i że będzie to istna złota żyła.

W końcu lipca Paweł wyjechał do Londynu. Postarał się przy tym, by o jego wyjeździe dzienniki zamieściły wzmianki z zaznaczeniem, że stoi to w związku z uzyskaniem znacznych kredytów. W istocie celem wyjazdu Pawła była bliższa orientacja w rynku kauczukowym.

Fabryka na Woli była już na wykończeniu. Po dłuższym namyśle Paweł postanowił powierzyć jej kierownictwo Blumkiewiczowi, jednak rozmowę z nim na ten temat odkładał do dnia swego powrotu. Wyjeżdżając, najsurowiej zabronił Ottmanowi wdawania się z kimkolwiek w rozmowy na temat kauczuku oraz udzielania jakichkolwiek informacji.

Na dworzec odprowadził Pawła Krzysztof. Prosił, by Paweł nie przeciągał swego pobytu za granicą, ze względu na lada dzień oczekiwany zgon pana Karola. Stan jego o tyle się pogorszył, że nie odyskiwał już przytomności i odżywiano go sztucznie, co Paweł uważał za nonsens:

— Gdybym ja był lekarzem — powiedział doktorowi — nie przedłużałbym konania, lecz przeciwnie, zastrzyknąłbym takiemu pacjentowi większą dawkę morfiny. Nie pojmuję robienia czegokolwiek bez celu.

Lekarz jednak nie chciał się do tego zastosować i Paweł wyjechał, nie doczekawszy śmierci stryja, narażając się na to, że będzie wezwany telegraficznie, gdyż na pogrzebie musiał być obecny ze względu na opinię publiczną i chciał być obecny ze względu na Krzysztofa.

Na dwa dni zatrzymał się w Paryżu, korzystając ze sposobności, by zobaczyć się z niektórymi ludźmi, związanymi z importem nafty i benzyny, by rozejrzeć się w możliwościach przywozu towarów polskich i zbadać stopień konsumpcji kauczukowej Francji.

Nadto, licząc się z przyszłymi ewentualnościami, złożył wizyty kilku potentatom³⁰⁹ finansowym, co przyszło mu tym łatwiej, że ambasador polski otrzymał polecenie utworzenia mu dróg do zawarcia potrzebnych znajomości.

Ułożył sobie pewną formułkę postępowania z tymi panami. Był poważnie żartobliwy i z punktu³¹⁰ zaznaczał, że jest pierwszym Polakiem, który przyjeżdża do Paryża bez zamiaru zaciągnięcia pożyczki, lecz odwrotnie, w celu nawiązania stosunków osobistych z tymi sferami, które byłyby zainteresowane w znalezieniu dużego rynku zbytu poza wschodnią granicą Polski.

Bardzo ostrożnie przy tym dawał do zrozumienia, że przemysł francuski miałby tu pierwszeństwo przed każdym innym, a drogi opanowania wspomnianego rynku należą do całkiem wyjątkowych i jemu tylko, Pawłowi Dalczowi, wiadomych.

Ponieważ w rozmowach tych zachowywał daleko posuniętą rezerwę i nadmieniał, że obecnie jedzie do Londynu, po czym „niektóre rzeczy mogą nabrać realnych kształtów”, a poprzedzając go prezentacja ambasady brzmiała bardzo przekonywająco, osiągnął tyle poza wywarciem dobrego wrażenia, że kilka grubych ryb przy pożegnaniu z naciskiem zaznaczyło, iż miło by im było kiedykolwiek z człowiekiem takim jak on mieć wspólne interesy.

Zbyt ściśle wyliczenie czasu, jakiego Paweł trzymał się w Paryżu, przyczyniło się do straty prawie czterech godzin. Samochód hotelowy wskutek zatoru, jaki powstał przy skrzyżowaniu ulic, zmarnował tylko pięć minut czasu. To wystarczyło, by spóźnić się na pociąg do Calais. Ponieważ następny, mający dobre połączenie, odchodził dopiero o pierwszej z minutami, Pawłowi został ładny kawałek wieczoru do spędzenia w bezczynności. Zostawił rzeczy w przechowalni i wyszedł na miasto.

Z początku myśl jego pracowała jeszcze nad segregacją spraw załatwionych i nad wyciąganiem z nich wniosków.

Mijał ulice, place, jaskrawo oświetlone witryny sklepów, przechodził środkiem gwarnego tłumu i oczywiście wiedział, że znajduje się w Paryżu, że ta wielka smuga światła, ostro strzelająca w niebo, to reklama Citroëna na wieży Eiffla, że tam na czerwonym niebie rysuje się kopia Inwalidów³¹¹, a z prawej strony wyrasta potężny masyw Łuku

³⁰⁹ *potentat* — człowiek bogaty i wpływowy. [przypis edytorski]

³¹⁰ *z punktu* (daw.) — natychmiast, od razu. [przypis edytorski]

³¹¹ *kopuła Inwalidów* — widoczna z daleka połączona kopuła monumentalnego paryskiego Kościoła Inwalidów, zbudowanego w 1706 na polecenie Ludwika XIV. [przypis edytorski]

Triumfalnego³¹² w centrum wielkiej gwiazdy zbiegających się ulic. Wiedział to, a przecież nie łączyło się to w nim z niczym, co tu kiedyś przeżywał. Kilka lat, jakie go dzieliły od Pawła Dalcza z owych czasów, wprost zatarły w nim poczucie ciągłości, tożsamości swego indywiduum³¹³.

Był teraz innym człowiekiem, człowiekiem zarówno dobrze poinformowanym o wszystkim, co stanowiło treść życia dawnego Pawła Dalcza, i zarówno³¹⁴ obojętnym temu wszystkiemu.

Przemiana

Wrażenie to uderzało świadomość Pawła już nie po raz pierwszy, lecz nigdy dotąd nie występowało z taką jaskrawością. Przyczyn tego można było doszukiwać się w fakcie, iż znajdował się obecnie nareszcie na pełnych wodach pod szeroko rozwiniętymi żaglami, a może po prostu w tym, że przeszłość stała się obojętna z chwilą, gdy przestała wchodzić w grę.

Zresztą komórki człowieka żyją tylko lat siedem. W ciągu siedmiu lat cały organizm odnawia się w każdym najdrobniejszym szczególe. Któż zaręczy, że nasze poczucie osobowości nie ulatnia się wraz z obumierającymi komórkami i że nie jesteśmy wciąż kimś nowym?...

Paweł zatrzymał się przed jakąś witryną i przyglądał się swemu odbiciu w szybie. Czy jest kimś nowym?... Oczywiście. W tym samym Paryżu, który też jest nowy. Kiedyś stanowił trampolinę, miał być startem, a teraz stanowił jeden z etapów...

Obok niego zatrzymała się jakaś dziewczyna i zapytała go z ironią:

— No i na którą z tych sukienek zdecyduje się pan wreszcie?

Dopiero teraz zauważył, że stoi przed wystawą kobiecych sukien. Dziewczyna była szelmowsko swobodna i mówiła wybitnie marsylskim akcentem. Pawłowi zdawało się, że kiedyś ją widział lub znał inną bardzo do niej podobną.

— Cóż tam dobrego w Marsylii? — zapytał prawie życzliwie.

— O la la — wydeła usta — jaki pan dowcipny. Niby wielka sztuka poznać, że jestem z Marsylii.

— Wypilibyśmy może szklankę czegoś lepszego? — zaproponował bez nacisku.

Potrząsnęła głową:

— Nie będę panu przeszkadzać, ale ja wolałabym zjeść coś smacznego w pańskim towarzystwie.

— Dobrze.

Bez ceremonii wsunęła dość dużą rękę w czarnej rękawiczce pod jego ramię i powiedziała:

— Więc miałam rację, że pan jest Amerykaninem?

— Amerykaninem?

— No, przecież nie Francuzem. Nie zastrzegł się pan, że wstąpimy do Duvala³¹⁵ — wybuchnęła śmiechem.

— Pójdziemy, gdzie chcesz — powiedział obojętnie — mam parę godzin czasu.

Skinęła na taksówkę i po kilku minutach byli przed dużą i przeciętnie elegancką restauracją gdzieś w okolicy St. Lazare³¹⁶. Stoliki były gęsto obsadzone przez śpiesznie jedzących gości, przeważnie mężczyzn. Dziewczyna, nie patrząc na kartę, wyrecytowała dość długą litanie obstalunku³¹⁷. Widocznie czuła się tu jak u siebie w domu. Paweł zamówił butelkę burgunda³¹⁸.

³¹²*Łuk Triumfalny (w Paryżu)* — pomnik na zach. krańcu Pól Elizejskich, zbudowany dla uczczenia żołnierzy, którzy walczyli i polegali za Francję w czasie wojen okresu rewolucji i wojen napoleońskich, mający formę jednoarkadowego rzymskiego łuku triumfalnego. [przypis edytorski]

³¹³*indywiduum* (łac. *individuum*: niepodzielne) — jednostka, osobnik; tu: indywidualność, zespół cech psychicznych stanowiących konkretną, swoistą osobowość jednostki. [przypis edytorski]

³¹⁴*zarówno dobrze poinformowanym (...) i zarówno obojętnym* — dziś popr.: „zarówno dobrze poinformowanym, jak i obojętnym”. [przypis edytorski]

³¹⁵*Duval* — tu: lokal należący do sieci popularnych paryskich restauracji (tzw. *bouillons*), założonej przez rzeźnika Pierre-Louisa Duvala, serwujących po przystępnych cenach tradycyjne dania francuskie, w szczególności bulion, czyli rosół. [przypis edytorski]

³¹⁶*St. Lazare*, właśc. *Gare Saint-Lazare* (Dworzec Świętego Łazarza) — ruchliwy paryski dworzec kolejowy zbudowany w 2 poł. XIX w., często pojawiający się na obrazach impresjonistów. [przypis edytorski]

³¹⁷*obstalunek* — zamówienie, zlecenie. [przypis edytorski]

³¹⁸*burgund* — francuskie wino z Burgundii. [przypis edytorski]

Przyglądając się profilowi szybko jedzącej dziewczyny, jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu, że kogoś mu przypomina, lecz w żaden sposób nie mógł uprzytomnić sobie, kogo i kiedy widzianego. W każdym razie sprawiła miłe wrażenie. W niespełna pół godziny uporowała się z zawartością półmisków i oświadczyła, że na kawę zaprasza go do siebie.

Mieszkała w pobliżu, na placu Europy w starej kamienicy z windą, w której ledwie we dwójkę mogli się pomieścić. Zajmowała dwa czyściutkie pokoiki na czwartym piętrze. W równie czystej łazience mieściła się gazowa kuchenka, na której rozpoczęła przygotowywanie obiecanej kawy. Ponieważ jednak okazało się, że kawy zabrakło, poczęstowała go herbatą o takim smaku, że wołałby, gdyby i herbaty też zabrakło.

Gdy powiedział to głośno, wybuchnęła śmiechem:

— Jesteś paradny³¹⁹ i naprawdę podobasz mi się. Jesteś pierwszym Amerykaninem, którego można strawić bez niebezpieczeństwa zepsucia sobie humoru na tydzień.

— Skądże wiesz, że jestem Amerykaninem?

— O, na pewno. Człowieka interesów odróżnię od razu. No, przyznaj się: poszedłeś ze mną tylko dlatego, że nic innego nie masz do roboty. Wcale się do mnie nie palisz, co?

— Może i masz rację. W każdym razie nie upieram się przy tym, żeby cię trudzić.

Spojrzała nań z niechęcią:

— Jesteś zimną bestią — powiedziała jakby z obrazą w głosie i jednocześnie ulokowała się na jego kolanach.

Łóżko miała wygodne i szerokie i nie dziw, był to bowiem mebel centralny, stanowiący rację istnienia całego tego mieszkania i warunek istnienia jego właścicielki.

Systematycznie złożyła kapę, odchyliła kóldrę i poprawiła poduszki. Rozbierała się żartując i śmiejąc się bez przerwy. Miała biodra wąskie i małe, ledwie uwypuklone piersi. Jej czarne włosy były ostrzyżone krótko, prawie po męsku.

Paweł rozbierał się, nie mogąc pozbyć się myśli, że kiedyś znał tę dziewczynę, tylko na pewno wówczas nie była wesoła. Przysięgłby, że oczy pod tym wysokim czołem musiały być smutne, niemal tragiczne.

— Jeżeli tak będziesz śpieszył się na swój pogrzeb — odezwała się lekko, lecz z jakim podrażnieniem — to obawiam się, mój przyjacielu, że odbędzie się bez ciebie.

Paweł burknął coś pod nosem i bez pośpiechu wsunął się pod kóldrę.

Dziwił się sobie samemu, lecz ta dziewczyna naprawdę go pociągała. Można to było wytłumaczyć tym, że już od dość dawna, to znaczy od ostatniej nocy spędzonej z Marychną jeszcze na długo przed napadem, żył w celibacie, jednak zdawało mu się, że to nie wystarczałoby.

Kontakt był tuż przy łóżku i wyciągnęła rękę, by zgasić światło.

Gdy je zapaliła po upływie pewnego czasu z powrotem, była już w czarnym szlafrocuku i siedząc na łóżku, zaciągała się papierosem.

— Przyjaźń amerykańsko-francuska — powiedziała, wypuszczając wąską strugę dymu — została, zdaje się, zadokumentowana wystarczająco. Mam wrażenie, że nie zależy ci na dalszej wymianie not³²⁰?

Paweł, leżąc, przyglądał się jej spod oka. I nagle przymknął powieki.

Teraz, gdy siedziała zwrócona doń profilem z papierosem w ręku, odkrył podobieństwo: przypominała mu Krzysztofa. Miała znacznie mniejsze i trywialne oczy, miała brzydsze usta i bardziej smagłą cerę, ale ręce jej były prawie tak piękne, jak Krzysztofa...

Uczuł nagle przypływ wielkiego niezadowolenia i nie poruszając się powiedział:

— Pozwól. Będę się ubierał.

Pałała coś, lecz słyszał tylko dźwięk jej głosu wysoki, niemal brzęczący. Jakież piękny głos ma Krzysztof... Przyszło mu na myśl, że mógłby wprost stąd pojechać na pocztę lub do pierwszego lepszego hotelu i zażądać telefonicznego połączenia z Warszawą. Dałoby się to przed Krzysztofem zupełnie rzeczowo umotywić: jak zdrowie stryja i co się dzieje w fabryce?...

³¹⁹paradny (daw.) — zabawny, śmieszny. [przypis edytorski]

³²⁰nota — oficjalne pismo rządu jednego państwa do drugiego. [przypis edytorski]

Zawiazywał krawat, nie patrząc w lustro, i musiał zawiązać go krzywo, gdyż dziewczyna chciała mu go poprawić. Z niechęcią odsunął jej ręce, położył na toalecie³²¹ banknot stufrankowy i mruknąwszy „do widzenia”, wyszedł.

Telefonowanie do Warszawy byłoby oczywistym nonsensem. Skąd w ogóle mógł przyjść taki pomysł!... Chociaż z drugiej strony można by to zrobić dla przyjemności Krzysztofa. To właśnie byłoby coś, co odpowiadałoby romantyzmowi tej dziewczyny, która odprowadzając go na dworzec, miała taki wyraz oczu, jakby chciała mu się rzucić na szyję... Zjednałby ją sobie jeszcze bardziej, biorąc ściśle, kosztem kilku minut czasu i kilkunastu franków opłaty za rozmowę.

Do odejścia pociągu miał jeszcze przeszło godzinę. Połączenie dostałby najdłużej w przeciągu kwadransa...

Wzdłuż ulicy szła żelazna balustrada. Stał i spojrzał w dół. Wśród nielicznych latarni połyskiwały szyny torów kolejowych. Kolej podziemna wydobywała się tu na powierzchnię. Z lewej strony czerniły się symetryczne jamy tunelów. Raz po raz dobywał się z nich jazgoczący hałas i tuż pod nim przebiegały długie, roztrzęsione w pędzie wagonny... Właśnie zjednanie Krzysztofa jeszcze bardziej, zbliżenie się, byłoby tylko przeszkodą, skrępowaniem ruchów, udzieleniem pewnych praw. A przede wszystkim zaważą.

Odwrócił się. Przy sąsiednim rogu był postój taksówek. Wsiadł i kazał zawieźć się na dworzec.

W wagonie otworzył walizkę i rozłożył przed sobą prospekty³²², ceduły³²³, cenniki, wykazy i wszystko to, co zdołał zebrać w Paryżu, a co przed rozmowami w Londynie musiał gruntownie przestudiować.

Plan miał ułożony w ten sposób, że przede wszystkim musi zdobyć znajomość z głównymi angielskimi odbiorcami i hurtownikami kauczuku, a o ile to będzie możliwe, dotrzeć także i do Williama Willisa, amerykańskiego miliardera, który właśnie w ostatnich dwóch latach skupił w swoim ręku większość akcji amerykańskiego koncernu opon samochodowych i którego przyjazd do Anglii właśnie skłonił Pawła do równoczesnego wyjazdu.

Przed wszystkim należało poznać tych ludzi i zorientować się, z jakiego typu kontrahentami³²⁴ będzie miało się do czynienia. Od tego zależała cała dalsza taktyka i maszynieria posunięć.

Znał Londyn z kilkakrotnych tam pobytów względnie dobrze i zatrzymał się w starym, solidnym szkockim hotelu przy Trafalgar Square³²⁵. Pomimo nie przespanej nocy nie czuł zmęczenia. Wziął kąpiel, przebrał się, zjadł śniadanie i wyszedł na miasto.

Pomimo stosunkowo wczesnej godziny upał był nieznośny. Asfalt ulic i mury kamienic wprost ziały żarem. Mężczyźni szli bez marynarek lub nieśli je przerzucone przez rękę. Kobiety były wszystkie w jasnych, przezroczystych sukniach, przeważnie bez pończoch. Upał jednak w niczym nie wpłynął na zmniejszenie ruchu.

Ulicami pędziły wartkie rzeki samochodów, autobusów, tramwajów, tak stłoczonych, że zdawało się, iż w tym pędzie lada moment dojdzie do straszliwej katastrofy. Spostrzegawczość Pawła uderzyła przede wszystkim zdumiewająca w tym ruchu cisza. Po wrzaskliwym, rozgestykulowanym, trąbiącym, krzyczącym, hałaśliwym Paryżu Londyn wydawał się miastem, na które nałożono tłumik, którego dźwięki dziwnie zmoderowano³²⁶. Na przestrzeni od Trafalgar Square aż do South Kensington³²⁷ Paweł ani razu nie usłyszał trąbki samochodowej, ani razu zgrzytu gwałtownie naciskanych hamulców.

³²¹*tualeta* — dziś popr.: toaleta; tu: toaletka, stolik z lustrem, z szufladami na przybory do higieny i pielęgnacji. [przypis edytorski]

³²²*prospekt* — broszura informacyjno-reklamowa zawierająca np. informacje o produktach danej firmy. [przypis edytorski]

³²³*ceduła* (daw.) — tu zapewne: oficjalny komunikat giełdowy z wykazem kursów walut, notowań papierów wartościowych, cen towarów itp., albo też: rodzaj druku reklamowego z ofertą towarów. [przypis edytorski]

³²⁴*kontrahent* — jedna ze stron umowy handlowej. [przypis edytorski]

³²⁵*Trafalgar Square* — centralny plac Londynu, znana atrakcja turystyczna, upamiętnia zwycięstwo brytyjskiej marynarki wojennej w bitwie pod Trafalgarem (1805). Pośrodku znajduje się 55-metrowa kolumna Nelsona, plac zdobią także inne pomniki oraz fontanny. [przypis edytorski]

³²⁶*moderować* (z łac.) — łagodzić, uspokajać, powściągać. [przypis edytorski]

³²⁷*od Trafalgar Square aż do South Kensington* — dzielnica South Kensington znajduje się ok. 4 km na zachód od placu Trafalgar. [przypis edytorski]

Zarówno kierowcy, jak i piesza publiczność uważali widocznie, że do uniknięcia wypadku w zupełności wystarczy baczność wzroku.

Pod tym względem nic od czasów przedwojennych w Londynie się nie zmieniło. Tylko w City³²⁸ tu i ówdzie wyrosło kilka siedmio- i ośmiopiętrowych gmachów w nowoczesnym stylu, rażących oko swymi brutalnie wielkimi rozmiarami pośród niedużych dwu- i trzypiętrowych kamienic.

Paweł lubił Londyn. Za jego spokój, za solidność, za ekskluzywność i zamkniętość w sobie małych mieszkalnych domków, z których każdy stanowił w tym olbrzymim mieście odrębną całość. Z powodu upału drzwi były pootwierane, lecz płócienne pasiaste portiery³²⁹, zasłaniające wejścia, stanowiły także same przeszkody nie do przebycia, jak i ciężkie rzeźbione w drzewie staroświeckie drzwi, za którymi Anglik czuł się bardziej u siebie niż cały naród angielski na Wyspach Brytyjskich.

Zewnętrzne warunki, które łączyły te domy w jedno miasto, zdawały się nieistotne, zdawały się łączyć je tylko powierzchownie, dzięki czemu Londyn przypominał potwornych rozmiarów plaster miodu, w którym każda pszczoła ma swoją własną, wyłączną komórkę, niekomunikującą się z innymi.

W westybulu³³⁰ zatrzymał Pawła wysoki siwy portier w liberii³³¹ ozdobionej wieloma medalami. Pomimo bardzo oficjalnego wyglądu rozmówił się z Pawłem w poufale i dobronudny sposób. Prezes Brighton wprawdzie jest w biurze, lecz należy wątpić, czy będzie miał czas przyjąć kogokolwiek. Na giełdzie dzisiaj coś nie jest w porządku. Lepiej pomówić z sekretarzem. Ten będzie wiedział, kiedy uda się złapać *mister*³³² Brightona.

Paweł jednak miał swój system i z sekretarzem mówić nie chciał. Przy tym z tak pewną miną podał portierowi swój bilet wizytowy i tak stanowczo oświadczył, że jednak prezes Brighton go przyjmie, że portier zdecydował się go zameldować. Bilet wizytowy pod nazwiskiem Pawła zawierał tytuł generalnego prezesa Związku Polskiego Przemysłu Metalurgicznego, niezupełnie zgodny z prawdą, lecz tym niemniej o tyle efektowny, że po pięciominutowym oczekiwaniu Paweł został zaproszony do gabinetu.

Brighton, żylasty, siwy starzec o długich, żółtych zębach, znajdował się widocznie w stanie dużego podniecenia, gdyż pomimo spokojnego głosu i opanowanych ruchów zdradzał zdenerwowanie tym, że gryzł bez przerwy cybuch krótkiej, czarnej fajki, z której nie wydobywała się ani odrobina dymu.

Prezes Brighton był wielorybem rynku kauczukowego, a przyjazd Williama Willisa nie mógł nic nie znaczyć, gdyż każdy krok Williama Willisa, każde jego słowo, każda minuta liczyła się na wagę złota.

W tych warunkach jakakolwiek rozmowa z Brightonem niedotycząca rzeczy konkretnych była nie do pomyslenia. I chociaż Paweł pierwotnie miał zamiar nadać swojej wizycie charakter nieobowiązujący, zmienił obecnie plan i oświadczył wprost, iż nabył wynalazek kauczuku syntetycznego, że ze względu na warunki ekonomiczne w Polsce nie chciałby tam rozpoczynać jego fabrykacji³³³, i przede wszystkim uważał za stosowne porozumieć się z prezesem Brightonem.

— Słowem, chce mi pan sprzedać ten wynalazek? — zapytał Anglik, wyjmując z ust fajkę.

— Nie. Chciałem panu zaproponować spółkę.

Brighton rzucił okiem na kartę wizytową leżącą przed nim i nacisnął dzwonek. Na progu ukazała się korpulentna, starsza już kobieta z notatnikiem w ręku.

— Panno Nirmes — zapytał prezes — co wiemy o patencie polskim na kauczuk syntetyczny?

Urzędniczka znikła i po upływie niespełna minuty wróciła z teczką, którą położyła przed szefem. Brighton nałożył okulary i zaczął przeglądać jej zawartość.

³²⁸ *City* — część Londynu, w której koncentruje się większość działalności finansowo-handlowej Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

³²⁹ *portiera* — zasłona z grubego, ciężkiego materiału, umieszczana przy drzwiach. [przypis edytorski]

³³⁰ *westybul* — reprezentacyjny przedpokój. [przypis edytorski]

³³¹ *liberia* — rodzaj munduru noszonego przez służbę. [przypis edytorski]

³³² *mister* (ang.) — pan. [przypis edytorski]

³³³ *fabrykacja* — produkcja. [przypis edytorski]

Paweł ze swego miejsca widział, że było tam kilkanaście listów, wycinków z gazet i formularzy patentowych.

— Widzę, że pańskie biuro nie zasypia sprawy — powiedział z uznaniem.

— To jest konieczne. Tym mi przyjemniej, że ten kauczuk syntetyczny zdaje się robić wrażenie realnego interesu. Prosiłbym pana o dwie informacje: czy istotnie w masowej fabrykacji cena może być tak bajecznie niska? Pisma podały, że nie przekroczy ona dwudziestu pięciu procent ceny kauczuku naturalnego.

— Wiadomość ta — spokojnie odpowiedział Paweł — została podana przeze mnie.

W oczach Brightona przez króciutki moment błysnęło niedowierzanie. Jednakże wobec kategoryczności oświadczenia gościa nie mógł wyrazić powątpiewania.

— To ciekawe — powiedział. — A czy może mi pan zdradzić, na jakim surowcu rzecz jest oparta?

— Owszem. Głównym składnikiem jest terpentyna.

— Jak długo zabawi pan w Londynie?

— Dwa dni.

Brighton otworzył notes i dość długo wertował skrzętnie zapisane pozycje godzin.

— Niestety. To wprost niemożliwe. Rzecz wymagałaby dłuższego omówienia, a ja w ciągu trzech najbliższych dni dosłownie nie rozporządzam ani odrobiną wolnego czasu.

— Sprawa nie da się załatwić drogą korespondencji — zaznaczył Paweł.

— Oczywiście. — Brighton przetarł czoło i widocznie się namyślał. — Chyba że pan byłby tak łaskaw zaszczycić swoją obecnością małe przyjęcie, jakie urządzam u siebie na wsi jutro wieczorem?... Nie lubię niczego odkładać na później. Dlatego byłbym panu obowiązany za tę uprzejmość.

— W zupełności podzielam pańskie zdanie — skinął głową Paweł. — Obawiam się tylko, czy swoją obecnością w jego domu, no i swoim interesem nie utrudnię panu roli gospodarza.

— Bynajmniej — bez przekonania zapewnił Brighton. — Będzie to skromny obiad, na którym spotka pan kilka osób z naszego przemysłu. Bardzo żałuję, ale nie ośmielę się pana dłużej zatrzymywać.

Paweł wstał i prawie kordialnie³³⁴ wyciągnął doń rękę:

— Rozumiem to. Jestem przecie w stolicy kraju, który odkrył, że czas jest synonimem pieniądza.

Dopiero na ulicy Paweł przypomniał sobie, że nie wziął adresu wiejskiej posiadłości Brightona. Ponieważ jednak na zostawionym u niego bilecie podał nazwę hotelu, w którym się zatrzymał, nie wątpił, że zostanie tam zaproszenie.

Było oczywiste, że przyjęcie wydawane przez Brightona miało ścisły związek z pobytem w Londynie Williama Willisa i że Willis na tym przyjęciu będzie. I właśnie dlatego Paweł postanowił doń dotrzeć jeszcze przed jutrzejszym spotkaniem.

Kazał się zawieźć na Fleet Street. W małym, niepozornym i bardzo starym domu mieściło się tu wydawnictwo „Commercial News”, organ wielkiej finansjery City. Paweł zażądał kompletu dziennika z całego ubiegłego tygodnia i przewertował dokładnie tabelę cen przetworów kauczukowych. Z małej wzmianki informacyjnej można było wywnioskować, iż dość ostre wahania cen są wynikiem konkurencyjnej walki dwóch wielkich koncernów.

W grę wchodzili tu zarówno producenci, jak i towarzystwa handlowe, przesadnie rozbudowane w latach największego powodzenia, a nieumiejące obecnie skurczyć swych ram w złej koniunkturze. Jedno było pewne: konsumpcja kauczuku malała w bardzo szybkim tempie.

Głównym winowajcą tego stanu rzeczy był przemysł samochodowy. Jego monstrualny rozwój zasugerował³³⁵ producentów kauczuku i ci włożyli olbrzymie kapitały w powiększenie terenów eksploatacyjnych. Inwestowali miliony w zasadzenie tysięcy hektarów drzewem kauczukowym, w budowę składów przeładunkowych, kolejek dowozowych, portów rzecznych i taboru do przewożenia surowca wodą i lądem.

³³⁴kordialnie (z łac.) — serdecznie. [przypis edytorski]

³³⁵zasugerować — dziś: sugerować. [przypis edytorski]

Tymczasem w obliczu kryzysu przemysł samochodowy z dnia na dzień zmniejszył swoją produkcję o połowę. W ten sposób główny odbiorca niespodziewanie podciął egzystencję dostawcy.

Przemysł kauczukowy, znacznie cięższy, nie był w stanie szybko pójść tą drogą i wytworzyła się sytuacja nad wyraz ryzykowna: beznadziejne wysiłki znalezienia odbiorców z jednej strony, a z drugiej obrona przed obniżeniem cen. Szeroko zakrojona kampania przeciw fabrykom samochodowym o takie obniżenie cen auta, by konsumpcję utrzymać na dotychczasowym poziomie, nie dała pożądaných wyników.

Słowem, Paweł zdawał sobie już dokładnie sprawę, że jego zjawienie się na rynku z surowcem czterokrotnie tańszym byłoby bezapelacyjnie ciosem morderczym dla wszystkich kauczukowców. Że i samemu kauczukowi poważnie groziło, nie martwiło to Pawła. Po pierwsze nie zależało mu na nim obecnie, a po wtóre cena czterokrotnie niższa otwierała całkiem nowe upusty konsumpcji.

W każdym razie ludzie, z którymi miał mieć do czynienia, zarówno prezes Brighton, jak i sam William Willis, nie przedstawiali groźnych bóstw i wszechwładnych panów, lecz raczej wielkie okręty, osiadające na mieliźnie i wołające o ratunek.

To przede wszystkim należało wziąć pod uwagę.

W grubej księdze adresowej Paweł bez trudu znalazł adresy biur tych agentów handlowych i maklerów giełdowych, którzy pracowali w kauczuku.

W szeregu nazwisk uwagę jego zatrzymało nazwisko Isaaksona, którego biuro mieściło się przy Charing Cross Road. Wynotował je sobie, sprawdził telefonicznie, czy zastanie agenta, i w pół godziny później był już w jego małym i ciemnym biurze na trzecim piętrze.

O ile lokal biurowy wywierał raczej wrażenie zaniedbania i ubóstwa, o tyle sam Isaakson wyglądał raczej na zażywnego bankiera. W sali, przedzielonej krzywą drewnianą balustradą, siedziało przy biurkach i maszynach do pisania pięć czy sześć osób. Róg tejże sali, oddzielony drewnianym przepierzeniem z powybijanymi lagrowymi³³⁶ szybami, był siedziskiem samego szefa.

Isaakson, dowiedziawszy się, że jego interesantowi chodzi przede wszystkim o informacje z rynku kauczukowego, ożywił się natychmiast. Na jego okrągłej twarzy zjawił się uprzejmy uśmiech:

— Pan, zdaje się, jest obcokrajowcem? — zapytał. — Rozumiem, że panu trudno będzie zorientować się tu w naszych interesach. Jeżeli jednak pan zamierza nabyć jakieś akcje kauczukowe, załatwimy to w sposób ostrożny i delikatny. Nie mógł pan lepiej trafić niż do mnie. Od piętnastu lat robię w kauczuku i znam wszystko na wylot.

— Jeżeli pan tak dobrze na tym się zna — powiedział Paweł — nie przypuszczam, by miał pan do sprzedania papierów kauczukowych za jednego szylinga³³⁷.

— Dlaczego? — zrobił zdziwioną minę agent.

— Z tej prostej przyczyny, że sprzedałby pan je już dawno bodaj za pół pensa.

Agent skrzywił się i spod oka spojrzął na Pawła:

— Jeżeli pan tak myśli, to co pana obchodzi kauczuk?

— Myślę, *mister* Isaakson, że na *bessie*³³⁸ można zrobić takie same pieniądze, jak i na *hossie*³³⁹. Mam pewne dość duże kombinacje. Jak pan słusznie zauważył, jestem cudzoziemcem i będę potrzebował tu w Londynie kogoś, kto by mi całe tutejsze sprawy załatwiał.

— Przepraszam, a skąd pan jest?

— Z Warszawy. Mieszkam stale w Warszawie.

Twarz agenta rozpromieniła się nagle od ucha do ucha. Zerwał się z miejsca, wyciągnął ręce i zawołał najczystsza polszczyzną:

³³⁶*lagrowe szyby* — wykonane ze szkła białego, lagrowego. [przypis edytorski]

³³⁷*szyling* — dawna angielska jednostka monetarna. Szyling był równy 1/20 funta i dzielił się na 12 pensów. [przypis edytorski]

³³⁸*bessa* — długotrwały spadek kursów papierów wartościowych lub cen towarów notowanych na giełdzie. [przypis edytorski]

³³⁹*hossa* — długotrwały wzrost kursów papierów wartościowych lub cen towarów notowanych na giełdzie. [przypis edytorski]

— Czego ja słyszę? To prawdziwy radość. Niech pan zgadnie, ale co tam zgadnie! My jesteśmy ziemiaki.

Potrząsnął mocno rękę Pawła i widać było, że naprawdę jest wzruszony. Okazało się, iż będąc młodzieńcem wyjechał z Polski i ani razu w niej nie był, ale ma w Warszawie rodzinę, z którą od czasu do czasu koresponduje. Są to bardzo biedni ludzie, mają sklepik łokciowy³⁴⁰ na Franciszkańskiej i zdaje się im, że jak jaki krewniak mieszka w Londynie, to zaraz musi być milionerem, a tymczasem tu człowiek nieraz przez tydzień biega, lata, telefonuje, poci się na giełdzie, żeby wyrwać kilka funtów, a życie jest drogie, bardzo drogie, a z kauczukiem kompletny zastój...

Lody były przelamane. Isaakson rozwodził się obszernie na temat ciężkiej sytuacji, wyciągał gazety i z oburzeniem stukał grubym palcem w szpalty³⁴¹ drobnutkiego druczku, który zawierał w sobie losy wielu firm, ba, wielu fortun.

Po godzinie Paweł rozstał się z agentem. Na razie wiedział już dość, by móc rozmówić się z Williamem Willisem. Sytuacja wyglądała bardzo dobrze, a wszystko szło tak gładko, że Paweł był przekonany, że z równą łatwością dotrze dziś jeszcze do Williama Willisa.

Miał dlań przygotowany dokument, który musi nawet na tak wielkim producencie opon samochodowych wywrzeć należyte wrażenie. Był to list polskiego Ministerstwa Spraw Wojskowych, upoważniający Pawła do zawarcia umowy na dostawę opon i dętek samochodowych dla armii na przeciąg³⁴² lat trzech. Dokument sporządzony był w języku francuskim i opatrzony wielkimi pieczęciami i zamaszystymi podpisami. Jedyną jego słabszą stroną było to, że nie był on prawdziwy, ale o tym William Willis wcale nie potrzebował wiedzieć.

W hotelu „Savoy”, gdzie Willis zajmował wielki apartament, przyjął Pawła jeden z sekretarzy i z miejsca oświadczył, że o zobaczeniu się z samym *mister* Willisem nie może być mowy. Nie pomogły żadne perswazyje i żadne argumenty. *Mister* Willis ma każdą minutę wyliczoną, a i tak jego pobyt w Londynie przeciągnie się o całych sześć godzin, wskutek czego będzie musiał jechać do Hamburga starym i niewygodnym okrętem.

— A wyjeżdża jutro wieczorem? — zapytał Paweł.

— Tak, ale niech pan nawet nie próbuje spotkać się i rozmówić się z nim w porcie, gdyż przyjedzie przed samym odejściem statku z pewnego oficjalnego przyjęcia. Wszystkie interesy może pan załatwić u naszego londyńskiego przedstawiciela, który ma całkowite pełnomocnictwo.

— Trudno — powiedział Paweł, pożegnał się i wyszedł.

Że spotka i pozna Willisa na obiedzie u Brightona, wiedział o tym dobrze. Natomiast było wysoce wątpliwe, czy na tym przyjęciu uda mu się zamienić z amerykańskim potentatem więcej niż kilka zdawkowych słów.

A rozmówić się z nim musiał, od tej rozmowy bowiem zależało zbyt wiele. Od tej rozmowy zależało, czy wynalazek Ottmana będzie tylko małym i niepewnym źródłem dochodu, czy żyłą, która przyniesie miliony. Zresztą i samo zaproszenie do Brightona nie było tak pewne, jak to początkowo przypuszczał.

Z niepokojem wracał do hotelu. Postanowił sobie, że nawet w wypadku nieotrzymania zaproszenia dowie się o adres wiejskiej posiadłości Brightona i pojedzie tam na siódmą lub ósmą. Jest cudzoziemcem i z powodzeniem może udawać, że nie zauważył takiego drobiazgu, jak zaproszenie bez podania adresu.

Obawy jednak były niesłuszne. W hotelu dowiedział się, iż Brighton polecił widocznie któremuś ze swych urzędników rzucić kartę, gdyż znalazł ją w swojej skrzynce wraz z listem, zapraszającym do Maring Hill pod Eton³⁴³.

Przyszło kilka listów z kraju. Holder donosił, iż wszystko jest w porządku, załączył też listę kilkudziesięciu osób, które w tym czasie chciały się z Pawłem widzieć.

³⁴⁰sklepik łokciowy (przestarz.) — sklepik sprzedający tkaniny, wstążki itp. na lokcie, tj. odwijane z beli i przycinane do długości pożądaną przez klienta. [przypis edytorski]

³⁴¹szpalty — strony gazety a. książki z wydrukowanym tekstem; *szpalta* (druk): pewna liczba wierszy druku tworząca pionowy pas, łam; [przypis edytorski]

³⁴²na przeciąg trzech lat — dziś popr.: na okres trzech lat. [przypis edytorski]

³⁴³Eton — angielskie miasteczko nad Tamizą, na zachód od Londynu; znane głównie jako siedziba *Eton College*, elitarnej internatowej szkoły męskiej. [przypis edytorski]

Od Krzysztofa nie było ani jednego słowa i Paweł pomyślał, że to zupełnie leży w naturze tej dziewczyny. Nigdy się nie narzuca. W gruncie rzeczy brak listu sprawił mu przykrość. Było to bardzo ładnie z jej strony, że nawet nie zapytała Pawła o cel podróży. Może jednak i naprawdę zupełnie się tym nie interesuje... Albo zadowolnia się³⁴⁴ pisanem swoich egzaltowanych, tragicznych listów, z góry przeznaczonych na niewysłanie.

Sięgnął do stojącego na biurku pudła i położył przed sobą arkusz papieru i kopertę. Długo rozkręcał wieczne pióro, lecz w końcu schował je do kieszeni i zszedł na obiad do sali restauracyjnej. Po drodze zatrzymał się przed portierem:

— Jutro wieczorem — powiedział — wyjeżdżam na krótko do Hamburga. Numer³⁴⁵ zatrzymuję. Muszę jechać okrętem, który odplywa jutro wieczorem między godziną dziesiątą a dwunastą lub może trochę później. Proszę wyszukać mi ścisłą godzinę odjazdu i kupić bilet pierwszej klasy.

W godzinę później, gdy Paweł wracał do siebie, portier oświadczył, iż rzecz załatwiona. Niestety jest to okręt posiadający tylko dwie kabiny pierwszej klasy i obie już sprzedane. Wobec tego portier zamówił kabinę drugiej klasy. Odjazd okrętu nastąpi punktualnie o godzinie dwunastej minut czterdzieści od przystani w Greenwich Pier³⁴⁶.

Wieczór spędził Paweł na studiowaniu zebranych materiałów, a nazajutrz całe przedpołudnie na zbieraniu nowych. Widział się też z Isaaksonem i kierując się jego wskazówkami, zawarł znajomość z kilku ludźmi pomniejszych interesów w branży kauczukowej.

Wszystkie rozmowy i zabiegi dotyczące przyszłej działalności Centrali Eksportowej musiał odłożyć na później. Po przejrzeniu rozkładów jazdy i kursów okrętowych stwierdził, że w dwie godziny po przybyciu do Hamburga będzie miał powrotny okręt do Londynu. Nie zatrzyma się tu dłużej i wprost z portu pojedzie na dworzec kolejowy. Trzeba tylko już teraz kupić miejsce w wagonie sypialnym do Manchesteru.

Nie liczył zbyt wiele na bank „Lloyd and Bower”, lecz w każdym razie zanim zacząłby zabiegać o kredyty w bankach londyńskich, sam rozsądek wskazywał zwrócenie się do banku, z którym ojciec znajdował się w stosunkach finansowych i który do samego nazwiska Dalczów musi mieć zaufanie.

Gdy zajechało eleganckie torpedo³⁴⁷ hotelowe, wszystko już było gotowe. Paweł zajął miejsce obok szofera i auto ruszyło. Pomimo szybkiej jazdy upłynęło ponad trzy kwadransy, zanim zaczęły się przerzedzać ulice i rozplywać w zielonej przestrzeni.

Wreszcie wyciągnęła się pod kołami samochodu równa jak stół, lśniąca asfaltowa szosa, przecięta przez środek białą linią. Po obu stronach, odgrodzone półmetrowej wysokości kamiennym murkiem, rozciągały się nieprawdopodobnie zielone otwarte przestrzenie, parki o od wieków pielęgnowanych trawnikach, z rzadkimi kępami drzew i krzewów. Tu i ówdzie mijali farmy, tu i ówdzie dostrzegali pasące się jelenie i sarny. Z rzadka tylko mignął gdzieś kawałek użytkowej uprawnej ziemi.

Jak okiem sięgnąć wszystko tu było poddane gorliwej opiece ludzkiej, pracującej dla zachowania piękności krajobrazu i niepokalanej estetyki każdego szczegółu.

„Może sobie Anglia pozwolić na luksus niekorzystania z tego, co może dać ziemia” — myślał Paweł. „Przecież trzy piąte świata składa haracz swych bogactw i swego trudu na utrzymanie tych parków”.

Przejeżdżali przez gęsto rozsypane wsie i miasteczka, przypominające raczej szykowne willowe osady niż skupiska domów zamieszkałych przez chłopów i drobne mieszczaństwo. Tooting, Merton, Kingston, wspaniały ogrom parków Hampton Court, Staines i oto spośród gajów wyrastające wzgórza Windsoru³⁴⁸, ukoronowane masywnymi basztami starego królewskiego zamku. Wśród rozgałęzień asfaltowych szos wielka, szeroka, żółta wstęga, spływająca od wrót zamku w zielone niziny.

Szofer snadź³⁴⁹ zauważył obejrzenie się Pawła w tę stronę, gdyż powiedział:

³⁴⁴zadowolniać się (daw.) — zadowalać się. [przypis edytorski]

³⁴⁵numer — tu: pokój hotelowy. [przypis edytorski]

³⁴⁶Greenwich Pier (ang.: Przystań Greenwich) — przystań na Tamizie w londyńskiej dzielnicy Greenwich. [przypis edytorski]

³⁴⁷torpedo — dawny typ samochodu o wydłużonym nadwoziu, popularny od pocz. XX w. do połowy lat 30. [przypis edytorski]

³⁴⁸Windsor — ang. miasto na zach. od Londynu, słynne z Zamku Windsor, głównej rezydencji królów Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

³⁴⁹snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

— Ta droga jest zamknięta dla pojazdów mechanicznych. Używana jest tylko raz do roku, kiedy król jedzie na otwarcie wyścigów.

Droga do Eton przebiegała tuż koło potężnych murów Windsoru, spadała w kilka głębokich siodła pagórków i wciskała się w wąskie uliczki między gmachy starego kolegium. Tuż za Eton skręcała w prawo.

— Oto i Maring Hill — powiedział szofer, wskazując ruchem głowy szeroki, płaski budynek, niemal zupełnie zakryty drzewami na pobliskim wzgórzu.

Był to stary dom z końca osiemnastego wieku, odziedziczony lub prawdopodobnie nabyty przez prezesa Brightona. Niżej stały czworobokiem zabudowania gospodarskie, stajnie i garaże, z lewej rozciągało się pole golfowe. Za domem oczywiście musiał być kort tenisowy.

Wbrew zapowiedziom gospodarza o skromnym przyjęciu Paweł zastał już w hallu kilkanaście osób. Panowie prawie wszyscy już po pięćdziesiątce i również przeważnie starsze panie w jasnych wieczorowych sukniach rozmawiali grupkami w hallu i w przyległych pokojach.

Pan Brighton przedstawił Pawła żonie, bardzo wysokiej siwej damie o manierach królowej, z resztą towarzystwa nowo przybyły wymienił sakramentalne³⁵⁰ sztywne skinięcie głowy.

Zapalono już światło, gdy przybył William Willis.

Był to jeszcze młody człowiek o różowej, szeroko uśmiechniętej twarzy, z kopą³⁵¹ źle uczesanych blond włosów na stożkowatej głowie. Wyglądał na pomocnika aptekarskiego z małego miasteczka, przy czym frak, sztywny gors³⁵² i wysoki kołnierzyk najwidoczniej bardzo mu przeszkadzały, gdyż ustawicznie wykonywał łopatkami niecierpliwe ruchy i zanurzał dwa lub trzy palce w czeluść między kołnierzykiem a szyją, przy czym wykrzywił twarz i śmiał się krótkim, głośnym śmiechem.

Na tle arcyprawników panów i wytwornych pań postać ta musiała wzbudzić zdumienie. Na niczyjej twarzy nie dostrzegł jednak Paweł ani jednego drgnięcia, które by świadczyło, że jej właściciel trzęsie się wewnątrz ze śmiechu lub z oburzenia.

Jak było do przewidzenia, Brighton na jeden moment nie opuszczał Amerykanina i Paweł dość ryzykownie zbliżył się do nich, udając, że nie widzi manewru gospodarza, usiłującego zasłonić sobą cennego gościa.

— Bardzo żałuję — odezwał się Paweł — że nie będę mógł skorzystać ze spotkania pana w Londynie, *mister Willis*, gdyż bardzo chciałbym z panem pomówić o różnych interesach dotyczących wschodniej Europy, lecz właśnie gdy dowiedziałem się o pańskim pobycie w Anglii, interesy wzywają mnie do Hamburga.

— Ach, do Hamburga? — zdziwił się Amerykanin.

— Tak. Jadę tam na kilka dni, zanim zaś wrócę, już pan oczywiście odjedzie do Ameryki.

Brighton spojrział na Pawła przesywającym wzrokiem, przygryzł usta i nic nie odpowiedział.

— A kiedy pan jedzie? — zapytał Willis.

— Dziś wieczorem, niestety.

— Jeżeli statkiem „Corona”, to, do licha, jedziemy razem!

— Nie wiem, jak się ten okręt nazywa — odpowiedział Paweł. — Odchodzi z Greenwich Pier o dwunastej czterdzieści.

— To świetnie! Zatem będziemy mieli dość czasu...

W tejże chwili stanął przy nich lokaj z tacą i pani domu, która widocznie dostrzegła wreszcie znaki dawane jej przez męża i przybyła z odsieczą. Zabrała też Pawła i wyholowała go na środek hallu.

Roznoszono cocktaile i przekąski. Paweł zaczął rozmowę z kilku luźnie stojącymi panami w ten sposób, że ściągnął ich w jedną grupę. Rozmowa dotyczyła oczywiście kauczuku. Wśród wielu nic nieznaczących frazesów jeden z panów powiedział lekko:

— Wszystko polega na solidarności. Nie wiem, czy Brighton potrafi o tym przekonać, kogo należy...

³⁵⁰sakramentalny — uświęcony zwyczajem, tradycją. [przypis edytorski]

³⁵¹kopa — sterta siana, słomy itp. [przypis edytorski]

³⁵²gors — przednia część koszuli, zwł. męskiej. [przypis edytorski]

Otworzono drzwi do jadalni. Paweł otrzymał miejsce między chudym starszkiem i jakąś damą o zielono-rudych włosach. Początkowo próbował ją bawić, lecz gdy po każdym jego odezwaniu się z niezmienną miną powtarzała identyczne „es!?” dał spokój.

Przy stole mówiono o interesach. Willis jadł szybko i żarłocznie, siedzący obok niego Brighton prawie wcale nie tknął talerza i wciąż klarował coś półgłosem sąsiadowi, na co Amerykanin odpowiadał pełnymi ustami, uzupełniając zniekształcone dźwięki „yes” potwierdzającym mruganiem swych nieco wylupiastych oczu.

Oczywiście Brighton pracował nad utwierdzeniem Amerykanina w owej solidarności, o której mówił tamten jegomość w hallu. Solidarność ta mogła dotyczyć różnych rzeczy, lecz Paweł był dość już obeznany z sytuacją na rynku kauczukowym, by wiedzieć, że chodzi o solidarność w niesprzedawaniu akcji kauczukowych.

Prawdopodobnie Brighton i oni tu wszyscy mają swoje kapitały zaangażowane w tych akcjach i gdyby Willis rzucił na giełdę swoje, powstałaby panika, a kursy spadłyby na łeb na szyję. Spodziewano się jednak widocznie jakiegoś ratunku, gdyż dotychczas dotrzymywano solidarności, a z miny Willisa można było wnioskować, że i on też jest przekonany.

W trakcie obiadu wzywano Willisa do telefonu dwa razy i podano mu jakąś bardzo długą depezę. Wiadomości nie musiały być jednak przykre, gdyż na tak żywej twarzy, jak jego, niezadowolenie odbiłoby się na pewno. W każdym razie ostatni telefon sprawił to, że Amerykanin odjechał jeszcze przed zakończeniem obiadu, hałaśliwie przeprasząc jedną z pań, którą przez pomyłkę wziął za panią domu.

Czarną kawę podano na tarasie. Brighton zbliżył się do Pawła i zaproponował mu przechadzkę. Po kilku ogólnikowych zdaniach zapytał wręcz:

— Czy zamierza pan pertraktować z Willisem o sprzedaż swego wynalazku?

— Czy robię na panu wrażenie człowieka grającego na dwa fronty? — odpowiedział pytaniem Paweł.

Brighton zmieszał się i bąknął niewyraźnie:

— Daruje pan, ale ten... zbieg okoliczności, że jedzie pan właśnie do Hamburga...

— W Hamburgu odbywa się zjazd kartelu³⁵³ stalowego i niespodziewanie zostałem tam wezwany w związku z moim stanowiskiem w przemyśle metalurgicznym.

— Ale zechce pan wybaczyć, nie ośmieliłbym się prosić o wyjaśnienie. Zresztą to nie dotyczy interesującej nas sprawy. Otóż w zasadzie przyjmuję pańską propozycję. Przykro mi, że obecna sytuacja wyklucza możliwość natychmiastowej realizacji wynalazku. Sam pan to przyzna. Lecz różnica kilku miesięcy wyjdzie sprawie na lepsze. Jestem przeciwnikiem amerykańskiej gorączkowości w tych rzeczach. Jakie pańskim zdaniem kapitały potrzebne są na to przedsięwzięcie?

— Ze względu na wyjątkową taniość produkcji i surowca sądzę, że z dziesięcioma milionami dolarów można by rzecz rozpocząć od razu na większą skalę. Biorę pod uwagę uruchomienie trzech fabryk w Polsce i po jednej w Szwecji i Norwegii. W przyszłości główny ośrodek musiałyby być w Kanadzie. Kanadyjska terpentyna kalkuluje się bowiem prawie o trzy procent taniej od polskiej, a o cztery i pół od skandynawskiej.

Przystąpili do omówienia szczegółów kalkulacji. Paweł jednak, pomimo znacznego wyrobienia i opanowania kontrahenta, nie dał się zwieść. Widział jasno, że Brightonowi zależy wyłącznie na przeciągnięciu sprawy. Było faktem, że człowiek ten myśli tylko o ratowaniu swoich interesów, w które jest uwikłany po uszy, nie zaś o robieniu nowych.

Tym bardziej Paweł udawał dobrą wiarę i gdy przeszli do gabinetu, bez namysłu położył swoją parafę³⁵⁴ pod ogólnikową umowę, jaką spisali. Brighton zobowiązał się w niej do sfinansowania kauczuku syntetycznego, Paweł zaś do powstrzymania się od szukania innych współników, do ostatniego dnia bieżącego roku.

Umowa taka w gruncie rzeczy nic nie znaczyła i nikogo nie wiązała. Rozumieli to obaj, z tą różnicą, że Brighton był przekonany, że Paweł tego nie widzi. Dlatego też zgodził się prawie bez opozycji na otwarcie w swoim banku kredytu w wysokości pół miliona dolarów na wstępne prace przy realizacji wynalazku, oczywiście z tym, że o uruchomieniu tego kredytu musiał decydować Brighton.

³⁵³kartel (ekon.) — porozumienie wielkich przedsiębiorstw określonej gałęzi przemysłu mające na celu zmonopolizowanie rynku. [przypis edytorski]

³⁵⁴parafa — skrócona forma podpisu. [przypis edytorski]

To również nie zobowiązało Brightona do niczego, Pawłowi zaś dawało do ręki list banku, stwierdzający, iż na jego nazwisko otwarty został kredyt na sumę tak poważną. Tego rodzaju list z takiego banku, jak Bank Szkocki, nie był do pogardzenia.

Ponieważ Paweł z Hamburga miał jechać do Manchesteru, poprosił Brightona, by list ten tam mu wprost wysłano na adres dyrekcji banku „Lloyd and Bower”, z którym od dawna prowadzi interesy. Rozstali się z tym, że wracając do kraju Paweł zatrzyma się w Londynie dla przeprowadzenia dalszych pertraktacji.

Szofer musiał wyciągać dobre sto kilometrów na godzinę, by zdążyć do Greenwich Pier na odejście okrętu. Pomimo późnego wieczoru spotykali bardzo wiele samochodów i Pawła zastanowiło to, że szofer podczas mijania innych wozów w największej szybkości nie zjeżdżał ani o ćwierć milimetra i że kierowcy innych wozów postępowali tak samo, dzięki czemu auta w szalonym pędzie mijały się na samym środku szosy tak, że zdawało się, iż otrą się o siebie bokami.

— To nie brawura, proszę pana — odpowiedział zagadnięty o to szofer — po prostu zaufanie. Ja wierzę, że tamten drugi umie tak samo prowadzić samochód, jak i ja, a on wierzy, że ja też umiem. Gdyby człowiek do człowieka nie miał zaufania, trzeba byłoby jeździć z szybkością dylizansu, a i w ogóle nie można by żyć. Kto mi zaręczy, że zwrotniczy dobrze nastawi zwrotnicę, że sternik nie wpakuje okrętu na mieliznę, że architekt mocno zbudował dom?

Paweł zamyślił się.

Któż lepiej i gruntowniej niż on sam poznał wartość zaufania, potężnego elementu psychiki ludzkiej, na którym opierał całą swoją życiową filozofię, całą swoją karierę. Świat chce wierzyć za wszelką cenę, chce być bodaj oszukiwany, lecz wierzyć musi...

„Corona” gotowała się do odjazdu. Z jej kominów szły w górę ciężkie kłęby czarnego dymu. Na pokładzie tłoczyli się pasażerowie. Był to nieduży okręt towarowo-pasażerski około ośmiu tysięcy ton, utrzymany jednak niezwykle czysto i o dość wygodnych kabinach. Od stewarda³⁵⁵ dowiedział się Paweł, że *mister Willis* już jest na pokładzie. Właśnie w swojej kabinie dyktuje coś sekretarzowi.

Rozległy się trzy ryknięcia syreny okrętowej i statek drgnął. To holownik naciągnął liny. Paweł przeszedł na dziób i oparł się o burtę. Mały, płaski jak kalosz holownik pruć czarną wodę Tamizy, za nim majestatycznie posuwała się „Corona”. Po obu stronach rzeki iskrzyły się tysiącami świateł latarnie składów i warsztatów portowych, stentorowym³⁵⁶ głosem warczały motory fabryk.

W odległości kilku kroków stała przy burcie jakaś parka i trzymała się za ręce. Po chwili ona wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Paweł chrząknął, lecz nie zwrócili na to uwagi. Wzruszył ramionami i poszedł do swojej kabiny. Nie wiadomo dlaczego przyszło mu na myśl, że mógłby przed wyjazdem z Warszawy poprosić Krzysztofa o jego fotografię, co oczywiście byłoby bardzo głupie. Od początku świata jakiś on ścisną i obmacuje jakąś oną i każdemu się zdaje, że w tym tkwi sens życia i że on właśnie zrobił to odkrycie. Ona zaś wówczas nic nie myśli, bo jej w ogóle na myślenie nie stać. Oto zabawa w szczęście królów stworzenia!...

Zaczęły pracować maszyny okrętu, wprawiając kadłub w ledwie uchwytnie drżenie, a w chwilę potem wszystko zaczęło się kołysać. Statek wypływał na morze. Paweł zatrasnął drzwi kabiny, przeszedł przez palarnię i zapukał do kajuty Willisa.

Amerikanin w różowej jedwabnej pidżamie leżał na kanapie. Był sam.

— A, witam pana! — zawołał. — Ci Anglicy są okropnie męczący. Jeżeli nie chce pan spać, moglibyśmy teraz sobie pogadać. Tylko zadzwonię na stewarda, by nam przyniósł ginu i lodu.

ROZDZIAŁ III

Podczas pogrzebu, w chwili gdy trumnę postawiono na odsuniętej płycie grobowca, pani Teresa zemdlała. Krzysztof i kilku najbliższych panów wzięli ją na ręce i odnieśli do samochodu. Wśród ogólnej ciszy, gdy się oddalili, dobiegł ich uszu dźwięk pierwszych słów mowy pogrzebowej, którymi senior przemysłu warszawskiego, pan Ludwik

³⁵⁵steward — pracownik obsługujący pasażerów na pokładzie statku a. samolotu. [przypis edytorski]

³⁵⁶stentorowy głos — głos gromki, donośny jak głos Stentora, herolda opisanego w *Iliadzie*. [przypis edytorski]

Kern, zęgnął zwłoki prezesa Karola Dalcza, człowieka kryształowej duszy i nieugiętego charakteru.

Lekko szumiały wierzchołki gęstych, pełnych liści drzew, skądś z boku ćwierkał jakiś ptaszek. Ostrożny, przyspieszony tupot nóg mężczyzn niosących matkę oprzytomnił Krzysztofa; spostrzegł, że niepotrzebnie ściska chudą rękę zemdlonej i tylko przeszkadza innym. Do samochodu ktoś przyniósł szklanek zimnej wody, tak zimnej, że szkło było pokryte matowym osadem kropelek. Dokoła zebrał się tłum gapiów. Ktoś tuż przy Krzysztofie powiedział:

— Wdowa zemdlą...

Wreszcie matka otworzyła oczy i zaraz chciała wracać na cmentarz, lecz lekarz stanowczo zaoponował. Wycieńczenie i osłabienie pani Teresy wymagało natychmiastowego odwiezienia jej do domu. Ponieważ zaś nie chciała, by Krzysztof odjeżdżał z Powązek przed zamknięciem grobu, posłano po Blumkiewicza, który pozostał na cmentarzu. Tymczasem jednak przyszła Nita i natychmiast zaoferowała się:

— Niech wuj pozwoli, ja odwiozę panią Teresę. Może wuj być spokojny.

Nie czekając na odpowiedź, zatrzasnęła drzwiczki samochodu i kazała szoferowi jechać.

— Powinien pan — zwrócił się lekarz do Krzysztofa — namówić matkę, by zaraz wyjechała na dłuższy odpoczynek.

— Może doktor to potrafi zrobić. Matka mówiła mi wczoraj, że jej pragnieniem jest jak najprędzej umrzeć, a ostatnie chwile życia spędzić w klasztorze. Widziałem nawet listy, które pisała do jakiegoś klasztoru w Krakowie. Chce tam zamieszkać.

— To nawet nie byłoby złe — po chwili namysłu powiedział lekarz.

Umilkli, gdyż właśnie zbliżali się do grobu. Na szerokich parcianych pasach spuszczo no trumnę. Tłum rozstępował się przed Krzysztofem. Właśnie wśród żałobnych śpiewów ksiądz rzucił grudkę ziemi do dołu i oczy wszystkich zwróciły się na Krzysztofa. Minęła dłuższa chwila, zanim spostrzegł się, że i on to powinien teraz zrobić.

Później zasunięto ciężką, kamienną pokrywę. Zbliżali się ludzie i ściskali jego rękę z wyrazem konwencjonalnego współczucia i zaciekawionego smutku na twarzy. Później podszedł Blumkiewicz i prosił, by Krzysztof wracał do domu. Wszystkie formalności już on tu załatwi. Krzysztof skinął głową i wolnym krokiem poszedł przed siebie.

Dopiero po chwili zorientował się, że nie idzie w kierunku bramy, lecz w głąb cmentarza.

Cicho tu było, jasno i pogodnie. W powietrzu pachniało rozgrzaną zielenią. Krzysztof usiadł na ławce.

Usiłował uprzytomnić sobie ważność tego, co się stało, usiłował odnaleźć w sobie żal i smutek, lecz zamiast tego dostrzegł jedynie kształt drzew, połyski na czarnym granicie pomników, grę cieni na żwirze alejki. No i swoje myśli. Trzeźwe, powolne, wyraziste. Oto został sam. Od dnia śmierci ojca przestał istnieć ich dom, bo czyż można było nazwać domem puste pokoje, gdzie nawet zegarów od dawna nikt nie nakręcał, gdzie nagle urwała się jakakolwiek łączność między mieszkańcami? Matka, spędzająca dni na kłęczkach, gdy podnosiła oczy, patrzyła na Krzysztofa jakimś przerażonym wzrokiem, później mówiła bez sensu, ściskając skronie:

— Ty jesteś moim grzechem. Bóg mnie tobą pokarał, a ciebie mną. Moje kochane, moje jedyne dziecko, czy możesz pojąć, jak wielkim przekleństwem może być macierzyństwo. On tam wszystko widzi i ani tobie, ani mnie nigdy nie wybaczy. Boże, bądź mi miłosierny, Boże, bądź mi łaskawy, Boże, ulituj się nad nędzą mojej duszy!...

Wpadała w szloch i znowu godzinami kłęczała przed krucyfiksem, wpijając w rozmiernie włosy swoje długie, chude palce. Innym razem przysięgała, że nie opuści „swego jedynego dzieciątka” za żadne skarby świata, ani nawet za cenę zbawienia, lecz w chwilę potem kajała się za bluźnierstwo i błagała Boga o łaskę spędzenia ostatnich dni życia na Jego służbie.

Po śmierci, która przyszła w niedzielę rano, zwłoki stały przez cztery dni w domu. Czekano na powrót Pawła. Na wysyłane depesze nie nadchodziły jednak odpowiedzi. Dziś właśnie mijał o godzinie siódmej minut piętnaście dwudziesty trzeci dzień jego nieobecności.

Absurdem są wszystkie bajki o telepatii, o tym, że myśl ludzka może dojść do stanu takiego napięcia, że dotrze do świadomości innego człowieka i swoją siłą zmusi jego wolę

Tęsknota

do ugięcia się, do spełnienia zaklęcia. Gdyby to było prawdą, nie miałby Paweł w ciągu tych dwudziestu trzech dni ani jednej chwili spokoju i musiałby już dawno wrócić, bo nie mogło być na świecie potężniejszych zaklęć i rozpaczliwszych wezwań niż te, którymi go wzywano.

A jednak nie wracał, jednak nie pamiętał.

Nie odezwał się ani jednym słowem. Niczego przecie od niego nie żądano. Byle był tutaj, byle można było nań patrzeć i od czasu do czasu usłyszeć jego głos.

Krzysztof nie wątpił, że zatrzymują Pawła za granicą sprawy wielkiej wagi, że jest w trakcie urzeczywistnienia swoich pomysłów zakrojonych na szeroką skalę, i wiedział, że nie ma prawa żądać odeni zrzeczenia się ich dla siebie, jak nie ma w ogóle żadnych praw do niego.

Jednak wzywały Pawła i obowiązki. Pomimo wysiłonej pracy Krzysztof nie mógł sobie poradzić z kierownictwem fabryki. Paweł zostawił wiele spraw w zawieszeniu i konfiguracjach znanych tylko sobie. Krzysztof raz po raz spotykał się z trudnościami, których pokonać nie mógł, z zobowiązaniami, których celu nie pojmował, gdyż zdawały się grozić fabryce dużymi stratami, jeżeli zaś je pomimo wszystko wykonywał, to tylko dlatego, że niezachwianie wierzył w niezawodne koncepcje Pawła.

Ciężka praca w fabryce i ponure godziny w domu doprowadziły nerwy Krzysztofa do szczytowego rozdrażnienia.

Wyrazem tego było, że nie mógł już znieść nawet towarzystwa Marychny.

Początkowo próbował znaleźć namiastkę przyjemności w rozmowach z nią o Pawle. Ta gęś jednak, widocznie przez jakiś głupi snobizm czy też po prostu przez naiwność, uwzięła się, by o Pawle mówić lekceważąco. Było w tym coś potwornie karykaturalnego. To cielątko o kurzym mózdzku i o urodzie pocztówkowego cherubinka, ośmielające się sięgać swoimi głupiutkimi sądami do takiego człowieka jak Paweł!...

Skończyło się tym, że Krzysztof na czas nieobecności Pawła przeniósł się do jego gabinetu. Marychnę widywał teraz bardzo rzadko. Raz czy dwa widział ją przez okno, jak wychodziła z chemikiem fabrycznym Ottmanem. Nie cierpiał Ottmana nie dlatego, że ten asystował Marychnie i że można było się obawiać wygadania się dziewczyny przed nim, lecz po prostu fizycznie powierzchowność tego ślamazary działała Krzysztofowi na nerwy.

Kiedyś przeglądając listę obecności zwrócił uwagę, że Ottman zaniedbuje swoją pracę w fabryce i że zjawia się zaledwie kilka razy tygodniowo, wpadając na godzinkę lub dwie. To byłoby dostatecznym powodem do wymówienia mu posady. Ponieważ jednak sekretarz Holder zakomunikował Krzysztofowi, iż Paweł wyjeżdżając powierzył Ottmanowi inną pracę na mieście, trzeba było na to machnąć ręką. Krzysztofowi kilka razy wpadła w oczy wiadomość, że Ottman zrobił wynalazek kauczuku syntetycznego i że Paweł ten wynalazek kupił. Zapewne musiał to być dobry interes, skoro się wziął doń Paweł, nie zmieniło to jednak niechętnego poglądu Krzysztofa na chemika.

Jedyną osobą, z którą Krzysztof czuł się dobrze, była Nita Jachimowska. Z nią przynajmniej można było godzinami rozmawiać o Pawle. Godziny takie zdarzały się jednak rzadko.

Słońce wychyliło się zza grubego pnia starej topoli i świeciło teraz wprost w oczy. Krzysztof wstał i obejrzał się. Na chybił trafił poszedł ścieżką w prawo. W pięć minut później odnalazł swój samochód przed bramą i pojechał do fabryki.

Kazał stanąć przed willą. Od służącej dowiedział się, że Blumkiewicz jeszcze nie wrócił i że matka jest na górze razem z panną Jachimowską. Ostrożnie wszedł po schodach. Drzwi do sypialni matki były otwarte. Staruszka klęczała na ziemi, oparta na łokciach o łóżko. O kilka kroków dalej siedziała Nita z jakąś książką w ręku. Podniosła palec do ust, wstała i wyszła do Krzysztofa.

— Usnęła — powiedziała szeptem. — Sama nie wiem, czy ją budzić?

— Nie. Chodźmy. Przyślę tu Karolinę.

— Ale takie klęczenie może pani Teresie zaszkodzić — zauważyła Nita.

— Cóż na to poradzić. Tak przynajmniej śpi i nie może myśleć. To już wielki plus dla niej.

Nita obrzuciła Krzysztofa współczującym wzrokiem.

— Ty, wuju, też powinien być się przespać. Wyglądasz bardzo mizernie.

— Ach! — machnął ręką Krzysztof. — Mam jeszcze tyle roboty w fabryce. Dziękuję ci bardzo i już nie będę cię zatrzymywał. Odwiedzisz mnie przed gmach Zarządu?

— Ależ z przejemnością.

Gdy wsiadli do samochodu, Nita wzięła Krzysztofa za rękę i powiedziała:

— Ciebie, wuju, bardzo dużo kosztowała ta śmierć. Ja nie wiem, jak ci wyrazić to, co dla ciebie czuję... Zapewniam cię, że nie ma na świecie nikogo, komu bym tak dobrze życzyła, jak tobie... Lepiej niż sobie samej...

Krzysztof słyszał te słowa i rozumiał ich treść, lecz nie stać go było na żadną odpowiedź. Cała jego uwaga skoncentrowana była na myśli, że wejdzie za chwilę do gabinetu i że na biurku znajdzie list albo przynajmniej depezę od Pawła. Pożegnał się też z Nitą machinalnie i szybko wbiegł na schody. Ktoś go zaczepił w poczekalni, lecz nawet nie dostrzegł, jak wygląda.

— Później, później — powiedział — teraz nie mam czasu...

Na biurku nie było ani listu, ani depezy. To prawie nieprawdopodobne! Przecie czy w Hamburgu, czy w Manchesterze, czy w Londynie musiała go dość wiadomość o śmierci i o dacie pogrzebu. A może on jest chory?...

Wyobraźnia szybko podsunęła obraz: biały pokój szpitalny, wąskie łóżko i chuda po-
żółkła twarz z zamkniętymi powiekami, taka sama, jak wówczas po napadzie...

— Co się z nim dzieje, co się z nim dzieje?...

Krzysztof nacisnął guzik dzwonka i nie doczekawszy się, aż Holder wejdzie, otworzył drzwi do sekretariatu. Holder przygotowywał właśnie korespondencję do podpisu:

— Już idę, panie dyrektorze.

— Czy nie było żadnej wiadomości od pana Pawła?

— Jak dotychczas, żadnej. Mówił mi tylko inżynier Ottman, że spodziewa się powrotu pana Pawła najpóźniej jutro.

— Dobrze. Niech pan daje korespondencję.

Krzysztof wrócił do gabinetu i zaczął podpisywać listy. Później należało przejrzeć biuletyny i zaakceptować raporty, rozmówić się z kierownikiem kalkulacji i wydać dyspozycję do biura technicznego. Należało sporządzić protokoły dla inspektoratu pracy, a przede wszystkim ustalić, czy winowajcą wypadku nie był który z poszkodowanych. Wszystko to załatwiał Krzysztof niemal pedantycznie³⁵⁷ i z niezmierną energią, gdy jednak został wreszcie sam, bezsilnie opadł na fotel.

— Na miłość boską, co to mnie wszystko obchodzi, co to mnie obchodzi...

Lecz nagle przyszła refleksja: nie tylko kieruje przedsiębiorstwem, które daje mu znaczne dochody, lecz teraz także zastępuje Pawła i musi mu dowieść, że robił wszystko, by nie zawieść jego zaufania. Przecie Paweł wyjeżdżając nie wątpił, że zostawia kierownictwo Zakładów w dobrych rękach. Wiedział, że te ręce są kobiece, lecz wierzył im, pomimo to...

Mimo woli Krzysztof spojrzął na swoje ręce. Wąska, klasyczna dłoń i długie, lekko zaróżowione palce. Wyobraził sobie te palce przesuwające się po włosach i po twarzy Pawła... Czy kiedykolwiek może się to stać rzeczywistością?... Przyszło mu na myśl, że Pawła może zatrzymuje za granicą jakaś inna kobieta. Zaśmiał się:

— Inna? W ogóle kobieta. Czyż ja jestem kobietą, czy Paweł mnie uważa za kobietę? Może właśnie dlatego nie wraca, że brzydzi się moją miłością, że nie chce widzieć moich oczu wpatrzonych w siebie, że narzuciłem się mu, a on nie umie zdobyć się na to, by mnie brutalnie odepchnąć. Czyż jestem kobietą, czy potrafię nią być ja, który nawet mówić o sobie jak o kobiecie nie potrafię. Cóż ja mu mogę dać?...

Zadzwoił telefon. To Blumkiewicz informował Krzysztofa, że wszystko zostało załatwione i że do pani Teresy wezwał znowu lekarza, gdyż ponownie popadła w omdlenie.

— Dobrze. Zaraz przyjdę — zmęczonym głosem odpowiedział Krzysztof i położył słuchawkę.

W poczekalni zastąpił mu drogę ten sam młody robotnik, którego wpierw ledwie zauważył.

— Panie dyrektorze, ja muszę z panem się rozmówić...

³⁵⁷pedantycznie — skrupulatnie, bardzo dokładnie. [przypis edytorski]

— Teraz nie mam czasu — niecierpliwie odpowiedział Krzysztof. — Niech pan przyjdzie jutro po południu.

Zrobił krok naprzód, lecz robotnik zasłonił sobą drzwi:

— Jutro to już ja pójdę gdzie indziej, panie dyrektorze. Ja dość mam tego...

Krzysztof odstaąpił zdumiony. Nigdy dotychczas żaden z robotników nie odzywał się doń w sposób tak prowokacyjny. Dopiero teraz przyjrzał się natrętowi: szczupły brunet o ponurym wyrazie twarzy, ubrany odświętnie, z melonikiem w rękę.

— Czego pan sobie życzy?

— Czego sobie życzę?... — uśmiechnął się ironicznie. — Ano, pan dyrektor mnie nie zna? Nazywam się Feliksiak.

— I cóż z tego? — niecierpliwie zapytał Krzysztof. Nazwisko mu nic nie mówiło.

— Niby pan nie wie? — natarczywie spojrział nań robotnik. — Jak pan nie wie, to mogę panu powiedzieć, tylko nie będziemy tu z panem dyrektorem na korytarzu gadać.

Bardziej zaintrygowany niż zaniepokojony Krzysztof skinął głową i wszedł z powrotem do gabinetu. Pomimo wojowniczej, a nawet groźnej postawy Feliksiaka nie bał się go wcale. Przez chwilę pomyślał, iż dobrze byłoby stanąć tak, by w razie czego móc dosięgnąć ręką do dzwonka, lecz zreflektował siebie bardzo szybko.

— Więc mówcie — odezwał się niecierpliwie. — Bardzo się śpieszę.

— Nazywam się Feliksiak — cicho odpowiedział robotnik. — To ja służyłem za pana w wojsku...

— Aaa... — cofnął się Krzysztof.

— Teraz, kiedy ojciec pana dyrektora nie żyje, ja już dłużej zwodzić się nie dam. Obiecanki cacanki, a głupim nie jestem i na dudka nie dam się wystrychnąć.

— Kto chce was wystrychnąć na dudka? Przecie za służbę wojskową otrzymaliście pieniądze i dożywotnią pracę w fabryce?

— Właśnie, że pracy nie. Zwolnili mnie. Chodziłem do pana naczelnego dyrektora i ten kazał, żeby mi wypłacać tygodniówkę bez żadnej pracy, a ja tak za darmo nie chcę.

Krzysztof zapalił papierosa i usiadł. Nie wiedział, za co wydalono Feliksiaka, domyślał się jednak, że Paweł musiał o wszystkim wiedzieć, skoro wydał polecenie wypłacania tygodniówki.

— Chcecie zatem, by was przyjęto do pracy?... Dobrze. Jesteście ślusarzem, nieprawdaż?

— Ślusarzem — niezdecydowanie potwierdził Feliksiak.

Krzysztof bez namysłu przysunął bloczek, napisał kilka słów, wyrwał kartkę i położył przed Feliksiakiem:

— Zgłosicie się z tym jutro do inżyniera Zaleskiego i będziecie przyjęci do narzędziowni.

Feliksiak obrzucił kartkę niechętnym spojrzeniem, milczał chwilę, wreszcie wzruszył ramionami i patrząc w kąt pokoju, powiedział:

— Ja tam nie chcę. Panu dyrektorowi zdaje się, że jak kto urodził się robociarzem, to już żadnej dumy nie posiada, żeby do czego wyższego dojść. Służyłem za pana w wojsku, nielegalność zrobiłem, mnie za to mogą wsadzić do kryminału i ja ryzykować nie myślę... Za takie rzeczy to grubo trzeba płacić...

Krzysztof zmarszczył brwi:

— Toteż i płaci się wam.

— Jaka tam zapłata. Tyle to ja sam potrafię zarobić, ułomkiem żadnym nie jestem ani inwalidą. A całe moje ryzyko to panu za darmo wypada.

— W takim razie — Krzysztof nerwowo zacisnął palce — nie pracujcie. Będziecie zarabiali pieniądze bez pracy.

Feliksiak kręcił w rękę melonik i patrzył ponuro w ziemię. Na jego bladym czole nabiegły gęstą siecią niebieskie żyłki:

— A ja panu dyrektorowi powiem tak: łaski nie potrzebuję i wiem, co mi się należy. Jak żebrak nie będę do kasy przychodzić po pieniądze. Na żadne targi mnie pan nie weźmie. Albo da mnie pan sto tysięcy, ale gotówką na stół, albo idę do policji. Ja

przepadnę, ale i pan przepadnie. Po mnie to niewielka strata, ale jak takiego burzuja, jak pan, zamkną do kryminału, to nie byle co. Powiedziałem: sto tysięcy na stół i fertig³⁵⁸.

Krzysztof zerwał się z miejsca. Ogarnęło go oburzenie, które zacisnęło krtań:

— To szantaż! — zasyczał — to łajdacki szantaż!...

Drżały w nim wszystkie fibry³⁵⁹, nie mógł opanować rąk ani warg, które się trzęsły. Ogarnęło go niesłychane obrzydzenie do samego siebie, obrzydzenie do wszystkiego.

Od chwili gdy jako dwunastoletnie dziecko dowiedział się od rodziców o tym, że ukrywano jego płęć, „bo tak trzeba”, nie mógł pogodzić się z tym. Kiedy wreszcie dowiedział się od ojca, że motywem tego oszustwa były pieniądze zmarłego dziadka Wyzbora, nie umiał znaleźć w sobie przebaczenia dla ojca przez długie lata. Bał się, że go znienawidzi, że znienawidzi matkę, i walka z tą nienawiścią zżerała jego nerwy.

Wówczas widział w tym niskość pobudek, teraz zaś dopiero otworzyło się przed nim całe błoto postępków rodziców. Czuł niemal fizycznie lepki brud otaczający go zewsząd.

Ratować się, ratować się za wszelką cenę. Uciec od tego. Bodaj za cenę życia. Od dawna zdawał sobie sprawę, że jego udziałem jest na świecie tylko nieszczęście, tylko obcość i tylko beznadzieja, lecz teraz oto wciągał go lej gęstego bagna. Brud, ohydny brud.

Stał oparty o biurko i nie czuł bólu w palcach, które wpijały się w drzewo. Krew napływała do czaszki i zdawała się rozsadzać skronie. Nie widział teraz przed sobą ani ścian gabinetu, zawieszonych fotografiami Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz, ani stojącego przed biurkiem robotnika. Widział tylko zwiędłe usta ojca, powtarzające: „tak trzeba, tak trzeba, tak trzeba”, i przerażone oczy matki, i wstrętne, lepkie błoto, które napływało ze wszystkich stron czarnymi, bulgoczącymi falami...

— Precz! Precz ode mnie! — krzyknął rozdzierającym, rozpaczliwym głosem. — Precz ode mnie! Precz...

Zanim opadł bezsilny na fotel, otworzyły się z impetem jednocześnie drzwi od korytarza i z sekretariatu. Do gabinetu wpadł Holder i dwaj woźni, którzy pierwszym odruchem rzucili się na Feliksiaka. Robotnik zasłonił się rękami.

— Co się stało? — przerażonym głosem zapytał Holder.

Krzysztof przetarł palcami oczy i powtórzył bezdźwięcznym głosem:

— Precz, precz, zabierzcie stąd tego człowieka...

Jeden z woźnych chwycił Feliksiaka za kołnierz i zaczął nim potrząsać z wściekłością.

— Puść mnie! — wyrwał się Feliksiak. — Czy ja co złego zrobiłem?!

— Tak, tak, puśćcie go — powiedział Krzysztof — i zabierzcie stąd. Zostawcie mnie samego.

— Może podać panu dyrektorowi szklankę wody? — zapytał Holder, gdy woźni i Feliksiak znaleźli się za drzwiami.

— Nie, dziękuję panu. — Oparł głowę na rękach i siedział nieruchomy.

— Ten Feliksiak już nieraz nachodził tu pana Pawła... Doprawdy, nie powinien pan dyrektor przejmować się... Zwłaszcza w takim dniu... Ludzie żadnego wyrozumienia nie mają...

Holder przestąpił z nogi na nogę, pozostał jeszcze chwilę, lecz widząc, że Krzysztof nawet nie podnosił nań oczu, skłonił się i wyszedł.

Upłynęło dobre pół godziny, zanim Krzysztof zdołał przezwyciężyć bezwład woli, podnieść się i pójść do domu.

Nie poszedł na górę. Nie mógł teraz widzieć matki. Jej stan nie wywołałby w nim teraz współczucia, nie umiałby zdobyć się na wyrozumiałość.

Ograniczył się do wysłuchania sprawozdania lekarza, nie tknął przygotowanej kolacji i zamknął się w swoim pokoju. Teraz wiedział, że już wszystko skończone.

Jutro z rana Feliksiak złoży doniesienie policji i pozostanie tylko jedno — samobójstwo...

Może to najlepiej, może to i najmądrzej. Na cmentarzu jest tak pogodnie i cicho... i naprawdę nie ma po co upierać się przy życiu, kilka lat dłużej czy krócej... Przy takim życiu, w którym przecie nie zostaje nikt, zupełnie nikt...

³⁵⁸*fertig* (niem.) — gotowe, skończone, załatwione. [przypis edytorski]

³⁵⁹*fibry* (daw., z łac.) — włókna, nerwy. [przypis edytorski]

W pokoju było zimno. Krzysztof otulił się kołdrą i czuł spływające po twarzy łzy:

— Pawle, Pawle — szeptał, starając się zdusić swój głos i nie dosłyszeć jego brzmienia — Pawle, gdybyś mógł dać mi chociaż odrobinę, chociaż mgnienie szczęścia... O ileż łatwiej wówczas byłoby umrzeć... Nie, to nieprawdopodobne, by powstało jakieś istnienie, którego celem było stać się fragmentem brudu świata, to niemożliwe, by wyzuto je z wszystkich praw człowieka!... Boże! Przecież we wszystkim jest cel i logika. Czyż nie mam nic do spełnienia! Przejść pustką i być pustką, beztreściwym cierpieniem, nienagrodzonym ani jednym promykiem światła... To nieprawda! To niemożliwe!...

A jednak rzeczywistości nie można było wymazać. Krzysztof nie pamiętał słów Feliksiaka, nie pamiętał nawet kwoty, o jaką mu chodziło, lecz był pewien jednego: za żadne skarby świata nie da się wciągnąć w bagno.

Raczej śmierć. Raczej kula rewolwerowa, która przeszyje mu mózg, przeniknie do centrów życia. Ciało zesztynnieje i zacznie się jego rozkład. Rozsypie się w szary pył, połączy się z ziemią. Nicość. Nicość, która teraz jest jeszcze jędrnym, wysmukłym ciałem dziewczęcym, nienasyconym, głodnym, spragnionym, żywym kłębowiskiem palących uczuć, nie wydobytych porywów...

A jednak musi zobaczyć go bodaj raz jeszcze. Musi raz jeszcze dotknąć jego ręki. Potem niech się dzieje co chce.

Za drzwiami rozległy się ciche kroki i po chwili pukanie do drzwi.

— Krzysiu, dziecko moje — ledwie dolatywał głos — otwórz, to ja...

— Czego mama chce? — po pauzie odezwał się Krzysztof.

— Otwórz, dziecko, proszę cię, zaklinam. — Klamka poruszyła się niecierpliwie.

Krzysztof wstał, odkręcił klucz w zamku i uchylił drzwi:

— Niech mama idzie do łóżka — powiedział w ciemni, w której nie mógł odróżnić sylwetki pani Teresy.

Jednocześnie uczuł na rękę dotyk dłoni i cofnął się. Opanowała go litość i pogarda. Chciał przytulić matkę i mówić do niej najserdeczniejszymi słowami, lecz równie silnie pragnął rzucić jej w twarz najbardziej haniebane słowa wstrętu i potępienia.

— Dziecko moje jedyne. — W ciemności drobne, zimne ręce odszukały ramię Krzysztofa.

Objął matkę i po omacku doprowadził do łóżka.

— Niech się mama uspokoi — powiedział podrażnionym tonem. — Jest noc. Trzeba spać. Mama jest osłabiona i nie dba o swoje zdrowie.

— Wiedziałam, że nie śpisz, i przyszłam...

— Całkiem niepotrzebnie.

— Musiałam. — Pani Teresa kurczowo chwyciła Krzysztofa za rękę. — Musiałam. Zjawił się Karol — szept staruszki stał się uroczysty. — Zjawił mi się jego duch i powiedział: idź do dziecka swego i ochroń je, bo wisi nad nim nieszczęście.

Zapanowała cisza. Na usta Krzysztofa cisnęły się słowa bezlitosne, chłoszczące, nienawistne. Wstał i zapalił światło:

— Odprowadzę mamę do łóżka. Trzeba spać.

— Ja nie zasnę — potrząsnęła głową pani Teresa.

— Ale ja muszę zasnąć. Ja mam jutro robotę od rana. Może mamę to przekona — szorstko odpowiedział Krzysztof.

Staruszka spojrzała nań przestraszonym, półprzytomnym wzrokiem i nic nie odrzekła. Zaprowadził ją do sypialni, ułożył i wyszedł, lekko trzasnąwszy drzwiami.

Całą noc spędził bezsennie. Przed wschodem słońca wziął zimną kąpiel, ubrał się i z szuflady wydobył mały browning³⁶⁰. W magazynie³⁶¹ brakowało trzech ładunków³⁶². Uzupelniał brak i wsunął broń do kieszeni właśnie w chwili, gdy Karolina przyniosła śniadanie. Wypił herbatę i wyszedł do fabryki. W myśli obliczał, że Feliksiak zrobi doniesienie dopiero około godziny dziesiątej. Jeżeli powie, że uprzedził Krzysztofa o tym, aresztowania można się spodziewać jeszcze dzisiaj.

³⁶⁰*browning* — nazwa jednego z wczesnych modeli pistoletów, daw. także ogólne określenie pistoletu, czyli krótkiej, ręcznej samopowtarzalnej broni palnej; od nazwiska wynalazcy, Johna Browninga (1855–1926). [przypis edytorski]

³⁶¹*magazyn* — tu: magazynek pistoletu, wewnętrzny zasobnik na naboje. [przypis edytorski]

³⁶²*ładunek* (pot., daw.) — nabój broni palnej. [przypis edytorski]

Warsztaty już były w ruchu. Przechodząc obok hal, widział drzące w biegu pasy transmisyj. Wszystkie z niezmordowanym pośpiechem pędziły wciąż w górę... Gdyby obdarzyć je świadomością, wierzyłyby w celowość swego ruchu dla siebie samych. A zerwanie się byłoby dla nich śmiercią. Czymże właściwie jest śmierć, jeżeli nie przerwaniem bezcelowego ruchu?... Każdemu z ludzi zdaje się, że ma on do wypełnienia niesłychanie ważną rolę. Ważną nie dla ogólnego systemu zbiorowego życia, lecz dla siebie. Złudzenie...

Spotykani robotnicy kłaniali się dzisiaj jakoś życzliwiej i serdeczniej. W ten sposób wyrażali mu współczucie z powodu śmierci ojca. W korytarzu panował niezwykły ruch. Z niewiarygodną szybkością przetoczył się główny buchalter³⁶³, jakiś urzędnik wyleciał pędem z sekretariatu, woźny krzychał coś przez okienko do kasy, na środku Holder i jedna z maszynistek gorączkowo zbierali rozsypane papiery. Na wszystkich twarzach można było od pierwszego rzutu oka odczytać ożywienie, niepokój i jakby radość.

— Co się stało? — zapytał Krzysztof, zatrzymując jednego z woźnych.

— Pan naczelny dyrektor przyjechał, panie dyrektorze!

Krzysztofowi krew uderzyła do głowy. Po prostu stracił przytomność. Nie spostrzegł zdumienia woźnego, nie słyszał nawet własnego głosu. Wiedział tylko, że krzyknął i że się zatoczył. W następnej sekundzie wpadł do gabinetu. Nie mógł złapać oddechu: przy biurku stał Paweł, wysoki, silny, uśmiechnięty. Z jego postaci, spojrzenia, z rysów twarzy zdawało się płynąć coś uspokajającego, pewnego, bezpiecznego.

I nagle Krzysztof poczuł, że jest bezsilny, że nie wie, co ma zrobić. Jakżeby pragnął rzucić się Pawłowi na szyję, znaleźć się pod osłoną jego mocnych rąk, przestać być sobą, po prostu odetchnąć z ulgą, powierzyć mu wszystkie swoje rozpacze, swój los, swoje życie, wszystko... Lecz stał wciąż nieruchomy pod ścianą, a kolana tak mu drżały, że nie mógł zrobić ani jednego kroku.

Paweł podszedł pierwszy i wyciągnął rękę. Krzysztof był zbyt nieprzytomny, zbyt wzruszony, by spostrzec wzruszenie Pawła. Czuł swoją rękę w jego szerokiej dłoni ukrytą, niemal zagubioną.

— Przyjechałeś... — powtarzał — przyjechałeś...

— Nie mogłem wcześniej. Depesza dopędziła mnie w drodze. Miałaś pewno dużo kłopotu z pogrzebem. Jakże się miewa stryjenka?

— Jak to dobrze, że przyjechałeś — powiedział Krzysztof, patrząc mu wciąż w oczy.

Nie myślał teraz, że przyjazd Pawła może mu pomóc do rozwikłania wielu trudności. Po prostu sama jego obecność sprawiała tak wielką radość, że na jakiegokolwiek myśli nie było czasu, nie było miejsca. Paweł był w grubym szarym podróżnym ubraniu. Widocznie wprost z dworca przyjechał do fabryki. Nic się nie zmienił, tylko w jego uśmiechu było jakby więcej swobody i tej wiary w siebie, która zeń tak sugestywnie promieniowała.

— Jakże się miewa twoja matka? — powtórzył Paweł.

— Źle — krótko odpowiedział Krzysztof i posmutniał od razu.

— A czy z mojej kochanej rodzinki był kto na pogrzebie?

— Tak. Wszyscy. Nita nawet odwoziła mamę do domu.

— Cóż, wciąż kocha się w tobie?

Krzysztof wzruszył ramionami:

— Dobrze, że już jesteś. Niektóre rzeczy czekały na twoją decyzję. Na przykład nie wiedziałem, co zrobić z zamówieniem wielkiej tokarni dla Sosnowca...

— Będziemy mieli na to czas — przerwał Paweł. — Ale powiedz mi, moja droga, wspominał mi Holder, że miałaś jakąś przeprawę z Feliksiakiem, co to było?

Krzysztof zbladł i brwi jego ściągnęły się. Odwrócił głowę i powiedział:

— Szantaż.

— To było do przewidzenia. Głupi chłopak. Teraz żałuję, że już wcześniej nie zrobiłem z nim porządku.

— Dlaczego, Pawle, nie wspomniałeś mi ani słowem o tym, że wiesz?... — zapytał z wyrzutem Krzysztof.

— Szkoda, że tak pośpieszył — w zamyśleniu powiedział Paweł. — Ile mu dałaś?

— Nic.

— A ile chciał?

³⁶³buchalter (daw.) — księgowy. [przypis edytorski]

— Chciał sto tysięcy. Kazałem mu wyjść za drzwi. Dzisiaj rano ma złożyć doniesienie policji.

Krzysztof powiedział to, jak mógł najspokojniej, głos jego jednak drżał silnie.

— Nie robi tego — z przekonaniem powiedział Paweł. — Zdołałem go o tyle poznać. Wprawdzie jest impulsywny, ale należy do natur słabych. Zresztą jaki miałby w tym interes. Moment zemsty nie wchodzi tu w grę. Po co dobrowolnie miałby się pakować do więzienia? Bardzo dobrze zrobiła, żeś mu nie dała ani grosza. Na pewno za kilka dni zgłosi się znowu, tym razem z propozycją na mniejszą sumę. Tego typu mydlków³⁶⁴ znam dobrze. Trzeba tylko dbać o to, by nie popadł w nędzę, a wszystko będzie w porządku.

Podszedł do Krzysztofa, po przyjacielsku objął go za ramię i dodał:

— Nie zajmuj się tym. I bądź spokojna. Już ja sam to załatwię. Będzie to miłe urozmaicenie w nawale różnych suchych spraw, jakich przywiozłem ze sobą całą furę. Zdaje się, że przywiązywałaś do tego szantażu zbyt wielką wagę.

— Nie — odpowiedział Krzysztof — tylko to jest takie ohydne. Wolałbym, by się to raz skończyło. Dlatego nie chcę, byś ty się tym zajmowała. To takie brudy.

Paweł, który właśnie zapalał papierosa, szeroko otworzył oczy, a po sekundzie wybuchnął śmiechem:

— Ależ, moja kochana, nie obawiasz się chyba, że to przyprawi mnie o mdłości!

— Ale obawiam się — Krzysztof odwrócił głowę — że ja będę brudno wyglądał w twych oczach...

— Jesteś przeczulona. Przecie doskonale wiem, że w tym nie ma żadnej twojej winy. Dajmy temu spokój. Będę musiał złożyć wizytę stryjence i będę ci wdzięczny, gdybyś mnie usprawiedliwiła, że nie zrobię tego dzisiaj.

— Ach, to jest w ogóle niepotrzebne — machnął ręką Krzysztof. — Stan mamy jest tego rodzaju...

Zapukano do drzwi. Przyszedł jeden z konstruktorów. W chwilę po nim drugi interesant. Kołowrót codziennych spraw fabrycznych zaczął się obracać.

Krzysztofa wezwano do drugiej hali, gdzie pękła piasta w tokarni. Po obejrzeniu rzeczy na miejscu okazało się, że uszkodzenie da się w ciągu jednego dnia naprawić. Krzysztof był w tak dobrym usposobieniu, że zażartował z zafrasowanych min inżyniera i majstra. Dostrzegł zdziwienie, wywołane tak rzadkim u niego humorem, lecz wprost nie umiał opanować wesołości, niezbyt co prawda odpowiedniej nazajutrz po pogrzebie ojca i w dodatku z okazji dość poważnej straty z powodu pęknięcia owej piasty.

Praca szła mu tego dnia świetnie. Nawet dla Marychny był bardziej uprzejmy niż zwykle i prawie serdeczny. Kilka razy chciał pod jakimkolwiek pretekstem wejść do gabinetu Pawła, lecz nie zrobił tego, widząc, jak bardzo jest zajęty. Zresztą wieczorem miał zdać mu dokładnie sprawę z okresu, w którym go zastępował. Spędzą razem przynajmniej godzinę.

Stało się jednak inaczej.

Jeszcze przed siódmą Paweł miał jakiś ważny telefon z Berlina, w związku z czym musiał natychmiast zabrać się do przygotowania jakiegoś memoriału. Wstąpił do Krzysztofa i przeprosił go, że musi odłożyć rozmowę na jutro, gdyż i tak będzie pracował do północy, by zdążyć przedyktować różne rzeczy przed odejściem pociągu do Berlina.

Kilkakrotnie przechodząc korytarzem, Krzysztof słyszał jego równy, stanowczy głos, dyktujący coś po niemiecku, i szybki nieustający terkot maszyny.

Nieprzespana noc zrobiła swoje. Krzysztof wprawdzie zamierzał przed uśnięciem skończyć czytanie dzieła o organizacji pracy, lecz myśl ani rusz nie dała się przytrzymać w obrębie tematu i zasnął, nie pokonawszy ani jednej kartki.

Nazajutrz obudził się wypoczęty i świeży. Czesząc się przed lustrem, zatrzymał się nagle i przyjrzał się sobie. Wprawdzie nieraz myślał o swojej urodzie, teraz jednak dopiero ogarnęła go obawa: czy w ogóle może podobać się Pawłowi? Zdawał sobie i dawniej sprawę z sympatii, jaką u Pawła się cieszy, lecz nie wiedział, czy ta sympatia nie ogranicza się po prostu do namiastki uczuć rodzinnych lub koleżeńskich.

W każdym razie jedno było uspokajające: Paweł stanowczo nie miał żadnej innej kobiety.

³⁶⁴mydłek (pot.) — człowiek niepoważny; chłystek. [przypis edytorski]

Wprawdzie kontrola jego czasu spędzanego poza fabryką była niepodobieństwem, jednak sądząc z rozmiarów prowadzonych przezeń interesów i z intensywności pracy, można było wywnioskować, że przynajmniej trwałego romansu nie miał żadnego.

Nie był kochliwy, co takim wstrętem uderzało u innych mężczyzn, których Krzysztof spotykał.

Nawet wobec tak uroczej dziewczyny, jak Nita, zachowywał się z jakąś pobłażliwą obojętnością. Właśnie i Nita potwierdziła tę obserwację Krzysztofa. Niesłusznie tylko zarzucała Pawłowi oschłość. Jak w ogóle mogła go sądzić! Dla Krzysztofa nie ulegało wątpliwości, że człowiek ten daleko wyrasta głową ponad przeciętność nie tylko swego środowiska. Porozumiewa się wprawdzie z ludźmi ich językiem, zewnątrz stara się do nich upodobnić, lecz w głębi swej istoty stanowi wprost inny gatunek.

Od pierwszego spotkania na pogrzebie Wilhelma Dalcza Krzysztof to zrozumiał. Jeżeli kiedyś wyobrażał sobie mężczyznę o nieugiętej sile woli, o niepokonanym umyśle, o wielkiej przeznaczonej mu w świecie roli — musiał on wyglądać tak jak Paweł. Jasne, chłodne spojrzenie, linia czaszki Juliusza Cezara i ta pociągająca brzydota, od której nie można było oczu oderwać, brzydota wielkiego, potężnego zwierzęcia, którego dobroć i szlachetność w jednej chwili zamienić się mogą w miazdzący straszliwy gniew. Nieruchoma cisza oceanu, pod którego milczącą powierzchnią nieustannie nurtują niezbadane prądy, cisza, która wybuchnąć może cyklonem.

Takiego ujrzał go Krzysztof po raz pierwszy i takiego poznawał dzień po dniu w swoich długich rozpamiętywaniach. Nie omylił się w niczym.

Wszystko, cokolwiek Paweł robił od dnia niespodziewanego zjawienia się w Warszawie, poczynając od samowładnego objęcia kierownictwa fabryki, potwierdzało pierwsze wrażenie.

Jakże straszne było to, że wówczas gdy Krzysztof każdym nerwem, każdym fibrem, każdą myślą stanowił już jego własność niepodzielną, niezaprzeczoną, niewolniczą, że wówczas musiał walczyć ze sobą, by na uprzejme dobre słowa odpowiadać szorstką impertynencją, by odgradzać się nią od prawdy, od konieczności wyznania. Jakąż nieprawdopodobną ceną wysiłku trzeba było za to płacić.

Później nieoczekiwanie przyszedł ten moment, kiedy usta same powiedziały wszystko. Był to moment jakby złożenia broni, jakby rezygnacji ze wszystkich swoich praw, jakby zdanie się na łaskę i niełaskę.

I od tego czasu Paweł zmienił się. Był może serdeczniejszy i życzliwszy niż dawniej, lecz Krzysztof nie dostrzegał już w jego oczach tych połysków, które przyprawiły go przedtem o utratę przytomności, które ciągnęły jak przepaść.

I przyszedł jeszcze zawód: Paweł milczał. Milczał o sobie, o swoich pracach, projektach, planach, a przecież, wszystko to najżywiej, najgłębiej mogło obchodzić Krzysztofa. Za żadne skarby nie ujawniłby tego. Nie chciał być intruzem, nie chciałby narzucać swojej pomocy, współpracy lub chociażby tylko życzliwej ciekawości, którą on mógłby wziąć za natręctwo.

Krzysztof doskonale rozumiał, że Paweł nie należy do ludzi, którzy są tak słabi, że swymi radościami i zmartwieniami muszą się z kimś dzielić. Krzysztof wiedział, że człowiek ten stanowi dla siebie całość, zamknięty w sobie wszechświat, lecz jakżeby pragnął mieć do tego wszechświata wstęp on, Krzysztof, dla którego świat powszechny był zamknięty.

Pomimo wielokrotnych postanowień niezrobienia w tym kierunku ani jednego kroku, dwa czy trzy razy od czasu powrotu Pawła z podróży zagranicznej Krzysztof zagadnął go o kilka kwestii, dotyczących powstającej właśnie Centrali Eksportowej. Paweł zresztą sam dał do tego pierwszą sposobność. Pewnego dnia oświadczył wręcz Krzysztofowi:

— Dla uruchomienia Centrali Eksportowej potrzebne mi są jeszcze dość znaczne kapitały. Pragnąłbym się jak najbardziej uniezależnić od rządu. Dlatego zaciągnąłem większą pożyczkę za granicą. To jednak nie wystarczy. W bankach warszawskich mogę otrzymać jeszcze trzy miliony złotych, lecz pożyczkę tę mogę zagwarantować tylko na naszych Zakładach Przemysłowych. Czy zgodzisz się na to?

— Ależ oczywiście. Przecie ty kierujesz naszym przedsiębiorstwem i tylko od twojej woli zależy, jak postąpisz.

— Bardzo ci dziękuję za zaufanie, moja droga, ale w udzieleniu takiej gwarancji jest pewne ryzyko. Centrala Eksportowa prawie żadnego majątku nie posiada, a chociaż jej

bankructwo uważam za wykluczone, pewna ostrożność może być wskazana. Dowiódł tego chociażby bank, który żąda, by na zabezpieczeniu obok mego figurował i twój podpis.

Właśnie wracając z banku po załatwieniu tej formalności, rozmawiali o terminie pożyczki, który Krzysztofowi wydał się zbyt krótki, i przy tej sposobności o rodzaju przedsięwzięcia eksportowego. Paweł pokrótce objaśnił, na czym rzecz polega.

— Ależ to genialne — powiedział Krzysztof. — Powinni cię mianować ministrem skarbu.

Paweł roześmiał się:

— Nigdy bym czegoś podobnego nie przyjął. Inicjatywa każdego ministra skrępowana jest niezliczoną ilością praw, przepisów, paragrafów. Daruj, moja droga, ale to dla mnie zbyt nudne. Uduśiłbym się w tym.

Innym znowu razem, podczas gdy rozmawiali w gabinecie, zameldowano inżyniera Ottmana. Po jego wyjściu Krzysztof zapytał:

— Czy istotnie ten kauczuk syntetyczny jest takim dobrym interesem?

— Przyniesie mi miliony, grube miliony — w zamyśleniu odpowiedział Paweł.

W kilka dni później sam zaproponował:

— Może chciałabyś obejrzeć tę fabryczkę? Jest już w pełnym biegu. Przekonasz się, jak to się prosto robi.

Oczywiście Krzysztof zgodził się natychmiast. Fabryką był zachwycony, chociaż droga do niej prowadziła przez okropne wertepy, gdyż na właściwym przejeździe układano kauczukową jezdnię.

Na tym się jednak skończyło. Paweł więcej nie wspominał o swoich interesach, a chociaż widywali się codziennie w fabryce, na rozmowy nie było czasu. Zresztą Paweł nie spędzał tu więcej ponad godzinę czasu, pochłonięty innymi sprawami.

Pomimo to jego obecność w Warszawie po prostu w jakiś czarodziejski sposób wpływała na pomyślność spraw fabrycznych. Nie tylko napływały wciąż nowe zamówienia, nie tylko przystąpiono do budowy nowych warsztatów, lecz i w wewnętrznej administracji panował ład, do jakiego Krzysztof, poświęcając podczas nieobecności Pawła maksimum czasu i wysiłku, nie umiał doprowadzić. W stosunkach z podwładnymi cechowała Pawła pewnego rodzaju bezwzględność. Początkowo raziło Krzysztofa to, że bez chwili wahania usuwał najstarszych i najbardziej do firmy przywiązanych pracowników, nawet bez wielkiej winy z ich strony.

— Nieudolność — mówił — jest największą winą. Powiedz mi sama, czy upierałabyś się przy pozostawieniu starej i ustawicznie psującej się maszyny tylko dlatego, że kiedyś oddawała usługi? Wprawdzie człowiek nie jest maszyną, lecz przedsiębiorstwo nie jest zakładem dobroczynnym. Ci, którzy rozumowali inaczej, potracili już dawno swoje przedsiębiorstwa i sami potrzebują dobroczynności. Z dwójga złego wolę wyrzec się rozkoszy miłosierdzia, niż oczekiwać go później od innych.

Rozumowaniu temu trudno było odmówić słuszności. Zresztą przemawiał przeciw niemu tylko wzgląd, który Krzysztof sam chętnie nazywał kobiecym sentymentalizmem i którego unikał przez lat tyle.

Kryteria, którymi kierował się Paweł, zdawały się Krzysztofowi właśnie ideałem tego, ku czemu dążył, chcąc przyswoić sobie jak najbardziej męski punkt patrzenia na życie. Wszystko, co z tym dążeniem kolidowało, zawsze starał się w sobie stłumić i nie dopuścić do głosu. Z biegiem lat istotnie wszelkie odruchy uczuciowe osłabły w nim, niemal zanikły.

Nie miały zresztą odpowiedniego klimatu do rozwoju. Czula serdeczność matki nie pozwalała zapomnieć, że ta sama matka była sprawcą największej tragedii kochanego dziecka. Ojciec, chory i zawsze smutny, wywierał wrażenie zamkniętego w sobie winowajcy. Przyjaciół Krzysztof nie miał.

Cóż dziwnego, że wszelkie objawy uczuć uważał za niegodne dojrzałego człowieka, a gdy owładnęło nim uczucie tak potężne, jak miłość do Pawła, uważał je za jakieś niespotykane, przedziwne, niemal święte misterium, którego pojąć nie umiał, a walka z którym była beznadziejnym szaleństwem.

Uczucie to było treścią życia Krzysztofa i zdawało mu się, że jest też jego celem.

Zbyt wiele przemyślał nad swoją upośledzoną rolą wśród ludzi, do zbyt ostatecznych doszedł od dawna rezygnacji, by uważać się za uprawnionego do żądania dla siebie nor-

Maszyna

malnego ludzkiego szczęścia. Czyż nie było już szczęściem to, że codziennie widział jego uśmiech, z którego promieniowało ciepło, promieniowało tylko dla Krzysztofa.

Z biegiem tygodni zaczęło jednak ogarniać Krzysztofa coś, czego jeszcze nie można było nazwać zniecierpliwieniem, lecz co wytwarzało atmosferę podrażnienia i wyczekiwania.

Paweł coraz mniej mógł poświęcić czasu nawet na te krótkie rozmowy i nic się w nich nie zmieniał, a przecież tak trwać nie mogło.

Jaka miała przyjść zmiana, jakiej drogi przekształceń się stosunków oczekiwał Krzysztof — tego sam sobie nie uświadamiał. Paweł zaś był wciąż ten sam: zaabsorbowany interesami, spędzający dnie i noce na pracy.

Krzysztof rozumiał, że jest to okres organizacji przedsięwzięć Pawła i że kiedyś przecie musi to minąć, wejść w spokojne normalne łóżysko, uregulować się i zostawić wiele wolnego czasu.

Tymczasem Paweł rósł z dniem każdym. Wśród ludzi, z którymi bezpośrednio stykał się Krzysztof, na szpaltach pism, w zasłyszanych rozmowach coraz częściej powtarzało się imię Pawła, przy czym wymawiano je z szacunkiem, z podziwem lub wręcz z zachwytem.

Blumkiewicz mówił:

— Jest to największy człowiek interesów, jakiego w życiu widziałem. Każde jego słowo to czyste złoto. Ani domyśleć się możemy, jak daleko zajdzie.

— Tak pan przypuszcza? — patrzył nań Krzysztof roziskrzonymi oczyma.

— Ja przypuszczam? Ja wiem! — odpowiadał Blumkiewicz, a Krzysztof czuł przyspieszone tętno serca.

Dumny był z Pawła. Chciwie zbierał każde słowo, które dodawało blasku temu człowiekowi. A właśnie rozpoczęła swą działalność Centrala Eksportowa i w sferach gospodarczych nastąpiło od lat niewidziane poruszenie.

Najpierw przysły echa ze Śląska: przemysł węglowy, żelazny i cynkowy otrzymały ogromne zamówienia. Sprzed biur pośrednictwa pracy znikły wyczekujące tłumy robotników. Gazety notowały: spadek bezrobocia o pięć, dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt procent.

Ruszyło Zagłębie Dąbrowskie, w szybach naftowych Małopolski zawrzała praca. Przyszła kolej na Łódź, Białystok, Gdynię. O Warszawę uderzały wciąż nowe fale wiadomości. Nowa koniunktura!

Nie był to jeszcze nawet początek końca kryzysu, lecz słowo „kryzys” zaczęło tracić na znaczeniu. Zaczęło w psychice zbiorowej ustępować miejsca optymizmowi. Od tak dawna oczekiwano jakiegoś bodaj cienia poprawy, że pierwsze jej objawy od razu znalazły najszerzy oddźwięk. Ożywiły się transakcje, zapanował ruch na giełdzie, banki zaczęły otwierać kredyty. Nowa koniunktura!

Leniwie i chwiejnie poruszająca się machina gospodarcza została wprawiona w postępowy wirowy ruch. Coraz szybciej, coraz szybciej.

W środku zaś tkwił motor tego wszystkiego, on, Paweł Dalcz. Oczywiście nie brakło i krakania, które do głębi oburzało Krzysztofa. W prasie ekonomicznej zjawiały się artykuły pesymistycznie oceniające sytuację i wróżące rychłe załamanie się koniunktury.

Wykazywano, iż całe ożywienie życia gospodarczego oparte jest na razie na wysoce wątpliwych podstawach, że rynki zagraniczne są tak przesycone własną produkcją, iż eksport polski nie może liczyć na długotrwałe powodzenie. Jeżeli na poparcie tych dowodzeń nie przytaczano analizy cen, to tylko dlatego, że z jednej strony czynniki rządowe nie życzyły tego sobie, a z drugiej cała działalność Centrali Eksportowej otoczona była nieprzeniknioną tajemnicą.

Zresztą sceptyczne głosy były rzadkie, coraz rzadsze, aż wreszcie zupełnie umilkły. W pismach usposobionych najbardziej negatywnie do działalności Centrali Eksportowej zaczęły pojawiać się artykuły bez zastrzeżeń optymistyczne.

Ostatecznym zwycięstwem była wielka mowa Pawła, wygłoszona na bankiecie przemysłu metalurgicznego. Opublikowały ją wszystkie dzienniki na pierwszej stronie, agencje³⁶⁵ telegraficzne rozesłały jej treść do wszystkich pism. Paweł zapowiadał stanowczo początek stabilizacji i koniec kryzysu.

³⁶⁵ *ajencja* (daw.) — agencja. [przypis edytorski]

Nie powiedział wprawdzie wyraźnie, na czym opiera swe przeświadczenia, lecz naznaczywszy ogólnikowe granice perspektyw, oświadczył, że nie wolno mu na razie wchodzić w dokładne szczegóły. Zakończył zaś słowami:

— Tu pozostaje mi zażądać od panów kredytu zaufania i mam nadzieję, że na kredyt ten sobie zasłużyłem.

Oklaski trwały przez dobre pięć minut. Krzysztof, jeden jedyny z siedzących przy wielkiej podkowie stołu, nie brał w nich udziału. Wzruszenie odebrało mu możliwość ruchów.

Nazajutrz z rana obaj z Pawłem odprowadzali panią Teresę na dworzec kolejowy. Wyjeżdżała do Krakowa, gdzie miała się osiedlić w jednym z klasztorów.

Od czasu śmierci męża ogromne w niej zaszły zmiany. Przestała rozmawiać z otoczeniem, odżywała się wyłącznie chlebem i wodą. Toteż schudła tak, że wyglądała na swój własny cień. Jej blade usta nie ustawały w powtarzaniu pacierzy, a oczy patrzyły nieprzytomnie.

Początkowo Krzysztof miał odwiedzić matkę aż na miejsce, lecz bez sprzeciwu zgodził się, by zastąpił go lekarz. Towarzystwo matki było nad wyraz męczące. W ostatnich dniach przy każdym widzeniu się z Krzysztofem powracała do niedorzecznego pomysłu: jedyna nadzieja jest w odkupieniu, a odkupienie w klasztorze. Krzysztof powinien wstąpić do klasztoru. Przestała o tym wspominać dopiero wówczas, gdy odpowiedział w sposób brutalny i z cynicznym uśmiechem, że wstąpiłby do klasztoru, oczywiście, męskiego. Mania religijna matki nie wywoływała w nim współczucia. Paweł, któremu to opowiadał w powrotnej drodze z dworca kolejowego, zapytał:

— Jakże teraz? Zostaniesz sama w domu?

— Całe życie spędziłem samotnie...

— Jednak to nie ma sensu. Willa jest za duża i ponura. Można by tam zresztą ulokować jakieś biura fabryczne. Najlepiej byś zrobiła, przeprowadzając się do mnie na Ujazdowską. Cała część mieszkania po Halinie i Zdzisławie stoi bezużytecznie. Swoją starą Karolinę mogłabyś też zabrać.

Krzysztof czuł, że się czerwieni, i odwrócił głowę:

— Nie, dziękuję ci, zostanę w willi.

Rozmowa przeszła na tematy dotyczące niedawnego bankietu i Centrali Eksportowej. Krzysztof gratulował Pawłowi zmiany frontu kilku pism ekonomicznych.

— Argumenty, którymi przekonałem te pisma — ironicznie uśmiechnął się Paweł — nie należą wprawdzie do najsluszniejszych, lecz tym niemniej są najbardziej przekonujące: pieniądze.

— Jak to — zdziwił się Krzysztof — przekupiłeś je?

— Nie, moja droga, po prostu je kupiłem. Przekupstwo jest transakcją głupią. Nie posiada się żadnej gwarancji skuteczności włożonych pieniędzy. Zresztą wszystko na świecie jest dostatecznie tanie.

Krzysztof odczuł w tym powiedzeniu sarkazm i pogardę dla świata. Oburzyła go sama myśl, że człowiek taki jak Paweł dla zwycięstwa swojej dobrej sprawy musi uciekać się aż do kupowania przeciwników, którzy oczywiście tylko dlatego byli jego przeciwnikami, by wyszantażować odeń pieniądze. Ponieważ jednak w grę wchodziły tu nie tylko osobiste interesy Pawła, Krzysztof nie mógł mu z tego zrobić zarzutów. Wiedział, że Paweł potrafił sobie z szantażystami dać radę, a najlepszy dowód miał na sprawie Feliksiaka.

Tu Paweł ani przez jedną chwilę się nie zawahał. Postąpił może zbyt brutalnie, lecz bardzo po męsku. Krzysztof wiedział, że nie zapomni do śmierci tej sceny. Wprawdzie Paweł był bez porównania silniejszy od Feliksiaka, gdyby jednak było odwrotnie, ten również by się nie bronił. Wiedział, że zasłużył w zupełności na tych kilka uderzeń. Oświadczenie podpisał prawie dobrowolnie, a odkąd został z powrotem przyjęty do fabryki, zachowywał się wzorowo, niemal potulnie.

Między groźnym początkiem tego szantażu, który tak wstrząsnął Krzysztofem, a spokojnym i prostym jego zlikwidowaniem była właśnie ta olbrzymia różnica, jakiej niepodobna było nie widzieć między wszystkim tym, czego dotknęła ręka Pawła, a tym, gdzie Krzysztof zdany był na siebie samego.

Zaczęły teraz zdarzać się dni, gdy wcale nie widywał Pawła. Telefonował z Centrali, z banku, z fabryki kauczuku, w kilku zdaniach informował się o bieżących sprawach, wydawał krótkie dyspozycje i z rzadka tylko zapytywał w pośpiechu o zdrowie Krzysztofa.

Fabryka pochłaniała Krzysztofowi około dziesięciu godzin na dobę, pozostawało jednak tych godzin zbyt wiele na samotność w pustej ponurej willi. Na drzewach w ogrodzie żółkły już pierwsze liście. W gmachu Zarządu przystępowano do zwykłego jesiennego remontu.

Pewnego dnia Krzysztof powiedział Pawłowi:

— Buchalteria³⁶⁶ uskarża się na ciasnotę. Jeżeli uważasz to nadal za potrzebne, można by niektóre biura przenieść do willi.

Paweł odłożył pióro i podniósł nań oczy. Krzysztofowi wydało się, że w jego źrenicach błysnął złośliwy uśmiech. Paweł jednak powiedział miękko i po prostu:

— Bardzo dobrze. Zaraz jutro każę przygotować dla ciebie pokoje na Ujazdowskiej.

ROZDZIAŁ IV

Była to niedziela. Wzdłuż ulicy Chłodnej i Wolskiej stały tłumy ludzi. Oto każdy z nich miał rzadką okazję nie na filmie, lecz na żywe oczy zobaczyć prawdziwego amerykańskiego miliardera i wielu innych kapitalistów zagranicznych.

Gęsto rozstawiona policja pilnowała porządku. Wszystkie poranne pisma podały tę wiadomość: dzisiaj ma być uroczyste otwarcie nowej fabryki „Optima”. Na otwarciu będzie obecny sam prezydent Rzeczypospolitej, kilku ministrów i grube ryby zagraniczne, między nimi zaś legendarny William Willis, król kauczuku, wszechświatowy potentat.

W pobliżu cmentarza Wolskiego, skąd prowadziła boczna ulica wprost do „Optimy”, ustawiona była triumfalna brama wjazdowa, na której szczycie powiewały wielobarwne chorągwie. Dokoła wielką masą stali ludzie.

Zaczęły się ukazywać pierwsze auta. Wspaniałe, lśniące pędziły jedno za drugim.

Z tłumu poznawano ich pasażerów. Oto szczupła nerwowa sylwetka dyrektora od „Lilpopa”, oto gruby prezes „Nitratu”, oto minister przemysłu i handlu i znowu auta z obcymi numerami, z zagranicznymi chorągiewkami.

Ci, którzy mieli w rękę gazety, musieli je pokazywać sąsiadom, gdyż każdy chciał zobaczyć podobiznę Williama Willisa, by nie przegapić chwili jego przejazdu. A trzeba było bardzo uważać, gdyż wszyscy ci panowie byli bardzo do siebie podobni w jednakowych czarnych cylindrach i w czarnych paltach. Jednakże samochód Pawła Dalcza poznano już z daleka.

— Dalcz jedzie, o, Dalcz jedzie! — rozległy się głosy.

Tłum poruszył się. Wszyscy wiedzieli, że jest to kapitalista, wyzyskiwacz, wróg ludu pracującego taki sam, jak inni. A jednak innymi oczyma nań patrzono. Był to przecie wobec tych wszystkich burżujów zagranicznych swój burżuj, i to nie byle jaki. Pewno, że nie dla dobra kraju ani dla dobra robotnika, tylko dla własnego interesu założył tę fabrykę i przyczynił się do ruszenia tylu od dawna zamkniętych warsztatów w całym państwie, a jednak w tym oto człowieku wszyscy wielką pokładali nadzieję, wszyscy wierzyli, że dzięki niemu przyszedł pomyślniejsze czasy, że jeszcze on pokaże, co umie, a może i niejednego zagranicznego kapitalistę zakasuje.

Stali i patrzyli. Niejeden może by nawet i pomachał przejeżdżającemu czapką, niejeden może krzyknąłby „niech żyje Dalcz”, lecz jakoś nie wypadało manifestować swojej sympatii do klasowego wroga.

I Paweł dostrzegł ten nastrój. Miał twarz uśmiechniętą, pogodną, wesołą. Musiał mieć taką. Oto zaczyna się najgrubsza partia pokera. Karty były rozdane, a stawka uwielokrotniona. Czyż nie wszystko jedno, jakie ma karty w ręku? Dość nań spojrzeć, by nabrać pewności, że tak wygląda człowiek wygrywający.

Na placu przed fabryką było już kilkanaście osób gości. Witał się ze wszystkimi swobodnie.

— Piękny mamy dziś dzień, panowie.

W kantorze zastał inżyniera Ottmana. Chemik w starym i źle skrojonym fraku wyglądał jeszcze bardziej nieporadnie niż zwykle. Wypieki na jego twarzy zdawały się pło-

³⁶⁶buchalteria — księgowość, rachunkowość. [przypis edytorski]

nać. Miał przy tym minę gniewną i zaciętą. Paweł udał, że tego nie spostrzega. Zapytał szorstko:

— Przygotował się pan?

— Tak, panie dyrektorze, ale ja tego ani wygłoszę, ani podpiszę³⁶⁷.

Głos jego wibrował podnieceniem. Paweł stanął tuż przed nim i wbijając wzrok w jego oczy, powiedział:

— Owszem, panie Ottman, zrobi pan i jedno, i drugie.

— Nie zrobię. Popęlniłbym świadome kłamstwo. Ja nie jestem oszustem... To byłaby nieuczciwość. Niech pan znajdzie sobie kogo innego. Ja tego nie zrobię...

Paweł zaśmiał się:

— Nie bądź pan głupcem, panie Ottman.

— Wolę być głupcem, wolę być głupcem, stokroć bardziej głupcem niż oszustem.

— Ręce Ottmana drżały, gdy wydobywał z kieszeni plik kartek, pokrytych maszynowym pismem. — Proszę, oddaję panu to, nie chcę tego dotykać. Zapewne znajdzie pan niejednego, który zgodzi się zastąpić mnie...

— Dosyć — przerwał Paweł — wynalazek jest pański i nikt zastąpić pana nie może.

— To nie jest wynalazek! To szalbierstwo!

— Mniejsza o to — wzruszył ramionami Paweł. — Nie będziemy się sprzeczać o terminologię. A teraz słuchaj pan. Nie należę do ludzi uprawiających żarty i kpić z siebie nie pozwolę...

— A ja nie pozwolę zrobić z siebie kryminalisty!...

— Milczeć! — uderzył Paweł pięścią w stół. — Nie lubię grozić, lecz wiedz pan, że jeżeli teraz sprawi mi pan zawód, na całej kuli ziemskiej nie znajdzie pan grosza zarobku, a ja umiem dotrzymać swoich obietnic. Jeżeli to panu nie wystarczy, to weź pan pod uwagę skutki pańskiej odmowy. Przez szereg miesięcy przygotowywałem dzisiejszy dzień. Prestiż przemysłu polskiego, ba, państwa polskiego, zostanie przez pańskie głupie skrupuły wystawiony na pośmiewisko. Jest pan małym człowiekiem i pańska uczciwość z punktu widzenia każdego człowieka o szerszym umyśle będzie przestępstwem nie do darowania. Kto powiedział *A*, musi powiedzieć *B*. Wycofanie się obecnie jest niepodobieństwem. Spójrz pan przez okno. Nadjeżdża prezydent. Ci ludzie to potentaci finansowi z całego świata. Wszystko to przygotowałem ciężką mozolną pracą. Oczywiście możesz pan mnie i ich wszystkich wystrychnąć na dudków. Możesz pan jednym wierzgnięciem unicestwić całą skomplikowaną i precyzyjną maszynierię, której celów w ogóle pan nie rozumie. Już nie apeluję do pańskiego prywatnego rozsądku. Wolno panu wyrzec się bogactw, które panu obiecuję, i wybrać nędzę, lecz nie wolno być tak zarozumiałym, by obalać wielkie dzieło dlatego, że nie umie pan go zmierzyć kryteriami kramikarskiej³⁶⁸ uczciwości. Nie mam więcej czasu dla pana. Sądzę, że postąpi pan zgodnie ze swoim obowiązkiem.

Paweł skinął głową i nie oglądając się, wyszedł. Istotnie nie miał już chwili czasu do stracenia. Prezydent wysiadł właśnie z auta i Paweł podbiegł, by go powitać oraz przedstawić mu Williama Willisa i innych swoich gości.

Dowcipkował przy tym, śmiał się i był bardzo ożywiony, co przyczyniło się do tym większego polepszenia nastroju zebranych. W gruncie rzeczy nie opuszczał jednak Pawła ani na chwilę niepokój, czy zdołał przekonać Ottmana, czy po tym głupcu nie należało się spodziewać koniec końców odmowy firmowania wynalazku?...

Przygotował dlań świetny referat o kauczuku syntetycznym, referat, który Ottman miał wygłosić podczas śniadania, a następnie opublikować w pismach technicznych. Zawarte w nim było obok historii wynalazku rozpatrzenie jego walorów praktycznych i całego szeregu nowych zastosowań oraz kalkulacja produkcji, wykazująca niezwykle taniość eksploatacji wynalazku.

Oczywiście Paweł mógł również sam wygłosić ten referat. Miałoby to jednak zupełnie inny rezonans, gdyż sam wygląd Ottmana, typowego naukowca i pedanta³⁶⁹, wywierałby znacznie bardziej przekonujące wrażenie.

³⁶⁷ja tego ani wygłoszę, ani podpiszę — ja tego ani nie wygłoszę, ani nie podpiszę. [przypis edytorski]

³⁶⁸kramikarska uczciwość — uczciwość drobnych handlarzy, sprzedających towary w kramiku, na straganie, rozłożone na stole lub ławie. [przypis edytorski]

³⁶⁹pedant — człowiek drobiazgowo, często przesadnie dokładny. [przypis edytorski]

Nadto Paweł poczynił już starania, by Ottmana mianowano profesorem chemii organicznej na Politechnice Warszawskiej, co wynalazkowi również dodawało ciężaru gatunkowego. Zresztą w programie otwarcia „Optimy” zapowiedziany był referat wynalazcy i skreślenie tego punktu czy też zastąpienie Ottmana przez kogoś innego musiałoby wywołać zdziwienie albo nawet zrodzić podejrzenia.

W głównej hali goście z zainteresowaniem oglądali instalacje połyskujące szkłem, niklem i miedzią. Panowała tu wzorowa czystość i niemal apteczny porządek.

Objaśnień udzielał Paweł. Na dany przez niego znak puszczone maszyny w ruch.

Po upływie niespełna pół godziny każdemu z obecnych majstrowie wręczyli kubik³⁷⁰ kauczuku syntetycznego, wyprodukowanego w jego obecności.

Najbardziej zdziwiony był i zachwycony William Willis. Wymachiwał rękami, wąchał kauczuk, szczypał jego powierzchnię, próbował rozciągliwości.

Wszyscy musieli wierzyć własnym oczom. Nie wiedzieli tylko, że winda wydobywająca gotowy produkt z chłodni popełniała niewielki, lecz z całą ścisłością obliczony błąd: zamiast nietrwałego trzymiesięcznego kauczuku podawała inny, prawdziwy „Optima”, od dawna zmagazynowany w sąsiednim składzie. Skład ten był też jedynym miejscem na terenie fabrycznym, którego zwiedzającym nie pokazano. Mieszczące się tu poprzednio maszyny do produkowania prawdziwej „Optimy” usunięto i nawet ślad po fundamentach zatarto.

Następnie oglądano pokaz zastosowania syntetycznego kauczuku i ebonitu. W samej fabryce wszystko, co się dało z tego materiału wykonać, jak podłogi, meble, boksy, wszystko było zrobione z tego znacznie praktyczniejszego i tańszego od drzewa produktu. Największe jednak zainteresowanie gości wywołało badanie nawierzchni jezdni. Pomimo kilkumiesięcznego użytkowania stan jej był świetny. Ani upały, ani ciężko ładowne wozy nie zdołały jej uszkodzić. Umyślnie w oczach widzów przetoczono samym środkiem dość duży walec nabijany hacelami³⁷¹, co również nie zostawiło najmniejszego śladu.

— Budowa takiej nawierzchni — objaśnił Paweł — kalkuluje się ściśle o trzydzieści procent taniej niż zastosowanie asfaltu, trwałość zaś w ogóle nie nadaje się do porównań.

Bacznie obserwował twarze gości, wśród których przecie byli starzy fachowcy przemysłu kauczukowego i znawcy rynku.

Otóż efekt był pełny. Sam William Willis, który zaczął swą karierę jako majster w plantacjach brazylijskich, a dziś był głównym producentem opon samochodowych, nie ukrywał swego zachwyty:

— Nadzwyczajne! — powtarzał — nadzwyczajne!

— Jaką wydajność może osiągnąć pańska fabryka? — zapytał jeden z przemysłowców niemieckich.

— O — zaśmiał się Paweł — ścisła cyfra³⁷² to już moja tajemnica. W każdym razie zapewniam pana, że ta jedna fabryczka może w ciągu miesiąca pokryć zapotrzebowanie kauczuku w Polsce na cały rok. Oczywiście przy obecnym wąskim zastosowaniu. Wystarczy mi jednak sześć tygodni na zdwojenie, a osiem na potrojenie wydajności.

— Do licha — odezwał się ktoś — eksploatacja prawdziwego kauczuku niedługo przestanie się opłacać.

— I ja tak myślę — twardo, z naciskiem potwierdził Paweł.

Przez cały czas w grupie zwiedzających nie było Ottmana.

Paweł na próżno posyłał poń³⁷³ kilka razy i teraz niepokoił się coraz bardziej. W gruncie rzeczy niepotrzebnie naraził się na to ryzyko. Można było wysłać tego głupca z Warszawy, a na jego miejsce podstawić kogoś mniej obciążonego skrupułami.

Teraz jednak było już na to za późno. Właśnie zajeżdżały auta i Paweł musiał żegnać prezydenta Rzeczypospolitej, który odjeżdżał pierwszy, i dziękować mu za powinszowania i życzenia pomyślnego rozwoju wielkiego przedsięwzięcia.

Niemало trudu kosztowało Pawła ściągnięcie tych wszystkich oficjalnych osób, których obecność była konieczna ze względu na potrzebę wywarcia na gościach zagranicznych odpowiedniego wrażenia. Pod tym względem rzecz była przygotowana bez zarzutu.

³⁷⁰kubik — sześcian, kostka sześcienna. [przypis edytorski]

³⁷¹hacel — hak wkręcany w tylną część podkowy, by zapobiec ślizganiu się konia. [przypis edytorski]

³⁷²ściska cyfra — popr.: dokładna liczba. [przypis edytorski]

³⁷³poń — skrócone od: po niego. [przypis edytorski]

Każdy z nich już po kilku godzinach pobytu w Polsce mógł zorientować się, jak poważną tu pozycję ma Paweł Dalcz i jaką wagę każde jego słowo. Tym bardziej podważenie tego zaufania przez niezjawienie się samego wynalazcy było czymś, czego za wszelką cenę należało uniknąć. Paweł chciał właśnie udać się na poszukiwania Ottmana, gdy powiedziano mu, że chemik już dawno pojechał do domu. To było całkiem niespodziewane. Pomimo to Paweł postanowił nie dać za wygraną. Przez chwilę namyślał się, czy nie prosić Krzysztofa o sprowadzenie tego bałwana, gdy wpadł na inny pomysł. Ponieważ musiał jechać teraz wraz z Willisem, z którym należało omówić niektóre sprawy jeszcze przed bankietem, zapytał go, czy zgodzi się na małą chwilę zwłoki. Poszedł do kantoru i zatelefonował do Marychny. Na szczęście była w domu.

— Słuchaj, Marychno — mówił prędko — nie pytaj o nic, później ci wytłumaczę i podziękuję. Nie masz ani jednej minuty do stracenia. Jedź natychmiast do inżyniera Ottmana i zmusz go, by zaraz przyjechał na bankiet. Wiem, że się w tobie podkochuje. Jeżeli potrafisz go sprowadzić, nigdy tego nie pożałujesz.

Marychna była przerażona i zaniepokojona. Niespodziewany telefon Pawła i jeszcze mniej spodziewane żądanie do reszty ją speszyły:

— Ależ dobrze, ja owszem, lecz co będzie, jeżeli on nie zechce? — pytała niepewnym głosem.

— Jeżeli nie zechce — ponurym głosem odpowiedział Paweł — to trudno. Nie powiedz mu tego broń Boże, ale to dla mnie kwestia życia lub śmierci.

— Jezus, Maria!...

— Zrób wszystko, co potrafisz, Marychno. Jestem pewien, że usłucha cię. Z niczego się też przed nim nie tłumacz. Na to nie ma czasu. Wysłałam samochód na Leszno. Nim zjedziesz na dół, będzie już przed bramą. I śpiesz!

— Dobrze.

Paweł odetchnął. Wprawdzie nie był pewien, czy Marychna zastanie Ottmana w domu, wierzył jednak w skutki jej interwencji. Z tym większą swobodą rozmawiał po drodze z Willisem, a gdy już wszyscy zaproszeni przybyli do hotelu, kazał prosić do stołu. Ożywione rozmowy, w których dyskutowano perspektywy syntetycznego kauczuku i dzielono się spostrzeżeniami z przed chwilą zwiedzonej fabryki, pozwalały odwlec referat. Gdy jednak podano już lody, a Ottman się nie jawił, Paweł zaczął się niepokoić, tym bardziej że kilka osób zapytywało o wynalazcę. Wreszcie przyszedł. Zgarbiony i z opuszczoną głową wsunął się do sali. Paweł zawołał wesoło:

— Otóż, panowie, bohater naszego dnia. Pozwólcie sobie przedstawić inżyniera Ottmana, jednego z najgenialniejszych wynalazców dwudziestego wieku, świetnego chemika, dzięki któremu cywilizacja zrobiła znów naprzód krok wielki i ważny.

Paweł wstał, podszedł do Ottmana i kordialnie potrząsnął jego rękę. Obecni bili oklaski. Paweł podprowadził Ottmana do zarezerwowanego dlań miejsca i powiedział:

— Panowie! Inżynier Ottman, który właśnie za jego zasługi położone na polu nauki ma być w tych dniach mianowany profesorem chemii organicznej stołecznej politechniki, prosił mnie, bym uprzedził panów, że nie włada on zbyt swobodnie językiem angielskim, wobec czego zechcą mu państwo wybaczyć niejaki usterki w jego referacie. Sądzę jednak, że wartość podanej choćby najgorszym akcentem treści w najmniejszym stopniu na tym nie ucierpi.

— Ależ prosimy, prosimy — odezwały się głosy.

Ottman uklonił się, położył przed sobą maszynopis, zmarszczył czoło i przygryzł wargi, jakby się jeszcze wahał, lecz wreszcie poprawił okulary i zaczął czytać. Przy stole zapanowała kompletna cisza. Ottman istotnie miał zły akcent, lecz przecież rozumiano go doskonale. Referat zaczynał się od historii kauczuku i kroniki wielu usiłowań chemików całego świata nad stworzeniem syntezy tego produktu naturalnego. Dalej następował opis wieloletnich prób samego Ottmana i założeń, z których wychodził przy poszukiwaniu ostatecznego rezultatu, który wreszcie został dopięty. Paweł z baczniejszą niż kto inny uwagą przysłuchiwał się głosowi Ottmana. Dzięki swej wybornej pamięci słowo po słowie kontrolował wszystko, co przecież było napisane jego własną ręką. Wprawdzie referat w języku polskim sporządził Ottman, lecz Paweł, tłumacząc rzecz na angielski, bardzo dużo w niej pozmieniał i teraz obawiał się, by temu naiwnemu człowiekowi nie

przyszło na myśl przeinaczyć i pominąć to, co dla sprawy było najistotniejsze, co było wręcz konieczne.

Ottman jednak nie zdradzał żadnych w tym kierunku zamiarów. Z nieznacznym tylko przekłnięciem śliny przebrnął przez pierwszą niecisłość, na mgnienie oka zatrzymał się przy drugiej, przez trzecią przebrnął z pośpiechem, a dalej szło już całkiem gładko aż do końcowych wniosków, utrzymanych w formie najbardziej kategorycznej.

Te wprawdzie nie licowały z zażenowaną i nieśmiałą miną czytającego, lecz dzięki temu uwypukliły się jeszcze bardziej.

Teraz dopiero rozległy się niemal entuzjastyczne oklaski. Wartość i niewątpliwość wynalazku stała się oczywista nawet dla tych, których obejrzenie fabryki i obecność przy jej pracy jeszcze nie przekonały.

Ottman, błąd teraz jak płótno, z miną głęboko nieszczęśliwego człowieka klaniał się niezdarnie i nerwowym ruchem palców zbierał kartki. Bliżej stojący powstawali, by uścisnąć jego rękę.

Paweł wśród gwaru zaśmiał się i powiedział dość głośno:

— Nasz mistrz alchemii, zdaje się, jest do reszty oszołomiony swoją odwagą. Powrólcie, panowie, że go uwolnię od tortury naszego towarzystwa.

— Dlaczego nazywa pan to torturą? — zdziwił się Willis.

— To jasne — odpowiedział Paweł. — Niech pan nie zapomina, że każdy uczony uważa oddanie owocu swej wiedzy do praktycznego użytku za rodzaj profanacji. Musi go oburzać już samo to, że mówi o nauce do barbarzyńców, którzy w myśli jego prawdy naukowe taksują³⁷⁴ kwotami dolarów, jakie dzięki nim dadzą się osiągnąć.

Argument był aż nadto przekonujący. Paweł zbliżył się do Ottmana i zręcznie wydzieliwszy go z grupy osób zasypujących go pytaniami, odprowadził chemika do sąsiedniej pustej sali. Tu Ottman bezsilnie opadł na krzesło, po jego czole ściekały grube krople potu.

— To było ponad moje siły — powtarzał — ponad moje siły...

— No, widzi pan, wszystko poszło jak najlepiej — potrząsnął jego ramieniem Paweł. — Wywarł pan świetne wrażenie...

Ottman wybuchnął nerwowym śmiechem:

— Świetne wrażenie!... Ha, ha, świetne wrażenie! Przecie dziecko po samym moim wyglądzie poznałoby, że jestem szarlatanem i oszustem, który nie umie ukryć strachu!... Daruje mi pan, ale nie mam jeszcze pod tym względem wprawy.

Zaśmiał się szyderczo i komicznie strzepnął palcami. Paweł zatrzymał go ruchem ręki:

— Myli się pan. Żadnemu z nich ani na jeden moment nie przyszło do głowy, że pan mówi cokolwiek poza ścisłą prawdą. Po pierwsze każdy z nich miał nieraz do czynienia z oszustami. Oszuści zaś w niczym nie przypominają załężnionego podczas egzaminu sztubaka³⁷⁵. Przeciwnie. Są bezczelni i raczej grzeszą przesadnym tupetem. Po drugie zaś niech pan weźmie pod uwagę, jakie miał pan audytorium. Z jednej strony byli tam polscy przemysłowcy i polscy ministrowie, których rozpierała radość patriotyczna, że oto rodak itd., że nowa gałąź wytwórczości przyczyni się do rozwoju rodzimego przemysłu, a z drugiej strony słuchali pana zagraniczni kauczukowcy, właściciele fabryk przetwórczych, którzy po to tylko tu przyjechali, by szukać ratunku dla swych podupadających interesów, by znaleźć korzystną lokatę dla swych kapitałów. Otóż oni wszyscy razem wzięci chcieli, żeby to, co pan im mówił, było najściślejszą prawdą! Oni tego pragnęli, a jeżeli ktoś pragnie wierzyć, to nawet byle jakie argumenty trafią mu do przekonania. Więcej. Gotów będzie wszystkie bez wyjątku wątpliwości tłumaczyć na pańską stronę. Nie trzeba być szczególnie znawcą psychiki ludzkiej, panie Ottman, by to wiedzieć.

Chemik był zbyt oszołomiony przeżyciami dnia, by oponować. Bez protestu też podpisał referat. Jak było umówione, miał tego wieczoru wyjechać na urlop za granicę. Paweł w ten sposób chciał uniknąć możliwych indagacji³⁷⁶, jakie po dzisiejszej uroczystości niewątpliwie czekały Ottmana w kraju.

Wręczając mu dość gruby plik banknotów, powiedział:

³⁷⁴taksować — oceniać wartość, szacować, wyceniać. [przypis edytorski]

³⁷⁵sztubak — uczeń. [przypis edytorski]

³⁷⁶indagacja (z łac.) — dopytywanie się, wypytywanie. [przypis edytorski]

— Oto pierwsza porcja pańskiej należności, niech pan tylko wszystkiego nie zabiera ze sobą, bo jeszcze skusi pana ruleta. I żądam od pana w dalszym ciągu tylko jednego: milczenia. Zrobię pana bogatym człowiekiem, niech pan jednak pamięta, że jedno nieostrożne słowo może wszystko w gruzy obalić, a wówczas nie tylko ja, lecz i pan zginie pod tymi gruzami. Szczęśliwej podróży.

Potrząsnął jego rękę i wrócił do zebranych. Większość z nich zaczęła się już żegnać i zabierać do odejścia. Dalsze rzeczy już ich nie dotyczyły. Pozostało tylko kilku przemysłowców i kapitalistów zagranicznych wraz ze swymi doradcami prawnymi. Ci przeszli na górę do apartamentów Williama Willisa.

Ponieważ interesy Amerykanina wzywały go do najszybszego wyjazdu, sprawa musiała być omówiona jeszcze dzisiaj. W punktach zasadniczych jej losy zapadły już dawno na pokładzie „Corony”, warunkowo wprawdzie, lecz teraz, gdy warunkowość przestała istnieć i kwestia została przesądzona, na tych właśnie punktach umowa miała być oparta.

Paweł Dalcz pokrótce zreferował sprawę, po czym William Willis wypowiedział poglądy, że najprostszym rozwiązaniem kwestii byłoby powołanie do życia towarzystwa akcyjnego, które przystąpiłoby do natychmiastowej eksploatacji wynalazku we wszystkich państwach.

Połowę kapitału akcyjnego pokryliby tu obecni, dwadzieścia procent otrzymałby właściciel patentu, pan Paweł Dalcz, reszta poszłaby na giełdy do wolnej sprzedaży.

To oświadczenie nie wywołało żadnych sprzeciwów, wobec czego przystąpiono do omawiania szczegółów. Sam fakt, że William Willis angażował się olbrzymią kwotą w przedsięwzięciu, gwarantował powodzenie na rynku akcyjnym. Zresztą rentowność kauczuku syntetycznego w najpesymistyczniejszych obliczeniach była wspaniała. Oczywiście nie mogło być mowy o konkurencji ze strony producentów kauczuku naturalnego. Z dniem dzisiejszym byli to ludzie skazani na doszczętną ruinę.

Za pół roku, kiedy „Optima” będzie dostarczana konsumentom na całym globie w dowolnych ilościach, plantacje drzew kauczukowych spadną w swej wartości do zera.

Już sam fakt zjazdu w Warszawie wywołał wielkie zaniepokojenie. Przetwórczy przemysł gumowy w Niemczech i we Francji powstrzymał zamówienia. Giełda w Londynie zareagowała na to nieznacznym, lecz wyraźnym spadkiem akcji kauczukowych.

Konferencja w hotelu zakończyła się przed świtem, a o świcie prezes nowo powstałego Międzynarodowego Koncernu „Optima” William Willis odjeżdżał z Dworca Głównego wraz z całym sztabem swego przybocznego biura.

Przez tę noc ani przez następny dzień Paweł ani na chwilę nie zmrużył oka. Miał tylko tyle czasu, by na chwilę wpaść do domu i przebrać się.

Od rana rozpoczął pod jego przewodnictwem swe prace komitet organizacyjny, składający się z radców prawnych oraz wezwanych telegraficznie ekspertów. Większość postulatów Pawła znalazła w nim pozytywny wyraz, więcej zaś zależało mu na kwestiach głównych niż na upieraniu się przy pozycjach drobniejszych kosztem zwłoki.

Przed wszystkim przyjęto utworzenie we wszystkich większych państwach odrębnych towarzystw akcyjnych i utworzenie centrali w Paryżu. Paweł Dalcz obejmował prezesurę wyłącznie polskiej spółki akcyjnej, natomiast kategorycznie odmówił przyjęcia proponowanego mu stanowiska wiceprezesa rady głównej, jak również objęcia kierownictwa propagandy, które wobec tego przekazano jednemu z przemysłowców niemieckich, któremu już istniejąca warszawska „Optima” miała dostarczyć próbek tego kauczuku. Nie ulegało wątpliwości bowiem, że część rynku odniesie się nieufnie do nowego produktu i że zechce przed udzieleniem zamówień zbadać syntetyczny kauczuk laboratoryjnie i praktycznie.

Jednocześnie komitet organizacyjny został upoważniony do poczynienia wstępnych umów z producentami terpentyny i kazeiny. Powierzono również fachowcom wybranie miejsc nadających się na budowę fabryki w Skandynawii i w Kanadzie.

Tempo nadane sprawie zarówno przez Pawła, jak i przez Williama Willisa było koniecznością. Należało za wszelką cenę uruchomić fabryki przed majem, w którym to miesiącu w kauczuku dokonywane są największe transakcje zarówno w Londynie, jak i w New Yorku.

W tych warunkach Paweł już zupełnie nie miał czasu na zajmowanie się Zakładami Przemysłowymi Braci Dalcz. Wpadał tam najwyżej raz na tydzień, na krótką chwilkę.

łę, zdawszy faktyczne kierownictwo Krzysztofowi. Zresztą od dnia, w którym Krzysztof przeprowadził się na Ujazdowską, widywał go prawie codziennie.

Najczęściej wracając do domu około północy, zastawał Krzysztofa w salonie słuchającego radia lub grającego na fortepianie. Krzysztof grał źle i Paweł, który słuch miał bardzo wyrobiony, nie lubił tego. Sam w dzieciństwie przepadał za muzyką. Był to jedyny przedmiot, którego uczył się z zapałem. Niestety później zarzucił muzykę zupełnie.

Lata spędzone na szeregu nieudatnych prób wejścia w wielki świat interesów nie dały mu ani czasu, ani warunków do zajęcia się muzyką. Teraz tym bardziej nie mógł o tym marzyć.

— Zbyt twardo bierzesz Wagnera — powiedział któregoś dnia, stanąwszy na progu niepostrzeżenie dla Krzysztofa. — Wagner jest mocny, lecz bynajmniej nie twardy. Dziwię się, że ty tego nie czujesz. Przecież oboje jesteśmy z pochodzenia Niemcami, a każdy Niemiec i tylko Niemiec tę właśnie różnicę świetnie wyczuwa.

Krzysztof odwrócił się. Jego twarz rozjaśniła się uśmiechem:

— Już wróciłeś? — powiedział miękko.

I Paweł nagle uświadomił sobie, że ktoś jego przyjście do domu na nocleg może nazwać powrotem. W następnej chwili przyłapał w swojej myśli słowo „dom” i zastanowił się: dlaczego to mieszkanie równie mu dotychczas obojętne, jak pierwszy lepszy pokój hotelowy, związane z nim wyłącznie tym, że tu są jego rzeczy i że tu sypia, może być nazwane domem, czyli czymś, co stanowi jakby centralny punkt świata, czymś swoim, osiadłym, niezmiennym...

Zbliżył się do Krzysztofa i położył rękę na jego ramieniu. Krzysztof podniósł wzrok i tak przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

— Dlaczego — odezwał się Paweł — zawsze czekasz na mnie? Wstajesz bardzo wcześnie, a ja wracam późno...

— Czy sprawia ci to przykrość?

— Przeciwnie.

— Ale w każdym razie wolałbyś nie słyszeć mojej gry na fortepianie — zaśmiał się Krzysztof, jakby z zażenowaniem i z odrobiną kokieterii.

— Czyś ty nigdy nie nosiła kobiecego ubrania?

— Nigdy. — Krzysztof potrząsnął głową.

— Wprost zdumiewam się, jak mogłem nie odkryć wcześniej twojej kobiecości. Jesteś tak fenomenalnie, tak uderzająco kobieca... Właśnie dlatego to mieszkanie zaczyna mi przypominać dom.

Siedziała milcząca.

Paweł, patrząc z góry, widział długie cienie rzęs na jej policzkach. Cienie te drgały, skracały się, wydłużały. Podniósł rękę i łagodnie przesunął dłonią po jej włosach. Były niezwykle miękkie, jedwabiste. Ostrożnie zanurzył w nie palce. Były ciepłe i ciężkie.

Wtem rozległ się cichy dzwonek. Jeden, drugi, trzeci — dwanaście uderzeń małym młoteczką w brzękliwą srebrną blachę. Zegar na konsoli kominka wydzwaniał północ.

Jeszcze przed snem trzeba było przejrzeć gruntownie dzisiejszą korespondencję Centrali Eksportowej. Jutro rano Kolbuszewski wyjeżdża do Katowic. Dla niego też trzeba przygotować wytyczne. Roboty przynajmniej na dwie godziny, a w „Optimie” o siódmej rano Blumkiewicz obejmuje dyрекcję.

Paweł wyprostował się i podał rękę Krzysztofowi.

— Dobranoc ci — powiedział. — Mam jeszcze dużo roboty, a już dwunasta.

— Dobranoc — ledwie dosłyszalnie odpowiedział Krzysztof.

Paweł stał jeszcze przez moment nieruchomy, później mruknął do siebie: „tak”, i zaczął z wolna iść w kierunku sypialni. Na plecach czuł wzrok tej dziewczyny, wzrok, który zdawał się go zatrzymywać. Chrząknął i zamknął za sobą drzwi. Na biurku piętrzyły się przygotowane teczki. Na samym wierzchu leżała czarna z wyraźnym napisem: „Rumunia”.

— Aha — uśmiechnął się — więc Bukareszt nareszcie się ruszył. Zobaczymy...

I już na inne myśli nie było miejsca. Każda z tych kartek papieru przemawiała doń szeregami cyfr, dat i słów pilnych, ważnych, zawierających różne i wielostronne znaczenia. Każda przynosiła wiadomości, kojarzące się w jego umyśle w jednolity obraz przyczyn, skutków i wniosków.

W gabinecie swoim w Centrali Eksportowej miał jedną ze ścian zawieszoną wielką mapą Europy. Barwne chorągiewki, wpięte w wielu miejscach, oznaczały na niej pozycje już zdobyte i zdobywane. I tutaj jednak bez mapy miał wprost w oczach wizerunek kontynentu. Wiedział na pamięć, gdzie jakie działają wpływy, gdzie jakie tworzą się warunki, gdzie jakie rozwijają się możliwości.

Po kilku miesiącach działalności Centrali Paweł przekonał się, że pod jednym względem jego początkowe obliczenia zawiodły. Przewidywał mianowicie, że rozpoczęcie akcji wywozowej na wielką skalę podwoi lub potroi produkcję polskiego przemysłu.

Okazało się jednak, iż w ciągu lat zastoju większość fabryk utraciła znaczną część swoich zdolności produkcyjnych. Wyniszczone urządzenia, zaniedbane składy, szyby, środki transportu i inne względy sprawiały to, że wiele przedsiębiorstw potrzebowało długiego czasu do całkowitego odzyskania dawnej wydajności.

Miało to wprawdzie i swoje dobre strony. Dumping polski nie zaciążył od razu na rynkach międzynarodowych, nikogo nie przeraził, nie wywołał kontrakcji. Obawiając się jej, Paweł nigdzie nie atakował zbyt mocno. Była to raczej partyzantka, a transporty wwożonych towarów mogły uchodzić po prostu za okazyjne.

Jednakże mała skala obrotów niecierpliwiła Pawła. Główny jego zysk opierał się przecie na procentach od tegoż obrotu. Własne kapitały uzyskane z banków krajowych i z manchesterskiego banku „Lloyd and Bower”, a zabezpieczone na Zakładach Przemysłowych Braci Dalcz, były tu kropłą w morzu, zresztą w najbliższym czasie trzeba je było wycofać i rzucić na rynek kauczukowy.

Na razie jednak w działalności Centrali Pawła pochłaniała inna koncepcja.

Będąc teraz największym odbiorcą produkcji niemal wszystkich gałęzi przemysłu krajowego, będąc człowiekiem ostatecznie i bezapelacyjnie decydującym o udzieleniu zamówień temu czy innemu przedsiębiorstwu, nie ograniczył się do moralnego wpływu na dostawców.

Zaczął się od wielkiej huty „Letycja”, której prezesem był baron Colberg, jeden z najzaciętszych przeciwników Pawła jeszcze z czasów komisji porozumiewawczej przemysłu metalurgicznego. „Letycja” nie otrzymała zamówienia ani na jeden kilogram. Colberg czekał spokojnie przez dwa miesiące. Wreszcie interweniował w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Uzyskał tam tyle, że zwrócono się do Pawła z prośbą o niepomijanie w zamówieniach huty „Letycja”.

Pozycja Pawła pozwalała mu już jednak nie liczyć się zbytnio z życzeniami Ministerstwa i stało się tak, jak przewidział: baron Colberg sam zjawił się u niego. Ponieważ był to również człowiek interesów, rozmowa trwała krótko: Colberg otrzymał zamówienia, a Paweł Dalcz znaczny pakiet akcji huty „Letycja”.

Po „Letycji” przysła kolej na przędzalnię Waksberga w Łodzi, na naftowe towarzystwo „Oleum” w Borysławiu, na „Spółkę Akcyjną Sachs i Synowie” w Mysłowicach, na kopalnię „Nobel”, „Bałtyckie Towarzystwo Transportowe”, na „Eksport Drzewny Dawid Kon i Spółka”, cementownię „Lasocice” itd.

W początkach grudnia Paweł był już członkiem zarządu dwudziestu kilku spółek akcyjnych, a w niektórych, bardziej od niego uzależnionych, został wybrany na prezesa.

Nie było to zresztą z najmniejszą szkodą owych towarzystw.

Nie mówiąc już o zamówieniach dla Centrali Eksportowej, dawało to im możliwość korzystania z nazwiska Pawła Dalcza, które wystarczało we wszystkich bankach za najlepszą firmę³⁷⁷. Nadto w wielu wypadkach Paweł zabierał się do uporządkowania interesów danego przedsiębiorstwa, a to, dzięki jego zdolnościom, dzięki znajomości ludzi i interesów, prawie zawsze dawało duże korzyści.

Z dnia na dzień, niemal z godziny na godzinę rósł majątek Pawła i rosło jego znaczenie w świecie. Z tym wszystkim jednak coraz bardziej brakowało mu dnia.

Na dobitkę wszystkiego przyjechała jego matka. Pobył na wsi nie tylko jej nie zaszkodził, lecz zdawało się, odmłodził ją. Wynudzona na odludziu, a zwabiona do Warszawy sławą Pawła, wprost nie dawała sobie wytłumaczyć, że jego czas jest od świtu do no-

³⁷⁷*firma* (z łac. *firmus*: stały, trwały, mocny) — nazwa, pod którą działa przedsiębiorstwo, tu przen.: nazwisko osoby mającej ustaloną reputację, dobrą sławę w jakiejś dziedzinie. [przypis edytorski]

cy zajęty. Chciała z nim „nagadać się” i wiele go trudu kosztowało, zanim zdołał się jej pozbyć.

Zaczęło się od tego, iż zjechała z walizkami, kuframi i pakami wprost na Ujazdowską wczesnym rankiem. Wiadomość, że połowa mieszkania zajęta jest przez Krzysztofa, przyjęta została przez nią z oburzeniem. Uważała, że mieszkanie stanowi jej własność i że sprowadzenie się doń syna pani Teresy było grubą samowolą. Pawłowi o tym wszystkim doniósł telefonicznie lokaj, dodając, iż jasnie pani kazała przestawić meble itd.

Przewidując wypadki, Paweł musiał przerwać konferencję i wrócić do domu, by pokroić reformatorskie zapędy pani Józefiny. W rezultacie zdołał ją przekonać, że powinna zamieszkać u Jachimowskich. Ci jednak nie chcieli się na to zgodzić, wymawiając się ciasnotą swojej willi. Wreszcie pertraktacje prowadzone przy poparciu Nity odniosły ten skutek, że pani Józefina miała zięciowi i córce płacić miesięcznie pięćset złotych, które szły oczywiście z kieszeni Pawła. Nadto Paweł zobowiązał się urządzić gdzieś Jachimowskiego, pozostającego bez bliżej określonego zajęcia od czasu rozstania się z fabryką Dalczów.

Obecność pani Józefiny w Warszawie, a zwłaszcza w kontakcie z Jachimowskimi, groziła wprawdzie Pawłowi jej gadatliwością, dzięki której mogły wyjść na jaw okoliczności, w jakich powrócił on do Warszawy. Nie byłoby to na rękę Pawłowi, lecz tym niemniej nie wydawało się o tyle groźne, by się miał z tym poważnie liczyć. Na wszelki wypadek zalecił matce powściągnięcie wielomówności do możliwych granic, nie łudził się jednak, że granice te przy temperamencie pani Józefiny i tak będą bardzo szerokie.

Bądź co bądź stanowił obecnie temat licznych i częstych rozmów nie tylko w bankach, na giełdzie, wśród ludzi interesu i w biurach rządowych, lecz także na fajfach³⁷⁸ i rautach³⁷⁹, na dancjach i balach. Informacje o jego działalności były tam towarem równie pożądanym, jak i anegdota o jego sposobie bycia.

Wprost należało do dobrego tonu móc powiedzieć, co sądzi o tym, a co o tamtym Paweł Dalcz, sam Paweł Dalcz.

Oczywiście pani Józefina w tej atmosferze czuła się wyśmianicie. Oblegano ją ze wszystkich stron, zapraszano nieustannie, czy to po prostu dla snobizmu posiadania takiej ozdoby salonu, jak matka Dalcza, czy w nadziei dotarcia przez nią pod wszechpotężne opiekuńcze skrzydła milionera, celem uszczknięcia z nich bodaj jednego piórka dla siebie.

A Paweł z tygodnia na tydzień stawał się mniej dostępny, coraz mniej osiągalny. Pozawierane początkowo stosunki towarzyskie, które miały mu służyć ułatwieniem w interesach, likwidował jedne po drugich. Najkrótsza wizyta bowiem zabierała przynajmniej dziesięć minut czasu, a dziesięć minut równało się nieraz dziesięciu tysiącom zysku lub straty.

Im mniej mógł się udzielać bliźnim, tym więcej było takich, którzy doń dotrzeć chcieli. Przypominali go sobie koledzy z pierwszych klas gimnazjalnych, ba, nawet chłopcy, z którymi bawił się w koniki, gdy miał lat pięć czy sześć. Co gorsza, przychodzili nawet tacy, których nigdy nie znał i nie widział. Nieraz uszu jego dochodziły wiadomości, że taki pan czy inny utrzymuje, iż jest jego serdecznym przyjacielem od dziesiątków lat.

Otóż do tego pięknie przyczyniła się pani Józefina. Każdy, kto tylko chciał, a nie było takich, którzy by nie chcieli, mógł usłyszeć od niej, jakim to anielskim i mądrym dzieckiem był Paweł już w pieluszkach. Jako chłopak mały odznaczał się niebywałą pilnością w naukach, a wiedza jego, gdy miał lat piętnaście, wprawiała w oszołomienie najuczestniejszych profesorów uniwersytetu. Ba, jego rodzony ojciec, świętej pamięci pan Wilhelm Dalcz, nieraz przerywał małemu Pawełkowi zabawę w chowanego i radził się go, jak ma postąpić w różnych skomplikowanych interesach. Ilekroć zaś poszedł za jego radą, zawsze wychodził na tym świetnie. Już wtedy było wiadomo, że będzie to geniusz finansowy.

Pani Józefina wzdychała i wymownie kiwała głową:

— I gdyby mój nieboszczyk mąż nadal słuchał Pawła, nigdy by nie doszło do tej tragicznej śmierci.

Opowiadała dalej, jak Paweł zawsze był uosobieniem wszelkich cnót: odważny, uczciwy, szlachetny, najlepszy syn, jaki kiedykolwiek istniał pod słońcem. Kłamstwo nigdy

³⁷⁸fajf (z ang.) — przyjęcie towarzyskie rozpoczynane o godzinie piątej po południu. [przypis edytorski]

³⁷⁹raut — oficjalne przyjęcie wieczorne. [przypis edytorski]

nie skalało jego ust, a uczciwość miał zawsze tak bezkompromisową, że nawet członkom rodziny nie wybaczał pod tym względem najmniejszych uchybień. Natomiast jeżeli wyświadczył komuś jakieś dobro, a było to zawsze jego pasją, przede wszystkim zastrzegł absolutną dyskrecję, nie lubił bowiem rozgłosu swoich miłosiernych czynów. Takie i podobne wiadomości rozchodziły się następnie w najfantastyczniejszych wersjach wśród ludzi, urabiając Pawłowi opinię arcywzoru cnót, talentów i zalet. Nie próbował wpływać na jej zmianę, tak jak nie reagował też na plotki, przynoszące mu ujmę, doskonale doceniał jednak korzyści, jakie płynęły z pierwszych i drugich. Im więcej sprzecznych rzeczy mówiono o nim, tym mniej dawano wiary wszystkiemu, co mogłoby niekorzystnie o nim świadczyć. Paweł wierzył, że na dnie natury ludzkiej leży pragnienie dobra, pragnienie wiary w to dobro. Nieraz przypominał sobie powiedzenie Guy de Maupassanta³⁸⁰:

— Znacznie więcej jest kobiet cnotliwych, niż mówimy, lecz jednak znacznie mniej, niż myślimy.

Maupassant dokonał tu bardzo ciekawego odkrycia w psychice ludzkiej, należało jednak dodać do tego, że to samo odnosi się również do cnót nie tylko niewieścich. Toteż przewagę w życiu będzie miał ten, który uzbroiwszy się w świadomość takich ogólnych praw psychicznych, zbliżając się do ludzi, oczekiwać od nich będzie przede wszystkim nieuczciwości, podstępów, zła. I druga rzecz: wieczna tęsknota do wzoru, powszechne pragnienie znalezienia przedmiotu uwielbień.

— Połowa wielkości Cezara, Napoleona, Mussoliniego — powiedział kiedyś Paweł Krzysztofowi — polega na tym. Nie oni się wywyższali, lecz tłum sam wznosił ich nad swoje głowy. Wznosił ich nie dlatego, że byli to oni, lecz zapewniam cię, że to tylko było szczęście tych jednostek, którym podobne są setki i tysiące. Sztuka polega na znalezieniu się w zogniskowaniu pragnień tłumy. To wszystko. Później wystarczy osłonić się tajemnicą, odgrodzić się niedostępnością, a sami stworzą legendę, sami wywindują na piedestał. Oto mechanika wielkości.

— Jeżeli jest tak, jak mówisz, wyraża się w tym tęsknota do boskości — po chwili namysłu odpowiedział Krzysztof.

— W każdym razie do ponadprzeciętności.

— A jednak konwencjonalizm jest też wrodzoną siłą społeczną. Gromada zazdrośnie pilnuje, by nikt nie wyrósł głową ponad przeciętność, powyżej standardu. Nie wolno być innym. Doświadczyłem tego na sobie. W ogóle nie wolno być innym.

Paweł potrząsnął głową:

— To prawda. Nieraz zastanawiałem się nad tym. Moim zdaniem kult przeciętności wyrasta z samego instynktu stadowego³⁸¹. Obrona przed indywidualizacją osobników, troska o utrzymanie więzi społecznej drogą upodobnienia się poszczególnych jednostek.

— Skądże w stadzie bierze się zatem tęsknota do indywidualności?

— Do wielkich indywidualności — poprawił Paweł.

— Tym bardziej. Czyż nie świadczy to o pragnieniu Boga, jakie tkwi w człowieku?

Paweł wzruszył ramionami:

— Moja droga, oczywiście można przyjąć i taki sposób komentowania tych rzeczy. Mamy wszakże znacznie prostszy. Stado zawsze potrzebuje przywódców. Ilekroć w którymś spośród swoich poczuje większą siłę, większe zdolności, powołuje go do sprawowania władzy. A co najciekawsze, że uwalnia od razu wybranego osobnika spod kryteriów przeciętnej miary czy to pod względem prawa, czy moralności, czy konwenansu. Obdarza go tyłoma przywilejami, ile tylko sam zapragnie. Gdy zaś z któregośkolwiek podoba mu się nie skorzystać, wszyscy podnoszą to jako wyjątkową łaskę dla stada. Gdyby Bonaparte sam sobie raz jeden wyczyścił buty, napisano by o tym kilka tomów, nauczycielowie³⁸², opowiadając o tym dzieciom w szkole, do dziś dnia i jeszcze przez kilka wieków zachłystywałyby się z zachwyty.

Paweł nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy i wypił ją duszkiem.

— Psychoanalitycy twierdzą — ciągnął — że w ludziach wielkich człowiek przeciętny widzi urzeczywistnienie własnych marzeń. Rozmawiałem z takim jednym mania-

³⁸⁰Maupassant, Guy de (1850–1893) — francuski pisarz-naturalista; autor wielu opowiadań wyrażających ostrą krytykę obyczajowości mieszczańskiej. [przypis edytorski]

³⁸¹stadowy — dziś: stadny. [przypis edytorski]

³⁸²nauczycielowie — dziś: nauczyciele. [przypis edytorski]

kiem, który ma głowę wyfaszerowaną³⁸³ formułkami i gotowymi diagnozami. Plótł mi coś o tym, że źródłem kultu wielkich ludzi jest pierwiastek kobiecy tkwiący w psychice wielu mężczyzn.

— Nie rozumiem — przerwał Krzysztof.

— I ja też — zaśmiał się Paweł. — Miało to znaczyć, że wybijają się ludzie o zdecydowanie dominującym pierwiastku męskim, a uwielbienie, jakie ich otacza, wynika ze skobiecienia większości społeczeństwa. W tym wszystkim mają odgrywać rolę niezaspokojone w dzieciństwie żądze posiadania i temu podobne faramuszki³⁸⁴. Trzeba być erotomanem, żeby w to wierzyć i nie wstydzić się podobnych głupstw. Jeżeli w czymś widzisz objaw skobiecienia, to właśnie w tym kręćku zahaczania wszystkiego o płciowość.

Strzepnął popiół z rękawa i spojrzął na Krzysztofa. W pokoju paliła się tylko jedna lampa i w skąpym jej świetle sylwetka w fotelu naprzeciw kształtowała się liniami wyraźnie kobiecymi. Na poręczy leżała nieruchoma długa wąska ręka, tak blisko, że mógł do niej dosięgnąć. Przyszło mu na myśl, że dłoń ta musi być przyjemnie chłodna, giętka i gładka. Uczuł wprost potrzebę dotknięcia do niej³⁸⁵. Przechylił się i dotknął jej lekko. Dziewczyna drgnęła i odruchowo cofnęła się. Paweł dostrzegł jej zmieszanie i sam nieco się zdetonował³⁸⁶, a to go trochę zdziwiło, lecz zdziwiło nieprzyjemnie.

— Nad czym się zamyślałaś? — zapytał, uśmiechając się nieszczerze.

Nic nie odpowiedziała i to jeszcze bardziej utrudniało sytuację. Teraz już całkiem świadomie, dla podkreślenia naturalności pierwszego ruchu, Paweł wziął ją za rękę i potrząsnął:

— Usypiam cię swoim nudziarstwem — zażartował i natychmiast spostrzegł, że brzmi to fałszywie, że powiedział zdawkowe głupstwo i że jest z tego powodu niezadowolony, za bardzo niezadowolony z siebie, a to z kolei było już irytujące. Dlatego szybko powiedział: — Masz śliczną rękę... Działa wręcz hipnotycznie... Zabierz mi ją, bo ją zgniotę...

Zaśmiał się znowu i zamknął dłoń. Zdawał sobie sprawę, że ściska jej palce aż do bólu, lecz chciał, musiał wywołać jakiś, bodaj najmniejszy, odruch tej ręki. To uspokoiłoby go i zakończyło dręczącą sytuację. Gdy podniósł oczy, spotkał jej spojrzenie rozjarzone, uparte, palące. Czym prędzej pochylił głowę, przyglądał się przez chwilę trzymanej ręce, jak jakiemuś przedmiotowi, który wzięło się przypadkowo i nie wiadomo dlaczego, machinalnie podniósł ją do ust, pocałował i wstał:

— Dobranoc — rzucił krótko. — Czas spać.

Wyszedł prędzej niż należało i z przesadnym pośpiechem zamknął za sobą drzwi. Zachował się niczym smarkacz. Był wściekły na siebie i niedorzecznie wzburzony.

Stał teraz w ciemności i nie mógł się uspokoić. Co za dzieciństwo³⁸⁷! Rzecz jest całkiem prosta. Dziewczyna pali się do niego, on do niej. Gdzie tu miejsce na jakiegokolwiek grymasy, wątpliwości, namysły czy niepokoje! Powinien był postąpić całkiem zwyczajnie. Nie należy sobie nigdy pozwalać na uskoki logiki, bo to dezorganizuje człowieka. Zmarszczył brwi i zawrócił.

Bez wahania nacisnął klamkę. W salonie było już ciemno. Widocznie poszła do siebie... A może tylko zgasiła światło...

— Czy jesteś tu? — zapytał szorstko.

Nie było żadnej odpowiedzi. Oczywiście poszła do siebie. Rozbiera się i myśli o nim, że postąpił po sztubacku.

Należy pójść tam i raz wreszcie postawić sprawę jasno, to znaczy wziąć ją bez przypisywania temu naturalnemu faktowi jakiegoś specyficznego znaczenia. W najwyższym stopniu śmieszne jest to, że powstrzymuje go od tego chyba tylko taki drobiazg, jak męskie ubranie!... Chyba tylko to, bo cóż więcej? Co więcej, do ciężkiego diabła!...

Przyszło mu na myśl, że ona tu siedzi i szpieguje wyraz jego twarzy w smudze światła z otwartych drzwi od gabinetu. Był niemal pewien tego i zdecydowanie zbliżył się do kontaktu.

Pokój był pusty.

³⁸³wyfaszerowaną — dziś: nafaszerowaną. [przypis edytorski]

³⁸⁴faramuszki — błahostki, drobnostki. [przypis edytorski]

³⁸⁵potrzebę dotknięcia do niej — dziś: potrzebę dotknięcia jej. [przypis edytorski]

³⁸⁶zdetonować się (daw.) — zmieszać się, stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

³⁸⁷dzieciństwo — tu daw.: dziecinada, infantylność. [przypis edytorski]

Ucieszyło go to i jednocześnie zniechęciło. Zgasił światło, zaklął jeszcze raz, z niechęcią rzucił okiem na stos papierów piętrzący się na biurku i zaczął się rozbierać. Wprawdzie w papierach tych były sprawy pilne, ale dziś już był zbyt przemęczony. Jutro wstanie o pół godziny wcześniej i zdąży załatwić rzeczy najpilniejsze. Przede wszystkim umowa z Holzmanna. Jeżeli nie zgodzą się na natychmiastową wpłatę, trzeba będzie telegrafować do wywiadowni w Wiedniu dla sprawdzenia ich zadłużenia w tamtejszych bankach...

Zgasił nocną lampę i odwrócił się twarzą do ściany.

— Sam siebie oszukuję — powiedział głośno. — Przecież to jasne, że myślę wciąż o niej!

To już było godne politowania. Nie chodziło przecież o męskie portki, ale o szczególniejszą wagę, jaką przypisywał swemu stosunkowi do niej. Początkowo drażniła go swoją obojętnością, później zaskoczyła romantycznym wyznaniem, a teraz burzy mu spokój milczeniem, tym jakimś nieznośnym suczym, samiczym wyczekiwaniem na moment największego podniecenia u samca! Od setek tysięcy lat to samo powtórzyło się iks milionów razy i powtórzy się drugie tyle, a oto dla niego, człowieka trzeźwego i rozsądnego, ma to być czymś godnym aż namysłów, aż wahań, aż głupiego przewracania się na łóżku z jednego boku na drugi i zaprzętania sobie głowy tym, co powinno załatwić się automatycznie.

A wszystko tak działo się dlatego, że ta dziewczyna swoją najzwyczajszą w świecie „wolę bożą”, najnormalniejszy w jej wieku popęd seksualny zechciała łaskawie uznać za wzniosłą i nieogarnioną miłość do ostatniego tchu, do grobowej deski i dalej w tym guście. Nie powiedziała tego, ale chciała, by do jego świadomości przedostała się cała wspaniałość i wieczność tego nadziemskiego uczucia. A w gruncie rzeczy, jeżeli w dalszym ciągu będzie w to święcie wierzył, pewnego pięknego wieczoru panienka puści się z pierwszym lepszym, bodaj zawoła lokaja i każe mu wleźć do swego łóżka. Paweł z obrzydzeniem odepchnął nogami koldrę. Wyobraził sobie spoconą łysinę Ignacego, a pod nią twarz Krzysztofa ściągniętą wyczekiwaniem rozkoszy.

— Nonsens!

A jednak rozsądek kazał się z tym liczyć całkiem pozytywnie. Natura ma swoje prawa. Naciągnął koldrę aż pod brodę, jeszcze raz odwrócił się do ściany, skonstatował, że nie zaśnie, wstał, narzucił szlafrok i przeszedł do gabinetu. Teczka z umową Holzmanna leżała na samym wierzchu. Usiadł i zagłębił się w obliczenia.

Nazajutrz czuł się z początku nieco ociężały i senny, ale do południa całkiem się rozruszał. Bo i powód był do tego niemały: przyszła długa, umówionym szyfrem pisana, depesza z Londynu. Isaakson telegrafował:

„Wczoraj «Times» podał wywiad z Willisem i streszczenie artykułu wynalazcy. Z samego rana rzuciłem na giełdę wszystkie kauczukowe, tak jak było umówione, w trzech porcjach. Pierwszą sprzedałem natychmiast, biorąc siedem za dziesięć, drugą bez trudu po cztery i pół, za trzecią dawano już tylko dwa i pół. Kupił Brighton przez swoich agentów jawnie. Chce ratować, ale nic nie wskóra. Pod koniec Redding rzucił swoje. Upierał się przy trzech, a sprzedał za dwa. Kompletna panika. Drobni posiadacze sprzedają na gwałt. Jutro Brighton będzie musiał pęknąć. Skupuję, co mogę, i sprzedaję coraz niżej. Jeżeli Bóg da, za dwa dni będziemy płacić za brazylijskie po dwa pensy, a za inne po pół. Proszę przekazać dalszych dziesięć tysięcy telegraficznie na Bank New Jersey. Dotychczasowe straty przekroczyły dwanaście”.

Paweł spokojnie słowo po słowie odszyfrował depeszę. Siedzący przed biurkiem Kolbuszewski mógł na jego nieruchomej twarzy dostrzec tylko nieznaczne rumieńce.

— Jakaś przykra wiadomość? — zapytał.

— Nie. Pan będzie łaskaw natychmiast przekazać z rachunku Centrali w firmie Wockets w Londynie dziesięć tysięcy funtów na konto Jack Isaakson Bank New Jersey. Telegraficznie. Rzecz bardzo pilna.

— Zaszła jakaś pomyłka? — zaniepokoił się Kolbuszewski.

— Drobiazg. Niech pan pośpieszy.

— Dobrze, zaraz załatwię. Czy awizować³⁸⁸ to kontrolerowi rządowemu?

³⁸⁸awizować — powiadamiać. [przypis edytorski]

— Nie, po co? Rzecz już awizowana. Zapis idzie do ksiąg własnych — nie bez zniecierpliwienia odpowiedział Paweł.

Kolbuszewski kiwnął głową, lecz od drzwi jeszcze raz zapytał:

— Czy nie wynikną, proszę pana, komplikacje? W bieżącym miesiącu na księgi własne przepisano już ponad dwieście tysięcy dolarów i zdaje się trzydzieści tysięcy funtów.

— Niech pan śpieszy — spokojnym głosem powtórzył Paweł i podniósł nań oczy.

Kolbuszewski bez słowa wyszedł. Paweł nacisnął dzwonek.

— Pani pisze — odezwał się do wchodzącej stenotypistki i zanim ta zdążyła usiąść, zaczął dyktować. Były to depesze do Paryża, do Londynu, do Berlina. Zawierały jakieś nieistniejące w żadnym języku słowa, a każda z nich kończyła się jednakowo:

— Sprzedać wszystko za każdą cenę.

O godzinie trzeciej nadeszła wreszcie niecierpliwie oczekiwana depesza z New Yorku: i tam na giełdzie doszło do niebywałej paniki w akcjach kauczukowych. Nadto niespodziewanie i bez żadnego powodu zaczęły spadać również papiery towarzystw opon samochodowych.

— A to głupcy — uśmiechnął się Paweł. — Pozwolą Willisowi oskubać się do ostatniej nitki.

Nie ulegało wątpliwości, że to Willis wyzyskał panikę i gra teraz na *bessę*³⁸⁹ własnych akcji, by je potem za psie pieniądze skupić. Znowu zarobi na tej imprezie kilka milionów. Lecz pomimo to przekona się, że był nie mniej głupi niż tamci. Paweł zatarł ręce i kazał prosić Kolbuszewskiego.

— Wyjeżdżam dziś wieczorem do Ameryki — oświadczył mu krótko.

— Ależ to niepodobieństwo! Dziś wieczorem przyjeżdżają Holendrzy, a jutro w Sejmie opozycja wnosi interpelację, która może zachwiać istnieniem Centrali Eksportowej!

— Głupstwo. Rozmawiałem już z marszałkiem Sejmu. Znajdzie się sposób na utracenie całej ich donkiszockiej³⁹⁰ interpelacji. Zresztą poseł Kajewski wrócił. Obiecał mi zamówienie na jego naczynia emaliowane. A Holendrów sam pan załatwi beze mnie.

Kolbuszewski skrzywił się niemiłosiernie i zaczął namawiać Pawła, by odłożył swój wyjazd bodaj na tydzień, bodaj na kilka dni:

— Po prostu boję się, że nie dam sobie rady, dajmy na to, jakaś dodatkowa kontrola z Banku Polskiego. Oni mają do tego prawo. Póki pan jest w Warszawie, nie ośmielą się, ale za swój autorytet u nich głowy nie dam.

— Cóż u licha, może panu zdaje się, że ja już nie powrócę... Że tego i owego?...

Kolbuszewski zrobił smutną minę, a Paweł wybuchnął śmiechem:

— Niech się pan nie obawia. Podczas mojej obecności czy podczas mojej nieobecności zawsze będą mieli należny respekt. Zresztą zapewniam pana, że w najbliższym czasie przeleję ze swego rachunku do Centrali więcej, niż się pan spodziewa. Na razie potrzeba mi jeszcze dużo pieniędzy. Otóż, proszę pana, by podczas mojej nieobecności płacić wszystkie zamówienia w pięćdziesięciu procentach. Reszta po wykonaniu...

— Nie zgodzą się — zauważył Kolbuszewski.

— Co to znaczy „nie zgodzą się”, muszą się zgodzić. Wszystko, co się w ten sposób da wyciągnąć, będzie pan łaskaw natychmiast przekazywać mnie do New Yorku.

W przewidywaniu takiej sytuacji Paweł od dawna w ten sposób układał terminy, by na wielką akcję kauczukową móc uruchomić największą ilość gotówki. Centrala Eksportowa była tylko jednym ze źródeł, drugim miały się stać wszystkie firmy, w których Paweł był członkiem zarządu.

Dały się jeszcze znacznie obciążyć hipoteki³⁹¹ Dalczów i „Optimy” oraz zmobilizować drobne kredyty zagraniczne. Na nieszczęście Paweł w swoim czasie nie mógł przeprowadzić przyspieszenia druku akcji Międzynarodowego Koncernu „Optimy”. Mógłby teraz

³⁸⁹*bessa* — spadek kursów papierów wartościowych lub cen towarów notowanych na giełdzie. [przypis edytorski]

³⁹⁰*donkiszocki* (daw.) — donkiszotowski, powodowany wzniosłymi ideami, ale pozbawiony poczucia rzeczywistości. [przypis edytorski]

³⁹¹*hipoteka* — instytucja prawna zabezpieczająca prawa właściciela nieruchomości oraz roszczenia pieniędzy jego ewentualnych wierzycieli; także: księga wieczysta nieruchomości, w której spisano takie prawa i obciążenia; *obciążyć hipotekę*: dokonać zabezpieczenia długu przez wpis do księgi hipotecznej. [przypis edytorski]

te akcje zastawić lub nawet sprzedać. Posiadał jednak w ręku świadectwo na swój dwudziestoprocentowy udział w koncernie i miał nadzieję, że w Paryżu uda się pod zastaw tego świadectwa wydobyć przynajmniej dwa miliony franków.

Przed wieczorem przyszły jeszcze dalsze depesze. Obliczenia nie zawiodły Pawła. Bessa papierów kauczukowych na całej linii przechodziła w panikę. Paweł cały dzień spędził ze słuchawką telefonu w ręku lub w samochodzie.

Na dwie godziny przed odejściem pociągu pojechał do domu, grzecznie, lecz stanowczo wyprawił czekającą nań matkę i zamknął się w swoich pokojach. Po chwili ku zdumieniu Krzysztofa rozległy się stamtąd dźwięki gramofonu i warkot przypominający hałas elektrycznego wentylatora. Nikt przecie nie mógł przypuszczać, że to pracuje ręczna drukarnia. A pracowała z wielkim wysiłkiem. W przeciągu krótkiego czasu musiała dostarczyć Pawłowi kilkudziesięciu najróżnorodniejszych blankietów. Gdy już były gotowe, z kasy pancерnej wywędrowały na stół pudełka z masą różnych pieczęci i stempli.

Dziesięć przed jedenastą Paweł otworzył drzwi. Był już gotowy do drogi. W salonie czekał sekretarz i kilku interesantów.

— Panowie zechcą od razu pojechać na dworzec. Tam zdążymy się porozumieć — powiedział Paweł, w kapeluszu i w futrze, przechodząc przez salon.

Zapukał do Krzysztofa i nie zdejmując kapelusza, wyciągnął doń rękę:

— Wybacz mi, moja droga, ale szalenie się śpieszę. Mam kwadrans do odejścia pociągu. Siemianowicom wstrzymaj szlifierki, jeżeli nie zapłacą drugiej raty. Karwackiego należy usunąć bez odszkodowania. Niech podaje do sądu. To zdaje się wszystko. Jeżeli nie będziesz mogła sobie dać z czymś rady, zawsze masz pod ręką Blumkiewicza. Aha, kazałem wstrzymać wypłaty na pół miesiąca. Wezwiesz do siebie delegatów i jakoś im to wytłumaczysz. Możesz na przykład obiecać na jesień dodatek odzieżowy. To ich ułagodzi. No, do widzenia. Myśl o mnie dobrze, to przyniesie mi szczęście. Do widzenia.

Podniósł jej rękę do ust i pocałował.

— Ale wracaj prędko — cicho powiedział Krzysztof i Paweł zauważył, że drżą mu usta.

— Jak najprędzej. Do widzenia.

Szybko zbiegł po schodach. Przy otwartych drzwiczkach auta goniec z Centrali podał mu jeszcze depeszę. W drodze na dworzec podyktował sekretarzowi odpowiedź. Na peronie przed jego przedziałem stała grupka ludzi. Kolbuszewski, Tolewski, Blumkiewicz i jeszcze kilku panów. Szybko wydawał dyspozycje, podpisał plik blankietów wekslowych³⁹², wysłuchując jednocześnie spraw, które mu przedstawiano.

— Pociąg rusza, panie prezesie — oznajmił sekretarz stojący już w oknie.

Paweł skinął głową odprowadzającym i wskoczył na stopień. Konduktorzy zatrzasnęli drzwiczki wagonów.

— Teraz przede wszystkim spać — uśmiechnął się do sekretarza, podając mu paczkę papierów. — Jeżeli pan nie jest senny, niech pan zrobi z tego wyciąg cen. Muszę to oddać w Berlinie. Z granicy niech pan zatelegrafuje do dyrektora Kolbuszewskiego, że w Paryżu zatrzymam się pomimo wszystko przez całą dobę. Adres: Hotel Ritz. Dobranoc panu.

Rozebrał się i po chwili spał już mocnym kamiennym snem. Obudził się dopiero przy rewizji celnej, lecz po chwili spał znowu aż do Berlina.

Podczas postoju na dworcu doręczono Pawłowi depeszę z Londynu. Isaakson donosił krótko:

— Brighton pękł. Kurs jeden i trzy czwarte.

Oznaczało to, że Brighton zaczął sprzedawać swoje akcje. Przekonał się o bezcelowości dalszych prób ratowania sytuacji. Widocznie panika w Ameryce ostatecznie podcięła mu nogi.

Paweł przerzucił stopy gazet, czytając miejsca zakreślone przez sekretarza czerwonym ołówkiem. Wiadomości dotyczące kauczuku były na ogół skąpe i suche. Prasa powstrzymała się od komentowania krachu towarzystw kauczukowych. W kilku tylko dziennikach notowano, iż przyczyną gwałtownej bessy jest wynalazek inżyniera Ottmana, wszystkie jednak stwierdzały dalszą tendencję zniżkową.

³⁹²weksel — dokument stanowiący pisemne zobowiązanie wystawcy do zapłacenia określonej osobie (lub okazicielowi) określonej sumy w oznaczonym terminie; używany m.in. jako zabezpieczenie zobowiązań pieniężnych, zamiast natychmiastowej zapłaty za towar lub usługę. [przypis edytorski]

W najgorszym wypadku należało przypuszczać, że papiery te spadną nie niżej niż do dziesięciu procent swojej wartości. Obraz sytuacji był jasny.

Wszystko działo się tak, jak Paweł przewidział. Jedno tylko było dlań niespodzianką. Oto przypuszczał, iż już w drugim dniu bessy kauczuk tak nisko spadnie, że przestanie być notowany na giełdach. Biorąc rzecz logicznie, już dzisiaj nie przekraczał swoją wartość makulatury. Przyczyn odmiennego zjawiska należało szukać chyba w tym, że drobni posiadacze łudzili się jeszcze nadzieją ponownego podskoczenia kursów.

W każdym razie zanim przybędzie do New Yorku, kursy te powinny dojść do granic kilkunastu centów za akcję o nominalnej wartości dziesięciu dolarów. Plan skupowania tych akcji miał Paweł ułożony drobiazgowo, i to od dawna. Transakcja była zakrojona na wiele setek milionów i w jej przeprowadzeniu nie mogła znaleźć się najmniejsza omyłka.

ROZDZIAŁ V

Nita skończyła opowiadanie i wybuchnęła głośnym, wesołym, nieskrępowanym śmiechem. Jej oczy iskrzyły się, a rozchylone soczyste wargi odkrywały dwa rzędy mocnych zdrowych zębów aż do różowych dziąseł. Wprost biło z niej zdrowie, wprost tryskała swoboda i ta śmiałość, która przeziarała z każdego jej ruchu, z każdego spojrzenia, z tych otwartych szczęk gotowych jeść życie surowe, gryźć je razem z kośćmi i śmiać się triumfalnie, zdobywczco, z poczuciem siły swoich mięśni i niezaprzeczonej racji swego istnienia.

Krzysztof patrzył w nią jak urzeczony. Przeraziła go i upajała tą pełnią śmiałej kobiecości, żywiołową prostotą dziewczyny, obnoszącej z fantazją po świecie swoją dziewczęcość, szukającą dopełnienia, które się jej z prawa natury należy.

Jakże bardzo zazdrościł Nicie tego wszystkiego. Gdyby istniała pod słońcem jakaś moc, która by mogła dokonać tej zmiany, błagałby o nią.

Wyzbyć się, wyzbyć się raz wreszcie tej fałszywej skóry, tego przekłętego ubrania, które nie tylko przyłgnęło do powierzchowności, lecz przeżarło się aż do wnętrza, wykoszławiło³⁹³ je, zdeprawowało, przemieniło w twór sztuczny, cherlawy, niezdolny do życia.

Kiedyś, porównując siebie z innymi kobietami, był dumny ze swej wiedzy, inteligencji, sprawności umysłu. Widział w tym jedyne wartości człowieka. Gardził tymi samczkami, których zainteresowania zamykały się w kręgu flirtów, romansów, schadzek, dancinów i fatalaszków. Z konieczności nie brał nigdy żadnego udziału w życiu towarzyskim kolegów, podczas pobytu w miejscowościach kuracyjnych czy w samej Warszawie unikał życia towarzyskiego z niezmienną skrupulatnością. Nie cierpiał ludzi, bał się ich i wiedzę o ich życiu czerpał z powieści.

Głównie jednak samotność swoją wypełniał nauką. W chwili otrzymania dyplomu inżyniera mechanika równie łatwo mógłby zdobyć doktorat filozofii czy medycyny. Wchłoniął w siebie niezliczone tomy naukowych dzieł z wszystkich niemal dziedzin. Zakres jego wiadomości sięgał daleko poza przeciętną miarę, niestety nie dosięgał jednak tego, co było prawdziwym życiem.

I cóż mu z tego, że zasobami swego intelektu mógłby obdzielić setkę takich dziewcząt jak Nita, skoro nie potrafi śmiać się jak ona?...

Zastanowił się: gdyby był mężczyzną i miał do wyboru siebie i Nitę?... Naturalnie wybrałby ją! To nie ulegało żadnej kwestii. A przecież urodą mógł z nią śmiało rywalizować.

— Wuj ma dziś jakieś zmartwienie — pólpytająco zauważyła Nita.

Krzysztof zaśmiał się smutno:

— Gdybym miał tylko dziś! Uważałbym to za szczęście.

— Mnie się zdaje... Ale nie obrazisz się, wuju?... Mnie się zdaje, że ty bierzesz wszystko zbyt głęboko, zbyt mądrze, ale to nie trzeba. Nie zawsze mądrze jest brać wszystko mądrze. Ja i tak ciebie kocham, ale martwi mnie, że jestem tak głupia, że nie rozumiem, dlaczego ty jesteś smutny? Smutek twój, ma się rozumieć, musi mieć jakieś głębokie przyczyny, ale jeżeli one są tak głębokie, że trzeba aż do nich dawać nurka, to bardzo dziękuję. Najmądrzej jest myśleć, a najgłupiej cieszyć się. Ja wciąż się cieszę i dlatego ty,

³⁹³wykoszławić — dziś popr.: wykoślawić. [przypis edytorski]

wuju, nie bez całkowitej racji musisz uważać mnie za gęś, która przychodzi nudzić cię i przeszkadzać w czytaniu takich poważnych rzeczy...

Wzięła ze stołu otwartą książkę i przeczytała tytuł:

— *Kompleks upośledzenia u schizofreników...* Brrr! To nawet trudno przeczytać!

— Jest to rzecz bardzo specjalna³⁹⁴ — zauważył Krzysztof.

— Ale co to ciebie, wuju, obchodzi! Już i tak masz dość nudów ze swoim inżynierstwem. Jeszcze ten jakiś kompleks upośledzenia u... schizmatyków³⁹⁵ czy coś!

— U schizofreników — poprawił Krzysztof.

— Cóż to za zwierzę? — z niechęcią zapytała Nita.

— Bardzo nieszczęśliwe zwierzę — cicho odpowiedział Krzysztof. — Schizofrenik to człowiek cierpiący na rozdwojenie osobowości, na rozszczepienie jaźni³⁹⁶.

— Wariat?

— Tak. Jeżeli choroba rozwinięta jest w znacznym stopniu, zamyka się go w domu obłąkanych. W przeciwnym razie przebywa wśród ludzi, pozornie nie różni się od innych i nikt nie domyśla się w nim tragedii, jaką jest niepewność w poczuciu własnej osobowości. Bywa jeszcze gorzej, gdy sam zdaje sobie z tego sprawę. Wówczas popada w świadomość upośledzenia, w psychozę pokrzywdzonego... To jest bardzo zajmujące. Autor ma wiele ciekawych obserwacji. Nie zgadzam się z nim tylko w jednym. Twierdzi mianowicie, że schizofrenia zawsze jest chorobą wrodzoną. Moim zdaniem można ją wywołać również przez zastosowanie odpowiednich warunków.

Nie zwrócił uwagi na zniechęcenie i obojętną minę Nity, zawahał się przez chwilę i mówił dalej:

— Na przykład aktorzy... Przez zbyt silne wzięcie się w jakąś rolę aktor może stracić pewność, czy jest sobą, czy dajmy na to królewiczem duńskim. Czy w starożytnym teatrze, gdzie mężczyźni grali też i kobiece role, żaden z nich o wrażliwszej psychice nie nabral wątpliwości co do zamiłowań swojej prawdziwej płci?... Jaka szkoda, że Sara Bernhardt³⁹⁷ nie zostawiła pamiętników, w których mogłaby rozpatrzyć wpływ jej ulubionej roli Orłątka³⁹⁸ na późniejsze skłonności do kobiet. Jestem pewien, że można by jednak zebrać dużo ciekawych i dostatecznie wymownych przykładów...

— Ale po co ci to, wuju? — ukrywając ziewanie, powiedziała Nita. — Gdybym nie obawiała się, że posądzisz mnie o trywialność, zaproponowałabym ci, byśmy poszli do kina!

— Nie, dziękuję ci.

— Ach, jak bym ja ciebie wzięła w kuratelę³⁹⁹! Z rana dwie godziny tenis albo kajak, albo narty, po obiedzie dancing, wieczorem kino. Co drugi dzień pływalnia, a całe lato na plaży, jak by ci było świetnie z opalenizną! Wyglądałbyś jak prawdziwy Hiszpan. I widziałbyś już po roku, że nabralbyś werwy, wesołości, zgubiłbyś swoją neurastenię⁴⁰⁰, no i wreszcie zwróciłbyś uwagę na mnie.

Zaśmiała się i dodała:

— Widzę, że tą ostatnią perspektywą odstraszyłam cię od całego projektu.

— Nieprawda, Nito, bardzo cię lubię i nawet nie wiesz, jak ci zazdroszczę twojej pogody i prostoty, i wdzięku.

³⁹⁴specjalna — tu: specjalistyczna. [przypis edytorski]

³⁹⁵schizmatyk — odstępca, odszczepieniec, osoba należąca do *schizmy*, podgrupy religijnej, która wydzieliła się z ram organizacyjnych danej grupy. [przypis edytorski]

³⁹⁶schizofrenik to człowiek cierpiący na rozszczepienie jaźni — powszechny błąd, powtórzony przez autora lub bohatera: *schizofrenia* (gr. *schizein*: rozszczepiać, *phren*: umysł) nie musi wiązać się z rozszczepieniem jaźni, jest odrębną jednostką chorobową charakteryzującą się m.in. częściowym lub całkowitym zerwaniem kontaktu z rzeczywistością, któremu często towarzyszą urojenia. Jej nazwa odwołuje się do oddzielenia poszczególnych funkcji umysłowych, nie zaś od wyodrębnienia się dodatkowych osobowości. [przypis edytorski]

³⁹⁷Bernhardt, Sarah, właśc. *Henriette Rosine Bernardt* (1844–1923) — fr. aktorka sceniczna o światowej sławie, którą zdobyła jako odtwórczyni głównych ról w tragediach; jako poważna aktorka dramatyczna zdobyła sobie tytuł „Boska Sarah”. [przypis edytorski]

³⁹⁸Orłątka — sztuka fr. dramaturga Edmonda Rostanda (1868–1918) o synu Napoleona I, księciu Reichstadt, zwanym Orłątkiem (fr. *L'Aiglon*). Premiera miała miejsce 15 marca 1900 roku w teatrze Sarah Bernhardt, zaś ona sama grała tytułową rolę młodego księcia (mając wówczas 56 lat). [przypis edytorski]

³⁹⁹kuratela — opieka prawna nad osobą nieletnią lub z innego powodu niezdolną do działań prawnych; przen. nieustanny nadzór, uciążliwa opieka. [przypis edytorski]

⁴⁰⁰neurastenia — nerwica, nadpobudliwość. [przypis edytorski]

Podano kolację, lecz Nita nie chciała zostać:

— Ja jednak pójdę do kina.

— Sama?

— Cóż pocznę, skoro nie chcesz iść ze mną? Zobaczysz, wuju, jeszcze spotkam tam jakiegoś ładnego chłopca i zdradzę cię.

Krzysztof nie zatrzymywał Nity. Podczas rozmowy przyszła mu do głowy pewna myśl i nie dawała mu spokoju. Zaraz po kolacji poszedł do szafowego pokoju⁴⁰¹. Nie pamiętał, w której to widział, i musiał po kolei otwierać wszystkie szafy. Były tu ubrania Pawła, Zdzisława i ubrania po nieboszczyku panu Wilhelmie.

Wreszcie znalazł: z otwartych drzwi uderzył zapach zwietrzałych już perfum. Na wieszakach jedna przy drugiej wisiały różnobarwne sukienki Haliny.

Teraz Krzysztof zamknął drzwi na klucz. Wprawdzie służba nigdy po kolacji nie wchodziła do pokoiów bez wezwania, wołał jednak nie ryzykować. Z wielu sukien wybrał kilka, które wydały się mu ładniejsze i jeszcze dostatecznie modne. W szufladzie znalazł całą kolekcję pantofelków, w bielizniarce obok dostateczną ilość pończoch, kombinezek⁴⁰² itd. Szybko rozwiązywał krawat, szarpnął kołnierzyk i zaczął się przebierać.

Halina była nieco niższa od niego i znacznie pełniejsza, zwłaszcza w biodrach i w piersiach. Natomiast nogę miała taką samą. Nie było tylko paska do podwiązek i pończochy ustawicznie opadały. W pokoju szafowym lustro źle było ustawione i nie mógł w nim dostatecznie dobrze się przejrzeć. Zebrał wszystko i wyjrawszy na korytarz, prędko przebiegł do swojej sypialni. Zapalił wszystkie światła i stanął przed lustrem. Serce biło mu mocno. Na policzkach miał silne rumieńce.

Spodziewał się wprawdzie rewelacyjnego wrażenia, nie przypuszczał jednak, że tak dalece zmieni go ten strój. Z początku wydał się sobie czymś nienaturalnym, dziwnym, oczywiście przebrany. Z głębi lustra patrzyły nań szeroko otwarte, zdziwione oczy, w rozchyleniu ust był prawie naiwny wyraz.

Uśmiechnął się i przechylił głowę. To było naprawdę komiczne. Wyglądał jak kokietująca panienska. Teraz wybuchnął szczerym mocnym śmiechem.

Zrobił, nie spuszczać oczu z lustra, kilka ruchów, kilka kroków naprzód i w tył. Przegiął się w pasie, podniósł ręce do głowy.

— Po prostu mizdrzę się — zawstydził się sam siebie. Nie mógł jednak odejść od lustra. Fascynowała go ta smukła, giętka sylwetka w niebieskiej jedwabnej sukni, wznoszącej się na piersi dwoma małymi uwypukleniami, wycięta w duży dekolt, który odsłaniał ciało o jędrnej matowej skórze. Po kilku minutach zdjął niebieską i nałożył popielatą suknię wieczorową z weluru. Ta odsłaniała niemal całe plecy i miała rozcięte rękawy, sięgała zaś prawie do ziemi. Wziął ręczne lustro i obejrzał się z tyłu. Nigdy w życiu nie był na żadnym balu i był zachwycony nagością tego dekoltu. Od wysoko podstrzyżonego karku linia wyginała się subtelnym zagięciem, łopatki uwypuklały się lekką płaskorzeźbą.

„To jest jednak bardzo ładne” — pomyślał.

Zmieniał teraz suknie jedną po drugiej, spacerowe, balowe, sportowe, wieczorowe. Wśród nich były i bardzo krótkie. Wówczas przyglądał się swoim nogom w pantofelkach na wysokich obcasach, w których tak trudno było chodzić. Jeszcze raz wrócił do pokoju szafowego i przyniósł resztę. Na wierzchu w pudłach znalazł kilkadziesiąt kapeluszy. Właśnie przymierzał jeden z nich do głęboko wyciętej wieczorowej sukni, gdy zapukano do drzwi.

— Nie wolno teraz! — zawołał pośpiesznie. — Kto tam?

— To ja, paniczu — odpowiedział uspokajający głos Karoliny.

Krzysztof zawahał się, lecz nie mógł się powstrzymać od pokazania się jej w tym stroju. Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Staruszka omal nie upuściła tacy na ziemię:

— Jezu Nazareński! — krzyknęła.

— Cicho, Karolciu!... No, jak ci się podobam?

Przeszedł przez pokój i zatrzymał się przed nią. Zwiędła twarz Karoliny wyrażała zachwyty. Niezliczone zmarszczki dokoła ust i oczu ułożyły się promienistym uśmiechem:

⁴⁰¹szafowy pokój — garderoba, pomieszczenie, w którym przechowuje się odzież. [przypis edytorski]

⁴⁰²kombinezka (daw.) — jednoczęściowa bielizna damska, halka przedłużona doszytymi szortami. [przypis edytorski]

— A mojaż ty panienczko najukochańsza, a mojeż ty serce najśłodsze, niechże ci się napatrzę, niech stare oczy choć raz tobą naraduję, takie moje śliczności, królowno ty moja najpiękniejsza...

— Powiedz, Karolciu, czy jestem ładna... czy jestem ładna?...

Staruszka nie odpowiedziała, tylko powieki jej drgać zaczęły, zaczerwieniły się zmarszczyki i na tacę spadły dwie łzy, potem drugie dwie, i trzecie, i czwarte. Stała nieruchomo, nie spuszczać oczu z twarzy Krzysztofa, a taca tak się trzęsła w jej rękach, że Krzysztof wziął ją i odstawił na bok. Jemu samemu łzy zakręciły się w oczach. Objął staruszkę i przytulił ją do siebie.

— Mojaż ty gołąbeczko najdroższa — chlipała Karolina — moja kwiatuszko, moja panienczko najcudowniejsza... Za co ciebie tak pokrzywdzili, na wieczną katorgę skazali, za jakie moje grzechy życie tobie zatruli, że nawet boskim imieniem cię nie nazwać, że nawet ludzkim sercem nie ogrzać, a na cóż ja cię własną piersią wykarmiła, a po co nockami nie spała, żeby na mękę taką cię wydali, świat przed tobą zamknęli, nijakiej radości nie dopuścili... Jezu miłosierny, przebac im grzesznym, nieludzka to rzecz przebaczyć za taką krzywdę, słoneczko ty moje, oczki ty moje najpiękniejsze, rączki moje najbielsze, a kogoż wy obejmować będziecie, a czyjeż wy dziatki po główkach głaskać będziecie, a któż was całować i hołubić przyjdzie... Na świecie białym, a gorzej od klasztoru ją zamknęli, panienczkę moją, gołąbeczkę moją...

Krzysztof ukrył twarz w sztywnym perkalowym⁴⁰³ fartuchu i nie mógł powstrzymać szlochu. Wiedział, rozumiał, że to głupio, że nic nie pomoże, że roztkliwia się i rozżala jeszcze bardziej słowami Karoliny, ale pragnął ich, pragnął tego dojmującego słodkiego bólu i swoich łez, niemądrych dziecinnych łez, i rozpamiętywania swojej krzywdy, i tego szlochania, które zrywało płuca spazmatycznym rytmem.

Chciał być słabym, nie słabym, słabą, nieszczęśliwą dziewczyną, bezsilną, szukającą ratunku i pomocy... Zdaną na cudzą wolę, tuloną tak do piersi, słuchającą słów czułych przesiąkniętych łzami... Nie, nie, nie jest schizofreniczką, jest młodą, spragnioną życia dziewczyną z pełnym poczuciem swej kobiecości, z pełnią instynktów kobiecych, świadomą, buntującą się przeciw narzuconym więzom, żądającą prawa do życia i do miłości...

— Cicho, moje serce, cicho, moja gołąbeczko — powtarzała Karolina. — Bóg się nad nami zmiłuje, same rady nie damy, ale z Jego najświętszą pomocą nie takie rzeczy się naprawiały. Zobaczysz, jeszcze pojedziesz gdzieś daleko i tam już nie trzeba będzie udawać komedii, świat szeroki, tam już w swojej sukieneczce należnej będziesz chodziła, chłopcy się w tobie kochać będą... O tym to i zapomnisz...

— O kim zapomnę? — nie podnosząc głowy, zapytała.

— Toż o panu Pawle. Widzę to ja, widzę, że on tobie do serca przypadł, ale nic nie mówię. Mądry to on jest, ale na tobie się nie poznał. Innego znajdziesz, nie martw się.

— Pleciesz głupstwa, Karolciu, co ci się przywidziało?

— Może i przywidziało, oczy mam stare. Ale nie martw się. Tyś najlepszego warta, choćby samego króla. A pan Paweł zimny człowiek, serce u niego twarde, na człowieka patrzy, a o swoich sprawach medytuje, dobroci w nim nie ma. Inny by już sam nie wiedział, co zrobić za te twoje starania. Z grobu go, można powiedzieć, wyciągnęłaś, a on nawet na ciebie nie spojrzy. Wpadnie, dwa słowa powie i już go nie ma, tylko albo śpi, albo ciągiem przy robocie i na tym swoim grymafonie⁴⁰⁴ gra, zamiast tę moją gołąbeczkę przytulić...

— Pan Paweł jest moim stryjecznym bratem — próbowała go bronić.

— To co? Ślepy chyba jest i już. Nie dla ciebie on, panienczko moja... Krzysieńko najukochańsza. Bo ty tylko przed ludźmi masz imię Krzysztofa, a przed Bogiem toś Krystyna. Na chrzcie twoim to co tylko ksiądz powie „Krzysztofie”, to ja cichutko: „Panie Boże, nie Krzysztof, ale Krystyna”, a Bóg wie lepiej, na oszukaństwo go nie wezmą.

Krzysztof roześmiał się i zaczął ocierać twarz jeszcze wilgotną od łez:

— Moja Karolciu, tylko nie omyl się i nie nazwij mnie panienką przy kimkolwiek.

— Nie omylę się, duszko. Bo to ja kiedy inaczej w myślach ciebie nazywałam? Ale przyuczyłam się już.

⁴⁰³perkalowy — wykonany z cienkiego bawełnianego płótna. [przypis edytorski]

⁴⁰⁴grymafon — zniekształcone: gramofon. [przypis edytorski]

— A pana Pawła nie można tak źle sądzić. Jest bardzo zajęty. Dla samego siebie czasu znaleźć nie może. Karolcia nie rozumie, że jego sprawy to są wielkie, wszechświatowe sprawy. No, idź już. Dobranoc.

— Dobranoc, gołąbeczko moja. Śpij dobrze.

Ale Krzysztof nie mógłby teraz spać. Zaraz po wyjściu Karoliny zabrał się do ponownego przeglądania sukien. Wreszcie wybrał czerwoną angielską sukienkę letnią. Była zupełnie dobra, tylko należało nieco zwęzić ją w biodrach. Sięgała ledwie za kolana, odsłaniając nogi bez wątpienia ładne. Również bardzo korzystnie wyglądała jej krótko po męsku ostrzyżona głowa przy obnażonych ramionach.

„Niewątpliwie jestem ładniejsza od Nity — pomyślała — a w każdym razie bardziej rasowa, bardziej finezyjna”.

Spostrzegła, że mówiła o sobie jak o kobiecie, i przestraszyła się, że może w ten sposób zdradzić się. Zawiniło tu podniecenie wywołane tymi strojami.

Zebrała wszystko i odniosła do pokoju szafowego. Zostawiła tylko czerwoną sukienkę, beżowe pończochy i śliczne brązowe pantofelki na wysokich obcasach. Jeszcze raz nałożyła sukienkę i stojąc przed lustrem, napięła szpilkami na biodrach miejsca, które należało poprawić. To był drobiazg. Wprawdzie nigdy się tego nie uczyła i o szyciu nie miała najmniejszego pojęcia, z tym jednak jakoś sobie poradzi.

Jutro wstąpi do jakiegoś mniejszego sklepu i kupi czerwonych nici. Cieszyła się tym jak dziecko.

Co też on powie, gdy ją tak zobaczy?...

Tylko włosy są za krótkie, chociaż niektóre panie nie noszą dłuższych. No i ruchy. Przez tyle lat podpatrywała sposób ruszania się mężczyzn, przez tyle lat starała się ich naśladować. Teraz nie potrafi poruszać się z wdziękiem. Przeszła się przed lustrem i westchnęła. Pomimo tego, że starała się iść najpłynniej, wydała się sobie kanciastą i sztywną. Nita poruszała się jak chłopiec, lecz miała w tym swój niewątpliwie dziewczęcy wdzięk.

To będzie wymagało całych studiów. Byle tylko nie wydać się Pawłowi śmieszna. Nietoperz, który z powodzeniem udawał czworonoga, musi stać się ptakiem. Musi jednak czymś jeszcze bardziej podkreślić tę przemianę. Na przykład jakiś naszyjnik, bransoletki, pierścionki. To zawsze bez wywołania zdziwienia może kupić w pierwszym lepszym sklepie. Niestety Halina nie zostawiła żadnej swojej biżuterii. A ona sama nie miała nawet pierścionka. Nigdy tego nie nosiła, w przeświadczeniu, że to niemęskie.

Nagle przypomniała sobie pierścień Pawła. Zaraz po jego wyjeździe bezmyślnie chodziła po pustych pokojach. Wówczas w łazience przy sypialni Pawła znalazła na umywalni⁴⁰⁵ ten pierścionek z ogromnym brylantem, który on zawsze nosił. Poczytała to sobie nawet za dobrą wróżbę, a później przyszło jej na myśl, że może Paweł to zapomnienie będzie uważał dla siebie za złą wróżbę, i bardzo się tym zmartwiła. Nie wierzyła wprawdzie w żadne przesady, ale tak jakoś...

Pierścionek owinęła w irchę⁴⁰⁶ i schowała między bieliznę. Taki brylant musiał przedstawiać nie lada wartość.

Teraz wydobyła klejnot i nałożyła na palec. Był o wiele za duży i taki ciężki. Zbliżyła się do lampy, by mu się lepiej przyjrzeć. Nie знаła się na tym, lecz rysunek oprawy i motywy ornamentacyjne świadczyły o pochodzeniu z epoki Ludwika XIV. Natomiast brylant z bliska bardzo tracił na efekcie. Był jakby mętnawy i nie dawał dość silnych blasków. W dodatku miał kilka skaz. Wyjęła powiększające szkło i przyjrzała się lepiej.

Skazy nie były skazami, lecz najwyraźniejszymi zadrapaniami zewnętrznymi. Nie, niepodobna, by była to imitacja, Paweł nie nosiłby tego. A jednak zadrapania na brylancie można zrobić tylko innym brylantem, i to mocno naciskając. Wyszukała jeszcze silniejszą lupę. Przez nią dostrzegła jeszcze więcej uszkodzeń. W dodatku wewnątrz kamienia były jakieś pyłki ciemniejsze i kręte smugi.

Opanowało ją zdumienie. Postanowiła sprawdzić swoje podejrzenia i zaraz nazajutrz wracając z fabryki, wstąpiła do jubilera na Marszałkowskiej. Położyła pierścionek na ladzie i zapytała:

⁴⁰⁵umywalnia (daw.) — mebel razem ze sprzętami do mycia się (miednicą, dzbankiem). [przypis edytorski]

⁴⁰⁶ircha — rodzaj zamszu. [przypis edytorski]

— Chcą mi to sprzedać. Chciałbym wiedzieć, ile za to można dać, ile ten pierścionek jest wart?

Jubiler, gruby flegmatyczny Żyd, rzucił okiem na pierścionek, na eleganckie futro klienta, na auto stojące przed sklepem i rzucił pierścionek na wagę:

— Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt złotych — wzruszył ramionami.

— A kamień?

— Jaki kamień? — zdziwił się jubiler.

— No, brylant.

Twarz kupca rozciągnęła się w poprzek w pobłażliwym uśmiechu:

— Szanowny pan widać ma do czynienia z łobuzem. Niech szanowny pan tego ptaszka, co chce zwykle szkło za brylanty sprzedawać, do komisariatu zaprowadzi.

— Więc to jest szkło? Z całą pewnością szkło?

— Głowę mogę dać za to, co tam głowę, cały swój majątek!

— Dziękuję panu. Do widzenia.

Pomimo kategorycznej oceny jubilera postanowiła wstąpić jeszcze do drugiego. Tu otrzymała potwierdzenie i w dodatku objaśnienie, że oprawa jest tylko naśladownictwem autentyku.

— Widzi pan — uprzejmie objaśnił mały nerwowy Żydek — ten relief jest maszynowo spod zwykłej sztancy⁴⁰⁷ i wykończenie niesolidne. Ledwie gdzieś pilniczkiem dotknął. Drezdeńska robota. Tam tego tuzinami robią w każdym stylu.

Wróciła do domu wręcz oszołomiona. W żaden sposób nie mogła pojąć powodów, dla których Paweł mógł nosić tę nędzną imitację. Gdyby tak dobrze nie знаła tego pierścionka, gdyby setki razy nie widziała go na jego ręku, byłaby przekonana, że ktoś go zamienił.

Niepodobna było również przypuścić, że Paweł nosił to jako pamiątkę. Pierścionek był wybitnie męski, ciężki i w dodatku za wielki na największy kobiecy palec. A jednak musiało w tym być coś. Człowiek o tak wyrobionym smaku i tak bardzo bogaty nie nosiłby czegoś podobnego bez jakiejś głębszej przyczyny. Zdecydowała wreszcie, że w żaden logiczny sposób nie rozwiąże zagadki, i pierścionek jeszcze staranniej schowała do szafy.

Nieobecność Pawła znowu zdawała się przeciągać w nieskończoność. Wprawdzie już od tygodnia wrócił do Europy, ale interesy wciąż go trzymały w ustawicznych przejazdach między Paryżem i Londynem. Na próżno jednak szukała we francuskiej i angielskiej prasie jakichkolwiek o nim wzmianek. Wiedziała tylko, że pozostawał z Warszawą w niustannym kontakcie telegraficznym.

Do niej odezwał się tylko dwa razy. Raz, gdy chodziło o wysłanie oferty Zakładów Przemysłowych dla jakiegoś argentyńskiego fabrykanta, bawiącego w Paryżu, drugi raz z prośbą zmobilizowania wszelkiej możliwej gotówki i przekazania jej dla jakiegoś Isaaksona w Londynie. Podniosła⁴⁰⁸ wówczas z banku wszystkie pieniądze, jakie miała, i zastawiła swoje akcje. W sumie wyniosło to prawie trzysta tysięcy złotych. Przy zastawie dowiedziała się, że w tymże banku zastawione są również wszystkie akcje Pawła.

Ani przez chwilę nie zastanawiała się nad tym, że prowadzi on jakieś wielkie i prawdopodobnie bardzo ryzykowne transakcje giełdowe, przy których może, jak tylu innych, nawet wyjątkowo utalentowanych finansistów, stracić nie tylko swój majątek, lecz i jej. Hipoteka Zakładów była przecie niemal nadmiernie obciążona, akcje zaś zastawione. Bankructwo Pawła oznaczałoby i dla niej kompletną ruinę. Rozumiała to, lecz nie miała żadnej obawy.

Wierzyła w niego.

Zresztą nie wątpiła, że nie wciągałby jej majątku w swoją grę giełdową, gdyby mógł wszystko stracić. Jego szlachetność nie pozwoliłaby mu ryzykować cudzymi pieniędzmi, a w dodatku pieniędzmi istoty, która mu bez granic ufa. Mój Boże, przecie doskonale wie, że zgodziłaby się na ostatnią nędzę, gdyby tego zechciał, gdyby mu to mogło w czymkolwiek dopomóc!... Wystarczyłoby jego jedno słowo.

Nie miała też do niego żalu za to, że nie podziękował. Takie podziękowania trącają zawsze konwencjonalną grzecznością. Jeżeli tego nie zrobił, widocznie uważał się za

⁴⁰⁷sztanca — stempel z twardego metalu do wytłaczania lub wycinania wzorów na przedmiotach. [przypis edytorski]

⁴⁰⁸podnieść (pieniądze z banku) (daw.) — pobrać, wypłacić. [przypis edytorski]

uprawnionego, za tak jej bliskiego, że może jej własność traktować jak swoją, a czego bardziej mogła pragnąć!...

Fabryka mniej obecnie zabierała jej czasu niż za pierwszej podróży Pawła. Otrzaskała się już z wieloma sprawami, wielu rzeczy się nauczyła. Do tych przede wszystkim należał spokój w ocenie każdej rzeczy. Nie irytowało już jej niedokładne wykonywanie poleceń, nie napełniało niepokojem odkrycie jakiejś wady w wykonanej maszynie, nie podniecały spory z podwładnymi ani niezadowolone miny robotników.

Paweł powiedział jej kiedyś:

— Nie powinnaś tak przejmować się tymi sprawami. Być szefem to znaczy panować, a panować to to samo, co móc sobie pozwolić na wszystko z wyjątkiem okazania tego, co jest może uzasadnione, może nawet wytłumaczalne, lecz nie jest potrzebne.

Zresztą przyglądając się nieraz jego sposobowi załatwiania różnych kwestii fabrycznych, starała się go naśladować. Wkrótce przekonała się, że najlepiej na tym wychodzi.

Dzięki temu, jak również dzięki pełnemu biegowi produkcji miała znacznie więcej wolnego czasu. Większość jego poświęcała czytaniu. Najchętniej siadywała w gabinecie Pawła na wielkiej otomanie⁴⁰⁹. Wszystko tu było duże, surowe, poważne. Połowę bocznej ściany zajmowała wielka kasa ogniotrwała o zielonym matowym połysku i okuciach z brązu. Olbrzymie czarne biurko, pozbawione wszelkich ozdób, miało spracowany, zniszczony blat, w wielu miejscach poprzeżerany kwasami lub pocięty głębokimi szramami.

Przy tym w powietrzu był tu zapach jakby świeżej gazety i spalonego laku.

Tu czuła się najlepiej. Każdy mebel, każdy sprzęt przypominał jego. Przed wyjazdem Paweł zostawił jej klucz od tego pokoju i prosił, by nie pozwalała nikomu tu wchodzić. Nigdy, nawet kiedy wychodził z domu na krótko, nie zostawiał otwartych drzwi do gabinetu. Sprzątanie odbywać się musiało z rana, gdy obok ubierał się w swojej sypialni. Zauważyła to, a dziwiła się temu tym bardziej, że wszystko tu było przecie pozamykane na mocne zamki, i to zamki bardzo oryginalne, sądząc z kluczy, które kiedyś, podczas choroby Pawła, miała u siebie.

Gdy przychodziła Nita, co zdarzało się raz lub dwa razy na tydzień, przechodziła do salonu lub do swego buduaru⁴¹⁰.

Pewnego wieczoru zjawił się Blumkiewicz. Zabrała go do siebie. Była przekonana, że zaszło coś ważnego, a umocniło ją w tym przekonaniu jeszcze bardziej to, że na jej pytanie odpowiedział:

— Nic się nie stało. Ot, wstąpiłem dowiedzieć się, jak zdrowie, czy pan nie ma żadnych kłopotów, może będę potrzebny.

— Dziękuję, panie Blumkiewicz. Wszystko dobrze.

Wpatrywała się weń, usiłując odgadnąć, co miał w zanadrzu. Blumkiewicz rozglądał się spokojnie:

— Ładnie tu u pana, panie Krzysztofie. Pan Paweł postarał się, żeby było ładnie i wygodnie. I ciepło. Na dworze straszny mróz. *A propos*⁴¹¹, nie miał pan wiadomości od pana Pawła?

Drgnęła. W monotonnym głosie Blumkiewicza zdawała się czuć jakąś złą nowinę. Wyraźnie czuła, jak krew jej uciekła z twarzy.

— Nie — odpowiedziała — nic nie pisał.

— Tak...

— Ma pan jakieś wiadomości?

Blumkiewicz uśmiechnął się niewyraźnie i przesunął ręką po łysinie, jakby ścierał z niej kurz.

— Niech pan mówi, niech pan prędzej mówi — chwyciła go kurczowo za rękę.

— Co mam mówić, przecie się jeszcze nic nie stało, nic nie wiadomo na pewno...

— Boże!... On nie żyje!

⁴⁰⁹*otomana* — rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

⁴¹⁰*buduar* (z fr.) — pokój kobiety, służący głównie do odpoczynku. [przypis edytorski]

⁴¹¹*a propos* (fr.) — przy okazji, w związku z; wyrażenie wprowadzające nowy temat w nawiązaniu do czegoś, o czym była mowa wcześniej. [przypis edytorski]

Nie straciła przytomności. Zerwała się z miejsca, zrobiła dwa kroki naprzód i poczuła straszny zawrót w głowie. Pokój zawirował przed oczami. Blumkiewicz chwycił ją pod rękę i usadowił w fotelu:

— Ależ nic się nie stało. Panie Krzysztofie, może wody?...

— Nie, nie, niech pan mówi!

— Kiedy nie mam nic do mówienia. Sam nic nie wiem. Nikt nie wie. Przed chwilą byłem u dyrektora Kolbuszewskiego. On też nic nie rozumie.

— Mówże pan!

— Właśnie przyszedłem, bo pomyślałem sobie, że może pan dostał od niego depeszę? Tymczasem okazuje się, że nikt. Miał wczoraj wydać mi ważne dyspozycje, miał telefonować z Paryża, nawet telegraficznie zapowiedział, bym nie wychodził z „Optimy” przed południem. Czekalem cały dzień. Dziś sam zatelefonowałem. W hotelu jest tylko sekretarz i nic nie wie. Kolbuszewski zatelegrafował do Londynu i hotel odpowiedział, że miał przybyć, ale nie przybył. Sprawdzono, że widziano go ostatni raz na paryskim lotnisku, ale nie odleciał żadnym samolotem, w spisie pasażerów nie ma go.

Odetchnęła z ulgą. Spodziewała się czegoś znacznie gorszego.

— No — odpowiedziała — nie miał przecie obowiązku nikomu się opowiadać. Może istotnie miał jechać samolotem do Londynu, lecz coś go zmusiło do zmiany planów.

Blumkiewicz gorliwie przytaknął:

— Oczywiście. Ja też nie wierzę, żeby te dwa dni nieobecności miały zaraz świadczyć o czymś nadzwyczajnym. Dzięki Bogu, pan Paweł zupełnie zdrowy, a żeby tam jakieś niepowodzenie w operacjach giełdowych miało każdego przyprawiać o samobójstwo...

— Co? — zerwała się bardziej oburzona niż przerażona. — Co za brednie! Skąd pan wziął to przypuszczenie?!

— Ależ to nie ja, jak Boga kocham, panie Krzysztofie, że nie ja! Ja na moment w to nie wierzę. To londyński agent pana Pawła tak się przestraszył.

— No, ale na czymś musiał opierać te swoje niedorzeczne obawy?

Blumkiewicz rozłożył ręce. Z wyrazu jego twarzy można było wnioskować, że wie znacznie więcej, niż chciałby powiedzieć. Wreszcie zapytał jakby mimochodem:

— Czy pan zwrócił uwagę na akcje kauczukowe?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Ale pan wie, panie Krzysztofie, że pan Paweł kupował ich trochę... Może nawet dużo?

Nic o tym nie wiedziała, lecz znowu skinęła głową.

— Otóż pan Paweł mógł się w tym przerachować. Mógł liczyć na hossę. Tymczasem właśnie przedwczoraj przysłała nowa zniżka, i to znaczna. Przed trzema dniami zdołał doprowadzić te akcje do dość poważnej wyżki, lecz nastąpił drugi krach i dlatego właśnie jego agent londyński jest w strachu. Ja sam nie wiem, co robić. Naradzałem się z dyrektorem Kolbuszewskim, czy nie należałoby pojechać do Paryża i wszcząć poszukiwania. Z drugiej znowu strony Kolbuszewski powiada, by się nie wtrącać, skoro sami nie orientujemy się, co się stało. Bo jeżeli przyszło jakieś nieszczęście i on już, nie daj Boże, nie żyje, to i tak mu nie pomożemy, a jeżeli umyślnie wyjechał dokądś i nie zostawił adresu, to narobiwszy alarmu, możemy mu cokolwiek popsuć. Właśnie przyszedłem do pana, myślałem, że pan będzie w tej materii coś wiedział albo przynajmniej jakoś nam doradzi.

— Cóż ja mogę doradzić... — odpowiedziała. — Jedno uważam za pewne: Paweł nie należy do takich ludzi, jacy mogą zginąć niczym szpilka w stogu siana. Na to, żeby wiedzieć, co i dlaczego robi, trzeba albo jego samego zapytać, albo mieć taką samą głowę, jak on. Na razie nie widzę powodu do niepokoju.

Spostrzegła wprawdzie, że Blumkiewicz nie był przekonany i że w dalszym ciągu mężczyły go obawy, lecz wyprawiając go, jeszcze raz z naciskiem zaznaczyła, że stanowczo jest przeciwna wszczynaniu jakichkolwiek poszukiwań. Jednakże pewność siebie, z jaką przekonywała Blumkiewicza, po jego wyjściu mocno się zachwiała.

Przyszły różne refleksje. Niewątpliwie należało wykluczyć idiotyczne przypuszczenia o samobójstwie Pawła. Człowiek taki jak on, i samobójstwo!...

Jeżeliby nawet stracił wszystko, jeżeliby stał się z dnia na dzień zupełnym bankrutem, na pewno nie zrobiłby tego. Znał przecie swoją wartość i wiedział, że nie dziś, to jutro znowu stanąłby na nogi.

Pozostawały jednak inne możliwości, i to możliwości prawdopodobne. Więc przede wszystkim zwykły nieszczęśliwy wypadek. Napad bandytów, katastrofa samochodowa czy coś w tym rodzaju.

Kiedyś czytała, że w samym Paryżu ginie codziennie dwadzieścia kilka osób, których policja już nigdy nie odnajduje.

Poza tym jeszcze bardziej uzasadniona ewentualność: jeżeli Paweł prowadził wielką grę na giełdzie, musiał mieć przeciwników. O moralności zaś rekinów giełdowych miała aż nadto wyrobione zdanie na podstawie wagonowej lektury⁴¹². Tacy ludzie chwytają się wszelkich środków, aż do morderstwa włącznie.

Położyła się do łóżka około jedenastej, lecz nie mogła zasnąć. Wreszcie wstała i poszła do telefonu. Jak na złość linia była zajęta i dopiero po upływie godziny uzyskała połączenie z Hôtel Ritz⁴¹³ w Paryżu.

Tam oświadczonej, iż pan Paweł Dalcz nie zjawił się, a gdy poprosiła wobec tego jego sekretarza, dowiedziała się, że ten właśnie przed chwilą wyjechał, zabierając wszystkie rzeczy, na dworzec St. Lazare.

To ją uspokoiło zupełnie. Widocznie sekretarz musiał otrzymać polecenie wyjazdu, a polecenie takie wydać mógł jedynie Paweł. Zatem żyje, a to, że się ukrywa, że pozostawia wszystkich swoich podwładnych bez dyspozycji i wskazówek, pozostaje na pewno w ścisłym związku z jego planami.

Pomimo to nie spała tej nocy, nazajutrz zaś podczas południowej przerwy pojechała do „Optimy”, by zobaczyć się z Blumkiewiczem. On wiedział już także o wyjeździe sekretarza, lecz nie był tak dobrej myśli.

Ze zdziwieniem zauważyła, że fabryka jest nieczynna. Wokół panowała zupełna cisza.

— Co to, strajk u pana? — zapytała.

Blumkiewicz zmieszany się i wyjaśnił, że zepsuły się niektóre maszyny i dlatego zmuszony był zatrzymać fabrykę na czas remontu, który potrwa kilka dni.

— Nie wiem nawet, co się zepsuło, lecz trzeba wszystko sprawdzić. Musi być jakiś zasadniczy defekt.

Znała Blumkiewicza zbyt dobrze, by nie poznać po nim, że zatrzymanie fabryki i ów defekt muszą mieć jakieś głębsze znaczenie. Ponieważ zaś najprostsze wydało się jej przypuszczenie, iż Blumkiewicz uległ nierozumnej panice z powodu rzekomego zniknięcia Pawła, oburzyła się:

— Nie rozumiem pańskiego postępowania. Jest pan starym doświadczonym człowiekiem, a zachował się pan w tym wypadku niżej wszelkiej krytyki. Otóż kategorycznie żądam w imieniu Pawła, by pan natychmiast uruchomił fabrykę. Natychmiast. Wprawdzie Paweł nie pozostawił mi żadnych pełnomocnictw, ale całą odpowiedzialność za tę decyzję biorę na siebie. Proszę dziś jeszcze wznowić produkcję.

Blumkiewicz otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Wstał, wyjrzał za drzwi dla sprawdzenia, czy nikt nie podsłuchuje, i niezdecydowanie zatrzymał się w środku pokoju. Zapaliła papierosa i powiedziała:

— To niesłychane. Człowiek wyjeżdża w przeświadczeniu, że pozostawieni przezeń ludzie godni są jego zaufania, a tu robi się jakaś panika i wprowadza się dezorganizację w jego interesy.

— Broń Boże — zasłonił się rękami Blumkiewicz — niech pan tak nie myśli. Sam pan wie, jak ja jestem przywiązany do rodziny Dalczów. A jeżeli pan myśli, że chcę działać na szkodę pana Pawła, to też się pan myli, panie Krzysztofie. O, niech pan sam zobaczy.

Wydobył z pugilaresu⁴¹⁴ starannie złożony arkusik papieru i podał Krzysztofowi:

— To mój cały majątek.

Było to pokwitowanie podpisane ręką Pawła na sto czterdzieści tysięcy złotych, zaciągniętych jako dług prosty. Zwróciła mu kartkę i zapytała:

— Więc dłaczegóż „Optima” stoi?

Blumkiewicz pochylił się ku niej i powiedział szeptem:

⁴¹²wagonowa lektura a. wagonowa literatura (pot.) — szablonowa proza na niskim poziomie, skierowana do niewymagających odbiorców czytających książki dla zabicia czasu np. w podróży. [przypis edytorski]

⁴¹³Hôtel Ritz w Paryżu — wspaniały hotel pałacowy przy placu Vendôme, jeden z najbardziej prestiżowych i luksusowych hoteli na świecie. [przypis edytorski]

⁴¹⁴pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

— Bo ta „Optima” to się wcale okazała nie *optima*⁴¹⁵. W maszynach musi być jakiś feler⁴¹⁶ czy w samym wynalazku, dość że ten kauczuk to okazał się do niczego.

— Jak to do niczego?

— Właśnie wczoraj jeden z naszych odbiorców odesłał z Wiednia cały transport. Całe siedem ton. Kazałem to zamknąć w składzie, żeby nikt na oczy nie widział, bo oto co zrobiło się z naszego kauczuku. Niech pan sam zobaczy: to wyszło z „Optimy” trzy miesiące temu. Jedna z pierwszych wysyłek.

Położył przed nią kawałek matowej brunatnej masy wielkości pięści. Kauczuk był sztywny, strzępiący się i kruchy.

— I cały transport taki. Powtarzam: musi być jakiś feler.

— Ależ to niemożliwe! Rzecz była badana przez wielu ekspertów. Ogólnie kauczuk syntetyczny wywołał zachwyt, uznany został za lepszy od naturalnego!

Blumkiewicz wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

— Paweł nie dałby się oszukać. Nie pakowałby w to pieniędzy. Zresztą przecie tu wszystko jest zrobione z tego syntetycznego kauczuku. Te meble przecie są ebonitowe — uderzyła palcem w oparcie krzesła — i to trzyma się świetnie. Jezdnia była najdawniej zrobiona, nie ma w niej żadnych uszkodzeń.

— To prawda — zdawkowo potwierdził Blumkiewicz.

— Więc czym pan to tłumaczy? Część produktu była dobra, a część zła? Rozumiem, że mogą być jakieś drobne różnice, lecz przecież nie takie!

— Wszystko to jest słuszne, panie Krzysztofie, wszystko to jest logiczne, ale cóż ja poradzę, że w praktyce jest wręcz inaczej?

— A co na to mówi chemik fabryczny?

— Też dziwi się i też nie ma pojęcia, w jaki się to mogło stać sposób.

Zerwała się i zaczęła chodzić po pokoju. Jakżeby chciała właśnie teraz, podczas nieobecności Pawła, znaleźć jakąś radę, jakżeby chciała, by gdy on wróci, dowiedział się, że niebezpieczeństwo przez nią zostało usunięte. W każdym razie należało działać. Zatrzymała się przed Blumkiewiczem i powiedziała stanowczo:

— Musi pan natychmiast sprowadzić inżyniera Ottmana i wziąć go dobrze za kark. To jego sprawka. Początkową produkcję on prowadził, a gdy został usunięty od kierownictwa, musiał coś zepsuć czy przeinaczyć w recepcie. Trzeba go zmusić do ujawnienia machinacji. Jeżeli nie będzie chciał, po prostu oddać go w ręce prokuratora.

Blumkiewicz uśmiechnął się i przecząco potrząsnął głową.

— Wszystko to można by zrobić, nawet należałoby zrobić, gdyby nie jedna rzecz: pan Paweł najkategoryczniej zabronił nie tylko wpuszczania Ottmana na teren fabryki, lecz nawet komunikowania się z nim w jakiegokolwiek sprawie.

— No dobrze, ale zaszedł tak nieprzewidziany wypadek!

— Może nieprzewidziany, a może i przewidziany. Ja nie mam prawa w to się wtrącać. W każdym razie zakaz porozumiewania się z Ottmanem pan Paweł powtórzył trzykrotnie. Nawet wyjeżdżając, na peronie przypomniał mi to jeszcze: cokolwiek by się stało, Ottman nie istnieje i nie zapomnij pan tego, panie Blumkiewicz, bo to jest najważniejsze. Nikomu też o niczym ani słówkiem nie pisałem. Dowiadywałem się, ale dowiadywałem się bardzo ostrożnie i zebrałem wiadomości, że Ottman mieszka w Milanówku. Kupił tam sobie willę i urządził laboratorium.

— Mniejsza o to. Skoro miał pan tak wyraźną dyspozycję Pawła, oczywiście nie ma po co sprowadzać Ottmana. Ale co wobec tego robić?

— Żebym ja sam wiedział — westchnął Blumkiewicz.

— W każdym razie niech pan uruchomi fabrykę. Będą straty, to trudno. Kiedy pan zatrzymał produkcję?

— Od dziś rana. Robotnikom powiedziało się, że szwankują maszyny. Może i ma pan rację. Może to i lepiej. Wobec tego od jutra znowu ruszymy.

Wprost z „Optimy” pojechała do domu. Była wstrząśnięta wiadomościami, jakie otrzymała od Blumkiewicza.

⁴¹⁵*optima* (łac.) — najlepsza. [przypis edytorski]

⁴¹⁶*feler* (pot.) — wada, usterka. [przypis edytorski]

Teraz już niczego nie rozumiała. Wszystko zdawało się zaciemniać coraz bardziej. Jeżeli przedtem nie można było przypuszczać, by Paweł pozbawił się życia, teraz należało wziąć pod uwagę, że mógł od jednego z zagranicznych odbiorców „Optimy” dowiedzieć się o bezwartościowości kauczuku syntetycznego, w który nie tylko sam włożył dużo pieniędzy, wciągnął również wielu kapitalistów obcych. Jeżeli jednocześnie poniósł znaczne straty na giełdzie, równałoby się to nie tylko ruinie materialnej, lecz także i podcięciu autorytetu moralnego.

W tych warunkach nie mogła sobie wyobrazić Pawła obezwładnionego, bez środków działania, wytraconego z tej wspaniałej drogi, jaką tak szybko się posuwał naprzód. Tu należało liczyć się z najgorszymi możliwościami.

Wieczorem jeszcze raz telefonowała do Paryża, lecz bez żadnego skutku. W hotelu nic nie wiadano. Nazajutrz wstąpiła do dyrektora Kolbuszewskiego w Centrali Eksportowej.

Była tu po raz pierwszy.

Centrala zajmowała cały front dużego gmachu przy ulicy Jasnej. Wszystko tu było urządzone może nawet z przesadnym przepychem. Wygalonowana⁴¹⁷ służba, dywanami zasłane poczekalnie, luksusowe meble. W ciężkich ozdobnych ramach wisiały na ścianach fotografie różnych fabryk polskich. W środku w hallu⁴¹⁸ wznosił się (inaczej trudno to było określić) ogromnych rozmiarów portret Pawła. Postać naturalnej wielkości w grubym popielatym ubraniu, z papierosem w ustach i z pliką⁴¹⁹ papierów w ręku uosabiała siłę, spokój i pewność siebie.

Po marmurowych schodach wchodziło się na pierwsze piętro, gdzie były gabinety dyrekcji. Kolbuszewski miał właśnie u siebie jakichś interesantów, lecz otrzymawszy kartę wizytową Krzysztofa Dalcza, natychmiast wybiegł na korytarz i przeprowadził ją do sali konferencyjnej. Był wyjątkowo podniecony:

— Nie ośmielałem się pana niepokoić — mówił — ale widząc teraz pana u siebie, odetchnąłem z ulgą. Oczywiście ma pan jakieś informacje o naszym prezesie?

— Niestety żadnych. Chodziło mi właśnie o naradzenie się z panem, czy nie należy przedsięwziąć jakichś kroków celem odszukania mego stryjecznego brata.

Kolbuszewski chwycił się za głowę. Widocznie długo opanowywane zdenerwowanie było już ponad jego siły:

— Ja nie wiem, ja głowę tracę, pojęcia nie mam, co robić. Prezes zostawił tyle spraw w stadium najgorszym, wali się na mnie niemal co godzinę jakiś pasztet⁴²⁰. Robię, co mogę, to znaczy dobrą minę i staram się wszystko przeciągać. Ale to przecie nie może trwać wiecznie! W dodatku mam zatarg z pracownikami. Od dwóch miesięcy nie płacę im pensji. Lada dzień może wybuchnąć strajk. Właśnie z tym chciałem zwrócić się do pana. Kwota nie tak duża, kilkadziesiąt tysięcy, gdyby pan mógł...

— Niestety, nie rozporządzam teraz gotówką, ale czyż pan nie ma kredytów? Przecie każdy bank chętnie tak niewielką sumą mógłby służyć.

— Gdzież tam! — z desperacją machnął ręką Kolbuszewski. — Pan prezes wyciągnął wszystko, co się tylko dało wyciągnąć, do tego stopnia, że w najmniejszych bankach brał bodaj po kilkanaście tysięcy. Jeżeli rzeczywiście coś niedobrego się stało, no, to jeszcze takiego krachu Polska nie widziała!...

Po dłuższej naradzie z Kolbuszewskim postanowili zrobić wszystko, by wytrwać jak najdłużej. Wychodząc, podpisała mu dwa weksle po pięćdziesiąt tysięcy. Wprawdzie nie było wielkiej nadziei na ich zdyskontowanie⁴²¹, ale Kolbuszewski chciał jeszcze próbować szczęścia.

Ile razy wracała do domu, pierwszym jej pytaniem było, czy nie ma depeszy. I tym razem jednak nie było.

Nie mogła jeść obiadu. Wypiła dwie filiżanki czarnej kawy, kazała przenieść aparat telefoniczny do swego pokoju i siedziała nieruchomo, nie zapalając światła.

⁴¹⁷wygalonowana służba — służba w liberii obszytej galonami, czyli złotą lub srebrną taśmą. [przypis edytorski]

⁴¹⁸hall — duży, reprezentacyjny korytarz. [przypis edytorski]

⁴¹⁹plika papierów — dziś popr.: plik papierów. [przypis edytorski]

⁴²⁰pasztet (pot. przen.) — niespodziewana kłopotliwa sytuacja. [przypis edytorski]

⁴²¹dyskontować weksel — realizować należność wekslową przed upływem terminu płatności, co wiąże się z potrąceniem przez odkupującego weksel (zwykle bank) dyskonta, tj. pewnej części sumy, na jaką wystawiono weksel. [przypis edytorski]

— To niemożliwe — powtarzała — to niemożliwe.

Chwilami zrywała się i biegła po pokoju, przeklinając, że musi być beczynna, że nic zrobić nie może. W następnym jednak momencie popadała w zupełną rezygnację, graniczącą z apatią. Za oknami brzęczały janczary⁴²². Dziś całe miasto było zasypane śniegiem. Lekki mróz pociągnął dolną część szyb delikatnymi wzorkami lodu, na których znaczyły się czarno cienie nagich gałęzi.

Czasami tuż pod oknami przesuwiał się pałak wozu tramwajowego, z którego tryskały małe oślepiające iskierki, oświetlając jak błyskawicą wnętrze pokoju. Jeden po drugim rozlegał się warkot motoru. Samochody tu dodawały gazu. Nagle jeden z nich zatrzymał się przed domem. Głośno trzasnęły drzwiczki.

Nieraz, kiedy Paweł był w Warszawie, do późnej nocy czekała na ten dźwięk. Był sygnałem jego powrotu.

Leniwie wstała i podeszła do okna.

Przed bramą stała taksówka. Obok niej pasażer rozliczał się z szoferem. Pień drzewa zasłaniał jego głowę. Przechyliwszy się, jednak mogła zobaczyć szeroki ciemny kołnierzyk futra.

Serce jej ścisnęło się nagłym skurczem. W tej chwili pasażer się odwrócił i szybko wszedł do bramy.

Chciała krzyknąć, lecz zabrakło jej tchu. Chwiejąc się na nogach i zataczając, biegła do przedpokoju. Ręce tak jej dygotały, że nie mogła odnaleźć kontaktu. W drzwiach szcękając zatrzaśniętą.

W smudze światła przesunęła się wysoka sylwetka w rozpiętym futrze i drzwi się zamknęły.

Nie wiedziała, co robi. Rzuciła się do niego, przywarta doń z całej siły. Wyciągnięte ręce oplotły się koło jego szyi.

— Jesteś... jesteś...

Jego głowa pochyliła się i oto uczuła na wargach dotyk jego ust, zimnych z mrozu, mocnych, upragnionych. Obsypywała pocałunkami jego policzki, oczy i znowu usta. Musiała w każdej setnej sekundy przekonywać się, że oto wrócił, że jest, że go odzyskała, że dotyka go żywego i całego swymi rękami, swymi ustami.

— Jesteś, wróciłeś... jedyny, kochany — powtarzała drżącym szeptem, którego sama nie mogła dosłyszeć.

— Tak czekałaś na mnie? — zapytał równie cicho.

— Oooo!...

— No, przytul się. — Ogarnął ją futrem i przycisnął do siebie.

Była pijana. Z ustami przy jego ustach, z piersią przy jego piersi, z szumem, który ogarniał głowę, z szumem krwi huczącej w tętnicach na skroniach, przerywającej bicie roztrzępotałego serca. Nie wiedziała niczego, nie pamiętała o niczym. Uniósł ją lekko w górę, pocałował jeszcze mocniej w usta i powiedział:

— No, chodźmy.

Nie zdejmując futra, szedł do swego gabinetu. Trzymała się jego ręki, teraz go wyprzedziła, by otworzyć drzwi, lecz ręce jej tak drżały, że po ciemku nie mogła trafić kluczem do zamku. Wreszcie otworzyła. Było tu jeszcze ciemniej.

Paweł niespodziewanie włączył kontakt i oboje zmrużyli oczy. Rzucił futro, kapelusz i teczkę na otomanę i rozejrzał się:

— No, tutaj wszystko w porządku. Jakże się miewasz, Krzysieńko? Chodź, pokaż mi się. Dziewczyno, tyś jeszcze zeszczupiała!

Pociągnął ją za rękę i posadził przy sobie. Miał twarz nieco zmęczoną, lecz jego szare głębokie oczy uśmiechały się serdecznie i ciepło.

— Pawle, jak dobrze, żeś już wrócił. Jak to dobrze!... — Obu rękami głaskała jego rękę.

— I ja się cieszę. Jestem diabelnie zmęczony.

— Pewno jesteś głodny? — zerwała się. — Każę ci przygotować...

— Stop, kochanie — przytrzymał ją za rękę i roześmiał się swobodnie tym swoim kochanym niskim głosem. — Widzę, że obudziły się w tobie instynkty gospodyni, panie

⁴²²janczary — dzwonki przy końskiej uprzęży. [przypis edytorski]

inżynierze! Ależ nie wstydz się! To jest czarujące, zapewniam cię, że sprawiło mi to wielką przyjemność, czuję się jakby w przystani po tej wariackiej włóczędze.

— Ale nie jesteś głodny?

— Nie. Jadłem w wagonie restauracyjnym. Natomiast wypiłbym szklankę czerwonego wina. Jeżeli nie zmieniłaś tu porządku, to w kredensie z lewej strony musi być butelka Charmes-Chambertin⁴²³...

Nim skończył mówić, wybiegła.

— Halo! — krzyknął za nią. — Halo, a nie mów nikomu, że jestem!...

Wróciła, stanęła w progu i skinęła głową. Siedział uśmiechnięty z łokciem opartym o poręcz, bezpieczny, silny, pewny siebie, taki jak zawsze. Jakie to szczęście, że już się skończyły wszystkie obawy, że już jest tutaj...

Prędko wróciła z winem i z kieliszkiem. Paweł właśnie włożył teczkę do kasy pancерnej i zamykał ją na klucz. Nalała pełny kieliszek i postawiła na niskim stoliku przy otomanie. Chciała, żeby tu usiadł, gdyż wówczas mogła być tuż przy nim.

Pocałował ją w rękę:

— Bardzo cię przeproszam — powiedział — ale winne temu twoje męskie ubranie. Posłałem cię po wino niczym chłopca. Nie gniewasz się na mnie?

— Oooo!...

— Jesteś dla mnie bardzo dobra — posmutniał — zanadto dobra... No i... cóż tu słyhać w Warszawie? Jak tam w fabryce?

— Wszystko w zupełnym porządku. Ofertę temu Argentyńczykowi posłaaliśmy, ale jeszcze żadnej odpowiedzi nie ma. Boję się, że nas Szwedzi przelicytują.

— Tak myślisz? Nie sądzę. Oni mają z Argentyną jakiś zatarg i wypowiedzieli sobie traktat handlowy, my zaś korzystamy z największego uprzywilejowania. A cóż poza tym?

— Pawle... Gdzieś ty był tyle czasu! Nie masz pojęcia, co tu się działo! Wszyscy niepokoiłiśmy się w najwyższym stopniu. Cztery dni! Można było najgorsze rzeczy przypuszczać!...

Roześmiał się i wziął ją za rękę:

— A co jest najgorsze?

— Ty żartujesz — powiedziała — ale nam tu było nie do żartów.

— Jak to nam? Tobie i komu?

— Kolbuszewskiemu, Blumkiewiczowi... Nikt nie wiedział, gdzie jesteś, co się z tobą dzieje. Kolbuszewski był w rozpacz, a Blumkiewicz obawiał się... On otrzymał wiadomość od jakiegoś twego agenta z Londynu, że z twoimi interesami jest bardzo źle, i w związku z tym twoje zniknięcie...

— Krótko mówiąc, myśleli, że palnąłem sobie w łeb? Że straciłem wszystko i w uproszczony sposób przeniosłem się na tamten świat? Nie, moja droga, wprawdzie zrobiłbym w ten sposób wielką przysługę niektórym ludziom, ale jestem już taki nieużyty, że wolałem zostać na tym padole płaczu.

Patrzyła nań i z wyrazu jego twarzy nie mogła wywnioskować, czy ukrywał się, gdyż chciano go zabić, czy z jakichś innych powodów.

W każdym razie była przekonana, że jego potajemny powrót, po ciemku, bez rzeczy, mógł teraz oznaczać tylko klęskę na całej linii. Zrobiło się jej bardzo nieprzyjemnie. Oczywiście szczęśliwa była, że wrócił, że jest zdrow i cały, że powitał ją tak serdecznie... Oczywiście... A jednak już to, że wrócił pokonany, że musi nadrabiać miną, by przed nią udawać dobry humor, że po prostu zawiódł jej nadzieje, jakoś go to wszystko pomniejszało, pospolitowało, odbierało ten czar, który tak na nią działał.

Zdawała sobie z tego sprawę i poczuła o to żal do siebie. To było takie nieszlachetne z jej strony. Przeciwnie, powinna zrobić wszystko, by mu okazać teraz właśnie najwięcej serdeczności, by mu pozwolić zapomnieć o przegranej. Należało przytulić się doń, lecz teraz było to zbyt trudne.

Tam, w przedpokoj, nie paliło się światło, no i nie zastanawiała się nad tym, co robi...

— Tak się cieszę — powiedziała — że nareszcie wróciłeś...

— Powiedzże mi teraz, dlaczego Kolbuszewski jest w rozpacz?

⁴²³ *Charmes-Chambertin* — gatunek czerwonego wina francuskiego z Burgundii. [przypis edytorski]

— To przykre — odpowiedziała tonem prośby. — Może odłożymy to na później...

— Nie, właśnie rzeczy przykre należy łykać jak lekarstwo, jednym haustem. Więc?...

Starala się mówić jak najwięcej. Opowiedziała o swej bytności w Centrali Eksportowej i powtórzyła rozmowę z Kolbuszewskim. Paweł słuchał spokojnie, na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Gdy skończyła, skrzywił się:

— Kolbuszewski to wyjątkowo zdolny człowiek, jeżeli chodzi o handel. Natomiast nie ma pojęcia o dwóch rzeczach: o utrzymaniu podwładnych w garści i o wydobywaniu pieniędzy. Nałóg starej szkoły. Każdemu z nich się zdaje, że gotówkę można otrzymać tylko wówczas, gdy się daje pełną gwarancję jej zwrotu. Zwykle nieporozumienie. Gdy wyjeżdżałem do Ameryki i zaczynałem tę kampanię, rozporządzałem takimi kwotami, których nie mógłbym pokryć mymi aktywami nawet w dziesięciu procentach.

Opuściła głowę. Ogarnęło ją przerażenie. Przypomniały się jej słowa Kolbuszewskiego o takim krachu, jakiego jeszcze Polska nie widziała, przypomniawszy się hipoteka Dalców i kwit widziany u Blumkiewicza.

— Nie każdemu dają ludzie pieniądze — bąknęła — na piękne oczy.

— Masz, moja droga, rację. Kolbuszewski na swoje prawdopodobnie nie dostałby zbyt wiele, ale mógł wziąć na moje. Co zaś dotyczy upominania się rządu o wpłaty, miał również wymówkę, że beze mnie nie może decydować ani udzielać wyjaśnień, bo sam nie wie.

— Zapominasz, że nie wiedział, kiedy wrócisz, i czy...

— I czy w ogóle diabli mnie nie wzięli? — Zaśmiał się i uderzając się dłonią po kolanie, dodał: — Wszyscy musieli tak myśleć i, do licha, myślą do tej chwili!

W jego głosie zabrzmiało jakby zadowolenie z siebie, jakby przechwałka. Nalał sobie wina, przyjrzał się mu pod światło i powiedział:

— Jednego się obawiałem: że zaczną mnie szukać, że podniosą gwałt. Na szczęście dobrze obliczyłem wytrzymałość ich nerwów.

— Chcieli cię szukać. — Spojrzała nań i zaraz opuściła oczy. — Chcieli i byłiby już przedwczoraj zrobili alarm, ale sprzeciwiłam się temu.

— Blumkiewicz?

— Tak.

— To, psia krewo, tchórz. — Strzelił palcami. — Powinienem był przewidzieć tę semicką nerwowość. Cóż z tego, że przyjaciel rodziny? Ładnego bigosu nawarzyłby mi. W każdym razie bardzo ci dziękuję. Dzielną z ciebie dziewczyna. Myślałem jednak, że Blumkiewicz ma więcej zimnej krwi.

— Nie można mu się dziwić — potrząsnęła głową. — Znalazł się istotnie w strasznej sytuacji. Nie chciałam dziś tobie tym głowy zaprzętać, ale już powiem... Czy wiesz, że jeden z odbiorców odesłał cały transport „Optimy”?

— Dlaczego odesłał? — bez zdziwienia zapytał Paweł.

— Dlatego... że kauczuk skruszał. Stał się do niczego.

Spodziewała się, że Paweł się przerazi, że wiadomość ta wywrze na nim wrażenie, którego nawet on nie potrafił ukryć.

Siedział jednak nieporuszony, jakby czekał dalszych szczegółów.

Zaczęła mówić. Sama miała to w ręku. Kauczuk jest rzeczywiście na nic. Strzępi się i rozsypuje na drobne wiórki. Rzecz nie do pojęcia, zważywszy że na jezdni, w ebonitowych meblach, a nawet w niektórych partiach na składzie trzyma się doskonale. Chemik fabryczny, a także i Blumkiewicz nie umieją sobie tego wytłumaczyć. Albo wchodzi tu w grę przypadkowość, albo zła wola Ottmana, który świadomie zataił coś z recepty przez zemstę za usunięcie go od kierownictwa. Blumkiewicz przez oszczędność wstrzymał dalszą produkcję.

— A to idiota! — zerwał się Paweł. — Powiadasz, że wstrzymał? Może jeszcze i Ottmana wezwał?

— Nie — uspokoiła go — Ottmana nie wezwał, gdyż twierdził, że miał wyraźny twój zakaz, a co dotyczy wstrzymania, to trwało ono tylko jeden dzień. Teraz fabryka jest w pełnym ruchu.

— No dobrze, a czym motywował wobec personelu zatrzymanie fabryki?

— Potrzebą remontu. Powtarzam, że wcale mu się nie dziwię. Mówił, że nie sypia po nocach i nie wie, co robić. Aż mi go żal... Nie miałam nigdy zaufania do tego Ottmana.

Taki ciamajda. Musisz go jednak sprowadzić, bo przecież może się okazać, że fabryka w dalszym ciągu produkuje szmelc, a każdy dzień przynosi duże straty. No i dobrze byś zrobił, zawiadamiając Blumkiewicza o swoim przyjeździe...

— Nie, nie. Chcę przynajmniej jeden dzień odpocząć. Dzień lub dwa. Wierz mi, moja droga, że mi się to święcie należy. Zresztą na razie nikomu nie jestem potrzebny. Jeżeli jednak sądzisz... Hm... Zrobimy zatem tak: zadzwonisz do Blumkiewicza i do Kolbuszewskiego też. Powiesz im, że skomunikowałaś się ze mną, że zjawię się w Warszawie za dwa dni. Wszystko ma iść normalnym trybem. Poza tym niech Blumkiewicz natychmiast zwróci się do dwóch chemików. Muszą to być ludzie bardzo szanowni, na przykład profesory. Niech zaprosi ich do zbadania przyczyn psucia się części kauczuku. Może im pokazać recepty i wszystko, co chce. Jednocześnie niech telegraficznie zawiadomi o całej historii najszczegółowiej biuro koncernu w Paryżu, dodając, że prosi o powiadomienie o tym pana Pawła Dalcza, który właśnie bawi w Paryżu. Depesza nie powinna mieć tonu alarmującego, lecz wyraźnie zaniepokojony.

Mówił to tonem, jaki słyszała u niego nieraz, gdy wydawał dyspozycje Holderowi lub któremuś z podwładnych. Miał taką minę, jakby odczytywał wymawiane przez siebie słowa z jej twarzy. Odruchowo przesunęła po niej ręką. Chciała zapytać, dlaczego nie wezwać Ottmana, dlaczego Blumkiewicz ma depeszować do Paryża, chciała zapytać, dlaczego w ogóle ta niepokojąca wiadomość nie zmartwiła go. Lecz powiedziała tylko:

— Dobrze, zaraz zatelefonuję.

Teraz zrozumiała, odczuła na sobie tę sugestywność wszystkich poleceń Pawła, które nigdy nie wymagały komentarzy i uniemożliwiały sprzeciw, czy chociażby ociąganie się w ich wykonaniu. Co więcej, pamiętała z dziwną dokładnością każde słowo: ma dzwonić do Blumkiewicza i do Kolbuszewskiego, powiedzieć, że skomunikowała się z Pawłem, który zjawi się w Warszawie za dwa dni...

Blumkiewicz aż krzyknął z radości i przerywał jej ciągle rozradowanym „chwała Bogu”. W rezultacie musiała mu drugi raz wszystko powtórzyć.

Kolbuszewskiego po trzykrotnym łączeniu się znalazła w domu. On również bardzo się ucieszył, lecz wprawił ją w zakłopotanie, gwałtownie dopytując się, gdzie jest Paweł. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, po prostu położyła słuchawkę, namyśliła się chwilę i wyłączyła telefon. Skoro Paweł chce odpocząć, niech nie alarmują go dzwonki.

Nie wróciła wprost do niego, lecz zamknąwszy drzwi od jadalni do dalszych pokoi, nacisnęła dzwonek. Służącemu, który się zjawił, kazała przygotować kolację na dwie osoby:

— Zimne przekąski i kawa. Ignacy przygotowuje to tu na stole i ma iść spać.

— Słucham jasnie pana.

W oczach służącego dostrzegła uśmiech. Oczywiście w swojej naiwności jest przekonany, że będzie tu kobieta. Tym lepiej.

Gdy powróciła do gabinetu, nie było tam już Pawła. Szum wody dochodzący z łazienki świadczył, że się kąpie. Stała chwilę niezdecydowana. Przyszło jej na myśl, że mogłaby teraz przebrać się w sukienkę. Serce zabiło mocniej. Wydało się to czymś nieskończenie bezsensownym, komicznym i niemal kompromitującym, a jednak nie mogła już pozbyć się tej myśli.

Wróciła do jadalni i przynagliła służącego. Gdy już stół był nakryty, starannie pozamykała na klucz wszystkie drzwi do gospodarskiej części mieszkania. Dziurkę od klucza z pokoju kredensowego zastawiła wysokim oparciem krzesła.

Próbowała zreflektować się tym, że postępuje jak dziecko, że jest śmieszna, że cały pomysł był niedorzeczny i że tylko obniży siebie w oczach Pawła. Podniecenie jednak nie dało się opanować.

Wolała wszystko, niż wyrzec się przyjemności, na którą czekała tak długo.

Pobiegła do swego pokoju i w pięć minut była gotowa. Przed lustrem skonstatowała⁴²⁴, że wygląda dziwnie, a na twarzy ma rumieńce. Sukienka jednak była dobrze poprawiona. Na biodrach leżała doskonale. Obciągnęła ją ostrożnie i wyjrzała do sąsiedniego pokoju.

O tyle już przyzwyczała się do wysokich obcasów, że nie sprawiały na niej wrażenia chodzenia na szczydłach, obawiała się tylko, że nogi stawia niezgrabnie. Nie wiedziała też,

⁴²⁴konstatować — stwierdzać jakiś fakt. [przypis edytorski]

co robić z rękami. Kieszenie w spodniach, klapy marynarki były tak wygodną dla nich lokatą⁴²⁵.

W salonie zatrzymała się. Z łazienki nie dochodził już szum wody, natomiast słyszała kroki Pawła w sypialni. Zapaliła wszystkie światła i niespodziewanie zobaczyła siebie w lustrze nad kominkiem. Własna sylwetka wydała się jej pociągająca. Włosy jednak były za krótkie. Wróciła do siebie i nałożyła kapelusz. Wprawdzie jego kolor nie był ściśle ten sam, co kolor sukni, lecz przy wieczornym oświetleniu różnica była minimalna.

Tak była zemocjonowana, że z trudnością łapała oddech. Gdy znowu przyszła do salonu, Paweł przeglądał jakieś papiery w gabinecie. Ich szelest powolny, miarowy uspokoił ją nieco. Stała w środku i czekała. Wreszcie zawołała:

— Pawle, czy mogę cię prosić...

Szelest ustał. Odgłos odsuwanej krzesła i jego kroków. Od tyłu dni przygotowywała się do tej chwili. Splotła ręce przed sobą i lekko przechyliła głowę. Musi to wyglądać sztucznie, teatralnie, obrzydliwie. Było już jednak za późno na obmyślanie nowej pozycji. Paweł otworzył uchylone drzwi. Był w swojej szarej wełnianej pidżamie. Zrobił krok naprzód, zasłonił ręką obnażoną szyję i cofnął się:

— O, przepraszam panią, nie wiedziałem...

Zmieszanie jego i zdziwienie było tak komiczne, że wybuchnęła śmiechem.

Stał przy drzwiach, jedną ręką trzymając się portiery⁴²⁶, a drugą zasłaniając wciąż szyję. Jego brwi wznosiły się coraz wyżej, a w szeroko otwartych oczach malowało się najwyższe zdumienie.

— Tak bardzo mnie to zmienia?... — zapytała, nie ruszając się z miejsca.

— Niesłychanie! — odezwał się wreszcie Paweł.

Zaśmiała się. Jej własne zażenowanie minęło już o tyle, że zdołała spostrzec jego zmieszanie:

— Nie spodziewałaś się?

— Nie spodziewałem się, że... jesteś tak ładna — powiedział po chwili namysłu.

— Więc dobrze mi w tym?

Zbliżył się do niej i wyciągnął rękę:

— Pani pozwoli, że się jej przedstawię: Paweł Dalcz.

Podniósł jej dłoń do ust, lecz zauważyła, że jego wzrok przesunął się wzdłuż nagiego ramienia, co było odrobinę krępujące, lecz niewypowiedzianie miłe.

— Ale nie wykręcisz się — pytała, unikając spotkania jego oczu. — Musisz mi powiedzieć szczerze, czy nie wyglądam jak straszdyłło na wróble?

Jeszcze niedawno sama miała tego rodzaju obawy, teraz jednak była pewna, że jej powierzchowność zrobiła na nim dodatnie wrażenie.

— No?

— Owszem — odezwał się z niejakim ociąganiem się — odpowiem ci... jesteś... w tym ubraniu jest ci ślicznie.

Chrząknął i nie wiadomo dlaczego zrobił okrągły ruch ręką:

— Wybacz, ale ja nie umiem mówić tych rzeczy... Powiedziałem znacznie mniej, niż należało... Wyglądasz pięknie, to jest, jesteś piękna. Nigdy w życiu nie poznałbym cię. To zadziwiające, jak strój zmienia niektóre rzeczy... Tak...

Znowu chrząknął, wyjął papierosa i zapalił.

— A mnie nie poczęstujesz? — wyciągnęła rękę. — Widzisz, to zła strona sukni kobiecej, nie ma w niej kieszeni. I w dodatku nie wiem, co zrobić z rękami.

Zapaliła i zrobiła kilka kroków naprzód:

— Ruszam się też jak dragon⁴²⁷. Prawda?

— Bynajmniej, bardzo dobrze — zaprzeczył z przekonaniem i z miną eksperta. W jego sposobie mówienia znać było chęć ukrycia zmieszania w rzeczowym i spokojnym tonie.

⁴²⁵lokata (daw., z łac. *locatus*: umieszczony) — mieszkanie, pomieszczenie, lokal. [przypis edytorski]

⁴²⁶portiera — zasłona z grubego, ciężkiego materiału, umieszczana przy drzwiach. [przypis edytorski]

⁴²⁷dragon — daw. żołnierz lekkiej jazdy; *poruszać się jak dragon*: zamasyżycie, energicznie, bez wdzięku. [przypis edytorski]

Pomimo to sytuacja nie przestawała być detonująca⁴²⁸. Stali w środku wielkiego salonu oboje z niezbyt mądrymi minami. Milczenie przeciągało się zbyt długo.

Wreszcie Paweł zapytał, skąd wzięła suknię i inne części garderoby. Wówczas zaczęła opowiadać, jak znalazła zapasy pozostawione przez Halinę, jak własnymi siłami, chociaż nigdy przedtem nie miała igły w ręku, przerabiała suknię i przystrajała kapelusz.

Temat zdawał się być niebywale obfity, lecz wyczerpał się prawie natychmiast. Na szczęście przypomniała sobie kolację.

— Czy pozwolisz — zapytała — że będę dziś... panią domu i zaproszę cię do stołu?

— Bardzo żałuję — próbował wpaść w jej żartobliwy ton — ale w tym stroju?...

— O, nic nie szkodzi, twoja pidżama warta jest mojej toalety⁴²⁹.

Przy kolacji starała się rzeczywiście robić za panią domu. Przysuwała mu półmiski, nalewała kawę, wybierała owoce. Bawiło ją to bardzo, nienaturalny nastrój jednak nie znikał. Szczęśliwym trafem przypomniała sobie, że nie zdała mu relacji z rozmów przeprowadzonych z Kolbuszewskim i z Blumkiewiczem. Powtórzenie ich zajęło dalsze pięć minut czasu.

Paweł słuchał uważnie. Gdy skończyła, uśmiechnął się i powiedział:

— Wszystko w porządku. Jestem z siebie zadowolony. W moich obliczeniach czasu zaszły tylko drobne i nic nieznaczące zmiany, lecz i na tym zyskałem: mam te kilka dni odpoczynku.

Spojrzała nań zdumiona:

— Powiedziałeś, że i na tym zyskałeś. Zatem?

— Czy wiesz — uśmiechnął się — ile obecnie wynosi mój majątek?... W efektywnych walorach coś około trzydziestu złotych oraz kilkadziesiąt kilogramów bezwartościowych akcji, przy pasywach sięgających kilkunastu milionów. Cóż ty na to?

Opuściła oczy. To, co usłyszała od Pawła, nie było dla niej niespodzianką. Jednakże sposób, w jaki jej to powiedział, był nad wyraz przykry. Wydało się jej, że brawuruje⁴³⁰ swoją przegraną, że chce jej zaimponować rozmiarami swej kłęski. Było to niespodziewane u niego, niesmaczne i dojmująco przykre.

Nie pomyślała w tej chwili o sobie, nie nadużył jej zaufania, przecie oddałaby mu wszystko i wtedy, gdyby z góry wiedziała, że nie otrzyma z tego nic. Ostatecznie miała dobry fach w ręku i zawsze jakoś dałaby sobie radę. Stracił on jednak ogromne pieniądze powierzone mu przez wielu ludzi, choćby przez takiego Blumkiewicza, zarwał wiele instytucji, rezultatem czego będzie „krach, jakiego jeszcze Polska nie widziała”.

— I cóż zamierzasz robić? — zapytała, nie podnosząc nań oczu.

Wypuścił wysoko strugę dymu i przyglądając się jej zwojom, westchnął:

— Na razie odpocząć. Nie masz pojęcia, moja droga, jak to przyjemnie od czasu do czasu zatrzymać na kilka dni arytmometr⁴³¹, który się ustawicznie w głowie obraca. Na razie odpocząć. Arytmometr jest teraz niepotrzebny. Pracuje zań czas, sam czas...

Gorzkie słowa cisnęły się już na usta, lecz nic nie powiedziała.

— Tak, moja droga, mam tę przewagę nad krupierem⁴³², że wiem, gdzie się zatrzyma rzucona przeze mnie kulka. W tej rulecie nie może być pomyłek.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Zatrzyma się — mówił w zamyśleniu jakby do siebie — na cyfrze, której na imię miliard...

Chwycił ją za rękę i pytał przyciszonym głosem, w którym brzmiała nuta triumfu...

— Czy ty rozumiesz, co to jest miliard?... Czy możesz pojąć potęgę tego słowa?... Czy zdajesz sobie sprawę z ogromu władzy, jaką on daje?...

Wstał i pochylony nad nią mówił już prawie szeptem:

— Widzisz, to jestem ja, ja, któremu kiedyś powiedziano, że jest do niczego, że jest niczym, że stanowi zero!... Ja, którego rodzony ojciec i cała kochana rodzina uważała na nicość, za wykołajeńca, za fantastę, za półwariata, ja jestem dziś jednym z najbogatszych

⁴²⁸detonujący (daw.) — peszący, odbierający pewność siebie, onieśmialający. [przypis edytorski]

⁴²⁹toaleta — dziś popr.: toaleta, tj. strój. [przypis edytorski]

⁴³⁰brawurować — okazywać brawurę, popisywać się odwagą. [przypis edytorski]

⁴³¹arytmometr — daw. mechaniczna maszyna licząca, służąca do wykonywania działań arytmetycznych, napędzana ręcznie, dźwignią lub korbką, albo elektrycznie. [przypis edytorski]

⁴³²krupier — pracownik kasyna gier hazardowych kierujący grą przy stole np. ruletki. [przypis edytorski]

ludzi na świecie!... Czy rozumiesz? Czy wiesz, z jaką szatańską radością mógłbym im wszystkim świecić w oczy swoją wielkością, której oni do pięt nie dorosli?!...

Ściągnięta twarz Pawła, jej niezwykła bledność i oczy, które stały się prawie przezroczyste przerażały.

Zdało się jej, że widzi przed sobą istotnie uosobienie jakiejś nadludzkiej wielkości, jakiejś potężnej kosmicznej namiętności, która nie zna przeszkód, a przed którą ona sama jest drobnym pyłkiem, okruszyną pospolitości, która stała się przygodnym świadkiem niepojętego objawienia.

Nie słyszała dalszych słów Pawła. Oszołamiał ją jego wstrząsający szept, widziała przed sobą tylko jego białą jak płótno twarz i źrenice, które zdawały się przenikać przez nią i patrzeć w nieskończoność!

A jeszcze przed chwilą mogła go sądzić kategoriami zwykłych przeciętnych ludzi, jeszcze przed chwilą ważyła się w ogóle sądzić! Z tym większą wyrazistością odczuła teraz olbrzymią przestrzeń, jaka oddziela ją od Pawła.

Zawsze od pierwszego spojrzenia oceniała go przecie najwyżej. Jeżeli teraz zwątpiła, jeżeli we własnych myślach obraziła go, ściągając do codzienności, mierząc jego postęпки miarą zwykłych ludzi, tym większą uczuła skruchę i jej nicość wobec winy, jaką popełniła.

Na poręczy krzesła oparta była jego ręka, silna, zwarta, pokryta węzłami żył. Pochyliła się, opłotła ją mocno palcami i przywarła do niej ustami w pocałunku niemal bałwochwalczym.

Gdy po chwili podniosła nań oczy, był już spokojny, a na jego uśmiechniętej twarzy nie znać było ani śladu podniecenia. Łagodnie uwolnił dłoń z jej rąk. Spojrzał na zegarek, którego wskazówki zbliżyły się do dwunastej, i powiedział:

— Już późno, a ty jutro wcześniej jedziesz do fabryki. Idź spać.

Pocałował ją w rękę, zgasił papierosa i stanął przy kontakcie, czekając, aż wyjdzie, by zgasić światło.

— Dobranoc — powiedziała cicho.

Znalazłszy się w swoim pokoju, nie zapalała światła.

Usiadła w kącie sofy, usiłując zebrać myśli. Teraz dopiero przypomniały się jej słowa Pawła. Gdy je słyszała wypowiedane tym przejmującym głosem, którego każdy dźwięk pozostanie w jej pamięci, nie rozumiała ich treści. Mówił o woli zwycięstwa, o prawie do walki, o władzy, jaką daje poznanie człowieka i mechaniki jego ustroju psychicznego, mówił o nieograniczonym zasięgu swych pragnień, o wielkiej grze...

Jego postać wyrastała jej teraz w ciemnościach do jakichś olbrzymich rozmiarów. Wypełniał sobą wszystko, co stanowiło treść jej życia, co było rzeczywistością i marzeniem, terażniejszością i jutrem. Jej, tylko jej to powiedział. Nikt na całym świecie nie został przezeń dopuszczony do jego wielkich tajemnic. Wyróżnił ją, zbliżył do siebie, uprawnił do zajrzenia w jego duszę...

A jednak... jednak gdzieś na dnie czuła głęboki, ćmiący ból.

Czymże jest przy nim, czym dla niego? Jaką cząstką może zająć miejsce w jego życiu?... Czy nawet dzisiaj nie była tylko przypadkowym, okazynym świadkiem jego słów, czy już w tej chwili Paweł nie żałuje momentu szczerości i tych wspaniałych wstrząsających zwierzeń, wyznań, odkryć, tego otwarcia przed nią bogactwa swego ducha?...

I druga rzecz: czymże mu może odpłacić za to wszystko?... Pomocą, współdziałaniem, radą?... Ależ on tego nie potrzebuje. Nawet jej majątek stanowi tylko drobną monetę w jego rękę.

A miłość? Przecie kocha go ponad wszystko na świecie, ponad jego wielkość, ponad życie własne! Nie ma takich poświęceń, nie ma takich ofiar, na które by się dlań nie zdobyła!... Tylko on ich nie pragnie, nie stanowią dlań one żadnej wartości. Przecie nawet nie chce schylić się po nie.

Powiedział: „Już późno, czas spać...”. Tylko tyle za wiele nieprzespanych nocy, za długie godziny rozmyślań, za piekącą tęsknotę, za lzy i niepokoje... „Idź spać, już późno...”

Zaśmiała się głośno, lecz w tejże chwili uświadomiła sobie swój egoizm.

Jakimże prawem można od kogokolwiek żądać zapłaty za ten nieproszony dar, od kogokolwiek, a tym bardziej od niego! Jest dla niej dobry, serdeczny, życzliwy, okazuje jej swoje zaufanie, powierza tajemnice... Wstała i zapaliła lampę na nocnym stoliku.

Spostrzegła, że brakuje na nim syfonu⁴³³ z wodą sodową i szklanki, i teraz przypomniała sobie, że Karolina nie mogła wejść, gdyż drzwi od służbowej części mieszkania są pozamykane. Zastanowiła się: jeżeli otworzy je, Ignacy z rana wejdzie, by posprzątać, i oczywiście spostrzeże, że Paweł wrócił, zostawić zaś drzwi zamknięte... to nie ma sensu. Przecie kiedyś i tak trzeba je będzie otworzyć. Nie wiedziała, co ma zrobić. W każdym razie musiał o tym zdecydować Paweł.

Na pewno jeszcze nie zdążył usnąć. W ogóle zapomniła go zapytać, czy jego powrót ma długo pozostać tajemnicą nawet dla służby. Jeżeli śpi, nie będzie go budzić...

W salonie i w gabinecie było ciemno. Z sypialni jednak wążutką szparą pod drzwiami przenikało słabe światło. Podeszła na palcach i lekko zapukała:

— Pawle...

— To ty, Krzysiu? — odezwał się zaraz.

— Tak, zapomniałam spytać cię co do służby.

— Proszę cię, wejdz. Wprawdzie leżę już w łóżku, ale się chyba nie zgorszysz.

W pokoju panował półmrok. Świeciła się tylko ciemna ampla⁴³⁴ pod sufitem. Zbliżyła się do łóżka. Paweł leżał z rękami założonymi pod głowę. Na stoliku piętrzył się stos notatek i wycinków z gazet oraz gruby pęk małych kluczy.

— Nie obudziłam cię? — zapytała.

— Nie. Ale dlaczego ty nie śpisz?

— O, nie chce mi się, a poza tym przypomniałam sobie, że trzeba jakoś zrobić ze służbą. Czy ty stanowczo nie chcesz, by oni dowiedzieli się, że przyjechałeś?

— Służba jest zawsze gadatliwa, ale masz rację. Trzeba im tylko zapowiedzieć, żeby trzymali język za zębami. Gdyby się w Warszawie rozeszło o moim przyjeździe, nie miałbym chwili spokoju.

Rozejrzała się. Kapa⁴³⁵ z łóżka leżała zmięta na krześle, a i samo łóżko było nierówno posłane.

— Biedaku — uśmiechnęła się — musiałeś sam sobie przygotowywać pościel.

— Czy zrobiłem to źle? — udał zdziwienie.

— Niestety. Eee... nigdy ze mnie nie będzie gospodyni. Widzisz, zapowiedziałam, że obejmuję dziś rolę pani domu, ale co to znaczy brak wprawy. Na śmierć zapomniałam o łóżku... Będzie ci niewygodnie. Gdybyś... gdybyś pozwolił, poprawiłabym chociaż prześcieradło...

— Dajże spokój — zaśmiał się. — Chyba w tych rzeczach nie masz ani o odrobinę więcej wprawy ode mnie.

— Ale niewygodnie ci — upierała się. — Ja spróbuję.

Oparła się kolanami o brzeg łóżka i powtórzyła:

— Niewygodnie ci...

Zdawała sobie sprawę z tego, że powinna odejść, że w istocie chwyta się niedorzecznego, nieprawdopodobnie naiwnego pretekstu, by zostać przy nim, zdawała sobie sprawę, że Paweł równie dobrze w tym się orientuje, że to wstyd, i tak dalej... a jednak nie mogła się zdobyć na odejście.

Czuła, że pod wpływem własnych myśli rumieni się, że musi wyglądać śmiesznie i po pensjonarsku, starała się uprzytomnić sobie, że jest dojrzałym człowiekiem, obowiązany panować nad wszelkimi odruchami, że po prostu narzuca Pawłowi swoją obecność, która zaczyna być wręcz nieprzyzwoitością... a jednak nie ruszyła się z miejsca.

Paweł wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia:

— Usiądź na chwilę — powiedział. — Pomówimy.

— Ale ty pewno chciałeś spać — zauważyła bez przekonania.

Lekko przyciągnął ją ku sobie w ten sposób, że usiadła na brzegu łóżka.

— Nie, nie będę spał — oparł się na łokciu tak, że jego twarz znajdowała się teraz zaledwie o kilka centymetrów od jej obnażonego ramienia. Na skórze czuła ciepło jego oddechu.

⁴³³syfon — grubościenna butla do napojów gazowanych (np. wody sodowej), zaopatrzona w dźwignię, której naciśnięcie powoduje, że ciśnienie zawartego wewnątrz dwutlenku węgla wypycha wodę przez rurkę na zewnątrz. [przypis edytorski]

⁴³⁴ampla — lampa wisząca zaopatrzona w płytki klosz. [przypis edytorski]

⁴³⁵kapa — nakrycie na posłanie, narzuta. [przypis edytorski]

— Tak lubię zapach twojej wody toaletowej⁴³⁶ — powiedział ciszej. — Nieraz za granicą przypominał mi się, gdy wyjmowałem z walizki chusteczki do nosa. Widocznie przez pomyłkę Ignacy zapakował mi twoje.

— I nie sprawiało ci to... przykrości?

— Nie.

— Ale i przyjemności też nie?

Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. Nie odpowiedział. Spod półprzymkniętych powiek patrzył na nią. Czuła jego wzrok na szyi i na piersiach, jakby pod wpływem jego oczu przyspieszało się tętno serca.

Pomału, ostrożnie pochyliła usta do jego ust, ręce zarzuciła mu na szyję. Owijały się wokół niej coraz mocniej i mocniej.

— Jak ja ciebie kocham — szeptała — jak ja cię kocham...

Czuła jego dłoń przesuwającą się po grzbiecie, biodrze, wzdłuż nogi aż do kostki, jak gorący prąd. Pod jego wpływem krew zdawała się rozsadzać tętnice, a mięśnie omdlewały w nieprawdopodobnej niemocy. Ogarniała ramionami, ogarniała całą sobą jego szerokie bary, których było takie bogactwo, takie niezmierzone bogactwo... Wchłonąć je, zamknąć sobą, o władnąć...

Późny świt zimowy napełniał pokoje szarym, chłodnym światłem. Zegar w jadalni niskim rozważnym basem wydzwaniał szóstą... Za godzinę pod oknami rozlegnie się sygnał samochodu i trzeba będzie jechać do fabryki... Do obojętnych spraw, do nic nieobchodzących ludzi.

Zmęczenie i senność walczyły w niej z pragnieniem rozpamiętywania minionej nocy. Była półprzytomna.

Cały wysiłek woli koncentrowała na konieczności przypomnienia sobie każdej chwili, każdego mgnienia, których ważność i czar wyrastały teraz ponad wszystko, stanowiły początek nowej epoki, po prostu początek życia... Nie było miejsca na refleksje, na stawianie sobie pytań i szukanie odpowiedzi. Całość zamykała się w jednym: w słowie „szczęście”.

Jakie to szczęście ma być, jakimi pójdzie drogami, z jakich składników jest zbudowane — to trzeba zanalizować, to trzeba przemyśleć i rozważyć... Trzeba, lecz niepodobna... Cóż znaczy cały zdrowy sens i logika, i kontrola umysłu nad wrażeniami w porównaniu z taką potęgą!...

A jednak wskazówki posuwały się wciąż naprzód. Należało ubrać się. Czerwona sukienka w zmieszonym świetle dnia i elektryczności wyglądała zmięta. Przypominała zwiędły kwiat maku. Złożyła ją starannie i schowała do szafy.

Później należało rozmówić się ze służbą. Na śniadanie już nie było czasu, zresztą wcale nie odczuwała głodu. Gdy w przedpokoju przed wielkim lustrem Ignacy podawał jej futro, niechętnym spojrzeniem obrzuciła swoje męskie ubranie. Jakże bardzo miała już go dość. Jeszcze raz sprawdziła, czy drzwi oddzielające pokoje Pawła są pozamykane, jeszcze raz zapowiedziała, by go nie budzono pod żadnym pozorem i by telefon był wyłączony, jeszcze raz surowo przypomniła Ignacemu konieczność zachowania ścisłej tajemnicy co do powrotu Pawła i zbiegła na dół.

Kilkanaście minut samotności podczas drogi do fabryki to kilkanaście minut swobody myślenia o Pawle, o sobie i o miłości. Gdy u zbiegu Złotej i Żelaznej powstał zator zatrzymujący samochód, była uszczęśliwiona. Zyskiwała jeszcze parę chwil.

A później fabryka z codzienną monotonią jej spraw, tych spraw, które jeszcze wczoraj były niezmiernie ważne, zajmowały pierwsze miejsce w dniu. Rozmowy z kierownikami działów, sprawozdania, raporty, rzeczowa, poważna mina Holdera, referującego korespondencję, warsztaty rozdygotane w jednostajnym ruchu, galeria interesantów...

I pomyśleć, że to stanowi treść życia tysięcy ludzi, że każdy z nich najlepsze cząstki własnej energii, największy swój wysiłek i lwią część czasu oddaje temu bożyszczu pracy, codziennej, szarej, jednostajnej i w gruncie rzeczy przecie bezcelowej, skoro sama stała się celem. Praca przesłoniła sobą istotny cel życia, którym może być tylko piękno i miłość. Wyparła je z czasu i przestrzeni. Zamazała smarami, czarnym węglem i rudym dymem

Praca

⁴³⁶toaletowy — dziś: toaletowy; odnoszący się do higieny i pielęgnacji. [przypis edytorski]

kominów, zagłuszyła wyciem syren fabrycznych, zepchnęła do ciasnych alków⁴³⁷ lub do knajp, gdzie człowiek szuka ich namiastki w alkoholu.

Paweł powiedział, że sens życia leży w walce, leży w wielkiej grze pragnień, namiętności, zdobyczy i klęsk, w osiąganiu coraz to dalej, coraz to wyżej ustawianych met, w nieograniczonym rozmachu zamierzeń i zwycięstw...

Nie umiała jeszcze pojąć tego i zrozumieć. Na pewno miał rację. Nie mogła mieć zbyt dużego zaufania do swego poglądu i do swoich przeświadczeń. Zwłaszcza dzisiaj, dzisiaj, kiedy z taką jaskrawością uświadomiła sobie nicość pracy, nicość bożka, któremu nauczono ją składać hołdy.

Wystarczył jeden moment szczęścia, by przekonać ją o bezcelowości dotychczasowego życia. Być może, a nawet na pewno, z czasem odsłoni się przed nią i ta druga tajemnica, która stanowi treść egzystencji Pawła. Na razie i to jest szczęściem, że może być przy nim, że stała się jego własnością, że dostąpiła prawa zajmowania bodaj najmniejszego miejsca w jego myślach i w jego uczuciach... Na pewno i w uczuciach.

Nie miała wprawdzie żadnych na to dowodów, nie mogła swej pewności oprzeć na żadnych jego słowach, ani nawet na sposobie postępowania, a jednak wiedziała, że jest dlań czymś więcej niż wszyscy inni ludzie, niż wszystkie inne kobiety. Czowała to instynktownie. Co więcej, bałaby się żądać od niego, by konkretnymi wyrazami potwierdził głos jej intuicji. Bałaby się, że oboje nie będą umieli ująć tego w słowa, że słowa swoją ubogą precyzją pomniejszą i spopolitują to, co jest tak piękne i niezwykle.

Słuchała właśnie obszernego wywodu inżyniera Jankowskiego o potrzebie zastosowania nowego typu imadeł w wiertarkach i skonstatowała, że do jej świadomości nie przedostaje się ani jedno zdanie, że nie jest w stanie zmusić swojej uwagi do ześrodkowania się na tak śmiesznej i błahej kwestii, jak wydajność sześciu wiertarek, czy chociażby wszystkich wiertarek, jakie są, były lub będą istnieć na kuli ziemskiej, na Marsie, Księżycu i wszelkich możliwych planetach.

Ta myśl musiała wywołać mimowolny uśmiech na jej twarzy, gdyż Jankowski przerwał swój wywód i z odcieniem obrazu w głosie zapytał:

— Czy pan dyrektor mnie nie wierzy?... Mogę zaraz przy panu zrobić obliczenie!

— Ależ nie, bynajmniej — zapewniła go. — Wszystko jest w porządku.

— Bo zdawało mi się — uspokoił się inżynier — że pan dyrektor nie docenia ważności tej sprawy. Już z pobieżnego rachunku widać, że stare imadła muszą dawać przynajmniej dwadzieścia procent szmelcu⁴³⁸, a zastosowanie...

Miała już tego stanowczo dość. Czowała, że w następnej chwili albo zerwie się z miejsca i nawymyśla mu od idiotów, albo wybuchnie śmiechem, że — słowem — obrazi tego dobrego i pożytecznego pracownika, który musiał sobie tygodniami łamać głowę nad zmniejszeniem szmelcu na wiertarkach, dla dobra firmy.

— Zatem dobrze — powiedziała, wyciągając doń rękę — będzie pan łaskaw postąpić według pańskiego projektu. Powie pan panu Millerowi, że w całości akceptuję te imadła. Dziękuję panu bardzo.

Prędko pochyliła głowę nad papierami, by ukryć uśmiech. Gdy tylko drzwi za Jankowskim się zamknęły, szybko zamknęła biurko, zajrzała do sekretariatu i oświadczyła Holderowi, że wyjeżdża na miasto i dziś już nie wróci:

— Jeśli zdarzy się coś wyjątkowo ważnego, ale tylko wyjątkowo, proszę dzwonić do mnie do domu.

W kwadrans później była już na Ujazdowskiej. Z pośpiechem zdjęła futro i przejrzała się w lustrze. Aż zdziwiła się swoim wyglądem.

Pomimo nieprzespanej nocy cerę miała świeżą i lekko zaróżowioną, a usta bardziej czerwone niż zwykle. Tylko pod oczyma znaczyły się wyraźne niebieskawe cienie, te jednak dodawały oczom mocniejszego wyrazu. Ku swemu zdumieniu zastała Pawła w salonie. Klęczał na dywanie nad stosem nut. Fortepian był otwarty.

Paweł odwrócił głowę i zawołał:

— O! Tak wcześnie?

⁴³⁷alkowa — mały pokoik bez okien, przylegający do większego pokoju, przeznaczony na sypialnię. [przypis edytorski]

⁴³⁸szmelc (z niem.) — odpadki metalowe; złom. [przypis edytorski]

— Nie mogłam już tam dłużej wytrzymać — powiedziała szczerze. — Widzisz, w jak złe ręce oddałeś fabrykę. Sam sobie jesteś winien.

Nie podnosząc się, Paweł niespodziewanym ruchem zagarnął ją powyżej kolan i w ten sposób przechylił, że nagle straciła równowagę i znalazła się w jego ramionach.

Oboje wybuchnęli śmiechem, który cichł wśród pocałunków coraz bardziej.

— Jaki ty jesteś silny — powiedziała, łapiąc oddech. — Trzymasz mnie na ręku jak niemowlę...

— Tak. W ten sposób zaspokajam swój głodny instynkt ojcostwa — roześmiał się.

Przywarła doń mocniej.

— Tylko nie wiem — mówił też nieco zdyszany — czy trzymam synka, czy córeczkę...

Uprzytomniła sobie swoje męskie ubranie i to, że musi w nim wyglądać śmiesznie w takiej sytuacji. Akurat naprzeciw jest lustro. Lekko wyswobodziła się z jego ramion i uklękła obok.

— Grałeś? — zapytała.

— Od rana. I wyobraź sobie, że stwierdziłem niebywałą rzecz. Prawie wszystko pamiętam. Tylko z techniką jest gorzej.

Zaczął przekładać nuty, a po chwili powiedział:

— Nie rozumiem, co się stało z motetami⁴³⁹ Bacha⁴⁴⁰. Był taki tom *in octavo*⁴⁴¹ w zielonej oprawie... Bardzo stare wydanie...

— A może jest w bibliotece?

— Nie. O, bądź dobra, zjrzyj tu na górną półkę. Zdaje się, że przywalili go Griegiem⁴⁴². Przepraszam, że cię trudzę.

— Ależ, Pawle — zerwała się — to tylko przyjemność...

Istotnie za wielkim folialem⁴⁴³ Griega znalazł się Bach.

— Jakie to zakurzone — powiedziała. — Zaczekaj chwilę, każę to wytrzeć.

— Szkoda czasu — machnął ręką i otarł kurz dłonią. — Swoją drogą muszę zbesztać Ignacego za te porządki.

Rozłożył nuty na pulpicie, przysunął sobie stołek i już nie zwracając na nią uwagi, zaczął grać. Usiadła w pobliżu tak, że widziała na tle okna jego mocny profil o silnie zarysowanej szczęce i wysokim czole, na którym wyraźnie występowały dwie duże wypukłości. Z profilu jego brzydota jeszcze bardziej rzucała się w oczy, lecz tym dobitniej zaznaczała się jej wspaniałość. Przecie dość było rzucić okiem, by powiedzieć sobie:

— Ten człowiek musi być kimś niezwykłym.

We wspomnieniach starała się odszukać rysy Cezara, Napoleona, Washingtona, Batorego. Do żadnego z nich nie był podobny. W linii głowy miał coś z tygrysa, a kształt nosa przypominał Ludwika XIV. Jego duże ręce o silnych, lecz klasycznie pięknych palcach, zdawały się pokrywać sobą połowę klawiatury. Widocznie odczuł na nich jej wzrok, gdyż przestał grać i odwrócił głowę:

— Jeżeli Bach na tamtym świecie ma równie subtelny słuch — odezwał się żartobliwie — obawiam się, że przeklina teraz swoją twórczość.

— Ależ grasz bardzo dobrze — zapewniła, łapiąc się jednocześnie na tym, że wcale nie słuchała muzyki.

— Nie — potrząsnęła głową — zanadto go lubię, bym nie czuł, że krzywdzę go tym obijaniem klawiszy.

— Przesadzasz, Pawle. Oczywiście nie jest to gra koncertowa...

— Ho, ho! Stop, moja droga. Nawet nie taperstwo⁴⁴⁴. Ale cóż chcesz, zeszytniały mi palce od liczenia banknotów.

⁴³⁹motet (muz.) — rodzaj kompozycji wokalne na wiele głosów, przeważnie z tekstem o tematyce religijnej, zwykle śpiewanej bez akompaniamentu. [przypis edytorski]

⁴⁴⁰Bach, Johann Sebastian (1685–1750) — wybitny niem. kompozytor i organista epoki baroku, jeden z największych artystów w historii muzyki. [przypis edytorski]

⁴⁴¹*in octavo* (łac.: w ósemce) — daw. format książki wielkości 1/8 arkusza papieru; obecnie określenie książek mających typowy współczesny rozmiar: ok. 20–25 cm wysokości. [przypis edytorski]

⁴⁴²Grieg, Edvard Hagerup (1843–1907) — norweski kompozytor, pianista i dyrygent, autor lirycznych, nastrojowych utworów, twórca narodowej szkoły norweskiej w muzyce. [przypis edytorski]

⁴⁴³foliał — książka formatu *folio* (wielkości połowy arkusza); ogólnie: wielka, gruba księga. [przypis edytorski]

⁴⁴⁴taperstwo — grywanie jako pianista w kawiarniach lub restauracjach. [przypis edytorski]

Zaśmiała się i zaczął znowu grać. Lubiła muzykę. Bacha jednak nigdy zrozumieć nie mogła, ani znaleźć w nim tego piękna, o którym tyle mówiono. I teraz, słuchając Pawła, na próżno starała się znaleźć w sobie oddźwięk tych jednostajnych i spokojnych, jak nurt leniwej rzeki, tonów. Na próżno starała się w skupionych rysach Pawła odnaleźć zrozumiały dla siebie komentarz do tych smutnych, poważnych, jakichś psalmicznych rozmów z wiecznością lub raczej kontemplacji niezmienności świata i jego spraw.

— Nie lubisz Bacha? — zapytał, nie przerywając gry.

— Ja go nie rozumiem — powiedziała tonem usprawiedliwienia.

Przewrócił stronę i zatrzymawszy się na wysokiej nucie, kilkakrotnie uderzył w klawisz:

— Kiedyś, gdy jeszcze byłem małym chłopcem — zamyślił się — może miałem lat dziesięć czy dwanaście, miałem nauczyciela, który jednocześnie wykładał w jakiejś uczelni ekonomię polityczną. Otóż on przepowiadał mi wielką karierę... naukową!

— Dlaczego się śmiejesz, cóż w tym nieprawdopodobnego? — uczyła się dotknięta tonem lekceważenia, z jakim mówił o sobie.

— No, nieprawdopodobieństwo było chociażby w tym, że nawet gimnazjum nie skończyłem, ale nie o to chodzi. Mój mentor⁴⁴⁵ twierdził, że każdy, kto rozumie Bacha, ma na pewno zadatki na genialnego ekonomistę. Nie umiał tego uzasadnić logicznie, ale cytował cały szereg nazwisk na potwierdzenie swej teorii.

— Więc nie omylił się i tu.

— Aha — uśmiechnął się — więc i ty sądzisz, że jestem genialnym ekonomistą?

— Nie potrzebuję sądzić. To jasne jest dla każdego, kto tylko widział cię w interesach.

Paweł żywo zaprzeczył ruchem głowy.

— To zupełnie inna rzecz. William Willis i zresztą wszyscy popełniają ten sam błąd, wynikający ze złej interpretacji nazwy ekonomisty. Człowiek umiejący robić dobre interesy robi je właśnie dlatego, że nie ma pojęcia o podstawowych regułach ekonomii. Wszyscy mistrzowie ekonomii poumierali w nędzy. Zwróć, moja droga, uwagę na ten właśnie znamieny szczegół. Rozumieli ekonomię i Bacha, co im nie przeszkodziło tracić majątki i wegetować na poddaszach. Nie, moja Krzysiu, ja obciąłbym się na pierwszym egzaminie z ekonomii, a zapewniam cię, że to samo stałoby się z Willisem, z Fordem, Morganem czy Rockefellerem. Wszystko to są ordynarne nieuki...

Uderzył kilka taktów, przyjrzał się nutom i pokiwał głową:

— Nawet Bacha nie znają. Im więcej przyglądam się życiu, tym mocniej utrwalam się w przeświadczeniu, że nie ma większego wroga praktycznego działania niż teoria. Wszyscy ludzie, którzy do czegoś pozytywnego doszli, wolni byli od kultu dla teorii. Teoria w życiu to kłosz, zasłaniający pole obserwacyjne, to kierat, w który wąż naiwni. Życie nie znosi żadnych form sztywnych, wymaga giętkości i umiejętności przystosowania się do środowiska, szybkiego i na wskroś praktycznego oceniania warunków, sporadycznie, indywidualnie, doraźnie. Teorie w polityce sprawiły to, że twórcy rewolucji, naukowcy jej organizatorzy, ideolodzy i teoretycy — po kilku miesiącach rewolucji wędrują do więzienia, na wygnanie, lub wręcz do Abrahama na piwo⁴⁴⁶, a władza pozostaje w ręku praktykantów⁴⁴⁷, których jedynym bagażem intelektualnym są hasła zapamiętane z transparentów partyjnych, no i zdrowy trzeźwy zmysł obserwacyjny. To samo jest *mutatis mutandis*⁴⁴⁸ w kwestiach gospodarczych. To przecież jasne. Ekonomia i socjologia zawsze będą czczą gadaniną, póki człowiek nie stanie się podobny do każdego innego człowieka, jak dwa kryształki soli. Teoria tam jest na miejscu, gdzie może doprowadzić do stworzenia przyrodniczego prawa. Prawo zaś może opierać się li tylko⁴⁴⁹ na wartościach znanych i jednakowych. Ci panowie teoretycy przypominają mi jegomościa sprzedającego przed kasynem w Monte Carlo „niezawodne wskazówki wygrania miliona” za dwadzieścia centymów⁴⁵⁰.

Wiedza

⁴⁴⁵mentor — nauczyciel, wychowawca. [przypis edytorski]

⁴⁴⁶do Abrahama na piwo pójść (pot.) — umrzeć. [przypis edytorski]

⁴⁴⁷praktykant — tu: praktyk. [przypis edytorski]

⁴⁴⁸*mutatis mutandis* (łac.) — zmieniając to, co powinno być zmienione; po dokonaniu niezbędnych zmian; z uwzględnieniem istniejących różnic. Zwrot zwracający uwagę na występowanie analogii pomiędzy jedną a drugą sytuacją, o ile uwzględni się różnice wynikające z odmiennych warunków. [przypis edytorski]

⁴⁴⁹li tylko — wyłącznie, jedynie. [przypis edytorski]

⁴⁵⁰centym — drobna moneta francuska, wartości 1/100 franka. [przypis edytorski]

— Jednak — uśmiechnęła się — sam teraz wygłaszasz teorię.

— Bynajmniej. Jest to tylko recepta dla mnie, względnie dla indywiduum bliźniaczo do mnie podobnego, a znajdującego się w takich warunkach, w jakich właśnie ja się znajduję. Recepta i jadłospis niezalecanych potraw. To ostatnie może mieć zresztą szersze zastosowanie... Poza tym, moja droga, każda rzecz zaczyna się od sumy wiary, jaką w nią wkładamy. A ja wierzę w swoją nieteoretyczną teorię!

Zaśmiała się i znowu odwrócił się do klawiatury. Grał teraz coś z pamięci, coś bardzo lirycznego o rozplywającej się melodii.

— Nie — odezwał się — nie jestem ekonomistą, a jeżeli już koniecznie muszę być umieszczony pod jakąś etykietą... możesz uważać mnie za psychologa. Właśnie za psychologa, bo całą działalność opieram na znajomości psychiki ludzkiej. To jest mój podstawowy kapitał wiedzy, całkowicie zresztą empirycznej.

Słuchała go z największym skupieniem. Wszystko, co mówił, wydawało się zadziwiająco przejrzyste. Trafiło wprost do przekonania, prawie nie budziło sprzeciwu ani wątpliwości. Cała jego konstrukcja robiła wrażenie zupełnie nieskomplikowanej, prostej, niemal geometrycznie prawidłowej. A jednak nie mogła połączyć się w całość. Czuła się jak przed wielkim gmachem, którego poszczególne fragmenty widzi i zna, nie może jednak ogarnąć całej budowli. Odkąd go znała, był taki. Co więcej, zdawała sobie sprawę, że również i inni ludzie, obcując z nim, podobnego doznają wrażenia, inni, więc nie dlatego, że go kocha, nie umie pojąć go całego tak zwyczajnie, jak na przykład zna Holdera, Blumkiewicza czy Marychnę. Prowadziło to do prostego wniosku, że różnica tu polega tylko na skali...

— Nad czym tak dumasz? — niespodziewanie zapytał Paweł i jednym ruchem przyciągnął do siebie fotel, na którym siedziała.

— Myślę o tobie — odpowiedziała, patrząc mu w oczy.

— I jak myślisz?

— Że tak bardzo nierówne mamy szanse. Jesteś tak duży, że gubię się w tobie, i... trochę mnie to przeraża.

— Chyba nie mówisz serio?

— Najzupełniej. Ty przecie powiedziałaś, że jesteś psychologiem, a chociaż nie dałeś żadnego przymiotnika, należy domyśleć się, że jest tam miejsce na superlatyw. To daje ci wielką przewagę, a ja ją czuję. Patrzysz na mnie i nie ujdzie twej spostrzegawczości ani jeden mój ruch wewnętrzny. Po prostu nie mogę mieć przed tobą tajemnic. Podczas gdy ty cały jesteś dla mnie tajemnicą.

— Przecieniasz moje zdolności, moja droga. — Wziął jej rękę, ukrył ją w swoich dłoniach. — Miałem w życiu jeden wypadek, który zupełnie zdyskwalifikował mnie jako znawcę psychologii ludzkiej.

— No, jeden o niczym nie świadczy.

— Owszem. W tym wypadku chodziło mi bardziej o trafne odnalezienie prawdy niż w tysiącu innych. Zależało mi na tym, a omyliłem się kompromitująco.

— Aż kompromitująco?

— Tak. Ty dobrze znasz ten wypadek.

— Ja? — zdziwiła się.

— Właśnie. Omyliłem się co do ciebie fatalnie.

Wybuchnęła śmiechem:

— Ach, że nie poznałeś we mnie przebranej kobiety?

— O, nie — zaprzeczył — to byłby drobiazg, wynikający z optycznego nawyku. Pomyliłem się stokroć gorzej, wręcz niewybaczalnie! I gdyby nie ten nieszczęśliwy wypadek, zapewne do dziś dnia nie wiedziałbym, że to, co brałem za zawziętą nienawiść do mnie, było... czymś wręcz odwrotnym.

Przytuliła się doń i chwilę siedzieli w milczeniu.

— Widzisz — zaczęła — ja wówczas robiłam wszystko, by cię zniechęcić... Prędko, bardzo prędko przekonałam się, że to niepodobiestwo. Wtedy starałam się chociaż uniemożliwić sobie jakiegokolwiek zbliżenie się do ciebie... O, Pawle, nigdy nie ocenisz, ile mnie to kosztowało!... Każde zimne słowo, każde obojętne spojrzenie przyplącałam bólem tak wielkim... Tylko nie zrozum mnie źle! Ja bynajmniej nie chcę przez to powiedzieć, że żądam od ciebie wynagrodzenia!

— Mogę cię wynagrodzić tylko tym, co i mnie za ówczesne straty daje rekompensatę — powiedział i pocałował ją w usta.

— Och, Pawle — mówiła, obejmując go za szyję — musi być jednak jakieś wielkie dobro tu na świecie lub gdzieś nad nami!... Tak marzyłam o takiej chwili i tak wydawała mi się wówczas nieosiągalna...

— Masz rację — potwierdził z powagą — dobro takie na pewno istnieje. Czulem jego bezpośrednie działanie na własnej czaszce. Działo wprawdzie przy pomocy żelaznego łomu, ale tym niemniej przekonywająco.

— Jak możesz, Pawle!

— Ja nie żartuję. Opatrzność różne środki wybiera i nieznanne są jej drogi. Dziwi też mnie nie to, lecz fakt, że nie mogłaś wcześniej zdobyć się na decyzję postawienia sprawy po prostu. Wówczas o krok byłem od popełnienia głupstwa, jedyne bodaj w moim życiu głupstwa, jakiego nie umiałbym sobie nigdy wybaczyć.

— O czym mówisz?

Zamiast odpowiedzi podniósł ją, posadził na kolanach i mocno przytulił.

— Jakie głupstwo chciałaś zrobić? — zapytała po chwili.

— Nie powiem ci — odpowiedział stanowczo. — Niech ci wystarczy to, że szczęśliwy dziś jestem z tego powodu, że do owego głupstwa nie doszło, moja ty... moja najdroższa.

Czuła, że blednie. Wprawdzie słowa te wypowiedział tym samym szorstkim tonem, ale brzmiał w nich jakiś nieuchwytny ciepły dźwięk. Odsunęła się od jego twarzy i spojrzała szeroko otwartymi źrenicami:

— Pawle... Pawle!...

Jego szare oczy patrzyły na nią z pogodą i dobrocią.

— Pawle, czy ty wiesz, coś powiedział?!... To przecież niemożliwe!?

— I ja tak myślałem kiedyś. Cóż na to poradzę, że teraz myślę inaczej, że wiem, że nie mogę nie wiedzieć, czym jesteś dla mnie.

Mówił bardzo spokojnie i bardzo powoli. Umilkł, a ona jeszcze nie rozumiała, co się z nią dzieje. Coś ścisnęło ją za krtań, w oczach zakręciły się łzy i wybuchnęła płaczem.

— Pawle, mój jedyny, jaki ty jesteś dobry, jaki dobry dla mnie — powtarzała wśród łkania. — Czym ja zasłużyłam na ciebie, Pawle... Kochany...

— Cicho, Krzysieńko, uspokój się. — Głaskał jej głowę i wilgotny od łez policzek. — Cicho, moja maleńka...

Nagle rozległy się kroki w sąsiednim pokoju.

— Ignacy idzie — powiedział Paweł i ostrożnie postawił ją na ziemi.

Szybko obtarła oczy i odwróciła się plecami do drzwi, i w samą porę, gdyż właśnie lokaj stanął w progu:

— Obiad na stole, proszę jaśnie panów — oznajmił uroczyście.

— Dobrze, idziemy — kiwnął głową Paweł.

Przed pójściem do jadalni musiała wstać do siebie, by umyć zapłakane oczy. Przyszło jej na myśl, że w niektórych wypadkach puder używany przez kobiety ma rację bytu.

Uprzytomniła też sobie, jak zabawnie i niedorzecznie musiała wyglądać w męskim ubraniu, zapłakana i na kolanach u mężczyzny. Gdy siadali do stołu, najnie spodziewanej przyszła pani Józefina. Ignacy był o tyle ostrożny, iż nie powiedział jej o przyjeździe Pawła. Na szczęście śpieszyła się i ucęstawwszy służącego porcją obaw o zaginionego syna, zaraz wyszła.

— Wystarczyłoby, gdybym się pokazał mojej rodzicielce, a w ciągu dwóch godzin cała Warszawa wiedziałaby, że tu jestem. Oczywiście pod największym sekretem — śmiał się Paweł. — Nie znam istoty równie naiwnej, jak moja matka, i równie prostodusznej. Po prostu w głowę zachodzę, jak ona mogła zatruć życie ojcu? Że ten człowiek nie umiał sobie z nią poradzić! Szkoda, Krzysiu, że nie znałaś tych stosunków. Była to z jednej strony zawzięta wojna podjazdowa, z drugiej zaś bierna obrona. Zło, zdaje się, tkwiło w tym, że ojciec ożenił się z kobietą nie ze swej sfery.

— Sądzisz, że odgrywa to jakąś rolę?

— Odgrywało wówczas z całą pewnością, a i dziś miewa tego rodzaju aliaz⁴⁵¹ zle skutki. Chociażby na potomstwie. Zwróć uwagę na mnie.

Śmieli się⁴⁵² oboje. Od czasu jego powrotu przyglądała się Pawłowi i odkrywała w nim nowe cechy charakteru tak dla niej miłe: pogoda z odcieniem niefrasobliwej ironii, pogoda, która świadczyła o wewnętrznym spokoju, harmonii, równowadze, a jednocześnie była dowodem głębokiej kultury uczuć. Tak się jej przynajmniej wydawało.

Wczesny zmrok zimowy sprawił, że gdy przeszli z oświetlonej jadalni na kawę do salonu, było już prawie ciemno. Paweł kazał zapalić w kominku. Czerwony blask ognia stwarzał nastrój domowy, zasiedziały, intymny. Przynęśli sobie fotele i Paweł powiedział:

— Kiedy ostatnio byłem w Anglii, pewna dama zwróciła mi uwagę na stratę, jaką poniosło nasze życie dzięki swemu pośpiechowi: dziś nie istnieje lub prawie nie istnieje rozmowa w jej dawnym dobrym znaczeniu. Nie mamy czasu na rozmowę. Przedwojenne jej domeny, to jest salony, przestały istnieć. Dziś w salonie również załatwia się interesy. Sam flirt przybrał ton interesów: kupno i sprzedaż, sezonowa dzierżawa lub po prostu targ o jednorazowy bilet wstępu. A transakcje zawierane są błyskawicznie. W tych warunkach rozmowa stała się rzeczą zbędną, a ludzi uprawiających ją nazywamy lekceważąco gadułami.

— To jest smutne — powiedziała, gdyż odniosła wrażenie, że Paweł ubolewa nad tym objawem.

— Smutne? — zdziwił się. — Nie, ani smutne, ani wesołe. Po prostu naturalne. Ty mało z owych czasów możesz pamiętać, a zresztą dom stryjostwa zawsze był zamknięty w sobie, ale ja nieraz przysłuchiwałem się tym właśnie rozmowom *par excellence*⁴⁵³. Była to wspaniała szkoła właśnie dla psychologów. Niezależnie od tematu rozmowy każdy z biorących w niej udział zawsze mówił o sobie lub o tych stronach kwestii, które pośrednio lub bezpośrednio z nim, z jego osobistym życiem się wiązały. W gruncie rzeczy było mu absolutnie obojętne to, co słyszał od innych. Wystarczyło znać tych ludzi i wiedzieć o nich trochę intymnych rzeczy, by móc odnajdywać sprężyny ich twierdzeń, poglądów i argumentów. Tylko technika kultury towarzyskiej nadawała pozór rozmowy tym dialogowanym monologom o sobie. Powszechna zabawa w ciuciubabkę. Dziś ludzie nie mają czasu na udawanie, na analizowanie siebie, na roztrząsanie przy lada sposobności swojej tak zwanej jaźni. Dlatego rozmowa straciła rację bytu. Zastąpił ją z powodzeniem rodzaj telegraficznego kodu. I trzeba dopiero wyjątkowych warunków, ot takiego wieczoru i kominka, by człowiek tak puścił w ruch język, jak ja w tej chwili.

— Ale to jest bardzo przyjemne. Jeżeli o mnie chodzi, pragnęłabym takich chwil mieć najwięcej.

— Chwile takie są dzisiaj przywilejem tylko starości. Rozpamiętywanie dawno ubiegłych lat, przeglądanie spłowiałych listów, zasuszonych kwiatów, zaręczynowych pierścionków, kotylionowych⁴⁵⁴ orderów...

Nagle przypomniała sobie jego pierścionek:

— Zaczekaj chwilę — zerwała się. — Muszę ci oddać coś, co zapomniałaś.

Zanim mógł ją powstrzymać, pobiegła i po chwili wróciła z pierścionkiem. Miała wielką ochotę zapytać go, co oznaczało noszenie przezeń tej imitacji, lecz podając mu pierścionek, powiedziała tylko:

— Zostawiłeś to na umywalni. Schowałam, gdyż sądziłam, że sprawi ci wielką przykrość zgubienie przedmiotu, który widocznie cenileś, skoro się nigdy z nim nie rozstałaś. To też może jedna z takich właśnie pamiątek...

Spod oka przyglądała się mu, chcąc sprawdzić, jakie to na nim sprawi wrażenie. Paweł wziął w palce pierścionek i patrzył nań przez dłuższą chwilę z jakimś dziwnym uśmiechem. Wreszcie podniósł na nią oczy i zapytał:

⁴⁵¹aliaż (z fr. *alliage*) — przest. stop, mieszanina; przen. połączenie różnych właściwości, pojęć, cech. [przypis edytorski]

⁴⁵²śmieli się (daw., reg.) — dziś: śmieli się. [przypis edytorski]

⁴⁵³*par excellence* (fr.) — w całym znaczeniu tego słowa, w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]

⁴⁵⁴kotylion (fr. *cotillon*) — przypinana do piersi ozdoba naśladowująca order, mająca formę rozetki lub bukietu, używana podczas zabawy tanecznej zwanej również kotylionem. Pary jednakowych kotylionów są rozdzielane między tancerzy i tancerki, posiadacze jednakowych kotylionów mają odnaleźć się na sali i tańczyć w parze. [przypis edytorski]

— Czy wiesz, jaką to przedstawia wartość?

Skłamać nie chciała, a zdobyć się na szczerą odpowiedź nie mogła. Obawiała się, że dotknęłaby nią Pawła. On jednak nie czekał na odpowiedź. Podniósł pierścionek pod światło i mówił:

— W średniowieczu, gdy nadawano wojownikom herby, uwidoczniano w nich szczegól początku rycerskiej kariery danego jegomościa: miecz, strzałę, uciętą głowę, zdobytą twierdzę czy coś w tym guście. Gdyby mnie chciano dać herb, jego tarczę należałoby ozdobić tym oto emblematem!... Faktycznej wartości nie posiada on żadnej, tak jak prawdopodobnie i większość emblematów herbowych, ale niezaprzeczenie jest klejnotem rodu Pawła Dalcza, który, jeżeli kiedykolwiek będzie istniał, będzie miał zaszczyt mieć mnie za swego protoplastę.

Zaśmiał się i lekkim ruchem dłoni wrzucił pierścionek w ogień.

— Po co to zrobiłeś? — zapytała odruchowo.

— Nie cenię pamiątek. Klejnot zrobił swoje, klejnot może odejść.

— Zupełnie ciebie nie rozumiem — powiedziała szczerze.

Paweł spoważniał, wziął jej rękę i zapytał:

— Czy wiesz, ile jest warta prawda?... Tyle, co ten pierścionek! Warta jest cały majątek, jeżeli w nią wierzymy, i pozostanie imitacją, gdy jej nie wierzymy. Może nie powinienem ci tego mówić, ale chcę ci powiedzieć... Tobie jednej... Zdaję sobie sprawę z wszystkich możliwych skutków! Wiem, czym ryzykuję. Prawdopodobnie nabierzesz do mnie wstrętu, może nawet pogardy, na pewno zniszczę tym twoją miłość i twoją przyjaźń dla mnie, być może zmienię cię w swego zawziętego wroga i w dodatku dam ci do ręki broń przeciw sobie, i to broń śmiertelną...

Przeraziła się. Nigdy dotychczas nie mówił do niej w ten sposób, nigdy jego oczy nie miały tak surowego, bezlitosnego wyrazu. Zrozumiała, że chce zwierzyć jej jakąś straszliwą tajemnicę, i ogarnął ją paniczny strach:

— Nie mów, Pawle, nie mów — błagała, wpijając się palcami w jego rękę. — Ja nie chcę nic wiedzieć... Ja cię tak kocham!... Nie mów!...

Zmarszczył brwi, jego usta miały twarde, zacięty wyraz.

Twarz w czerwonym świetle ognia zdawała się skamieniała.

— A jednak muszę ci powiedzieć. Jest to moja konieczność, jest to ten zbytek, luksus, na który chcę sobie pozwolić. Nie jest to moment słabości, lecz potrzeba momentu słabości... Otóż...

— Pawle, błagam cię.

— Otóż było to tak. Od dzieciństwa wpajano we mnie poczucie hierarchii. Miałem czcić wszystkich, którzy byli nade mną, a przede wszystkim matkę, której głupotę poznałem już bardzo wcześnie, i ojca, którego despotyzm budził we mnie bunt. Powiedziałem sobie już wówczas, że jedyny sposób zrzucenia z siebie ciężaru hierarchii to znalezienie się na jej szczycie. Próbowałem drogi rewolucji. Gdy ojciec dopuścił mnie do współpracy w fabryce, każdy moment jego nieobecności starałem się wyzyskać dla zagarnięcia władzy w swoje ręce. Wówczas to nabrałem przeświadczenia, że środki, którymi się do władzy dochodzi, są zupełnie obojętne. Czułem w sobie siłę, czułem pewność, że mogę dokonać rzeczy wielkich, że do szczytu drabiny dotrę pewniej i prędzej niż inni. Ojciec był pierwszym z tych, którzy paraliżowali moją działalność, spychali mnie w dół, krepowali każdy rozmach. Znienawidziłem go. Wówczas jeszcze zdolny byłem do nienawiści. Zerwałem z ojcem. Wyjechałem z niedużym kapitalikiem, który rzucono mi jak ochłap, bym tylko nie wracał. Znalazłem się na obcym, nieznanym sobie terenie. Wspomnienie kraju było mi równoznaczne ze wspomnieniem zgrai miernot, które mi do pięt nie dorastały, miernot w guście Zdzisława, Jachimowskiego i innych, tych miernot, które z olimpu swej przeciętności odsądzały mnie od cici, od praw, nawet od zdrowego rozumu. Ogarnęła mnie żądza zdeptania ich, zgniczenia swoją wielkością, żądza silniejsza ponad głód, ponad obawę o własne życie. Czaszka pękała mi od nadmiaru pomysłów. Wokół siebie widziałem błędy popełniane przez ludzi wielkich interesów, widziałem ich niedopatrzność, ślamazarność i tchórzostwo przed ryzykiem. Postanowiłem zacząć. Może dlatego, że zajęty wielkością swoich planów, nie zwracałem uwagi na drobne szczegóły, może dlatego, że brak mi jeszcze było doświadczenia w znajomości ludzi, a głównie dlatego, że kapitalik, którym rozporządzałem, uniemożliwiał mi wejście w sferę wielkich interesów

z głosem decydującym — ponosiłem klęskę za klęską. Z początku nie opuszczałem rąk, zabierałem się znowu do roboty, później coraz częściej popadałem w rozpacz i w apatię. Tygodniami, całymi tygodniami leżałem w łóżku nieruchomy jak kłoda drzewa, jak trup... Ze wszystkiego to właśnie było najokropniejsze, lecz i wówczas nie traciłem jeszcze wiary w siebie...

Oparł głowę na rękach i wpatrzył się w płomień. Na jego skroni połyskiwały siwe włosy i zdało się jej, że wówczas właśnie musiały posiwieć.

Wsunęła rękę pod jego ramię i przytuliła się mocno. Zdawał się tego nie spostrzegać. Po chwili zaczął znów mówić:

— Ludzie, z którymi się stykałem, uważali mnie za maniaka. W głowie ich nie chciało się pomicieć, że człowiek niemający czym zapłacić za szklankę kawy chce założyć lombard oparty na nowych zasadach, a przynoszący pół miliona rocznie. Wydawało się to im absurdem, że żyję w abstrakcjach swoich projektów, a nie wezmę się do jakiegoś drobnego pośrednictwa, handelku, do groszowych interesów, które zapewniłyby mi tak zwany kawałek chleba, czyli coś, co stanowi szczyt marzeń dla tego całego bydła. Spokojny kawałek chleba, renta na starość i królestwo niebieskie po śmierci. Królestwo niebieskie jest nieodzownym zakończeniem. Ma ono zrehabilitować kilkadziesiąt lat bydlęcej wegetacji. Nie umiałem się w tym zmieścić. Najpierw usiłowałem znaleźć w szlamie, co oblepiał mnie ze wszystkich stron, drogę bardziej wartkiego prądu. Szukałem dróg prostych, stawiałem sprawy jasno... Byłem młody. I przychodziły klęski. Coraz dotkliwsze, coraz bardziej obezwładniające. Miażdżyły bez reszty wszystko, co największym wysiłkiem, co nieprawdopodobną pracą zdołałem zmontować. Zostawałem znowu z gołymi rękami. A przecież wciąż czułem w nich siłę do podźwignięcia największych ciężarów, wciąż wierzyłem w siebie. Okresy apatii stawały się po każdej katastrofie dłuższe. Przerzucałem się z miejsca na miejsce, szukałem ludzi obcych, którzy nie znali jeszcze moich poprzednich niepowodzeń. Wreszcie uległem...

Na jego twarzy wystąpiły ostre bruzdy, palce zacisnęły się kurczowo. Stłumiła oddech, siedziała nieruchomo, starając się wmyśleć, wczuć, wżyć w jego tragedię. Napięcie tej tragedii, jej obszar i potęgę odczuwała każdym nerwem, na próżno jednak próbowała ją pojąć.

Tymczasem Paweł mówił dalej. Pozornie spokojnym opanowanym głosem opowiadał historię swej ostatniej próby, próby podźwignięcia folwarku oddanego mu przez matkę, stworzenia wzorowego gospodarstwa na wielką skalę, uprzemysłowienia okolicznego rolnictwa i znalezienia w tym odskoczni do dalszych zdobyczy. Drobnie troski i drobni — jak ich nazywał — małokalibrowi ludzie paraliżowali i tu każdy jego krok. Przyszła zupełna rezygnacja.

— Zaszylem się w barłogu⁴⁵⁵ i na wszystko machnąłem ręką. Zalewałem się alkoholem, całymi miesiącami nie wychodziłem z brudnej jak chlew izby... O, moja droga Krzysiu, zapewniam cię, że uciekłabyś przerażona, gdybyś tam mnie wówczas ujrzała.

Zaśmiał się i spojrział na nią. W jego uśmiechu było coś dojmującego. Mimo woli skuliła ramiona i spuściła oczy.

— Gniłem, rozumiesz, gniłem jak parszywe zwierzę, zapędzone w ślepy kąt! Jak ostatni nędzarz w zawszonych łachmanach, porośnięty brudem, nieustannie pijany w dobowym towarzystwie na wpół zidiociałego wyrostka i dziewczek, które za przestawanie ze mną chłopcy wypędzali z chat. Stawałem się kupą gnoju, ja, który miałem w sobie pełną świadomość własnej mocy potrząśnięcia światem!

Zerwał się i wznosił nad głowę zaciśnięte pięści:

— O, co za piekielne żądze szarpały mnie wówczas, jak nieludzka nienawiść gryzła mi gardło!... Nienawiść do samego siebie za to, że wyrosłem głową ponad przeciętność, że modlitwa o chleb powszedni była dla mnie bluźnierstwem przeciw memu człowieczeństwu, przeciw człowieczeństwu, które wdziera się na szczyty Himalajów, które pęta ziemię stalowymi szynami, wwierca się w jej skorupę, tworzy, włada, ogarnia!... O, stokróć woląłem gnić jak padlina, niż pogodzić się z rolą jednego z tych drobnoustrojów, którymi tak gardzę!...

⁴⁵⁵barłóg — legowisko niedźwiedzia lub dzika; potocznie o niechlujnym, nędznym posłaniu. [przypis edytorski]

Pochylił się nad nią i zapytał prawie szeptem:

— Dziwisz się, że nie palnąłem sobie w łeb?...

— Pawle — uczepiła się jego ręk.

— Nie zaprzeczaj, wyczytałem to w twoich oczach. O, nie! Znajdowałem jakąś dziką rozkosz w rozpamiętywaniu własnej klęski, w kontemplacji tego wspaniałego kontrastu między swoją wewnętrzną potęgą i śmietniskiem, w które się zmieniłem. Dlatego właśnie wybuchalem od czasu do czasu śmiechem, który moje otoczenie uważało łaskawie za obłęd. Była zresztą i inna przyczyna. Widzisz, wszyscy zapomnieli o mnie. Przecie to rozumiałe: minęły lata. Zapomnieli, a ja za żadną cenę nie chciałem przypomnieć im siebie i swojego upadku. Krew mnie zalewała na myśl, że mi będą nad grobem z politowaniem kiwali głowami i wygłaszali swoje idiotyczne kanony wiary o przykładowym życiu. Tej satysfakcji musiałem im oszczędzić. Może zresztą... może, gdzieś na dnie, w podświadomości, żarzyła się jeszcze jakaś niedostrzegalna iskierka nadziei... W każdym razie nie ludziłem się, że kiedyś wybuchnie pełnym jasnym płomieniem. Przyszło to całkiem niespodziewanie. Domyślił się zapewne, że była to depesza o samobójstwie ojca. W chwili gdy mi ją doręczono, nie miałem kilku groszy na napiwek dla posłańca.

Zamyślił się i wpatrzył się w ogień.

— To było straszne — miękko dotknęła jego dłoni.

— Co mówisz? — ocknął się.

— Kocham cię, Pawle, za każdą godzinę twoich cierpień bardziej cię kocham...

Potrząsnął głową:

— Nie mów tego, Krzysiu, nie mów. Za chwilę możesz wyprzec się wszystkiego. Nie, nie zaprzeczaj...

— Pawle!

— Otóż słuchaj. Przyjechałem do Warszawy w łachmanach, przyjechałem wagonem trzeciej klasy za wyżebrane od pachciarza⁴⁵⁶ pieniądze. Dlaczego przyjechałem?... Nie wiem. Po prostu intuicja mówiła mi, że trafię na szczęśliwy moment, że po śmierci ojca wszyscy tu głowy potracą, że powstanie zamęt, panika, chaos... Nie omyliłem się. Nie omyliłem się również i w ocenie naiwnej przezorności matki. Nie dowierzała Jachimowskiemu, nie dowierzała ani Zdzisławowi, ani córkom. Wolała we wszystko wtajemniczyć mnie.

— W co wtajemniczyć?

— Przede wszystkim w powody samobójstwa mego ojca. Ale to późniejsza sprawa. Zaczę od tego, jak tu przyszedłem. Przyszedłem chyłkiem, jak złodziej. Matka sama otworzyła mi drzwi. Nie mógł mnie przecie nikt zobaczyć w tych łachmanach. Któż by wówczas miał do mnie zaufanie! Któż by powierzył mi objęcie interesów rodziny!

Uśmiech jego przeszedł w ostry szyderczy grymas.

— Matka tedy była pierwszą współniczką mego pierwszego oszustwa — dodał z naciśnięciem.

— Ależ jakiego oszustwa? — zdziwiła się.

— Najzwyklejszego. Pozwoliła mi przebrać się w ubranie ojca i oświadczyła rodzeństwu, że przyjechałem z Anglii wezwany przedśmiertnym listem ojca, że mieszkam w Liverpoolu, gdzie posiadam przedsiębiorstwo handlowe. Cóż na to poradzę, że ona jedna nie uważała mnie za wariata, no i że miała rację?... Wręczyła mi pozostałe po zmarłym papiery, papiery, których istnienie przed innymi zataiła. Z nich to dowiedziałem się, że zacyzny mój rodzic rozstał się z tym światem w najzupełniejszym porządku, że nie popełnił żadnego nadużycia.

— Jak to?

— Myślisz o tych dwustu tysiącach dolarów?

— Przecie sam przedstawiłeś tę sprawę memu ojcu? Pokazywałeś dokumenty?

— Tak, moja droga. Ojciec mój istotnie nielegalnie zaciągnął taką pożyczkę, lecz przed śmiercią spłacił ją do ostatniego grosza, spłacił ją całym majątkiem własnym i mego rodzeństwa. Po prostu sprzedał ich udziały.

— Nie rozumiem?

⁴⁵⁶pachciarz (daw.) — osoba dzierżawiąca coś od kogoś (np. karczmę); w daw. Polsce funkcję taką sprawowali zazwyczaj Żydzi. [przypis edytorski]

Paweł zaczął obszernie opowiadać o wszystkim. Przypominał jej dzień po dniu zdarzenia i pertraktacje z owego okresu. Z chłodnym spokojem mówił o podrabianiu przez siebie kwitów, listów bankowych, o wyludzaniu pieniędzy zarówno z fabryki, jak i bezpośrednio od jej ojca, o oszukaniu rodzeństwa, zawładnięciu kierownictwa firmy, o machinacjach z wykupieniem udziałów, o usuwaniu niewygodnych ludzi.

Słuchała tego półprzymtomna. Zdawało się jej, że lada moment Paweł roześmieje się pogodnie i powie, że cała ta okrutna spowiedź jest tylko najzwyczajszą mistyfikacją, żartem, jakąś próbą, tak, najoczywściej próbą jej miłości. Paweł jednak mówił dalej. Słowa jego padały jedno po drugim z nieubłaganą konsekwencją. Wyzierała z nich niedająca się obalić prawda.

Zakryła oczy dłonią i zaciskała zęby, by zmusić siebie do milczenia. Jakżeby chciała zawołać teraz:

— Ratunku! Ratunku! Ratujcie mnie przed tą potworną spowiedzią!

Nagle uderzyła ją myśl:

„On dlatego mówi mi to wszystko, by uwolnić się od mojej miłości, by uwolnić się ode mnie!... Chce, bym nabrała dłań pogardy...”

Straszny ból ścisnął jej serce. Opuściła rękę i spojrzała na Pawła. Twarz jego była kamiennie spokojna. Nie słyszała już jego słów, nie rozumiała ich treści. Tylko ten niski, równy głos, niewzruszony, bezlitosny, zimny.

Nie, nie mogła tego znieść dłużej, nie mogła. To było ponad jej siły. Przycisnęła pięści do uszu i krzyknęła:

— Dość! Dość! Nie mów!

Wówczas odwrócił z wolną głowę i spojrzał na nią.

Przeraziła się wyrazu jego oczu. Były prawie przezroczyste, bezbarwne, białe...

Wybuchnęła płaczem.

— No i co? — zapytał chłodno. — Teraz brzydzisz się mną?

— Och, jakie to okropne, jakie to straszne!... Pawle, po co, po co powiedziałeś mi to wszystko!

— Brzydzisz się mną? — powtórzył z naciskiem i jak się jej zdawało, z zadowoleniem.

— Dlaczego ty mnie nienawidzisz!? — Zerwała się i stojąc tuż przy nim, nerwowo zaciskała palce. — Dlaczego chcesz się mnie pozbyć!... Pawle!... Pawle!

Wzruszył ramionami:

— Bynajmniej... Chcę tylko, byś mnie znała.

— Ale ty nie jesteś taki! — wybuchnęła.

— Jestem.

Opadła na fotel i skuliła się, ukrywając twarz w dłoniach. Stał przy niej nieruchomy i po chwili powtórzył:

— Jestem taki. Jestem imitacją uczciwego człowieka, ale imitacją wykonaną precyzyjnie, mistrzowsko, wspaniale. Pierścionelek, który wrzuciłem do ognia, spełnił swoją rolę dzięki temu samemu. Był niezłym falsyfikatem. A teraz pomyśl, moja droga, czy zwróciłaś na mnie uwagę, gdybym zjawił się przed tobą w łachmanach, w nędzy, jako ostateczny bankrut życiowy? Co powiedziałabyś o mnie, gdybym przyjechał do Warszawy i usiłował wytłumaczyć twemu ojcu i memu rodzeństwu, że powinni mnie powierzyć kierownictwo fabryki? Wyśmiałybyś mnie razem z nimi! Prawda?... A przecie moja wartość była wciąż niezależna od mego wyglądu ani od opinii, jaką mnie szacowano przez długie lata, a przecie zawsze byłem tym samym genialnym finansistą, za którego teraz uważają mnie wszyscy!

Podniosła nań oczy. Stał nad nią z twarzą złą, surową, niemal groźną:

— Jaką wartość ma prawda? Jaką, do stu diabłów, wartość? Tylko tę, że się w nią wierzy! Jeżeli wierzy się w kłamstwo, staje się ono takąż prawdą, a świat chce wierzyć za wszelką cenę. *Mundus vult decipi*⁴⁵⁷. Musiałem popełnić cały łańcuch oszustw, by zdobyć opinię uczciwego człowieka. To wcale nie paradoks, to treść psychiki ludzkiej. Mówiłaś mi, że pociągnąłem cię ku sobie swoją siłą, potęgą... Czy gdybym ukazał ci się jako bezsilny i podeptany, mogłabyś mnie pokochać?... Powiedz!...

⁴⁵⁷*mundus vult decipi* (łac.) — świat chce być oszukiwany; pierwsza część maksymy *mundus vult decipi, ergo decipiatur*: świat chce być oszukiwany, więc niech będzie oszukiwany. [przypis edytorski]

— Tak, to prawda — szlochała — ale mogłeś dojść do tego samego drogą uczciwą!

— Możliwe. Temu nie przeczę, ale kwestia ta dla mnie w ogóle nie istniała i nie istnieje. Jest to kwestia... nomenklatury, nazwa i tyle. Gdybym w tak zwany uczciwy sposób doszedł do majątku, musiałbym i tak komuś ten majątek odebrać. Różnica polegałaby wyłącznie na legalności środków działania. No i na rozległości czasu. A to nie jest przecie istotne. Mniejsza zresztą o to... Pozostaje faktem, że wygrałem, że udowodniłem temu bydlu swoją wielkość, że stać mnie było nawet na to, by teraz przed tobą zdjąć maskę!

— Pawle!

— Brzydzisz się mną?

Potrząsnęła głową:

— Ja ciebie nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego mówisz mi to wszystko?

— Nie rozumiesz?... — przygryzł wargi. — O, moja droga! Dlaczego nie chcesz zrozumieć, że ja raz jeden, w stosunku do jednej jedynej istoty ludzkiej, chcę być człowiekiem? Że chcę podzielić się z tobą, właśnie z tobą tym, co według mnie jest moim bogactwem, tym, czym mogę ci zapłacić za twoją miłość, zdobyć ją dla siebie prawdziwego!...

W głosie Pawła dosłyszala jakąś nieznaną, gniewną, rozedrganą nutę. Po raz pierwszy odczuła, że naprawdę, że ponad wszelką wątpliwość przedstawia dla niego jakąś głębszą wartość, że oto zapragnął jej, że zapragnął jej bliskości. Była tak jeszcze oszołomiona, że po prostu nie mogła zebrać myśli:

— Tak, Pawle, tak, Boże mój... Nie rozumiem tylko, dlaczego postępowaleś w ten sposób?... Czy... czy... z chciwości?...

— Tak, naturalnie — potwierdził. — Z chciwości gry. Nie pieniędzy. Sama wiesz najlepiej, że pieniądze nie są mi potrzebne. Jeżeli chodzi o zaspokojenie moich wymagań życiowych, wystarczyłby mi w zupełności ten przeciętny kawałek chleba powszedniego. Nie. Pieniądze są dla mnie tylko środkiem, środkiem w gruncie rzeczy najubożniejszym, ale niezbędnym.

— Środkiem do czego?

— Do gry!

— I cóż ma być celem tej strasznej gry?

— Celem?... Władza! Potęga! Boskość!

— Pawle!

— Tak, boskość, bo rządzenie ludźmi, żonglowanie nimi jak kukielkami z celulo-
idu⁴⁵⁸, jak kolorowymi kulkami, to boskość, to słodycz wszechwładzy. Oto świat zmienia się w moją szachownicę. Oto mogę dowolnie manipulować figurkami bardzo ważnych, bardzo nadętych, bardzo szanownych bliźnich, ja, taki sam jak oni, a przecież stokroć od nich potężniejszy. Czy nie rozumiesz rozkoszy, jaką to daje?

Jego oczy iskrzyły się, a wargi drgały.

— Czy nie pojmujesz — mówił, pochylając się ku niej — że największą żądzą, żądzą, która odróżnia człowieka od zwierzęcia, jest żądza potęgi? Czy wiesz, że zaspokojenie tej żądzy musi dać najwyższą rozkosz? Że nie ma ofiar, które nie byłyby godne tej żądzy?

Głos Pawła zdawał się rozżarzać, rozplamniać. Nigdy dotychczas nie widziała go takim, nigdy dotychczas nie biła z jego oczu tak silna, aż obezwładniająca namiętność. Nie zdawała sobie sprawy ze słuszności jego argumentów. Wiedziała jedno: porywał ją, ogarniał, roztopiał w swym ogniu.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła ustami do ust. Półświadomie zapragnęła z-
środkować na sobie, wchłonąć, przepalić się tą wielką niepojętą żądzą, przywłaszczyć ją i stopić się w niej. Wziąć go takim potężnym, niepohamowanym, niezwykłym. Wtu-
lić, wgarnąć w siebie, opleść chciwym ciałem, spętać omdlewającymi mięśniami, posiąść każdym nerwem, każdym ścięgnem, oddechem i pragnieniem krtani, drżeniem piersi i tęsknotą bioder, skowyttem ofiary i spazmem zatrąty siebie w nim i jego w sobie... Złać

⁴⁵⁸celuloid — termoplastyczne, łatwopalne tworzywo sztuczne; dawniej powszechnie produkowano z niego przedmioty codziennego użytku, np. lalki, różne zabawki, piłeczki pingpongowe, błony fotograficzne. [przypis edytorski]

się w jedno krwią huczącą w skroniach, przepaść w jej czerwonym bulgocie, zginąć w jej falach zachlystujących świat...

Nigdy jeszcze tak go nie pragnęła, nigdy w najupalniejsze noce oczekiwania nie objawiła się jej tak oszołamiąca rozkosz... Nigdy taką pełnią nie czuła swego życia...

Na gruby miękki dywan padały ostatnie błyski. Pod siwym gorącym popiołem dogasał żar węgla na kominku.

ROZDZIAŁ VI

Aresztowanie inżyniera Ottmana odbiło się głośnym echem w prasie. Kable telegraficzne i fale radiowe rozniosły tę wiadomość we wszystkie strony świata. Podobizna wielkiego oszusta ukazała się na pierwszej stronie tysiąca dzienników.

„Kolosalna panama⁴⁵⁹ inżyniera Ottmana” — krzyczały tytuły — „Kauczuk syntetyczny jest bluffem⁴⁶⁰”... „Milionowa afera fałszywego wynalazcy”... „Oszust osadzony w więzieniu”...

W gabinecie Centrali Eksportowej Paweł Dalcz systematycznie przeglądał stopy gazet. Siedzący przed nim bład jak płótno Blumkiewicz raz po raz otwierał usta, chcąc coś powiedzieć, lecz wciąż mu brakowało odwagi. Wyczekiwał na moment, gdy Paweł podniesie wzrok znad szarych kolumn druku. Wreszcie wybuchnął:

— Ja nie mogę, panie prezesie, ja nie mogę!

Paweł zmarszczył brwi, lecz natychmiast roześmiał się:

— Nie bądź pan dzieckiem, panie Blumkiewicz. Ręczę panu, że nie posiedzisz w ciu-
pie⁴⁶¹ dłużej niż trzy, najwyżej cztery miesiące.

— Ja wolę już... uciec, ukryć się, bo ja wiem!...

— To głupio.

— Panie prezesie, ja wiem, ja panu wierzę, ja nawet niczego złego się nie spodziewa-
łem, ale co będzie, jeżeli, nie daj Boże, pana coś spotka?

Paweł wstał i poklepał go po ramieniu:

— Masz mnie pan za lekkomyślnego młodzieńca? Co?... Wstydzilibyś się, panie Blumkiewicz! Przypomnij pan sobie, co sam klarował Ottmanowi. Ten jest znacznie głupszy od pana, a jednak dał się przekonać.

— Może właśnie dlatego, że głupszy — z rezygnacją opuścił głowę Blumkiewicz.

— Mądrzejszy. Mówię panu, że mądrzejszy. Pan musi być również aresztowany. Jeden człowiek to za mało dla tłumu. Dziś zresztą aresztowano już chemika fabrycznego i pańskiego pomocnika. Oczywiście zwolnią ich po kilku dniach, ale pan musisz odpocząć w więzieniu aż do rozprawy.

Blumkiewicz wyjął kraciatą chusteczkę i wycierał nią oczy.

— Najlepiej pan zrobisz, jeżeli zaraz pojedziesz dobrowolnie do Urzędu Śledczego — spokojnie mówił Paweł. — To nawet niebezpieczne, że siedzisz pan tu u mnie. Mógł pana ktoś poznać.

— Ale po co, po co pan prezes kazał mnie aresztować? — rozpaczliwie zawołał Blumkiewicz, wyciągając patetycznie ręce. — Czemu nie uprzedził mnie pan o tym?!

— Dość tego — szorstko przerwał Paweł. — Wytłumaczyłem panu raz i powtarzać nie będę. Niech panu wystarczy, że gdybym podczas śledztwa doszedł do przekonania, że mnie samego dla dobra sprawy należy zamknąć, postarałbym się i o to. Zresztą nie żądam tego od pana darmo. Pół miliona piechotą nie chodzi.

Spojrzał na zegarek i dodał tonem rozkazu:

— Za dziesięć minut masz się pan zameldować w policji.

— Ottmanowi daje pan prezes milion — ociągał się Blumkiewicz.

— Jego rola jest bez porównania ważniejsza — wzruszył ramionami Paweł.

— Ale ja przez tyle lat służyłem rodzinie Dalczów, zdrowie straciłem, siły, a jeszcze teraz na starość w więzieniu mam siedzieć...

⁴⁵⁹panama (daw.) — wielkie oszustwo inwestycyjne; określenie pochodzące od największej afery gospodarczo-politycznej XIX w., związanej z działalnością francuskiej Kompanii Panamskiej, spółki akcyjnej założonej w celu zbudowania kanału w poprzek przesmyku panamskiego. [przypis edytorski]

⁴⁶⁰bluff a. blef — postępowanie mające na celu wprowadzenie kogoś w błąd. [przypis edytorski]

⁴⁶¹ciupa (pot.) — więzienie. [przypis edytorski]

— No, dobrze — skrzywił się Paweł — pomyślę o tym. Obiecuję panu, że pomyślę. Czy to panu wystarcza?

Na twarzy Blumkiewicza zjawił się uśmiech:

— Oczywiście wystarcza, panie prezesie, oczywiście. No trudno. Jak trzeba, to trzeba. Do widzenia panu prezesowi. Może pan być spokojny. Wszystko zrobię dokładnie.

Paweł podał mu rękę i odprowadził do drzwi. Teraz już wszystkie sprężyny były nkręcone i aparat musiał działać bez błędu. Przeświadczenie o tym nie znaczyło jednak bynajmniej, że Paweł mógł sobie pozwolić na krótki bodaj odpoczynek. Niemal z minuty na minutę należało czuwać nad realizacją precyzyjnie obmyślanego planu. Lada chwila można było spodziewać się z każdej strony niebezpiecznych podejrzeń. Wówczas przyszlaby konieczność tłumaczenia się, jeżeli nie przed władzami, to chociażby przed opinią publiczną, a tego należało za wszelką cenę uniknąć.

Zresztą większość pozorów przemawiała przeciw tym obawom. Od chwili gdy Paweł zażądał aresztowania Ottmana, cała prasa zajęła jednomyślne stanowisko po stronie znakomitego przemysłowca przeciw fałszywemu wynalazcy. Przenikające do wiadomości publicznej szczegóły śledztwa wzmagaly jeszcze bardziej oburzenie na Ottmana, który nieudolnie i wykrętnie tłumaczył się rzekomą nieświadomością w tak ważnej kwestii, jak w kwestii psucia się syntetycznego kauczuku. Mówił o jakimś błędzie, który musiał wkraść się do prac laboratoryjnych. Ładny błąd! Błąd ten przecie dziwnym wypadkiem zarwał Pawła Dalcza i finansistów zagranicznych na kilka milionów inwestowanych w bezwartościowym wynalazku, a człowiek, który ten „błąd” popełnił, kupił sobie wielką willę, urządził w niej kosztowne laboratorium (widocznie dla opracowywania dalszych fałszerstw) i rozbijał się własnym samochodem! Na wszystkim tym położył teraz rękę sędzia śledczy, by chociaż w części zabezpieczyć straty poszkodowanych.

Z drugiej strony asekurowało Pawła stanowisko Williama Willisa. Miliarder amerykański udzielił wywiadu, w którym wyraźnie oświadczył, że zarówno on sam, jak i pan Dalcz zostali oszukani przez nieuczciwego chemika. Zaznaczył przy tym, że obaj ponieśli straty dość dotkliwe.

Oczywiście mogło komukolwiek przyjść na myśl, że ci dwaj bogacze oszukali jednego biednego wynalazcę i zmusili go do odegrania haniebnej roli. Podejrzanie to jednak zjawiloby się tylko w wypadku, gdyby ktokolwiek wiedział o skupieniu przez nich akcji kauczukowych. W obecnym wszakże układzie sprawy, jeżeli podejrzewano ich o co, to o ukrywanie rozmiarów strat. Ogólnie bowiem przypuszczano, że straty muszą być tak wielkie, iż zachwieją finansami, jeżeli nie Willisa, to w każdym razie Dalcza. A nikt nie mógł wiedzieć, że w gruncie rzeczy straty były minimalne. Przede wszystkim akcje „Optimy” nie znajdowały się jeszcze na rynku. Poza tym nie dokonano ani jednej poważnej inwestycji. Placę zakupione pod budowę fabryk „Optimy” utrzymały swoją realną wartość, na zapasach terpentyny i kazeiny tracili raczej producenci tychże, gdyż nagłe zwolnienie wielkich zapasów obniżyło ceny.

Tymczasem oczekiwać należało jedynie wzburzenia w kołach byłych właścicieli akcji kauczukowych. Ci jednak siedzieli cicho. Najczynniejszy i najniebezpieczniejszy ze wszystkich, Brighton, nie żył. Inni stracili swoje majątki, a tym samym znaczenie. Zresztą nie mieli powodu do podnoszenia larum⁴⁶². Wbrew jednogłośnym przepowiedniom ekonomistów prasa gospodarcza zaobserwowała dziwne zjawisko: oto upadek „Optimy” bynajmniej nie wpłynął na zwykłą akcję kauczuku naturalnego.

Zjawisko to polegało wszakże na bardzo prostych przyczynach. Wszystkie akcje znajdowały się w rękach Dalcza i Willisa. W portfelach drobnych posiadaczy pozostały wprawdzie tu i ówdzie małe pakiety ocalałe zbiegiem okoliczności podczas niedawnej paniki, nie mogły one jednak wpływać na zwykłą kursu. Nie mogły tym bardziej, że na giełdach bynajmniej nie ustały transakcje w tych papierach. Gdyby wiedziano, że transakcje polegają na fikcyjnej wymianie akcji sprzedawanych dla pozorów przez jednych agentów Pawła Dalcza innym jego agentom — może by było znacznie gorzej. W obecnych jednak warunkach wszystko zdawało się gwarantować utrzymanie spokoju i doprowadzenie olbrzymiej afery do pomyślnego finału.

⁴⁶²larum (łac.) — alarm. [przypis edytorski]

Przez pewien czas opinia publiczna interesowała się uwięzionymi oszustami, inżynierem Ottmanem i dyrektorem Blumkiewiczem. Później uwaga jej zajęta została wysoce obywatelskim postąpieniem Pawła Dalcza, który nie bacząc na i tak poniesione straty, gorliwie zaopiekował się robotnikami zamkniętej fabryki, zapewniając im zarobek w innych przedsiębiorstwach.

Z tym wszystkim Paweł zajęty był pracą po uszy. Z trudem tylko mógł wyrwać się na dwa dni do Paryża. Wyjazd ten jednak był nieodzowny ze względu na konieczność osobistego porozumienia się z Willisem, który w tym właśnie celu przyjechał do Europy.

Układ między nimi został zawarty według dawno omówionych zasad ogólnych. W rękach Willisowi miał pozostawać cały przemysł przetwórczy w Ameryce Południowej, Północnej, w Afryce, Australii i Azji, Pawłowi zaś przypadał wytwórczy na całym świecie i przetwórczy w Europie.

W małej willi na jednym z przedmieść paryskich w ciągu niemal doby bez przerwy toczyły się pertraktacje i nikt by nie był przypuścił, że podzielono tu na dwie części jedną z najważniejszych gałęzi przemysłu.

Wszystko odbyło się jak najciszej, bez najmniejszego rozgłosu. Ponieważ zaś nie dało się ukryć przyjazdu do Paryża dwóch tak wybitnych ludzi interesu, ograniczyli się oni do podania prasie wiadomości, iż celem spotkania było przekazanie przez Willisowi generalnego zastępstwa swoich przedsięwzięć na stary kontynent. Nie mijają się to zresztą z prawdą. Willis od pierwszego spotkania z Pawłem poznał się na jego geniuszu finansowym i nabrał doń zaufania. Przeprowadzenie olbrzymiej afery kauczukowej jeszcze bardziej utwierdziło między nimi stosunek wzajemnej życzliwości.

— Gdybyś chciał mnie wystrychnąć na dudka — powiedział pewnego razu Willis, odsuwając kwit podany mu przez Pawła — zrobiłbyś to już dawno. Między nami te świstki są niepotrzebne.

— Dziś nie mam tego zamiaru — roześmiał się Paweł — ale bądź ostrożny. Mogę zmienić projekty!

— Mój drogi — wyduł wargi Amerykanin — pozwól, że ci przypomnę przysłowie polskie, którym mnie kiedyś częstowałeś: lepiej z mądrym stracić, niż z głupim zarobić. Ale mam wrażenie, że my we dwójkę nie stracimy, co, stary?

— Nie mam żadnych w tym względzie obaw — z przekonaniem potwierdził Paweł i jednocześnie pomyślał:

„Przekonasz się, głupcze, że przysłowie się sprawdzi”.

Istotnie Paweł miał teraz w ręku wszystkie atuty, by porządnie oskubać Willisowi. Jadąc do Paryża, nawet nie przypuszczał, że tyle zdoła uzyskać. Mówiąc po prostu, Willis sam dobrowolnie wszedł w ślepią uliczkę, zdając się na łaskę i niełaskę Pawła. Oddanie mu całego przemysłu wytwórczego nie było przecież niczym innym, jak stworzeniem monopolu produkcji surowca, monopolu, od którego przemysł przetwórczy zależny był pod każdym względem.

— Co za głupiec, co za głupiec — powtarzał Paweł, rozmyślając o tym nie tylko ze zdumieniem, lecz i z pewną dozą niezadowolenia.

Irytowała go naiwność dotychczasowego współnika i obiecywał sobie należycie go za tę lekkomyślność ukarać. Ukarać chociażby za rozczarowanie, jakie sprawił. Paweł spodziewał się gry o wiele ciekawszej i bardziej wyrafinowanej. Miał opracowany plan podziału zdobyczy wprawdzie również na swoją korzyść, lecz korzyść ta była starannie ukryta. Polegała ona na drobniogowo przewidzianych szczegółach praktycznych, jak względna i faktyczna opłacalność produkcji w różnych obiektach, jak koszty transportów, podatków, cła i robocizny. Większą też czułby satysfakcję, gdyby w Willisie spotkał gracza godnego siebie i pomimo to osiągał nad nim przewagę. Takie zwycięstwo było zbyt łatwe.

Do uzyskania tego zwycięstwa dopomógł wprawdzie Pawłowi jego stale używany a niezawodny sposób. Mianowicie w trakcie wstępnych rozmów o podziale zdobyczy nadmienił, że jest do zrobienia interes znacznie większy i znacznie lepszy.

— Na przykład? — zainteresował się Willis.

— Nie będę przed tobą robił z tego tajemnic, gdyż wierzę, że zabierzemy się do tego na spółkę. Czy wiesz, że jestem właścicielem Centrali Eksportowej?

— Owszem, wspomniałeś o tym.

— Więc dzięki tej Centrali jestem w dość bliskim kontakcie z rządami szeregu państw mniejszych. Zwłaszcza w środkowej i we wschodniej Europie. Państwa te dałoby się porównać z przedsiębiorstwami o fatalnej gospodarce. Mają rozdęte budżety i cierpią na stały głód gotówki. Ręczę ci, że w danej chwili w Paryżu bawi przynajmniej pięć różnych delegacji z Węgier, Łotwy, Czechosłowacji i tak dalej, starających się wydębić grubsze pożyczki. Procent, jaki te rządy gotowe są płacić, w stosunkach amerykańskich, a nawet zachodnioeuropejskich jest kolosalny. Nic jednak dostać nie mogą lub prawie nic, gdyż nikt tu nie uważa takiej lokaty za pewną.

— Poniekąd mają rację — przerwał Willis.

— Ale tylko poniekąd. Zabezpieczenie bowiem można znaleźć zupełnie pewne i ja je znalazłem.

— No, chyba nie zabezpieczenie przeciw wojnie? — zaśmiał się Amerykanin.

— Nawet i to — z tajemniczą miną odpowiedział Paweł. — Teraz jeszcze nie powiem ci tego, gdyż chcę najpierw rzecz gruntownie zbadać. Jednakże bądź przekonany, że bez ciebie do tego nie przystąpię. Na to masz moje słowo.

Wypowiedział to takim tonem, jakby już samo przyrzeczenie było wielkim dowodem życzliwości brzemiennej w grube dochody.

Willis jednak nie mógł powstrzymać ciekawości i zaczął wypytywać o szczegóły. Projekt tak go zafrapował, że często podczas rozmowy o podziale plonów afery kauczukowej powracał do tamtego tematu. Paweł sam, ilekroć obie sprawy dały się zazębić, umiejętnie wtrącał różne informacje.

Mówił na przykład:

— Do wpływania na przemysł samochodowy trzeba będzie stworzyć bank. Zarys jego konstrukcji mam gotowy. Co powiedziałbyś o wydzierżawianiu w różnych krajach podatku drogowego i utrzymania dróg w połączeniu z koncesją na wyłączne prawo handlu samochodami?... To nie jest zła myśl, zważywszy iż od jakości nawierzchni zależy zużycie opon. Kwestia konsumpcji zwiększanej lub zmniejszanej w razie potrzeby. Otóż bank ten będzie miał i inne, znacznie szersze zadania. Weź pod uwagę chociażby to, że drobny kapitał, który nie ma zaufania do obligacji państw narażonych na ewentualną wojnę, obligacje takiego banku rozchwyta bez najmniejszej obawy. A teraz uwzględnij różnicę oprocentowania! Minimum pięć procent czystego zysku bez żadnego ryzyka i bez wkładania własnych kapitałów! A do tego jeszcze dodać należy liczne rodzaje koncesji, jakie za udzielenie pożyczki da chętnie, byle po cichu, każdy rząd.

— Dlaczego po cichu? — interesował się Willis.

— Ze względów wewnętrznych⁴⁶³. Wszyscy oni gotowi są na każde ustępstwo, byle zdobyć wśród swoich obywateli uznanie za uzyskanie pożyczki, wyglądającej względnie tanio.

I o tym projekcie myślał Paweł zupełnie poważnie. Jeszcze przed powrotem do Warszawy przeprowadził w Paryżu i w Berlinie szereg rozmów z wybitniejszymi finansistami. Minęły już dawno te czasy, kiedy dla zobaczenia się z jakąś grubszą rybą musiał tracić wiele wysiłków i używać najrozmaitszych wybiegów. Międzynarodowa finansjera doskonale już teraz wiedziała, kim jest Paweł Dalcz i jak należy cenić bliższe z nim stosunki.

Rozrastający się do potwornych rozmiarów zasięg jego interesów zmusił go do otwarcia we wszystkich większych stolicach swoich agentur. Sieć ta nie była wszakże dostrzegalna dla niewtajemniczonych z tej prostej przyczyny, że poszczególne agentury występowały pod najróżnorodniejszymi firmami. Każda była pozornie oddzielnym i niezależnym przedsiębiorstwem. Nawet zbadanie jej rejestru handlowego nie zawsze przydałoby się dla ustalenia jej właścicieli, bowiem w niektórych tylko figurowało nazwisko Pawła jako prezesa, dyrektora czy członka zarządu. W istocie wszystkie zależały wyłącznie od niego, gdyż były albo ukrytymi filiami jego przedsiębiorstw, albo tych firm, w których ostateczne słowo należało do niego.

Na pomysł ten Paweł wpadł już przed wielu laty, obserwując komplikacje bilansowe i trudności kredytowe przedsięwzięć nierozporządzających dostatecznym kapitałem obrotowym. Wygody ten system dawał nieocenione, kosztując prawie grosze. Przede

⁴⁶³wewnętrzny — dziś: wewnętrzny, dotyczący polityki wewnętrznej państwa. [przypis edytorski]

wszystkim dzięki niemu Paweł Dalcz zawsze mógł rozporządzać ogromnym portfelem wekslowym. Każda z kryptoagentur wystawiała na telegraficzne zlecenie żadaną sumę weksli, każda przyjmować mogła na swą odpowiedzialność gwarancję kredytów udzielanych przez banki innym kryptoagenturom. Natomiast w razie nagłych tarapatów płatniczych jednej z wielu w ten sposób współpracujących placówek, Paweł zawsze mógł na czas wydobyć potrzebne kwoty, lukę załatać i tym samym podnieść prestiż zagrożonej, zdawałoby się, instytucji.

Miało to jeszcze i tę zaletę, że z państw o wysokiej skali podatku dochodowego bez trudu można było przenosić te dochody do państw, gdzie podatek był mniejszy. Po prostu w księgach jako dostawca na przykład surowca figurowała jedna z kryptoagentur, a że ceny jej płacone przez agenturę w państwie drogim były niewspółmierne do cen rynkowych, na to już urzędnicy podatkowi nie zwracali uwagi, jako na szczególnie nieobchodzący władz skarbowych.

Sam Paweł tłumaczył budowę sieci tych firm Krystynie w ten sposób:

— Jest to system, który kiedyś powinien być nazwany przez ekonomistów systemem lustrzanym. Polega on na uwielokrotnieniu kapitału jakby przy pomocy licznych odzwierciedleń. Oczywiście sam kapitał pozostaje bez zmiany, lecz stwarza się pozór jego kilkukrotnego powiększenia. Pozór, no i rzecz ważniejszą: dochód z obrotu, dochód! Oto co zbieram z tych luster. Osiada na nich, zapewniam cię, takimi grubymi warstwami, jakby osiadał na prawdziwym, konkretnym kapitale.

— Ale w tym stanie rzeczy ty po prostu nie masz możliwości stwierdzenia, ile wynosi twój majątek!

Roześmiał się z taką miną, jakby ktoś mu powiedział, że figiel przez niego splatany udał się bez zastrzeżeń:

— A nie wiem! Nie wiem, moja kochana, i wcale mnie to nie dręczy. Przeciwnie. Jestem kontent⁴⁶⁴. Realna wartość tego, co posiadam, dochodzi teraz do miliarda dolarów.

— Boże...

— Ale dysponuję czterema z górą.

— Przecie to jest przerażające! — Splotła ręce i przyglądała się mu szeroko otwartymi oczyma. Dostrzegł w ich wyrazie podziw, ale i jakiś lęk.

— Jest jednak i zła strona tego systemu — potrząsnął głową. — Mój realny miliard nie wystarczyłby na pokrycie nierealnych czterech w razie czegoś nieprzewidzianego, jakiejś wielkiej katastrofy gospodarczej, zbyt nagłego wybuchu wojny, czy czegoś w tym rodzaju. Jednakże w przeciągu kilku lat tak rzeczy ugruntuje, że będę na wszystko przygotowany. Wymaga to tylko trzech rzeczy, że przekręcę słowa Bismarcka⁴⁶⁵: Pracy, pracy i jeszcze raz pracy⁴⁶⁶.

Toteż pracował. Sam dawniej nie wyobrażał sobie, by jeden człowiek mógł podolać takiemu ogromowi pracy. Mnożące się z dnia na dzień, niemal z godziny na godzinę, interesy i przedsiębiorstwa, którymi musiał kierować, wyrastające ze wszystkich stron trudności i komplikacje, które należało usuwać, dostrzegane co moment niedokładności i błędy podwładnych — wszystko to pożerało czas z niewiarygodną szybkością. Ponieważ zaś doba wciąż miała tylko dwadzieścia cztery godziny, trzeba było wreszcie zrezygnować z dotychczasowej metody pracy. Zmiana ta dużo kosztowała Pawła. Decydowała tu nie tylko jego pasja wnikania osobistego w najdrobniejsze poruszenia kierowanego przez siebie wielkiego mechanizmu, lecz i przeświadczenie, że tylko w ten sposób może być pewien sprawnego funkcjonowania wszystkich kółek, trybików i przekładni, a tym samym wyników działania całości. Obecnie zaś musiał zrezygnować z pomniejszych spraw, związując wykonanie ich podwładnym, do których bynajmniej nie nabierał przez to więk-

⁴⁶⁴kontent — zadowolony. [przypis edytorski]

⁴⁶⁵Bismarck, Otto von, właśc. Otto Eduard Leopold von Bismarck-Schönhausen (1815–1898) — niem. polityk konserwatywny, jako premier Prus doprowadził do zjednoczenia państw niemieckich, w powstałej Drugiej Rzeszy pełnił funkcję kanclerza. Prowadził pozbawioną sentymentów politykę z pozycji siły, zyskując miano Żelaznego Kanclerza. [przypis edytorski]

⁴⁶⁶Wymaga to tylko trzech rzeczy, że przekręcę słowa Bismarcka: Pracy, pracy i jeszcze raz pracy — trawestacja powiedzenia: „Żeby prowadzić wojnę potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy”, przypisywanego najczęściej Raimondowi Montecuccolemu (1609–1680), cesarskiemu feldmarszałkowi i teoretykowi wojskowości. [przypis edytorski]

szego zaufania. Najgorsze było to, że w miarę rozrostu skali jego interesów coraz większe schodziły do rangi owych pomniejszych.

Nie wyrzekł się tylko jednego: najzupełniej osobistego załatwiania bodaj najdrobniejszych spraw, których przeprowadzenie znajdowało się pod jakimkolwiek względem w sprzeczności z przepisami prawnymi. Tu nie ufał nikomu. Dlatego drukarnia ręczna w jego gabinecie domowym, dlatego zamknięte w kasie ogniotrwalej najróżnorodniejsze pieczęcie, stemple, blankiety i gotowe już dokumenty nigdy nie były dla nikogo dostępne. Godziny drogiego, nieludzko drogiego czasu musiał nieraz marnować na przygotowanie różnych papierów, które pierwszy lepszy zakład drukarski i każdy grawer za grubsze pieniądze mógłby sporządzić na skutek minutowej rozmowy. Paweł wołał jednak nie dopuszczać nikogo do wejścia w centrum swojej kuchni. Nawet tych kilku najbliższych współpracowników, których nie mógł nie wtajemniczyć w te i owe posunięcia, kolidujące z kodeksem karnym, zawsze starał się jednocześnie związać udziałem w machinacji, a poza tym mieć kompromitujące ich wiadomości.

Na ogół nie przedstawiało to zbyt trudnego zadania. Stosunkowo najwięcej miał kłopotu z tym głupcem Ottmanem, by skłonić go do przyjęcia wyznaczonej mu roli. Na szczęście chemik w końcu uległ perswazjom Marychny. Gdy już raz ustąpił, musiał zgodzić się na odegranie swej roli do końca ściśle według dyspozycji Pawła.

Różne okoliczności złożyły się na to, że trzeba było przesunąć datę procesu o dalsze trzy miesiące. Gdy wreszcie rozprawa została wyznaczona, wszystko już było w najdrobniejszych szczegółach gotowe.

Same władze postarały się o to, by procesowi nie nadawać rozgłosu. Bądź co bądź była to kompromitacja polskiego wynalazcy wobec wielu przemysłowców zagranicznych, poważnie na „aferze Ottmana” poszkodowanych. W ich oraz we własnym imieniu występował przez swego adwokata Paweł z powództwem cywilnym o czterysta kilkadziesiąt tysięcy złotych tytułem poniesionych strat.

Rozprawa odbyła się w ciągu jednego dnia w sali prawie pustej, gdyż jednocześnie rozpoczynał się wielki i bardzo sensacyjny proces o morderstwo na tle erotycznym. Prasa, a z nią i publiczność zbyt były zajęte tamtym, by zbytnio interesować się sprawą bądź co bądź odleżałą i przycichłą.

Powołani w charakterze ekspertów chemicy w zasadzie potwierdzili słuszność głównego motywu obrony oskarżonego Ottmana. Było rzeczą zupełnie możliwą, iż wynalazca miał podstawy do uwierzenia w dobroć swego kauczuku syntetycznego. Ponieważ zaś liczni świadkowie stwierdzili, że istotnie część wyprodukowanego kauczuku „Optima” miała wszystkie zalety kauczuku prawdziwego, nikt zaś, nie wyłączając biegłych, nie umiał wytłumaczyć przyczyn, dla których później kauczuk „nie wychodził” — sądowi nie pozostało nic innego, jak uznać dobrą wiarę oskarżonego. Ponieważ zaś oskarżony zgadzał się zwrócić poszkodowanym poniesione straty, oddając im to, co mu za wynalazek zapłacili, oceniona⁴⁶⁷ również została i jego dobra wola. Wyrok oczywiście ku obopólnemu zadowoleniu stron był uniewinniający. Blumkiewicza zwolniono już dawniej.

Ma się rozumieć, że kwotę powództwa musiał wyłożyć z własnej kieszeni Paweł Dalcz i dodać do niej jeszcze okrągłą sumkę, jako odszkodowanie obiecał Ottmanowi za przyjęcie na siebie przykrej roli oszusta na czas siedmiu miesięcy.

— No, chyba nie stracił pan na swoim wynalazku? — sarkastycznie zapytał go Paweł, wręczając mu nazajutrz gruby plik banknotów.

Ottman spojrział nań ponurym wzrokiem:

— Nie straciłem?... Tak się panu zdaje. Straciłem więcej, niż wolno mi było stracić. Straciłem uczciwość!

— Ale za dobrą gotówkę! Nikt zresztą o tym nie wie.

— Ja wiem, to mi aż nadto wystarcza — opuścił głowę Ottman.

Paweł przyglądał mu się z uśmiechem politowania. Zawsze wprawiało go w przykre zdziwienie to, tak częste u ludzi, przywiązywanie niepomiarne wielkiego znaczenia do kwestii etyki, pojęcia przecież na wskroś umownego, warunkowego, zależnego chociażby od szerokości geograficznej, od mody czy od widzimisię kilku jegomościów, wydających ustawy. Uważał to za brak zdolności indywidualnego rozumowania, za słabość

⁴⁶⁷ oceniona (...) została i jego dobra wola — tu: doceniona. [przypis edytorski]

i symplifyzm⁴⁶⁸ duchowy. Oczywiście nie znaczyło to, by zaprzeczał potrzebie istnienia pewnych form, pewnych ceremoniałów obcowania, składających daninę przesądom moralnym. Uważał jednak, że robienie z nich treści jest tylko paradoksem, zakłamaniem, w którym grzęzną prostaczowie. Nie wątpił też, że każdy z nich po paru doświadczeniach życiowych sam będzie wyśmiewać siebie. Taką też przepowiednię pożegnał Ottmana.

I tak przebrzmiała i w gruncie rzeczy od dawna załatwiona sprawa „Optimy” zbyt wiele pochłonięła czasu. Trzeba jednak było te formalności prawne pozalać. Paweł nie cierpiał zostawiać za sobą rzeczy nieukończonych. Tymczasem zaczynało się tyle nowych!

Przed wszystkim sieć agentur rozrastała się i musiała rozrastać się stale. Różnorodność oczek tej sieci stawała się coraz bardziej skomplikowana w miarę komplikacji zasięgu rozmaitych interesów Pawła. Były wśród nich firmy budowlane, biura techniczne, fabryki i towarzystwa transportowe, domy towarowe i kantory bankierskie, zakłady przemysłowe, firmy wydawnicze, asekuracyjne⁴⁶⁹, leśne, kopalniane, eksploatacyjne, terenowe, kolonizacyjne, wszelkiego zakresu i wszelkiego kalibru, występujące pod najróżniejszymi szyldami, pisanyymi w najrozmaitszych językach. Administracja tej maszyny zatrudniała w centrali kilkuset urzędników, a przecież stanowiła zaledwie połowę pracy, jaka w rezultacie uderzała o biurko Pawła nieustannymi falami.

Po wielkim krachu kauczukowym i zaburzeniach w przemyśle przetwórczym produkcja kauczuku zaczęła wzrastać w szybkim tempie. Paweł nie omylił się. Odprężenie przeszło nawet oczekiwania dobrze obeznanego z rynkiem Williisa. Resztki niewykupionych akcji zwykowały z dnia na dzień. Konsumpcja wracała do pełnej normy. Pomimo to Paweł uznał za konieczne osobiste zlustrowanie głównych ośrodków plantacji kauczukowych. Jak mówili jego bliżsi współpracownicy, miał „srocze oko”. Polegało to na wyjątkowej zdolności czy też na zdumiewającym szczęściu wyłapywania w kilometrowych kolumnach cyfr i w stertach raportów tych właśnie miejsc, na których zamaskowaniu autorom mogło zależeć, tych błędów w gospodarce, niekonsekwencji czy niedopatrzeń miejscowych dyrektorów. Dzięki swej fenomenalnej pamięci i owemu sroczemu oku szybko doszedł do wniosku, że dochodowość plantacji brazylijskich jest niewspółmierna do ich wartości. Ze zaś w grę wchodziły nie byle jakie sumy, postanowił rzecz zbadać na miejscu.

Nawet było mu to poniekąd na rękę i w całym szeregu spraw innych. Zrobił właśnie kilka pociągnięć, które mogły wywołać niezadowolenie w krajowych sferach rządowych, w kołach kapitalistów holenderskich, a także i w administracji interesów samego Williisa. Tu przeprowadził nieoczekiwane trzy grubsze operacje finansowe, Williisa zaś uderzył po kieszeni wymówieniem udziału w kosztach ubezpieczenia transportów surowca. Była to pierwsza próba pokazania Amerykaninowi pazurów, zrobiona nie tyle dla doraźnej korzyści, ile dla nastraszenia go na przyszłość i wytargowania lepszych warunków przy organizacji Banku Pożyczek Międzynarodowych. Na okręcie i podczas podróży brazylijskiej zawsze będzie miał możliwość porozumiewania się z podwładnymi, a także i możliwość nieotrzymania tych depeesz, których nie zechce.

Wróciwszy do domu wcześniej niż zwykle, zastał Krystynę przy kolacji i swoim zwyczajem zaczął jej wykładać cel i korzyści takiej podróży.

— Wyjeżdżając jutro pociągiem o czwartej trzydzieści — zakończył — zdążę w sam raz do Genui na „Tripolitanię”, odpływającą wprost do Rio de Janeiro.

— Jak to, już jutro, Pawle?...

Powiedziała to tak dziwnym głosem, że podniósł oczy znad talerza i przyjrzał się jej uważnie. Była wyjątkowo blada i oczy miała szeroko otwarte.

— Co ci się stało? — zapytał.

Usta jej drżały, gdy mówiła:

— Ja rozumiem, że jest to potrzebne... że to jest ważne... Ale podróż taka... Pawle, znowu nie będzie cię tak długo!... Pawle, będę znowu czekała na ciebie miesiąc, a może i więcej... Jakże to okropne!

— No, nie trzeba przesadzać — stropił się nieco. — Zaraz okropne! Sama, Krysienko, widzisz, że podróż jest konieczna.

⁴⁶⁸symplifyzm (z łac. *simplex*, *simplicis*: prosty) — nadmierne upraszczanie i spłykanie. [przypis edytorski]

⁴⁶⁹zakład asekuracyjny — instytucja ubezpieczeniowa. [przypis edytorski]

Nic nie odpowiedziała. Bąknął jeszcze kilka zdań wytłumaczenia i umilkł również. Było mu przykro. Gdy przeszli do salonu, pociągnął ją ku sobie i posadził na kolanach. Nie opierała się, nie zrobiła żadnego ruchu obrony, a przecież odczuł doskonale, że zrobił to wbrew jej woli. Pozwalała się całować i sama całowała go jak zwykle, a przecież wiedział, że zadaje sobie przymus.

Spostrzegł to po raz pierwszy. Zawsze przyjmowała każdą jego pieśczętę z taką radością, z taką jakby wdzięcznością. Rozpromieniała się przy każdym cieplejszym słowie, a gdy mówił jej o swoich planach, gdy dzielił się z nią myślami o ludziach i zdarzeniach, wsłuchiwała się ze skupioną uwagą i z nieukrywany zachwytem. Wprawdzie ostatnimi czasy coraz rzadziej mogły zdarzać się chwile rozmów, no a pieśczęt jeszcze rzadziej.

Wracał do domu bardzo zmęczony i kładł się do łóżka, usypiając natychmiast. Gdy przychodziła powiedzieć mu dobranoc, najczęściej już tego nie słyszał lub tylko przez sen czuł jej pocałunek na ustach i orientował się, że wychodzi na palcach, gasząc światło.

W tym stanie rzeczy nie widział nic nienormalnego. Wiedziała przecie doskonale, jak wiele pracuje, i nie mogła mu robić żadnych zarzutów. Cały swój wolny czas jej poświęcał, nie dzielił go z nikim innym, a że tego czasu było coraz mniej, to nie zależało przecież od jego woli.

Dziś jednak po raz pierwszy wydało mu się, że w sposobie zachowania się Krystyny jest jakby ton hamowanego wyrzutu. Najpierw zdziwiło go to, później zirykowało, a później napełniło współczuciem. Rzeczywiście odjeżdżał na dwa prawie miesiące i zostawiał ją samą. Wprawdzie prowadziła teraz samodzielnie Zakłady Przemysłowe Braci Dalcz i wiele miała z tym roboty, jednakże należało wziąć pod uwagę, że jest kobietą i że jej ambicje nie tylko w tym kierunku mogą znaleźć zaspokojenie. Początkowo przyszło mu na myśl wciągnięcie jej do własnej pracy, wydało mu się to wszakże czymś nieodpowiednim, niestosownym, może nawet krzywdzącym. Zdziwiła go własna refleksja, lecz wytłumaczył się przed sobą krótkim: „tak będzie lepiej”.

Tego wieczora miał jeszcze sporo roboty. Postanowił pomimo to spędzić czas z Krysią. Nie czuł się winowajcą, lecz uważał, że musi jej, a poniekąd także i sobie wynagrodzić długie rozstanie.

Zaproponował pójście do kabaretu:

— Tak dawno nigdzie nie byliśmy razem. Trochę się rozerwiesz.

— Nie — odmówiła stanowczo. — Sam wspominałeś przy kolacji, że masz moc pracy.

— Załatwię to później — powiedział bez przekonania.

— Nie, Pawle, nie chcę w najmniejszym stopniu być ci zawadą. Przepraszam cię też za moje impulsywne odezwanie się o twoim wyjeździe. Gdybym zastanowiła się nad tym, na pewno przyznałabym ci od razu słusność.

— Jesteś bardzo rozumna i bardzo dla mnie dobra — przytulił ją.

— Idź już do pracy — odpowiedziała, całując go w czoło. — Kwadrans po dziesiątej.

— Już tak późno? — zerwał się. — Mam istotnie pilne rzeczy... Ale... W ciągu dwóch godzin załatwię to. Przyjdź do mnie... musimy się pożegnać...

Zaśmiała się, jakby z przymusem:

— O, nie. Musisz wypocząć, następną noc spędzisz w wagonie, a w wagonie źle sypiasz. Zresztą wczoraj wróciłeś do domu po trzeciej, a wstałeś o siódmej. Trzeba się wyspać.

— Przyjdź...

— Nie, nie. Dobranoc.

Wycalaował ją serdecznie i poszedł do siebie. Przebijając się w pidżamę i przygotowując maszynę drukarską, rozmyślał przez pewien czas nad swoim stosunkiem do Krystyny, wkrótce jednak pochłonęła go praca.

Było już po północy, gdy wykapał się i położył do łóżka. Bardzo był zmęczony. Jeszcze przez chwilę siłą inercji⁴⁷⁰ mózg roił się od myśli, lecz te zaczynały się gmatwać, jałowić, wiotzczyć. Ogarniał go spokój, cisza, zapadał głęboko w sen.

Przed samym uśnięciem usłyszał lekki stuk klamki i ciche kroki na dywanie. Półprztomnie zdawał sobie sprawę z tego, że to ona przyszła... Więc jednak przyszła... Kocha

⁴⁷⁰inercja — bezwładność. [przypis edytorski]

go bardzo... jest tutaj, pochyla się nad nim... Trzeba otworzyć oczy, trzeba jej chociaż podziękować za jej dobroć...

Powieki jednak były tak ciężkie, że wprost nie było sposobu dźwignąć tego ciężaru. Wciągnął głębszy oddech i zasnął.

Nazajutrz obudzono go o świcie. W należącej do niego kopalni „Nexos” stała się wielka katastrofa. Wskutek tektonicznego osunięcia się warstw węgla stu kilkudziesięciu robotników zostało odciętych od świata. Ratunek jest mało prawdopodobny... Co robić?

Wydał dyspozycje. Nie żałować pieniędzy, przedsięwziąć bodaj najkosztowniejsze próby ratunku. Rodzinom wypłacić podwójne odszkodowanie... Czuł się tu bezsilny i to napępniało go niezadowolaniem z samego siebie.

Nie mogło to wszakże wpłynąć na odłożenie podróży i przed samym odejściem pociągu Paweł zjawił się na dworcu kolejowym wraz ze swoją podrózną ekipą, składającą się z dwóch sekretarzy i stenotypistki. Czas bowiem spędzany w drodze nigdy nie oznaczał u niego odpoczynku. Przeciwnie. W oderwaniu się od bezpośredniego kontaktu z ludźmi cały szereg spraw przedstawiał się przejrzyściej, wskutek czego myśl mogła pracować sprawniej i intensywniej. Zjawiały się nowe kombinacje i rozwiązania.

Na każdej większej stacji jeden z sekretarzy wysyłał pliki depezy i listów, podczas gdy drugi przygotowywał następne. Rzadko próżnowała maszyna stenotypistki. Na okręcie wprawdzie nie pisało się listów, za to jednak radiodepesze wydłużały się bardzo, a poza tym pisało się najróżnorodniejsze memoriały⁴⁷¹, instrukcje, statuty i sprawozdania. Należenie do podróźnej ekipy Pawła Dalcza nie było przyjemnym odpoczynkiem.

Tym razem roboty było jeszcze więcej niż zazwyczaj. Organizował się właśnie Bank Pożyczek Międzynarodowych w Brukseli i Paweł lwiał część czasu poświęcał tej sprawie. Miał to przecie być arcytwór jego życia.

Pomimo wszystko zaraz za Gibraltarem musiał pracę przerwać. Duży, trzydzieści tysięcy ton liczący okręt skakał jak piłka. Fala dochodziła do jedenastu metrów, niepodobna było pisać. Zresztą po godzinie jeden z sekretarzy zaczął chorować, a drugi dostał ataku sercowego. Nadspodziewanie tylko stenotypistka trzymała się dobrze. Nawet rozbawiło ją to kołysanie, przy którym człowiek musiał zataczać się jak pijany i chwytac się poręczą, by nie upaść. Śmiała się i było jej z tym tak ładnie, że Paweł zapytał:

— A nie boi się pani?

— Czego, panie prezesie?

— No, że zatoniemy. Nie zostawiła pani w Warszawie nikogo, kto będzie panią opłakiwał? Narzeczonego, kochanka?

Zdetonowała się⁴⁷². Paweł nigdy ani jednym słowem nie upoważniał swego personelu do wszczynania rozmów.

— Nie, panie prezesie — zacerwieniła się.

— Nie?... To dziwne.

Widział, że chciała coś powiedzieć, lecz nie ma odwagi.

— Dziwne, bo pani jest młoda i ładna... Hm... bardzo ładna — dodał z tonem odkrycia.

Istotnie dotychczas tego nie spostrzegał. Nie miał zwyczaju przyglądać się ludziom pod innym kątem widzenia niż wyrobienia sobie opinii o inteligencji, etyce i psychice osobnika, z którym miał jakikolwiek interes.

— Pan prezes zbyt łaskaw — zarumieniła się jeszcze bardziej.

— Po prostu konstatuję fakt... No, niechże pani powie, czy mnie nie wolno tego zauważyć?

— Owszem — zdobyła się na odwagę — tylko pana prezesa to zupełnie nie interesuje...

— Tak pani myśli?

— O — dodała pośpiesznie — ja nie o sobie... Ale pan prezes w ogóle na kobiety nie zwraca uwagi.

Roześmiał się:

⁴⁷¹memoriał (z łac.) — oficjalne pismo zawierające wyjaśnienie sprawy lub uzasadnienie prośby. [przypis edytorski]

⁴⁷²zdetonować się — speszyć się, zmieszać się, stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

— Moja droga pani, a kiedyż ja mam czas na to!

— Każdy ma na to czas, na co chce mieć — odpowiedziała sentencjonalnie.

Spojrzał na zegarek i powiedziawszy jeszcze kilka zdawkowych zdań, wyprawił ją spać. Sam zasnąć nie mógł.

Najpierw rozmyślał o tej zabawnej stenotypistce. Gdy dyktował, miał zwyczaj patrzeć na ołówek stenografującą, a ona miała ręce prawie takie jak Krystyna...

Prawie takie...

A jednak o tamtych, prawdziwych, zapomnieć nie mógł. Nieraz podczas największego nawału pracy przypominał sobie jej ręce, oczy, niski głęboki głos o niebywale ciepłym brzmieniu. Początkowo odrobinę irytował się tym, z biegiem czasu jednak doszedł do przekonania, że ostatecznie może sobie na to pozwolić, pozwolić na tę małą słabość, która w rezultacie nie zajmuje mu przecież czasu więcej, niż sam jej zechce poświęcić... Zechce?... Czy stenotypistka miała rację, że to jest wyłącznie zależne od jego chcenia lub niechcenia?... Czy istotnie mógłby więcej czasu poświęcić Krystynie?... Czy ona ma prawo żywić doń żal za te swoje samotne godziny?...

Nie, stanowczo nie. Jest przecie dość rozsądna i dostatecznie obeznana z jego interesami, by wiedzieć, że po prostu nie jest w stanie zostawić ich na dzień jeden własnemu losowi. Groziłoby to niesłychanymi komplikacjami, a może i nawet utratą szeregu zdobytych pozycji. A to byłoby nonsensem, tego nie mogłaby odeń oczekiwać!

Wszystko zatem było zupełnie jasne. Stosunek, jaki się między nimi utrzymał, był najbezsprzeczniej normalny i słuszny, ale przeprowadzenie w nim jakichkolwiek zmian byłoby niepodobieństwem i oboje o tym wiedzieli...

A jednak Paweł nie mógł zapomnieć nuty żalu, nuty krzywdy w jej głosie, gdy go żegnała. I było mu z tym niewygodnie. Trudno powiedzieć, by czuł się winnym, by miał sobie z tego powodu robić jakieś wyrzuty, ale w każdym razie napelniało go to niezadowoleniem. Gdyby istniała jakaś możliwość w tym względzie, wołałby nie sprawiać przykrości Krystynie, bo lubił ją, niewątpliwie lubił ją bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Kiedy doszedł do tego stwierdzenia, przyszła refleksja, że to żadna sztuka, gdyż nikogo nie lubi. Refleksja jednak natychmiast wydała mu się niesmaczna, nie na miejscu, cyniczna i wynikająca raczej nie z chęci pomniejszenia swych uczuć do Krystyny, lecz z nałogu pomniejszania wszelkich wartości ludzkich.

Lubił ją. Nie tylko lubił przestawać z nią, patrzeć na nią, słuchać jej głosu, dzielić się z nią myślami, mieć poczucie, że ma do czynienia z kimś bezwzględnie i jedynie dlań bliskim, oddanym i cenionym, lecz także lubił myśleć o niej jako o czymś przynależnym jemu, jako o swojej niepodzielnej własności. Jeżeli zaś odpowiadały mu jej żywy umysł, wnikliwa inteligencja i dyscyplina myślenia, bynajmniej nie osłabł w nim dawny, jak mu się zdawało, wyłącznie fizyczny pociąg do jej ciała, ruchów, jakiegoś nieuchwytnego wdzięku kobiety i młodego chłopca jednocześnie.

Nieraz zastanawiało go to, że on, który wcale nie wyróżniał się plastyką wyobraźni, gdy tylko przymykał oczy i intensywnie myślał o niej, z łatwością uzmysławiał ją sobie. Widział ją uśmiechniętą i zamyśloną, smutną i zasłuchaną, widział blask jej oczu i za każdym razem zdumiewający go wykrój warg, widział ją całą z nieprawdopodobną wyrazistością. Każde zaś wspomnienie o niej odzywało się wewnątrz poczuciem łagodnego ciepła, które na mgnienie przerywało nieustanną pracę mózgu.

Z czasem nawet i te, jak je nazywał, zapady myślowe polubił. Przychodziły podczas samotnej pracy i podczas dyktowania, w trakcie rozmowy i w chwilach odpoczynku. Przyzwyczaili się do nich i podwładni, chociaż do głowy nigdy by im przyjść nie mogło, że prezes Dalcz każe sobie powtarzać przed sekundą wypowiedziane zdanie, bo zamyślił się o jakiegokolwiek kobiecie.

Wynikiem tych częstych teraz zapadów były odręczne listy, rzecz niebywała, wysyłane przez Pawła przy lada sposobności z różnych miast brazylijskich. Wprawdzie zawierały zaledwie kilka lub najwyżej kilkanaście słów, ale już sam fakt, że adresowane były do pana Krzysztofa Dalcza, świadczył o ich na wskroś prywatnym charakterze.

Na ogół Paweł wiedział, że jego zażyłość z Krystyną obszernie była komentowana wśród tysięcy podwładnych urzędników jako rzadki wzór miłości rodzinnej między stryjecznymi braćmi. Do cnót patriotycznych, społecznych i kupieckich przybywała Pawłowi jeszcze i ta, mniej może cenna dla ogółu, ale przez ten ogół najbardziej faworyzowana.

Lustracja przedsiębiorstw brazylijskich niespodziewanie musiała być przerwana, a podróż uległa znacznemu skróceniu. Pawła wzywano do Brukseli.

Przyczyną, która spowodowała zamieszanie w organizacji Banku Pożyczek Międzynarodowych, było bankructwo wielkiego niemieckiego koncernu bankowego, zaangażowanego w tym przedsięwzięciu dość poważnie. Skutek bankructwa przedstawiał się dla Pawła w ten sposób, że szereg drobniejszych udziałowców popadł w panikę i gwałtownie zaczął wycofywać kapitały.

Sam Willis słał depeszę za depeszą i nie ukrywał zamiaru jak najszybszego wycofania się. Isaakson, czuwający nad biegiem spraw w Brukseli, przyjął Pawła z wystraszoną miną:

— Jest bardzo niedobrze. Obawiam się, prezesie, że wszystko rozleci się jak kupa papierów na wietrze.

— Zobaczmy — lakonicznie powiedział Paweł.

W pół godziny później uzyskano połączenie telefoniczne z New Yorkiem. William Willis na szczęście był w biurze.

— Halo, Will! — zawołał Paweł. — Tu Dalcz. Co ty, do diabła, wyprawiasz?

— Nie jestem głupcem, mój drogi.

— Zapewniam cię, że jesteś — zimno odpowiedział Paweł.

— Niemcy nas położyli. Trzeba machnąć ręką. Cenię twój upór, ale ja nie zamierzam pakować pieniędzy w błoto.

— Mam twoją deklarację i nie ustąpię — mówił Paweł.

— Bardzo mi przykro, ale deklaracja jest podpisana nie przeze mnie.

— Przez twego plenipotentę. To jest jednoznaczne⁴⁷³.

— Mylisz się. Zresztą nie będziesz chyba tak naiwny, żeby sprawę kierować do sądu.

— Nie. Will, nie będę tak naiwny. Ale co byś powiedział na przykład o podrożeniu kauczuku?

— Żartujesz!

— Nie. Mam wrażenie, że z chwilą gdy skończymy tę miłą pogawędkę, każę wysłać depeszę, by podwyższono ceny o dwadzieścia procent.

W aparacie zaległo milczenie.

— Jak ci się to podoba? — z uśmiechem zapytał Paweł.

— Słuchaj, Dalcz — odezwał się wreszcie chrapliwy głos — to... to jest... łajdactwo, ty tego nie możesz zrobić!

— Ja wszystko mogę zrobić, mój drogi — łagodnie odpowiedział Paweł.

Znowu Willis umilkł. Oczywiście wiedział, że to nie były żarty.

— Więc dobrze — zdecydował się — dziś jeszcze jadę do Europy.

— O, nie, mój najdroższy — roześmiał się Paweł. — Podróż trwa pięć dni.

Willis wściekał się:

— Cóż, do stu diabłów, dla twojej przyjemności mam lecieć samolotem?

— Nie. Bardzo cenię twój widok, ale w tym wypadku mogę się, chociaż z żalem, bez niego obyć. Wystarczy, jeżeli Bank Morgana zadeszkuje mi, że wydałeś polecenie przelania pierwszej raty.

— Zwariowałeś, człowieku! To stracone pieniądze!

— Głupi jesteś. Czekam do piątej na telegram Morgana. Do widzenia. Ukłony dla małżonki.

— Dalcz! Zwariowałeś! Ja tego nie zrobię.

— Zrobisz, bo jesteś rozsądniejszy, niż wyglądasz. Do widzenia.

— Zaczekaj dwa dni. Tylko dwa dni — jęczał Willis.

Paweł dość już miał tej rozmowy:

— Czy ty masz mnie za smarkacza, Will?

— Więc jedną dobę!

— Czekam do piątej, a wiesz, że słowa dotrzymam. Do widzenia.

— Niech cię diabli!

Willis z furią rzucił słuchawkę.

Isaakson otarł pot z czoła i niepewnym wzrokiem przyglądał się spokojnej minie Pawła:

⁴⁷³ jednoznaczne — tu: oznaczające to samo. [przypis edytorski]

— No? — zdołał wykrztusić.

— W porządku — uśmiechnął się Paweł.

Nie wątpił, że Willis zastosuje się do żądania. Rozmowa kablowa kosztowała jedenaście tysięcy franków, ale opłaciła się sowicie.

Na tym jednak nie kończyły się trudności. Przez długi szereg dni Paweł musiał ciężko pracować nad zmontowaniem zachwianej przez niemieckie bankructwo pozycji. Codziennie setki listów i depesz wychodziły w świat, codziennie długie odbywały się konferencje. Wreszcie katastrofa nadludzkiem niemal wysiłkiem została pokonana.

Willis, który pomimo wszystko przyjechał do Brukseli, musiał Pawłowi przyznać, że ten miał rację.

Uratowanie koncepcji Banku Pożyczek Międzynarodowych nie obeszło się jednak takim kosztem. Cena, którą Paweł musiał za to zapłacić, była ceną ustokrotnienia komplikacji w interesach. Wszystkie kryptoagencje zostały wysane z resztek kapitału i trzeba było uciekać się do notorycznego fałszowania bilansów, by ratować je od bankructwa. Trzeba było przeprowadzać fikcyjne transakcje, a nawet posunąć się do podrabiania papierów wartościowych, których wprawdzie Paweł nie puszczał w obieg, lecz pod zastaw których można było w bankach uzyskiwać większe kredyty. Oczywiście groziło to nieustannie skandalem w wypadku, gdyby oszukany przyszło na myśl sprawdzić autentyczność zastawionych papierów. O autentyczności ich jednak nikt nie wątpił. Przecie składał je sam wielki Paweł Dalcz, Paweł Dalcz nie tylko multimiliarder, jeden z kilku najbogatszych ludzi na świecie, lecz i Paweł Dalcz kryształowy człowiek, którego uczciwość i honor kupiecki powszechnie stawiano jako przykład innym.

W tych warunkach obliczano majątek Pawła na sześć miliardów dolarów, przepowiadając dalszy jego rekordowy wzrost. Bank Pożyczek Międzynarodowych rozpoczął swą działalność wspianą transakcją, udzielając rządowi jugosłowiańskiemu wielkiej pożyczki pod zastaw monopolu spirytusowego, którego eksploatację przejmował na bardzo rentownych warunkach. Zaraz potem przyszła kolej na kaukaskie kopalnie nafty, budowę szos w Rumunii, monopol tytoniowy w Austrii...

Mijały miesiące, a żaden nie minął bez nowego wielkiego interesu. Bank Pożyczek Międzynarodowych ustawicznie powiększał swój kapitał. Jego akcje były rozchwytywane. Po wszystkich krańcach ziemi krzyczały z murów plakaty:

— Najpewniejszą lokatą kapitału są akcje Banku Pożyczek Międzynarodowych!

Pod tym zapewnieniem widniało faksymile⁴⁷⁴ podpisu Pawła Dalcza.

Agenci wołali:

— Czytajcie, co mówi najuczciwszy człowiek świata! Kupujcie akcje Banku Pożyczek Międzynarodowych!

— Jego nazwisko jest najlepszą gwarancją!

— Papiery Dalcza to skarb!

— Najpewniejszą lokatą kapitału są akcje Dalcza!

I ludzie kupowali. Płynęły franki, leje, pesety, dolary, funty, eskudosy, korony, liry, złote, belgi, guldeny... Płynęły wielką rzeką z najodleglejszych zakątków po to, by zaraz dzielić się znowu na szereg strumieni i napełniać wyschnięte kasy państw, kasy wciąż otwierające swe niesyte paszcze. Bez przerwy pociły się tłustym smarem stalowe maszyny drukarskie, wypuszczając kolorowe papierki, po które wyciągały się miliony rąk.

Po upływie roku Bank Pożyczek Międzynarodowych wypłacił dywidendę w wysokości trzydziestu od sta⁴⁷⁵ nominalnej wartości. Wypłacał gotówką lub nowymi akcjami: do wyboru. Lecz Paweł Dalcz nie zawiódł się: wszyscy żądali akcji.

I rosła wciąż potęga Pawła Dalcza. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę. W jego poczekalniach wysiadali dygnitarze różnych państw, o jego względy zabiegały rządy, stronnictwa, koterie⁴⁷⁶ polityczne, starali się zjednać go sobie dyktatorzy i królowie. I nie było w tym nic dziwnego. Nieraz od jego decyzji zależał w tym czy w innym kraju upadek gabinetu, zwichnięcie kariery politycznej ministrów, zmiany programów gospodarczych,

⁴⁷⁴faksymile (z łac. *fac simile*: czyni podobne) — wierna kopia mechaniczna lub fotograficzna dokumentu, rękopisu, podpisu, np. kopia własnoręcznego podpisu odbita pieczętką na dokumencie. [przypis edytorski]

⁴⁷⁵od sta (daw.) — od stu (*sta*: daw. D. słowa „sto”, odmienianego jak rzeczownik); dziś: procent. [przypis edytorski]

⁴⁷⁶koteria — grupa osób popierających się wzajemnie w celu osiągnięcia korzyści. [przypis edytorski]

pogorszenie lub polepszenie stosunków z sąsiednimi państwami, zażegnanie bezrobocia i w ogóle konfiguracja spraw pierwszorzędnej wagi.

Były wprawdzie państwa, w których potężna władza Pawła Dalcza nie miała żadnego bezpośredniego znaczenia. I tam jednak często ulegano jego wpływowi w obawie, że może sytuacja się zmienić. Gdy zaś nawet tego nie brano pod uwagę, Paweł umiał zawsze znaleźć takie środki represji, że zasięg jego wpływów rozrastał się wciąż dalej. Do środków tych należało przede wszystkim zmuszanie państw już uzależnionych do wznoszenia barykad celnych przeciw wwozowi z państw opornych. Posunięcia tego rodzaju, w zasadzie i w wynikach całkiem proste, wymagały wielu precyzyjnych i wielostronnych zabiegów, działań, nacisków.

W tym wszystkim życie Pawła musiało zmienić się w jedną nieustającą podróż. Berlin, Londyn, Rzym, New York, Paryż, Moskwa, Bruksela, i znowu Paryż i Londyn, New York. Wszystkie większe transakcje, wszystkie ważniejsze rozmowy Paweł przeprowadzał osobiście. Obecnie nie wystarczała mu już szybkość samochodów i pociągów pośpiesznych. Na wszystkich większych lotniskach zawsze stały gotowe do lotu wielkie płatowce⁴⁷⁷, powierzone kierownictwu najślawniejszych pilotów, a stanowiące własność Banku Pożyczek Międzynarodowych, czyli mówiąc po prostu, własność Pawła Dalcza.

W swoich błyskawicznych podróżach w miarę możliwości starał się jak najczęściej wpaść do Warszawy. Lecz możliwości takich było niewiele, a że ich było o wiele za mało, widział to zawsze w oczach Krystyny.

Unikał rozmowy z nią na ten temat. Kilkakrotnie próbował wprawdzie nakłonić ją, by zechciała odwiedzić go w Brukseli, gdzie najwięcej stosunkowo czasu przesiadywał, lecz wówczas go zapytała:

— A co się stanie, jeżeli w godzinę po moim przybyciu do ciebie będziesz miał jakiś świetny interes w Ameryce?

Nic na to nie odpowiedział. Oczywiście pojechałby. Nie dlatego, że wolałby wyrzec się jej towarzystwa dla korzyści, jakie w danym wypadku mógłby osiągnąć, lecz po prostu nie miał prawa rezygnować z żadnej nadarzającej się sposobności, by ugruntować swój stan posiadania, oparty przecie w olbrzymiej części na fikcji. Był to potwornych rozmiarów gmach wzniesiony z niepewnego materiału na niepewnym gruncie. Olśniewał z zewnątrz, lecz runąłby w każdej chwili, gdyby nie czuwano bez przerwy nad jego równowagą, gdyby w porę nie podpierano zagrożonych części, gdyby nie pracowano gorączkowo nad podkładaniem fundamentów *ex post*⁴⁷⁸.

O tym istotnym stanie rzeczy nie wiedział i nie mógł wiedzieć nikt oprócz samego Pawła. On też skupiał w swym ręku wszystkie nici, starając się najbliższych nawet współpracowników utrzymać w nieświadomości nieustannego niebezpieczeństwa. Zresztą makiety ściany gmachu z wolna, ale stale wypełniały się cementem prawdziwego pieniądza. Jeszcze kilka lat, a żadna burza, żaden orkan⁴⁷⁹ nie będzie w stanie zachwiać jego potęgą.

Gdy tłumaczył to Krystynie, jedynej istotie ludzkiej, przed którą odkrywał swe plany, sam podniecał się tą potęgą:

— I pomyśl! — mówił. — Nie ma już nikogo, kto by mógł dla mnie przedstawiać niebezpiecznego wroga. Wszystkich największych wzięłem w rzyzy, uzależniłem od siebie. William Willis jest całkowicie w moim ręku. Towarzystwo Vandinga mogę wywrócić jednym pociągnięciem pióra, Koncern Kanadyjski drży przede mną, a sam Morgan musiał mnie prosić o pomoc. Głupcy! Otaczają mnie szpiegami, by poznać moje słabe strony! I nic wywęszyć nie potrafią. Okiełznałem największych i będą musieli iść w cuglach, dokąd im każe. Czy ty to rozumiesz? Nie ma dziś na ziemi człowieka, który by się ważył być przeciw mnie!

I Paweł miał rację. Istotnie nie było takiego człowieka. Poza człowiekiem jednak i poza jego wolą istnieją wielkie, niedające się przewidzieć ani opanować fale życia zbiorowego. Tęgo nie brał w rachubę Paweł Dalcza, a gdy dostrzegł, gdy dostrzegł wcześniej zresztą od innych zbliżającą się katastrofę, za późno już było na zwijanie olbrzymich żagli.

⁴⁷⁷ *płatowiec* — statek powietrzny z nieruchomymi płatami nośnymi (skrzydłami), samolot. [przypis edytorski]

⁴⁷⁸ *ex post* (łac.) — po fakcie. [przypis edytorski]

⁴⁷⁹ *orkan* — gwałtowny i silny wiatr, wichura, huragan. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ VII

Zaczął się to wszystko niepozornym zdarzeniem: Wiedeński Bank Dyskontowy zawiesił wypłaty.

W tydzień później związana z bankiem hamburskim spółka transportowa ogłosiła upadłość. Za nią poszły inne firmy. Na giełdzie w New Yorku z przyczyn niewytłumaczonych spadły akcje europejskie. Paryż odpowiedział zwyżką kursu dolara. I wszystko uspokoiło się, zdawało się wracać do stanu normalnego.

Tymczasem jednak rozwijało się coś znacznie gorszego. Jak pod jakimś zakłębciem zaczęła spadać konsumpcja we wszystkich niemal krajach jednocześnie. Najlepiej prosperujące przedsiębiorstwa znalazły się w trudnościach płatniczych. Nieskartelizowane⁴⁸⁰ fabryki rozpoczęły gwałtowną zniżkę cen.

Na porządku dziennym wszystkich niemal parlamentów zjawiły się przedłożenia⁴⁸¹ rządowe o natychmiastowej zwyżce ceł ochronnych. Słowo „nadprodukcja” wpełzło olbrzymimi czarnymi literami na szpalty dzienników i coraz więcej na nich zajmowało miejsca. I oto posypały się drobne bankructwa. Małe, nic nieznaczące przedsiębiorstwa, firmy, których egzystencja zdawała się nie mieć najmniejszego wpływu na bieg światowego życia gospodarczego, zaczęły znikać jedna po drugiej.

Wreszcie zachwiał się i runął Brytyjski Trust Naftowy. Na giełdach powstała panika. Z godziny na godzinę spadały kursy.

Paweł Dalcz już tym nie był zaskoczony. Od szeregu miesięcy cały swój wysiłek skierował ku ratowaniu zagrożonych firm. Nie robił tego oczywiście z żadnych względów altruistycznych. Po prostu chodziło o powstrzymanie fali kryzysu, fali, która w razie swobodnego wezbrania runęłaby i na jego własne przedsiębiorstwa, zmiatając je z powierzchni ziemi.

Był to istny taniec w płomieniach. W ciągu jednej doby Paweł Dalcz nieraz miał po trzy i cztery konferencje w różnych stolicach, bił pięściami w stół przed bladymi dyrektorami banków, groził potentatom przemysłu, obiecywał ministrom:

— Wytrwać, wytrwać za wszelką cenę. Znajdą się środki zapobiegawcze! Muszą się znaleźć.

I przychodziły chwile odprężenia. Niestety, były to tylko chwile.

Praca Pawła weszła w stadium gorączki. Nie była to już ta do ostatnich granic intensywne, wyteżona, ale równa i pewna w swych decyzjach działalność, lecz walka od wypadku do wypadku, od jednego niespodziewanego ciosu do drugiego, a ciosy sypały się zniemacka, zawzięcie, niepowstrzymanie.

W ciągu kilku miesięcy Paweł schudł nie do poznania, jego szare oczy nabrały szklatego wyrazu, a ściągnięte rysy drapieżnych konturów. Tylko swobodny i pełny wiary w siebie uśmiech nie znikał z jego ust.

Nie znikł, póki patrzyli nań ludzie, póki tym uśmiechem można było powstrzymać walące się klęski, póki tego uśmiechu czepiały się jak ostatniej deski ratunku najwęższe, najbeznadziejniejsze⁴⁸² nadzieje słabych, zrezygnowanych, złamanych. A Paweł potrzebował właśnie ich wiary, właśnie zrywał swe nerwy, by nie dopuścić do ostatecznej paniki. Na prawo i na lewo rozdawał gwarancje, przejmował bankrutujące przedsiębiorstwa, sypał kredytami i pożyczkami, przebudowywał, organizował przemysł, banki, trusty⁴⁸³ i kartele⁴⁸⁴...

Lecz lawina kryzysu szła niepowstrzymanie. Wszędzie redukowano płace, zamykano fabryki, zamykano giełdy. Nie pomogły moratoria, na nic nie zdały się wzajemne gwarancje. Wreszcie pękł funt angielski, najmocniejsza waluta świata.

Wiadomość przysła o czwartej nad ranem. Do wielkiej sali konferencyjnej Niemieckiego Związku Przemysłu i Finansów, gdzie właśnie Paweł Dalcz kończył swoje prze-

⁴⁸⁰nieskartelizowane — nienależące do kartelu, monopolistycznego porozumienia przedsiębiorstw, uzgadniających swoje działania rynkowe dla osiągnięcia wspólnego interesu. [przypis edytorski]

⁴⁸¹przedłożenie (daw.) — propozycja, wniosek. [przypis edytorski]

⁴⁸²najbeznadziejniejsze — dziś: najbardziej beznadziejne. [przypis edytorski]

⁴⁸³trust (ekon.) — monopolistyczne przedsiębiorstwo powstałe w wyniku połączenia firm z jednej branży. [przypis edytorski]

⁴⁸⁴kartel (ekon.) — porozumienie przedsiębiorstw jednej branży mające na celu ochronę wspólnych interesów. [przypis edytorski]

mówienie, wszedł sekretarz i podał mu depeszę. Na twarzy Pawła nie drgnął ani jeden muskuł:

— Panowie — powiedział tylko — otrzymałem wiadomość, wobec której na razie nasza narada traci podstawy aktualności. Proponuję odłożyć ją na dwadzieścia cztery godziny. Ja muszę natychmiast wyjechać.

Wśród grobowej ciszy skłonił się i wyszedł z sali. W nocy spadł pierwszy śnieg. Ulice Berlina w tej bieli i ciszy oddychały, zdawało się, najspokojniejszym ze snów. Auto pędziło z zawrotną szybkością. Na wielkim polu lotniska nieco ciemniejszą plamą odcinał się ptasi kształt samolotu.

— Wyborna pogoda — powitał go pilot. — Formalności załatwione, panie prezesie.

Paweł zamyślił się i patrząc w ziemię, potrząsnął głową:

— Nie polecimy do Londynu. Niech pan przestempluje papiery na Warszawę.

Podczas gdy pilot pobiegł spełnić polecenie, Paweł wydał dyspozycje sekretarzowi. Ma czekać nań w Berlinie do jutra wieczór, jeżeli by zaś do tego czasu nie wrócił, ma jechać do Brukseli.

Obsługa zapuszczała śmigła. W ich warkocie już wsiadając do kabiny, Paweł krzyknął młodemu człowiekowi do ucha:

— Wiedz pan, że wszystko jest jak najpomyślniej. Na spadku funta zarabiam kolosalnie. Możesz pan z tego nie robić tajemnicy przed dziennikarzami. Czy pan rozumie?

Sekretarz błąd jak trup podniósł nań oczy, w których zakręciły się łzy:

— Rozumiem, panie prezesie. Niech pana Bóg prowadzi...

Paweł zmarszczył brwi i zatrzasnął drzwiczki. Z zewnątrz zdejmowano schodki. W kabine mechanik przekręcał kontakty, włączając elektryczne ogrzewacze. Samolot był już gotów do startu, gdy pilot zwolnił obroty. Od strony hangarów biegł jakiś człowiek, wymachując rękami.

— Depesza do pana Dalcza.

Paweł, nie otwierając, wsunął depeszę do kieszeni. Przypomniawszy sobie dopiero, gdy aeroplan⁴⁸⁵ oderwał się od ziemi i pochyłym łukiem unosił się nad hangarami. Był to kablogram⁴⁸⁶ z New Yorku:

„Willis ciężko chory. Zachodzi obawa obłąkania. Przewieziony do sanatorium. Czekam poleceń. — Cormier”.

— Zawsze miał słabą głowę — mruknął przez zęby Paweł, lecz nie mogąc w huku motorów dosłyszeć własnego głosu, krzyknął z całych sił: — Zawsze miał słabą głowę! Ma szczęście, że dopiero teraz zwariował! Wariat!... Wariat!...

Nagle w lustrze naprzeciw ujrzał swoją twarz wykrzywioną dziwnym skurczem. Rzucił na stół zmiętą depeszę, przetańnię pięścią oczy i wstał.

Za oknami głęboko rozciągały się zaśnieżone pola. Samolot leciał równo i gdyby nie jego drganie, można by nie dostrzec ruchu. Na wschodzie jasny seledyn nieba wpadał w róż, czerwień i wreszcie w soczysty gorący szkarłat. Za chwilę miało wzejść słońce. Lecieli na wysokości mniej więcej dwóch tysięcy metrów.

Paweł zasłonił kotarą szklane drzwi od kabiny pilota, zdjął futro i stanął przy drzwiach, przez które tu wszedł. Dźwigowa klamka ustąpiła z lekkim trzaskiem. Przypomniawszy sobie Loewensteina. Gdy ten po bankructwie wyskoczył w ten sposób nad *Pas de Calais*⁴⁸⁷, dowiedzono, że drzwi zewnętrzne podczas lotu nie mogą się otworzyć ze względu na zbyt silny opór powietrza.

A te otwierały się tak łatwo. Biedak Loewenstein musiał na dobitek napociec się. Paweł zaśmiał się i wychylił głowę. Chłodna fala powietrza wdarła się do kabiny, uderzyła w oczy i zatamowała oddech. Stał przez moment bez ruchu, przyglądając się białej mapie plastycznej z wolną przesuwającej się w dół. Na skrzydła padały pierwsze czerwone promienie. Zatrzasnął drzwiczki i spojrzął na zegarek:

„Przez cztery noce nie zmrzyłem oka” — pomyślał.

⁴⁸⁵aeroplan (przestarz.) — samolot. [przypis edytorski]

⁴⁸⁶kablogram — telegram przekazany za pomocą kabla podmorskiego. [przypis edytorski]

⁴⁸⁷*Pas de Calais* (fr.) — Cieśnina Kaletańska, najwęższa część kanału La Manche, pomiędzy miastem Calais we Francji a Dover w Anglii. [przypis edytorski]

Otulił się pledem i zasypiając, przypomniał sobie Willisa. Przyszło mu do głowy, że „Ile de France” odpływa dziś wieczorem do Ameryki, że koniecznie trzeba teraz być w New Yorku, że ostatecznie...

Obudziła go nagle cisza i spokój. Otworzył oczy. Z prawej strony ziemia wychylała się nieprawdopodobnie wysoko wystającym talerzem, z lewa jaśniało niebo. Aha, lądowali na zamkniętych motorach⁴⁸⁸. Warszawa.

Nie oczekiwano go tu i na lotnisku nie było auta. Posłany chłopak sprowadził tak-sówkę, zabrało to jednak tyle czasu, że gdy Paweł przyjechał na Ujazdowską, nie zastał już Krystyny. Wcześniej, jak zawsze, udała się do fabryki. Wydał dyspozycje służbie:

— Położę się teraz spać, gdy pan Krzysztof wróci, proszę mnie obudzić.

Dwie godziny snu w samolocie były niczym, toteż natychmiast zasnął. Gdy otworzył oczy, w pokoju panowała zupełna ciemność. Pomimo to wiedział, że ktoś tu jest.

— Czy to ty? — zapytał.

— Śpij jeszcze — odpowiedział po pauzie jej głos taki łagodny, taki ciepły, taki spokojny.

Nagle uprzytomnił sobie, że jest już noc, że zatem przespał, zmarnował cały dzień. Czemu nie obudziła go wcześniej! Przecie to szaleństwo tracić czas w takiej chwili. Tam na świecie wszystko się wali!... Willis zwariował.

Nie odzywając się, wyciągnął rękę. Zawsze siadywała tuż przy łóżku na małym niewygodnym taburecie⁴⁸⁹. I teraz nie omylił się. Dłoń jego natrafiła na grubą faldę miękkiego materiału i spotkała się z jej palcami.

— Krzysieńko... — powiedział tak cicho, że mogła tego nie dosłyszeć.

Sprawiło mu wręcz niewysłowioną radość to, że oto miał ją przy sobie, że czuł dotyk jej ciepłych, łagodnych, dobrych rąk.

— Krzysieńko, jak to dobrze, że tu jesteś — odetchnął — jak to dobrze... Czy wiesz, że William Willis, zdaje się, dostał pomieszania zmysłów?...

— Owszem. Czytałam w dziennikach. Nie myśl o tym. Postaraj się jeszcze zasnąć.

— Nie. Zapal światło. Czuję się wprawdzie nieludzko zmęczony, ale spać już nie chcę wcale. Która to godzina?

— Przed kwadransem biła północ.

Zapaliła amplę i usiadła na skraju łóżka. Oczy Pawła szybko przyzwyczyły się do łagodnego kolorowego światła. Przyglądał się jej smukłej sylwetce, tak wyraźnie rysującej się pod szerokimi faldami szlafroka, jej subtelnemu profilowi i nieruchomym rysom:

— Dawno nie widziałem ciebie — powiedział tonem zdziwienia. Spojrzała nań oczyma, w których była obawa. Zdawało się mu, że Krystyna patrzy nań jakby ze współczuciem i ze strachem. Niewątpliwie musiała zdawać sobie sprawę z katastrofy, która ogarniała jego interesy.

— Czy wiesz, że krach funta — zaczął — czy wiesz, że w ogóle...

Spokojnie wzięła go za rękę:

— Nie myśl teraz o tym — odezwała się prosząco — przez chwilę nie myśl o tym.

— To trudno — zaśmiał się krótko.

— Tym lepiej, że trudno — odpowiedziała z bladym uśmiechem. — Zawsze cię pociągały rzeczy trudne. Pewno jesteś głodny.

Istotnie głodny był jak wilk.

— Jeżeli zechcesz dać mi coś do zjedzenia, będę ci wdzięczny. Tak się zdarzyło, że od przedwczorajszej kolacji nic nie miałem w ustach.

— Jakże tak można! — powiedziała z wyrzutem.

— Ale ja wstanę — podniósł się.

— Nie wstawaj. Przyniosę ci wszystko tu.

— Krzysiu — zażartował — podźwigniesz się, jeżeli chcesz zaspokoić mój głód. Nie, chodźmy do jadalni. I tak wszyscy śpią, nikt nam nie będzie przeszkadzać.

Jadł z wilczym apetytem, pochłaniając istotnie niebywałe ilości.

— Jesteś bardzo mizerny — mówiła Krystyna.

⁴⁸⁸lądowali na zamkniętych motorach — przy wyłączonych silnikach, którym zamknięto dopływ paliwa. [przypis edytorski]

⁴⁸⁹taburet — dziś popr.: taboret, stołek. [przypis edytorski]

— Możliwe.

— Nigdy cię jeszcze takim nie widziałam. Pod oczyma masz po prostu sińce.

— Sińce?... Hm... Tylko sińce?... Widzisz, a Willis zwariował!...

Zakryła oczy dłonią i nic nie odpowiedziała. Odezwanie się jego oczywiście było szorstkie i przykre. Za jej ciepło i dobroć płaci jej w ten sposób. Chciał zatrzeć wrażenie ironii, która ją dotknęła, i zaczął mówić.

Mówił o Willisie. Właściwie Willis już dawno powinien był palnąć sobie w łeb. Trzeba takiego optymisty jak on, by tak długo wierzyć w możliwość ratunku. Przed trzema miesiącami był już nędzarzem, nędzarzem dysponującym jeszcze milionami, błyszczącym pełnym światłem, ale już kwalifikującym się do kryminału. Jest to tak, jak z bardzo odległymi gwiazdami: gwiazda gaśnie, a ludzie wciąż widzą, że istnieje. W ten sam sposób powstają wielkie fortuny. Gdy się zjawiają, jeszcze nikt o tym nie wie, gdy znikną, życie ich pozorne wydaje się znacznie dłuższe od istotnego.

Paweł umilkł. Wiedział, że na usta Krystyny ciśnie się pytanie: „Czy mówisz też o sobie?...” Wiedział, że musi jej powiedzieć o swojej kłęsce, lecz wprost nie mógł zdobyć się na postawienie kwestii jasno, tak przeraźliwie jasno.

— Może byś teraz zasnął? — dotknęła jego ręki, a w jej głosie brzmiało współczucie.

— Nie — potrząsnął głową — ale z przyjemnością położę się. Jednak jestem fizycznie bardzo zmęczony. Każdy organizm ma granice wytrzymałości!... Oczywiście fizycznej wytrzymałości.

Przeszli do gabinetu i Paweł rozciągnął się na tapczanie, a ona siadła przy nim, na szczęście w ten sposób, że nie mogła wprost nań patrzeć. Leżał dłuższy czas z zamkniętymi powiekami. Wreszcie zaczął mówić:

— Więc tak, moja droga, i moja gwiazda... gaśnie. Rozpaczliwe w tym wszystkim jest to, że w najmniejszym stopniu nie przyczyniłem się do tego. Nie zaniedbywałem niczego, przewidziałem wszystko. A jeżeli nie mogłem przewidzieć czegoś, co jest po prostu jakimś zbiorowym szalem, jeżeli nie miałem dość sił, by powstrzymać masową panikę, stanowczo nie mam prawa siebie o to oskarżać. Psychoza tłumu jest takim samym kataklizmem, jak trzęsienie ziemi czy orkan. Psychoza kryzysu. A przecie nikt chyba lepiej ode mnie nie wie, że naprawdę żadnego kryzysu nie ma!... Absurd! Maligna⁴⁹⁰ ekonomistów! Świat nadal pozostaje bogatym przedsiębiorstwem, nie ubyło mu przecież ani bogactw naturalnych, ani konsumentów tych bogactw. Klientela nie tylko się nie zmniejszyła, lecz rośnie wciąż i, do licha, jest jej dwa i pół miliarda głów, dwa i pół miliarda brzuchów, które chcą być pełne i które tak łatwo nakarmić! Słowo „kryzys” powinno być przeniesione do wyłącznego użytku psychiatrów, bo nie ma i być nie może kryzysu gospodarczego, bywają tylko kryzysy zdrowego sensu! Opętania zbiorowe! Lęgnie się taka hydra w tępych mózgach różnych władców dzisiejszego życia publicznego i opanowuje stado! Szaleńcy podnoszą cła, obniżają płace, równoważą swoje bezmyślne budżety. Kręcą się jak pies w pogoni za własnym ogonem. Nie rozumieją, że są proste i jasne prawa, rządzące życiem, że dość oderwać wzrok od ogona, którego nigdy nie złapią, a zobaczą te prawa w całej ich wyrazistości. Oni wołają palić miliony ton zboża, by utrzymać ceny! Wołają wystawiać karabiny maszynowe przeciw głodującym bezrobotnym, dla których to zboże byłoby ratunkiem. Arytmetyka wariatów: tracą zboże, tracą pieniądze na kule karabinowe, tracą ręce robocze, tracą konsumentów, a zyskują samowystarczalność gospodarczą, czyli standaryzowaną nędzę i nieustanną groźbę rewolucji!

Zapalił papierosa i nerwowo odrzucił zapalną:

— Szaleństwo!

— To prawda — nieśmiało odezwała się Krystyna — ale jakież się znajdą środki zaradcze?

— Jakież? — wybuchnął — jakie?... Przede wszystkim zamknąć tych wszystkich kacyków⁴⁹¹ w domach wariatów! Skrepować, uniemożliwić im decydowanie o rzeczach, których nie są w stanie ogarnąć. Pomyśl tylko, jak się przedstawia dzisiejszy świat: wyobraź sobie wielkie przedsiębiorstwo, w którym kilkuset dyrektorów działa sobie na złość.

⁴⁹⁰maligna — wysoka gorączka połączona z majaczeniami. [przypis edytorski]

⁴⁹¹kacyk — przywódca plemienny w Afryce, Ameryce Południowej lub Środkowej; pot. urzędnik, zwłaszcza lokalny, nadużywający władzy. [przypis edytorski]

Jest to, dajmy na to, wielki dom handlowy. Dział manufaktury na razie nie ma obrotu i nie posiada gotówki, by zapłacić swoich pracowników. Przeprowadza redukcję, głodzi ich, bo wie, że z działu żywnościowego nie dostanie niczego na kredyt, ani z działu pieniężnego ani grosza pożyczki. By wyśrubować ceny na manufakturę, niszczy swoje zapasy, a pracownicy z działu żywnościowego chodzić muszą teraz półnago, bo nie stać ich na ubranie. O takim przedsiębiorstwie każdy przeciętnie rozsądny człowiek powiedziałby, że jest ponurą groteską, ale gdy ten sam człowiek czytuje codziennie pisma z wiadomościami o identycznie mądrej gospodarce państw i klik⁴⁹² kapitalistów — ma całkiem poważną minę. Powiada, że są to „zjawiska ekonomiczne”, zamiast powiedzieć, że są to po prostu oplakane wyniki głupiej gospodarki, skutki dopuszczenia nieudolnych ludzi do kierowania poszczególnymi działami. Cały sekret polega na fatalnej dystrybucji dóbr. Oczywiście byłoby równym nonsensem twierdzić, że można je porozdzielać z matematyczną ścisłością, że każdy powinien otrzymać dokładnie tyle samo co inny.

— Któż zatem może dokonać takiej racjonalnej dystrybucji?

— Kto?...

— Tak, kto? Jaka instancja, jaka władza?

Paweł przetarł oczy ręką i milczał przez chwilę:

— Gdyby mi dali jeszcze dwa, trzy, najwyżej cztery lata czasu... Pytasz, kto?... Ktoś, kto osiągnął możliwość dyktowania innym, dyktowania wszystkim. Władzę taką dają tylko pieniądze. Wiele ich na to trzeba mieć, bardzo wiele. Trzeba móc przygnieść ich ciężarem wolę innych, przerazić świat swoim bogactwem... Wówczas osiąga się możliwość panowania, władania, rozrządzania. Bez insygniów, bez tytułów, bez pisanych praw taki człowiek ogarnia całość... I aż ręce chce się gryźć z bólu, gdy się pomyśli, że było się już na najprostszej drodze do tego celu, że omal sięgało się doń, że jeszcze niewielki ułamek czasu, a posiadłbym potęgę, jakiej ziemia dotychczas nie znała!...

Ostatnie słowa rozbrzmiały chrapliwym echem w pustych pokojach i zaległa cisza. Nie patrzył teraz na Krystynę, nie widział jej, zapomniał o jej obecności.

— Pawle — odezwała się prawie szeptem.

— Chcesz zapytać, czy dam się złamać, czy opuszczę ręce?

W jego pytaniu była gniewna niechęć.

— Nie, Pawle, chciałam tylko wiedzieć, czy już wszystko stracone?

Podparł się na łokciu i powiedział dobitnie:

— Tak źle nie jest. Stracony tylko rozpęd, inercja, no i prawie wszystkie kapitały, ale pozostało najważniejsze: wola dalszej walki i pewność zwycięstwa.

Zerwał się i zaczął chodzić po pokoju. Starał się stąpać najciężej, by na grubym dywanie przecież dosłyszeć własne kroki:

— Tak, tak, tak — powtarzał — pewność zwycięstwa, pewność zwycięstwa... Nie pozostaną bezsilny, zdeptany przez tłum uciekających tchórzów, nie, po stokroć nie...

Zatrzymał się przed nią i zaciskając pięści, zaszczał:

— Jeszcze żyję, jeszcze żyję, jeszcze to bydlę przekona się, że Paweł Dalcz nie da się stratować!

— Rozumiem cię, Pawle — błagalnie chwyciła go za ręce — rozumiem, ale nie męcz się tak, nie przepalaj. Uspokój się teraz i siądź przy mnie. Ja cię bez słów zrozumieć...

Wstała i tuląc się doń, głaskała jego twarz rękami.

Z wolna powracał do równowagi. Usiadł prawie bezwładnie i coś w rodzaju uśmiechu zjawiało się na wykrzywionych i jeszcze rozedrganych wargach:

— Nie dziw się i nie gniewaj na mnie, Krysieńko, że przy tobie popadam w taki stan nerwowy, ale widzisz... dla wszystkich mam zawsze tyle pogody... Tylko przed tobą mogę... tylko przed tobą chcę, muszę być szczery...

— Mój ty kochany, mój ty najdroższy — szeptała, wtulając usta w jego włosy.

Poczuł dziwne słodkie ciepło tej dziewczyny, poczuł stokroć wyraźniej niż dotychczas to, że przecie była mu jedyną bliską istotą... Jedyną, i teraz dopiero pojął ogrom tego słowa...

⁴⁹²klika — nieformalna grupa osób wspierających się wzajemnie w dążeniu do stanowisk i kariery. [przypis edytorski]

Gdyby tam, nad zaśnieżonymi polami... Na miły Bóg, przecie to nie obesłoby nikogo! absolutnie nikogo!... Kiwaliby głowami, w obojętnej ciekawości wyczytywaliby druk z dzienników i tyle...

A ona?... Podniósł głowę i spojrzal w jej oczy.

— Ty... moja... — powiedział i uczył w gardle skurcz, jakiego nie znał dotychczas.

Z wielkich czarnych oczu padały nań łzy. Nie pojmował, co się z nim dzieje. Skądś, z głębi piersi rozplątywał się po całym ciele drżący prąd krwi jakby innej, jakby gorętszej, jakby pijanej... Mózg zdawał się mroczyć, a w ustach przejmował smak cierpkiej, nieznannej słodyczy.

Nie wiedział, co się z nim dzieje. Nigdy nie podlegał takim uczuciom, nigdy nie popadał w tak dziwny stan obezwładnienia.

Na czoło, na policzki padały duże ciepłe łzy. Bał się poruszyć, jakby się bał utracić bodaj jedną z tych kropel, które padały z jej otwartych szeroko oczu.

„To jest słabość, to jest upadek sił” — nawijały się z trudem myśli. „To jest mój wróg...”

Jednak nie umiał wyzwolić się spod uroku tej ciszy.

— Pawle — bezgłośnie poruszały się jej wargi — kochasz mnie, Pawle... Powiedz, że mnie kochasz...

Z wolna, z jakąś skupioną powagą objął ją ramieniem i ścisną coraz mocniej, coraz mocniej, aż do bólu...

— Kocham, kocham cię, jedyna... Ty jesteś moja...

Nagle olśnieniem uderzyło go wypowiedziane słowo: moja. Pojął jego niezmierną wartość, nieocenione znaczenie tego absolutnego posiadania.

Należała doń przecie każdą swą myślą, każdym nerwem. Wiedział to od dawna, lecz pojął dopiero w tej chwili, w tej chwili, gdy uświadomił sobie, czym jest dla reszty ludzi, czym stanie się dla świata po swoim upadku, czym stanie się dla samego siebie...

— Nicość! Znowu nicość.

Wyraz ten zelektryzował go. Nie, nie może upaść. Trzeba rzucić się w to piekło i zwyciężyć, trzeba bodaj zdychając z utraty sił, dobrać do brzegu. Jeszcze nie wszystko stracone. Tak, nie wszystko... Wiedzieć jutro wpłaci trzy miliony, to można rzucić na szalę, wprawdzie szala nie drgnie od tego pyłku, ale istnieją przecie dalsze możliwości, są dłużnicy, którzy muszą mu przyjść z pomocą, ba, są wierzycciele, którzy powinni zrozumieć, że jego klęska równa się ich klęsce, że jeszcze trzeba walczyć!...

To przecie jasne!

Ścisnął dłoń Krystyny. Nie chciał jej przekonywać, ale musiał powiedzieć jej to wszystko, pragnął, by i z jej ust padło potwierdzenie jego wiary, wierzył, że sam siebie przez to umocni w przeświadczeniu o trzeźwości własnego sądu.

— Poczekaj, poczekaj — gniótł jej rękę — nie płacz tak nade mną. Jutro od rana wrócę do roboty. Nie jestem jeszcze ostatecznym rozbitkiem. Nie przegrałem ostatniej stawki. Jeszcze nie koniec gry. Patrz, mam przeciw sobie chaos, bezrozumny żywioł, a ja wciąż jestem świadomy własnych sił i środków. Potrafię utrzymać się na powierzchni, bo muszę, bo chcę!

Zaczął wylizywać z jakimś gorączkowym spokojem, z jakąś zacieklą nerwową systematycznością szanse, które mógł jeszcze wyzyskać, ewentualności, które mogłyby być uwzględnione, ludzi, na których prawdopodobnie należałoby wywrzeć nacisk.

Po każdym nowym argumentem wpatrywał się w jej oczy, błagając o błysk wiary, o iskrę nadziei, która by go rozpląmieniła znowu. I z każdym zdaniem bardziej tracił wiarę we własne słowa. W wielkich czarnych oczach było tylko ciepłe bezlitosne współczucie. Gdy wreszcie umilkł, otoczyła ramieniem jego głowę i powiedziała:

— Nie, Pawle, nie.

— Ależ dlaczego, dlaczego nie?! — wybuchnął.

— Pawle, gdybyś słyszał własny głos, gdybyś widział swoją twarz, swoje oczy!... Nie, Pawle. Nie mogę cię zrozumieć. Nie mogę zrozumieć, dlaczego chcesz ponownie zatapiać się w ten szlam. Tak trzeźwo umiesz patrzeć na życie, a nie chcesz spojrzeć w oczy samemu sobie. Jesteś zmęczony, Pawle, jesteś strasznie zmęczony. Chcesz dać się zaszczyć im wszystkim, chcesz zniszczyć się do ostatniego włókna. Nie, Pawle. Nie wolno ci zrobić

Kłęska

tego. Spójrz śmiało na siebie i powiedz szczerze, czy tak wygląda zwycięzca, czy z takimi nerwami człowiek rozsądny ma prawo rzucać się do walki, do walki, którą przecie zawsze będziesz mógł rozpocząć na nowo, gdy wrócą ci siły, chociażby tylko fizyczne. Pawle, przecie jesteś teraz tylko cieniem samego siebie. A kiedyś, kiedyś znowu wrócisz, jeżeli... jeżeli w dalszym ciągu w tym będziesz widział swoje szczęście, swoje straszne szczęście... Nie, Pawle. Nie proszę cię o łaskę dla siebie, nie roszczę sobie prawa do przekonywania cię. Chcę tylko, byś uznał rzeczywistość. Sam mówisz, że jeszcze nie wszystko stracone, że da się z katastrofy wycofać znaczne kapitały. Odpocznij. Tymczasem ustanie kryzys, poprawią się koniunktury... Odpocznij.

Nagle wybuchnął śmiechem:

— Odpocząć? Jak mogę odpocząć?...

— Zostawić rzeczy własnemu biegowi, na pewien...

— Cha, cha, cha, własnemu biegowi! — przerwał. — A czy wiesz, na czym ten własny bieg będzie polegać?... Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, że przy ogłoszeniu bankructwa tych setek moich firm wyjdzie na jaw fikcyjność ich kapitałów, fałszywe bilansowe, bezwartościowość wielu portfeli, fałszerstwo wielu depozytów? Czy myślisz, że na pokrycie pasywów aktywa wystarczą bodaj w czwartej części, zwłaszcza teraz, gdy większość moich papierów utraciła trzy czwarte wartości?... I ja mam odpocząć!

Wziął ją za ramiona i nie wiedząc, co robi, gniótł je w dłoniach.

— Oczywiście odpocznę: w więzieniu! Zamkną mnie jak parszywego psa i będą miesiącami gnębić mnie zeznaniami, śledztwem i całą tą swoją aparaturą do tortur. Tak tylko mogę odpocząć. Rozumiesz?... Mam dwa wyjścia: albo próbować ratunku pomimo wszystko, wbrew nawet zdrowemu sensowi, albo zdecydować się na ostateczną klęskę i więzienie.

Zakrył rękami oczy i siedział nieruchomy.

— Jest jeszcze jedno wyjście — po dłuższej pauzie odezwała się Krystyna.

— Co? — podniósł na nią wzrok — jeszcze jedno?... Ano tak, oczywiście: palnąć sobie w łeb... Nawet przez chwilę myślałem o tym wyjściu. Podczas lotu z Berlina do Warszawy...

— Ja o tym nie myślałam wcale. Jest przecie znacznie prostsze wyjście.

— Zapaść się w ziemię? — zapytał z niecierpliwą ironią.

— Właśnie — spojrzała nań spokojnie. — Właśnie to, Pawle. Świat jest tak duży, zawsze można znaleźć gdzieś taki kąt, w którym można się ukryć.

— Żartujesz. Nie wyobrażasz sobie, moja droga, co się będzie działo po takim zniknięciu! Postawią na nogi całą policję, spuszczą z łańcuchów tysiące psów i detektywów, wyznaczą największe nagrody, póty będą szarpać, aż mnie znajdą, przetrząsną niebo i ziemię. Będą musieli. Zmusi ich do tego wrzask opinii publicznej, która będzie się domagała głowy największego oszusta, jakiego znał świat. Pomyśl tylko: zechcą zwalić na mnie winę całego kryzysu, niezbędny będzie dla nich ten kozioł ofiarny. Nie, najdroższa, nie ma takiego wyjścia. Trzeba wrócić. Napoleon wrócił z Elby...

— Ale on wracał z wiarą w siebie i pomimo to przegrał — z goryczą dokończyła Krystyna.

Paweł rozłożył ręce i opuścił głowę. W duchu całkowicie przyznawał jej rację: na ten raz walka była przegrana, nie wierzył we własne siły, czuł się obezwładniony walącym się nań chaosem.

— Jednakże — odezwała się po chwili — jednakże uważam, że przeceniasz niebezpieczeństwo. Wielu ukrywa się całymi latami z pełnym powodzeniem. Nie wątpię, że wszystko zależy tu od inteligencji, sprytu, dokładnego obmyślenia planu. A przecież nikt chyba genialniej od ciebie nie może tego zrobić!... O, Pawle, trzeba tylko, żebyś chciał, żebyś postanowił. Pomyśl, Pawle, że przez całe życie dotychczas gonileś za czymś, co ci wydawało się twoim szczęściem, że zdolny byłeś do największych, najheroicniejszych wysiłków dla jego zdobycia. A teraz, kiedy nareszcie możesz, kiedy wprost zmuszony jesteś zrobić próbę znalezienia tego szczęścia gdzie indziej, odtrącasz myśl o nim. Powiedz sam, czy żyłeś dla siebie?... Żyłeś dla swych namiętności, dla czegoś, co było tylko odbiciem, skutkiem, odzwierciedleniem twej pasji w świecie innych ludzi. Nic nie robiłeś dla siebie, dla człowieka, dla mężczyzny, dla istoty zagłuszonej przez hałas walki. A przecież

ta istota nie została zabita. Wiem, bo ją w tobie kocham, bo jej pragnę, bo ją czuję... Pawle! Nie odzywałam się, nie chciałam być ci najmniejszą przeszkodą w pogoni za tym obcym mi, zawziętym, zimnym szczęściem. Ale dziś, dziś daj mi prawo, pozwól mi zażądać od ciebie głosu dla mojej miłości, dla naszej miłości, bo i ty przecie mnie kochasz, bo nie ma na ziemi bliższych sobie istnień niż my dwoje, chociaż robiłeś wszystko, by tego nie widzieć. Pawle! Pozwól mi spróbować dać ci to szczęście, w które ja wierzę, podaruj mi siebie, ofiaruj. Nie wyciągałam po ciebie ręk wówczas, gdy mogły ci być zawadą, gdy byłeś zwycięzcą, ale teraz pozwól mi dać ci inne, stokroć głębsze zwycięstwo, prawdziwie istotne: radość!... A jeżeli nie chcesz jej dla siebie, miejże odrobinę litości, odrobinę dobroci dla mnie. Daj mi ją! Dla mnie świat — to ty, dla mnie szczęście — to ty. Ofiaruj mi siebie, Pawle! Ja żadnego szczęścia nie zaznałam, żadnej radości, i teraz błagam cię o nie, Pawle, Pawle!...

Całowała jego ręce i lzy jej spływały po białych policzkach. Pod wpływem jej słów Paweł siedział zahipnotyzowany i gryzł wargi. W czaszce jego tłukły się myśli: gdyby nawet chciał, gdyby ona miała rację... Ale jak, jak? Przecie nie ma sposobu!...

— Znikniemy — mówiła — ukryjemy się przed ludźmi, będziemy żyli tylko dla siebie. Będzie pogoda i cisza, i my. Nic nie zamąci nam radości, nie rozłączy naszych rąk. Znajdziemy sobie takie zacisze. A jeżeli... jeżeli kiedykolwiek zapragniesz znowu świata... wrócisz doń. Przysięgam, że nie będę usiłowała zatrzymać cię ani jednym słowem! Wierzę jednak, że nie zechcesz, że zrozumiesz, co znaczy prawdziwe szczęście, które przecie nie leży gdzieś poza tobą samym, lecz tkwi w twoim wnętrzu!...

Spotkały się ich oczy i Krystyna zawołała radośnie:

— O, Pawle!... Dziękuję ci! Dziękuję!

Zarzuciła mu ręce na szyję i wybuchnęła łkaniem. Tulił ją do piersi. Odczuwał coś zupełnie nowego, coś całkiem nieznanego, czego nie umiał nazwać, a co teraz właśnie zawarte było w jego ramionach, wstrząsnęło łkaniem, coś bardzo istotnego, najbardziej cennego, czego nie chciałby wyrzec się za żadną cenę.

I dziwne. Dokładnie przecie zdawał sobie sprawę z kłęski, która nań się zwała, z nieprawdopodobnej trudności jakiegokolwiek ratunku, przekreślenia wszystkiego, co było treścią życia, a przecie ogarniał go niezwykle ciepły spokój, jakiś dosyt świadomej pogody.

— No, uspokój się, Krzysieńko, uspokój... Już dobrze, dobrze...

— Kochany, jedyny...

— Już dobrze — głaskał jej włosy — dobrze. Noc jest późna. Idź, zaśnij. A śpij spokojnie. Pomyślę o tym i może jakiś sposób znajdę.

— Na pewno znajdziesz, na pewno! — zapewniała go żarliwie.

— Dobranoc, najdroższa.

Odprowadził ją i wrócił do gabinetu. Długo chodził od ściany do ściany miarowym krokiem. Gdy siadł do biurka, świtało już na dworze.

Szybko przeglądał notatki. Z Warszawy nie da się prawdopodobnie nic wyciągnąć. Pierwsza rata pożyczki płatna jest dopiero za dwa miesiące, a o źródłach prywatnych nie było co nawet marzyć. To samo było z Rzymem. Gdyby zaproponował rządowi włoskiemu jakikolwiek rabat za przyspieszenie wpłaty, wywołałby tym naturalnie podejrzenie. Tu i ówdzie dałoby się wyciągnąć jakieś drobniejsze kwoty, lecz na gotówkę można było liczyć tylko w Austrii. Jutro właśnie muszą przekazać mu trzy miliony dolarów. Może zatem podnieść⁴⁹³ je sam. To nikogo nie zdziwi. W Banku Pożyczek Międzynarodowych same śmiecie. Efektywną walutą nie zbierze się ponad pół miliona. I oto wszystko. Matce zostawi sto kilkadziesiąt tysięcy złotych, jeżeli uda mu się wydusić taką kwotę z Centrali Eksportowej.

O siódmej rano, gdy zadzwonił na służącego, dowiedział się, że „pan Krzysztof już wyjechał do fabryki, bo myślał, że pan prezes śpi”.

Paweł kazał podać śniadanie i wytelefował⁴⁹⁴ Blumkiewicza, z którym zamknął się na długą rozmowę. Około południa pojechał do fabryki. Gdyby nie konieczność, wołałby tam nie pokazywać się. Myśl, że on właśnie wciągnął Zakłady Przemysłowe Braci Dalcz w wir, z którego nie można już ich wydobyć, była dziwnie dlań przykra. Ginęło przecie

⁴⁹³podnieść (pieniądze z banku) (daw.) — pobrać, wypłacić. [przypis edytorski]

⁴⁹⁴wytelefnować kogoś (daw.) — dziś: zatelefonować do kogoś. [przypis edytorski]

jednocześnie wiele, częstokroć potężniejszych przedsiębiorstw, ginął Trust Kauczukowy i bank w Brukseli, a jednak nieuchronna klęska, wisząca nad tymi starymi murami, była dlań najdotkliwsza.

Zjawienie się Pawła w fabryce wywołało sensację, od bardzo dawna nie widziano go tu, a wszystkie ważniejsze sprawy, w których nie mógł rozstrzygać naczelny dyrektor, prezes załatwiał korespondencją. Jego osobiste przybycie musiało się wiązać z jakimś wyjątkowo ważnym dla życia fabrycznego zdarzeniem. I zdarzenie istotnie było ważne: dymisja dotychczasowego dyrektora naczelnego, pana Krzysztofa Dalcza, i nominacja nowego, pana inżyniera Kraszewicza. W gabinecie miała miejsce, jak zapewniano, burzliwa scena między stryjecznymi braćmi, przy czym pan prezes wyraził niezadowolenie z gospodarki pana Krzysztofa i udzielił mu dymisji. Holder, którego pan prezes wezwał do gabinetu i któremu dyktował nominację dla inżyniera Kraszewicza, mógł to osobiście potwierdzić. W pół godziny później lakoniczny okólnik⁴⁹⁵ nowego naczelnego dyrektora zawiadamiał szefów poszczególnych działów o zaszłej zmianie. Pan Krzysztof widocznie czuł się bardzo dotknięty bezwzględnością stryjecznego brata, gdyż natychmiast wyjechał z fabryki, oświadczając sekretarzowi Holderowi, iż dziś jeszcze udaje się do Krakowa do matki, dokąd prosi kierować listy dla siebie, jeżeliby jakie nadeszły.

Natomiast prezes kazał zwołać szefów i wygłosił do nich bardzo ostre przemówienie, zaznaczając, że żadnego kryzysu nie ma, że fabryce nic nie grozi, a tylko dotychczasowe nieudolne kierownictwo i niedbalstwo pracowników przynosiło straty.

Jadąc do Centrali Eksportowej, Paweł był zupełnie zadowolony z siebie. Przed chwilą odegrana komedia gwarantowała bezpieczeństwo Krystyny. Po ostatecznym krachu zaczęliby szukać stryjecznego brata głównego winowajcy, podejrzewając, że znikli razem. Teraz zaś, usuwając Krystynę z widowni i pozostawiając świadków wzajemnego ostrego konfliktu, Paweł mógł się spodziewać, że do odszukania Krystyny nikt nie będzie przywiązywał większego znaczenia. Zresztą jej ślady urwą się na Krakowie. Półprzymniej pani Teresie zdoła ona dostatecznie przekonywająco wmówić, że wyjeżdża do Rosji Sowieckiej. Zakonnicom w klasztorze, gdzie pani Teresa mieszka, pokaże nawet paszport z sowiecką wizą. To zupełnie wystarczy.

W Centrali pomimo najusilniejszych starań nie mógł wydebić ponad sto tysięcy złotych. Zastój ją pierwszą uderzył po kieszeni i dużo trudu kosztowało Pawła, by Kolbuszewskiego przekonać, że trzeba być dobrej myśli.

Jeszcze bardziej przykra była rozmowa z matką.

Pani Józefina nie mogła nic zrozumieć i trzeba było zrezygnować z próby wytłumaczenia jej sytuacji. Niepodobna zaś było wtajemniczać ją we wszystko, zważywszy naiwność staruszki. Ograniczył się też do zakomunikowania jej, że prawdopodobnie zbankrutuje i że wówczas nie zostanie mu innego wyjścia poza palnięciem sobie w łeb. Na jej przerażone okrzyki odpowiedział, że w każdym razie zostawia u pewnej zaufanej osoby pieniądze dla niej, kwotę, która powinna wystarczyć jej do końca życia. Nie należy jednak do tego nikomu absolutnie przyznawać się, gdyż pieniądze wówczas jej odbiorą.

— W razie mojej śmierci otrzyma je mama natychmiast — zakończył — ale pod warunkiem, że zastosuje się bezwzględnie do wskazówek pana Blumkiewicza.

Zdążył jeszcze do domu przed wyjazdem Krystyny. Podróżne sportowe ubranie jeszcze bardziej uwydatniało kształtność jej postaci. Była podniecona i z trudem hamowała objawy radości. Wszystko wydawało się jej teraz już załatwione.

— Wiesz, Pawle — mówiła, ściskając jego ręce — że wszystko uda się wybornie. O, ja wiedziałam, że jeżeli tylko zechcesz, zawsze znajdziesz sposób ratunku.

— Dziewczyno — reflektował ją — jesteśmy zaledwie w początku, nie kuśże losu!

— O, niczego się nie boję. I wiesz co?... To przecie wcale nie będzie twoją klęską! Wówczas, gdy wszyscy będą myśleli, że skończyłeś rachunki z życiem ostatecznym deficytem, że przegrałeś i sam sobie wymierzyłeś sprawiedliwość, ty będziesz zawsze miał możliwość powrotu. O, Pawle, wszystko będzie dobrze... Jakaż ja jestem szczęśliwa!...

Nic na to nie odpowiedział. Sam widział piętrzące się trudności, które mogą uniemożliwić wykonanie ryzykownego planu. W miarę zbliżania się godziny odejścia pociągu

⁴⁹⁵okólnik — pismo służbowe z poleceniami a. wskazówkami wydane w jednym egzemplarzu i przekazywane obiegiem między odbiorcami. [przypis edytorski]

coraz niespokojniej spoglądał na zegarek. Należało liczyć się z potknięciem się zaraz na początku. Pasporty mogły wydać się w konsulacie belgijskim podejrzone. Ktokolwiek mógł na fotografii poznać Pawła, chociaż zdjęcie było wyjątkowo doń niepodobne. Może Blumkiewicz został już aresztowany, może...

Na szczęście zdążył w porę, paszporty nie wzbudziły niczyich podejrzeń, wszystkie wizy były w porządku. Dokumenty stwierdzały tożsamość obywateli belgijskich państwa Marcellego i Katarzyny Duval, prawowitego małżeństwa, utrzymującego się z własnych funduszków. Krystyna starannie ukryła swój paszport na dnie walizki. Była bardzo ciekawa, w jaki sposób Blumkiewicz zdołał je uzyskać, lecz na opowiadanie nie tylko nie było czasu, lecz i Blumkiewicz czuł się osłabiony nerwowo do tego stopnia, że tylko bezsilnie machnął ręką, niezdolny do mówienia.

Dla ostrożności Paweł nie odprowadzał Krystyny na pociąg. Zresztą sam musiał przygotować się do podróży. Początkowo zamierzał spalić wszystkie papiery, które z chwilą krachu oczywiście znajdą się w rękach władz. Zrezygnował jednak z tego. Należałoby również zniszczyć całe laboratorium, służące do podrabiania dokumentów, wielkie zapasy najróżnorodniejszych pieczęci, no i drukarenkę. Poza tym podobne kompromitujące pracownie miał także i w kilku innych miastach. Na usunięcie wszystkiego nie starczyłoby zatem czasu i lepiej było zostawić to ku tym większej zgrozie ludzkości.

Nie bez satysfakcji myślał o tym monstrualnym skandalu, jaki rozpocznie się po jego śmierci. Grzebanie w jego spuściźnie zajmie światu dobrych parę miesięcy. Właściwie mówiąc, dzienniki na tej sensacji zrobią porządne pieniądze i powinny by wypłacić mu grubą prowizję!

Najbardziej cieszyła jednak Pawła myśl, że wielu idiotów, wierzących w dogmaty bezwzględnych wartości, jego własna afera „najuczciwszego człowieka świata” przekona może wreszcie, że jedyną istotną wartością jest nasze przeświadczenie, że każda prawda ma sens wyłącznie subiektywny.

Zastanawiał się nawet, czy nie zostawić czegoś w rodzaju testamentu, zapisującego ludzkości coś znacznie cenniejszego niż fikcyjne miliardy: receptę na ich zdobywanie!

Jeżeli porzucił tę myśl, to po pierwsze dlatego, że nic go ludzkość nie obchodziła, a po drugie gdzieś na dnie tliła się w nim przecież nadzieja, że kiedyś zjawi się znów na arenie, kiedyś, kiedy zapomną o Pawle Dalczu i z równą gotowością będą mogli przyjąć pana Marcellego Duval!

Przed wieczorem wraz z Blumkiewiczem, który dość często towarzyszył mu w charakterze sekretarza, odleciał do Wiednia. Blumkiewicz nie cierpiał podróży samolotem, gdyż zawsze odchorowywał najkrótsze dystansy. W wypadkach jednak, gdy Paweł musiał mieć przy sobie kogoś absolutnie godnego zaufania, rad nierad trzeba było mu towarzyszyć. A tym razem, tym... ostatnim razem, równało się to konieczności.

Telegraficzne zamówienie hotelowego apartamentu dla Pawła Dalcza odniosło przewidziany skutek. Już na lotnisku czekali dwaj dziennikarze, a w hallu hotelowym zebrali się ich kilkunastu. Zwłaszcza w ostatnich czasach powtarzało się to stale. Zwykły czytelnik gazet, gnębiony kryzysem, domagał się od swoich dzienników oceny położenia gospodarczego, otuchy lub po prostu przepowiedni, pochodzących z najmiarodajniejszych ust wielkich finansistów, przemysłowców, milionerów. A któż mógł być miarodajniejszy niż sam Paweł Dalcz, potentat trzęsący gospodarstwem świata, bogacz, jakiego dotychczas nie znała Europa, geniusz ekonomiczny, który zaćmił wszystkich amerykańskich miliardów, ba, stał się dumą starego kontynentu.

Co on myśli o kryzysie, jak zamierza z nim walczyć, jakie widzi środki zaradcze, czy może sam jest jego sprawcą dla jakichś dalszych celów, niezrozumiałych dla zwykłego śmiertelnika? Jak wygląda, jaką ma minę, po minie można wnioskować o stanie jego interesów, a jego interesy to przecie byt milionów ludzi! Jak się zachowa, czy zechce udzielić wywiadu, co powie?

Niektórzy z dziennikarzy znali już Blumkiewicza i zaraz go zaatakowali. Blumkiewicz jednak milczał uparcie, a po upływie kwadransa oznajmił, że prezes Dalcz udzieli prasie zbiorowego wywiadu, który wywoła wielką sensację.

I rzeczywiście po spożyciu kolacji prezes Dalcz zjawił się w czytelnicy hotelowej. Wyglądał dość mizernie, sam zresztą na początku zaznaczył, że jest przemęczony i dlatego

prosi, aby go nie nużono pytaniami, a zadowolono się tym, co powie. Wszystkie głowy pochylili się nad notesami, ołówki gorączkowo zapisywały każde słowo.

— Kryzys obecny nie jest, według mego zdania — mówił dobitnie Paweł — wynikiem procesu organicznego, lecz zamętem, wywołanym przez dojście do kulminacyjnego punktu nieodpowiedzialnej polityki gospodarczej różnych państw. Jest wynikiem rozprężenia psychicznego w masach i braku kierownictwa u góry. Oczywiście, obecne przesilenie ekonomiczne przyniesie i zostawi po sobie znaczne straty, oczywiście, wiele przedsiębiorstw nie zdoła podnieść się z dzisiejszej ruiny. Nie należy jednak przesażać. Całość struktury gospodarczej zostanie zachowana. Twierdzą z całym naciskiem, że większość jest do uratowania i uratowana będzie. Zależy to od opanowania sytuacji przez czynniki najbardziej zainteresowane. Opanowanie takie może polegać jedynie na udzieleniu pomocy organizmom najsłabszym i poddaniu kontroli niepoczytalnych odruchów doraźnych, w rodzaju cel prohibicyjnych, stosowanych przez ulegające panice niektóre rządy, w rodzaju ukrywania kapitałów, co jest specjalnością niektórych banków. Jutro wyjeżdżam do Paryża. Tam też przybędą zaproszeni przeze mnie reprezentanci sfer gospodarczych z różnych krajów, z którymi mam nadzieję ustalić środki zaradcze. A teraz przechodzę do spraw skonkretyzowanych. Upoważniam panów do podania w prasie decyzji Banku Pożyczek Międzynarodowych, jeżeli chodzi o pożyczkę, o którą od dłuższego czasu zabiega rząd niemiecki. Doszedłem do przekonania, że większy zastrzyk gotówki w tym miejscu Europy radykalnie przyczyni się do powstrzymania kryzysu. Kwota pożyczki na razie wynosić będzie czterysta milionów marek.

Paweł zrobił pauzę i udając, że nie spostrzega ogromnego zdziwienia, zakończył:

— Dalsze plany Banku i własne uzależniam od wyników narad paryskich, do których przywiązuje wielkie znaczenie.

— Czy pan prezes równie wielkie żywi nadzieje? — z niedowierzaniem zapytał jeden z dziennikarzy.

— Oczywiście. Pozostawienie spraw ich własnemu biegowi byłoby szaleństwem i nie wątpię, że mój pogląd spotka się z należytych oddźwiękiem.

— A jeżeli nie? — rzucił wyzywająco inny dziennikarz.

Paweł zmarszczył brwi:

— Nie przewiduję tego.

— Jednakże, panie prezesie?

— Ha — wzruszył ramionami Paweł — równałoby się to podpisaniu wyroku śmierci na wiele... hm... na wiele najmocniejszych przedsiębiorstw, doprowadziłoby do katastrofy, jakiej jeszcze ludzkość nie widziała. Powtarzam jednak, że osobiście jestem najlepszej myśli.

Znowu posypały się pytania, lecz Paweł potrząsnął głową i powiedział:

— Wybaczcie, panowie, ale to wszystko, co mogłem wam powiedzieć. Dziękuję i żegniam.

Wyszedł uśmiechnięty z podniesioną głową. W ustach czuł gorycz i palce ścisnęły mu się kurczowo. Wszystko, co mówił, mogło być prawdą jeszcze przed dwoma miesiącami. Dziś nawet żaden z tych dziennikarzy nie podzielał jego rzekomej wiary w możliwość powstrzymania rosnącego chaosu. Istotnie, jeszcze z Warszawy rozesłał telegraficzne wezwania do kilku grubszych ryb z City, Amsterdamu i Zurychu, zapraszając je na rozmowę do Paryża. Sam jednak wątpił, czy w ogóle przyjadą. Zresztą to już było mu najzupełniej obojętne. Chodziło mu przecie wyłącznie o stworzenie warunków, które usprawiedliwiłyby samobójstwo.

Jutro cała prasa światowa poda czarnym drukiem dzisiejszy wywiad. Uśmiechał się na myśl, co też powiedzą na to finansisci, dobrze rozumiejący sytuację. Orzekną, że Paweł Dalcz zwariował. Przecie doskonale wiedzą, że nie tylko o czterystu milionach marek, lecz nawet o czterdziestu nie mogłoby teraz być mowy. Tłumy jednak uwierzą. Wszystkie pozory będą przemawiały za zupełnie logiczną koncepcją: wierzył w możliwość uratowania swego majątku, a z chwilą gdy mu odmówiono pomocy, nie miał innego wyjścia poza samobójstwem. Taką też tezę będzie musiało przyjąć śledztwo. Na żadne wątpliwości nie zostanie tu miejsca.

Pomimo wszystko Paweł nie spał tej nocy. Przemęczone nerwy nie chciały pogodzić się z decyzją powziętą przez mózg, z decyzją, której skutkiem w naturze takiej jak Pawła powinien być przecie spokój.

Nazajutrz bez żadnych trudności został przyjęty przez ministra skarbu i otrzymał trzy miliony dolarów, stanowiących ratę długu rządu austriackiego w Banku Pożyczek Międzynarodowych. To, że zażądał wypłaty w banknotach, nie zdziwiło nikogo, gdyż w ostatnich czasach każdy wołał mieć do czynienia z efektywną walutą.

Po południu odlecieli do Paryża. Należało przewidywać, że po wywiadzie podanym w prasie na lotnisku będą go oczekiwali dziennikarze francuscy, pokazywanie się którym byłoby teraz wysoce ryzykowne dla całego planu. Dlatego Paweł kazał pilotowi wylądować na wschodnim krańcu lotniska i stąd odjechał pierwszą spotkaną taksówką nie do hotelu Ritz, gdzie stawał zazwyczaj, lecz do Carltonu. Tu przede wszystkim zażądał od dyrektora zachowania tajemnicy jego pobytu w hotelu. Przez hall przeszedł szybko z podniesionym kołnierzem futra. Blumkiewicz, który stosownie do polecenia przyjechał w godzinę później, zajął się wszelkimi formalnościami, tłumacząc administracji hotelu i służbie, że jego szef jest tak zajęty, iż wchodzenie do jego pokoju jest absolutnie wzbronione, a dopuszczanie jakichkolwiek obcych osób spowoduje natychmiastowe przeniesienie się prezesa do innego hotelu. Jednocześnie Blumkiewicz głośno wypytywał, czy nie nadszedł jeszcze kufer z rzeczami, które miano wysłać z Brukseli autem.

Oczywiście żadnego kufra nie było, gdyż Blumkiewicz zajął się jego kupieniem dopiero nazajutrz rano. Tymczasem Paweł nie opuszczał swego numeru⁴⁹⁶, a telefonistka z centrali hotelowej mogła stwierdzić jedynie to, że niemal bez przerwy rozmawiał telefonicznie z miastem. Wieczorne dzienniki przyniosły wiadomość o przybyciu Pawła Dalcza, podały też kilka nazwisk ogólnie znanych finansistów, którzy od jutra wraz z nim mają rozpocząć narady nad sytuacją gospodarczą. Niektórzy z tych panów wypowiedzieli wobec przedstawicieli prasy poglądy nieukrywanie pesymistyczne i z rezerwą, ale stanowczo podali w wątpliwość samą autentyczność wywiadu Dalcza, a to ze względu na zbyt pochopny jego optymizm.

Istotnie nazajutrz w jednej z agenturowych firm Pawła rozpoczęły się narady. Paweł robił wszystko, by w oczach zebranych wyglądać na najbardziej zdenerwowanego, by wyrzucić wrażenie tonącego, który bodaj brzytwy gotów jest się chwycić. Kiedy zaś przed wieczorem jeden z Holendrów wyraźnie postawił wniosek przerwania bezcelowych narad, Paweł niespodziewanie wysunął argument, który nakazywał ich przedłużenie: otrzymał właśnie depezę, że okręt „Mauretania” przybywa z New Yorku za dwa dni, a na pokładzie „Mauretanii” znajduje się sam Lincoln Warwick, prezes Union Banku.

Depesza była prawdziwa i zawarta w niej wiadomość również. Zebrani zaś nie mogli wiedzieć, czy istotnie Union nie zechce ratować Banku Pożyczek Międzynarodowych, w którym w razie krachu straciłby przecie pokaźny kapitał. Tylko Paweł wiedział, że Lincoln Warwick przybywa w celu właśnie zażądania rachunku, co będzie równoznaczne z krachem. Przedłużenie jednak obrad było dla Pawła konieczne z innego względu.

W Paryżu przywozi się codziennie do prosektorium przeciętnie czterdzieści zwłok denatów niewiadomego nazwiska. Są to ciała ludzi, którzy w jakiś nagły sposób rozstali się z życiem, najczęściej śmiercią samobójczą. Są to ciała ludzi różnej płci, różnej pozycji społecznej, różnego wzrostu, wieku i wyglądu. Jedne otaczane są wyjątkowym zainteresowaniem policji, inne, należące do obojętnych cudzoziemców, włóczędzy czy osób niepozornej kondycji, nie obchodzą nikogo poza dyżurnym funkcjonariuszem prosektorium. Dyżurny zaś funkcjonariusz pobiera za przyjmowanie, zapisywanie i wydawanie zwłok bardzo skromną pensyjną siedmuset franków miesięcznie, wliczając w to i płacę za dyżury nocne, wyjątkowo nudne i bądź co bądź nieprzyjemne, zważywszy samotność wśród trupów.

Człowieka zarabiającego z trudem swoje siedemset franków nietrudno przekonać, że kwota stu tysięcy jest dlań nie do pogardzenia, a Paweł przekonywać umiał. Ostatecznie niezauważenie jednego bezimiennego trupa i oddanie go zamiast grabarzowi komuś innemu nie było wcale zbrodnią. Małe zaś wykroczenie służbowe warte było stu dużych niebiesko-żółtawych papierków. Trudność polegała na zupełnie czymś innym. Oto klient

⁴⁹⁶ numer — tu: pokój hotelowy. [przypis edytorski]

domagał się, by towar był dużych rozmiarów, by nie miał wiele ponad czterdziestkę i by był jak najbardziej „świeży”, pech zaś chciał, że przez całe trzy dni nic takiego nie można było znaleźć w asortymencie nieobchodzącym już policji.

Dopiero na czwarty dzień przywieziono do hotelu Carlton kufer Pawła Dalcza. Nad wniesieniem tego ciężkiego przedmiotu do apartamentu zajmowanego przez prezesa czuwał sekretarz Blumkiewicz.

Prezesa nikt w tym dniu nie widział. Ostatnio wczoraj wieczorem wrócił bardzo zdenerwowany i — jak uskarżał się portierowi pan Blumkiewicz — prezes zamknął się w swojej sypialni, zakazując wstępu i nie chcąc nawet zjeść śniadania. W porze obiadowej sekretarz, coraz bardziej zaniepokojony, znowu dzielił się z portierem swym niezadowoleniem. Chciałby wyjść na miasto, a nie może odejść bez pozwolenia prezesa. Tymczasem ten na pukania wcale nie odpowiada. Że nie odpowiada też na dzwonki telefonu, wiedział już portier od telefonistki. Około dziesiątej, gdy znowu doń przyszedł zaniepokojony sekretarz, zdecydowali się zawiadomić o wszystkim dyrektora.

Dyrektor, człowiek opanowany, wywnioskował wprawdzie z półsłówek sekretarza, że Paweł Dalcz znajdował się wczoraj wieczorem nie bez poważnych przyczyn w stanie rzadkiego u niego zdenerwowania, że posiadał rewolwer, że jednak czasami zamykał się w taki sam sposób bez żadnych przykrych konsekwencji. Wobec tego należało jeszcze poczekać.

Czekano też do godziny drugiej w nocy. O drugiej rozpoczęto głośne, a później bardzo głośne pukanie. Wobec absolutnej ciszy, jaka pomimo to panowała w sypialni, zdecydowano się wyważyć drzwi, a na żądanie sekretarza, który nie wykluczył możliwości zasłabnięcia swego szefa, sprowadzono wraz z policją policyjnego lekarza rewiru.

O godzinie trzeciej wkroczone do sypialni. Na łóżku leżały zimne już zwłoki z raną postrzałową klatki piersiowej w okolicy serca. Paweł Dalcz nie żył. Już z pobieżnych oględzin pokoju można było wywnioskować, że samobójczy strzał nastąpił wczoraj wieczorem. Na bocznym stoliku stała nietknięta kolacja, a na biurku leżał niezaklejony list pisany po polsku, a adresowany do matki denata. Potrawy zakrzepły gruntownie, atrament już zdążył szernieć. Zresztą i data na liście mówiła za siebie.

Lekarzowi nie pozostawało nic innego, jak stwierdzić zgon Pawła Dalcza i spisać o tym urzędowy akt, na którym podpisali się świadkowie znający denata, jego osobisty sekretarz, portier, dyrektor hotelu i kilka osób służby.

— Taki człowiek — kiwał głową, wychodząc z pokoju, komisarz policji — taki człowiek i kryzys go zabił.

— To jasne — przytaknął sędzia śledczy.

ROZDZIAŁ VIII

Clervaux jest to małe miasteczko przy bocznej jednotorowej linii, łączącej Verviers ze stolicą księstwa Luksemburgiem. Pociągi pośpieszne nie zatrzymują się w Clervaux nigdy, a pocztę wyrzuca się z nich w zielonych brezentowych workach do specjalnego drucianego kosza, umieszczonego na słupie. Poczta z Paryża i w ogóle z Południa przychodzi luksemburskim pociągiem o dziesiątej rano, poczta zaś z Belgii o ósmej z minutami wieczorem. Odkąd z wiosną zaczyna się robić ciepło, szef urzędu pocztowego miasta Clervaux osobiście wysiaduje na peronie w oczekiwaniu pośpiesznych i albo rozmawia z żoną kierownika stacji, panią Woulffi, albo zadawała się towarzystwem jej kota, drzemiącego obok na ławce z podwiniętymi łapami i z jednym półotwartym okiem. Kot jest żółty, a gdy tak leży nieruchomo, dziwnie przypomina panu poczmistrzowi⁴⁹⁷ pieczonego królika, którego na każdą niedzielę z takim znanstwem przyrządza pani Nagelmann, jego od lat dwudziestu trzech prawowita małżonka.

Z pocztą jest rozmaicie: część jej pan Nagelmann osobiście roznosi bardziej szanownym obywatelom miasta, część pozostaje w pokoiku, noszącym tytuł urzędu, po resztę zgłaszają się sami adresaci, dowiedziawszy się przez znajomych o nadejściu listu. Listów zresztą przychodzi niewiele, a dzienników jeszcze mniej. Mieszkańcy Clervaux nie utrzymują zbyt ścisłego kontaktu z resztą świata, tak jak i właściciele sąsiednich folwarczków czy tu i ówdzie rozrzuconych letnich willi, stojących zresztą przeważnie pustkami. Kiedyś, gdy były lepsze czasy, przyjeżdżali tu na wakacje zamożni kupcy z Liege i wówczas na

⁴⁹⁷ poczmistrz (daw.) — kierownik urzędu pocztowego. [przypis edytorski]

parę miesięcy ożywiała się cała okolica. Obecnie tylko w najodleglejszym Passel, położonym na samej granicy niemieckiej, o dobrych dziewięć kilometrów od miasta, mieszkało jedno bogate małżeństwo belgijskie, państwo Duval, bardzo solidna, chociaż dość młoda para.

Pan poczmistrz Nagelmann znał wszystkich, o wszystkich wiedział wszystko, bo po pierwsze należało to niejako do jego obowiązków, a po drugie było to jego przyjemnością. Pan Nagelmann lubił znać dokładnie zwyczaje i obyczaje swojej klienteli, lubił wiedzieć z góry, czego po kim należy się spodziewać. Dlatego też to, co go z początku irytowało u nowonabywców willi Passel, z chwilą gdy się stało nieodmiennym zwyczajem — zajęło uświęcone miejsce w porządku dnia i tym samym przestało być przykre. A przykrym był dla pana poczmistrza każdy niepotrzebny pośpiech. Toteż z początku krzywił się i gwałtownie ruszał swymi siwymi wąsami za każdym razem, gdy pani Duval niemal jednocześnie z przejazdem pociągu zjawiała się przed dworcem w swojej granatowej maszynie, i to tylko po to, aby odebrać dzienniki, gdyż żadnej korespondencji państwo Duval nie otrzymywali. Jeździć dużym samochodem, spalającym Bóg wie ile benzyny, dwa razy dziennie dla marnych gazet aż dziewięć kilometrów, to wynosi równo trzydzieści sześć kilometrów niepotrzebnie odbytej drogi.

Z biegiem czasu jednak pan Nagelmann do tego stopnia pogodził się z tym stanem rzeczy, że ilekroć zdarzyło się zobaczyć pióropusz dymu pośpiesznego, a jednocześnie nie dostrzec na przeciwległym wzgórzu połysków pędzącego auta, czuł się zdziwiony, niezadowolony lub nawet zaniepokojony. I nic dziwnego. Na wirażach⁴⁹⁸ o wypadek nietrudno, szczególnie jeżeli ktoś pędzi tymi diabelskimi maszynami po wariacku. Jeżeli zaś tak punktualna osoba, jak pani Duval, nie przybywa na czas, mogło stać się coś złego.

Na szczęście wszystko szło pomyślnie, a pani Duval była dzielną kobietą, która doskonale umiała sobie dawać radę nie tylko z samochodem, lecz i z niedomagającym mężem, i z interesami. Sama przecie załatwiła kupno posiadłości Passel, sama urządziła dom, sama dyrygowała służbą.

A przy tym zawsze była w wyśmienitym humorze. Jej wspaniałe czarne oczy, jak i cała sprężysta a wiotka sylwetka wraz z uśmiechniętą twarzą zdawała się być jednym uśmiechem. Na początku, gdy mąż jej był jeszcze tak osłabiony, że nie opuszczał łóżka, znać było na pani Duval jej troskę, ale już wkrótce poczmistrz miał możliwość przekonać się, że jest to jedna z najweselszych młodych mężatek, jakie zdarzyło mu się widzieć. Wprost biło z niej szczęście, radość i humor, gdy wbiegała na peron i zapytywała swoim ciepłym kontraltowym⁴⁹⁹ głosem:

— Czy niczego nie brakuje z mojej porcji drukowanej paszy⁵⁰⁰, panie Nagelmann?

— Wszystko w porządku — odpowiadał i wyjmując z torby gazety, powtarzał codziennie pytanie: — A jakże się miewa pan Duval?

Pan Duval miewał się coraz lepiej. Dawno już opuścił łożę boleści i nie tylko siadywał na tarasie, lecz pomału zaczął robić krótsze przechadzki, a nawet tym i owym zajmował się w ogrodzie. Pani Duval opowiadała, przeglądając jednocześnie wielkie płachty dzienników, i nie dodawała ani słowa o tym, że im mniej z biegiem czasu w tych dziennikach było o śmierci i bankructwie wielkiego miliardera Pawła Dalcza, tym lepiej się miewał jej mąż. Pan Nagelmann nawet nie miał możliwości zauważyć, by ta skandaliczna afery zbyt- nio ją interesowała, ilekroć bowiem zaczynał rozmowę na ten temat, który przecie tak żywo obchodził wszystkich, nie wyłączając nawet tej pocziwej pani Woulffi, pani Duval wzruszała tylko ramionami. Zresztą i inne sprawy, mniej może sensacyjne, lecz znacznie ważniejsze, bo dotyczące Clervaux i jego mieszkańców, nie zajmowały jej wcale, chociaż wyczerpujących sprawozdań pana Nagelmanna wysłuchiwała z wrodzoną uprzejmością. Zdaje się, że wszystkie zainteresowania zarówno jej, jak i jej męża, obracały się dokoła literatury i muzyki. Co kilka dni przechodziły przez ręce pana poczmistrza duże paczki książek i nut dla państwa Duval, ludzie to bowiem byli nie tylko spokojni i solidni, ale i bardzo wykształceni.

Pana Duval poznał pan Nagelmann dopiero w końcu lata, lecz nadal widywał go bardzo rzadko. Mąż pani Duval był widocznie zaprzysiężonym domatorem, co potwierdzała

⁴⁹⁸wiraż (z fr. *virage*) — zakręt drogi, toru, bieżni itp. w kształcie łuku. [przypis edytorski]

⁴⁹⁹kontralt (muz.) — najniższy głos żeński. [przypis edytorski]

⁵⁰⁰pasza — pokarm dla zwierząt; tu żartobliwie. [przypis edytorski]

poza tym i pantoflowa poczta, której centralą na całą okolicę była znowuż pani Nagelmann.

Przez szereg miesięcy, póki jeszcze nowonabywcy Passel stanowili swego rodzaju innowację, z opowiadań ich ogrodnika, a i pozostałej służby, która od czasu do czasu załatwiała swoje sprawunki w Clervaux, można było się dowiedzieć, że są szczęśliwym i zakochanym w sobie małżeństwem. Nie było wypadku, by się pokłócili, a tylko od czasu do czasu pan Duval robił się, prawdopodobnie z powodu choroby, jakiś ponury i wówczas całymi dniami i nocami przesiadywał przy biurku, pisząc coś i rachując. W takich wypadkach i pani Duval stawała się smutna i zaniepokojona. Nie trwało to jednak nigdy zbyt długo. On znowu powracał do robót w ogrodzie i w winnicy, a ona zajmowała się gospodarstwem, uśmiechnięta i wesoła. Wieczorami pan Duval pięknie grał na fortepianie albo leżąc w hamaku, wypoczywał, a ona czytała mu różne książki.

Dworek Passel leżał tak bardzo na uboczu, a jego mieszkańcy nie lubili widocznie życia towarzyskiego, że nikt tu nigdy nie zaglądał. Właściwie jedyną komunikację z miastem utrzymywała tylko pani Duval.

Lecz i jej wizyty w Clervaux wkrótce stały się rzadsze. Znać mężowi nie tak już było pilno do gazet, gdyż pan poczmistrz Nagelmann nieraz po trzy i cztery dni na próżno wpatrywał się w żółtą taśmę szosy, wijącej się pośród winnic na przeciwległym wzgórzu. Pośpieszny po dawnemu dwa razy w ciągu doby huczał na mostku i przelatował przez stację, zostawiając w drucianym koszu brezentowy worek z pocztą, a granatowe auto coraz rzadziej zatrzymywało się przy stacji.

Staruszek segregował gazety i mruklawie tłumaczył pani Woulffi, ile to niepotrzebnych wydatków robią ludzie, prenumerując gazety, jeżeli jednocześnie wcale nie dbają o terminowy ich odbiór. Gdy zaś nie było pani Woulffi, zadowalać się musiał towarzystwem jej kota, drzemiącego obok na ławce z podwiniętymi łapami i z jednym półotwartym okiem.

Kot był żółty, a gdy tak leżał nieruchomo, dziwnie przypominał panu poczmistrzowi piezonego królika, którego na każdą niedzielę z takim znanstwem przyrządza pani Nagelmann, jego od lat prawowita małżonka.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bracia-dalcz-i-s-ka>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Dołęga-Mostowicz, Bracia Dalcz i S-ka, Tom pierwszy i drugi, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://www.wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Niedziałkowską. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwała się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0186-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.